

OLSZTYN
59 | 2017

borussia

KULTURA ••• HISTORIA ••• LITERATURA

LOSY KOBIET na WARMII I MAZURACH: ŚWIADECTWA PORTRETY WSPOMNIENIA

Ewa Kozłowska
Alicja Kulik
Katarzyna Matwiejczuk
Ewa Schilling
Joanna Szydłowska
Joanna Wańkowska-Sobiesiak
Zbigniew Chojnowski
Jerzy Lengauer

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Zealizowano przy współudziale finansowym Samorządu Olsztyna



Redakcja:

Redaktorzy naczelni: Kazimierz Brakoniecki, Robert Traba
brakoniecki@cpf.olsztyn.pl | robert.traba@cbh.pan.pl

Zespół redakcyjny:

Iwona Liżewska, Maryla Paturalska, Janusz Pilecki (grafik), Ewa Romanowska,
Joanna Szydłowska, Rafał Żytyniec
Asystent redakcji: Paweł Sarnowski

Rada Redakcyjna:

Piotr Mitzner, Zbigniew Mikołajko, Anna Nasiłowska, Iwona Anna NDiaye,
Hubert Orłowski, Leszek Żyliński

Korekta: Emilia Janowska

Projekt okładki i opracowanie graficzne: Janusz Pilecki

Skład i łamanie: WZORCOWNIA | www.wzorcownia-art.pl

Fotografie na okładce:

I strona: archiwum Kasi i Janusza Pileckich, IV strona: Janusz Pilecki

Druk: GUTGRAF Olsztyn

Stowarzyszenie Wspólnota Kulturowa „Borussia“

Adres do korespondencji:

Dom Mendelsohna

ul. Zyndrama z Maszkowic 2 | 10-133 Olsztyn

tel./fax 89 534 00 26

www.borussia.pl

zamówienia publikacji: dystrybucja@borussia.pl

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo do wprowadzania zmian i skrótów. Zapraszamy do współpracy.

Wszystkim, którzy zechcą wesprzeć finansowo pismo i stowarzyszenie,
podajemy numer naszego konta:

Bank Gospodarki Żywnościowej O/Olsztyn: 29 2030 0045 1110 0000 0334 3270

PL ISSN 0867-6402

Nakład: 500 egz.

SPIS TREŚCI

LOSY KOBIET

Alicja Kulik Długi dystans; Jerzy i Irmgarda	5
Katarzyna Matwiejczuk Zabugajka	15
Joanna Wańkowska-Sobiesiak A wokół były same ogrody	21
Jerzy Lengauer Spod Перемишля i znad Morza Czarnego	35
Hanna Brakoniecka Małe prozy życiowe (Więźniarka; Muszę umrzeć; Biedna dusza; Bezsenna noc; Rzeka to nie tylko woda)	47
Ewa Kozłowska Paris – eine neue Heimat?	56
Ewa Schilling Płacz po Toltekach	64
Joanna Szydłowska Mazurska mandala. Rodzina – kobieta – tekst	
Joanna Chłosta-Zielonka Kobiecte opowieści korzenne	78
Zbigniew Chojnowski Jechać do Lwowa z Maryną, czyli życiorysowa mimikra	87
Artur Daniel Liskowacki Księgi wyjścia	95

POEZJA

Anna Matysiak Trzy wiersze o kominach; *** [Mówiłam „nie”...]; Do pełna	113
Katarzyna Kokot-Góra Prababcia; My; Dorothy Baker; Martha Root; Keith Ransom Kheller	116
Ewelina Zdancewicz-Pękala * [zebrałam już...]; Schizoidalna; Warkocz	121
Urszula Kosińska Okno życia; razem a jednak osobno; taka sama wolność; wielość	124

LITWA POEZJA

Liūnė Sutema Czary-mary; Kain; Pod koniec marca wycinaliśmy wierzby; Zabawy o zmierzchu, tłum. Małgorzata Gierałtowska	129
Nijolė Miliauskaitė *** [niby nic...]; *** [już z daleka ich widać...], tłum. Joanna Tabor	134
Agnė Žagrakalytė *** [za dużo tu fonemów...]; DJ Prozerpina; Mówię o przystojnym mężczyźnie, pięknym jak młody bóg, choć niemłodym, tłum. Joanna Tabor	138

Jurgita Jasponytė Sorok Tatar; Tryptyk, tłum. Paulina Ciucka	142
Ieva Gudmonaitė [grzeszyć lubiłam bardziej w myślach...]; *** [domek dla ptaków...]; *** [przyszliśmy do twojego domu...], tłum. Paulina Ciucka	147

LITWA PROZA

Danutė Kalinauskaitė Do domu, tłum. Joanna Tabor	151
Undinė Radzevičiūtė Przewrócić piramidę, tłum. Alina Kuzborska	172
Vanda Juknaitė Eseje (Drzewa pragnień muszą mieć korzenie; Kwiatek i wiatr; Klatka), tłum. Zuzanna Mrozikowa	179
Giedra Radvilavičiūtė Mowa pożegnalna, tłum. Małgorzata Gierałtowska	190

ŁOTWA POEZJA

Austra Skujiņa Tygrysy w cyrku; Madonna bulwarów; Kwiaty w rękę; Na moście; Ostatnia piosenka, tłum. Agnieszka Smarzewska	202
--	-----

DEBATA

Leszek Żyliński Zapiski z czasów zmiany	209
Stanisław Gut Kilka własnych słów o wielokulturalizmie	219

POEZJA

Alx z Poewiki Chwila: chybotliwa; Chwila: krucha; Chwila: polska; Chwila: niepewna	223
---	-----

RECENZJE

Jerzy Lengauer Syn mazurskiej leśniczówki [Ernst Wiechert, <i>Moje życie, moje czasy</i> , Olsztyn 2016]	233
2 Hubert Orłowski Spojrzenie na Prusy z sarmatyzmem w tle [Dariusz Łukasiewicz, <i>Sarmatyzm i Prusy na przełomie XVIII i XIX wieku</i> , Warszawa 2015]	240
Winfried Lipscher Siostry katarzynki [Relinda Meiwes, <i>Klosterleben in bewegten Zeiten. Geschichte der ermländischen Katharinenschwestern (1914-1962)</i> , Paderborn 2016]	243
Bernadetta Darska Język(i) i siła przetrwania [Joanna Wańkowska-Sobiesiak, <i>Buty Agaty / Agathes Schuhe</i> , Olsztyn 2008]	246
Ewa Czerwiakowska Bliska obcość środkowoeuropejskiej topografii, czyli w poszukiwaniu zdefraudowanej pamięci [Lothar Quinkenstein,	

<i>Erinnerung an Klara Blum. Essays und Kritiken aus der Mitte Europas</i> , St. Ingbert 2015]	252
Jerzy Lengauer Fabuły, hagiografie, aretalogie, poezje [Kazimierz Brakoniecki, <i>Zakład biograficzny Olsztyn</i> , Olsztyn 2016]	260
Bernadetta Darska (Nie)pamięć ma w sobie coś z kobiety [Alicja Bykowska- -Salczyńska, <i>Cno</i> , Olsztyn 2016]	267
Kazimierz Brakoniecki Widnoksiąg [Zbigniew Kadłubek, <i>Bezbronne myśli. Eseje i inne pisma o Górnym Śląsku</i> , Katowice 2016; Szczepan Twardoch, <i>Drach</i> , Kraków 2014]	273
Paweł Jaskulski Komiksowa adaptacja „Nędzoli” [Zbigniew Masternak, <i>Nędzole</i> , Radom 2016]	279
Anna Maziuk Cztery spojrzenia [Magdalena Szozda, <i>Wpływ jeziora błękitnego</i> , Warszawa 2015; Ewelina Krupska, <i>Mapa zalesienia</i> , Warszawa 2016; Bogna Gniazdowska, <i>Mój wybór</i> , Warszawa 2016; Lucyna Brzozowska, <i>Jestem niewinna</i> , Warszawa 2016]	282
Magdalena Kardach Wznowienie potrzebnej monografii o kulturze niemieckiej [Czesław Karolak, Wojciech Kunicki, Hubert Orłowski, <i>Dzieje kultury niemieckiej</i> , Warszawa 2015]	285
Zaulek Leszka Szarugi Stan rzeczy [Bronisław Wildstein, <i>Dom wybranych</i> , Poznań 2016; Marek Ławrynowicz, <i>Mundur</i> , Poznań 2016; Jacek Bocheński, <i>Blog</i> , Warszawa 2016]	288
Elżbieta Traba Obywatele widma [Łukasz Krzyżanowski, <i>Dom, którego nie było. Powroty ocalałych do powojennego miasta</i> , Wołowiec 2016]	294
Marta Wiśniewska Po Kresach z Anną Strońską. Przypomnienie po latach [Anna Strońska, <i>Podróż na Kresy</i> , Olsztyn-Białystok 1979]	298

ARCHIWUM LITERACKIE

Pieśni ludowe Warmii i Mazur (<i>Wydają mnie za rybaka; Oj, bieda nam, Prusaczeńkom, Oj, śpiewałbym, śpiewał; Wczoraj w karczmie przy buteli; A za Dąbrównem na polu; Jak się cesarz zestarzał</i>); zebrała i oprac. Maryna Okęcka-Bromkova	302
---	-----

WSPOMNIENIE

Bo do życia potrzeba empatii... Wspomnienie o Beacie Samojłowicz (1975-2017)	307
Zbigniew Chojnowski Powrót z wygnania. Pamięci Erwina Kruka (1941-2017)	310

L O S Y K O B I E T

Alicja Kulik
Katarzyna Matwiejczuk
Joanna Wańkowska-
-Sobiesiak
Hanna Brakoniecka
Ewa Kozłowska
Ewa Schilling
Joanna Szydłowska
Joanna Chłosta-Zielonka
Zbigniew Chojnowski
Artur Daniel Liskowacki

Alicja KULIK

Długi dystans

ALICJA KULIK

anglistka, dziennikarka i reporterka radiowa, pracuje w rozgłośni Polskiego Radia Olsztyn; wyróżniona m.in. dwukrotnie nagrodą Grand Press w kategorii reportaż radiowy.

1.

Co ją tak zahartowało? Sama nazwa Urzur, Urzursowchoz, brzmi twardo, nieprzyjemnie dla ucha. Ale przecież tam się urodziła. To był jej cały świat. Ogromny. Kraj Krasnojarski. Niedaleko przepływał Jenisiej Batjuszka, Ojczulek Jenisiej – jak pieszczotliwie nazywali go miejscowi. Ale ona nie wiedziała wtedy o tym. Wiedziała za to, że ma mamę, starszego braciszka i tatę. Tata miał długą brodę i wąsy i zobaczyła go po raz pierwszy, gdy miała 5 lat. Było lato, za domkiem rosły ogórki i właśnie zerwała z gałązki taki maleńki, niewyrośnięty i tata był bardzo niezadowolony, bo przecież z takiego małego urósłby jeszcze duży ogórek. Ale skąd miała to wiedzieć, ona też była jeszcze taka mała. A świat wokół taki duży.

Domek był z gliny, podłoga z desek i szybko się brudziła, bo pod jednym dachem mieszkało kilka rodzin. Mama opowiadała, już wiele, wiele lat później, że żeby ją umyć, żeby była czyściutka, to nożem trzeba było skrobać, a dopiero potem myć. *Wiesz, Joluś, brało się nóż i skrobało.* – *Wiem, mamuś, wiem, już to mówiłaś* – odpowiadała Jolusia. A właściwie Bronka, bo tylko mama zwracała się do niej Jola. Imię Bronisława miała po ciotce, siostrze mamy, która została w domu,

tym prawdziwym, niedaleko Kowna. Właściwie to i tam nie było już wtedy domu, ale wówczas jeszcze o tym nie wiedzieli. To znaczy rodzice Bronisławy nie wiedzieli. Gdy opuszczali Ginejki, dom jeszcze stał i rósł obok duży rozłożysty kasztan. Mama potem pokazywała to miejsce. Pokazywała, gdzie chodziła do szkoły, w której ławce w kościele zawsze siedziała, gdzie są rodzinne groby. Gdy Bronisława zamyka oczy, widzi te miejsca. I krętą Wilię. Wilia po litewsku też jest kręta, bo Neris od słowa „nerti” to „rzeka nurtująca w różnych kierunkach”. I nad tą Wilią albo jak kto chce nad Neris, stał rodzinny dom mamy. Nie był tak okazały jak dom taty. Bronisława widziała go na zdjęciach. Ten mamy dom, bo ojca... Nie, nie przypomina sobie, żeby zachowały się jakieś fotografie. Tata, Piotr Doborzyński, był człowiekiem z charakterem. O takich jak on mówi się twardy, nieugięty. Był dobrym gospodarzem. Rodzina Doborzyńskich (podobno z hrabiowskiego rodu) miała 120 ha ziemi. Rodzina mamy była uboższa. Też Polacy, choć nazwisko panieńskie mamy brzmiało trochę z litewska, Żelnio. Sabina Żelnio. Była bardzo dobrą uczennicą, ukończyła litewską szkołę i dzięki temu ma teraz dwa obywatelstwa: polskie i litewskie. Gdy skończyła się wojna, młode małżeństwo przeprowadziło się do Kowna. Dlaczego nie uciekli do Polski, tak jak ich sąsiedzi i dalsza rodzina Ibiańskich, która potem zatrzymała się w Kętrzynie? Bronisława nie wie. Może majątku ojciec nie chciał zostawić, może jeszcze się łudził, że będzie gospodarował na ojcowiznie? Jakoś mało się tym interesowała. Może nawet zapytałaby, ale po powrocie z Syberii powiedziano rodzicom (kto powiedział, nie wie), żeby nic o tym nikomu nie mówili i nic nie przekazywali dzieciom. No i nie przekazywali, a dzieci nie dociekały. Nie bardzo wtedy też rozumiały, dlaczego ich rówieśnicy wołają na nich kacapy. To był już '56 rok. Późno. Mama Bronisławy do dziś ma jakiś uraz i tylko przy świętach i przy rodzinnych uroczystościach wraca do wspomnień. Ale te historie i tak już w rodzinie wszyscy znają i wtedy Bronisława śmieje się i mówi: – Mamusiu, już to wiemy, już mama o tym mówiła. Wiedzą, na przykład, że tata i mama często jeździli z Kowna do swojego majątku, pomieszkowali tam i doglądali tego, co jeszcze zostało. Ostatni raz pojechali tam pod koniec zimy, a może już na początku wiosny, w roku 1949. Tego dnia Sowietci otoczyli dom i kazali spakować się w ciągu kilku godzin. Mama była bardzo gospodarna. I chyba przewidująca. Zresztą, kto nie wiedział wtedy o deportacjach? Mieli przygotowane mięso, mąkę, chleb na drogę. Wzięli jeszcze maszynę do szycia. Ta maszyna to była ich żywicielka. Było ich troje: mamy brat, tatuś i mamusia. Nie, właściwie było ich już czworo.

6

Podróż trwała tygodniami. Jechali w bydłych wagonach, bez wody, bez ubikacji. Braciszek urodził się w ścisku i zaduchu gdzieś za Uralem. Otrzymał imię Piotr. Był kwiecień, okres Wielkanocy. Już na miejscu, w Urzursowchozie, stała taka ogromna scena, wspomina mama. Wszystkich, którzy przyjechali, stłoczono na tej scenie. Wokół stanęły Rosjanki w fufajkach i wojskach, a naprzeciw mama w pięknym kozuchu i w skórzanych oficerkach na nogach. Tata tak samo. Rosjanki patrzą i mówią, oczywiście po rusku: *Zobaczycie, zobaczycie i wy też tak będziecie wyglądali*. I tak się stało. Potem, gdy mama Bronisławy pracowała już w suszylce, czyli tam, gdzie osusza się zboże, ziarno wpadało do tych wojskowych butów. Dzięki temu w domu mogli jeść często placki. Zresztą radzili sobie nieźle. Brat mamy trafił do elektrowni i dostawał większe przydziały chleba. Dzielił się wszystkim z rodziną siostry. A gdy 18 września 1951 roku

na świat przyszła Bronisława, przejął też opiekę nad siostrą, bo jego szwagier, który pracował przy wyrębie lasów, naraził się komuś. Powiedział może o jedno słowo za dużo i trafił na 5 lat do łagru. Bardzo tam chorował. Miał zapalenie płuc, potem wylew.

Mama Bronisławy, nauczona pracowitości i gospodarności, potrafiła wszystko zrobić. Założyła przy domu ogródek, a po pracy, wieczorami, obszywała żony oficerów. Dziś maszyna stoi w Reszlu u Kazika, najmłodszego brata Bronisławy. Kazik, jako jedyny z rodziny, nie poznał Syberii. Uradzono wspólnie, że to, co było dla nich wtedy, w tamtym życiu tak cenne, powinno trafić do niego. Oni i tak przecież wszystko pamiętają. No, może nie wszystko.

2.

Tamtej podróży, pierwszej w swoim życiu, Bronisława nie pamięta. Tak jakby ktoś wymazał te kilka tygodni z jej życiorysu. Wszystko było jakby za mgłą, za chmurą. Tylko ciemny, ponury las wokół. I zima.

Najpierw zatrzymali się w Giżycku, potem w Kętrzynie. I tam zdecydowali, że dalej nie jadą. Wiedzieli, że Ibiańscy mieszkają przy ul. Żeromskiego. Dostali całe piętro domu. Schorowany ojciec pracował od rana do wieczora na budowie jako cieśla. Trzeba było wyżywić już trójkę dzieci, bo w Kętrzynie urodził się Kazik. Mama nie chodziła do pracy, wystarczyła jej ta w domu. Gotowała, prała, szyła, haftowała. Tata był od dyscypliny. Do domu trzeba było wrócić najpóźniej o dwudziestą, a przy stole trzeba było siedzieć prosto. Jeśli była waza z zupą, to na talerz dzieci musiały nalać tyle, ile miały zjeść. Lepiej wziąć dokładkę niż zmarnować – powtarzał ojciec. I matka też. Wiele lat później, w 1971 roku na mistrzostwach Europy w lekkoatletyce w Helsinkach, w hotelowej restauracji, w której stołowała się polska reprezentacja, był bogato zastawiony bufet. Niektórzy nakładali sobie tyle, żeby nie wstawać co chwilę od stołu, a Bronisława tylko troszeczkę. Za to często stała przy bufecie. Władysław Komar, który za rok w Monachium zdobył olimpijskie złoto w pchnięciu kulą, drażnił się z nią: Bronka, ile ty jesz! Faktycznie, dużo jadła, bo potrzebowała dużo kalorii. Ale chodziła tam i z powrotem, od stołu do bufetu, bo mama ją nauczyła, że jedzenia się nie marnuje.

A kiedy pojawił się w jej życiu sport? W 1968 roku, w rodzinnym mieście, bo tak Bronisława nazywa dziś Kętrzyn. Rodzice nie byli zachwyceni. Wielokrotnie słyszała od ojca, że trzeba się uczyć, że książka jest najważniejsza. Owszem, nauka była też ważna, ale gdy już zaczęła biegać, to nie potrafiła przestać. Musiała mieć predyspozycje, talent, to pewne. Ale to jeszcze za mało. Była pracowita, uparta i miała jeszcze coś. Syberyjski charakterek, tak to nazywa. Zaczęło się od lekcji WF. Dobrze biegła i nauczyciel, znany w Kętrzynie opiekun młodych sportowców Stanisław Gano, podszedł do niej i zapytał, czy nie chciałaby chodzić do niego na treningi. Na początku nie chciała. Właściwie długo musiał ją namawiać. Przez dwa lata odpowiadała, że nie ma czasu, że w domu musi mamie pomagać, że jeszcze przyjdzie na nią pora. W końcu poszła na pierwszy trening i już nie opuściła żadnego. Po trzech miesiącach była

mistrzynią Polski. Cztery kilometry przebiegła w 14 minut i 3 sekundy. Kętrzyn miał się kim chwalić. Na pochodach pierwszomajowych Bronisława Doborzyńska – mistrzyni Polski, maszerowała z olimpijskimi kółkami na piersiach w pierwszym rzędzie ze sztandarem. Tak zaczęła się jej lekkoatletyczna kariera. Zgrupowania, wyjazdy, zawody. I ciężka praca. Biegała z Kętrzyna do Świętej Lipki i z powrotem. Razem 56 kilometrów. Już jako wicemistrzyni świata zdarzało jej się przebiec 220 kilometrów tygodniowo. Po każdym treningu wbiegała do domu, otwierała lodówkę i wypijała litr mleka. Kiedy dostała się do kadry, pojechali na zgrupowanie do Przesieki. Na treningu w górach zabłądzili. Gdy wrócili, miała stopy odmrożone prawie do krwi. Na drugi dzień włożyła buty i poszła biegać. Biegła w głębokim śniegu, a gdy zdziwiony trener zapytał, dlaczego nie trenuje na utwardzonej ścieżce, przyznała się, że nie może, bo ma odmrożone stopy. Wcześniej bała się, że jak opuści trening, trener nie powoła jej na obóz kadrowy. „Umiałam cierpieć”, powie wiele lata później. Na swoje pierwsze zagraniczne zawody pojechała do Kowna. Wtedy widziała tylko stadion. Czuła się szczęśliwa i spełniona.

W 1973 roku wyszła za mąż za Zbigniewa Ludwichowskiego. Miała 22 lata i była już zawodniczką Zjednoczonych Olsztyn, a potem Gwardii Olsztyn. Mąż został jej trenerem. Życie Bronisławy przyspieszyło. AWF w Gdańsku, Wyższa Szkoła Milicji w Szczytnie (pracowała jako trenerka przy naborach do służby), ratownictwo medyczne. Rano pobudka, śniadanie, trening, 2-3 godziny nauki, trening, obiad, odpoczynek, trening, po kolacji nauka, czytanie i łóżko. Może właśnie dlatego jej wyniki były takie dobre. Bo były i nadal są. Jej rekord na 3 km jest wciąż trzecim wynikiem w Polsce. Po urodzeniu córki, jeszcze w szpitalu, ćwiczyła brzuszki, bo musiała jak najszybciej wrócić do formy. To wtedy, w tym najbardziej intensywnym czasie, osiągała najlepsze w swoim życiu wyniki. W tym ten najważniejszy, srebrny medal na mistrzostwach świata w biegu przełajowym w Rabacie w 1975 roku. Spodziewała się, że będzie w czołówce, ale chyba drugie miejsce po Amerykance Brown było dla niej samej zaskoczeniem. Dystans 5 km przebiegła w 13 minut i 47 sekund. Srebro na szyi zawiesiły jej córki króla Hasana II. Księżniczki.

3.

8

Po zakończeniu kariery sportowej Bronisława została nauczycielką wychowania fizycznego. Gdy dziecko przed lekcją skarżyło się, że boli je głowa, żołądek, wzruszała ramionami. Co to znaczy boli? Naprawdę nie rozumiała, co to jest ból. Parę lat temu pierwszy raz w życiu miała wysoką gorączkę. *A więc tak się czuje człowiek, gdy coś go boli* – pomyślała.

Nie wraca do swoich największych sukcesów. Było, minęło – mówi. Żyje chwilą obecną, tym, co niesie jej życie, i wykonuje swoje obowiązki najlepiej, jak potrafi. Kilka razy w tygodniu na stadionie AZS UWM Olsztyn, gdzie prowadzi treningi, już po rozgrzewce zdarza się jej obserwować młodych, którzy wykonują kolejne okrążenia na bieżni. *Czy warto w życiu być takim twardzielem?* – pyta siebie. Może lepiej trochę pożyć? Ale z własnego doświadczenia wie, że nic trwałego ani nic dobrego nie rodzi się z tego, co łatwo przychodzi. Wie, że wtedy

jest to kruche i ma krótki okres trwałości. Miała dobry fundament, na nim mogła to wszystko zbudować. Nie tylko życie sportowe. Czasem próbuje matkować młodym. Wtedy słyszy: dziś jest inny świat, pani trener. Nie może się powstrzymać i odpowiada im, że świat jest taki sam i prawo jest takie samo, i droga do sukcesu jest taka sama, i że tylko na prawdzie, na uczciwości można żyć spokojnie, bez nieporozumień.

4.

Przy najbliższej okazji, dopóki mama żyje, musi jeszcze podpytać ją o ten Kraj Krasnojarski. Musi usiąść obok mamy z mapą. Albo może lepiej wybrać się na wycieczkę? A może jakiś bieg? Taki maraton z Olsztyna do Urzursowchozu. Gdyby była trochę młodsza i miała więcej wolnego czasu, to może by spróbowała. Miesiąc, trochę dłużej, tyle by jej to zajęło. Gdy pisała pracę magisterską, doliczyła się ponad 5 tysięcy kilometrów w nogach. Potem już nie liczyła. Ale chyba by dobiegła.

Jerzy i Irmgarda

1.

Ewa nie pamięta, żeby rodzice mieli ślubne zdjęcie. Co prawda zachowała się w rodzinnym albumie fotografia podobna do ślubnej, ale panna młoda miała na niej czarną sukienkę i sznur pereł. Obok stał dumny pan młody. Miał powód. Jego żoną została właśnie piękna kobieta. Bo to zdjęcie z panną młodą w czarnej sukience było ślubnym zdjęciem rodziców Ewy. Panna młoda miała 22 lata, pan młody 24.

2.

Po mamie Ewa ma urodę. Tak mówią ludzie. Co jeszcze? Poczucie humoru i zamiłowanie do śpiewu. Na pewno nie ma po mamie zamiłowania do porządku. Jest bałaganiarą, po ojcu. To takie wileńskie, śmieje się. Ewa często się śmieje i głośno mówi. Jest nauczycielką. Gdy się spotykamy na lekcji, właśnie odmienia z uczniami przez przypadki wyraz „okno”.

9

Kto? Co?

Okno!

Kogo? Czego?

Okna!

Za chwilę dzieci wyjmą kartki, a ona podyktuje im kolejne wyrazy. Za kilka godzin, w niedużym pokoju w jednej z lidzbarskich kamieniczek też będzie wypowiadała na głos słowa, ale na przeciw będzie już siedziała tylko jedna uczennica, starsza pani. „*Blüht*”, „*Mohn*”, „*Sommer*” będzie powtarzała za swoją nauczycielką. Potem razem zaśpiewają.

3.

To były dwa różne światy. Świat mamy i świat taty. Pierwszy raz zobaczyli się w sklepie. Ona stała za ladą po jednej stronie sklepu, on po drugiej. Irmgarda, a właściwie wtedy już Irena, zawsze miała pod ladą cukierki, bo w każdej chwili do sklepu mógł wpaść synek tej znanej bajkopisarki Ireny Kwinto. Wtedy pani Irena była jeszcze instruktorką Domu Kultury Dzieci i Młodzieży w Lidzbarku Warmińskim i nie miała pojęcia, że wiele lat później ten dom będzie nosił jej imię. I o tych cukierkach Ewa dowiedziała się właśnie od pani Ireny. Gdy po skończonych zajęciach pani Irena wracała z synkiem do domu, wiedziała, że przechodząc obok sklepu z dużymi oknami (dziś mieści się tam spółdzielnia inwalidów), będą musieli choć na chwilę przystanąć i zajrzeć do środka. – *Mamusiu, chodź, zobaczymy tę najpiękniejszą panią w Lidzbarku!* – wołał za każdym razem chłopiec. I oglądali, a piękna Irena wyciągała wtedy torebkę z cukierkami. To był ich rytuał.

W tym olbrzymim sklepie, gdzie Irmgarda, a właściwie już Irena, poznała Jerzego, sprzedawano tekstylia. Po stronie Ireny był dział materiałów lekkich: kreton, satyna, batysta, organdyna, żorżeta. Po stronie Jerzego dział materiałów ciężkich: gabardyna, flausz, loden, welur. Po jednej pracowały kobiety, po drugiej mężczyźni. Wiele lat później Jerzy powiedział córce, że stali tak naprzeciw siebie dwa lata. Wystarczyło, żeby się napatrzyć. I to nic, że byli z dwóch różnych światów.

3.

Ona właściwie była u siebie. Jeszcze niedawno nazywała się Irmgarda Brandt i miała braci Heinza, Kurta, Willego i siostrę Lotty. Wszyscy mieszkali w Nowych Gutach nad Śniardwami, to znaczy w Seeguten an der Spirdingsee. Mama Irmgardy, Marie, mówiła „w masurisch”. Wiele lat później, gdy Ewa przyjeżdżała do Gut na wakacje, zawsze rozmawiała z babcią po mazursku i dziwiła się, gdy babcia Marie zwracała się jej mamy Irmgarda. „Irena, babciu! Mama nazywa się Irena!”

Z tą zmianą imienia to była ciekawa historia. Któregoś dnia Irmgarda poszła odebrać nowy dowód osobisty. Nazwisko się zgadzało i data urodzenia i miejsce, ale imię... Urzędnik wyjął z szuflady dokument. *Przecież tu pani podpisała, że się pani zgadza!* Podpis był, ale nie jej. Irmgarda pisała bardzo starannie, a Irena jak kura pazurem.

Irmgarda była piekielnie zdolna. W latach 70. Ewa poznała nauczyciela mamy i od niego wie, że zanim mała Irmgarda przyszła do szkoły w pobliskiej Grogersdorf, potrafiła już czytać i pisać. Ten sam nauczyciel nauczył również małą Brandtównę polskiego. Miał w domu „Trylogię” Sienkiewicza i to był jego podręcznik. Podobno Irena mówiła przepiękną polszczyzną, bez naleciałości. I opanowała znakomicie polską ortografię. Nikt, kto później zetknął się z Ireną w Lidzbarku Warmińskim, nie przypuszczał, że jest Irmgardą z Seeguten. Zresztą wtedy to już była historia. Tak jak historią była ucieczka babci Marie z czworgiem dzieci przed radzieckim frontem (dziadek i wujek zanim trafili w ręce Amerykanów, walczyli jeszcze gdzieś na Zachodzie, pierwszy w Wehrmachcie, drugi w Kriegsmarine). Ich pociąg zatrzymał się w Rogoźu niedaleko Lidzbarka Warmińskiego. O tamtych tygodniach niewiele się potem w rodzinie mówiło. Kiedy w końcu nastały trochę spokojniejsze czasy, wszyscy wrócili nad Śniardwy. A potem mama Ewy pojechała już sama do Lidzbarka.

4.

Kiedy Irena usłyszała historię rodziny Jerzego? Pewnie jeszcze przed ślubem. Musieli o tym rozmawiać. Musieli też czuć ciężar tej rozmowy, choć czy dla dwojga wpatrzonych w siebie ludzi przeszłość ma jakiegokolwiek znaczenie? Dla świata może ma i to też tylko przez chwilę, dopóki nie pojawi się nowy temat do plotek.

Ojciec Jerzego miał na imię Józef. Urodził się w Sokalu nad Bugiem. To było wtedy bogate miasto, jedno z największych w Galicji. Kwitł handel, szlachta polska stawiała tu swoje letnie rezydencje. Jednak rodzina Hussów, najprawdopodobniej uciekając przed rewolucją, opuściła Sokal i znalazła się w okolicach Grudziądza. Tam młody Józef ukończył podchorążówkę. Przeniesiony kilka lat później na Wileńszczyznę trafił do Korpusu Ochrony Pogranicza. Po przejściu do rezerwy objął urząd wójta w Trokach. W tym czasie do Trok przyjechała Kazimiera Wyderko, góralka z Krosna. Kilka miesięcy wcześniej Kazimiera, podobnie jak wszystkie panny Wyderkówny (bo Kazimiera miała jeszcze dwie siostry), ukończyła w Krośnie seminarium nauczycielskie. Wtedy o pracę w szkole nie było łatwo. Jako nauczycielka kontraktowa została wysłana na Wileńszczyznę. Ślub Kazimiery i Józefa odbył się na Śląsku w 1927.

Kiedy 17 września 1939 roku Sowieci napadli na Polskę, Jerzy miał 10 lat. Ojciec, porucznik rezerwy, od razu trafił na Łukiszki. Po roku, gdy dostał wyrok pięciu lat gułagu, widzieli się ostatni raz. Przez pięć minut. Co można sobie wtedy powiedzieć?

5.

Dla Ireny była to zupełnie nieznana historia. Niby skąd, niby od kogo miałyby się o tym dowiedzieć? O układzie Majski-Sikorski coś tam słyszała, bo wypowiedzenie Hitlerowi wojny przez Stalina (a układ był jednym z dyplomatycznych następstw nowego konfliktu) zmieniło bieg historii i zmieniło życie jej i jej rodziny. Zmieniło też życie Jerzego i jego rodziny. Gdy

skończyła się wojna, a porucznik Józef Huss po przebyciu z armią Andersa szlaku z Kazachstanu, przez Palestynę, Monte Cassino, znalazł się w Anglii, do Trok przyszedł list. Józef prosił w nim żonę, żeby przesłała mu dokumenty, plany, receptury z rodzinnych gorzelni (bo Irena jeszcze nie wie, ale Hussowie to był ród gorzelników). Kazimiera zrobiła to, o co prosił ją mąż.

W sumie mieli sporo szczęścia, myśli dziś Jerzy. Ojciec – oficer i wójt, do tego mama, nauczycielka... Jakimś cudem uniknęli wywózki, ale w 1946 roku nie mieli już wątpliwości. Kazimiera zgłosiła się na transport do Polski. 17-letni Jurek pracował wtedy w gospodarstwie rolnym NKWD. Szef doceniał siłę i pracowitość młodego Polaka, chciał go wysłać do szkół. A Jerzy uparł się, że nie, że on chce do Polski. *Ty durak!* – usłyszał. *Jedź, jedź do tej swojej Polski.* I Jerzy pojechał. Do Kierwin.

Babcia Kazimiera nie była już nigdy szczęśliwa. Wcześniej odeszła. Wtedy bliscy nie wiedzieli dlaczego. Co prawda była bardzo cicha i smutna, ale smutek to nie choroba. A smutna była, bo ani wdowa, ani panna. Jeden syn chciał być oficerem, a nie mógł, bo ojciec zdrajca. Drugi ożenił się z Mazurką, a właściwie z Niemką, bo kto wtedy w tamtych czasach bawił się w takie niuanse. W roku 1964 życie dla babci Kazi było już za ciężkie.

5.

Irena i Jerzy byli dobrym małżeństwem. Rok po ślubie na świat przyszła Krystyna, trzy lata później Ewa. Była bardziej harda i wołała towarzystwo chłopaków. Za nią nikt nie wołał faszystka, hitlerówka. Delikatniejsza Krystyna często wracała do domu zapłakana. To wtedy dostały pierwszą życiową lekcję od mamy i od babci Marie, która jako jedyna z rodziny nie wyjechała do Niemiec. *To jest moja ziemia, tu są moje groby* – mówiła. Dziadek Emil, który w końcu wrócił z amerykańskiej niewoli, też był szczęśliwy w Nowych Gutach, też nie chciał wyjeżdżać na Zachód. Oboje byli mądrymi ludźmi. Kiedy wieczorami zbierali się u kogoś w domu (bo w Gutach zostało jeszcze kilku starych sąsiadów), kobiety lubiły ponarzekać: *Kiedyś to były czasy! Za Niemca nie brakowało jedzenia...* Babcia Ewy była małowówna, ale wtedy bardzo się denerwowała. *A wiecie, dlaczego było nam dobrze? Wiecie, czyje buty nosiliśmy? Kto jadł masło, a kto buraczaną marmoladę?* Babcia Marie była mądra i wrażliwa. Może dlatego wiele lat później jej córka włączyła się w proces ekumeniczny i wraz z biskupem Edmundem Piszczem brała udział w uroczystościach, na których po raz pierwszy po wojnie katolicy i ewangelicy stawali obok siebie. Wcześniej jednak, w czasach gdy Krystyna (nie Ewa) brała baty za babcię Marie i dziadka Emila (no i za nią też), Irena przestała namawiać córki do nauki niemieckiego. Dopiero po roku 1989, gdy można było już zakładać stowarzyszenia mniejszości niemieckiej, Irena rzuciła się w wir działalności społecznej. W 1991 roku w Lidzbarku zakładała Stowarzyszenie Mniejszości Niemieckiej „Warmia”, a Ewa pojechała do Instytutu Goethego w Iserlohn na kurs dla nauczycieli języka niemieckiego.

6.

Jerzy był katolikiem, Irena ewangeliczką. W każdą niedzielę ubierała dziewczynki odświętnie i we czwórkę szli do kościoła pw. Świętych Apostołów Piotra i Pawła. Ewa dobrze to pamięta, tak jak dobrze pamięta wyjazdy mamy każdego roku w Wielki Piątek do Gut. Wtedy jednak ani Krysia, ani Ewa nie wiedziały, dlaczego akurat w Wielki Piątek ich mama jeździ do tych Gut. Bo skąd miały wiedzieć, że Wielki Piątek to najważniejsze święto dla ewangelików? Nie wiedziały też, dlaczego babcia Marie, z uporem godnym lepszej sprawy, przesyła wnuczkom na Boże Narodzenie gęs. Ewa nigdy jej nie jadła, bo nie miała pewności, czy nie jest to właśnie ta, którą w czasie wakacji u babci upatrzyła sobie jako towarzyszkę dziecięcych zabaw. Nikt dziewczynkom niczego nie tłumaczył. Wiedziały tylko, że u nich w domu jest trochę inaczej niż w domach kolegów i koleżanek.

7.

Jerzy musiał mieć ogromny szacunek dla swojej żony i jej rodziców. Tak uważa Ewa. Najpierw umarła babcia Marie i dziadek Emil został sam nad tym wielkim jeziorem. W Gutach nie było sklepu, więc Jerzy co drugą sobotę wsiadał do pociągu i jechał do Okartowa z przesiadką w Czerwonce i w Mrągowie. To było 120 kilometrów, a potem jeszcze 4 kilometry pieszo. W plecaku miał mleko, chleb, konserwy, ser. W niedzielę po śniadaniu znowu szedł pieszo do Okartowa i łapał pociąg do Lidzbarka. Dziadek Emil znad Śniardw zawsze powtarzał, że ta posiadłość będzie Jurkowa. No ale Jurkowa nigdy nie była. Rodzina uradziła, żeby sprzedać domek. Dzisiaj na tym miejscu stoi hotel. Za to Ewa ma mieszkanie w Lidzbarku. Ma jeszcze patelnię po babci Marie, a siostra moździerz. I zegarek, taki zwykły budzik, ale dziadkowy. To im zostało.

8.

Ewa skończyła polonistykę na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Pracę magisterską pisała na temat socjologiczno-dialektycznej asymilacji językowej przesiedleńców z Wileńszczyzny. Sama też potrafi mówić gwarą wileńską. I mazurską oczywiście. No i gdy występuje ze swoim chórem „Warmia”, a obok śpiewają Ukraińcy, to też z nimi zanuci. Bo bardzo lubi śpiewać, ma to po mamie.

*Und im Sommer,
da blüht der rote, rote Mohn
und ein lustiges Blut
kommt überall davon.
Schätzel, adieu, Schätzel adieu!*

Śpiewa ze swoją uczennicą na zakończenie lekcji.

Bardzo często pytają Ewę, kim jest, a ona wtedy odpowiada w tej kolejności: lidzbarczanka, Warmiaczka, Europejka.

9.

„Data ślubu?”

„12 marca 1953”

„Pod tą datą nie ma takiego ślubu...”

„Jak to nie ma?! Przecież brali ślub!”

„Przykro mi, w dokumentach tego nie ma”.

Ta rozmowa odbyła się w kancelarii parafii pw. Świętych Apostołów Piotra i Pawła w dniu śmierci mamy Ewy. Tego dnia Ewa dowiedziała się od ojca, że jej rodzice nie mieli ślubu kościelnego. Jerzy nie pozwolił Irenie na zmianę wyznania. Powiedział jej, że w jakiej wierze się urodziła, w takiej umrze. Irmgardę pochował ksiądz ewangelicki.

Alicja Kulik

Katarzyna MATWIEJCZUK

Zabugajka

KATARZYNA MATWIEJCZUK

ur. 1984 – z wykształcenia filmoznawczyni, z zamiłowania pieśniarka ludowa; wygrała konkurs na debiut prozatorski ogłoszony przez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich w Olsztynie minipowieścią „Jura”. Od 2016 roku mieszka w Jedzbarku na Warmii.

Zabugajka, mówiła Babka, *Zabugajka*, a dla mnie to brzmiało jak coś rozbujanego, zadziornego, smakowitego, jak krajka, Majka, zalewajka. *Brudne z was Zabugaje*, to już brzmiało gorzej, ale kojarzyło się też z gajem, nie wiedziałam wtedy, że istnieje rzeka wymawiana jak Bóg i że mama albo ja mamy z nią coś wspólnego. Urodziłam się w Szczecinie, mieście portowym, które nie leży nad morzem, jako Zabugajka po kądzieli (zabugajstwo, tak jak żydostwo, dziedziczy się po matce). Nie wiedziałam, co to znaczy być Zabugajką i czego się w związku z tym ode mnie oczekuje – jakiego zachowania, ubrania, cech charakteru. Potem okazało się, że genetyczne zabugajstwo miało objawiać się tym, że byłam brudna, bałaganiarska i chodziłam w drewniakach (*Nie chodź w tych drewniakach, Ruskie tak chodzo*). Ruskie, czyli my, Zabugajki.

*Co ty będziesz jadła, Kasiu moja ładna,
Tam daleko, na krainie?
Będę jadła chleb owsiany, aby z tobą, mój kochany
Ach mój miły Jasieńku.*

Matka, Miejsce, Maszyna

Maszyną poruszał ciemny, chudy, metalowy człowiek bez twarzy, wzruszający to jednym, to drugim ramieniem. Obracał koło, wprawiane w ruch przez stopy Polci, mojej babci, przyciskające raz po raz pedał maszyny Singera. Maszyna przyjechała na Ziemie Odzyskane po ciągiem razem z Polcią pod sam koniec lat 50., uszyła nieprzeliczone ubrania, najpierw niezliczone koszule i pary spodni dla pięciu synów pani M., u której Polcia z Jankiem wraz ze swoimi dziećmi mieszkali jako sublokatorzy przez pierwszych kilka lat wspólnego pobytu w Szczecinie, potem niezliczone sukienki, garsonki, spódnice; podwinęła mnóstwo nogawek, uszyła także dla mnie i brata nieprzemakalne tipi według wykroju zamieszczonego w „Przyjaciółce”. Maszyna Singera, stara przyjaciółka – zapach czarnego metalu i stukot, drewniany futerał wkładany na maszynę, z półokrągłym denkiem, w którym, gdy Polcia szyła, huśtaliśmy się z bratem jak w kołysce. Maszyna, taka jak ta będąca skarbem krawca Motela ze „Skrzypka na dachu”, ulubionego filmu Polci. Anatewka, Anatewka. Ludzie, którzy przechodzą przez Anatewkę, nawet nie wiedzą, że tu byli. Ludzie, którzy przejdą przez Turły, skąd przyjechali Polcia i Janek, też tego nie zauważą. Niedługo wioska zniknie. Mohiłki, czyli cmentarzyk, od łąk, na których pasą się kolchozowe krowy, oddziela niskie, żelazne ogrodzenie. Tam pod ziemią rośnie moje drzewo genealogiczne. Na grobie siostry Janka, zmarłej młodo Wilhelminy, rośnie brzoza. Może to ona. Odwiedziłam Turły raz, w gorące lato stulecia. Wszystko było nowe i do głębi znajome, dokładnie takie, jak się spodziewałam. Jak ciało ukochanego, które wyśniłam, zanim się spotkaliśmy. I prawie nic mnie w nim nie zdziwiło. Nie zdziwiły mnie chaty w Turłach, bania nad rzeczką Miadziołka, złotobrzozowa, chłodna woda w rzece, łyż białoruskich cioc płynące przy każdej okazji, krowy idące środkiem wsi na południowy udół. Tak wyglądało jej życie przez dwadzieścia dziewięć lat. Aż pewnego dnia Janek wrócił po trzynastu latach spędzonych w tajemniczych okolicznościach na Dzikim Zachodzie. Mógł zostać w Świnoujściu, cholera, mielibyśmy blisko na plażę i na najwyższą latarnię morską południowego Bałtyku. Ale wybrał Szczecin, miasto ogrodów, gdzie za kilka lat będzie pracował w stoczni remontowej, przynosił swoim dzieciom z pracy skarby z Nowego Świata, zaplątane w ładowniach statków: wysuszone morskie gąbki, orzeszki ziemne i kto wie, co jeszcze, potem zbuduje dom na działce, a jeszcze później będzie chodził ze mną na ryby, ale nie uprzedzajmy faktów, na razie wrócił do Anatewki, do Turłów, i zapytał Polcię, czy może by została jego żoną i pojechała z nim na Dzikie Zachód. Później pojechali na zakupy do miasteczka i jakoś tak wyszło, że wzięli ślub cywilny, bo jaki mieli wziąć w BSRR. A potem Janek wrócił do Szczecina sam, czekam tam na ciebie, a Polcia przez cały rok płakała, zastanawiając się, co robić. Poszła do wróżki: *Ty długo płakałaś – mówi wróżka – a teraz przed tobą długa podróż.*

Polcia nie jechała na Ziemie Odzyskane, nie jechała do Polski, jechała do narzeczonego, do męża, zostawiając za sobą wszystko, swoją rodzinę, swoje miejsce, matkę, i co z tego, że to była Białoruska Socjalistyczna Republika Radziecka. To było jej miejsce. Żadna tam repatriacja: eksmatriacja. Każdy dokonuje jej raz – wychodząc z matki, a wiele kobiet drugi raz

– odchodząc, odjeżdżając od matki „w tak dalekie strony”. Czy te strony są po drugiej stronie jakiejś granicy, jest kwestią wtórną. Odległość boli tak samo.

*Co ty będziesz piła, Kasiu moja miła,
Tam daleko, na krainie?
Będę piła zimna woda, zimna woda jak spod lodu
Ach mój miły Jasieńku.*

Nizina Wschodnioeuropejska

Wyraźna, precyzyjna wymowa, obcesowy, małopolski akcent na ostatnią sylabę jest dla mnie czymś nieprzyjemnym, zagrażającym, jak zbyt porządnie wyprasowane ubranie, człowiek zbyt nieskazitelny. *U ciabie usiaho półtora ludzkoła*. Tak mówiła prababcia, matka Polci. A ciębie to jest półtora człowieka. Za dużo ciębie jest. Za bardzo ludzki jesteś, nie bądź taki mądry, nie bądź taki ludzki, nie mów tak wyraźnie, nie sprzątaj tak dokładnie. Polcia mówiła: *No ale to chyba dobrze, bo półtora to więcej jak jeden*. Nie wiemy, o co chodziło prababci. A mnie irytuje, kiedy polscy spikerzy nie potrafią wymawiać rosyjskich nazwisk, kiedy źle akcentują. Co poradzę, kiedy ja wiem, jak trzeba mówić: Polcia mówi „Pucin”, mówi „Buogus”, każde słowo w jej ustach brzmi ciepło, po rozmowie telefonicznej z nią rozkołysuje mi się język i w tym rozkołysaniu i zmiękczeniu jestem bardziej sobą. Nie mogę nienawidzić Moskali, skoro Polcia mówi, że to dobrzy ludzie. Nie mogę nienawidzić Ruskich, skoro córka Polci, a moja mama, śpiewa mi przez telefon rosyjskie piosenki z okazji urodzin, nie mogę nienawidzić, skoro to był w domu Polci, domu na Ziemiach Odzyskanych, drugi język, język listów pisanych na kratkowanych kartkach wyrywanych z zeszytów po obu stronach granicy, język gości nocujących na materacu, drugi język Łotyszy, na których patrzyłam spod szczecińskiego stołu, skoro można automatycznie nienawidzić, można automatycznie nie nienawidzić. Polcia mogłaby nienawidzić Niemców, przecież w Polsce, tej nowej, tej odzyskanej, trzeba się zdecydować: nienawidzisz Ruskich czy Niemców? Albo inaczej: kogo bardziej nienawidzisz: Ruskich czy Niemców? Bardzo porządni Niemcy kopali mamę Polci butami po brzuchu. Brudni Ruscy zabrali tylko świniaka, raz przez całą wojnę. *Bo byli głodni* – dodaje Polcia. A z Guntherem, starym Niemcem z byłego NRD, dwadzieścia minut samochodem ze Szczecina, jeśli nie ma korków, a zazwyczaj nie ma, Polcia spędziła już niejedną Wigilię, to sąsiad jej syna, a mojego wuja. Rozmawiali po rosyjsku.

17

Śmieją się ze mnie w Szczecinie, że wychodzę „na pole”. Że akcentuję „po krakosku”. Śmieją się w Olsztynie, że mówię „w sieni”, że „dajże” i „weźże”, że śmiesznie, że nie tak. I w Krakowie, już nie pamiętam z czego. Gdzie są ci, z których ja się będę mogła śmiać? Gdzie są ci „moi”, z którymi będę mogła usiąść i pośmiać się z „obcych”? Na całym świecie jest ich tylko dwoje, i to może dobrze, to największy naród, z jakim jestem w stanie się utożsamić.

Polcia: *Na mojego tatę to „Litwin” wołali. Nu ja nie wiem czemu, skąd on ten litewski znał? I ten Niemiec, co moją mamę bił, a potem ją wypuścił, powiedział jej: „Podziękuj swojemu mężowi, bo to dobry Litwin. I dzieciom podziękuj, że przyszły prosić za tobą”.*

Po jakimu Niemiec to powiedział? Zastanawiam się do dziś, chyba zaraz zadzwonię do Polci, ale czy ona to wie?

*Gdzie ty będziesz spała, Kasiu moja mała
Tam daleko, na krainie?
W stodole na sianku, aby z tobą, mój kochanku
Ach mój miły Jasieńku.*

Trójkąt Bermudzki

Rysuję linię z Turlów, których nie widać na mapie, dobrze, zatem rysuję linię z Postaw, obwód witebski, gdzie unoszą się duchy Chagalla, kolorowe krzywe panny nad dachami, bo tam jest stacja kolejowa, na której Polcia wsiadła ze swoją maszyną Singera, linia do Szczecina, gdzie urodziła się Katarzyna Wielka, a osiemnastoletni Felix Mendelssohn słuchał prawykonania swojej uwertury do „Snu nocy letniej”, na które o mało się nie spóźnił, a ja będę słuchała tej samej muzyki w tym samym Szczecinie dziesiątki razy prawie dwieście lat później, jako dziewięciolatka, z kasety, na balkonie mieszkania Polci i Janka, kwadrans piechotą od miejsca, gdzie stał Konzerthaus i gdzie Felix słuchał, a gdzie dziś stoi piękna biała filharmonia, potem ze Szczecina rysuję linię do Krakowa, to tak daleko, zajmuje całą noc, tyle razy przebywałam ten dystans, zazwyczaj była noc i wagon sypialny, stukot i metaliczny zapach pociągu, stukot maszyny, matka, miejsce, maszyna – moja matka, a córka Polci wyjechała od swojej matki, z ziemi odzyskanej, do ziemi od dawna polskiej, tak polskiej, że aż zęby bołą, do Krakowa, i stukota na własnej maszynie pracę magisterską o Singerze, nie tym od maszyn, który miał co najmniej dwadzieścioro czworo dzieci, ale tym drugim, pisarzu, Isaaku Bashevisie Singrze, choć obaj nosili to samo imię i obaj w moim umyśle łączą się ze stuk-stuk stukotem maszyn, w stukocie maszyny do pisania nie ma żadnego wintydżowego uroku, to po prostu bardzo denerwujący dźwięk, w przeciwieństwie to stuk-puk, stuk-puk nocnych pociągów i pociągów na Olszynie Grochowskiej, dokąd ja wyjechałam od mojej matki, już rysuję trzecią linię, tę z dworca w Krakowie do stacji Warszawa Wschodnia, do mojego nowego świata, na Nowy Świat, gdzie pracowałam, a potem linijki już nie starczy, bo muszę przedłużyć tę linię z Warszawy Wschodniej do stacji Olsztyn Główny, a potem zboczyć w ciemny las i już tam zostać, jeśli pobiegnę tym lasem na Wschód, wybiegnę z niego nad Miadziołką, zobaczę chatę Polci w Turlach, *Chava, czemu on cię zmusza, żebyś zostawiła matkę i ojca i dołączyła do niego na tym lodowatym pustkowiu*, nie zmusza mnie, tato, ja chcę odejść, ja muszę odejść.

*Co będziesz robiła, Kasiu moja miła
Tam daleko, na krainie?
Benda bielizna prała,
Po dolaru za dzień brała,
Ach mój miły Jasieńku.*

Ziehen

Taki napis widniał na porcelanowym ładnym czymś, co znalazłam w skrzynce ze skarbami Janka, męża Polci, a mojego dziadka. Dla mnie mogło być uchwytem lusterka, ciężarkiem u zegara z kukłką, czymś z kuchennych utensyliów. Okazało się, że było uchwytem klozetowej spłuczki, dyndającym niegdyś na sznurku. Takiej spłuczki nikt nigdy nie widział ani w Turłach, ani w żadnym z polskich domów, w których mieszkałam. To było po prostu za ładne, żeby być uchwytem spłuczki. Ten nowy świat był – jest – pod wieloma względami dla mnie niezrozumiały, niedostępny, chwilami uroczy, a jednak przeważnie absurdalny. Wtedy, w wieku dziesięciu lat, nie znałam nie tylko niemieckiego (którego nie znam nadal), ale i słów „kapitalizm”, „drobnomieszczański”, „konsumpcjonizm”. Nie musiałam ich znać, żeby dokładnie wiedzieć, co myślę o ludziach, którzy tyle uwagi poświęcają wykonaniu tak ładnej spłuczki.

Skrzynka ze skarbami stała na strychu jedynego domu, który Janek zbudował. Był to piękny, biały, murowany domek z czerwonym dachem. Ucieleśnienie słowa „domek”. Stał na środku działki, jednej z wielu w kompleksie Rodzinnych Ogrodów Działkowych „Relaks” w Szczecinie. Ziemia odzyskana. Nie na własność, ale też nie kołchozowa. Drzewa owocowe, pomidory, ogórki, maliny. Dom. Nie jakaś tam altanka z dykty – dom. Z kominkiem, piwniczką, strychem. Kilka minut spacerem od bram „Relaksu” rozciągały się zalesione wzgórza Gocławia, a wśród nich Zielone Wzgórze z wieżą Bismarcka. Po niemiecku – Winne Wzgórze, na dawnych fotografiach tak piękne, że od razu chce się myśleć o „Pastoralnej” Beethovena, o spacerach w blasku słońca. Spacerowałam tak z Jankiem, oblewaliśmy się wodą kolońską przeciw komarom i szliśmy w las, szliśmy przez dawne ogrody, gdzie owocowały stare niemieckie śliwy, stare, a być może wiele z nich było młodszych od Janka, rocznik 1924. Zjadłam wiele słoików powideł śliwkowych z tych ogrodów. Podczas jednego z tych spacerów Janek, który zawsze patrzył pod nogi i w ten sposób znajdował wiele skarbów, podniósł z ziemi małą grudkę, oczyścił ją z okruszków gliny i podał mi. Najpierw myślałam, że to ząb. Był to biały, porcelanowy czajniczek wielkości paznokcia, z lekko tylko nadtłuczonym dziobkiem. Wiele lat później, w liceum, przewlokłam przez jego ucho rzemyk i nosiłam go na szyi. Ale wtedy, stojąc w słońcu, nie znałam słów „drobnomieszczański”, „repatriacja”, „polscy pionierzy”. Nie musiałam ich znać, żeby dokładnie wiedzieć, co myślę o ludziach, którzy robią dla swoich córek i wnuczek takie porcelanowe czajniczki.

Pocahontas

Nigdy nie było żadnego Nowego Świata ani Ziem Odzyskanych. Słowa kłamią o ziemi, tak samo jak kłamią, rozróżniając ciało i mięso, ciało i ziemię. Idealny język zawiera tylko jedno słowo. Indianie nigdy nie byli w Indiach. Nowy Świat nie był nowy, był starszy i mądrzejszy. Czarne jagody są niebieskie, jak Królestwo, co nie z tego świata jest, tylko z Nowego, a kobieta upadła nigdy się nie przewróciła. Córką wodza Powatana z Virginii, ziemi nazwanej tak na cześć córki króla Henryka VIII, „dziewiczej” królowej Elżbiety, pojechała za swoim mężem do Europy, do Starego Świata, który zabił ją w dwudziestym trzecim roku życia. Na Ziemiach Odzyskanych mój dziadek zbudował dom z czerwonym dachem, który został utracony, razem z ziemią, na której stał, i już nigdy go nie odzyskam.

*Tam u boru sosna
Tonkaja wyrosła
Dziewka maladaja
Od matuli poszła
Nie płacz, nie płacz, dziewczę
Nie płacz, maladaja
Tam budiet matula
Tam budiet druha ja*

Urodziłam się w Prusach, wyszłam za mąż w Prusach Wschodnich. Na dnie szuflady w sypialni leży porcelanowy czajniczek wielkości paznokcia. Polcia przyjechała na mój ślub. Kiedy rozmawiamy przez telefon, mówi: *A mnie się tak chce przyjechać do was... U was to całkiem podobnie jest jak u nas w Turlach. Wychodzisz przed chatę, a tu zaraz las. Zimno jak u was, Babciu. Światło, jeziora, wzgórze morenowe, Nizina Wschodnioeuropejska. Znaleźliśmy na spacerze blaszany pojemnik z napisem Salz. Nic już nie myślę o ludziach, którzy do niego sięgali.*

I to dziwne pytanie, padające raz po raz, co panią do nas sprowadza, co panią tutaj sprowadza – a co nas sprowadza na świat? Miłość.

Katarzyna Matwiejczuk

Joanna WAŃKOWSKA-SOBIESIAK

A wokół były same ogrody

**JOANNA
WAŃKOWSKA-SOBIESIAK**

z wykształcenia konserwator zabytków, dziennikarka, publicystka, pełniła funkcję pełnomocnika ds. mniejszości narodowych i etnicznych przy Wojewodzie Olsztyńskim; autorka blisko 10 książek, głównie o mniejszościach na Warmii i Mazurach oraz wspomnieniowych, jak „Buty Agaty” (2008), „Moi sąsiedzi” (2012), „Serwus, chrabąszcze” (2014).

Jest to opowieść o trzech kobietach. Co je łączy? Wojna, która sprawiła, że zostały sierotami, bidul w Olsztynku i ta ziemia: Heimat dla Moniki, a dla Szczypiorka, czyli Heleny z Wileńszczyzny, i Irki przywiezionej w 1946 roku z Kazachstanu – upragniona Polska, o której tak często mówili dorośli. Bo przecież miały dopiero po kilka lat, a wtedy to niewiele znaczy. Chyba że obietnicę, że wreszcie nie będą głodne. Wszystkie trafiły do Domu Dziecka w Olsztynku i biegły na ciarki – owoce tarniny, żeby jakoś wypełnić brzuchy. Bo jak się ma kilka czy kilkanaście lat, to cholernie chce się jeść, a w bidulu, jak to w bidulu, powojenna bieda. Czy przeszkadzało im, że jedna jest Niemką, a dwie pozostałe Polkami? Wcale. Wtedy nikogo to nie interesowało. A jak początkowo trudno było się porozumieć, to przecież można było to na migi, to na śmigi, jak mówią. Do dziś przetrwały niektóre nawiązane tam przyjaźnie.

21

PRZEDTEM

Helena, czyli Szczypiorek

Helena Małaszuk z domu Mozyłko to szczupła, siwo-włosa kobieta o śladach niemałej urody. Ma 77 lat, zurjnowane zdrowie i skromne mieszkanie na pr-

terze jednego ze starych domów w Dobrym Mieście. W domu jest zimno i pani Helena siedzi okutana w kolorowy, wełniany szalik i kamizelkę. Siedzi w kuchni, w której stoi piec c.o. Piec grzeje, ale kaloryfery nie, bo nie ma kto ich odpowietrzyć. Bo Helena Małaszuk jest sama. Nie boi się przyjąć nieznajomych, co odradzała jej opiekunka z pomocy społecznej. *O, ja od razu, jak tylko spojrzę na człowieka, to wiem, co się można po nim spodziewać*, mówi. Jedyne ozdoba jej gościnnego pokoju to skrzypce zawieszane na skórze z dzika. Grał na nich syn pani Heleny.

Helena Małaszuk opowiada:

Urodziłam się w 1939 roku w Baranowiczach, dziesiątego listopada. Miałam dwóch braci: jeden młodszy o dwa lata, drugi starszy o rok ode mnie. Jak rodzice zmarli i zostaliśmy sami, ciotka zabrała nas do siebie. U ciotki byłam do piątego roku życia. Potem razem wyjechaliśmy do Polski. To był rok 1945. Wujostwo zamieszkali w Międzyzlesiu niedaleko Olsztyńska. Niedługo potem wujek odwiózł nas do Domu Dziecka w Ostródzie.

Baranowicz nie pamiętam. Ojciec był kierownikiem młynów w Postawach i inspektorem Urzędu Miar i Wag. Mam jeszcze wizytówkę ojca i obrączkę. Rodzice byli dobrze sytuowani, ojciec miał ukończone studia. Mama pracowała jako kasjerka w kinie. Ale poumierali wcześniej. Mama zmarła na zapalenie płuc, zresztą miała też tyfus. Ojca rozstrzelali, bo podejrzewali go o kontakty z partyzantami. Nie wiem, kto go rozstrzelał, Niemcy czy Rosjanie. Wujek mówił, że Niemcy. Nie pamiętam, który to był rok. Mogłam słuchać, jak opowiadali potem starsi, ale wtedy nie za bardzo chciałam widocznie słuchać. Ojciec był w więzieniu w Postawach. Kiedy go rozstrzelano, jego siostra, która mieszkała naprzeciwko więzienia, zabrała nas do siebie. Ciotka po mężu nazywała się Grodz. A ja jestem z domu Mozyłko. Nazwisko panieńskie mamy Kozłowska. Rodzice mieli imiona Agata i Antoni, a bracia: Wincenty i Michał. Wincenty, starszy ode mnie, żyje, a młodszy Michał nie żyje.

Ojca kompletnie nie pamiętam. Mamę tylko trochę, zmarła, kiedy ja miałam trzy lata, a może szło mi na czwarty rok. W zasadzie to pamiętam ją z fotografii, na której stoję taka malutka przy niej. Ona była piękną kobietą, modelką. Piękna kobieta w kapeluszu. Paliła papierosy. Niestety, to zdjęcie mi ukradziono razem z portfelem, w którym je zawsze nosiłam. Na szczęście mam jeszcze inne jej zdjęcia. Kiedyś poszukam i pokażę pani. Nie wiem, skąd mama pochodziła, chyba z Baranowicz, bo tam się rodzice pobrali. Potem przenieśli się do Postaw. Mieszkaliśmy vis-à-vis posterunku policji. Nie pamiętam, jak przyszli aresztować ojca. Po wojnie z mężem, który był przewodniczącym Rady Narodowej w Dobrym Mieście, jeździłam do Wilna, chyba ze dwa razy. Byłam też w Mołodeczynie, gdzie mieszkała ciotki siostra. Ale w Baranowiczach i Postawach nie byłam.

Wilno szalenie mi się podobało, ale Mołodeczno nie za bardzo. Pył okropny na drogach, drogi były jakie. Mołodeczno, Postawy i Baranowicze to teraz Białoruś. Wtedy nie za bardzo można było się przemieszczać. Wie pani, jak wtedy było.

U ciotki od małego uczyłam się krowy doić, kosić. W domu ciotki rozmawiało się po białorusku. Byłam bardzo drobna i nazywano mnie Szczypiorkiem. Było ciężko. Wujostwo Sabina i Stanisław Grodź mieli jeszcze dwie córki, więc po przyjeździe do Polski nas oddali do domu dziecka.

W Domu Dziecka w Ostródzie, gdzie zawiózł nas wujek, byli chłopcy i dziewczęta, chyba z sześćdziesiąt dzieci, a może więcej. Z puszek się piło i trzeba było uważać, żeby nie pokaleczyć ust. Pamiętam, jak jadłam kuleczki, co są na lipie, kiedy zrzuci kwiaty. Piasek się jadło i kredę, bo widocznie brakowało mi wapna. Ubikacje drewniane były na podwórku. Butów nie było. Owijaliśmy nogi szmatami i do dziś to mi wychodzi bokiem. Zimno było. Również potem w Domu Dziecka w Olsztynku. Tam jak wstawałam na pociąg, żeby pojechać do szkoły w Olsztynie, to szron był na ścianach. Jak byłam w Ostródzie i zresztą potem w Olsztynku, to najwięcej było dzieci niemieckich. Same niemieckie imiona. Nazwiska to chyba im zmieniano, ale imiona pozostawały. Jak je przywożono, to mówiły po niemiecku. Ale nie pamiętam, żeby były jakieś kłopoty w porozumiewaniu się. Mówi pani, że w połowie 1946 roku, że przywieziono tu dzieci z Domu Dziecka w Bucharze z USSR? Być może. Pamiętam, że często część dzieci rozmawiała po rosyjsku.

Do jedzenia przeważnie dawali płatki owsiane i chleb z marmoladą, która przywożona była w skrzynkach. No i suszyło się chleb na kaloryferach, żeby na potem było. Bieda była, jednym słowem, UNRRA trochę pomagała. Na korytarzu stały pojemniki z mlekiem w proszku. Można było sobie odłamać kawałek. Myśmy mówili, że ciocia UNRRA przysłała.

Mojego młodszego braciszka zabrał sędzia z Ostródy. Ona, czyli żona sędziego, była chyba krawcową. Przyjeżdżali do Domu Dziecka w Ostródzie bryczką. Ona mi nawet, jak pamiętam, dała cukierka. Wzięli Michała na wychowanie do siebie. Brat tam miał bardzo źle i uciekł z powrotem do domu dziecka. Michał potem ukończył studia. Mieszkał w Malborku, ożenił się i był ławnikiem sądowym. Umarł na raka żołądka.

Alę wracając do Domu Dziecka w Ostródzie, byłam tam tylko rok, albo trochę więcej, bo w marcu kolejnego roku przeniesiono mnie do Domu Dziecka w Olsztynku.

Monika

Opowieść Moniki to jedna z najbardziej dramatycznych opowieści, jakiej było dane mi wysłuchać przez trzydzieści lat zbierania materiałów do reportażu. Czemu? Bo jest to opowieść o pięciorgu osieroconych dzieciach. A zaczyna się od momentu, kiedy siedziały przy trum-

nie matki, a szabrownicy z Kurpi wynosili z ich domu wszystko, co się tylko dało. Wróć! Nie wszystko! Bo trumnę ze zwłokami zostawili. Czas akcji? Październik 1945 roku. Miejsce? Czerwotka pod Kętrzynem, która jeszcze kilka miesięcy wcześniej nazywała się Rothfliess, bo przecież znajdowała się w Prusach Wschodnich.

Opowiedziała mi ją Monika Gunia z Olsztyna, wówczas nazywała się Monika Kniffke. Ma 86 lat.

Monika urodziła się w 1931 roku. Doskonale pamięta dom rodzinny i rodziców: Marta i Józef Kniffke. Obydwójce pochodzili z powiatu lidzbarskiego i obydwoje byli katolikami. Ojciec w czasie I wojny światowej służył w wojsku jako ordynans. W czasie II wojny został na gospodarce.

Najbardziej płakała, kiedy Rosjanie zabrali im konie. Lubiła konie, wszystko przy nich robiła. Ruskie w zamian zostawili im swoje wychudzone szkapy. To byli pierwsi Rosjanie, którzy się pojawili, ludzie z frontu, a zabierali tylko to, co im naprawdę było potrzebne. *To nie było to, co potem* – powiedziała mi Monika Gunia w 2016 roku, kiedy rozmawiałam z nią w jej mieszkaniu w Olsztynie. W marcu Rosjanie zabrali jej ojca do pracy w Rosji. Nigdy nie wrócił. Matka Moniki wzięła do domu osiemdziesięcioletnią staruszkę, która została sama i pewnie umarłaby z głodu. Ta staruszka zachorowała na tyfus i zmarła. Matka Moniki widocznie zaraziła się od niej. Zmarła 23 października. Dzień przed pogrzebem mieli ten napad ludzi z Kurpi. Okradli ich doszczętnie, wszystko, co było w domu, zabrali. Widzieli, że matka dzieci leży w trumnie, ale po prostu chcieli zabrać wszystko, jak stwierdziła Monika.

Po śmierci matki rodzeństwo rozdzielono do różnych rodzin zastępczych: pięcioro dzieci, bo najstarszego brata w 1944 roku zabrano do kopania okopów. Ponieważ wyszło zarządzenie, że pełne sieroty mają zostać oddane do domów dziecka, w 1946 roku trafili do Domu Dziecka w Reszlu. To był olbrzymi, trzypiętrowy budynek. W sypialni Moniki mieszkało dwadzieścia dziewcząt. Pierwsza zima była bardzo ostra i w sali zrobiła się ślizgawka. Bo był tylko jeden piec-koza. W domu dziecka było bardzo dużo dzieci. Trafiały tu całe duże rodzeństwa, z okolicy Reszla przywieziono trzynaścioro dzieci z jednej rodziny.

– Mój pierwszy kontakt z Domem Dziecka w Reszlu to była rozpacz spowodowana uczuciem niemocy, że nic nie mogę zrobić, aby było inaczej. Ja przecież pamiętałam dom rodzinny. I wielka niewiadoma, co będzie dalej – opowiadała Monika, która w Reszlu poszła do polskiej szkoły.

Wychowankami domu byli szesnasto-, siedemnastoletni chłopcy, chodzili do gimnazjum stolarskiego. Kierownik domu dziecka trzymał wielką dyscyplinę i karał strasznie. Kiedyś chłopcy włamali się do zapasów chleba. Kierownik jak zwykle chciał ich ukarać, ale oni znaleźli broń, bo o broń przecież nie było wtedy trudno i postrzelili kierownika. Monika ich broni:

– Ci chłopcy przecież ukradli z głodu. Bo my w Reszlu nie dostawaliśmy chleba, tylko to, co zostało ugotowane. Rano jak się szło z drugiego piętra, to już się czuło zapach przypalonej kaszy. I mleko w proszku z UNRR-y. To było wszystko.

Wtedy zmieniono kierownika na kierowniczkę, panią Czerwińską. Przyjechała z córką Basią. Była dla nich jak matka. Równie dobrze Monika wspomina wychowawczynię panią Zosię Maciejkowicz. Po apelu po cichu zabierała ich do spiżarni i dawała chleb. Pani Zofia w ciągu dnia robiła rozeznanie, gdzie można iść na jabłka, gruszki, a wkoło były same ogrody.

W 1947 roku rozdzielono rodzeństwo Kniffke. Kiedy starszy brat i siostra Moniki dowiedzieli się, że zostaną rozdzieleni, uciekli z domu dziecka z powrotem do rodzin zastępczych, u których wcześniej byli. Najmłodszy brat Moniki zabrany został do Domu Dziecka w Mrągowie, a druga siostra do Domu Dziecka w Lidzbarku Warmińskim. Monikę w wakacje przeniesiono do Ostródy. Kiedy kierowniczka tego domu powiedziała jej, że będzie dwa lata chodzić do wieczorówki, dokończy naukę i usamodzielnia się, zaprotestowała. Chciała chodzić do dziennej szkoły i uczyć się dalej. Wtedy wysłali ją do Olsztyńska.

Irka i Mamlutka

Irena Plucińska z domu Nawojczyk, dziś mieszkanka Olsztyńska, pochodzi tak jak Helena Małyszko z Wileńszczyzny. A ściślej: z Kamienia koło Nowej Wilejki i Mołodeczna. Jej rodzina mieszkała niedaleko granicy polsko-radzieckiej, gdzie była strażnica i stacjonował niewielki oddział Korpusu Ochrony Pogranicza. Nawojcykowie mieli tam gospodarstwo, ale ojciec Irki pracował dodatkowo w strażnicy. Irena pamięta, jak wojskowi przychodzili do nich na święta i przynosili cukierki.

We wrześniu 1939 roku ojciec Irki Karol Nawojczyk idzie na wojnę. Wraca w październiku, a w grudniu zostaje aresztowany przez Sowietów i dopiero po latach dowiedzieli się, że zabrali go do łagru, ale ostatecznie z wojskiem Andersa trafił do Anglii. Kiedy Sowietzi zabierali Karola, jego żona Aniela z domu Szczerba była w ciąży.

W początkach grudnia Aniela urodziła Edka. Miał trzy miesiące, kiedy w lutym 1940 roku Sowietzi zabierali ich do Kazachstanu. Edka zabrała do siebie ciocia Irki, zmarł rok później.

25

– Sowietzi zabrali mamę, moją siostrę Leokadię, najmłodszą Annę i mnie. Miałam sześć lat. Urodziłam się w 1933 roku, młodsza siostra dwa lata po mnie, a najstarsza z nas w 1929 roku. Syberia to najgorsze moje wspomnienia.

Zawieźli ich do kołchozu: miejscowość Sieło Biełoje, powiat Mamlutka, województwo Pietropawłowsk, Kazachstańska Oblast. Kołchoz był sześćdziesiąt kilometrów od Pietropawłowska. Irena pamięta, jak zaraz po przyjeździe, do świetlicy, gdzie siedzieli, przychodzili Rosjanie

i ich oglądali. Wybierali tych nadających się do pracy. Nareszcie przyszła jakaś kobieta i wzięła je do siebie. Mieszkała w kołchozie, miała pokój i kuchnię. Ona mieszkała pokoju, oni w kuchni. Spali na podłodze. Spędzili tam sześć lat.

Irka twierdzi, że to była dobra kobieta i że „te ludzie tam to byli dobrzy”. Również ta samotna kobieta, do której trafiła po roku i pracowała bardzo ciężko, mimo że przecież miała zaledwie siedem lat.

Przez całe sześć lat pobytu w kołchozie cierpieli straszny głód. Bo jak nawet ktoś spróbował sobie coś posadzić, to Ruscy kazali to zlikwidować.

Matkę Irki (Irka zawsze mówi o niej *mamusia*) Sowietci zabrali do więzienia, bo trzykrotnie odmówiła przyjęcia obywatelstwa sowieckiego. Irena nie pamięta, czy to był 1943 czy '44 rok, jak mamę zabrano do więzienia i bez sądu skazano na trzy lata. W więzieniu chorowała i była bardzo słaba. W lutym 1945 roku wróciła, a w sierpniu zmarła. Miała trzydzieści sześć lat. Tam przecież nie było lekarstw, a chorowano na tyfus i często na malarię, bo wokół były bagna. *Nie wiemy, gdzie mama jest pochowana.*

Jak matka zmarła, najstarsza siostra Leokadia, która już pracowała w kołchozie, zabrała do siebie najmłodszą. Co odważniejsze polskie rodziny zaczęły wyjeżdżać do Polski. W kołchozie zostały cztery polskie rodziny. Leokadia dowiedziała się, że trzeba złożyć podanie na wyjazd w Pietropawłowski. Pojechała. Tam powiedzieli, że ich nie puszczą do Polski, bo są małoletnie. A poza tym nie mają dokumentów potwierdzających ich polskie obywatelstwo.

Ktoś podpowiedział Łodzi, żeby oddała siostry do sierocińca. Trzydzieści kilometrów od kołchozu leżała Mamlutka, gdzie znajdował się dom dziecka. Kierownik kołchozu dał jej nawet dwukółkę, żeby mogła je zawieźć. To był 1946 rok, marzec.

W Mamlutce przebywało sto czworo dzieci, same polskie sieroty. Irena Nawojczyk była tam chyba miesiąc. Dawali im tam jeść: a to łyżkę grochu, a to kartofle. Kierowniczką tego domu była Polka Anna Bodych. Jeździła po okolicy i zbierała polskie sieroty. Poznawała je po znaku na ramieniu, jaki zostawia szczepienie na ospę. Rosyjskich dzieci nie szczepiono i nie miały tego znaku. Już wtedy wysyłano transporty, wagony towarowe, w których jechali zesłańcy. Dzieci z Mamlutki wracały do Polski wagonem osobowym. Ubrano wszystkie jednakowo, w czarne płaszcze, czarne berety i buciki. – To było już coś, bo u tej Rosjanki to chodziłam w walonkach i jakąś starą kufajkę mi dała – mówi Irka.

Polski sierociniec przywieziono w 1946 roku do Polski. Jak tylko przekroczyli granicę, kierowniczka sierocińca przyniosła naręczę długich chałek. To były pierwsze polskie bułki, które im rozdano po kawałku. Dzieci najpierw zawieziono do szpitala w Gostyninie, gdzie je odkarmiono. To dopiero tu Irka po raz pierwszy najadła się do syta. Po miesiącu rozparcelowano ich do kilku

domów dziecka, najwięcej znalazło się w województwie olsztyńskim, w powiecie morąskim. Ona trafiła początkowo do Nowego Dworu, trzy kilometry od Morąga. Przyjechały tam w czerwcu 1946. Były tu dzieci tylko z Syberii.

W Nowym Dworze przystąpiła do pierwszej komunii. Pamięta, jak przygotowywały ich zakonnice. Bo w tym domu dzieci pracowały zakonnice, głównie w gospodarstwie, intendentką też była zakonnica. To ona uczyła ich katechizmu i w sierpniu przystąpiły do komunii w kaplicy na cmentarzu. Nie trzeba było jechać do Morąga.

W porównaniu do Rosji to w Nowym Dworze było dobrze i dawano im podstawowe posiłki. Ale tak często podawano zupełną cebulową i brukiew, że do dziś ich nie je. – Jak poczuć zupełną cebulową, to wszystko podchodzi mi do gardła – mówi Irena. Jajecznicę robiono z proszku jajecznego z UNRR-y. – No, nie można powiedzieć, i w Rosji, i tu jadłyśmy bardzo zdrowo, wegetariańsko, może dlatego taka szczupła jestem – śmieje się pani Irena.

Ponieważ w Nowym Dworze do szkoły było daleko i trzeba było pieszo chodzić, a zbliżała się zima, to piętnaście dziewczynek w wieku szkolnym zabrano do Domu Dziecka w Szymanowie koło Małdyt. Trafiła tam ze swoją młodszą siostrą. Tam odnalazła je najstarsza siostra i święta Bożego Narodzenia spędziły razem. Z Szymanowa zawieźli je do Ostródy. Ponieważ w jednym roku szkolnym można było zaliczyć kilka klas, w Ostródzie Irena ukończyła siódmą klasę. To wtedy bardzo przydała się jej nauka języka polskiego i lekcje prowadzone w Kazachstanie przez starszą panią Niezabitowską, którą Sowietci też tam wywieźli.

W 1948 roku Irenę Nawojczyk przewieźli do Olsztynka, bo tu była szkoła krawiecka.

CIERPKIE OWOCE TARNINY

Kiedy wszystkie trzy w 1947 roku trafiły do Domu Dziecka w Olsztynku, Helena miała osiem lat, Irena czternaście, a Monika szesnaście. Helena dobrze pamięta Dom Dziecka przy ulicy Świerczewskiego w Olsztynku. *To był piękny, duży dom pod lasem*, mówi. Położony był, a w zasadzie jest, bo nadal funkcjonuje, nad Jeziorem Jemiołkowskim. Do 1944 roku było w nim niemieckie schronisko młodzieżowe. Już w 1945 roku był tu polski sierociniec, a w lutym 1946 roku Bernard Szulc zorganizował w budynku schroniska Dom Dziecka nr 1, do którego w lipcu przywieziono 44 polskie sieroty z Syberii i Kazachstanu. Dzieci jednak przybywało i kiedy było ich 70, uruchomiono w budynku dodatkowo Państwowy Dom Dziecka dla Dziewcząt nr 2, który funkcjonował do 1957 roku.

Szczypiorek mówi na migi-śmigi

Helena, wówczas Mozyłko, opowiada:

W Olsztynku dużo było polskich dzieci. Chyba część przyjechała z Syberii. Po rosyjsku częściej mówili niż po polsku. Ja też mówiłam po rosyjsku, a w zasadzie białoruskim, bo w domu rozmawialiśmy po białorusku. Do dziś dnia go pamiętam. W domu dziecka porozumiewaliśmy się, jak się dało: to na migi, to na śmigi! Pamiętam wychowawczynię. Główną wychowawczynią była pani Stasia Kapciuk, kucharka to była Szabunia. Kierowniczką była Szejnoch, chyba miejscowego pochodzenia. W Olsztynku było z jedzeniem już lepiej niż w Ostródzie. Ale ubrania były marne. Był magazyn odzieży i dawali nam to koszulę, to jakąś spódniczkę. Potem nas napadła wszawica i ciągała jedna drugiej gnidy z włosów. Starsza dziewczynka musiała opiekować się młodszą.

Ja zawsze chciałam być elegancka. Prasować nie było jak, to pod prześcieradło wkładało się plisowaną spódniczkę. Namoczyłam, namoczyłam, poukładałam ładnie, na to prześcieradło i koc. A wstążeczkę namydliłam i po parapecie przeciągnęłam, żeby była sztywniejsza. Elegancję miałam po mamie. Ale z wyglądu to bardziej jestem podobna do ojca, starszy brat też, ten młodszy podobny był do mamy. Mama była piękną kobietą, a ojciec to raczej taki bardziej jak ja. Ja tańczyłam bardzo ładnie, to wozili mnie do Domu Dziecka w Bartoszycach na występy. Bo nas były cztery takie artystki.

W Olsztynku chodziłam do szkoły podstawowej ze szmacianą torbą na książki. A potem do szkoły gastronomicznej w Olsztynie, gdzie dojeżdżałam codziennie. Dali na bilet miesięczny i dojeżdżałam. W Domu Dziecka w Olsztynku byłam do pełnoletności, kiedy mnie usamodzielnili. To znaczy dali koc i buty szmaciane, kochana moja. I to była cała moja praprawa. Takie to było życie.

W Domu Dziecka w Olsztynku zaprzyjaźniłam się z kilkoma dziewczynami. Taka Jadzia Miłek, potem była księgową i w Olsztynku mieszkała. I Zaremba Staśka, też w Olsztynku mieszkała, wyszła za Józka, wychowanka tego domu, który potem pracował w nim jako palacz. Potem dostała wiadomość, że szuka jej bliźniaczka, która trafiła do Anglii. Staśka pojechała tam, a potem za nią Józek za pożyczzone ode mnie pieniądze. Już wtedy pracowałam w bufecie w Warfamie w Dobrym Mieście. Pojechał, nie wrócił i pieniędzy nie oddał. O tak, było!

Starszy brat był ciągle blisko mnie i razem potem zamieszkaliśmy u ciotki w Zalesiu. Już wcześniej chodził do gospodarzy w Międzyzlesiu, żeby trochę zarobić, ale ciotka zabierała wszystko. Potem poszedł do wojska i ożenił się, wziął dziewczynę z dzieckiem i jeszcze mieli swoich trynaścioro dzieci.

Całe życie odczuwałam jednak brak rodziców, zwłaszcza ciepła matki. Żeby chociaż móc się do niej przytulić! Zwłaszcza w domu dziecka odczuwałam to bardzo. Miałam taką wychowawczynię, pani Danusia, nazwiska nie pamiętam. Ona zawsze mnie brała, kładła moją głowę sobie na kolana i głąskała. A ja zawsze się do niej tuliłam. Ojej, jej! A ta druga wychowawczyni, taka cholera, niedobra była, ojej, jaka niedobra. Diabli z nią. Jak uciekaliśmy do kościoła, bo domy dziecka świeckie porobili, to ona zamykała nas. To ja po prześcieradle spuszczałam się z okna. Jak wracaliśmy, to groch sypała i kazała nam klęczeć na grochu. Jak tylko wychodziła, to kładliśmy się. Rajskie życie to było, oj, nie daj Boże!

Do pierwszej komunii przystąpiłam ukradkiem. Obce ludzie to nam robili, bo nie wolno było. Pamiętam sukienkę, była krótka taka, ludzie jacyś ją dali, wianuszek z jaśminu i tenisówki pobielone kredą. Po komunii poczęstunek u księdza dla sierot: ciasto drożdżowe i kawa z mlekiem. Wreszcie żeśmy sobie pojedli ciasta. Czworo nas przystępowało do komunii: Jurek Szulc, ja, garbata Jadzia Milek i jeszcze ktoś, ale nie pamiętam. To był chyba 1947 rok.

Szkoda, że całe moje dzieciństwo, które przecież najlepiej się wspomina, wypełnił pobyt w domach dziecka.

Niemka Monika czyta polskie bajki

W Olsztynku Monikę Kniffke skierowali do liceum odzieżowego, tam w klasie wstępnej kończyło się podstawówkę i dalsza nauka trwała jeszcze trzy lata. Po tej klasie wstępnej dostała bardzo dobre świadectwo i pochwałę, że nie знаła przecież języka polskiego, a nie robi żadnych błędów. Ale jak mówi, miała to szczęście, że jeszcze w Domu Dziecka w Reszlu córka kierowniczkii Basia czytała jej na głos polskie bajki, potem już potrafiła sama. Lubiła książki, ale czy na gospodarstwie jest czas, żeby czytać? W domu po szkole szło się pracować w gospodarstwie, a dopiero w domu dziecka mogła się nacytać.

Do Domu Dziecka w Reszlu w 1946 roku przywieziono z Syberii cały transport dzieci polskich oficerów. Była to młodzież już dorastająca i część z nich potem trafiła też do Olsztynka. W Olsztynku Monika miała wiele koleżanek Sybiraczek. Opowiadały jej, jak na Syberii w lepiankach mieszały i jak chorowały na kurzą ślepotę w związku z niedożywieniem. Korzystały z tego, że ona miała za sobą niemiecką szkołę i fizykę, matematykę oraz chemię na wysokim poziomie. To był zresztą jej konik. Pomagała im w tych przedmiotach, a one jej w nauce języka francuskiego. Po półtora roku w szkole wycofano się z nauczania tego języka.

Najpierw kierowniczką była pani Zajączkowska po obozie koncentracyjnym. Monika mówi, że tresowała je tak, jak więźniów tresowano w obozie. Jeśli ktoś tylko jej podpadł czy to nie wracając na porę, czy też podkradając jabłka w ogrodzie, to kara była nieunikniona. Po pro-

stu przez kilka godzin klęczało się na grochu... i inne takie kary. Dziewczyny nie wytrzymały i zawiadomiły kuratorium.

Ten groch zapamiętała nie tylko ona, ale też Helena i Irka. Irka była jedną z tych wychowanek Młodzieżowego Domu w Olsztynku, które z Grodna i Wileńszczyzny z rodzicami zostały wywiezione na Syberię. I one powiedziały, że jeśli Olsztynek to ma być ich nowy dom rodzinny, to niech będzie domem rodzinnym. Wtedy wymieniono kierowniczkę. Została nią wrażliwa kobieta. Monika mówi, że to była inna osobowość, była jak matka. Zejdel Linda. Sama dwójkę dzieci wychowywała. Potem organizowała zjazdy wychowanek.

W 1948 roku wróciło wielu Niemców z niewoli i odnaleźli swoje dzieci w domach dziecka. Wtedy wyjechały transportem do Niemiec. Monika żałuje, że w Olsztynku dowiedziały się o tym, kiedy już transport odszedł. Jej młodsza siostra Angela, która była w Lidzbarku, podała, że ma ciocię w Niemczech w górach Harz i wyjechała tym transportem. Do dziś żyje w Niemczech, mieszka dziś we Frankfurcie nad Menem. Tak zresztą jak najstarsza z siostr Kniffke – Gertruda. Do Niemiec też wyjechał najstarszy brat Franz.

Irka i matematyka

W 1948 roku Irenę Nawojczyk przewieźli do Olsztynka, bo tu była szkoła krawiecka. Ona, tak jak Monika, dobrze wspomina Lindę Zajdel, która od 1 października 1948 roku przez dziesięć lat kierowała domem dla dziewcząt. Stworzyła dziewczynom namiastkę domu rodzinnego. Przez ten czas przewinęło się przez niego 135 dziewcząt: autochtonek i polskich sierot. Linda Zajdel przyjechała tu z Mrągowa i przywiozła kilkanaście dziewczynek – Mazurek, które nie mówiły dobrze po polsku. Irena zaprzyjaźniła się z jedną autochtonką Alfredą Szmidt, potem Jóźwik się nazywała. Kierowniczka pomagała miejscowym: Lorę Fischer, kiedy ta dorosła, zostawiła w domu dziecka jako intendentkę. Również kucharka była autochtonką.

Irena podkreśla, że w domach dziecka w Polsce miała już dobrze. Dawali im cztery posiłki. Ale kromki chleba zwłaszcza na początku były wyliczane na każde dziecko, i nawet kawa. Zwłaszcza w niedzielę, jak dzieciak się nagał, to był głodny: – To chodziliśmy na ciarki. Nie wie pani, co to? Owoce tarniny. Jak się najedliśmy, to całe usta, język i podniebienie były czarne. Ponieważ miałam zaćmienia na płucach, to dostawałam dodatkowo bułkę i kakao. Będąc w Domu dla Dziewcząt w Olsztynku, ukończyłam czteroletnie technikum krawieckie. Ale interesowała mnie głównie matematyka.

POTEM

Zgubiony klucz Szczępiorka

Po opuszczeniu domu dziecka mieszkałam u ciotki Grodziowej. Ona chciała, żebym została u niej. Ten kawałek chleba i słoniny się znajdzie, mówiła. Ale ja chciałam zarobić na buty, na jakąś bluzkę. Poszłam więc pracować do „Jutrzenki”, która w Dobrym Mieście otworzyła ciastkarnię. I tam poznałam przyszłego męża. Mąż był przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej. Sergiusz Małaszuk. Przyjechał z Lubelszczyzny. Pobraliśmy się w 1958 roku. Szedł mi dwudziesty rok. Ślub braliśmy w cerkwi w Olsztynie. Bo mama była prawosławna i mój mąż też. Jak mąż zmarł, to chowali go popi. Ksiądz u nas nie chciał go pochować, bo mąż był partyjny. A popi pochowali. Mąż przez cztery kadencje był przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej w Dobrym Mieście. Umarł, jak miał zaledwie czterdzieści jeden lat.

Dzięki ukończeniu szkoły gastronomicznej przez wiele lat pracowałam w Urzędzie Wojewódzkim w Olsztynie w bufecie, a wcześniej w Ornie i Dobrym Mieście. Pracowałam też w wojskowym kasynie w Olsztynie. Miałam jednego syna. Sławomir zginął w wypadku. Mieszkaliśmy najpierw z rodzicami męża. Odbiegnę od tematu, ale jeszcze powiem, że mam rękopis – wspomnienia ojca mojego męża, który przeszedł Syberię. Miał piękny charakter pisma. On był przez wiele lat listonoszem, umiał nawet nadawać alfabetem Morse'a. Zgubiłam klucz od szafki w sypialce, w której leży ten rękopis, fotografie mamy i różne dokumenty. Teść nazywał się Łukasz Małaszuk, a jego żona Maria Małaszuk. Bardzo miły człowiek był. Jak znajdzie klucz, to zdziwi się pani, jak pięknie pisał.

Po wojnie mój mąż ściągnął ich z Lubelskiego do Dobrego Miasta. Wtedy wyprowadziliśmy się do tego tu mieszkania. Pół wieku tu przeżyłam w tym mieszkaniu. Pół wieku. Często bywam w szpitalu, bo choruję na cukrzycę. Często pogotowie mnie zabierało. Papierosy palić palę, nie powiem. Ale nie dlatego jestem taka szczupła. Zawsze taka byłam drobna, filigranowa. Od małego taka byłam.

Monika i Tereska z Grodna

Monika usamodzielniała się, jak to się mówi, w 1951 roku. Żadna z wychowanek nie miała ani pracy, ani mieszkania i nikogo to nie obchodziło i każda musiała ją znaleźć na własną rękę. Jedną z tych kobiet była Tereska Kamińska, z Grodna pochodząca. Przyjechała z Syberii sama do Polski, bo matka została, żeby być blisko syna, który trzeciego maja wywiesił flagę polską i został skazany za to na dziesięć lat. Więc matka z braćmi i siostrą Tereski została, by czekać na syna. Potem przyjechali do Polski. Tereska miała chłopaka, który był kadrowcem w „Przemysłowce”. To on załatwił Monice pracę w biurze przy naliczaniu płac, co się jej bardzo podobało, bo obiecała sobie, że ani jednego dnia nie przepracuje jako krawcowa.

– Mieszkaliśmy w Olsztynie w baraku. Łóżko wypożyczone z Wyższej Szkoły Rolniczej w Kortowie. Spałyśmy na nim we trzy na zmianę, wszystkie z tego Młodzieżowego Domu Dziecka w Olsztynku.

Potem podjęła pracę jako kierowniczka baru mlecznego, gdzie pracowała z Wilniuczkami, a potem przeszła do firmy transportowej, w której przepracowała do emerytury. Jej mąż Otto Gunia pochodził z miejscowości Mańki pod Ostródą. Pobrali się w 1971 roku. Zmarł w 1973 i została sama z trójką dzieci.

Start Irki w dorosłe życie

Irena już w trakcie pobytu w bidulu odnalazła dalszą rodzinę w Malborku. Kiedy odeszła z domu dziecka, kuzyn z Malborka załatwił jej pracę na pocztę. *To było ważne*, mówi. Bo jak odchodzili z domów dziecka, to nie dostawali ani pieniędzy, ani nie zapewniano im pracy czy mieszkania. *Dali mi koc i poszwę oraz ubranie, które miałam*. I to był start w dorosłe życie. Wróciła do Olsztynka, żeby zabrać swoje rzeczy i wtedy dyrektor szkoły pan Mackiewicz zaproponował jej pracę wychowawczyni w internacie. Mackiewicz też pochodził z Wileńszczyzny i znał ją, bo w szkole w Olsztynku uczył ją cztery lata fizyki i matematyki. W szkole na strychu był mały pokój. Z internatu wypożyczyła dwa koce, materac i prześcieradło. Miała, jak mówi, dobrze, bo w nauczycielstwie pensję płacono z góry. Potem na zjazdach wychowanków domów dziecka organizowanych przez Lindę Zajdel postulowano, żeby tym, którzy opuszczali domy dziecka, dać na początek parę złotych. Bo, jak mówili na początku, bułka musiała niekiedy wystarczyć na dwie osoby na cały dzień. Tak zaczynali.

Szkoła elektryczna z Olsztyna, która akurat budowała się, i internat dopiero był w planie, uruchomiła go czasowo w Olsztynku. Irena dostała pracę w internacie. Jak kierownika internatu wychowankowie pobili, to zajęła jego miejsce i wtedy zamiast sześciuset złotych zarabiała osiemset. *Nie wiem, czy to Pan Bóg nade mną czuwał?* – pyta retorycznie Irena. Potem też jej się jakoś układało, pracowała jako księgowa w kilku zakładach pracy, aż do emerytury.

* * *

Jak oceniam swoje życie? Nie oceniam, bo nie dopuszczam do siebie żadnej złej myśli i staram się utrzymać w dobrej formie psychicznej, bo fizyczna jest do niczego – mówi Helena. – Jestem zupełnie sama. Mąż umarł czterdzieści czy trzydzieści lat temu. Nawet nie liczę, bo dla mnie on nadal żyje. Syn zginął w wypadku, wnuk i wnuczka wyjechali do Anglii. Przyjaźnię się z opiekunką z pomocy społecznej. Taka Jasia, bardzo sumienna i uczciwa. Przychodzi codziennie oprócz sobót i niedziel. Posprząta, ugotuje, pranie robi u siebie, bo ja automatu nie mam. Płacę synowi sąsiadki, który pali mi w piecu i przynosi opał. Nie, nie myślałam, żeby przeprowadzić się do bloku, bo mieszkanie zapisałam drugiemu wnukowi, który mieszka w Elblągu. Zapisałam mu mieszkanie nie dlatego,

że został w kraju, ale dlatego że Kornel to mój ulubieniec. Bo jest najbardziej podobny do mojego syna i taki bardzo serdeczny. Pokochałam go najbardziej. Babka ma prawo wybrać wnuka, natomiast rodzice nie mają takiego prawa. Muszą kochać po równo wszystkie swoje dzieci. Chodźmy do kuchni, to pokażę wszystkich moich wnuków na fotografii. O, tu mój ulubieniec, obok wnuczka i żona Kornela, a ten po prawej to drugi wnuk. Ale na skrzypcach grał syn, muzykalny był, w orkiestrze grał. Leży na cmentarzu obok ojca, na moim miejscu.

Irka Nawojczyk przebywając w kolejnych domach dziecka, nie miała już kontaktu z dziećmi z sierocińca w Mamlutce, które były jeszcze w Domu Dziecka w Szymanowie. Potem dopiero w Olsztynku spotkała jedną dziewczynkę, która była na Syberii, ale po drugiej stronie Piotrowpawłowska, gdzie pracowała w stepie. Po przyjeździe do Polski dzieci z Mamlutki rozdzielono.

Zresztą tu nie było już ważne, skąd jesteśmy: stąd czy stamtąd. Straciłam też z oczu mazurskie dzieci, które były z nami w domach dziecka. Oni jak dorośli, prawie wszyscy powyjeżdżali do Niemiec.

Teraz jak niekiedy myśli o swoim losie, to nie uważa, że był przeklęty. Życie, jak życie, mówi. Jakoś tak się ułożyło, że ostatecznie udało się jej, jak mówi. Znalazła pracę. Założyła rodzinę, ma dwie córki. Nie było łatwo na starcie, ale przyzwyczajona do strasznej sybirackiej biedy cieszyła się z wszystkiego, nawet z kozy do ogrzewania dwóch pokoi w opuszczonym internacie, w których po ślubie zamieszkała z mężem. Ale zrobili wesele! Kucharka z internatu w prezencie ślubnym naszykowała jedzenie, a jej córka upiekła im ciasto. Na wesele przyjechały obie siostry Ireny. Ojciec nie przyjechał, mieszkał w Anglii.

Monika mówi, że żadne życie nie jest przegrane, bo każde życie ma swój sens. A najważniejsze jest to, co nam rodzice przekazują. Ją matka nauczyła, że bardzo ważna jest wiara. I opowiada, jak w 1945 roku matka prowadziła je do kościoła do spowiedzi i na mszę świętą. Szli drogą, a w rowach pełno było trupów niemieckich żołnierzy.

Dzieci z karabinami, bo to nie można inaczej powiedzieć. Mogłam to już ocenić, miałam czternaście lat, a ci chłopcy po szesnastu, siedemnastu. Dzieci! To był straszny widok. Mama prowadzi nas i mówi, że trzeba się przygotować na śmierć, bo nie wiadomo, co będzie jutro i nikt nam nie da gwarancji, że przeżyjemy. My, dzieci, przeżyliśmy. Ale moi bracia, jak się spotkali w 1993 roku, kiedy najmłodszy Grzegorz pojechał do Franza do Niemiec, to rozmawiali ze słowniczkiem w rękę. Bo najmłodszy nie znał niemieckiego, a najstarszy nie znał polskiego. A ile to można pogadać ze słownikiem w rękę?

Na koniec naszej rozmowy Monika jeszcze raz powróciła do czasu, kiedy była w domu dziecka.

Moja koleżanka była razem z rodzeństwem w domu dziecka. Potem mieszkała w Olsztynie. Wyszła za mąż za wojskowego. Urodziła córkę i poprosiła mnie na chrzestną. Mówię jej: – Krysiu, zawsze przeżywałaś mnie Szwabką, a teraz chcesz mnie na chrzestną? – Nie gniewaj się, takie były czasy, odpowiedziała. Tak, takie to były czasy, ale z domu dziecka wyniosłam jedno: trzeba się dzielić. Myśmy się dzieliły chlebem, wszystkim. Jak jedna zrobiła skarpetki i udało się je sprzedać, to kupowała chleb i dzieliła na wszystkich w pokoju. To potem procentuje w życiu. Bo jak to się mówi: jedną ręką dajesz, a drugą zbierasz.

Joanna Wańkowska-Sobiesiak

Jerzy LENGAUER

Spod Перемишля i znad Morza Czarnego

JERZY LENGAUER

ur. 1970, absolwent Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie oraz Podyplomowych Studiów „Wiedza o kulturze” w IBL PAN w Warszawie. Mieszka w rodzinnym Kętrzynie. Krytyk literacki i teatralny, felietonista, eseista. Autor dwóch książek, w tym ostatnio „Ścieżek myśli” (LSW 2016).

Babcia Marysia

W 1920 roku, parę miesięcy przed Bitwą Warszawską, ale już po przesileniu wiosennym, urodziła się w Korzenicy pod Jarosławiem Maria Suchorowicz. Lata później, już na Mazurach, przy agnostycznych, bo raczej nie ateistycznych, rzymskokatolickich świętach Bożego Narodzenia, mając około dziewięćdziesiątki, z pewnym znużeniem, być może będącym wynikiem wypitej pięćdziesiątki wódeczki (zawartość kieliszka wlana do gorącej herbaty), ale i z właściwą większości starych ludzi szczerością małego dziecka, daje się wciągać w rozmowy o polityce, religii własnemu zięciowi i jego przyszywanemu szwagrowi – profesorowi. Jej odpowiedzi, poprzedzone błędzącym za oknami lub po stole spojrzeniem wodnistoniebieskich oczu z postępującą zaśmą, wzbudzały odrobinę złości jednego i rozbawienie drugiego. Pokpiwali z braku logicznego myślenia, wyśmiewali nieracjonalność, infantylną wiedzę o świecie. Faktycznie, tę ostatnią przekazywała często w zaskakujący sposób. Być może to te same święta, gdy ktoś otrzymał w prezencie robione na drutach grube, wełniane skarpety. Marysia skomentowała z uśmiechem:

Takie to na pięćdziesiąt gradusów. Ale u nas były takie mrozy. Nie mieliśmy takich skarpet. Nie mieliśmy żadnych. Nie mieliśmy majątek. Jak trzeba było iść w śnieg i mróz po coś do drugiej wsi, wkładało się słomę pod spódnicę, owijało szmatami i słomą nogi.

Chodziła do Laszek. W wieku niecałych dziesięciu lat (ośmiu, dziewięciu?) została oddana na służbę. Obecnie Korzenica leży w gminie Laszki. Być może nazwa pochodzi od określania przez ludność ukraińską i łemkowską mieszkających tam Polaków. Kilka czy kilkanaście lat temu najmłodsza córka Marysi, urodzona już na Warmii pomiędzy Górowem Iławeckim a Braniewem, była na wycieczce po południowo-wschodniej Polsce. Opowiadała, że pytała przewodnika o to, które wsie należały do Ukraińców, Polaków, Łemków. Problem pochodzenia Marany, bo tak o niej mówiono w rodzinnej wsi, może nie spędzał snu z powiek potomkom, ale od czasu do czasu, przy okazji rodzinnych spotkań, bywał omawiany. Bez triumfu i bez fanfar wieści z wycieczki były takie, że tam, gdzie obracała się pewnie jedynie w promieniu kilku kilometrów od własnej chaty Marana, mieszkała większość Łemków. Sama wspominała, że byli tam i Ukraińcy, i Łemkowie, i Polacy, i Żydzi. Wszyscy mówili mniej więcej tym samym językiem (oprócz Żydów). Dopiero wiele lat później, w Kętrzynie, padła jego nazwa: chachłacki. Gwara wiejska. Posługują się nią także Białorusini w okolicach Hajnówki, jak pisze w jednym ze swoich kryminałów Katarzyna Bonda.

Mimo owej odkrytej niedawno łemkowszczyzny pamięta się w rodzinie, gdy na weselu najmłodszego wnuka Marany, Jurka, najstarszy Miron, nieco już podpity, objął ramieniem drugiego starszeństwem (także Jurek) i wydusił z siebie: *Choćbyś nie wiem, co mówił, to i tak jesteś Ukraińcem.*

Dziwna rzecz, bo starszy Jurek nigdy nie rościł sobie prawa do bycia Polakiem z narodowości, pochodzenia i umiłowania. Bliżej mu było do Łemków (umiłowanie gór) i odrobinki żydostwa. Któregoś razu jego matka, ta młodsza córka Marany, opowiadała o rodzinach mieszkających w jej rodzinnej wsi, Kwiatkowie. Jurek był wniebowzięty, słysząc, że jedna z nich to Bojkowie. Mieszkali w ostatnim czy przedostatnim domu we wsi. Na pagórku. Mieli spory sad. Wyglądało to jakoś czarodziejско w porównaniu do pozostałej części wioski, skupionej wokół klubu rolnika. Za domem rozpościerał się widok na pola, łąki i lasy. Niezbyt daleko, w stronę gminnej wsi, był mały stawek, przy którym rosły jakieś dzikie, rachityczne owocowe drzewka ogryzane przez krowy. Mali, smagli Bojkowie chodzili tam łowić ryby. Chyba w pobliżu stały fundamenty opuszczonej dawno temu chałupy.

Marana i jej mąż Ignacy Pochodaj (na Rzeszowszczyźnie pisali się Puchudaj; gwoli wyjaśnienia – pozostali na południu Suchorowiczowie (mają wpisane w dowodach osobistych Suchorowiec) często brali Jurka na wakacje. Zwłaszcza po 1977 roku, po śmierci jego ojca, także Jerzego. Jego trzech bracia: wspomniany Miron, Stefan i młodszy Jurek, oraz najstarsza Alina – wszyscy ze starszej córki Marany, Emilii – rzadko przyjeżdżali z odległego o blisko siedemnaście kilometrów Jarzenia. Jurek pamiętał samotność z dziadkami. We wsi, w której jego

matka Stefania przez prawie całe lata 50. i połowę 60. była nazywana przez dzieci z polskich rodzin banderówką. Oczywiście z powodu ukraińskiego pochodzenia. A urodziła się przecież tam, w Kwiatkowie, gdzie spośród około trzydziestu gospodarstw połowa co najmniej była zamieszkała przez Ukraińców, Łemków, Bojków i Białorusinów od czasów dotarcia tu transportów z akcji „Wisła”.

U Marany były tylko dwa łóżka. Ciemnobrązowe, przeżarte przez korniki. Na jednym z nich spał Jurek. Czasami przy oknie, innym razem na tym po ciemniejszej stronie jedyne go pokoju. Izba miała dwa okna, piec kaflowy, stół pod oknem, przy którym Ignac coś zwykł majstrować (Stefa mówiła, że, gdy była dzieckiem, robił piszczałki, fujarki i zabawki), na środku stół zastawiony lekarstwami i obłożony ceratą, na której leżał jeszcze obrus do prawie samej podłogi. Podłoga drewniana. Jakieś wyblakłe, zniszczone chodniki zakrywały spróchniałe, zgniłe deski. Obrus ukrywał pod stołem butelki wódki. Dorabianie do skromnej renty, za którą to Pochodajowie zdali gospodarstwo w tej samej wsi wraz z budynkami i w zamian otrzymali mieszkanie, utrwalone we wspomnieniach Jurka. Za oknem – w dostępie do niego nieco przeszkadzał stół – stała ławeczka. Na niej Ignac siadywał i palił. Papierosy? Fajkę? Marynarka, koszula, spodnie, których jedna nogawka zakrywała chromą nogę po najślynniejszej dziecięcej chorobie pierwszej połowy XX wieku. Nie przeszkadzało mu to wybierać się w dwukilometrową drogę do Lelkowa na piwo. Jedno.

Z pokoju do kuchni, gdzie piec. Tam konserwa z wołowiną. Na chleb krojona jeszcze cebula. Słynne namolne: *No, jicz*. Z kuchni na podwórko. Przycupnięta przy ścianie domu drewnutnia, w której stało wiadro zastępujące ubikację. Parę kroków dalej chyba dąb z corocznym gniazdem szerszeni. Ogród można było odreptać, omijając druciane ogrodzenie z kurami. Mniej więcej między dębem i niezadaszonym kurnikiem ścieżka do góry. Skarpa ukrywała glinianą jaskinię. Podobno kiedyś korzystał z tego zdun. Ze skarpy rozciągał się widok jak z pagórka u Bojków.

Pewnego razu na łóżku przy oknie leżał w dzień Ignac. Był biały jak siwe jego włosy. Spod pierzyny wystawały nogi o udach chudych jak przedramię słabo rozwiniętego fizycznie wyrostka.

Wnuki jeszcze jakiś czas sypiały w tym łóżku. Wcześniej Marana stała na podwórku z wychodzącymi co jakiś czas z ciemnego pomieszczenia na papierosa kobietami. W środku leżał w trumnie Ignac albo ktoś inny. Płaczące, śpiewające, lamentujące kobiety przed domem opowiadały dowcipy o kobiecych intymnościach. Stefanii nie było, więc pewnie to nie był Ignac. Tak czy inaczej kondukt żałobny piechotą i na drabiniastych wozach ciągnął do Dębowa po polnych drogami jakieś trzy, cztery kilometry.

Może jedne wakacje? Może więcej. Na przemian z Jarzeniem, dokąd przeprowadziła się Marana. Starsza córka Emilia była już wcześniej drugi raz zamężna. Tak jak Roman, mąż Mili, zawsze darzył starszego Jurka sympatią i otaczał opieką, tak dość bezwzględnie wychowy-

wał swoich dwóch synów i jednego pasierba. Jak zwracał się do niego z uczuciem, tak Miła z Aliną cierpliwie znosiły Romana złości. Z tą Aliną, która mówiła literackim ukraińskim, pięknie w tym języku śpiewała jak jej matka Milka i teraz mieszka w Beskidzie, zgodnie z tradycją rodzinną zamężna po raz drugi.

Trudno powiedzieć, gdzie Marana spała, jak głośno krzyczał Roman lub jakie spory toczyła z matką Romana. W poniemieckim domu, który co lato odwiedzali samochodem (trzej bracia i Alina mówili na samochody „taksówki”) dawni właściciele, przywożąc z Niemieckiej Republiki Federalnej bardziej jedzenie niż ubrania (czasami dawali marki), brakowało miejsca dla dwóch babek.

Pierwsza migracja nastąpiła w styczniu 1984 roku. Kętrzyńskie osiedle zwane Falklandami było zamieszkane głównie przez pracowników „Farela”, „Warmii” i „Stylu”, tudzież mniej lub bardziej prominentnych mieszkańców miasta. Kilka lat później zostało uzupełnione przez pracowników likwidowanych pegeerów. Czterdzieści osiem metrów kwadratowych to było tak zwane M-2 z balkonem, na który swobodnie można było wejść z trawnika. Marana siedziała przy oknie. Odsłaniała zawsze firankę, żeby mieć wyraźniejsze światło do czytania. Ciekawa rzecz, bo pamięta się ją w pokoju od północnej strony. W kuchni obierała kartofle, czyli bulby. Pijała herbatę. Robiła to w specyficzny sposób. Bez względu na to, czy było to w latach 70., 80, czy już w wolnej Polsce. Opowiadała, że w Korzenicy herbaty nie mieli. Być może nie znali. Parzyli owoce, jagody, liście. Szwendała się po mieście jak po wsi. Mówiła: *Byłam u kulieżanki*. W małym pokoju zamieszkanym przez babkę i wnuka była wersalka i prawdopodobnie tapczanopółka. Obok książek po zmarłym mężu Stefy stały książki kupowane przez starszego Jurka, jakieś ukraińskie lub rosyjskie modlitewniki, baśnie polskie, ukraińskie, rosyjskie i kaukaskie zabrane z Kwiatkowa przez wnuka. Marana czytała w trzech językach, a mogła porozumiewać się także w niemieckim, mimo nieukończonej pierwszej klasy szkoły podstawowej.

Nie wiadomo, w której wsi była szkoła, gdzie Marana pobierała nauki. Najwcześniejsze opowieści babki to zdawkowe historie o bandach, umundurowanych lub nie, które zabierały z Korzenicy bydło, jedzenie, zapasy. Opowiadała, że mówili i po ukraińsku, i po polsku, i po rosyjsku. Lata 20. i 30. to pewnie jedna opowieść o pracy dziecka w gospodarstwie i ukrywaniu się. Korzenicy, a także Laszek nie zawiera indeksu miejscowości w książce Grzegorza Motyki „Od rzezi wołyńskiej do akcji »Wisła«”. Konflikt polsko-ukraiński 1943-1947” [Warszawa: Wydawnictwo Literackie, 2011], jedynej pozycji o stosunkach polsko-ukraińskich, stojącej na półce w domu drugiego pokolenia po Maranie Suchorowicz. Rodzeństwa było kilkoro. Babka wielokrotnie prosiła starszego Jurka, żeby zawiózł ją do rodzinnej wsi. Może nawet po to, by poszukać drzew wyrosłych na miejscu Przysiółka Horajskiego, prawdopodobnie kolonii Korzenicy, gdzie mieszkali Suchorowiczowie. Gdzieś tam został pochowany ojciec Marany. Ale to już po powrocie z pracy u bauerów w Austrii. Marana specjalnie się nie skarżyła. Przynajmniej podczas rodzinnych świąt. Kiwała głową, mówiła, że pierwsza bauerka ją biła i dlatego

po zgłoszeniu się na arbajtamcie przydzielono ją do innego gospodarza, u którego dotrwała do końca wojny. Wspomina tych ostatnich bardzo dobrze (nie pastwili się nad jeńcami, siadali wspólnie do posiłków). O pobycie w Austrii mówi ciągle tak, jakby żałowała, że stamtąd wróciła do Polski. Podobno gospodyni bardzo prosiła Marysię, żeby u nich została. Nie zgodziła się. Lata później Suchorowiczka siadywała na rozłożonej ceracie pod dębem (tym z szerszeniami) i patrzyła na to, co dzieje się przed domem. Czarownica. Spod kolorowej chusty wystawały strąki siwych, długich włosów. Jurek nigdy do niej nie podszedł. Skąd przychodziła i dokąd odchodziła, nie wiadomo. Może do siostry Marysi, Katarzyny, która mieszkała na drugim końcu wsi. Z Grzegorzem Ignac nie rozmawiał od lat, chociaż to on ściągnął Pochodajów z jakiegoś początkującego PGR-u pod Bartoszczami do Kwiatkowa, trzymając dla nich duże gospodarstwo, darując żrebaka Paulinę i jałówkę Smolę. Babcia Stenia, już w XXI wieku, wraz z dziadkiem Andrzejem, sprezentowali swojej wnuczce Oldze na któreś z pierwszych urodzin bujanego konika o imieniu Paulina. Olga ma już 16 lat i jeździ konno.

Transport musiał zatrzymać się w Korszach lub Bartoszczach. Na Rzeszowszczyźnie urodziła się Mila. Ze związku z Ignacem, który pochodził z pobliskiej wsi. Znali się z Maraną od dziecka. Stefa przyszła na świat w Kwiatkowie. Banderówka z ogromnymi oczami, długimi warkoczami. Chuda jak patyk, o smagłej cerze. Nie uciekła z żadnym taborem Cyganów, które zatrzymywały się pod wsią. Mimo tego, że pewnego razu Cygan przyszedł do domu Pochodajów i oferował za Stefkę konia (?). Biła się, rzucała kamieniami w tych, którzy wołali za nią „banderówka”. Ze swoją matką do dzisiaj rozmawia jedynie po chachłacku. Jurek rozumie gwarę od dziecka, ale umie powiedzieć jedynie kilka słów. Jeszcze teraz potrafi rozśmieszyć swoją 97-letnią babkę dowcipem o „czobotach”.

Co sprawiło, że Marana szukała ucieczki z „Falkland”? Jurek też szukał, ale od babki. Chrapała okropnie. Może dręczyły ją we śnie wspomnienia przeżyć sprzed pół wieku.

Marysia w Mołtajnach miała ogromny piec. Piekła w nim bułki. Przy nim siadywał też były sołtys wsi Kowalczyk, Ukrainiec, którego większość rodziny mieszkała w Kanadzie. W dowodzie osobistym Marysi stało zatem Kowalczyk. Póki mąż chodził po sadzie, rozrzucał cegły i deski w stajni, oborze, stukał w sztachety płotu oddzielającego jego podwórko od bliźniaczego sąsiadów, babka mogła chodzić kilkaset metrów na ploty do popegeerowskich bloków. Gdy Kowalczyk już tylko leżał w łóżku, blady, jak kilkanaście lat wcześniej Ignac, musiała być na każde zawołanie. To chyba po pogrzebie Jureka z Kętrzyzna i Mirona z Jarzenia naprawiali płot. Późną jesienią. Wiało okropnie od pól, od jeziora. Marysia kazała Mironowi włożyć czapkę. Jurkowi nie. Miał długie włosy. Te włosy i ciemne okulary znakomicie komponują się na zdjęciu z pogrzebu Kowalczyka z czarnym T-shirtem i granatowymi sztruksami. Może dlatego kazano mu nieść na czole procesji żałobnej krzyż (?), chorągiew (?)...? Wcześniej, tak jak w Kwiatkowie, na marach w pokoju leżały zwłoki. Każdy z rodziny podchodził i całował zmarłego w usta. Ile leży grekokatolicki trup w domu po śmierci? Do cerkwi w Asunach niecałe cztery kilometry. Pochód pogrzebowy musiał trwać pewnie więcej niż godzinę. Kolejne dwie to msza.

Ile jeszcze miesięcy, może lat Marysia mieszkała w Mołtajnach? Czy coś odziedziczyła po Kowalczyku? Czy na utrzymanie, z wdzięczności przez lata opieki, przysyłano jej kanadyjskie dolary? Stefa z Andrzejem przyjeżdżali często. Głównie zajmowano się sadem i sprzątaniem w domu. W końcu starszy Jurek odziedziczył mieszkanie po babci Lidii. Wprowadzono tam Marysię. Z bagażem poronień, śmierci małych synów, odesłania dwóch mężów na cmentarze na Warmii i Mazurach.

Nigdy nie widziano babci Marysi na organizowanych przez związki Ukraińców koncertach, spotkaniach mniej lub bardziej kulturalnych bądź komercyjnych czy popkulturowych. Swoje wiejskie życie przeniosła do miasta, nie przejmując się za bardzo tym, że zamiast wiejską drogą, pełną dróżką, brukiem środkiem wioski chadzała chodnikami. W tym życiu mimo pewnego, dość dziwnego egoizmu (a może to po prostu jakieś umiłowanie wolności, siła gnania poza dom, który od dzieciństwa był, a potem wydawał się za ciasny) ogromną rolę odgrywała ziemia. Te wyprawy do miejskich ogrodów działkowych z betonowego osiedla... Obarczona wiadrami, wiaderkami, siatkami, motykami, grabiami z odwieczną chustką na głowie. Zwykle czarną w kwiaty, których kolor był przeważnie czerwony. Póki mogła, „dziabala” w ziemi, kopała, pielila, spierała się o grządki, co i jak sadzić, kiedy zbierać... Innych przygotowało to o białą gorączkę. Cóż, wówczas babcia nie była zbyt skora do ustępstw. Potrafiła zlekceważyć ogrodowe rodzinne ustalenia i wyznaczony sznurkiem szlak sadzenia najwyuczajniej ominąć, wybierając miejsce według swojego uznania. Ba, pod nieobecność „gospodarzy” przychodziła i zmieniała działkę we własny ogród i warzywniak, sprawiając, że po kilku dniach był nie do poznania! Z czasem już tylko stała i się przypatrywała. Raczej pomagała. Opuszczają ją siły, wykluczając ją nie tylko z pracy fizycznej, ale także nie dając się wyklócać o własne widzimisię. Coraz bardziej uzależniała się od etopiryny, której nie połykała, ale ssła jak cukierka. Zaczęła spać dłużej, owijać się wszelkimi dostępnymi w domu chustami, szalami, apaszkami. Nie odpuszczała jednak wypraw do „kuliezanek”, wszystkich młodszych od niej o co najmniej kilkanaście lat, które już z domu nie wychodziły. Wyprawy były jednak jakby rzadsze, ostatnie już tylko po drodze na sobotnie i niedzielne obiady do córki. Czasami Marysię, widocznie wtedy, gdy późna wiosna lub piękna jesień dodały sił, spotykało się w drodze na koniec miasta bądź na przystanku autobusowym. Wtedy już pomagała sobie laseczką. Tak działo się od czasu, gdy fatalnie złamała osłabioną starością rękę. Oprócz bólów głowy, sprawy z ręką i chyba tylko jednego cięższego zapalenia oskrzeli nie mając się jej choroby.

40

Babcia Marysia z właściwą sobie upartością nadal wychodzi na spacer, docierając jednak tylko do ławeczki na skwerze Holza. Lubi porozmawiać, posiedzieć w słońcu. Dość sprawnie radzi sobie z wchodzeniem i wychodzeniem z wysokiego terenowego auta, którym wozi ją zięć na wszystkie ważniejsze rodzinne spotkania. Lecz nie jest już w stanie wybrać się ani do Kwiatkowa, ani do drugiej córki w Jarzeniu. To ona tu przyjeżdża. Marysia nie wspomina o Korzenicy...

Babcia Lidia

Obie babcie musiały się poznać w końcu lat 60. Czy Liduś (otrzymała imię po swojej matce Lidii), jak mawiał do niej mąż Jerzy (tak zwracała się do niego), traktowała teściową swojego starszego syna z wyższością, pogardą? Panują różne opinie. Czy rozmawiały po polsku, po ukraińsku, czy po rosyjsku? Też do końca nie wiadomo. Można przypuszczać, że Lidia raczej unikała ukraińskiego, ponieważ sama uważała się bardziej za Rosjankę, choć urodziła się na terenach Ukrainy, we wsi Kamieńskie, gdzieś blisko Morza Czarnego. Być może chodzi o dzisiejsze Kamieńskie (do 2016 roku Dnieprodzierżyńsk). Czy sama to wymyśliła, czy może wyniosła z rodzinnego domu, że Ukraińców traktowało się jako tych gorszych Rosjan, wieśniaków, chłopów, niepiśmiennych, nieczytających sług w gospodarstwie?

Początek XX wieku. Dziadek Iwanicki jest prawosławnym popem. Jego córka Lidia zostaje wydana za urzędnika kolejowego, całkiem prawdopodobnie, że pochodzenia żydowskiego, Kazimierza Szulca, a może Schulza. Równie prawdopodobne jest i to, że małżeństwo nie było po myśli obu stron. Różnice społeczne, klasowe, stanowe, być może religijne (o Szulcu mało wiadomo). W każdym razie nowy dom byłej panny Iwanickiej był bogaty. Do czasu II wojny światowej. W tej pierwszej giną ci z rodziny, którzy walczyli po stronie „białych” bądź po prostu zmiotła ich bolszewicka nienawiść. W tym mniej więcej czasie z Archangielska, chyba przez Petersburg i Lwów (kończąc liceum ukraińskie) dociera do Polski aplikant radcowski Lengauer (Lengau pod Salzburgiem, niemiecka końcówka *-er* oznaczająca mieszkańca miejscowości, gdzieś stamtąd pochodził przodek żydowski handlujący zbożem właśnie na Ukrainie; być może przez ten Salzburg w płytotkach domowych obu żyjących potomków Lengauerów znajduje się najwięcej Mozarta). Jeden z jego braci buduje most we Lwowie. Siostra wyrusza do Afryki leczyć dzieci, później umiera w domu opieki w Belgii. Wnuk Jurek pamięta sweterek i sztruksy ogrodniczeki, które przybyły w paczce od cioci Luby. Lata później otrzymuje od stryja pamiątkę po Lubie: drewnianą łódź z mosiężnymi postaciami murzyńskich rybaków i czarną drewnianą figurkę stylizowaną na egipską rzeźbę.

Szulc ucieka z dwiema córkami, Lidią i Żenią, do Polski. Jego żona umiera wcześniej. Także traci syna. Macocha znęca się nad Lidią. Siostra osiedla się po latach chyba w Gdańsku. Obie Szulców nie utrzymują kontaktu. Obrażanie się na synów, męża, siostrę, koleżanki, znajomych, sąsiadów staje się prawie od zawsze cechą dominującą Lidii. W Grajewie pracuje w urzędzie celnym na granicy z Rosją. Zostaje pod przymusem wydana za mąż za najbogatszego kupca grajewskiego. Ma na to wpływ jej staropanieństwo i pewne problemy zdrowotne, mimo że kobietą jest piękną, o urodzie filmowej. Małżonek dużo od niej starszy, prawdopodobnie mało atrakcyjny erotycznie i niespecjalnie zainteresowany seksualnością, więc ucieka od niego. Sprawy te będą miały potem ogromne znaczenie, ale już nie dla niej. Emocje, traumy, wrażliwości, tak jak złośliwe geny, będą się przenosiły z pokolenia na pokolenie, dając zarabiać psychoterapeutom i przynosząc chlubę teoriom freudowskim. Liduś z radcą prawnym Jerzym przemierza Polskę wzdłuż i wszerz. Warszawa,

Jelenia Góra, Bolesławiec, Piotrków Trybunalski (kolejność przypadkowa). Być może to nie wszystko. W kolejnych miejscach pobytu rodzi troje dzieci. Umiera małeńka Lena. W szafie, stanowiącej wnękę w przedpokoju (charakterystyczna rzecz dla mieszkań w budynkach, jeszcze ceglanych, wznoszonych w Polsce w latach 60.), Jurek znajduje szmacianą lalkę. To zabawka jego ciotki. Nie widział jej nigdy na zdjęciu, podobnie jak ciotecznej babki Luby.

Już w XXI wieku Jurek ze swoim stryjem odwiedzili Dolny Śląsk. Szeregowe budownictwo nad rzeką w Bolesławcu: stamtąd prowadziła ścieżka do zadrzewionego brzegu, gdzie bawili się chłopcy. Przejechali drogą do szkoły podstawowej. Pewnie także codzienną poranną dróżkę Włodka po świeże bułki, bo matka musiała mieć przygotowane śniadanie, podobnie jak i obiad. W Jeleniej Górze widzieli miejsce po księgarni, a może stali w tym samym miejscu co młodzi bracia, gdy wpatrywali się w witrynę, na której leżały trzy tomy „Winnetou” [K. May, 1956].

Książki często, niezwykle często, były przez matkę ofiarowywane dzieciom jako prezenty. Równie często potem odbierane z towarzyszącym ruganiem za wymyślone lub prawdziwe drobne przewinienia, obrażaniem, irytacją, późniejszym milczeniem. Obrzędem było korzenie się, przepraszanie, przeblaganie. Można sobie wyobrazić, że kobieta o wyniosłym sposobie bycia, z wysoko podniesioną głową, szlachetnie zarysowanym nosem i takim samym podbródkiem w końcu zmieniała wyraz twarzy na łagodniejszy i stawała się znowu wyrozumiałą matką. Gros z tych książek znalazło się potem w jej małym mieszkaniu przy średniowiecznym kętrzyńskim murze. Szafa była zamknięta na klucz. Obok „Winnetou” leżały „Old Surehand” [K. May, 1968], „Skarb w Srebrnym Jeziorze” [K. May, 1970], „Wirgińczyk. Jeździec z równin” [O. Wister, 1964], „Pięcioksiąg Sokolego Oka” [J. F. Cooper] (chyba tylko dwie części po polsku, reszta po rosyjsku), „Dzieci kapitana Granta” [J. Verne], „Dwa lata wakacji” [J. Verne], „20 tysięcy mil podwodnej żeglugi” [J. Verne] i mnóstwo kryminałów z „jamnikiem” i „srebrnym kluczykiem”. Jeszcze na początku lat 70., a może w końcówce poprzedniego dziesięciolecia duży zbiór dziecięco-młodzieżowych lektur powędrował za starszym synem. „Wyspa skarbów”, „Porwany za młodu”, „Katriona” [wszystkie: R. L. Stevenson], „Złoto z Porto Bello” [A. D. Howden Smith], kilka pozycji Londona, Curwooda i Twaina, „W niewoli u Matabelów” [F. Behounek], „Spadkobierca z Kalkuty” [R. Sztlimark, 1970]. Inne książki chyba znalazły się w Warszawie u młodszego syna na pamiątkę dzieciństwa. Na tytułowych stronach można znaleźć dedykacje. Synom od matki i od matki synom. Wszyscy są tam „kochani”. Przy okazji urodzin, imienin, Gwiazdki.

Babcia Lidia otwierała z namaszczeniem szafę. Klucz od niej trzymała gdzieś na szafce nocnej. Wydzielala jedną książkę. Sama kładła się na prawym boku lub na wpół siedząco czytała. Wnuk leżał przy ścianie, druga lampka nocna była tuż nad jego głową. Takich wieczorów było bardzo dużo. Matka kończyła wieczorowe liceum, pracowała. Jurek szedł do babci przed wyjściem matki. Tego jednak nie pamiętał. W pamięć wryło mu się wędrowanie w niedzielę po południu kilkaset metrów do mieszkania babki na tej samej ulicy, ponieważ

szedł z tornistrem, często z workiem na strój do wychowania fizycznego. Nikt z jego kolegów tego nie robił. Dzisiaj to bardzo częsty widok.

Jak bardzo miesza się okres przedszkolny i ten z podstawówki! Oprócz tego, że babcia zaczytywała się młodzieżowymi lekturami, zachowywała się też dziecinnie w wielu innych sprawach. Jej umiłowanie książek przynosiło poniekąd zyski, bo dzięki temu wnuk poznawał wszelkie możliwe tytuły, poczynając od „Bolka i Lolka” po „Pana Samochodzika”. Jednak jeżdżenie „michałkami” („czerwoniakami”) po całej trasie od początku do końca, mimo że nie wspomina tego źle, chyba nie było specjalnie wychowawcze. Czasami te wycieczki miały swój cel. Babcia zaopatrywała się w „narzędzia” i wysiadali na ostatnim przystanku, idąc w kierunku zamieszkanych łąk. Tam zbierała krowie placki, robiąc z nich później w domu nawóz do kwiatów. Cuchnęło w mieszkaniu straszliwie przez jakiś czas. Nikomu w zasadzie to nie przeszkadzało, bo nikt babci nie odwiedzał. Poza jedną osobą... Cuchnęło także strasznie w kuchni. Pod oknem był blat ukrywający spiżarkę, w której stały między innymi znakomite konfitury. Ogromne słoje z twardego, grubego szkła. Jakby niepolskie... W środku równie twarda konfitura. i tak samo niedościgle smaczna. Ale okropny zapach to oczywiście nie konfitury. Te pachniały. Rzecz w pelargoniiach, które stały po lewej na szerokim blacie. Wnuk tam jadał i bardzo często przesiadywał oparty łokciami czy całym tułowiem, wpatrując się okno. Kwiaty były w doniczkach, może w skrzynkach. Śmierdziały używanymi skarpetami, przepoconymi butami. Do tej pory ich widok przyprawia go o mdłości. Inaczej z babcynym balkonem: różnokolorowe bratki, szczególnie brązowe, aksamitne, niebieskie, żółte wzbudzają w nim uśmiech, powodują rozrzewnienie. Podobne wyprawy urządzali na cmentarz. Chciałoby się napisać, że na groby jej męża i starszego syna, ale to nie do końca tak było. Wnuk pamięta jedynie grzebanie w stercie zeschłych kwiatów, liści, gałązek, ziemi i popękanych glinianych zniczy. Babcia wyciągała stamtąd воск, parafinę i topiła na kuchence, robiąc swoje własne znicze. Dziecięce umiłowanie tworzenia? Może potrzeba tamtych czasów? Najpierw w kuchni na poniemieckiej szafce, potem w kuchni na peerelowskim stole leżało pudełko z landrynkami wydzielanymi podobnie jak książki. Tak samo jak zbierane książki kompletowane były opakowania, pudełeczka, kartoniki po polskich i zagranicznych słodyczach. Książki były pełne zakładek po tabliczkach czekolady. Między książkami i w kuchennych szafkach stały dumnie nestle, suchardy, wedle. W późniejszym czasie, w miarę chyba częstszych pobytów młodszego syna za granicą, pudełka zaczynały się pojawiać na szafkach i biblioteczne w pokoju. Kolor, szczególnie zagraniczny, nęcił ją, kusił, przyprawiał wręcz o kleptomanie. Być może dlatego, że z powodu swoich bardziej lub mniej wyimaginowanych chorób musiała zanosić lekarzowi za prywatne leczenie bakszysze pochodzące zza zachodniej granicy. Czasami przybierało to zachowanie groźną formę. Z paczki otrzymanej od stryja z Niemiec Zachodnich jako wyprawka szkolna wnuk Lidii został pozbawiony większości czarno-żółtych jak pszczoły ołówków Staedtlera. Czy ocalały gumki i temperówki? Na pewno szkolne zeszyty. A babcia ich nie używała. Po jej śmierci znaleziono ich mnóstwo poupychanych w szafkach i szafkach. To zrozumiałe, że leżały spokojnie i przez nikogo nienagabywane. Do toaletki babci nie można się było nawet zbliżyć.

Telewizor obsługiwała tylko ona. Kontakt (przekręcany) od światła w łazience umiała uruchamiać tylko ona, przy okazji obsztorcowując wnuka. Skądinąd zawsze szybko przybywała do łazienki na jego wołanie, żeby pomóc, a może wykonać za niego wszystkie czynności higieniczne. Właśnie, była to pomoc, nauka czy pokaz, że ona wie i umie najlepiej? Potrafiła być niezwykle cwana w gromadzeniu rzeczy, na których jej zależało. Kompletnie niepotrzebny jej słownik niemiecko-polski i polsko-niemiecki w kieszonkowym wydaniu, będący własnością jej syna, zdobyła, omotawszy wnuka tak, że przyniósł go z domu i oddał babci. Książeczka w czerwonej, laminowanej okładce leżała potem kilka lat przy jej łóżku. Potrzeba zajmowania się wnukiem była coraz rzadsza. Wnuk wołał przebywać w towarzystwie rówieśników. Czasami do niej zachodził. Najpierw po pieniądze na książki, lody. Pamiętał, jak wysyłała go do pobliskiej budki, napominając, żeby kupić dla siebie i dla niej. Z powrotem biegł. Budka stała niedaleko kiosku RUCH-u. Tam kupowała zawsze „Gazetę Olsztyńską” i „Przekrój”. Wizyty się skończyły. Została jej tylko synowa, w końcu zmieniane jak rękawiczki opiekunki, które „kradły” i „oszukiwały”. W szpitalu umarła, jak powiedzieli, „na własne życzenie”. Być może przy łóżku szpitalnym stałby wnuk, ale lata wcześniej, gdzieś w początkach lat 80., w Instytucie Matki i Dziecka w Warszawie psycholog zakazała kontaktów z babcią. Podobnie omawia tamte czasy psycholog w 2017 roku. Czy tak samo jak do wnuka psycholog mówiłaby do Jerzego, młodszego brata Jerzego, Włodka?

Z któregoś z polskich miast na polecenie Lidii Jerzy wyjechał w poszukiwaniu pracy. Oprócz niej miał znaleźć mieszkanie, przewieźć rzeczy i przygotować wszystko na powitanie małżonki z dziećmi. Czy było coś przed akwariem? Nie wiadomo. Prawie naprzeciwko kościoła św. Jerzego i parafii ewangelicko-augsburskiej. Bardzo blisko dawnej synagogi wciśniętej w szereg kamieniczek. Zatem między świątyniami a zamkiem krzyżackim mieszkwały w Kętrzynie grube ryby. Dostojnie pływały po akwariu. Dwa pokoje. Ten z balkonem był wyłącznie Lidii. Zawsze zamknięte drzwi. Łazienka z ubikacją razem przy tymże pokoju, w którym stał, rzecz jasna, telewizor. Potem kuchnia. Podobnie jak przedpokój wydawała się obszerna. To w łazience Jerzy golił się rano i wyśpiewywał: *Tirli, tirli*, a Liduś grzmiła z pokoju: *Jerzy, uspokój się, bo nie wytrzymam!* To częste ruganie męża zostało kiedyś specyficznie zapamiętane przez wnuczka. Babcia gotując wodę na herbatę (już w kolejnym mieszkaniu, po śmierci Jerzego), rzuciła taką uwagę, prowadząc wnuka do kuchni: *Popatrz, Jureczku, dziadek, gdy tylko woda zaczynała się gotować, od razu wyłączał gaz pod czajnikiem. Tak się nie robi. Trzeba poczekać, żeby woda się dłużej gotowała.* W większym pokoju mieszkali Jerzy, Jurek, Jureczek i Stefa. Ile tam musiało być łóżek? Jerzy i Jurek szli do pracy. W mniemaniu Lidii nie musieli się wysypiać. Odpoczywać musiały tylko ona. Codzienne furie musiały kosztować ją dużo siły i nerwów. Jak choćby ta, kiedy przycisnęła stołem ciężarną synową. Wsiowa Ukrainka, więc jej się należało.

Ale Lidia miewała także dobre serce, łaskawe. Lubiała dawać prezenty. Pewnie dlatego, że oczekiwała wdzięczności, podziękowań, formy hołubienia i pomnikowania. Jedno z najwcześniejszych wspomnień wnuka to obraz Bożego Narodzenia, gdy każdy znajdował pod talerzem

monetę. Wzruszająca była scena z prześlicznymi wschodnimi figurkami metaforyzującymi Świętego Mikołaja, Gwiazdora, Dziadka Piaskowego... Gdzie one się podziały? Niewątpliwie oglądał je batiuszka, pop, który dość często, jak na życie towarzyskie Lidii, odwiedzał ją po śmierci Jerzego. O ile babcia miała swoje tylko i wyłącznie dla niej przeznaczone miejsce na szczycie stołu, to ustępowała je jedynie temu gościowi. Miał rumianą, przyjazną twarz, wziętą wprost z kolorowych ilustracji do rosyjskich baśni. Mówił pięknym językiem polskim z jeszcze bardziej urodziwym, śpiewnym akcentem rosyjskim, wplatając oczywiście rusycyzmy, których w miarę upływu lat bywało coraz mniej niestety. Na stole między nim a babcią pojawiały się podczas tych odwiedzin odświętne konfitury na drobnych, różowych deserowych talerzykach. Nieodłączna była butelka wina, może nawet dwie. Rozmawiali między sobą po rosyjsku. Jedynie gdy zwracali się do wnuczka Lidii, siedzącego na wersalce w odległości mniej więcej dwóch metrów, przechodzili na polski. Siedzieć na tej wersalce to nie było co. Jedna jej strona była obłożona poduszkami w misterny sposób. Jakby sztuka dekoracji wnętrz, sztuka układania bukietów zen. Ich nienaruszalność była święta, tak jak większość tego, co znajdowało się w mieszkaniu. Świętość i rytuał określały mir domowy. Bzdurne przepłatały się z normalnymi, higienicznymi, właściwymi. Babcia wysyłała wnuka do kuchni na śniadanie. Sama wkładała coś w rodzaju domowego płaszcza, otwierała szeroko balkon i trzepała, wietrzyła pościel, ścieląc łóżko. Codziennie.

Tak jak bez wątpliwości mąż i synowie nie czuli się swobodnie przy Lidii, tak wnuczkom czasami dawała poczucie bezpieczeństwa. Cerkiew przytłaczała kolorem ikon i zapachem kadzideł. Jakby nigdy, oprócz kaznodziei, nie było tam ludzi. Obok stała ona. Nie klęczała. To przez nogę. Obrzmiała, opuchnięta, codziennie smarowaną przeróżnymi maściami przed bądź po gimnastyce ramion i dłoni. Po wielu latach doczekała się czy też zgodziła na operację w Warszawie. Odwiedziny były konieczne w ramach obrzędu hołubienia. Stała zatem. Trzymała może za rękę? Ścisłała? Obejmowała? Opierała się ze względu na dokuczający ból i ciężar nogi? Jej dumna, wyprostowana pewność siebie nie przytłaczała, ale dawała poczucie schronienia, którego nie było nigdzie indziej. Czy ona czuła się wówczas jak w dziadkowym domu? Jakież niewidoczne łyzy płynęły? Dreszcz snuł się pod czarnym płaszczem, szarą sukienką?

Jeśli miał być preferans, to był. Podobnie jak wino, likiery, konfitury, perfumy, ciężka srebrna biżuteria, puder i gliceryna do rąk z odpowiednich szkatulek, buteleczek, które miały swoje niezachwiane miejsca pod lustrem oznaczonym z tyłu faszystowską glapą. Przy kartach każdy miał swoje miejsce i nie wzbudzało to żadnego sprzeciwu. To dziwne, jak każda śmierć, zmiana w życiu babci Lidii przynosiły nowe zwyczaje, przenoszone na pozostałych lub nowych ludzi w jej otoczeniu.

Remont nie zmienił tego mieszkania przy murze krzyżackim. Zabrał bratki z balkonu. Sznurki na pranie zawisły na balkonie w kompletnym chaosie. Pelargonie odeszły w niechlubną przeszłość. Z kuchni zniknęła także ogromna donica z rzeżuchą przydającą mieszkaniu, podobnie jak perfumy i gliceryna, niezapomnianej woni. Książki rozeszły się po świecie.

Podobnie skrzętnie poukładane w szafie i bieliźniarce ubrania. Drzwiczki mebli teraz pootwierane. Wszędzie wiszą inne ubrania, jeszcze kilka lat temu wożone przez Marysię na wieś do Mili przy towarzyszącym każdego razu sprzeciwie Stefy i Andrzeja. Zbierane po ludziach, otrzymywane z przeróżnych rodzajów samorządowych i kościelnych pomocy. Marysi wydawało się, że mogą nadejść bandy, może wybuchnąć wojna, nastanie głód i chłód. Po kątach do niedawna stały opakowania cukru, ryżu, kasz, oleju, mleka. Podobnie, jak kiedyś, szafki, półki i książki ozdabiały marki zachodnioniemieckich słodyczy, żeby dziecko mogło mieć w samotnych chwilach nastrój kolorowy. Własny, prywatny ikonostas dzieciństwa.

Jerzy Lengauer

Hanna BRAKONIECKA

Małe prozy życiowe

HANNA BRAKONIECKA

pisarka, rysownicza, blogerka; autorka dwóch książek małej prozy; w druku kolejna „Gdzie ja do nieba pójdę, czyli 77 opowieści o bogach naszych powszednich”.

WIĘŹNIARKA

Naprawdę musiałam się naprosić, żeby mi ta wychowawczyni pomogła. W końcu zobaczyła, że nie jestem żadną zbrodniarką, że mówię normalnym językiem, i zaprowadziła mnie do biblioteki. Wzięłam kodeksy karne i pisałam kilka godzin.

Wsadzili mnie do więzienia, gdy przyszedł wyjaśnić całą tę sytuację. Nie było mnie na rozprawie, bo przecież nie mieszkam w Mrągowie. Wyprowadziłam się od rodziców trzy lata temu, jak wyrzucił mnie ojciec. Kompletnie pijany wyzywał od darmożjadów, rozrzucał moje rzeczy. Już więcej nie chciałam tego znosić. Wyjechałam do Kętrzyna, uczyłam się, znalazłam pracę. W domu tylko spałam, nie było czasu na nic innego. Do pracy przecież dojeżdżałam do Giżycka. Do lekcji przygotowywałam się w pociągu.

Jak dwa lata temu ukradziono mi dowód, dopełniłam wszystkich formalności. Zgłosiłam na policję. To sędzia nie sprawdziła wszystkiego. Nie zauważyła, że te jazdy bez biletu nie mnie dotyczą, tylko złodziejki, która mi podpieprzyła dokumenty. Nie mogłam odebrać wezwania do zapłaty, bo nie mieszkam od lat w domu, nie mogłam odebrać wezwania do odro-

bienia nie moich opłat, bo mnie tam nie ma od trzech lat. A gdy poszłam to wszystko wyjaśnić, jakiś bandzior w mundurze wepchnął mnie na dołek i zamknął. Byłam chora, miałam wysoką gorączkę, ale to nikogo nie obchodziło.

Gdy mnie skutą zawieziono do więzienia, poprosiłam o spotkanie z psychologiem i lekarzem. Stwierdzono u mnie załamanie nerwowe. Przez dwa dni dostawałam jakieś tabletki. To był koszmarny przypadek. Przeprowadzono do mojej celi dziewczynę, którą kiedyś przyłapałam na kradzieży, bo przecież pracuję jako ochroniarka. Nie mogłam się bronić, bałam się, że przedłużą mi pobyt. No i uderzyła mnie, wepchnęła na kratę. Chodziłam potem ze szramą na twarzy.

Najgorsze było jednak to, że nie wpuścili Oleńki, mojej dziewczyny, do mnie na widzenie. Nie były dopełnione jakieś formalności. To było straszne, bałam się, tęskniłam. Wiedziałam, że to tylko dwa tygodnie. Ale to nie były moje tygodnie. To nie ja zawiniłam, a nie miałam żadnej możliwości obrony.

Niejedna z więźniarek była mi znana. Złodziejki, które przyłapywałam w sklepach. Teraz po tej samej stronie krat. Schudłam przez te dwa tygodnie sześć kilo. Jeszcze teraz budzę się w nocy ze strachem. Tylko mama wierzyła, że to, co mówię, jest prawdą. Boże, ile się nasłuchiłam o swojej nieodpowiedzialności. A to się wszystko działo poza mną, kompletnie o niczym nie wiedziałam, ani o jazdach bez biletu tamtej baby z moim dowodem, ani o nałożonych karach, ani o rozprawie. Złożyłam pozew o odszkodowanie. Oby się udało, chociażby dla satysfakcji, bo przecież nawet pracę straciłam. Za dwutygodniową nieobecność bez usprawiedliwienia. Kiedy przyszłam, na moim miejscu była ta dziewczyna, która wcześniej pracowała na zastępstwa. A dla mnie nawet takiej pracy już nie było, bo zatrudnili jej kuzynkę.

Teraz mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia. Zaprzyjaźniłam się z Kasią, która odsiaduje czteroletni wyrok za swojego faceta, który dał jej fałszywe euro, aby wymieniła w kantorze na złotówki. Młodsza ode mnie. Wsadzili ją, mimo że ma dwuletniego synka. Nie widziała go już od roku. Chora matka nie jest w stanie go dowieźć na widzenie, obiecałam, że się tym zajmę. Załatwiam formalności, żebym mogła do niej przyjeżdżać. Zawiozę jej dziecko. Może chociaż do tego przyda się mój pobyt w tym więzieniu.

MUSZĘ UMRZEĆ

Stara kobieta popatrzyła na mnie wyblakłymi oczami:

– Już nie chcę żyć. Powinnam umrzeć.

Nie dziwiłam się jej. Ja też już chętnie wybrałabym się na tamtą stronę, a przecież jestem dwadzieścia lat młodsza. Taka czuję się nasyciona. Zawsze się zresztą szybko nasycam. Sześćdziesiąt lat i starczy. Ona patrzy smutno.

– To jak wyobrażasz sobie tamtą stronę? – pytam.

– Nie wiem. Może tam nic nie ma. Tyle lat chodziłam do kościoła, ale teraz myślę, że Boga nie ma, nie czuję go zupełnie. Wiem, że są anioły, ale Bóg? Nie sądzę.

Jakie to smutne, pomyślałam. Wybierać się na tamtą stronę z poczuciem niespełnionego życia i bez wizji tego, co tam będzie.

– Ja muszę umrzeć, bo już jestem niepotrzebna. Mieszkam z córką, ale ona na mnie tylko burczy. Wnuki już nie kochają babci. Ciągłe zajęci sobą. A zięć? On mnie nie znosi, czeka na moją śmierć jak na zbawienie. A ja przecież nie za darmo tam jestem. Daję im tysiąc złotych. Dużą mam emeryturę po mężu. Starcza, żeby im dać i wnukom coś ciągle podrzucam. Ale niepotrzebna już jestem. Taka samotna.

Ach, więc nie o umieranie tu chodzi. Tylko o samotność. To nie życie się znudziło. Tylko jego bezsens.

– Chciałabym kiedyś z kimś porozmawiać. Raz stałam przy płocie, przechodził jakiś bezdomny. Ładna pogoda, zagadał, no to ja też o pogodzie i co mnie boli, on, że życie parszywe, żona z domu wyrzuciła, bo pił, to teraz się tak tuła. I tak rozmawiałam z nim o tym życiu nieudanym jego i moim. To córka zawołała z domu, żebym szybko przyszła, a potem to mi taką awanturę zrobiła, że narażam swoimi znajomościami ich rodzinę, że się kompromituję. A jak ja do niej, że nie mam do kogo słowa powiedzieć, to ona, że w domu są ludzie i można rozmawiać. E tam, taka rozmowa, ja mówię, a oni, już mówiłaś to tysiąc razy, przestań.

To prawda, patrzyłam na starą kobietę, opowiada w kółko te same smutne historie, jakby w jej życiu nie było nic pozytywnego. Taka była piękna i wesoła za młodu. Zachwycała wdziękiem, śmiechem, serdecznością. A potem wyszła za męża, poddała się despotycznemu nudziarzowi. Zrezygnowała z pracy, przyjaciółek, zainteresowań. Teraz wyklina życie. Nie pamięta nic dobrego.

– Tylko dzieci dawały mi radość – uśmiecha się nagle. – Kiedy pracowałam w przedszkolu, przyszła do mnie mała dziewczynka, miała cztery latka, i mówi: *Weż mnie na rączki. A jak ja będę duża, to ciebie będę brała.* Ciekawa jestem, kim teraz jest, co się z nią dzieje. O, teraz już sporo po sześćdziesiątce. Chyba nie dałaby już rady wziąć mnie na rączki.

19.08.2014 r.

BIEDNA DUSZA

Do mężczyzny to by nie podeszła. Oni nie są tacy chętni do pomocy. Najlepiej do starszej kobiety. Takiej w zbliżonym wieku do niej. Na przykład tej.

– Czy może mi pani dać kilka groszy na jedzenie?

Dostała trzy złote. Nie szkodzi, dobierze sobie od innej. I na co jej teraz przyszło? Na żebractwo. A przecież to życie nie takie złe było. Mogła myśleć, że na starość będzie miała spokój. Dzieci się usamodzielnia, pomoże przy wnukach, a tu taka bieda...

Łzy zakręciły się w wyblakłych oczach pani Ireny. Ten łajdak zostawił ją po czterdziestu ośmiu latach. Znalazł sobie jakąś łajzę i ona przestała się liczyć. Nie, nie wyprowadził się. Siedzi w drugim pokoiku i nastawia telewizor na cały regulator. Jak ona prosi, żeby zrobił ciszej, to on zaraz, nie przeszkadzam pani, może się pani wyprowadzić. Na pani z nią przeszedł. Taki elegancki. Bo powiedziała, widziałam cię z tamtą Mrozowską, co robiliście tacy pod rękę? A on na to, to moja kochanka, jak się nie podoba, można się wyprowadzić. Wtedy zaczęła tak płakać strasznie, bo dwa dni wcześniej była ta rocznica ślubu i choć on nigdy nie był dla niej zbyt miły, to takie bezczelne mówienie o kochance zupełnie zabrało jej grunt pod nogami i leciała w tę przepaść taka samotna, zrozpaczona i zupełnie bezradna. Jednak na drugi dzień się jakoś zebrała w sobie i przyszła do tego pokoju, w którym on sypiał, i powiedziała, że się nie zgadza na kochanki, że jest jej mężem i ona chce, żeby było tak jak przedtem, po bożemu. A on się zaczął drwiąco śmiać i powiedział jej w twarz, że wystarczy mu po bożemu, że teraz nareszcie może się porządnie poseksować, że ma dosyć kłody pod sobą i że bardzo będzie zadowolony, jak się ona wyprowadzi.

No to znów zaczęła płakać i zadzwoniła do córki, co ma robić, ale córka nie miała czasu z nią rozmawiać, bo właśnie ją facet rzucił, jak się dowiedział, że znów jest w ciąży, a ona na kuro-niówce i nie stać jej na aborcję, bo to luksus dla bogatych i niech mama już nie zawraca głowy tymi ciągłymi awanturami z tatą. Nie trzeba było być taką uległą, teraz już za późno. Niech lepiej cicho siedzi, bo to ojciec ma przecież tylko rentę, a gdzie ona się wyprowadzi, na śmietnik chyba, do zbieraczy puszek. Więc siedziała cicho i jeszcze bardziej płakała, bo też nad losem córki, która miała jeszcze gorzej. Bo jak ona zaszła w ciążę, to on choć ją zwyzywał od głupich kretynek, które tylko czyhają na faceta, żeby go usidlić, to jednak się z nią ożenił i był przez czterdzieści osiem lat.

Wszystko ją boli, jak rano wstaje. Ale to dobrze, jak bolą stawy i mięśnie, i serce, i te resztki zębów, to chociaż nie czuje, jak strasznie boli ją jej biedna dusza, co tyle lat żyła w pokorze, znosząc wrzaski i poszturchiwania, a teraz taka samotna i smutna, tylko smutna.

50

Pójdzie teraz, weźmie laskę, którą znalazła na śmietniku, podejdzie pod sklep, poszuka takiej jak ona, po sześćdziesiątce, i poprosi o złotówkę, złotówkę każda da. Będzie miała na śniadanie, a może i starczy na lizak dla wnuka.

28.04.2015 r.

BEZSENNĄ NOC

Przewróciła się na kolejny bok. Który to już z kolei kolejny? Ile miała tych boków do przewracania się w bezsenne noce? Która godzina? No nie, w pół do piątej. Za półtorej godziny powinna wstać, żeby zwlec się do pracy, jak da radę to zrobić. Nie da. Po prostu nie da. W nieprzytomności załatwiać potem te masy niezadowolonych z pretensjami. Uzasadnionymi najczęściej. Jak się pracuje w ZUS-ie i załatwia niezadowolonych, to trzeba być miłą, uprzejmą i serdeczną. Uczy tego od lat te smarkule po studiach, którym nie wiadomo, co się wydaje.

A dzisiaj, jak się zwlecze, to co się jej będzie wydawało? Jak przyjdzie kolejna emerytka z pretensjami, że emerytura nie taka, jak sama sobie naliczyła, albo kolejna właścicielka księgarenki z żalami o zawyżone opłaty. Nie zawyżone opłaty, tylko kto teraz książki sprzedaje?! Przez Internet się wszystko załatwia.

Trzeba zaraz wstawać. Zadręczą ją te myśli. Przecież wie, że taka pusta bieganina udręczeń nie przynosi niczego dobrego. Książek psychologicznych zna tyle, że sama mogłaby napisać kolejny poradnik. Na przykład: Jak sprawić, żeby bezsenność była przespana.

Po pracy jeszcze do rodziców. Tego nie odpuści. To ostatek chwili z nimi. Teraz gdy wie, że niedługo już będą na tym świecie. Tacy maleńcy, krusi. Niedostrzegalni przez innych. Mała nie zatłukła tego kutasa, który wpełznął się wczoraj przed mamę w kolejce. Taki nadęty tłuk z pustym łbem, odepchnął prawie 90-letnią staruszkę metr czterdzieści osiem. I nie wie, że jest pustym kadłubem, nic niewartym. Że jej do pięć nie dorasta, kobiecie o tak ogromnej wiedzy i mądrości. Wspaniała, ukochana przez tylu ludzi pani doktor, która niejedno życie uratowała. Kilka dni temu jakaś pacjentka popłakała się u niej w pracy, gdy zorientowała się, że jest jej córką. Opowiadała, jak mama chodziła wśród pacjentów, których operowała, jak się o nich troszczyła. Boże, do tej pory przecież pracuje, konsultuje trudne przypadki. Ciągłe jest w swoim środowisku autorytetem.

Znów się przewróciła na kolejny bok. Jeszcze tak niedawno wszystko ją wściekało w mamie. Ta jej ciągle kontrola. Traktowanie jakby była małym dzieckiem. Teraz to ją śmieszy i rozczuła. Ona sama taka malutka i delikatna, a ją sześćdziesięciolatkę poucza, żeby włożyła szalik i ciepłe majtki. Jakże to ma teraz znaczenie. Najważniejsze, żeby żyła, jeszcze żyła.

51

A ojciec, dziewięćdziesiąt trzy lata. Gazety, telewizor i ciągle potrzeba naprawy świata. Żeby było sprawiedliwe i dobrze, żeby ludzie nie cierpieli. Żeby nieuczciwi i karierowicze nie rządili tym światem. Nie umiał jej kochać tak, jak tego potrzebowała, ale przecież wpoił jej to, co najważniejsze: zasady uczciwości, dobroci, wrażliwości na cierpienie innych. Dlatego w tej swojej pracy jest tak lubiana i wszyscy chcą tylko z nią rozmawiać.

Teraz myśli z żalością o tej chwili, gdy jako siedemnastolatka wbiegła do pokoju w nowej, cudownej czerwonej mini, a ojciec prychnął i pokręcił z odrazą głową. Dziesiątki lat nie mogła mu wybaczyć, że tak zmiażdżył jednym gestem, jednym ruchem głowy jej kobiecość. Teraz rozumie, że nie potrafił inaczej wyrazić obawy o nią, lęku, że zostanie skrzywdzona. Nie potrafił. Szkoda, sama musiała się dowiedzieć, a było to trudne, że jest piękna i pożądana. Ale teraz, podskakuje na każdy dźwięk telefonu, z lękiem, czy to już, czy jeszcze żyje. A jak jedno umrze, co z drugim. Nawet nie ma jak ich wziąć do siebie. Na czwarte piętro bez windy nie dadzą rady wejść. A jakiś spacer? Kontakty z innymi?

Świta, powinna zaraz wstać. Te ciągle lęki o nich. Ta kolejna nieprzespana noc. Ale po pracy pojedzie, zrobi zakupy, zawiezie. Mama na pewno ugotuje zupę. Ciągłe jeszcze gotuje. Ciągłe smacznie. Choć czasem ma tak mało siły. Boże, żeby choć jeszcze jeden dzień, żeby to jeszcze nie dzisiaj.

6.11.2013 r.

RZEKA TO NIE TYLKO WODA

Mam ją! Nareszcie przyszła. Śliczna i roześmiana.

– O bogach – mówię – piszę naszych codziennych, tych, w których wierzymy lub nie, i ciekawa jestem bardzo, co mi opowiesz o swoich. Od razu chce opowiadać. Ja bym jeszcze prosiła trochę szczegółów o niej samej, ale gdy zaczyna, chcę jej słuchać, bo mówi bardzo ciekawie i z pasją.

– W Europie przedchrześcijańskiej – zaczyna – ludzie mieli swoich bogów, ale akceptowali to, że ci z innych plemion też mieli innych, własnych. Gdy spotykali się w czasach pokoju, siadali razem i opowiadali o nich. My, Słowianie, mieliśmy na przykład swojego Swaroga, a wikingowie Thora czy Odyna. Odrębne wierzenia wynikały z różnic mentalności narodów. Bogów wyposażano w cechy danej zbiorowości. Potrzebowaliśmy i potrzebujemy wyrażenia naszej duchowości. Ja również poszukiwałam własnej, bliskiej mi religii. Nie mogłam jej znaleźć w katolicyzmie, choć jako dziecko musiałam się temu poddawać. Ale bardzo szybko zaczęłam szukać źródeł dotyczących wierzeń Prastłowian i Prusów. Nie było jeszcze Internetu, więc mało miałam wiadomości. Zaczęłam nawet studiować filologię wschodniosłowiańską, ale wtedy przyszła fascynacja Indianami i wyjechałam do Stanów. Tam już mogłam bezpośrednio zetknąć się z kulturą Indian Ameryki Północnej. Mnóstwo literatury było na ten temat. Zachwyciło mnie to, że ci ludzie tak bardzo są związani z przyrodą, a ja właśnie w niej odnajdywałam bliskość z tym co nadprzyrodzone. Poza tym bardzo przejęłam się losem rdzennych mieszkańców. Chciałam współuczestniczyć w ich walce o prawa człowieka, które tam są ciągle łamane. Ich kultura, sztuka, a także tak bliska naturze duchowość są ciągle niszczone,

lekceważone. Rezerваты to miejsca biedy i patologii. Indianie, którym udało się stamtąd wyrwać i zdobyć wykształcenie, próbują wracać do przodków, kultywować starą kulturę. Mnie również to bardzo obchodziło. Kiedyś rozmawiałam z młodym i mądrym Indianinem, który uświadomił mi, że moje korzenie są w Europie i jeśli dobrze poszukam, to odnajdę ten wymiar duchowości, który jest mi najbliższy.

Nielatwy miałam czas, rozsypała mi się rodzina, wróciłam z córeczką do kraju. Zaczęłam szukać i odnalazłam. Teraz czuję się silną, wyzwoloną kobietą. Mogę kształtować życie według swojego planu, nie muszę się do nikogo dostosowywać, ale też nie muszę nikomu nic narzucać. Zdaję sobie sprawę z różnorodności ludzi, naszych uwarunkowań i potrzeb. I jestem szczęśliwa, mam wspaniałego partnera, idealnie dopasowanego do mnie. Totalny minimalistą, żyje tylko przyrodą. Całą Europę przejechał rowerem, wystarczy mu szałas do mieszkania. Nie dla niego wyścig szczurów. Cały rok kąpie się w jeziorze i na dodatek jak dzikus kudłaty. A przy tym ma bardzo dobre serce i kocha przyrodę.

Tutaj ucieszyłam się bardzo i od razu tę miłą gromadkę zaprosiłam do mojego ojca, który właśnie na początku kwietnia pojechał do swojej letniej chałupy w Bieszczadach, którym króluje.

A moja nowa przyjaciółka dalej opowiadała o odnajdywaniu bogactwa kulturowego Prasłowian po powrocie do Olsztyna.

– To było dla mnie olśnienie – mówiła. – Ta ich mądrość, otwartość przyciągnęła mnie i odmieniła. Potem sprowadzano do niewiedzy, prymitywizmu dawne wierzenia, a to nieprawda. Słowiańszczyzna jest wspaniała. Współistnienie z naturą jest uzdrawiające. Oni wiedzieli, że jesteśmy całością, a cywilizacja na to się zamyka. Ich religia oparta jest na wiedzy, jest związana z obserwacją Kosmosu, przyrody. Ma charakter wedyjski. Zachwyciły mnie obrzędy w świętych gajach, to, że zwierzęta traktowano czasem jako bogów. A potem przyszło chrześcijaństwo, które niszczyło z pogardą te wierzenia. Jakim szokiem i bólem musiało być dla tych ludzi to, że nagle powinni wstydzić się swojego ciała, że to, co naturalne, zaczynało być złe. Ale widzę, że znów odradza się w nas ta potrzeba powrotu do natury, do prawdy. Mamy to zapisane w genach. Gdzieś to się w nas odzywa. Najbardziej wśród kobiet. Pojawiają się kręgi kobiet, ta siostrzana więź się reaktywuje. Kiedyś bardzo byłam z tym sama, a teraz coraz więcej widzę wokół siebie ludzi podobnie czujących.

Najciekawsze jest to, że stare prasłowiańskie wierzenia ciągle, choć w niewielkim stopniu, są kultywowane. Ukryte w obrzędach chrześcijańskich mają się zupełnie dobrze. Nie dało się tego wypenić, Kościół nie dał rady. Boże Narodzenie to przecież narodziny Swaroga, boga Słońca, wtedy następuje przesilenie, Słońce powraca, idziemy znów ku światłu. Czy sfera Welesa, czyli boga rogatego, który pod ziemią miał swoje królestwo. W czasie zimy władą światem, wszystko jest skute lodem. Jest także bogiem magii i lasu, i wszystkich rogatych zwierząt, a także władcą zaświatów. Zmiany w przyrodzie łączyły się z określonymi obrzędami religij-

nymi. Mój ulubiony kult Matki Ziemi – Mokosz. Święto Matki Boskiej Zielnej wywodzi się jeszcze z pogańskich czasów. Wtedy się czciło to, co ziemia daje, kwiaty, plony. Chrześcijanie często nie zdają sobie sprawy, że nadal kultywują pogaństwo. Niektóre obrzędy były jednak zabraniane. Na Boże Narodzenie ubiera się choinkę, Słowianie mieli podłazniczkę, drzewko wieszane pod sufitem. A drzewo w tamtych wierzeniach miało piękną symbolikę. Było Kosmosem. Korzenie to Nawia, czyli zmarli, przodkowie. Pień Jawia – istoty żyjące, ludzie i zwierzęta, a w koronie – Prawia – mieszczą się bogowie.

Bóg Świątowit czy Światowid też bardzo ciekawa postać. Różne źródła różnie go określają, ja lubię tę nazwę od światła. To był wielki bóg, w niektórych plemionach nie można było nawet wymawiać jego imienia. Był wszechbogiem odnoszącym się do Kosmosu, był tą najwyższą Energią. Ma cztery twarze, które łączy nakrycie głowy w jedność. Żałuję bardzo, że nie możemy dotrzeć do tych najbardziej pierwotnych źródeł opowiadających o nim.

Bardzo interesują mnie wierzenia związane z lasem. Potem była już kultura agrarna, ale te pierwotne wierzenia, tak mocno zanurzone w świecie drzew i zwierząt, najbardziej mnie fascynują. Wtedy zabijano tyle zwierząt, ile było potrzebne, i przepaszano ducha zwierzęcia, dziękowano mu za ofiarę. Teraz uprawia się po prostu mordy. Ważna była ofiara, bo dawano bogom ofiary. Ze zwierząt, ale także ludzi. Inny był stosunek do śmierci, to było przejście w dal-sze istnienie, a poświęcenie życia było zaszczytem. Miało wymiar duchowy, nie było, tak jak teraz się to interpretuje, czymś bezsensownym.

Rozmawiamy w Wielki Piątek, więc o świętach też kilka słów.

– Wielkanoc to Jare Gody, a Boże Narodzenie Szczodre Gody. Zawsze obchodzimy je w gronie rodzinnym. Jeszcze Kupała i Święto Plonów. Wszystkie rytuały związane są z porami roku, równonocą i przesileniem. Często obrzędy obchodzimy w gronie przyjaciół, którzy jak my kultywują pradawne wierzenia. To są piękne chwile, jest nas dużo, spotykamy się w lesie. I ja często występuję w roli kapłanki. Są śpiewy przy bębenku, tańce, ognisko. Jedzenie, picie, nie tylko dla nas, ale także dla Swarożycy, boga ognia i słońca. A kiedy są dziady, wspominamy przodków. Ja rozstawiam zdjęcia, świeczki, daję im jedzenie. Czuję ich obecność. Moja babcia ukochana opowiadała mi o nich, więc jestem z nimi blisko, choć nie wszystkich ich znałam. Często wtedy idziemy większą gromadą do lasu i przy ognisku wystawiamy swych przodków. Mamy róg, z którego pijemy po kolei miód. A po obrzędzie, gdy się krąg rozpina, zaczynają się śpiewy i biesiadowanie. Zawsze stawiamy też talerz dla przodka.

To, że kultywujemy właśnie tę wiarę przodków, daje ogromną siłę. Zachwycamy się różnorodnością, a jednocześnie jesteśmy dumni, pewni tego, w co wierzymy, czujemy siłę płynącą z naszej ziemi.

W czasie obrzędów ubieram się w białą szatę, która symbolizuje światło. Mnóstwo mam ubiorów w mojej etnoskrzyni. Niektóre obrzędowe, inne ludowe. Nie zdajemy sobie sprawy, że dawne hafty miały też swoją symbolikę. W moim domu wisi obwieszona wiankami czaszka renifera i dużo symboli słońca. Chcę być po jasnej stronie mocy, choć ta ciemna też czasem wciąga. A wtedy muszę się izolować.

Moja modlitwa ma najczęściej charakter medytacji w lesie. Wtedy się skupiam, łączę z duchem lasu, z tą największą siłą. Dotykam drzew, które jak anteny biorą energię z Kosmosu. I czuję, jak ta siła mi pomaga, słucha mnie, wypełnia. Bo wszyscy jesteśmy ze sobą połączeni, ludzie, rośliny, zwierzęta. Jesteśmy przecież całością. To było piękne, że te ludy pierwotne zdawały sobie z tego sprawę. Na przykład rzeka. To nie jest tak, że to tylko woda, która sobie płynie. W niej jest duch, który tę wodę pcha. Indianie też wierzyli, że wszystko: zwierzęta, rośliny, ziemia, ma swoją duszę.

I ludzie też mają w sobie dobrą energię. Szukam właśnie takich, a nawet jak bardzo różnimy się od siebie, to staram się znaleźć wspólną płaszczyznę.

I my tę wspólną płaszczyznę znalazłyśmy ze sobą natychmiast, a myślę, że jeszcze więcej tych płaszczyzn odnajdziemy.

15.04.2017 r.

Hanna Brakoniecka

Ewa KOZŁOWSKA

Paris – eine neue Heimat?

EWA KOZŁOWSKA

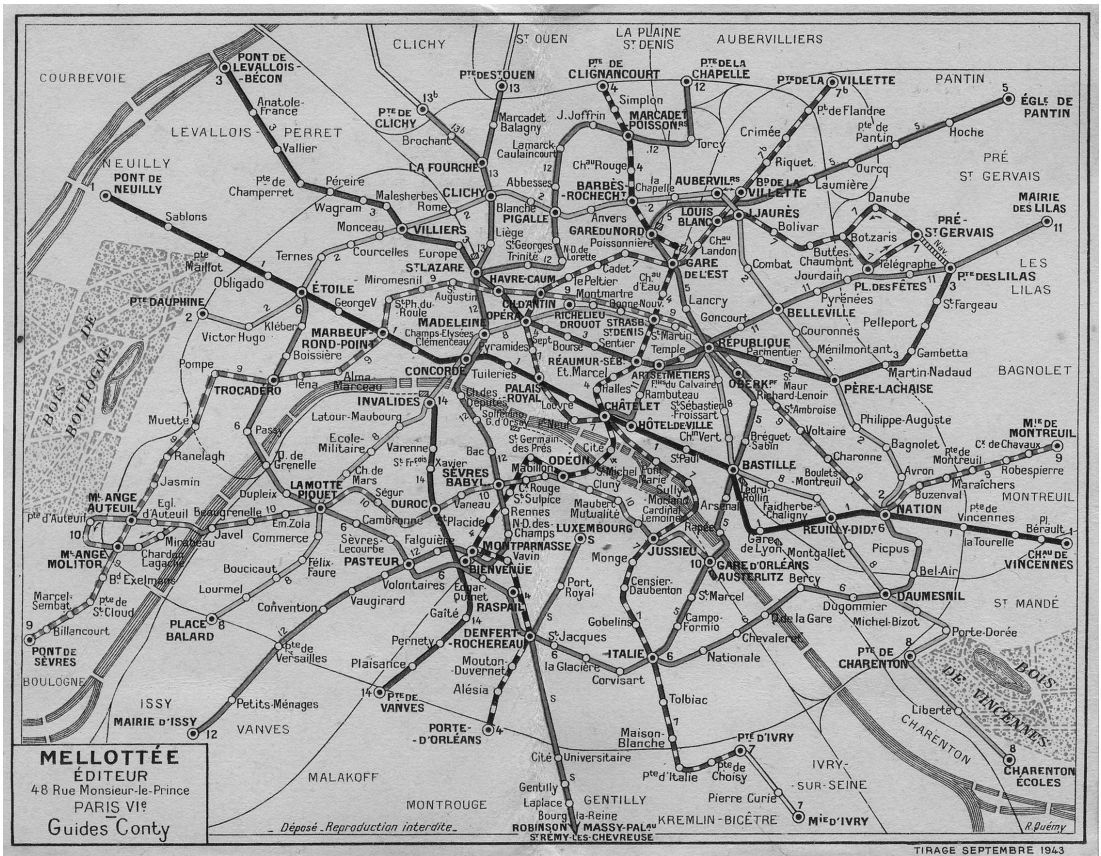
romanistka, tłumaczka, publicystka, artystka fotografik, autorka licznych wystaw fotograficznych w kraju i za granicą, regionalistka; mieszka w Olecku i Paryżu; ostatnio opublikowała „Krótkie historie” (2017).

Tout ce qui est ailleurs est à Paris

Victor Hugo, „Les Misérables”

Idąc kilka lat temu na spotkanie z pewną 90-letnią kobietą, pochodzącą ze wsi położonej pod Oleckiem, byłam pewna swoich przyzwyczajęń. Rozmowa miała dotyczyć przedwojennej epoki, odnajdywania się w tej powojennej oraz nostalgicznego (bądź też i nie) spojrzenia na przeszłość. Ku memu zdziwieniu rozmowa potoczyła się w zupełnie innym kierunku. Otóż w małym domku na wsi zastałam kobietę, której najczulszym wspomnieniem był pobyt w Paryżu, a do najcenniejszych pamiątek należały: przechowywany w drewnianym puzderku plan paryskiego metra i ostatni użyty w tym mieście bilet. Reszta życia to dla niej już tylko powrót do domu i przez dekady nic równie istotnego jak marzenie o tym, by kiedyś jeszcze chociaż przez chwilę zasmakować wina w paryskiej kafejce, z widokiem na licznych przechodniów. To spotkanie było więc inne, niż mogłam przypuszczać, ale przede wszystkim otworzyło mi także oczy na zupełnie nieznane losy mazurskich kobiet. Na te losy jak najbardziej połączone bezpośrednio z dramataми wojennymi i pruską obyczajowością, ale także i na wydarzenia,

które nie przeniknęły w żadnych opowiadaniach, a związane są z wyjazdami, z emigracją kobiet z Prus Wschodnich, z próbą wzięcia losu w swoje ręce.



Plan linii metra w Paryżu z 1943 roku | Kolekcja Kasi i Janusza Pileckich

Losy te nie są łatwe do odkrywania, gdyż już od pierwszych podejmowanych prób i analiz dostępnych danych wyraźnie ukazuje się fakt, iż jeśli chodzi o przekazy i narracje historyczne, pamięć o kobietach jest mocno ograniczona, w związku z tym trudno jest przedstawić konkretne podsumowania. Wynika to również z tego, że we wcześniejszych epokach kobiety traktowane były jako niewiele znaczące, dlatego też w większości przypadków archiwa o nich milczą, zaś te kobiety, które podejmowały aktywność pisarską (kronikarską, biograficzną), poza drobnymi wyjątkami, były negatywnie oceniane przez otoczenie, w najlepszym przypadku obojętnie, co w konsekwencji nie pozwoliło także na ich rozwój, gdyż odcięte od świata intelektualnego tkwiły w zamkniętym kręgu bierności i zdyskredytowania (Michelle Perrot, „Les Femmes ou les silences de l’histoire”). Takie społeczno-kulturowe uwarunkowania pociągnęły za sobą braki źródłowe. Dostępne dziś źródła historyczne są bardzo ubogie, szczególnie

te dotyczące emigracji z terenów pruskich do Francji, dużo dokumentów zaginęło, gdyż archiwiści nie przywiązywali do nich wagi, pozostały jednak jeszcze dokumenty autobiograficzne oraz te pochodzące od organizacji charytatywnych, które są jedynymi dostępnymi źródłami oficjalnych statystyk, jeśli chodzi o emigrację kobiet na przełomie XIX i XX wieku (np.: *Église Protestante Allemande w Paryżu* (Archiv Christuskirche)). Bardziej bogate są archiwa dotyczące emigracji kobiet w epoce międzywojennej, tej w przededniu wojny lub w czasie II wojny światowej. Emigracja ta jednak ma często zupełnie inne podstawy niż emigracja kobiet w XIX wieku.

Dostępne źródła pozwalają jednak przyrzeć się losom emigrantek z Prus Wschodnich, chociaż w analizach statystycznych traktowane są one ogólnikowo jako „niemieckie kobiety”. Dane dotyczą okresu końca XIX i początku XX wieku, aż do czasów (włącznie) II wojny światowej, pozwalają na wyciągnięcie pierwszych wniosków: liczby kobiet emigrujących w tamtych epokach oraz jakich zajęć się podejmowały na emigracji. Publikacje takie jak: *„Itinéraire de domestiques allemandes à Paris vers 1900”* autorstwa Mareike König (*„Pour une histoire européenne des femmes migrantes. Sources et méthodes, Sextant, revue du Groupe interdisciplinaire d’Études sur les Femmes”*, 2004) czy *„La place des bonnes”* autorstwa Anne Martin-Fugier, rozświetlają trochę historię tych praktycznie niezapamiętanych migracji. Informacji o losach tych kobiet dostarczają także analizy ogłoszeń zamieszczanych w prasie specjalistycznej – oferty i prośby o pracę, na bazie których można utworzyć profil emigrantek i oczekiwania dotyczące pracy.

Czym charakteryzowały się te kobiety? Jak ukazują dostępne źródła, w XIX i na początku XX wieku migrujące kobiety były z reguły młode i niezależne, z określonymi planami żywotnymi, które to plany realizowały z wytrwałością i ze strategią przystosowaną do ich sytuacji. Podczas wielu dekad młode kobiety niemieckie i niemieckojęzyczne całkowicie zdominowały krajowy rynek usług we Francji, przede wszystkim w Paryżu. Emigrowały dlatego, iż nie mogły znaleźć pracy na wsi. Opuszczały rodzinne strony na rzecz wielkich miast. Wiele z tych kobiet wyjeżdżało właśnie do Paryża, aby wykonywać rozmaite prace: pomocy domowej (*bonne à tout faire*), guwernantki i nauczycielki domowej, także kucharki. Kobiet pochodzenia niemieckiego przybyło do Paryża tyle, że w 1901 roku reprezentowały 43 procent wszystkich kobiet zatrudnionych jako pomoc domowa, pochodzących z zagranicy.

Ta migracja kobiet wtapiała się w kontekst drugiej połowy XIX wieku i była naznaczona wzrostem emancypacji w wielkich miastach, będącym wynikiem industrializacji i zmian na rynku pracy. Ta z reguły pierwsza praca stanowiła dla kobiet możliwość podjęcia pracy płatnej, co było wówczas bardzo istotne, możliwość, która jednocześnie nie wymagała wykształcenia ani posiadania zaplecza finansowego. Zapotrzebowanie na niemieckojęzyczne pomoce domowe i guwernantki było bardzo duże, gdyż cieszyły się one opinią pracowitych, ale też i ich wynagrodzenie było dużo niższe niż wynagrodzenie Francuzek. Przy okazji jako domowe nauczycielki nauczały języka niemieckiego, często nie mając jednak koniecznego w tym do-

świadczenia (same pochodziły ze środowisk, które naznaczały akcentem ich wymowę – 90 procent tych migrujących kobiet wywodziło się ze wsi, były to córki chłopów i rolników, które ukończyły szkołę w wieku 14-15 lat, w tym 75 procent w wieku 15-30 lat, większość stanu wolnego).

Jak więc wyglądało życie w Paryżu? Nie było łatwo. Ciężka praca i izolacja wynikające z tego, że kobiety pracowały przy francuskich rodzinach, których były częścią, a jednocześnie pozostawały całkowicie wyobcowane, bez prawa do urlopu i opieki lekarskiej, żyjące w tak zwanych *chambres de bonnes*, gdzie cierpiały na *mal du pays*. Często podejmowały próby walki z tą dręczącą je nostalgią, zrzeszając się w Związkach Panien (Jungfrauenvereine). Los najczęściej jednak sprzyjał tym kobietom, ale i bywało różnie. Dokąd trafiały dziewczęta i kobiety z Prus Wschodnich, którym się nie powiodło albo popadły w tarapaty?

Kobiety w potrzebie miały niewiele miejsc, dokąd mogły udać się po pomoc. Część z tych, które w wyniku utraty pracy stawały się także bezdomne, przebywała we *Foyer pour les éducatrices et les bonnes allemandes* prowadzonym przez Église Protestante Allemande z Bati-gnolles. Było to schronisko dla kobiet pracujących jako pomoc domowa oraz dla nauczycielek na bezrobociu (w archiwach SAREPTA i archiwach BODELSCHWINGH w Bielefeld znajdują się listy od diakonis o regułach i zasadach panujących w Foyer, które przestało istnieć w 48 godzin po wybuchu I wojny światowej). Przyszłe pomoce domowe i guwernantki mieszkaly także przy ulicy Fondary i alei Choisy, nie ma jednak żadnego śladu ich istnienia w dokumentacji, dane te jednak pojawiają się jako informacje adresowe zawarte w przewodnikach z tamtej epoki, skierowanych do młodych dziewcząt planujących wyjazd zagraniczy.

W 1905 roku, odpowiadając na zapotrzebowanie rynku, powstała także „Oeuvre de gare”, organizacja kościelna, która działała na paryskich dworcach, gdzie towarzyszyła i pomagała tym kobietom, które podjęły samotną podróż w poszukiwaniu pracy, będąc przekonanymi, że praca w Paryżu leży na ulicy i czeka właśnie na nie. Zwiedzione ogłoszeniami w prasie specjalistycznej stawały się ofiarami pierwszego zderzenia wyobrażeń z rzeczywistością. W podobnym duchu działało także stowarzyszenie pomocy „Hilfsverein”, które publikowało w różnych niemieckich czasopismach przestrogi, także dla tych kobiet, dla których impulsem do przyjazdu do Paryża była w 1900 roku Wystawa Światowa.

Pomimo niedogodności kobiety cieszyły się, że opuściły swoje wioski, uciekając od mierności oraz narzuconych ograniczeń i nierzadko przed zaaranżowanymi małżeństwami. Wielkie miasto było obietnicą wolności, a Paryż był dla młodych kobiet najwyższym marzeniem jako stolica mody, sztuki i kultury, niewątpliwie najwspanialsza stolica z przełomu XIX i XX wieku. Młode kobiety chciały tańczyć, chodzić do teatru i kina, odwiedzać wystawy, pragnęły rozrywek. Kupowały modne ubrania, chciały także być częścią *chic parisien* (często o tym piszą w listach do bliskich) – to był mimo trudności ich przywilej pobytu w Paryżu. Kobiety wykorzystywały także swój pobyt do nauki języka francuskiego. Pomimo iż w Paryżu dostawały

niższe stawki niż Francuzki, to i tak ich gaże były wyższe niż w Berlinie, praca była opłacalna (niektóre kobiety wysyłały bliskim część zarobionych pieniędzy). Poza skromnymi archiwami niewiele jednak wiadomo o ich sukcesach, o ewentualnych powrotach albo decyzjach o emigracji stałej. Czy jeśli powróciły do Prus Wschodnich, ich obecność była zauważalna? Czy naucały języka francuskiego? Jak przebiegała asymilacja w Paryżu tych, które zdecydowały się już na stałe uciec w inny świat? Może objawiają się nowe fakty, które pozwolą na lepsze poznanie tej części nieznanej historii.

Odwadze tych kobiet w Paryżu sprzyjała być może także prowadzona polityka na początku XX wieku oraz mazurskie pochodzenie. Mniejszość władająca językiem polskim należała do klasy najmniej uprzywilejowanej, najczęściej była to ludność wiejska, żyjąca w dużej zależności od dobrej woli stolicy, która z kolei zależała od tego, w jakim stopniu ludność ta będzie częścią niemieckiego narodu (Henri de Montfort, „L'évolution du polonisme en Prusse Orientale”, Henrie de Montfort (prof. à l'École de Hautes Études Sociales et Internationales). Nasuwa się też więc i takie pytanie: ile Mazurek, wykorzystując wyuczony język niemiecki oraz popyt francuskiego rynku pracy, szukało szczęścia w ucieczce przed trudnym życiem i coraz bardziej dominującą tożsamością niemiecką?

Jak wyglądał ogólny kontekst początku XX wieku? Oprócz prowadzonej nieprzychylniej mniejszościom polityki sytuacja gospodarcza także nie przedstawiała się optymistycznie. Zarobki odnotowane wówczas w Gumbinnen wynosiły średnio od 900 do 3000 marek – takie zarobki osiągało 26,07 procent osób pracujących (zaledwie 3 procent pracujących osiągało zarobki w wysokości ponad 3000 marek) i sytuacja materialna była gorsza od tej w Prusach Zachodnich. Zadłużenie sektora rolnego było także bardzo duże, większość własności rolnej stanowiła zastaw hipoteczny, czego konsekwencją stały się liczne licytacje (w 1930 roku dotyczyło to 511 gospodarstw mniej niż 100-hektarowych i 130 więcej niż 100-hektarowych). Jak wiadomo, to wszystko sprawiało, iż co ambitniejsze i bardziej przebojowe mieszkanki i mieszkańcy Prus Wschodnich, nie widząc możliwości rozwoju i polepszenia swego bytu, wyruszały po raz kolejny szukać szczęścia gdzieś indziej, w dużych centrach przemysłowych. Między 1861 a 1910 średnio każdego roku 16 500 osób z Prus Wschodnich opuszczało swoje tereny. Ile z tych osób to kobiety, które dotarły aż do Paryża? I jakie wynikiły z tego konsekwencje?

Wyjazdy te przyczyniały się do wyraźnego niedoboru/zmniejszenia siły roboczej. Powszechnie panowało odczucie, iż Prusy Wschodnie to kraj biedny. W konsekwencji negatywnych nastrojów ucierpiała na tym opinia kobiet emigrantek. Dokumenty pochodzące od organizacji charytatywnych ukazują społecznie akceptowany i oczekiwany ton moralizatorski, z którego wylania się za wszelką cenę kreowany negatywny obraz pracy kobiet na emigracji i ich „wolności”. Współczesne badania dyskredytują tę dokumentację i wykazują, iż podejmowany wówczas ton moralizatorski okazał się wynikiem panujących stereotypów i ograniczeń mentalnych (Thierry Ginestous, „La Solitude au village”). Były to nieuczciwe próby ponownego zaludnienia wsi – w której w większości pozostawali sami mężczyźni – kobietami. Te za-

biegi moralizatorskie sprawiły, iż w całej ówczesnej Europie funkcjonowały historie o niewinnych, wiejskich dziewczętach niemieckich, zdemoralizowanych przez wielkie, kosmopolityczne miasta, w których, aby przeżyć, były zmuszane do prostytucji.

Programy pomocowe, prowadzona polityka, ton moralizatorski wobec kobiet – to wszystko sprawiło, że przez chwilę sytuacja się poprawiła, więc pewnie i następowały skruszone powroty. Niestety, nastały wtedy też i inne czasy migracji, a Prusy Wschodnie zaludniły się kobietami, ale nie tymi, które Kościół zmuszał do powrotu. Jak pisze Marianne Peyinghaus w książce „Années paisibles à Gertlauken”, w 1939 roku wiele młodych kobiet przybyło na terytoria wschodnie, aby wziąć udział w Landdienst – ochotniczej służbie przesyczonej narodowym socjalizmem. W 1942 roku zanotowano ponad 30 tysięcy wolontariuszek (i wolontariuszy), które w pełni realizowały się w pracy dla dobra Wielkich Niemiec (tak jak Marianne Peyinghaus, która w ten sposób przybyła z Kolonii do Gertlauken (Nowaja Derewnja) i tam już została).



Paryż, lata 40. XX wieku | Fot. z kolekcji Kasi i Janusza Pileckich

W momencie kiedy w pełni rozkwitał narodowosocjalistyczny wolontariat, jedne kobiety przybywały do Prus Wschodnich, inne z nich uciekały, gdyż nie było już tam dla nich miejsca. Były to kobiety o korzeniach żydowskich, jak uciekająca z Prus Wschodnich Hannah Arendt, która nie zdążyła z Paryża uczynić swojej nowej małej ojczyzny, wyjazd z Königsberga zakończył się w obozie Gurs w pobliżu Oloron-Sainte-Marie. Jako emigrantka niemiecka, a więc jako nieprzyjaciół, nie znalazła wsparcia we Francji.

„Kobiety niemieckie” nie były już mile widziane we Francji i nie chodziło o rynek pracy. W wyniku uformowania się państw narodowych wykreował się też i nowy wróg w postaci *Innego*, którym stała się osoba pochodzenia żydowskiego. Pobyt we Francji kobiet żydowskich pochodzących z Prus Wschodnich stał się nielegalny. Za taki nielegalny pobyt groziło nawet do 3 lat więzienia. W wyniku kryminalizacji migracji osób pochodzenia żydowskiego, również i we wszystkich innych krajach Europy, sytuacja stała się trudna, niestety odpowiadała nie tylko prowadzonej polityce niemieckiej, procesowi Anschluss, ale także rosnącej powszechnie ksenofobii. Wzmocniono kontrole graniczne innych krajów Europy, które jednocześnie domagały się od Niemiec uregulowania problemu „nielegalnej emigracji”. Żydzi, w tym Hannah Arendt, nie otrzymali statusu uchodźcy i stali się nielegalnymi imigrantami. Zatrzymani, odsyłani byli do obozów, które mogli opuścić, tylko jeśli pojawiałaby się możliwość legalnej emigracji. Inne państwa europejskie przystosowały przepisy do nowej sytuacji.

Pomimo takiego obrotu sprawy od 30 do 40 tys. uchodźców niemieckich przybyło do Francji pomiędzy 1930 a 1939, w tym 40 procent kobiet i 60 procent mężczyzn (Gilbert Badia, „Les Barbelés de l'exil. Études sur l'immigration allemande et autrichienne (1938-40)”). Zmieniła się też kwestia emigracji zarobkowej kobiet. Jako uchodźcy III Rzeszy przybywały do Francji po 1929 roku, ale były niemile widziane, początkowo z powodu obaw o rynek pracy i w wyniku panującego kryzysu. Obawy o rynek pracy to nie wszystkie trudności, przed jakimi stały kobiety wówczas emigrujące. Często były postrzegane jako zagrożenie, jako agenci, którzy chcieli najechać Francję i uczynić z niej drugie Niemcy, paradoksalnie dotyczyło to także niemieckich Żydów, postrzegano ich jako tych, którzy nigdy się nie zintegrują, na zawsze pozostając niemieccy (obwieszczenie ministra J. Paula-Boncoura z 4 maja 1936 roku, zacytowane przez J. Franke, „Paris – eine neue Heimat?”).

W wyniku tego podsycanego zagrożenia objawiły się nowe formy traktowania kobiet emigrantek (o niemieckich korzeniach, także żydowskich). Bynajmniej nie z powodu emancypacji traktowane były w podobny sposób co mężczyźni, a nawet gorzej. Ich charakter, apolityczny i nieszkodliwy, jak były postrzegane, nagle stał się przyczyną podejrzeń. Matki i żony stały się w mniemaniu opinii publicznej doskonałym kamuflażem dla agenta i szpiega na rzecz III Rzeszy. Podejrzane były także małżeństwa mieszane, które pozostały pod specjalnym nadzorem. Brak jakiegokolwiek działalności politycznej nie osłabił podejrzeń w stosunku do żadnej kobiety o korzeniach niemieckich. Minister spraw wewnętrznych wydawał okólniki dotyczące konieczności nadzoru niemieckich kobiet. W przededniu prawie już pewnej wojny kobiety o narodowości niemieckiej oficjalnie już ze statusu podejrzanej stały się zagrożeniem, niemieckim kobietom odmawiano przyznania narodowości francuskiej. Kobietom uważniej też urzędnicy przyglądali się pod względem moralności (także i przed przybyciem do Francji) i żądali gwarancji stabilności małżeństwa („Le Mouvement Social”, 2008, „Réfugié(e)s”).

Od połowy XIX wieku kobiety z Prus Wschodnich, jak i inne kobiety z Rzeszy, emigrowały, w tym także do Paryża. Uciekały od marazmu i biedy, losu, na który się nie godziły. Uciekały,

gdyż mając korzenie żydowskie, nie bardzo widziały w pruskiej rzeczywistości dla siebie miejsce albo nie odnajdywały się w dominującej tożsamości, szukając od niej ucieczki. Często miejsce przeznaczenia tej migracji stanowiła Francja, w szczególności Paryż, z wyboru lub z konieczności. Były mile widziane lub wprost przeciwnie: raz były to pożądane przez rynek pracy niemieckie pomoce domowe i guwernantki, a raz potencjalni szpiedzy lub nielegalne emigrantki. Były też takie kobiety, które nie opuściły swego miejsca urodzenia, jak choćby ta, jeżdżąca w latach 40. XX wieku na łyżwach po mazurskim jeziorze, zapamiętana – jako wyobrażenie normalności i wolności w czasach wojny – przez pewnego jeńca francuskiego przebywającego na Mazurach w czasie II wojny światowej, skazanego na przymusową emigrację.



Paryż, lata 40. XX wieku. Widok na Sekwanę i wieżę Eiffla | Fot. z kolekcji Kasi i Janusza Pileckich

Kobiety, często postrzegane są stereotypowo jako strażniczki tradycji i domatorki, w rzeczywistości zawsze były istotną częścią migracji. W 2005 roku osoby migrujące to 3 procent (191 milionów) całej ziemskiej populacji, w tym 49,6 procent to kobiety. Spotkana we wsi pod Oleckiem starsza kobieta jest jedną z nich. Podczas spotkania spytała mnie tonem rozbawionym o to, czy wieża Eiffla wciąż stoi. Dziś do najbliższej drogi asfaltowej ma kilka kilometrów i zapewne jej życie różni się od tego, które wiodła w Paryżu. Z mniejszą nostalgią powraca w opowieściach do lat powojennych. Natomiast od kilkudziesięciu lat życie jej płynie w tym samym miejscu, w którym się urodziła przed wojną. Nauczyła się mówić po polsku. Przeraża ją brak dyscypliny wśród młodych oraz zapał ludzi do wojny.

Ewa SCHILLING

Płacz po Toltekach

EWA SCHILLING

ur. 1971, studiowała na ART w Olsztynie; pisarka, felietonistka, autorka czterech książek; ostatnia pt. „Głupiec” ukazała się również po słowniku (2015).

Przed napisaniem tego tekstu myślałam o przeszłości. Opowieściach, ocalonych przedmiotach, wspomnieniach. O tym, jak ta przeszłość wystaje spod terazniejszości, nie daje o sobie zapomnieć, dogania. O tym, jak budzi wzruszenie albo lęk. O tym, gdzie sięgam za pośrednictwem mojej matki czy ojca, babci, dziadka – wszystkich osób w rodzinie, o których coś wiem – w jakie czasy i miejsca. Bo jest przecież tak, jakby się sięgało niematerialnymi palcami, grzebało w przeszłości jak w ziemi. Jakby się dosięgało z jednej strony armii napoleońskiej w czasie odwrotu spod Moskwy, a z drugiej Olsztyna zimą '45, kiedy żołnierze Armii Czerwonej szykowali się do rozstrzelania pewnej rodziny. Jak łatwo się domyślić, gdyby to zrobili, tego tekstu nie miałby kto pisać.

O tym, że przeszłość na swój sposób uwodzi. Idzie się w to samo miejsce, dotyka tych samych rzeczy co ludzie, których nie ma. Powtarza ich gesty.

Czy jest w tym coś złego?

Kiedy ja grzebię w historii mojej rodziny? Nie. Kiedy ktoś spisuje opowieści świadków, szuka starych dokumentów, zdjęć, przedmiotów, śladów życia? Nie. A kiedy zabierają się do tego państwa, społeczeństwa, kiedy powstają kultury i narracje, tematy tabu

i obowiązki patriotyczne, jedynie słuszne interpretacje, kiedy ustanawiane są dowody na odwieczną obecność na danych terenach, kiedy zapadają postanowienia, kto był od zarania dziejów niewinną ofiarą, a kto wyłącznie nieludzkim najeźdźcą? Kiedy dzięki temu staje się oczywiste, że historia jest po naszej stronie? Że daje nam niezbywalne prawa do traktowania innych z góry i wypominania im krzywd powstałych od początku pamięci?

Co na pewnym poziomie oznacza kultywowanie tradycji, zachwywanie się tradycją, odwoływanie się do tradycji? Oznacza wiarę w to, że forma jest ważniejsza od treści. Przeszłość od terażniejszości i przyszłości. Ważne jest, żeby wiedzieć, jak wyglądał mundur lisowczyka, XVIII-wieczna chata i XIX-wieczna makatka. Oznacza wpatrywanie się w ocalałe kołowrotki, kafle, hafty i szable, dzbanki i karabiny, buty, biżuterię, wsłuchiwanie się w pieśni i przyspiewki, wczytywanie w spisy i świadectwa.

Oznacza wpatrywanie się, wsłuchiwanie się i czytanie, które zostawia nas tam, gdzie jesteśmy. Nie, nie, refleksje o przeszłości, jakie można snuć nad kołowrotkiem czy szablą, nie rozwiązują problemu. Jedynym sposobem na wyjście z ustalonej pozycji byłoby poznanie mężczyzny wymachującego tą szablą, ślęczącej nad kołowrotkiem kobiety, względnie odwrotnie. (Większa szansa istnieje chyba na kobietę z szablą). I nie o to wcale chodzi, żeby wgłębiać się w to, jakim językiem mówili i do jakiego narodu się przyznawali. Musielibyśmy poznać ich w całkiem inny sposób, właściwy poezji, a nie historii. Trzeba byłoby poznać i ich strach, i marzenia, gniew i czułość. Czy lubili swoje ciała, czy godzili się z tym, jak się ich postrzega, czy nie. Trzeba byłoby skrupulatnie przestudiować ich mikroświaty. Strach przed nocą poślubną, strach przed gwałtem, Bogiem, przed śmiercią; marzenia o tym, żeby nie umierać na wojnie, nie ginąć w małżeństwie. Wstydlive fascynacje. Fantazje – o seksie, o władzy, o zabijaniu, o ujrzeniu przeblysku Boga. Co uważali za sprawiedliwe? Czy śniło im się że – być może jeszcze zanim umrą – zasady, których uczono – nierzadko przemocą – mogą zostać zakwestionowane? Jak mówił bohater pewnej książki: całe życie uczono mnie, że czarni są gorsi, a potem nagle zasady się zmieniły.

Oczywiście bez wehikułu czasu nigdy się nie dowiemy, co myśleli i o czym śnili. Przeblyski poetyckiej intuicji to wszystko, na co można liczyć. (Pamiętniki pisali nieliczni, pamiętniki nigdy nie są dość szczere, szczegółowe i uczciwe).

Ale są też ludzie, którzy żyją w tej samej chwili co my; zamiast otchłani czasu dzieli nas otchłań obcości. Ostatnio w Polsce ludzie ci noszą na ogół obrzydliwe, idiotyczne miano „ciapatych”. Ale oczywiście obcym, chociaż nie ciapatym, może zostać każdy, wystarczy, że zmieni miejsce zamieszkania. Albo historia zmieni je za niego; nie trzeba było ruszać się ze swojej wioski, żeby być na przykład obywatelem Austro-Węgier, Polski, Rosji i znów Polski. Nie trzeba się też było ruszać z Warmii czy Mazur, żeby po II wojnie oficjalnie albo tylko w powszechnym mniemaniu zostać Niemcem/Niemką albo Polakiem/Polką, chociaż się było tutejszym/tutejszą i mówiło „po naszemu”.

Tak samo nic i nigdy nas do nich nie zbliży, jeśli nie poznamy ich od strony codzienności i banału. Co oczywiście jest prawie niemożliwe, bo nie można zjeść śniadania z Faridą i wypić kawy z Raszidem, jeśli nigdy nie przekroczą granic Polski. Nigdy nie dowiemy się, co bawi Samirę i czego wstydzi się Hassan. Co Amira chciałaby wiedzieć o seksie, tylko boi się zapytać. Dlaczego Ismael z Aleppo nie chciał umierać w tej brudnej grze prowadzonej przez Rosję, Iran i Turcję, można się domyśleć, ale może ważniejsze jest, że skrycie nienawidzi ojca?

Antologia „Borussii” [„Borussia. Ziemia i ludzie. Antologia literacka”, Olsztyn 1999], którą mam na półce i czasem po raz kolejny przeglądam, zaczyna się od „Ojczy nasz” po prusku. To piękna ciekawostka. To martwa ciekawostka. Bez głosu, który mógłby wypowiedzieć tę modlitwę. Bo Prusów już nie ma. Zostały rozproszone anonimowe geny, w ludziach, którzy nie mają o tym pojęcia. I chociaż zachował się ten tekst i parę innych informacji, nikt już chyba po Prusach nie płacze. A minęło zaledwie kilkaset lat. Istnienia plemion i cywilizacji wcześniejszych większość ludzi nie jest w ogóle świadoma. Kto płacze po Toltekach? Kto wie, że były ludy objęte tą nazwą? I czy tak trudno wyobrazić sobie, że na przykład kiedyś nie będzie komu (i nie mam na myśli skutków bomby atomowej) płakać po białych Europejczykach? Czy tak trudno wyobrazić sobie, że przeminie kultura polskich ruskich pierogów, disco polo, programów typu „Mam talent”, rolników z widłami, górników palących opony, Kościoła katolickiego broniącego pedofilów, popłuczyn po ONR. Polbruku i reportaży, memów i konkursów chopinowskich, prób zmuszania kobiet do rodzenia, kulejącej kultury fizycznej – i nawet, nawet „Borussii”? Nie da się chyba tego ogarnąć wyobraźnią, w pewnym sensie to jak wyobrażenie sobie śmierci. Czy może życia po śmierci. A jednak niektórzy myśląc o śmierci, starają się lepiej żyć. Może gdyby świadomość przemijania była też właściwością narodów/społeczzeństw, najwyższą racją nie byłoby to, czy 500 lat między Odrą a Bugiem, nad Łyną itp. będą żyć Polacy, którzy oprócz kołowrotków, szabel i makatek będą przechowywać pamiątki początku XXI wieku – cokolwiek by to było, Polacy, którzy na pamięć znają hymn i przyspiewki Legii, i „Ona tańczy dla mnie”. A nawet wiersze Szymborskiej, chociaż osobiście mam nadzieję, że przetrwają, bo więcej w nich sensu niż w wielu świętych księgach. I we wszystkich hymnach państwowych. Mniej byłoby ważne, czy ten hymn w ogóle istnieje i jaki ci ludzie mają kolor skóry. Może byłoby ważniejsze, czy kobiety muszą tam udowadniać, że nie są tym, za co uważał je Tomasz z Akwinu czy Augustyn (przez Kościół ogłoszeni świętymi) oraz ortodoksi judaizmu, islamu i wszelkich innych religii, wierzeń czy systemów czarnej magii. Czy istnieją rzeźnie. Czy związki ludzi tej samej płci uważane są za oczywiste. Czy są tam jeszcze jacyś kibole, czy już wyewoluowali do kibiców. Czy ci ludzie kochają drzewa i czy gwałt dalej zbywa się słowami: jak suka nie da, pies nie weźmie.

A czy mówią po polsku, czy po arabsku, czy czymś pomiędzy?

Straszne? Bo utracilibyśmy swoją tożsamość. Swoją chwilową, zmienną, migotliwą, niepodobną do tej sprzed wieków tożsamość?

Tradycja bywa mordowaniem, okaleczaniem, zjadaniem ludzi i zwierząt. Tradycją ludzie określają swoją tożsamość tak desperacko, jak gdyby bez zabójstw honorowych, obrzezania kobiet, polowań czy przynależności do Kościoła mieli zmienić się w jakąś szarą galaretę. Tożsamości są czasem przerażająco jednolite, innym razem złożone z kawałków, które nie zawsze pasują, ale najgorsze, co się może zdarzyć i co się zdarza, to sytuacja analogiczna do działania tolkienowskiego Pierścienia: przedmiot posiadający posiadacza. Bardzo często to nie ludzie mają tożsamość, to tożsamość ich ma. I trzyma pazurami.

Bardzo rzadko próbują stworzyć tożsamość świadomie i przy użyciu wyobraźni.

Oczywiście świat, w którym nikt się nie przejmuje tym, czy nad Wisłą mówi się po arabsku, czy nie, stanowi utopię. Oczywiście nic na razie nie uprawnia do przypuszczeń, że coś podobnego może kiedykolwiek zaistnieć. Chociaż jesteśmy tu przecież poddani wielkiemu ograniczeniu: o tym, co będzie, wnioskujemy wyłącznie na podstawie tego, co było. Pojawienie się czegoś innego uważa się za nieprawdopodobne.

Ale jak zauważył David Hume, cechą charakterystyczną informacji pochodzącej z doświadczenia jest jej chaotyczność i zmienność. Nie jesteśmy też zdolni obserwować związku między przyczyną a skutkiem. Obserwujemy jedno zjawisko, potem drugie i wytwarzamy sobie ideę, że pierwsze jest skutkiem, natomiast drugie przyczyną. Może dlatego historia uczy tego, że nikogo niczego nie nauczyła.

I jeśli nawet nie ma sensu wierzyć w utopię, to jedna myśl o tym, że fundamenty naszego życia znikną kiedyś bezpowrotnie, że nikt nie będzie pamiętał debat i postów, a nawet granic i – jak w pewnym tekście Lema – Kennedy będzie być może nazywany cesarzem, miałaby swoje znaczenie. Ta myśl, że nasz obecny prezydent zostanie pomyłony z Bierutem albo carem Aleksandrem, albo jakimś piłkarzem, nasi posłowie ulotnią się jak bity z rozmagnesowanego dysku, nasze agresywne lęki zostaną skwitowane jednym zdaniem, może by coś zmieniła.

Może by też nie wypęzła z szamba podświadomości ta okrutna głupota, która kazała odsyłać uchodźców do Auschwitz. Przy tym wszystkie teksty o terrorystach (bo im religia tak nakazuje), kozojebcach, gwałcicielach, pobieraczach socjału, mordercach, pedofilach, brudasach, leniach to są drobiazgi. Ten mem to dowód na to, że moc Auschwitz jako symbolu się wyczerpuje. Bardzo szybko, bo przecież żyją jeszcze ludzie, którzy tam przetrwali. To, co najgorsze, niewypowiedziane, co próbowano opisywać, zawsze chyba z poczuciem, że coś umyka, że kto nie widział, nie zrozumie, zostało beztrosko przerobione na obrazek z podpisem szczerze wyrażającym poglądy twórców. A co, nie wolno wyrażać swoich poglądów?

To ja wyrażę pogląd, że w całej tej politycznej grze o ładnie zdefiniowanej teorii i brudnej praktyce jest jedna decyzja, która mnie zastanawia.

Merkel wpuszczająca jesienią 2015 roku milion uchodźców do Niemiec. Tylko wtedy, kiedy myślę o tej decyzji, waham się, czy była to tylko polityka, czy może coś więcej. Czy może zdarzył się jeden gest, który nad tę politykę wyrósł? To prawda, że – o czym krytycy tego gestu zapominają – konsekwencje jego nieuczynienia mogłyby być ogromne i trudne do opanowania. Milion zdesperowanych ludzi, brutalna węgierska policja – czy to by się nie równało zamieszkom i rozlewowi krwi? A jeśli zamieszki by się rozrosły i zamiast policji pojawiłoby się wojsko? Czy to można byłoby przewidzieć i ogarnąć?

Ale może panią kanclerz Angelą Merkel kierowało coś więcej niż chęć uniknięcia skutków wybuchu niekontrolowanej energii rozpacz i desperacji zatrzymanych na Węgrzech uchodźców.

Może przez chwilę błysnęła jej myśl: To nieważne, że statystyki narodowościowe nieco się zmienią. Że nawet Polki czy Polacy, którzy kiedyś tam przyjechali, będą potrafili powiedzieć: to już nie są moje Niemcy. Może pomyślała, że Niemcom to nic nie pomoże, jeśli będą się konserwować w narodowej formalinie. Że nie ma tysiącletnich rzesz i wiecznych cesarstw i że współcześni Niemcy byliby obcy swoim przodkom sprzed wieków nie mniej może niż Syryjczycy.

Może?

Jedno jest pewne. Gdyby do emocji stosowało się matematykę, od patriotyzmu trzeba byłoby odjąć to, jak bardzo w Polsce coś takiego jest niemożliwe. I wynik zbliżyłby się do zera.

Może ktoś kiedyś z tego powodu nad nami zapłacze.

Ewa Schilling

Joanna SZYDŁOWSKA

Mazurska mandala Rodzina – kobieta – tekst

JOANNA SZYDŁOWSKA

olsztynianka, prof. dr hab. w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Zajmuje się genologią dziennikarską oraz medialnym i literackim zapisem doświadczeń pogranicza kulturowego. Autorka monografii reportażu polskiego „Warmia i Mazury w reportażu polskim w latach 1945-1980. O tożsamości bohaterów, miejsc i zdarzeń” (Olsztyn 2001) oraz pracy o sposobach kreacji dyskursu o ziemiach włączonych do Polski w wyniku rozstrzygnięć II wojny światowej „Narracje pojałtańskiego Okcydentu. Literatura polska wobec pogranicza na przykładzie Warmii i Mazur (1945-1989)” (Olsztyn 2013). W zespole redakcyjnym „Borussii” od nr. 59/2017.

Zgodnie z zasadami estetyki buddyzmu mandala to motyw artystyczny wyrażający doskonale połączenie koła i kwadratu. Pierwsza figura symbolizuje niebo, a więc transcendencję i nieskończoność; kwadrat zaś odnosi do sfery wnętrza i sprawozdaje o związku człowieka z ziemią. Tak oto w geometrii wyraża się semantyka terminu mandala: „centrum i to, co wokół”. Środek mandali to jednocześnie początek i koniec całej struktury, a jednocześnie uniwersalny symbol przemijania, śmiertelności i wiecznego odradzania się. Tworzenie mandali i ich niszczenie jest uznawane za rodzaj medytacji warunkującej transformację i doskonalenie się podmiotu. Jeśli w mandali chaos ujarzmiony zostaje przez harmonię artystycznej formy, to w powieści „Ritterowie” autorka próbuje odnaleźć logikę połamanych biografii i burzliwych, przemocowych dziejów XX-wiecznych Mazur¹. W tej nieoczywistej zorganizowanej mozaice postaci i dat w sposób szczególnie interesować nas będą archetypy rodu, kobiety i tekstu.

69

Patrycja Pelica napisała książkę przedziwną, fascynującą i magiczną. Intrygujący jest już wybór genologiczny: to forma odświeżająca konwencję sag skan-

1 P. Pelica, *Ritterowie. Rzecz o mazurskiej duszy*, Warszawa: Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza, 2016.

dynawskich i starogermańskich, a z młodszej tradycji – powołująca się na doświadczenia *oral history* i niezmiennie popularne od lat 90. minionego wieku opowieści rodzinne. Saga w tradycji literatury polskiej tematyzująca doświadczenia Warmii i Mazur po 1945 roku to zjawisko egzotyczne. Odległym kontekstem może być jedynie „Splot. Masurenlos” (1987) Bohdana Dzitki, napisana z wielkim rozmachem, ale niestety niedopracowana opowieść o majątku Bottowen (Wronie Gniazdo). Dzitko pisze o trwaniu na pograniczu języków, kultur, etnosów i nacji, o permanencji wyboru i o kompromisach ludzi pogranicza. A wszystko to ubiera w kostium narracji magicznej nieśmiało sięgającej po wzory prozy mistrza Marqueza. Związków topiki powieści Dzitki i Pelicy jest więcej: choćby w warstwie symboliki biblijnej, znaczenia figury domu jako Eliadowskiego *axis mundi*, prymatu mikrohistorii i historii prywatnej ponad nielogicznymi formacjami makrohistorii, polityki i ideologii. Przypomnijmy też, że to właśnie w narracji Dzitki już w 1987 roku atrakcyjnie wybrzmiała postać kulturowego mieszkańca Kobulten (pol. Kobulty), dla którego inność jest codziennym rozpoznaniem rzeczywistości, a nie ekscytującą i zawsze dziwaczną egzotyką. Mówiąc o kontekstach genologicznych prozy warmińskiego i mazurskiego miejsca, nie sposób pominąć brawurowej „Historii rodziny z Marciшек” (1979) Maryny Okęckiej-Bromkowej, odsyłającej adresem tematycznym do kresowej pamięci przywiezionej na nowe ziemie w wysiedleńskich kufrach i prozy faktograficznej Warmiaków: Klemensa Frenszkowskiego („Janek”, „Opowieści Warmiaka”, 1979; 2005) oraz Edwarda Cyfusa („Warmińska saga”, 2014).

Małooczywne projekty literatury lat 90. – bogate polifonie powieści korzennych i rodzinnych – zorientowane były na „odzyskiwanie” małych, prywatnych światów dla emocji, potrzeb i wyobraźni człowieka. Były to narracje „przeciw”: reżimowi wielkiej historii, zakłamanemu mediów, rodzinnej niepamięci, przeciw strachowi zamykającemu usta depozytariuszom rodzinnych narracji. Odzyskiwane przestrzenie budowały fundamenty nowej wrażliwości. Biografie przełomu XX i XXI wieku, coraz bardziej przełekte zaskakującymi obliczami płynnej nowoczesności, ładu i oparcia, poczęły poszukiwać w dziejach prywatnych miejsc, w rodzinnych annałach i familijnych *story*. Sagi rodzinne, bogate atutem non-fiction, aspirowały do rangi poważnych świadectw historycznych i z tej racji stawały się zapleczem dla tożsamości jednostkowej i zbiorowej – uważa Agnieszka Mrozi². Saga Pelicy rekonstruuje tożsamość niejako podwójną: biografii i miejsca. Chodzi więc o wizerunek niemieckiej, ewangelickiej rodziny w panoramie wieku XX i XXI (wciąż niedostatecznie opisany w polskiej literaturze po Jalcie) i o tożsamość mazurskiej małej ojczyzny (słowo *Heimat* nie pojawia się na kartach powieści). „Ritterowie” to powieść o pisaniu i o pamięci, o rodzinie i dziedziczeniu, o inności, o odwadze definiowania siebie w skomplikowanym świecie XXI-wiecznej Europy, o uniwersalnej i ponadczasowej potrzebie zakorzenienia.

Ród. Zaczynam fabuły jest pojawienie się na współczesnych Mazurach przybyszki z Frankfurtu – Anny Ritter, która poszukuje śladów swoich antenatów. Anna jest – jak powiedzieliby

2 A. Mrozi², *Akuszerki transformacji. Kobiety, literatura i władza w Polsce po 1989 roku*, Warszawa: Instytut Badań Literackich PAN, 2012, s. 293 i n.

badacze rozmaitych nisz turystyki kulturowej – turystką genealogiczną, nadającą swojej podróży sens i bardzo prywatny, i symboliczny³. Wraz z Marcinem, który nie zdaje sobie sprawy z roli, jaką przyjdzie mu odegrać w rekonstruowanej historii, Anna rusza w osobliwą podróż przez czas, znowę milczenia i rodzinne tajemnice. Dziewczyna namawia Marcina do spisania historii jej rodu. Świadczy o powstawaniu narracji literaryzującej losy sześciu pokoleń Ritterów. Opowieść wykuwana jest mozolnie przez nienawykłego do twórczego wysiłku młodego boksera (brak profesjonalizmu jest gwarantem szczerości i autentyzmu). Powstaje autotematyczna i intertekstualna narracja, w której rozluźniają się rygory chronologii (lapidarne anonse rozdziałów „Wczoraj”, „Dziś”, „Przedwczoraj”, „Pojutrze”), mieszają się bohaterowie (redundantne w historii rodziny imiona Anna, Helmut, Martin). Fabuła rozpięta zostaje na dwóch planach. Pierwszy obejmuje współczesne Mazury wraz z quasi-reporterską bądź romansową fakturą aktywności bohaterów; drugi obejmuje świat powoływanego do życia tekstu i przenosi nas w odległą przeszłość rodziny. Granice między planami zacierają się: rządzą czas mitu, powtarzalnych rytuałów, odwiecznych prawd Biblii; myślą się postacie i pokolenia. Sensem jest trwanie, ciągłość i dziedziczenie. Stałe jest miejsce: ewangelicka plebania i stół, przy którym dzieją się najważniejsze dla rodziny wydarzenia. Eksterior jest niebezpieczny, nieprzewidywalny, nielogiczny. Stąd dom jawi się jako figura pełna, doskonała.

Antropomorfizacja mitu pozwala zbudować język opowieści, w której cichym bohaterem jest czas, a świat przedstawiony jest planem wszechświata. Obdarty z emblematów dat i godzin czas jest pozornie niewidoczny. Rezygnacja z kalendarza życia społecznego zaświadcza o defraudacji zaufania współczesnego człowieka do historii. W świecie przedstawionym „Ritterów” rządzi wyłącznie porządek natury – w odsłonie rytmiki pór roku i następstwa pokoleń. Tu znowu daje o sobie znać symbolika mandali, wraz z poetyką projektowania i niszczenia, narodzin i śmierci, medytacji i odkrywania fundamentów ontologii ludzkiego bytu. „Ritterowie” to literackie studium praw przemiany i ciągłości świata, w tych ambicjach nieco zbliżone do „Prawieku” Olgi Tokarczuk.

Ciągłość wspólnoty rodzinnej jest zachowana dzięki biologii oraz szacunkowi wobec tradycji. W tym wypadku to przede wszystkim tradycja kultury ewangelików, o której pisał u progu XX wieku Max Weber („Etyka protestancka a duch kapitalizmu”). Pelica przekonująco uchwyciła specyfikę form uczestnictwa ewangelików w życiu rodzinnym i publicznym, duchową afirmację życia i pojmowanie piękna, skromność stroju i posiłku, wiarę w potęgę przeznaczenia, etos pracy, edukacji i doskonalenia się. Trwanie i ciągłość realizują się dzięki rytuałom⁴. Najważniejszym dla portretowanej wspólnoty rodzinnej rytuałem jest mielenie kawy (tu znowu ukłon w stronę „Prawieku” Tokarczuk). Krzysztof Rzepkowski w fascynującej opowieści o symbolice pracy nad przemianą ziarna w mąkę („Złoty kciuk: młyn i młynarz w kulturze Zachodu”, 2015) udowodnił, że choć młyny mogły być postrzegane jako siedliska demonów, to jednak

3 R. T. Prinke, *Turystyka genealogiczna – niedostrzegana nisza*, *Turystyka Kulturowa*, 2009, nr 6, s. 4-12.

4 A. Zadrożyńska, *Powtarzać czas początku*. Cz. 2: *O polskiej tradycji obrzędów ludzkiego życia*, Warszawa: Wydawnictwo Spółdzielcze, 1989.

w kulturze chrześcijańskiej przeważało ujęcie definiujące ramiona wiatraka jako symbol krzyża; figurę młyna zaś kojarzono z wieczną, ale szalenie użyteczną pracą. U Pelicy kawowy młynek jest osią rzeczywistości i punktem odniesienia w chaotycznych czasach. Ruch młynka oznacza fenomen przemiany, siłę napędu i dostatek. Rytuał mielenia kawy przywraca porządek i ład, ratuje przed obłędem i nieistnieniem, definiuje tożsamość uczestników wspólnoty rodzinnej Ritterów. Ważnymi rytuałami pozostają rodzinne czytanie Biblii i pism filozofów oraz dyskusja i kontemplacja wyrosłe na marginesie kazań pastora Martina.

W centrum tej logicznie skonstruowanej mandali – różnobarwnej, złożonej z symetrycznie obecnych elementów – stoi pastor Martin. To protoplasta rodu, depozytariusz pamięci i tradycji, dysponent języka, strażnik systemu aksjologicznego. To wprzód grzesznik (uwiódł cudzą narzeczoną), potem lekarz dusz i ciała; rycerz, który przeprowadza rodzinę przez zawirowania XX-wiecznej historii, cicerone po świecie przeszłości, symbol bezpieczeństwa i kontynuacji. Tak jak patriarcha rodu Buendiów z Macondo jest zanurzony w wieczność, wyposażony w atrybuty senioralnej mądrości. Patronem tej narracji jest rycerz z miedziorytu Dürera „Rycerz, śmierć i diabeł” (1513). Ikona norymberskiego mistrza pokazuje wielowymiarowość życia człowieka: jego aspiracje i upadki oraz ostateczny kres. Ritter w języku niemieckim znaczy rycerz i stąd wiele postaci tej powieści odnajduje w sobie rysy odważnego i szlachetnego – gdy trzeba bezlitosnego – męża. Znajdziemy tu odgłosy rycerskich turniejów średniowiecza, echa amoku wypraw krzyżowych, rycerską dumę i kodeks honorowy. Taki jest pastor Martin, który staje do pojedynku o serce ukochanej, kieruje się uczuciem i kodeksem chrześcijańskim, dzieli się wiedzą, kompetencjami i umiejętnościami, gdy trzeba bronić najbliższych – zabija. Rycerzem na froncie II wojny światowej jest Helmut Pierwszy. Postać Jego wnuka Helmuta Trzeciego aktualizuje wzory Cervantesowskiego błędnego rycerza. Współczesnym rycerzem jest bokser Marcin/Martin, narrator, i jak się okaże, potomek pastora Martina. Rycerzami są kobiety: Anna Domińczuk ginąca z rąk UB i oddająca życie za syna w 1946 roku, bliźniaczka Anna, która z rycerską odwagą i konsekwencją walczy o prawo do swojej odmienności w małomiasteczkowej społeczności polskiej lat 90. i walcząca współcześnie z chorobą nowotworową Anna Ritter z Frankfurtu.

Kobieta. Istnieje przekonanie, że narracje rodzinne wiązać należy z wrażliwością kobiet. Ten związek tłumaczy się zwykle ustaleniami antropologów, którzy w męczyźnie widzą element odysejski, figurę kobiety wpisują zaś w przestrzeń domowego interioru i czynią ją odpowiedzialną za sferę relacji rodzinnych i podtrzymywanie ognia wspólnotowego (rytuały, obrzędy, tradycje, edukacja). W powieści Pelicy relacje zależnościowe kobiet w świecie społecznym wynikają z praw kulturowo i wyznaniowo zdefiniowanej wspólnoty (rodzina ewangelickiego pastora). W Kościołach protestanckich nie ma jednomyślności w zakresie rozpoznania i znaczenia płci kulturowych, ale dominuje stanowisko tradycyjne, zgodnie z którym mąż jest strażnikiem, obrońcą i przywódcą wspólnoty rodzinnej. Kobieta tkwi w przestrzeni rodzinnego *backgroundu*, stanowi istotne dopełnienie związku, winna jest posłuszeństwo mężowi. Jeśli przeniesmy tę relację na strukturę świata przedstawionego, to zobaczymy, że narratorem jest

mężczyzna (Marcin/Martin), ale kobieta Anna Ritter jest inspiratorką eksploracji genealogicznego tematu. To ona zachęca Martina do studiów nad sprawą i de facto to ona czyni z niego Pisarza. Na równi z nim jest więc demiurgiem. Jej udział jest sprawczy, decyzyjny (a być może i nadzorczy). Drugoplanowa jest u Pelicy pozycja kobiety w relacji rodzinnej. Silne, rycerskie kobiety Ritterów nie usurpują sobie praw do zmiany tego stanu rzeczy. Są bowiem ważnymi partnerkami mężczyzn. Silna więc emocjonalna, ale przede wszystkim intelektualna wiąże pastora Martina z Anną Domińczuk. To polska synowa Martina, która dla ukochanego porzuca wyznanie katolickie na rzecz protestantyzmu; dla niego przy wielkim stole na plebanii uczy się języka niemieckiego. Anna to żywy i twórczy umysł, nauki pobiera w hanzeatyckim Gdańsku, czyta filozofów i pisma Kościoła (mądrość to także dar Boga). Martinowi przypomina zapewne przedwcześnie zmarłą żonę Grete – wykształconą i namiętą. Dla męża Helmuta jest obrazem świata, który został unicestwiony wraz z inwazją wojennych traum. Te zresztą okazują się tak destrukcyjne, że Helmut po wojnie nie potrafi już nawiązać kontaktu ani z żoną, ani z ojcem. Znika dla bliskich, ginie w tłumie nieznajomych, choć naprawdę jest tuż obok, ukryty jako organista katolickiego kościoła.

Pelica bardzo sugestywnie pokazała specjacje pojałtańskiego pogranicza: ziemi kontrastów i różnic. Mażeńskie więzy spinają niemieckich Ritterów z ich polskimi ukochanymi, ewangelików łączą z katolikami, surową protestancką mentalność z gorącym temperamentem kresowych katolików; porcelanową nordycką karnację ze słowiańską dosłownością rysów. Linie dziedziczenia pogranicznego rodu są zawile, ale są fundamentalne. Nowoczesność narracji Pelicy polega między innymi na tym, że potrafiła umknąć rafom nacjonalizmów tak radykalnie (i nieprawdziwie) definiujących świat w XX wieku. W „Ritterach” nie ma opowieści o Polakach i Niemcach, także Mazury nie mają adresu nacionalnego. Zupełnie wyjątkowo autorka każe bohaterom kłaść na wadze argumenty natury uczuciowej i narodowej. I zawsze triumfują te pierwsze. Jeśli narrator zastanawia się, kim stała się Polka Anna Domińczuk po ślubie z ewangelickim Niemcem z Mazur, to odpowiedź eksplikuje wyłącznie przynależność do wspólnoty rodzinnej. Anna jest żoną Helmuta, członkinią rodu Ritterów. Przedwcześnie zmarły dramaturg śląski Stanisław Bieniasz mówił, że *Ślązacy* (w domyśle: ludzie pogranicza) *siedzą zawsze między dwoma krzesłami, zawsze w pozycji pomiędzy*⁵. Anna Domińczuk nie tkwiła między światami; to inni chcieli ją widzieć jako postać wewnętrznie pękniętą (matka nigdy nie wybaczyła jej zdrady języka, wyznania, ojczyzny). Anna była ze sobą pogodzona, jak rycerz, który podjął się realizacji misji serca i honoru. Wkrótce polskie/niemieckie napisy na nagrobkach zarósł mech i ostatecznie unieważnił dramatyzm sporów minionego czasu. I to jest ostateczna (i nowoczesna) prawda pogranicza: nieczytelny zapis, domysł, inwariantność.

Jeśli intelektualistka Anna Domińczuk sportretowana była na polu kultury, to jej synową Pelica wpisuje w obszar potężnych sił natury. Po raz kolejny męska linia Ritterów ulega sile namiętności

5 Cyt. za: M. S. Szczepański, *Region pogranicza kulturowego w perspektywie socjologicznej* (Przypadek Górnego Śląska), [w:] *Polsko-niemiecka wspólnota losów: uciekinierzy, wysiedleni, wypędzeni w „literaturze wypędzenia” w polskiej literaturze kresowej*. Konferencja literacka, Gliwice 21–23 listopada 1996, red. T. Schäpe, K. Karwat, S. Bieniasz, [b.m.w.], 1996, s. 43.

i uczucia. Helmut Drugi to człowiek nieufny wobec procesów modernizacyjnych i industrializacyjnych, najlepiej czujący się w przestrzeniach mazurskiej swojszczyzny, a przy tym – człowiek sukcesu, celebryta, sławny aktor. Wrażliwy, nieco neurotyczny Helmut, osierocony przez matkę i wychowywany przez dziadka, poszukuje bezpieczeństwa w ramionach Wiktorii. To kobieta prosta, analfabetka, która przy znanym nam już stole na plebanii uczy się pisać i czytać. Nic nie wiemy o jej pochodzeniu narodowym, tak jakby reprezentowała pierwotność sprzed nastania XIX-wiecznych paradygmatów nowocześnie definiowanego państwa. Wiktorii pachnie ziołami, piecze aromatyczne ciasta, gromadzi przetwory, wierzy w przesady (demonologia mazurska i staropruska). To synonim domowego ciepła, bezpieczeństwa, pierwotności. *Kobiety Ritterów są jak obłąd*⁶ – konstatuje narrator.

W polskiej kulturze najżywiej obecne są trzy archetypy kobiecości: dziewica, matka, wiedźma⁷. Postać Wiktorii eksploatuje elementy dwóch ostatnich. Cywilizacja nie zagłuszyła w Wiktorii wrażliwości na język jej wnętrza (intuicja). Towarzyszą jej zioła, tajemnicze nalewki, magiczne zaklęcia i niespokojne sny. Te atrybuty w etnografii symbolizują związek z naturą, obrzędy magiczne i wiedzę tajemną⁸. W tym sensie Wiktorii, podobnie jak przed nią Grete i Anna Domińczuk, jest strażniczką wiedzy. Jest mędrce w sferze duchowości i zmysłów. Zwróćmy uwagę, że w tym toku rozumowania Mazury to „miejsce mocy” – figura rzadka w literaturze lat 1945-1989 (wyjątkiem są wspomniane projekcje Bohdana Dzitki i Zbigniewa Nienackiego). Wiktorii kocha Helmuta bezwarunkowo, namiętnie, całą sobą. Gdy go zabrakło (ginie w wypadku samochodowym), wychodzi powtórnie za mąż (za brutalnego Polaka) i robi to, do czego stworzyła ją natura – rodzi dzieci, ciężko pracuje, schorowana umiera.

Córka Wiktorii i Helmuta Drugiego – bliźniaczka Anna Ritter – to jeszcze inny typ kobiety. Jej inność funduje wygląd. Skandynawska uroda: biała cera, prześwitujące przez skórę niebieskie żyły nadają jej wygląd tajemniczej wiedźmy bądź topielicy. I tym razem świadkujemy związkowi różnic. Jej lodowaty temperament los łączy z gorącą krwią polskiego wysiedleńca z Kresów. Inność Anny buduje również poczucie tożsamości narodowej. Anna czuje się inną wśród Polaków, co na Mazurach lat 80. wpisane jest w atmosferę nastrojów antyniemieckich, ksenofobii i szowinizmów. Niebieski kolor, którym Pelica kreśli wizerunek bliźniaczki Anny, ma bogatą symbolikę. To między innymi chłód, związek z wodą, ale też uduchowienie. To także kolor atramentu, a więc pisma i tekstu (Anna pisze pamiętnik, a jej żyły wydają się arteriami komunikacyjnymi przechowującymi pamięć).

Następne, piąte już pokolenie Ritterów po kądzieli, reprezentuje Anna Ritter z Frankfurtu. Jest córką bliźniaka Helmuta Trzeciego i kochanką spisowacza rodzinnej sagi Marcina/Marti-

6 P. Pelica, dz. cyt., s. 289.

7 Nieco inaczej rozkładają się akcenty w przypadku specyfiki ziem pogranicza kulturowego. O ukształtowanych w XIX w. archetypach kobiecości na pograniczu śląskim pisała K. Kossakowska-Jarosz, *Anioł czy piekielnica? Obraz kobiety w piśmiennictwie śląskim XIX wieku*, Opole: Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego, 2009.

8 P. Kowalski, *Leksykon znaki świata. Omen, przesąd, znaczenie*, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN, 1998, s. 92.

na. Wychowana daleko od mazurskiej plebanii Anna czuje, że jej frankfurcka tożsamość musi być dookreślona przez mazurskie miejsce i przez postaci z pożółkłego kalendarza wieku XX. I znowu los przygotowuje zaskakujący suspens. Anna nie jest wesołą studentką z Europy Zachodniej, ale umierającą pacjentką kliniki hematologicznej. Także owoc romansu z Marcinem ma znaczenie szczególne. Oto bowiem kochankowie okazują się rodzeństwem przyrodnim (ona jest córką bliźniaka Helmuta; on – synem bliźniaczki Anny). Niczym w legendzie o królu Arturze i Morganie, dziecko pochodzi z naznaczonego przekleństwem związku kazirodzkiego. Naruszenie kulturowego tabu i ciąża rezonują w przestrzeni trudnych wyborów natury egzystencjalnej i moralnej. Lekarze sugerują Annie aborcję. Wprzód nie znamy decyzji Anny, ale czujemy, że niczym rycerz stacza najważniejszą walkę swojego życia. Anna nie usunęła ciąży i odeszła. Pozostawiła po sobie córkę Annę, która „Pojutrze” pojawi się na Mazurach, by szukać odpowiedzi na pytanie, kim jestem. Tak oto życie trwa, trwa pamięć.

Choć perspektywa płci nie jest eksponowanym elementem organizacji świata przedstawionego, to z naszej perspektywy jest istotne, że kobiety Ritterów nie doświadczają sytuacji nierównościowych typowych dla zmaskulinizowanych realiów powieści polskich powstałych po 1945 roku. Powieściowe młode Ritterówny i dojrzałe Ritterowe nie mają rysów wiktyimizacyjnych relacjonujących je asymetrycznie wobec męskich hegemonów, obowiązujących praw społecznych czy uwarunkowań kulturowych. To portrety namalowane inną już kreską niż postaci kobiece z prozy Eugeniusza Paukszy, Henryka Panasa, Zbigniewa Nienackiego (drugoplanowe, niesuwerenne w podejmowanych decyzjach, niebędące równorzędnymi partnerami mężczyzn). Ich obecność w świecie przedstawionym sprowadzała się najczęściej do generacji erotycznych uniesień męskich bohaterów bądź do aktualizacji archetypu strażnika wartości rodzinnych/wspólnotowych. Nestorki, a zwłaszcza reprezentantki wspólnot mniejszościowych pogranicza, były w prozie powojennej figurami wzorotwórczymi, symbolizowały stałość domowego interioru, były znakiem tradycji i dziedziczenia. Przekonują o tym faktograficzne opowiadania Marii Zientary-Malewskiej „To nie ballada, to prawda” (1976) i zapomniane już prawie całkowicie opowiadania Emilii Sukertowej-Biedrawiny z tomu „Mazurskie dole i niedole” (1947: opowiadania „Babka i wnuczka”, „Adwent i gody”). Przypomnijmy, że raz tylko w historii polskiej literatury lat 1945-1989 bohaterka rekrutująca się z warmińskiej lub mazurskiej grupy mniejszościowej była postacią na tyle „silną”, by „przebić się” do sfery tytularnej dzieła. Myślę tu o „Tutejszej” Bohdana Dzitki, której bohaterka funduje swoją tożsamość na gruncie związków ze swojszczyzną (nieobecność imienia bohaterki w tytule dzieła jest także sensotwórcza). Na tym tle bardzo oryginalnie rysowały się portrety dynamicznych i fantazyjnych nonkonformistek z prozy Maryny Okęckiej-Bromkowej („Historia rodziny z Marciszek”, 1976; „Sekretarzyk babuni”, 1970). Przywołajmy też portret Matyldy Harsz – silnej i zdeterminowanej kobiety pogranicza (prawdopodobnie Niemki) z minipowieści Józefa Lenarta „Codziennie toczy się wojna” (1963) oraz subtelne rysy zakochanej Mazurki Tekli z opowiadania „Kwiecień” z tomu „Matylda i inne opowiadania” (1974) Jana Huszczy.

Pojałtańskie literaryzacje doświadczeń Warmii i Mazur pokazały, że kobieta to Inna w świecie rządzonej przez mężczyzn: pozbawiona własnego języka, skazana na bierne poddanie się nazwaniu i ocenie. Gdy jej biologiczna inność spotęgowana była odmiennością kulturową (etniczną, narodowościową, językową – a przecież to norma na pograniczu), staje się szczególnie cennym obiektem męskich zawłaszczeń i uprzedmiotowień (seksualne fascynacje, molestowanie, przemoc seksualna). I choć literatura polska po 1945 roku opowiedziała nam o tym tylko „półgębkiem”, to czytając między wierszami, zobaczymy, że etniczne Inne zdobywano uczuciem (optymistyczna iluzja małżeństw mieszanych w prozie Paukszty), ale brano też jak „żołnierski żołd”, jak daninę należną zwycięzcy (Panas, Dzitko, Orłoś). Pelica świadomie nie eskaluje emocji związanych z traumą wydarzeń pofrontowych, ale nawet w tych inkrustacjach ujrzemy i niewyobrażalną skalę tragedii, i jej brutalny charakter, i wreszcie – jej psychologiczną i memorialną nieredukowalność (zgwałcona kobieta nigdy nie będzie „niezgwałcona”)⁹.

Tekst. W intertekstualnej narracji Pelicy figura tekstu odgrywa rolę szczególnie ważną. Powieść pełna jest odniesień do tekstów kultury, cytatów i quasi-cytatów, zapożyczeń wątków, figur i scenerii. Kolekcję otwiera Albrecht Dürer, ale warto wspomnieć o scenach rodzajowych sportretowanych niczym na XVII-wiecznych płótnach mistrzów niderlandzkich, o Biblii, zapiskach kronikarzy krzyżackich, ocalałej w legendzie demonologii Staroprusów, o diarystyce i epistolografii (piszą oczywiście kobiety), kazaniach pastora Martina. Zachowania komunikacyjne Martina takie jak rytuały, teksty kultury (kazania, narracje rodzinne), celebrowanie świąt, procedury memoryzacyjne wyrażające stosunek wspólnoty rodzinnej do świata wpisanego w określone lokacje geograficzne i kulturowe, portretują pracę pamięci, którą Jan Assmann opisał terminami pamięci komunikatywnej i kulturowej¹⁰.

Pelica pokazuje nam imponujący wachlarz rozmaitych pisanych, audialnych, wizualnych tekstów kultury. Materiałem historii stają się kupowane za wódkę opowieści lokalsów, niewysłane listy Anny do służącego w Wehrmachcie męża, modlitwy i psalmy. Tekstem są mapy, które lubi przeglądać Helmut Drugi, gdy niczym Oskar z „Błaszanego bębenka” odmawia oralnego uczestnictwa w życiu. Tekstem jest ściana, na której rodząca Anna Domińczuk wyrze swój ból, a później strach przed agresją Rosjan. Tekstem kultury jest witraż i blizna na ciele Martina; to akta UB zapisujące etapy inwigilacji wobec politycznie niepewnych i potwory rysowane na kredowej tablicy przez wykluczonego ze wspólnoty uczniowskiej Helmuta. To także opowieści rodzinne – wielokrotnie powtarzane, zapamiętywane, wyuczone na pamięć, strój codzienny, który bywa niczym rycerska zbroja, kruche filizanki i słoiki domowych przetworów.

9 Więcej zob. J. Szydłowska, *Na uboczu słowa i pamięci. Narracja o przemocy seksualnej Rosjan wobec kobiet z Prus Wschodnich w polskim dyskursie pamięci po 1945 r.*, *Anthropos*, 2016, nr 25, s. 69-85.

10 J. Assmann, *Pamięć kulturowa. Pismo, zapamiętywanie i polityczna tożsamość w cywilizacjach starożytnych*, tłum. A. Kryczyńska-Pham, red. R. Traba, Warszawa: Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, 2008, s. 36-40 i n.

Rekonstrukcja losów rodu Ritterów wyraża tęsknotę współczesnego człowieka za ładem, sensem i sacrum. Funkcją tej narracji jest ocalenie czasu i pamięci. To reakcja na ambiwalencję i chaos współczesności, protest przeciw bezdomności, labilności tożsamości, brakowi zakorzenienia. W tej narracji prawda miesza się ze zmyśleniem, fantazja uzupełnia luki historycznych annałów. Ale nie o pakt referencyjny tu chodzi, lecz o potencjał fabularyzacyjny opowiadanej historii. Ograniczone zaufanie do literalności tekstu podkreślają zwroty do czytelnika *pozwólmy im tak siedzieć* czy *zostawmy ich*, które jednocześnie pokazują kreacyjną moc demiurga-opowiadacza. To ekscytująca gra w „literaturę ojczyzn” i „ojczyznę literatury”, by skorzystać ze znanej metafory Przemysława Czaplińskiego¹¹.

W klasycznych już dziś tekstach Mircei Eliadego ze zbioru „Obrazy i symbole” rumuński religioznawca, analizując sposoby konceptualizacji czasu przez wspólnoty pierwotne, podkreślał, że egzystencja człowieka to nieustanne powtarzanie i przetwarzanie archetypów, rytuałów, symboli¹². Z tej propozycji intelektualnej korzysta Patrycja Pelica. Stworzyła wizerunek Mazur XX wieku: świat silnych fundamentów, potężnych tradycji, nierozzerwalnych więzów plemiennych. A wszystko to wpisała w kruche i po wielokroć w minionym wieku rujnowane scenerie świata społecznego i historycznego. Mądrość tej prozy polega na obdarzeniu zaufaniem mikrohistorii. Bo wszystko, co ważne w „Ritterach”, dzieje się z dala od traktów Wielkiej Historii: w obszarze emocji i wyborów serca.

Odnajdziemy w tej prozie najbardziej utrwalone toposy literackie, takie jak dom, rodzina, podróż, tożsamość; odnajdziemy intrygujący traktat o epistemologii inności, o świecie pogranicza; a na planie formalnym – inkrustacje dokumentujące specyfikę kobiecego oglądania i konceptualizowania świata (alinearność i fragmentaryczność jako imitacja cielesności).

Joanna Szydłowska

11 P. Czapliński, *Wzniosłe tęsknoty. Nostalgie w prozie lat dziewięćdziesiątych*, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 2001, s. 115-116 i n.

12 M. Eliade, *Obrazy i symbole: szkice o symbolizmie magiczno-religijnym*, tłum. M. i P. Rodakowie, Warszawa: KR, 1998, s. 81.

Kobiece opowieści korzenne

JOANNA CHŁOSTA-ZIELONKA

prof. dr hab. w Instytucie Polonistyki i Logopedii Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie; zajmuje się głównie polską literaturą współczesną oraz regionalną. Autorka m.in. monografii „Życie literackie na Warmii i Mazurach w latach 1945-1989”.

Przełom roku 1989 pozwolił na przewartościowanie polskiej pamięci. Uaktualnił tematy, które związane były z powojennymi zmianami terytorialnymi i demograficznymi. Wzrosło zainteresowanie przeszłością, zarówno w jej aspekcie uniwersalnym, jak i indywidualnym. Przyzwolenie na poszukiwania własnej historii miało jednocześnie wymiar psychologiczny. Pozwoliło Polakom wyzwolić się ze skrywanych tajemnic i lęków związanych z tabuizowanymi dotąd problemami tożsamościowymi.

Na terenach, które po 1945 roku układami poczdamsko-jałtańskimi zostały włączone do terytorium Polski, zmieniła się zasadniczo struktura ludnościowa. Większa część ludności opuściła swoje rodzinne strony, a tę, która pozostała, wydziedziczono z jej dotychczasowej tożsamości, jeśli nie narodowościowej, to na pewno kulturowej. Ci, którzy przybyli, także opuścili swoje korzenne tereny i musieli stworzyć życie od podstaw w nieznanym kraju.

Gatunki autobiograficzne (dziennik, autobiografia, wspomnienie) należą do wypowiedzi intymnych, konfesyjnych, a przez to wstydliwych. Dlatego też niewielu autorów decyduje się opublikować swoje wspomnienia za życia. Czasem jednak panoramiczne opowieści autobiograficzne, które w centrum stawiają

inne osoby, czasem bardzo bliskie, czy też historię ważnego miejsca, nie tylko pozwalają wyobrazić sobie tysiące innych, których przeżycia były tożsame z przytoczonymi, i stworzyć obraz zbiorowego losu. Zdarza się też i tak, że potrafią one odsłonić egzystencję osoby, która chce opowiedzieć także o swoim życiu. Tak dzieje się w książkach dwóch dziennikarek, Polki i Niemki, które połączyła wspólna potrzeba opowiedzenia o swoich korzeniach i uporządkowania wiedzy o najbliższych przodkach. Przy okazji opowieści o swojej rodzinie i miejscu jej pochodzenia dokonały wiwisekcji na własnym życiu, chcąc jak najpełniej znaleźć odpowiedź na pytanie o własną tożsamość. Nie wiadomo do końca, ile ubarwiły swoją relację, a ile pochłonęła je konieczność podporządkowania pewnych wydarzeń atrakcyjnej fabule. Stały się bohaterkami swoich historii, zapewne nie wiedząc dokładnie, w którym momencie. Nurt wydarzeń poniósł je bezwiednie czy znalazły odpowiedź na pytanie, kim są, poprzez dookreślenie tych, którzy byli ich przodkami? Lektura dwóch autobiograficznych relacji: „Dalekiej drogi” niemieckiej dziennikarki Petry Reski¹ i książki Danuty Śleszyńskiej² „Z Kresów na Warmię”, wydanych przez Wspólnotę Kulturową „Borussia”, przynosi satysfakcjonującą odpowiedź.

Pod względem formalnym te dwie interesujące relacje różni styl i sposób prowadzenia opowieści. Petra Reski, dysponując profesjonalnym warsztatem, konsekwentnie opowiada w formie reportażowej narracji swoją przygodę z przestrzenią, która stała się dla niej mityczną krainą początku. Danuta Śleszyńska oprócz osobistej potrzeby utrwalenia dramatycznych momentami losów pragnęła także opisać przedwojenne życie na Wileńszczyźnie i ukazać późniejsze losy jej mieszkańców, którzy trafili na Warmię. Jej zdaniem wiedza na ten temat wcześniej – w czasach PRL – niemożliwa do upublicznienia, w nowej rzeczywistości politycznej także nie została opowiedziana do końca.

Bohaterki opowieści dzieli praktycznie wszystko: miejsce urodzenia, narodowość, wychowanie i doświadczenie życiowe. Łączy je jednak wspólna przestrzeń, w której odnalazły swoje miejsce na ziemi. Warto prześledzić tę drogę.

Petra Reski na początku lat 90. ubiegłego stulecia odkryła utracony przez jej bliskich raj na ziemi, krainę, która stała się mitycznym miejscem wszelkiego dobra, zarówno poprzez swój niepowtarzalny krajobraz, jak i miejsce niezapomnianych, duchowych przeżyć. Warmińska wioska Ruś, położona nieopodal Olsztyna, na terenie przedwojennych Prus Wschodnich, stała się przestrzenią zagwarantowaną nie tylko dla przeszłości. Autorka melancholijnych zachwyków odnajduje tam własną tożsamość. Budzi się w niej nieświadomiona wcześniej łączność z miejscem urodzenia jej całej rodziny ze strony ojca.

1 Petra Reski – niemiecka dziennikarka i pisarka urodziła się w 1958 r. Jej ojciec pochodzi z Prus Wschodnich, a matka ze Śląska. Od 20 lat mieszka we Włoszech. Przez wiele lat zgłębiała strukturę takich przestępczych organizacji, jak Cosa Nostra, Ndrangheta, kamorra i Sacra Corona Unita, by opisać je w książce *Mafia* (2009).

2 Danuta Śleszyńska – mieszkanka Olsztyna, twórczyni olsztyńskiego Stowarzyszenia „Amazonki” – kobiet po mastektomii, matka znanego, nieżyjącego już, dziennikarza Andrzeja Śleszyńskiego.

Odbываяc drugą w swym życiu podróż do Polski, postanowiła odwiedzić, mitologizowaną jej zdaniem w opowieściach dziadków, miejscowość. Niespodziewanie dostrzegła zachwycający krajobraz:

Droga wiedzie przez nierówny, pagórkowaty teren. W nieckach chowają się jeziora, a między nimi rozciągają się łąki i złote pola przetykane makiem, margerytką i chabrem. Zboża falują aż po linię horyzontu. Co i rusz błyska oczko sadzawki, stawu, jeziora czy małego morza. Na asfalcie kładą się cienie olch, dębów i alei lipowych [...] Słońce stoi tu nisko, o wiele niżej niż u nas. To słońce letniej równonocy – fińskie lub szwedzkie, a może też i polskie, rosyjskie czy bałtyckie. A może wschodniopruskie. W każdym razie – inne. Wisi niżej. Jest większe. Jakby bardziej okrągłe. Przezroczyste, wełniste obłoczki gromadzą się na niebie i próbują stłumić blask słońca. Niebo powoli ciemnieje. W oddali nagle widać błysk – z nieba spada potok wody, który w ciągu sekundy zatapia nasz świat³. (s. 31)

Petra Reski, chcąc nie chcąc, jest spadkobierczynią rodzinnej tradycji. Wielokrotnie była świadkiem, niezrozumiałych dla niej, rodzinnych wzruszeń, które jako dziecko przyjmowała z lekceważeniem, nie rozumiejąc sensu tych, wydawać by się mogło, teatralnych zachowań:

Ale na końcu każdego rodzinnego zjazdu śpiewali „Pieśń Wschodniopruską”, a potem wszyscy płakali. Ten kraj ciemnych lasów, kryształowych wód, gdzie nad naszą ziemią rozświecała się cud. Dla nas dzieciaków to była czysta żenada. Babka płakała, dziadek płakał, ciotki i stryjdowie płakali [...] potem jeszcze dziadek opowiadał z dumą, że Prusy Wschodnie, z których pochodziła nasza rodzina, to nie były jakieś tam sobie zwyczajne Ostprojsy, ale że była to – z powodu piękna krajobrazu – prawdziwa Pruska Szwajcaria, i w tym momencie wszyscy zaczęli płakać jakby jeszcze głośniejsze. (s. 47)

Dopiero na miejscu okazało się, że położenie Rusi przypomina krajobrazem Szwajcarię: domy wybudowano na stokach wysokiego wzgórza. W dodatku do dzisiaj stoi we wsi dom, w którym przed wojną mieściła się gospoda, z zatartym niemieckim napisem. Zgadza się nie tylko zapamiętane szczerkawo szczegóły topograficzne, ale także potwierdzają się ułamkowe fakty z historii opowiadanych przez bliskich. Autorka dowiaduje się od spotkanych w Rusi długoletnich mieszkańców, jak w tej wiosce toczyło się życie jej dziadków i pradziadków. Prababcia Elżbieta w czasie plebiscytu w 1920 roku głosowała za przynależnością tych terenów do Polski, a przez całe życie posługiwała się polskim językiem, mając poczucie przynależności do narodu polskiego, wbrew nakazom ówczesnej władzy. W czasie ucieczki przed Frontem Białoruskim pradziadkowie postanowili pozostać, bo nie wyobrażali sobie życia gdzie indziej. Ich dzieci nie mogą sobie wybaczyć, że zostawili ich na pastwę losu:

3 P. Reski, *Daleka droga*, Olsztyn: Borussia, 2008. Wszystkie cytowane fragmenty pochodzą z tego samego wydania.

Przypominam sobie, że babka, jej siostry i jej brat bardzo niechętnie mówili cokolwiek o swoich rodzicach, którzy jeszcze jakiś czas po wojnie żyli w Rusi. Może to był ten prawdziwy powód, dlaczego wszyscy tak strasznie płakali po zaintonowaniu „Pieśni Wschodniopruskiej”, może to bolało ich bardziej niż wszystkie te ciemne lasy i kryształowe wody. Płakali za rodzicami, których zostawili na Wschodzie, zostawili na łasce niepewnego losu, ta myśl, że zostawili ich samym sobie, bez żadnej pomocy, ta myśl ciągle ich prześladowała. Zawsze mówili: rodzice byli za starzy, by uciekać. Albo mówili: rodzice chcieli umrzeć w swoim domu. Albo jeszcze tak: przecież nikt z nas nie sądził, że już nigdy w życiu się nie zobaczymy. Myśleliśmy, że miną dwie, góra trzy niedziele i znowu wrócimy, mówiła moja babcia nerwowo kręcąc guzikami odświętnej bluzki. (s. 116)

Narratorka dopiero na miejscu, w Rusi, zaczyna rozumieć więź, jaką czuli jej przodkowie z tym miejscem. W czasie samotnych spacerów, wędrówek po lesie dostrzega, jak bardzo po wojenny świat betonowych bloków w Niemczech różni się od dziewiczości napotykaną na każdym kroku natury krajobrazu. Poza tym, niespodziewanie dla samej siebie, wcale nie czuje się tutaj obco:

I zdarza się cud. Zawsze, jak wymawiam tutaj nazwiska dziadków, to czuję, jakbym stawiała oko w oko z moim poprzednim wcieleniem. Czuję, jakbym od dawna знаła twarze tych kobiet, jakbym już kiedyś słyszała ich opowieści, jadła ich potrawy, знаła zapach ich mieszkań. Jakbym była częścią tego życia tutaj. Tutaj jestem kimś. To ja – Petra, wnuczka Alojzego Reskiego i Anny Gapowskiej, znanych przez wszystkich we wsi. Siedzę sobie właśnie w obcym kraju, z trzema obcymi kobietami, na wiejskiej ławce i mam wrażenie, że jesteśmy rodziną. (s. 70)

W trakcie poszukiwania grobów pradiadków na cmentarzu i sprawdzania parafialnych ksiąg odkrywa nagle rodzinną tajemnicę, delikatnie przed nią ukrywaną, o tym, że dziadek zwlekał z uznaniem jej ojca za syna. To bardzo cenne odkrycie, bo dopełnia obrazu dzieciństwa ojca, którego narratorka straciła w bardzo wczesnym wieku i którego bardziej wyobrażenie niż prawdziwy obraz nosi w sercu. Jej wiecznie młody ojciec, który zginął tragicznie w kopalni w Niemczech, tutaj przeżył prawie całe swoje życie, tu chodził do szkoły i wszystkiego po raz pierwszy doświadczał.

Autorka odtwarza w pamięci opowieści swojej matki o tym, jak trudno było uciekinierom z Polski, między innymi z Prus Wschodnich i ze Śląska, odnaleźć się w nowej przestrzeni:

Mama opowiadała mi często, jak arogancko odnosili się po wojnie Westfalczycy w stosunku do uchodźców ze Wschodu. Opowiadała, jak drwili z obco brzmiącego dialektu, jak wykpiwali śląskie potrawy, naśmiewali się z klusek śląskich i makowca albo jak bardzo bawił ich fakt, że czasem śląskie kobiety chodziły w chustkach na głowie. Sami przy tym nazywali się Kaminski, Gemballa czy Czichon, ale zachowywali się tak, jakby to oni byli

pierwszorzędnymi Prawdziwymi Niemcami, a uchodźcy – Niemcami Trzeciego Gatunku, jak pieczarki pierwszego i drugiego sortu. (s. 149)

Kim zatem byli potomkowie głosujących za Polską w roku 1920? Ich dorastanie odbywało się w innym czasie politycznym, w którym górę powoli brała ideologia nazistowska. Ich tożsamość narodowa była niejednoznaczna. Pomimo tego czuli silne przywiązanie do miejsca, nie tyle do własności, której prawie nie mieli, ale do niekwestionowanych wartości ogólnoludzkich: poczucia wspólnoty, więzi rodzinnej i sąsiedzkiej. Tłumaczy tę, wydawać by się mogło trudną do zdefiniowania, kwestię mieszkanka Rusi Piontkowa bardzo prosto:

Przecież my tu zawsze byliśmy Wschodnioprusakami, mówi zdziwiona. Tyle że potem w Polsce musieliśmy podpisać. Takie papiery, że możemy tu zostać. A jak tu jeszcze siedziały ruskie, to jeden i drugi nam gadał: nie róbcie tego. Mieliśmy zostać, jacy byliśmy. No, ale podpisaliśmy. I potem dalej gadaliśmy po mniamniecku, a potem jeszcze po polsku, a teraz gadamy i po polsku, i po niecku [...] w życiu przeżyła już wiele, po prostu raz zabraniali gadać w jednym, a raz w drugim języku. Z dziadkami i matką mówiła w dzieciństwie po polsku. Ale z jej później urodzonymi siostrami i braćmi mama mówiła już tylko po niemiecku. Jak miała dziesięć lat, po plebiscycie 1920 roku, kiedy to Warmiacy i Mazurzy zadecydowali, że pozostaną w granicach Rzeszy, to już nikt miał nie mówić po polsku. Na co jej babka nigdy nie zważała. Jej matka rozmawiała z nią więc po niemiecku, babka nadal gadała po polsku. (s. 213-214)

Autorka „Dalekiej drogi” stara się za pomocą intuicji ustalić przynależność narodowościową swoich bliskich. Okazuje się, że nie jest to możliwe:

Z braku zaufania do ojczyzny nie mogłam też konkretnie ustalić, jakie te Prusy Wschodnie w końcu naprawdę były: polskie czy niemieckie? Niemieckość wykluczałam od razu [...] Czyli polskie? Raz takie, raz takie, mówiła babcia, czym doprowadzała mnie do rozpacz, no po prostu Ostprojsy. (s. 206)

Danuta Śleszyńska, autorka drugiej opowieści, urodziła się na Kresach przedwojennej Polski i w swoich wspomnieniach „Z Kresów na Warmię. Danuśka wronami karmiona”⁴, nie pozostawia cienia wątpliwości, że ta kraina: szlachecki dworek w Hacı i rodzinny dwór matki w Szczemielach, pozostała na całe życie w jej pamięci jako najszcześniejsze miejsce na ziemi: *Kochaliśmy to miejsce, cieszyliśmy się pięknem przebogatej przyrody i możliwością beztrudnej zabawy (s. 20).* Do dzisiaj w pamięci nosi obraz dworku:

Najważniejszy i największy był salon. Tu koncentrowało się życie rodziny. Wypełniały go miękkie fotele, sekretarzyk, stoliki do gry w karty, szachy oraz szafka bufetowa z nalewką-

4 D. Śleszyńska, *Z Kresów na Warmię. Danuśka wronami karmiona*, Olsztyn: Borussia, 2006. Wszystkie cytowane fragmenty pochodzą z tego wydania.

mi i innymi alkoholami. Przy ścianie stała oszklona szafa z okazałym zbiorem książek. Ściany zdobiły obrazy świętych, portrety przodków i landszafty. Cały dom był udekorowany myśliwskimi trofeami – skórami, porożami, fajkami dzika – chlubą polowań kilku pokoleń [...] W rogu salonu, przy oknie rosły wspaniałe rośliny: ogromny figus, drzewo wiecznie kwitnącej chińskiej róży i nieodzowny oleander [...] Wszędzie było dużo bibelotów i pamiątek rodzinnych. Wieczorny mrok rozświetlały ciepłe płomienie naftowych lamp i kandelabrow ze świecami. (s. 21)

Beztroskie dzieciństwo nie trwało długo. Gdy miała sześć lat, zmarła jej mama. Ojciec, który był geometrą, wydzierzał majątek żony w Hacı i wraz z dziećmi – Danuta miała starszego o rok brata – przeniósł się w roku wybuchu II wojny do miejscowości Postawy, także na Wileńszczyźnie, kupił tam dom i rozpoczął pracę geometry. Wkrótce też ożenił się z dawną służącą, która jednak nie zastąpiła nigdy dzieciom matki.

To macocha stała się we wspomnieniach Danuty Śleszyńskiej najbardziej negatywną postacią. Choć wszystkim doskwierała nędza wojenna, strach przed wywózką i obawa przed łatwą śmiercią, to Danusia i jej brat najwięcej przykrości doznali właśnie od macochy:

Dostaliśmy wówczas „do wiwatu”, tym bardziej że byliśmy dziećmi kobiety, u której była służącą. Dawała nam to odczuć na każdym kroku. My zaś byliśmy bezradni i zdani na jej łaskę. Głodzenie, bicie i obciążanie obowiązkami ponad siły małych było na porządku dziennym. (s. 57)

Polityka Sowietów na Kresach w czasie wojny wobec ludności polskiej, a szczególnie w stosunku do „obszarników”, wojskowych, duchownych i urzędników była bezlitosna. Groziły im aresztowania, więzienia, tortury i wywózki na Syberię. Część rodziny Danusi spotkał taki los. Bezprawnie odebrano im majątki. Jak pisze Śleszyńska:

Podobny los spotkał nasz folwark w Hacı. Po latach dowiedziałam się, że dom mieszkalny został przewieziony do Cieremszyc i przeznaczony na szkołę. Ziemię i las włączono do kolchozu. Żadnego śladu, że żyli tam ludzie, coś budowali, tworzyli. Odeszli w zapomnienie, jakby nie istnieli. (s. 60)

Po okupacji sowieckiej nastąpiła niemiecka, a wraz z nią, obok rygorystycznych nowych praw, okrutne prześladowania ludności żydowskiej. Autorka wspomnień była świadkiem likwidacji getta. Ginęli w nim znajomi, jej dawni towarzysze zabaw i ich rodzice. Przed kolejnym nadejściem Sowietów rodzice Danusi postanowili uciec do Polski, okupowanej jeszcze przez Niemców. Ostatecznie w trakcie wędrówki do rodziny ojca zostali uwięzieni w obozie przejściowym, a następnie wywiezieni na roboty do Niemiec. Trafili do niemieckiego majątku między miastami Cottbus i Poczdam. Tam doczekali się kolejnego spotkania z wyzwoliczami – Rosjanami:

No i zaczęło się. Pijani żołdacy, tzw. pierwszoliniowcy, rabowali, gwałcili i zabijali. Najpierw zniszczyli to, co było najcenniejszego w pałacu. Pod nogami chrzęściło rozbite szkło, walały się książki, poprzewracane i poniszczone meble, obrazy [...] Szukali kobiet. Wyciągali młode dziewczyny i gwałcili. (s. 78)

Dlatego też jak najprędzej cała rodzina starała się powrócić do Polski, w której było jeszcze bardzo niespokojnie. W końcu zatrzymali się w Lipnie, starym polskim mieście na Pomorzu, gdzie ojciec otrzymał z reformy rolnej kilkunastohektarowe gospodarstwo. Niestety ponieważ rozpoczął pracę w swoim zawodzie, nie zajmował się gospodarstwem, a cały ciężar opieki nad nim spoczął na jego nastoletnich dzieciach, które przed wyjściem do szkoły oporządzały gospodarstwo:

...musieliśmy nakarmić świnię i upalować krowy. Po powrocie ze szkoły znowu praca w gospodarstwie [...] Wszystkie obowiązki gospodarskie musieliśmy przejąć my, dwoje nastolatków. Macocha z upodobaniem grała rolę pani, zajmowała się córką, chodziła po zakupy do miasta i na plotki do sąsiadów. My zaś z bratem, jak te robole, ryliśmy w ziemi w piątek i świętek. (s. 86)

Na szczęście dla rodzeństwa w 1948 roku odszukała ich rodzina matki. Wujostwo Śliwińscy, którzy osiedli w dawnych Prusach Wschodnich, w Piszcu, postanowili zaopiekować się dziećmi nieżyjącej siostry. Tak rozpoczęła Danuta Śleszyńska samodzielne życie i trafiła, jak brzmi tytuł jej wspomnień, z Kresów na Warmię. Tu poznała przyszłego męża, założyła rodzinę. W 1952 roku przeniosła się do Olsztyna i spędziła w nim już całe życie. Z tamtego okresu pozostały jej piękne wspomnienia z narodzin dzieci, ich pierwszych kroków. Ale ówczesna rzeczywistość nie przedstawiała się najlepiej:

Powracam do tamtych powojennych czasów, aby przekazać, chociaż częściowo, obraz zniszczeń Olsztyna, które najbardziej utkwiły mi w pamięci. Ruiny po spalonych i zburzonych budynkach, pełno rozbitego szkła, gruzu, kamieni i śmieci. Smutne jest to, że nie uczyniły tego działania wojenne, ale po „oswobodzeniu” pijane ruskie żołdactwo. Palili, szabrowali, rozbijali wszystko po drodze. W zniszczonym mieście sterczały pozostałości kominów, ruiny domów straszyły powybijanymi oczodołami okien. Niebezpiecznie było poruszać się, ponieważ zdarzały się miny i niewybuchy bomb, zagrażali też złodzieje i szabrownicy, którzy kradli, co się dało. (s. 134)

We wspomnieniach Danuta Śleszyńska najwięcej miejsca poświęca czasom swojej młodości. To urodzenie na Kresach, wychowanie w szlacheckim dworku, wpływ licznej kresowej rodziny ukształtowały jej osobowość. Nigdy o tym nie zapomniała, choć śladów materialnych tej przeszłości już nie ma. Doświadczenia z czasów wojny wpłynęły na jej poglądy na temat narodów. Najwięcej krzywd doznała od Sowietów i to oni są w jej oczach największymi oprawcami. Wspomnienia pomogły uporządkować przeszłość, rozprawić się ze zjawami

z przeszłości. Sprawili, że utrwalone w nich zostały osoby najbliższe autorce. Spełnił się w ten sposób terapeutyczny cel autobiograficznego pisarstwa.

W olsztyńskim środowisku co jakiś czas pojawiają się kobiece relacje o przeszłości, zrodzone z potrzeby uporządkowania zdarzeń i utrwalenia wiedzy o czasach minionych. W 2003 roku ukazała się interesująca relacja Haliny Donimirskiej-Szyrmerowej „Był taki świat... Mój wiek XX”. Autorka pochodziła z rodu przedwojennych działaczy ruchu polskiego w Prusach Wschodnich. Jej rodzice byli przez Niemców za tę działalność prześladowani. Po wojnie została sekretarką Pełnomocnika Rządu na Okręg Mazurski Jakuba Prawina. Olsztyn był czasem jej młodości i najpiękniejszych chwil w życiu, ale także, szczególnie na początku, miejscem, w którym doznała wielu upokorzeń.

Nie tak dawno, bo w 2014 roku, dziennikarka Joanna Wańkowska-Sobiesiak⁵ wydała książkę „Serwus chrabąszcze”, która była nominowana do Literackiej Nagrody Warmii i Mazur Wawrzyn 2014. We wspomnieniach, w centrum uwagi, sytuuje swoją matkę, lecz jednocześnie pisze o tym, co wpłynęło na wychowanie jej samej:

Swoje życie spisywałam tak, jak przychodził człowiekowi myśli do głowy, a więc wcale nie po kolei, ale właśnie w sposób nieuporządkowany. Ale niby dlaczego miałabym pisać inaczej? Przecież w dużej części są to wspomnienia o mojej matce, której życie było właśnie takie: chaotyczne, nieuporządkowane, zaskakujące i szalone. (s. 185)

W tych autobiograficznych zapisach odzwierciedla się typowy powojenny los repatriantów, zmuszonych do znalezienia sobie nowego miejsca na ziemi. Jej rodzina jadąc z Wilna do Polski, zatrzymała się w małym miasteczku na Opolszczyźnie. Ojca Joanny skusiła możliwość posiadania zakładu malarskiego, który zresztą z powodu nadużywania alkoholu stracił podczas gry w karty. Autorka przyszła na świat w 1949 roku. We wczesnym dzieciństwie była wychowywana w żłobku prowadzonym przez siostry zakonne. Jej matka pamięta, że wychowawczynie ostrzygły małą Joannę *na świętego Franciszka z wygoloną tonsurą na czubku głowy* (s. 15). Panowały tam surowe obyczaje, które autorka zapamiętała do końca życia.

Narratorka i jednocześnie bohaterka wspomnień przywołuje charakterystyczny rodzaj więzi łączący mieszkańców tzw. ziem odzyskanych. Repatrianci utworzyli tam wspólnotę, która wspierała się w trudnych sytuacjach, wrogo nastawioną do Niemców, czyli byłych mieszkańców Dolnego Śląska. Autorka wspomnień nie ukrywa, że niechęć ta była niekontrolowana i bezrefleksyjna.

⁵ Joanna Wańkowska-Sobiesiak – dziennikarka, pracowała w „Dzienniku Pojezierza” i „Gazecie Warmińskiej”. W latach 2002–2011 była prezesem olsztyńskiego oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Jest autorką m.in. opowiadań *Świat drugiego podwórka* (Olsztyn 2006), *Świat bliski, znajomy?* (Olsztyn 2008), *Za mało na Polaka, za mało na Niemca* (Olsztyn 2002), *Buty Agaty* (Olsztyn 2008), *Moi sąsiedzi* (Olsztyn 2012).

Z potrzeby zabezpieczenia pamięci o prowadzonych działaniach organizatorskich powstała książka Anny Mackowicz, polonistki i pedagoga, pod znamienym tytułem „Ocalić od zapomnienia”. Znajdujemy w niej przede wszystkim świadectwa uczestniczenia autorki w działalności oddziału Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza w Olsztynie, którego była prezeską przez długie lata. Anna Mackowicz przybyła do Olsztyna w 1968 roku i rozpoczęła pracę najpierw w Liceum Ogólnokształcącym dla Pracujących, potem w I Liceum im. A. Mickiewicza, następnie w Okręgowym Ośrodku Metodycznym. Autorka wspomnień zwierza się:

Po wielu przeżyciach intelektualnych i emocjonalnych nasuwają się dzisiaj refleksje, którymi chcę się podzielić. Niektóre z wydarzeń utkwily mocniej w mojej pamięci, inne umknęły. Wspomnienia są jak zwierciadło, w którym przeglądając się, dostrzegam to, czym żyłam, o co walczyłam i jak inni to postrzegali⁶.

Pisarstwo autobiograficzne: wszelkiego rodzaju pamiętniki, wspomnienia, wywiady, autobiografie, jest atrakcyjne dla czytelników z wielu powodów. Wyraża sumę losu pojedynczego człowieka na tle ważnych zdarzeń lub pokazuje, jak historyczne zawirowania wplecione są w zwykłą egzystencję. Pełni funkcję kompensacyjną poprzez możliwość konfrontowania i przeżywania istotnych wydarzeń wraz z osobą mówiącą. Jako świadectwo epoki ma walor poznawczy. Wywołuje także silne emocje ze względu na atrakcyjność przedstawianych faktów. Wydaje się, że popularność tego gatunku nigdy nie wygaśnie.

Joanna Chłosta-Zielonka

⁶ A. Mackowicz, *Ocalić od zapomnienia. Wspomnienia z życia literackiego, dydaktycznego i społecznego*, Olsztyn: Anna Mackowicz, 2015, s. 7.

Zbigniew CHOJNOWSKI

Jechać do Lwowa z Maryną czyli życiorysowa mimikra

ZBIGNIEW CHOJNOWSKI

ur. 1962, prof. zw. dr hab., pracuje w Instytucie Polonistyki i Logopedii Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie; poeta, historyk literatury, krytyk literacki; debiutował tomem wierszy „Śniardwy” (1993), ostatnio opublikował zbiór „Bliźniego swego” (2012); autor książek monograficznych i krytycznoliterackich o poezji polskiej (w tym mazurskiej i regionalnej), np. „Kanon prywatny. Książki poetyckie 1981-2015” (2016). Należał do grona współzałożycieli stowarzyszenia WK „Borussia”.

O Marynie Okęckiej-Bromkowej przez wiele lat tylko słyszałem. Pamiętam z dzieciństwa słuchane przypadkowo i bez świadomości ich autorstwa audycje radiowe „Tropami ludzi i pieśni”. W moim księgozbiore miałem jedynie opracowaną przez nią antologię pieśni ludowych, które zebrała na Warmii i Mazurach pt. „Śpiewa wiatr od jezior” z 1966 roku. Nie znałem pisarki osobiście aż do początku lat 90. Pierwszy raz zobaczyłem ją na spotkaniach organizacyjnych. Na zebrania olsztyńskich członków Stowarzyszenia Pisarzy Polskich przynosiła ogromny termos z pompką, napełniony dobrą, gorącą kawą. Z filiżanek parował aromatyczny czarny napój, a Maryna pytała matczynym głosem: *Kto jeszcze chce?, Komu dolać?*

Maria Jadwiga Bromek z domu Okęcka była typem kobiety harcerki. Dobrze się czuła w sytuacjach nowych, w eskapadach, lubiła wyzwania, które łączyły się z pokonywaniem trudów. Przekonałem się o tym na własne oczy.

Wiosną 1995 roku zostałem oddelegowany przez kolegów pisarzy, zgodnie z sugestią Erwina Kruka, do towarzyszenia Marynie w podróży sentymentalnej do Lwowa. Był to jej pierwszy i chyba ostatni powrót na ziemię lwowską. Ziściło się marzenie, wyrażające się tytułem słynnego tomu wierszy Adama Zagajew-

skiego „Jechać do Lwowa”. Niektórzy rodowici lwowianie, tacy jak Zbigniew Herbert czy Stanisław Lem, do powojennego Lwowa – miasta urodzenia czy młodości – postanowili nigdy nie wracać. Maryna oporów nie miała ze względu na swój sentymentalizm, a może także dlatego, że w 1991 roku Ukraina, przynajmniej w sensie prawnym, stała się państwem suwerennym.

Maria Okęcka urodziła się 26 czerwca 1922 roku w położonym nad Bugiem Uściługu (spotkałem też inny zapis tej nazwy: „Łuściłog”) na Wołyniu, a Lwów był miastem jej ocalenia. Tutaj – bez matki i bez ojca – zamieszkała w 1940 roku i przetrwała czas wojny i okupacji. Wcześniej Lwów знаła z lekcji historii, z opowieści rodzinnych i z lektur oraz z radiowych występów Tońcia i Szczepcia na Wesołej Lwowskiej Fali.

Uratowało ją to, że była karmicielką wszy w Instytucie Badań nad Tyfusem Plamistym i Wirusami na potrzeby armii niemieckiej lwowskiego profesora Rudolfa Weigla. Nie znalazłem jej nazwiska w wykazie osób zatrudnionych w Instytucie w latach niemieckiej okupacji Lwowa od lipca 1941 do lipca 1944 (pod numerem 155. zapisano Zbigniewa Herberta). Jednakże lista obejmuje zaledwie dziesięć procent ludzi, którzy jako karmiciele wszy znajdowali schronienie i środki do życia. W Instytucie pracowała od 1942 do dnia wyjazdu do pojałańskiej Polski w 1945 roku.

Marynę Okęcką-Bromkową ekscytowało to, że zobaczy Lwów, gdzie przetrwała czas okupacyjny, ale i miasto, w którym Niemcy rozlepili listę z nazwiskami rozstrzelanych Polaków, widniała na niej także „Maria Okęcka”. Figurowała jako zakładniczka, która była przewidziana do uśmiercenia w odwecie za zlikwidowanych żołnierzy niemieckich. Bliscy i znajomi jeszcze po 1945 roku żyli w przekonaniu, że Marysię zabili Niemcy. Gestapo trzymało ją w więzieniu śledczym przy ulicy Łąckiego od października 1943 do końca czerwca 1944. Dawniej podawała, że przyczyną uwięzienia był udział w tajnych kompletach. Ich celem podobno było *pogimnastykowanie umysłu i dopełnienie wiadomości ogólnych*. Ledwo się zaczęły, na skutek denuncjacji niejakiego Marka Słoneckiego, aresztowano kilkoro uczestników tajnego nauczania.

Inną wersję tamtych wydarzeń Maryna opisała w oświadczeniu z 20 listopada 1992 roku:

Niniejszym oświadczam, że powód mego aresztowania przez gestapo we Lwowie był polityczny. Zajmowane przeze mnie mieszkanie przy ulicy Zyblikiewicza 24 A we Lwowie stanowiło punkt kontaktowy. W toku przesłuchań zrozumiałam, że przychodząca z różnymi poleceniami dziewczyna imieniem Elza była współpracownikiem gestapo. Poznałam ją w Instytucie prof. Weigla, w którym byłam karmicielką wszy (potrzebnych do szczepionek przeciwtyfusowych). Po wyjściu z więzienia dziewczyny tej już nigdy nie spotkałam i do dzisiaj na jej ślad ani ja, ani nikt z moich znajomych nie natrafił.

Na szczęście – podobno – rodzina i dobrzy znajomi wykupili ją. Ojciec zaś, jak sama pisała, został zamordowany przez niemiecko-ukraińskich bandytów w 1943, a więc w czasie rzezi wołyńskiej.

Może poraniona pamięć sprawiła, że gdy Maryna zajechała do wioski Wiszniowij Sad, znajdującej się na trasie Medyka–Lwów, nie chciała słuchać ukraińskich śpiewów tamtejszych dzieci uczących się języka polskiego, a wywodzących się z rodzin mieszanych. Przygotowany repertuar był dwujęzyczny. Na nieznoszące sprzeciwu żądanie Maryny wiejski chórek śpiewał jedynie pieśni polskie, dziewczynki i chłopcy recytowali tylko wiersze po polsku. Maryna jako tako władała francuskim, niemieckim i... ukraińskim. Ukraińców nazywała *Rusinami*.

Do Lwowa jechaliśmy najpierw pociągiem wzdłuż Wisły. Od Krakowa skład odbił na wschód. Nasz przedział przez większą część podróży był tylko dla nas. Maryna podekscytowana zbliżaniem się do stron wczesnej młodości opowiadała historie i historyjki swojego życia. Było to trochę nużące, bo powracała w kółko do tych samych zdarzeń. Starsza pani ma prawo do dziwactw – myślał jej towarzysz podróży. Nie wiedział, że bez mała siedemdziesięcioletnią kobietę toczyła już choroba Alzheimera i zaczynała się katastrofa zapomnienia. W pędzącym przez Polskę pociągu opowiadała o dziewczynce z sierocińca, do której przyszła wysoka, przystojna pani w futrze. Mała Marysia spojrzała na tę piękną panią i czym prędzej uciekła z pokoju spotkań z płaczem, krzykiem, wołaniem, spazmem: *To nie jest moja mama*. Piękna pani – Helena z Pomianowskich – podobno nigdy nie wróciła po Marysię, która jako dojrzała kobieta napisała wiersz bez tytułu, zadedykowany *mojej nieznanej matce*:

*Gdy za czarnym progiem
zamknęłaś oczy
czy kochałaś mnie wpatrzona w agonię?
Nie znam ciebie
jesteś nocą
przerażliwie samotną*

Maryna myliła tropy w sprawie matki. Niedługo po 1945 roku informowała, że matki już nie było wśród żywych, bo zesłana do Kazachstanu w 1940 po paru miesiącach zmarła. Jestem w posiadaniu odpisu skróconego aktu jej zgonu, z którego wynika, że urodziła się 18 grudnia 1899, a odeszła 31 lipca 1954 w Jaworze. Świadkowie śmierci Maryny Okęckiej-Bromkowej, która nastąpiła 15 października 2003 roku w Domu Pomocy Społecznej „Kombatant” w Olśztynie, twierdzą, że umierając, zawołała: *Mamo!*

Ojciec, który był leśniczym agronomem, po rozstaniu się z żoną umieścił Marysię i jej siostrę Elżbietę (zmarła w czasie wojny) w prywatnym sierocińcu Babci Duszki (główniej bohaterki „Sekretarzyka babuni”). Placówka powstała kilka lat wcześniej w celu roztoczenia opieki nad dziećmi osieroconymi podczas I wojny światowej.

W 1940 roku jeden z trzech enkawudzistów, mieszkających we wsi, ten, który mówił po polsku, ostrzegł przed grożącym jej niebezpieczeństwem. Samotnie i na piechotę wyruszyła do Lwowa. Pod drogą zabrała ją wojskowa ciężarówka. Jechali nią żołnierze Czerwonej Armii,

ale młodej dziewczynie nic złego nie zrobili. W warunkach lwowskich osiemnastolatka usiłowała się urządzić, uczęszczając na kurs bibliotekarski i gastronomiczny, po którym mogłaby pracować jako szefowa kucharzy.

Zanim przybył z Olsztyna odwiedzić Lwów i okolice, w Przemyśle przywitał ich dyrektor Wydziału Kultury i Turystyki Województwa Przemyskiego i poeta w jednej osobie: Mariusz Olbromski. Organizował on „przerzuty” polskich autorów na Ukrainę, przede wszystkim do Lwowa. Maryna przed udaniem się do miasta swej młodości odbyła spotkanie autorskie w czytelni Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Przemyśle. Dyrektorka placówki w geście przeproszenia i usprawiedliwienia informowała, że w jej księgozbiorze znajdują się tylko dwie nieco zdefektowane pozycje Maryny Okęckiej-Bromkowej: „Nad jeziorem bajka śpi” i „Sekretarzyk babuni”. Jak zobaczyłem, była to wersja ocenowana wydana w 1970 roku. Pełną edycję opublikowała Krajowa Agencja Wydawnicza w 1994. Ale czytelnicy w pierwszych latach suwerennej Polski nie byli już złąknieni lektur wprowadzających w życie na kresach II Rzeczypospolitej. W mieszkaniu przy ulicy Niedziałkowskiego w Olsztynie piętrzyły się paczki z egzemplarzami „Sekretarzyka babuni”, które Maryna rozdawała na prawo i na lewo – albo sprzedawała na spotkaniach autorskich po pięć złotych.

Po krótkim pobycie w Przemyśle pisarka odwiedziła nieodległy Lubaczów, aby pomodlić się przed obrazem Matki Boskiej Lubaczowskiej. Przecież była autorką cyklu pt. „Kresowe Mat-donny”; w notach historycznych i wierszach hymnicznych utrwaliła sanktuaria maryjne, także te znajdujące się w dawnych granicach Rzeczypospolitej. Maryna Okęcka-Bromkowa oddawała się kultowi maryjnemu z entuzjazmem i żarliwie. Według niej na wschodnich rubieżach granice polskości wyznaczają miejsca, na których kultywowano Matkę Bożą. Rozumiałem jej ogromny wstrząs i ból, gdy zobaczyła na okładce jednego z numerów olsztyńskiego czasopisma młodych „Portret” potłuczoną na kawałki figurkę Maryi. Nieroztropni redaktorzy obśmiali uczucia religijne staruszki i jej sprzeciw – na tym obśmianiu budowali obraz siebie jako buntowników, burzących zmurzałe mury „ciemnogrodu”.

W maju 1995 roku Maryna poprosiła, aby z Przemyśla zawieziono ją do klasztoru Sióstr Niepokalanek w Jarosławcu. Mniszki z tego zgromadzenia były nauczycielkami i wychowawczyniami młodziutkiej Marii Okęckiej. Ale najpierw (w roku szkolnym 1930/1931) uczęszczała do Jednoklasowej Publicznej Szkoły Powszechnej w Borowni (w powiecie koszyrskim w województwie poleskim).

Marysia była uczennicą Prywatnego Gimnazjum Żeńskiego im. Królowej Korony Polskiej ss. Niepokalanek w Maciejowie (w województwie wołyńskim). Mniszki były oddane sprawie wychowania dziewcząt. Zgromadzenie Sióstr Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny, którego założycielką była pochodząca z Podola Józefa Karska, miało pewne kłopoty z podopieczną. Z zajęć praktycznych, obowiązkowości, pilności i zachowywania porządku siostra przełożona wystawiła zaledwie oceny dostateczne. Przy ocenie z „ułożenia” zapisano

uwagę: często *hałaśliwa*. Zachowanie uczennicy w pensjonacie cechowała duża lekkomyślność. Niepokalanek wytrwale formowały nastolatkę i to one ukształtowały maryjną religijność przyszłej pisarki. Trochę zdumiało mnie to, że w twórczości Maryny Okęckiej-Bromkowej dopiero po 1980 roku nastąpiło nawrócenie. Wcześniej należała do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, władze doceniały jej talenty i osiągnięcia na polu radiowo-folklorystycznym i literackim. Zresztą nie wiem, jak ta sprawa przedstawiała się w pierwszych dekadach powojennych, bo najchętniej Maryna mówiła o latach pierwszych i ostatnich swojego życia. „Małą maturę” zrobiła u niepokalanek, a maturę 1939 roku w Liceum Gospodarstwa Wiejskiego w Jazłowcu (powiat buczacki w województwie tarnopolskim). Pod koniec życia z tajemniczą dumą mówiła o Ułanach Jazłowieckich. Jednym z nich był stryj Jan Marian Okęcki. Jako oficer służył w 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich, po Kampanii Wrześniowej 1939 roku w randze podporucznika został internowany w Rumunii, od 1940 roku we Francji, a następnie w Szkocji. W Wielkiej Brytanii odbył kurs desantowy i szkolenie na komandosa. Od 1946 roku mieszkał w Argentynie, zmarł w 1953 roku w Buenos Aires. Maryna była pod wielkim urokiem swojego stryja. Rozpoczęła pisanie książki o nim, ale nie ukończyła jej. Fascynacja Janem Marianem pod koniec życia była dla niej próbą powiązania swojego losu z wypieraną w okresie powojennym genealogią i historią. Ułan jazłowiecki z wojny uszedł cało. Innym bliskim, matce, ojcu i siostrze, nie udało się. Kuzyn Skąpski rozstrzelany na Pawiaku. Kuzyn Folkierski zginął w powstaniu warszawskim.

Maryna Okęcka-Bromkowa po Lwowie śmigła jak osiemnastolatka. Chodząc po długich opadających i wznoszących się ulicach Lwowa, przemierzając labirynt Cmentarza Łyczakowskiego, nie narzekała na ból nóg. Z niedowierzaniem słuchałem jej opowiadań o niemocy dolnych kończyn, o trabancie, na którego przydział otrzymała z racji inwalidztwa. Z niedowładu nóg wyleczyła się sama, zażywając kąpeli jeziornych nieomal przez cały rok, wyłączwszy zimę. Kąpała się najczęściej w jeziorze Buczek, nad którym położona jest wieś Sąplaty.

Maryna miała coś ze znachorki. Nosila przy sobie wahadełko, którym przepędzała z ciał złą, chorą energię. Osoby napotkane w Przemyślu i Lwowie, które skarżyły się na jakieś dolegliwości, leczyła także, najczęściej polecała wywar ze skrzypu lub ze skorupki od jajek. Tę miksturę po powrocie ze Lwowa do Olsztyna poleciłem mojej mamie, która po zażyciu jej musiała szukać pomocy u lekarza. Ale fakt jest faktem. Niektórzy leczą osteoporozę, gotując skorupki. Maryna podstaw zielarstwa nauczyła się w gimnazjum. Tuż przed wybuchem wojny do wsi, gdzie mieszkała z ojcem, pewien chłop przywiózł furmanką swoją żonę, którą Maryna wyleczyła.

Najpierw w Rybakach, a później w Sąplatach założyła swoją skromną rezydencję Marysin, do której zapraszała wszystkie bratnie dusze – zaznaczając, że o prowiant trzeba zadbać samemu. Na płocie w Marysinie była przybita tabliczka odstrasżająca: *Uwaga – zła gospodyni*. W głównym pokoju opierał się o ścianę krządek drewniany z nazwą miejsca wypisaną solidarycą. Ruch solidarnościowy był niezwykle istotny dla Okęckiej-Bromkowej. Po wprowadzeniu stanu wojennego zmuszono ją w olsztyńskiej rozgłośni radiowej, w której pracowała od



1956 roku, do odejścia na przymusową emeryturę w 1982. Jej pierwsza radiowa audycja była emitowana na żywo i przedstawiała dźwiękową postać wileńskiego wesela. Utrwalanie folkloru i praktykowanie regionalizmu, polegającego na podejmowaniu tematyki regionalnej oraz realizowaniu idei izb i muzeów kultury lokalnej, wypełniały twórcze życie Maryny. Odsunięcie jej od pracy w olsztyńskiej rozgłośni odczuła boleśnie, ale dało ono jej impuls do bycia sobą, do odnowienia przymierza z tym wszystkim, co było jej bliskie w czasie młodości. W latach 80. silnie związała się z Kościołem katolickim i przeciwnikami rządów gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Publikowała w „Pośłańcu Warmińskim”. Napisała reportaż o młodym ks. Jerzym Popiełuszcze „Ballada o żołnierzu z Bartoszyca”. W tym przygranicznym mieście działała jednostka wojskowa o zaostrożnym rygorze dla kleryków.

W Marysinie w 1997 roku powstał filmowy zapis rozmowy z cyklu „Mówiące Portrety”, którego inicjatorem i swego rodzaju redaktorem naczelnym był Roman Ławrynowicz (dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie). Gospodyni oprowadziła gości po wszystkich kątach. Można było zobaczyć stojące, wiszące na ścianach, leżące tu i ówdzie pamiątki Maryny z dróg przebytych „tropami ludzi i pieśni”. Maryna Okęcka-Bromkowa miała dar narracji, można rzec, że jej kresowość niejako objawiała się w szczerym gawędziarstwie, w snuciu koligacji, powiązań i rodowodów, przywoływaniu anegdot, znaczących szczegółów. Posiadła też sztukę słuchania napotkanych osób. W większości swoich książek przekazała historie, które ofiarowywali jej ludzie niejako w depozycie.

Z pasji słuchania i nagrywania innych zrodziła się jej praktyczna wiedza o folklorze. Talent reporterski Bromkowej opierał się na umiejętności obserwacji i zamieniania się w słuch podczas spotkania z drugim człowiekiem. Materię cudzych doświadczeń, cudzych opowieści potrafiła przekuć w stylizowane teksty literackie; tak powstały poezje ludowe we wspominaanej książce „Śpiewa wiatr od jezior”, baśnie i opowiadki wiejskie spisane z nagrań Warmiaków i Mazurów, a zebrane i wydane w tomiku „Nad jeziorem bajka śpi” (został on przetłumaczony na japoński i wydany w Kraju Kwitnącej Wiśni). Maryna z mikrofonem była też wśród myśliwych. Opracowała ich gawędy zamieszczone w tomie „Z kolankiem i bez”. Książka jest cichym hołdem dla pamięci ojca, który polował w lasach na Wołyniu. W myśliwskich opowiadaniach przebijają się elementy kolorytu mazurskiego, dopełniane przez oszczędne grafiki Hieronima Skurpskiego, nawiązujące do fauny i flory Mazur.

Materiał nagrany położyła Marynie Okęckiej-Bromkowej do napisania prozy o rodowitych mieszkańcach Warmii i Mazur i o nowych mieszkańcach regionu, o „kresowianach”. Autentyzm realiów, języka, postaci „Historii rodziny z Marciszek” sprawiły, że – jak opowiadała pisarka – po opublikowaniu tej sagi pod drzwiami jej mieszkania przy ulicy Niedziałkowskiego w Olsztynie zjawiała się pewna pani mówiąca ze śpiewnym, wileńskim akcentem. Kobieta zażądała adresu „Jana” z „Marciszek”, który przypadł jej do gustu, ona chciałaby koniecznie poznać go w celach matrymonialnych. Autorka „Historii rodziny z Marciszek” długo musiała tłumaczyć, że to jest beletrystyka, literatura piękna, że „Jan” jest postacią wymyśloną. A poza

tym Maria Okęcka-Bromkowa nigdy na Wileńszczyźnie nie przebywała, a przynajmniej do czasu napisania wileńskiej powieści.

Przypominam sobie, że we Lwowie pisarka i jej towarzysz podróży zostali zaproszeni przez tamtejszą Polonię na domową kolację. Gospodarze przywitani się serdecznie z gośćmi i powiadomili: *Zamykamy drzwi i już w całym domu jest Polska*. Było to w smak niezwykle patriotycznie usposobionej Marynie. W pokoju, gdzie zastawiono stół, roiło się od narodowych pamiątek. Rozmawiano o tym i tamtym. Maryna zaczęła coś mówić gwarą lwowską, ale jedna z biesiadniczek zgasiła ją, twierdząc prosto z mostu, że gdy Okęcka-Bromkowa chce wypowiadać się po lwowsku, ma akcent rosyjski. To spostrzeżenie na twarzy Maryny zgasiło radość biesiadowania. Poczuli się obca. Przecież nie była rodowitą lwowianką, przecież ze Lwowa wyjechała „repatriacyjnym”, a właściwie ekspatriacyjnym pociągiem w 1945 roku i przyjechała tu na chwilę po pięćdziesięciu latach. Opowiadanie oparte na wspomnieniach z jazdy tym pociągiem pt. „A ja się ze Lwowa nie ruszym za próg / ta mamciu ta skaż mnie Bóg” czytała lwowskiej Polonii. Wyczuwali to, co jest charakterystyczną cechą pisarstwa i stylu Maryny Okęckiej-Bromkowej, czyli humor i wzruszenie. Grupka lwowskich Polaków zebrana w obskurnawej salce w budynku, stojącym niedaleko słynnych kamiennych lwów, na przemian to wybuchała śmiechem, to szyskowała się do upuszczenia łzy.

„Pociąg ewakuacyjny” ze Lwowa jechał do Bytomia, ale dwudziestotrzyletnia Maria Okęcka najpierw wysiadła w Katowicach. Od 1946 pracowała jako „sekretarka maszynistka” w Bytomiu. „Ziemiami Odzyskanymi” straszono. A mimo to już od 1 grudnia 1948 do 31 listopada 1949 była zatrudniona na stanowisku samodzielnego referenta finansowego w Centrali Dostaw Drzewnych Przemysłu Węglowego, a dokładnie w olsztyńskiej ekspozyturze z siedzibą w Barczewie. W Olsztynie znalazła zatrudnienie w bankowości. O zamieszkaniu Maryny w stolicy Warmii i Mazur, jak sama utrzymywała, zdecydowało to, że odnalazła tu opiekunkę swojego wołyńskiego dzieciństwa – Babcię Duszkę. Rok 1956 sprawił, że Maria Okęcka stała się tym, za kogo jest uważana: radiowcem, folklorystką, reportażystką, pisarką, poetką, a wreszcie działaczką opozycyjną i żarliwą katoliczką. Jej biografia zawiera niekonsekwencje, miejsca dwuznaczne i niedookreślone – to życiorysowa mimikra. Nie mam wątpliwości, że była dzielną kobietą.

Artur DANIEL LISKOWACKI

Księgi wyjścia

ARTUR DANIEL LISKOWACKI

ur. 1956, prozaik, poeta, publicysta, krytyk teatralny, autor słuchowisk radiowych oraz utworów dla dzieci, regionalista; nominowany do Nagrody Literackiej Nike (za powieść „Eine kleine”, 2000, oraz zbiór opowiadań „Capcarap”, 2009), do Europejskiej Nagrody Literackiej (za powieść „Mariaz”, 2009); niedawno otrzymał Nagrodę Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich. Ostatnie publikacje to m.in. powieść „Murzynek B.” (2011), wspomnieniowe eseje „Ulice Szczecina” (2015, 2016).

Siedemdziesiąt dwa dekagramy. A nawet mniej. Bo jakieś dwadzieścia deko trzeba by odjąć. Odliczając od tej wagi oprawę, marmurkowy karton, który w tamtych latach okrywał miękkie z reguły okładki bibliotecznych książek. Więc może raczej pół kilo. Prozy. W sześciu zbiorach. Opowiadań, miniatur, baśni.

Wiersze z reguły – no, zwykle – ważą mniej. Tomik to tomik, już w samym słowie – słówko. Tom to słowo dla większych poetów. Tak, tom Miłosa. Ale innych autorów – tomik na ogół. A już zwłaszcza autorek. Jej tomików zebrało się jedenaście. Plus parę wyborów. Nie mam wszystkich, więc mogę tylko szacować, że licząc po dziesięć deko na sztukę, zebrałby się kilogram z haczykiem.

Tak że w sumie byłoby tego około dwóch kilogramów. Na dwie autorki razem.

Obie były zresztą bardzo szczupłe. Niskie, drobne, filigranowe. Zawsze.

Choć każda inaczej.

Prozaiczka trochę szorstko: marynarki i żakiety, sylwetka szara, pochylona w przód, ale krok zdecydowany, nawet wtedy, gdy kuląła, wspierając się o lasce, lekki zarost na twarzy, bo z wiekiem nie dba nadmierne o dawną, niewątpliwą urodę; i te dobre, ciemne, uważne oczy. W ręce – nieodłączny papieros.

Poetka eterycznie: za młodu kapelusze, zwykle sukienki (chyba że spacer po lesie), krok żywy (póki sił starczało), stuk-stuk, kobiecy, tak samo jak uśmiech na fotografii. Oczy bystre, życzliwe, ale i pytające. Żadnego papierosa. Nigdy.

Można by powiedzieć (też z uśmiechem): oto dwie literackie miniatury. Osobne i podobne. Albo podsumować paradoksem: tak samo inne.

Prozaiczka miała włosy zawsze upięte z tyłu, z czasem – siwe, proste.

Poetka miała włosy zawsze upięte w koczek, w młodości obfity, z warkocza spleciony, z czasem coraz mniejszy, jak u małej Mi z „Muminków” Tove Jansson.

Waga słów na kuchennej wadze. Wiem, trywialna, fałszywa miara.

Zewnętrzne podobieństwa (i różnice) jako znak rozpoznawczy osobowości. Zgoda, trop powierzchniowy. Powierzchniowy, więc dziś i tak zatarty.

A przecież trudno się pozbyć wrażenia, że zarówno Katarzyna Suchodolska, autorka małych próz, jak i Helena Raszka, poetka wielkich pytań – dwie pisarki przez większość lat swojego życia i do śmierci związane ze Szczecinem – zapisały swą obecność – i nieobecność – w mieście, i literaturze, właśnie tak, symbolicznie: drobnym pismem, książkami, które mieszczą się w dłoni, kruchością, ulotną nieważkością. Która jednak waży. Znaczy.

Inna rzecz, że czasem znaczy właśnie tyle co zapomnienie. Albo pamięć zbyt odświętna, niewiele się od zapomnienia różniąca.

Różnice lubią się zresztą przyciągać. Bywają też potwierdzeniem innych, głębszych związków.

Nie, nie były ze sobą blisko; i choć mieszkaly w tej samej dzielnicy – na Pogodnie willowym (choć one akurat w kamienicach), poniemieckim (w Stettinie: Braunfelde), będącym cichą wyspą na uboczu, bliską jednak centrum i śródmieścia – a łączyło je środowisko literackie, artystyczne, to otaczali je inni ludzie, inne sprawy.

Ale obie naznaczone zostały jednym losem. Jednym – nie znaczy wspólnym. Choć przecież jednym – życiowo. I egzystencjalnie. Co w gruncie rzeczy znaczy tu to samo. Bo największym – dźwiganym przez całe życie – tego życia doświadczeniem, rzutującym mocno na ich postrzeganie świata i twórczość, była dla nich obu utrata domu. Trauma wygnania.

Czy może bardziej nawet – bo to akurat nie do końca przecież to samo – ciężar wydziedziczenia. Niektórzy dopowiedzą: bezdomności.

Choć nie ulega kwestii, że dla każdej z nich słowo to miało inny wymiar. I znalazło dla siebie inne rymy.

Katarzyna Suchodolska (1920-1988) to pisarka zapomniana. Bez emfazy. Dosłownie. Poza samym Szczecinem, który ma dla niej spore hasła w internetowej „Encyklopedii Pomorza Zachodniego” i jednotomowej „Encyklopedii Szczecina” pod redakcją Tadeusza Białeckiego, prawie nieobecna w pamięci literatury. Jej „ogólnopolska”, krótka nota biograficzna tylko w dawnych leksykonach Lesława Bartelskiego (ostatni: „Polscy pisarze współcześni. 1939-1991”, PWN). W dwutomowej „Literaturze polskiej XX wieku” (PWN, 2001) jest tylko profesor Sucho-

dolski Bogdan. Nic więc dziwnego, że we wcześniejszej „Literaturze polskiej. Przewodniku encyklopedycznym” (1985), tego samego wydawnictwa, też jej nie ma, a jest tylko Suchodolski Rajmund, poeta i żołnierz powstania listopadowego, po którym została nam legenda romantycznej śmierci na polu chwały i kilka pieśni (m.in. „Dalej bracia, do bułata!”). Suchodolska, autorka „Jedenastu bajek o kwiatach”, z innej pieśni raczej. Wieszczy – jak i ona z Kresów – rzekłby pewnie: „pieśni gminnej”.

Ostatnia jej książka, „Echo nad bindugą”, ukazała się ponad trzydzieści lat temu, w roku 1986, dwa lata przed jej śmiercią. W okresie, kiedy o książkach – zwłaszcza takich, zanurzonych w jakimś innym świecie i czasie – nie mówiło się wiele. Wznowień żadnego ze zbiorów Suchodolskiej nie było i nie ma. Dobrze choć, że odnotowuje ją Wikipedia. Wprawdzie to tylko cztery (!) wersy, błędna data urodzenia, a życiorys zaczyna się od słowa nieprawdy: „poetka”, ale czego wymagać od kronikarzy z netu, gdy na szali są raptem siedemdziesiąt dwa deka.

Owszem, Szczecin literacki – głównie akademicki – o Katarzynie Suchodolskiej przypomina sobie czasem. Kontekst jest sprzyjający. Repatriantka (albo z nowym duchem: wygnana, wykorzeniona) budzi skojarzenia tożsamościowe. Można uruchamiać porównania zanurzone w szerokim nurcie. Tyle że finalna konkluzja Bogdana Twardochleba, autora hasła ‘Suchodolska Katarzyna’ z „Literatury na Pomorzu Zachodnim. Przewodnika encyklopedycznego” (Szczecin, 2003), najlepszego znawcy i najwierniejszego admiratora jej prozy, że *to jeden z najbardziej doniosłych przykładów tego wątku [„ludzie przesiedleni i skutki powojennych przesiedleń”]* w *powojennej literaturze polskiej* ma się smutno do rzeczywistości. Bo o doniosłości dzieła Suchodolskiej (ona sama wołałaby tu pewnie uniknąć słowa „dzieło”) nikt w kraju nie mówi, nie pisze. Od dawna. Nie będzie też przesady, jeśli powiem, że nigdy nie pisano o niej wiele.

*

O Helenie Raszce (1930-2016) przeciwnie. Zwłaszcza kiedyś. Najpierw dlatego, że była autorką pięknych, chętnie czytanych wierszy. Potem dlatego, że nie można było czytać tego, co nowe-go (aktualnego) napisała, więc tematem (politycznym, ale i etycznym) stało się jej milczenie. A później dlatego, że to milczenie należało jej wynagrodzić – pisaniem i mówieniem o niej ponownym, uroczystym, z użyciem słowa legenda.

Zapracowała na nie zresztą wcześniejszą popularnością. W latach 60. ubiegłego wieku była w centrum literackich wydarzeń, w sercu polskiej poezji. Jest takie zdjęcie – zachowane w jej prywatnym archiwum, a publikowane od czasu do czasu: na dowód, jak owo serce – wespół z jej sercem – biło. Oto Helena Raszka i Urszula Kozioł – dziewczęce w kwiecistych sukienkach – wrocławski park – ławeczka – i klęczący przed nimi w postawie adorującego rycerza, z ręką przy sercu właśnie – Zbigniew Herbert. Towarzyski żart (bo cała trójka pełna uśmiechu) ma tu jednak – zwłaszcza po latach – znamiona rzeczywistego hołdu z certyfikatem. Bo pierwsza sława przyszła do Raszki już po pierwszych tomikach. Tak, tomikach. Drobnych, jak to tomiki. Od początku zresztą zwracano uwagę na poetycką zbieżność nazwiska z osobą; raszka to inaczej rudzik – ptaszek mały, ale barwny, strojny. Ornitolodzy mówią, że jego śpiew brzmi

jak *długi melancholijny świegot o zmiennym tempie, z opadającymi frazami i perlistymi trylami, w którym występują improwizacje*. A że nazwisko po mężu (Kazimierzu Raszce)? Nie szkodzi. Przeciwnie. Pomaga. Tak jak on sam – starszy od żony (z domu: Błażejowskiej) o lat dwanaście, z wykształcenia: inżynier leśnik, mężczyzna, jak i ona drobny, ptasi, lecz silny nie tylko duchem – pomagał jej i wspierał ją całe życie, bardzo – prawie do końca – wspólne (zmarł w roku 2013).

„Okruchy bursztynu” (1959), „Inny kraj” (1962), „Bliżej dna” (1965), „Portret zdziwiony sobą” (1966) sytuują Helenę Raszkę w gronie najwyższej ówczesnie cenionych liryczek. Obok Małgorzaty Hillar, Mieczysławy Buczkówny, Haliny Poświatowskiej, Urszuli Koziół... Ceniono ją zwłaszcza za erotyki, ale też wiersze o symbiozie człowieka z naturą i subtelne refleksje dotyczące kondycji ludzkiej. Nie kojarzono jej wtedy jeszcze z poezją nurtu społecznego, politycznego.

Kiedy jednak – po wydarzeniach szczecińskiego grudnia 1970 roku – cenzura każe jej usunąć – z tomu „Liczba mnoga”, który miał się ukazać w „Czytelniku” – dedykację dla szczecińskich stoczniovców, Raszka nie chce się temu podporządkować; książka się nie ukazuje. Kilka lat później – też po jej sprzeciwie wobec cenzury – ten sam los spotyka kolejny tomik „Korzeń i skała”. Będzie się mówiło, że Raszka została skazana na milczenie. Albo że sama je wybrała. Choć proste wybory nigdy nie są proste tak po prostu. „Liczba mnoga” ukaże się przecież w roku... 1982 (z rozpędu trochę, po rozhulanym roku 1981, ale jednak). „Korzeń i skała” poczeka już natomiast do wolnej Polski (2001), podobnie jak inne zbiory, pisane w latach 70. i 80., które pojawiać się będą sukcesywnie dopiero po roku 1990; ostatni z tych wcześniej nieopublikowanych (trochę z wyboru, trochę z konieczności) „Imię własne” (2011) ukaże się zaś dopiero pod koniec życia poetki.

Fetowanej przez te lata na miarę zasług i dorobku. Za wiersze i postawę. Choć może raczej tak: za postawę. I wiersze. Były konferencje jej poświęcone – na Uniwersytecie Szczecińskim i w Książnicy Pomorskiej, jubileuszowe wystawy, Nagroda Artystyczna Miasta (1996), a przed paru laty, jeszcze gdy żyła, jej imię nadano Szkole Podstawowej nr 7 w Szczecinie; parę tygodni temu otwarto tam uroczyste małe muzeum Poetki.

Ale po śmierci męża, który przez pół wieku był jej partnerem, przyjacielem i życiowym opiekunem (pani Helena nigdy nie pracowała etatowo), czuła się samotna. Coraz bardziej chora, poruszająca się z rosnącym trudem, już tylko po swoim mieszkaniu, wyczekiwała gości, zainteresowania ludzi, lecz i męczyła się nimi. Zostając w końcu ze swą rosnącą depresją. Poczuciem izolacji. Odsunięcia.

*

Bogdan Twardochleb, pisząc o Suchodolskiej siedem lat po stworzeniu jej hasła w „Literaturze na Pomorzu Zachodnim”, zauważa trafnie, że *była najcichszą postacią powojennego szczecińskiego środowiska literackiego*. Symptomatyczny jest tytuł jej intrygującego, pełnego onirycznej symboliki, a w gruncie rzeczy bardzo osobistego zbioru miniatur: „Ciche trawy” (1966).

Ta jej cisza przeniosła się zresztą na lata po niej.

Znamienne: do szkicu Twardochleba o Suchodolskiej, powstałego w ramach cyklu „Pisarze nieobecni, książki zapomniane” – pomieszczonego na stronie pomorskiego magazynu literacko-artystycznego latarnia-morska.eu – zajrzało wprawdzie ponad cztery tysiące ciekawych, lecz pozostałe z dziesięciu sylwetek owego cyklu cieszyły się, jak dotąd, zainteresowaniem większym.

Znamienne przy okazji: kiedy przed sześciu laty powstawała w Szczecinie Nagroda Literacka dla Autorki „Gryfia” – szukaliśmy dla tej nagrody – my, jej pomysłodawcy i organizatorzy z „Kuriera Szczecińskiego” i Uniwersytetu – ciekawego, nieoczywistego patrona. Dokładniej: patronki. Której imię mogłaby nagroda z dumą nosić. Szukaliśmy w szczecińskiej tradycji literackiej. Zaproponowałem Katarzynę Suchodolską. Nie uznano tego za dobry pomysł. Nagroda miała być ogólnopolska. A kto w Polsce wie...

Nikt nie wie. Choć nie dlatego, że – co się przecież zdarza wielu autorom i autorkom (mówiąc prawdę: większości z nich) – pisanie Suchodolskiej przeminęło z wiatrem (literatury i pogód wszelkich). Że ujawniło, po latach, krótki oddech (astma „Katii”, jak o niej mówili bliscy znajomi, była skądinąd wpisana w jej życie wcale nie metaforycznie). Przeciwnie, jej niewielkie utwory – nie zawsze rozmiarem, ale zawsze perspektywą spojrzenia na człowieka: z bliska – czytane dziś otwierają się na przestrzenie szerokie. I jawią się oryginalnie, współcześnie.

Ale zapomnienie zdaje się być jej drugim życiem. Tym prawdziwym. Schowanym przed ludźmi, ukrytym w psychologicznych niedopowiedzeniach i biograficznych tajemnicach, skromnym, programowo małym; jak jej książki, które dziś – w dobie wypasionych tomów, lśniących lakierem twardych, krzykliwie kolorowych okładek – wyglądają niczym ubodzy krewni z prowincji, co się zwie Przeszłość. A przecież myliłby się ten, kto by chciał rzec, że Katarzyna Suchodolska była nieczuła na wagę swoich słów. Na znaczenie pisania w swoim życiu. Było chyba na odwrót – literatura była dla niej czymś bardzo istotnym, bo stanowiła punkt zaczepienia w rzeczywistości, którą trudno było jej ośwoić, i namiastkę domu, utraconego domu, za którym całe życie tęskniła.

*

Helena Raszka żyła w przeświadczeniu, że to słowa – słowa jej wierszy – są podstawową prawdą jej życia. Dlatego lata przymusowego milczenia przyjmowała z godnością, która wynika z pewności siebie. Swojego wyboru siebie. W wierszu „Na baczność” (z tomu „Imię własne”) pisała w roku 1983:

*Co powiedziałam,
to powiedziałam.
Nie odwoła się
nieodwołalne.*

*Słowo przy słowie
karnie stoją
moje myśli.
Czuźnie strzegą
powinności mowy.*

Tytuł i ton wiersza brzmią twardo. Wydają się nawet znamionować pewną pychę. Nie tyle postawy (na baczność), ile wiary. W słowo. Ale za tarczą słów była delikatność. Ciała, duszy, życia. A to życie bez bycia publicznego, autorskiego – znosiła ciężko. Jak by to były lata wygnania. Nie bez kozery mówi się o „emigracji wewnętrznej”. A ta była dla Raszki tym trudniejsza, że jej książki nie ukazywały się poza obiegiem.

Nie ulega wątpliwości, że cokolwiek by o tym mówiono – wówczas, a i później, po roku 1989 – miało to wpływ na postrzeganie Poetki w tzw. życiu literackim. Ogólnopolskim, wysokim. Które oddalało się od jej życia. Po powrocie miejsca na Parnasie były już zajęte.

Dlatego konsekwencja, z jaką Helena Raszka strzeże swego dorobku – wpisując weń tomiki niepublikowane, tak jakby wydane były, w kolejności i numeracji, którą dodawała też do ich tytułów, gdy już się ukazać mogły – stanowi rodzaj obrony przed zapomnieniem. Wtedy. I potem.

Ale też dodatkowy wyraz wiary w sens takiej konsekwencji – takiego losu. Wówczas. Bo po latach – w tych jej latach ostatnich – naznaczonych samotnością (raczej wyobrażoną niż rzeczywistą), depresją, goryczą – wyzna Andrzejowi Sulikowskiemu, który ją wtedy odwiedza regularnie, że to, co po pisarzu zostaje – przepadnie i tak. *Przez wnuczęta papiery będą wrzucone z ulgą do worka z makulaturą albo od razu na palenisko domowego kominka. Jakże przesadnie optymistyczna i jednak w istocie mylna wydaje mi się myśl Bułhakowa – „rękopisy nie płoną”* („Helena Raszka zaprasza na spotkanie”, Szczecin 2017). Poetka mówi tu niby tylko o „papierach”, materialnych pozostałościach twórczego dorobku, ale odwołując się do autora „Mistrza i Małgorzaty”, daje w gruncie rzeczy wyraz swojemu zwątpieniu w trwałość słowa pisarskiego w ogóle.

Czy nie dlatego – właśnie w tym czasie, w ostatnim etapie życia – nie do słów już wracała (pogarszający się wzrok sprawiał zresztą, że nie mogła już czytać) – ale do obrazów. Obrazów pamięci. Wyniesionych z dzieciństwa. Jak z pożogi domu. Pożogi symbolicznej, ale i realnej, której groza – właśnie wtedy – zaczyna ze zdwojoną siłą oddziaływać na jej widzenie świata; nabiera znamion doświadczenia boleśnie świeżego, a że wzmocnionego przez dojrzałą świadomość – odczuwanego mocniej może niż wtedy – przez małą dziewczynkę – w roku 1939.

*

Katarzyna Suchodolska urodziła się w Kostopolu, na Polesiu Wołyńskim. Mówi o tym urokwie we wstępie do swoich „Bajek o kwiatach”:

Pochodzę z kraju złotych wód, mrocznych moczarów i trzęsawisk, odwiecznych lasów i tajemniczych jezior o wodzie ciemnobrunatnej i nieruchomej. Zaczyna się mój kraj w siódmym załomie Horynia – najpiękniejszej rzeki świata – i można go odszukać na mapie pod nazwą Polesie.

Skromna książeczka – wskazująca tytułem (bo to bajki, a w zasadzie baśnie, ludowe klechdy; choć w jakim stopniu ludowe, a w jakim jej własne – nie wiem) i edycją (liczne kolorowe obrazki) na dziecięcego adresata – przeznaczona była jednak w istocie dla dorosłych. Nie bez kozery wiele z tych bajek włączy potem do „Echa nad bindugą”, swej książki-testamentu. Formalnie – już dla dorosłych. Ale przecież i tak byłych dzieci. Byłych tam, gdzie – kiedy dorosły – być już nie mogli; w tym kraju-wyraju, jak o nim pisze, *który niełatwy do przebycia, gorzko biedny i nieurodzajny, nikomu nie wydawał się zazdrośnym kąskiem*. A więc i przedmiotem tęsknot czy pragnień. Do czasu. Kiedy stał się wspomnieniem.

Powracającym do początku. Od początku (*Mam tu coś na pierwszy początek!* – mówi kresowiak-repatriant z opowiadania „Na starych śmieciach”). Początku wygnania. Debiutancką książkę Suchodolskiej przeznaczoną – znów klasyfikacja gatunkowa: dla młodzieży (książki dla młodzieży! O gatunku zaginiony jak Atlantyda, i jak ona – zapewne – z tęsknoty za pięknym kłamstwem zrodzony) – „Jezioro czterech łabędzi” (1960) – otwierają słowa: *Wyrosłam nad piękną, kapryśną rzeką, o której mówią, że kto z niej raz wody się napił, ten bodaj z końca świata przyjdzie napić się po raz drugi*.

Nie przyszła drugi raz napić się z Horynia. Choć jej koniec świata nie był – geograficznie – tak znów odległy (nim w roku 1950 zamieszkała w Szczecinie, żyła i pracowała na ziemi lubuskiej). Tyle że rzeczywistym i nieodwracalnym końcem świata stało się dla niej to, co się stało. Exodus. To w związku z nim – zapewne z upływem lat – od wyjazdu do nowej Polski (1945) do literackiego debiutu minie ich wprawdzie piętnaście, ale najwcześniejsze opowiadania z debiutanckiego tomu pochodzą z początku lat 50. – pamięć zacznie się oblekać w mit. O krainie szczęśliwej, bo własnej. O ziemi biednej, lecz bogatej w krajobrazy i ludzi. Choć myliłby się ten, kto widziałby w tym życiową naiwność, artystyczny liczman (echo „kraju lat dziecinnych” Mickiewicza), ewokację trochę sztuczną, lecz wygodną dla pisarza (czym byłby Tadeusz Konwicki bez swojej Wileńszczyzny? Pytali – choć prawda, że trochę później – krytycy literaccy).

W powrotach Katarzyny Suchodolskiej – powrotach niemożliwych, lub inaczej: jedynie możliwych – właśnie tak: w literaturze – jest autentyczna tęsknota. Szczera, bolesna, jak przewlekła choroba. A przez swą kondensację emocjonalną – wyciszenie, zdławienie krzyku – jedna z naj-sugestywniejszych w naszej literaturze, tak pełnej głośnień i słodkich westchnień po Kresach.

We wspomnianym tomie miniatur – tomiku, bo on też miniaturowy – „Ciche trawy” – pośród wielu „Snów” (to jego część pierwsza) jest i ten – „Sen I”:

Gliniaste zbocze zryte kopytami. W śladach – kurz miękkiej, szarozółty. Zwijam się w kłębek i układam w dołku. Odcisk kopyt jest doskonale dopasowany do mojego ciała. Jest mi ciepło. Zasypiam [...] Kulę się mocniej, podkładam dłoń pod policzek. Dobrze mi jest.

Analitycy literaccy stawiający na psychologię powiedzieliby zapewne, że ten powrót we śnie to powrót do dzieciństwa – lecz i dalej, w głąb bezpiecznej pamięci: w łono matki. Łono ziemi. W glinę Polesia.

Ale skulona (embrionalnie) w odcisku kopyt, przywołuje bezpieczny sen – z lęku. Ze strachu przed tym, co poza nim, na jawie. Z obawy przed światem w ruchu, w którym *po mlecznej drodze toczy się koło historii* (miniatura „Próba”). To w jego stronę – a raczej w kierunku tych, co owo koło napędzają – woła z rozpaczą: *Zostawcie mnie [...] Nie każcie mi się czepiać szprych. Zostawcie mnie w spokoju.* Pozycja dziecka wtulonego w ciepły, ziemny dołek jest też pozycją, w której spoczywali umarli. Nim nie wynaleźliśmy dla nich trumien, nakazujących pozycję na baczność. Tak chowali swoich zmarłych już neandertalczyki. Rzucając im do grobu kwiaty. Pamiątki życia. Znaki życia.

Zawilec, łopian, złocień, dmuchawiec, bratki polne, niezapominajka, łączeń, oset, dzwonki, wełnianka, żmijowiec... Kwiaty, o których bajki napisała Katarzyna Suchodolska. Znajomi zwali ją życzliwie Czarownicą z Polesia. Bo dla niej każdy kwiat, każde drzewo, każde zwierzę (zwierzęta towarzyszyły jej też w życiu domowym) miały swoje imię. Swoje zakęcie. Tajemnicę.

Bez tej tajemnicy pamięć nie mogłaby rozwijać się, kwitnąć.

Ale i więdnąć, umierać.

W pamięci Katarzyny Suchodolskiej – tej spisanej, zamienionej w literaturę – nie ma jednak złych uroków, żalu do innych. Do sprawców wygnania, beneficjentów jej utraty (kimkolwiek by byli), choćby tylko sugerowanych enigmatycznie; tych jakichś Septentrionów Kmicichowych, których wymyślił Sienkiewicz, nie mogąc pisać: Rosjanie. Nie ma pretensji nie tylko do narodów czy choćby polityków, ale i do ludzi w ogóle.

Pamięć o *kraju złotych wód* jest pamięcią wyzbytą gniewu i myśli o zemście. Tak to przynajmniej wygląda – spomiędzy pożółkłych kartek jej zapomnianych książek. Jak było naprawdę, nie wiem. Ale to przecież też była prawda. Jej prawda. Skupiająca się na urodzie utraconego świata.

*

Helena Raszka urodziła się w Bydgoszczy. Ale jej pamięć rzeczywista, domowa, a za nią pamięć utraty – wiąże się z Poznaniem. Z nowym mieszkaniem, do którego tuż przed wybuchem wojny przenieśli się jej rodzice. Kupując meble na kredyt (spłacony dosłownie miesiąc

wcześniej), ale też wyposażając swój dom – o, niepoprawni inteligenci! – w bogatą, jak na swoje możliwości finansowe, bibliotekę (złożoną, jak zapamiętała Poetka, z trzystu książek). Józef (z wykształcenia ichtiolog) i Anna z Adamczewskich pochodzili ze zubożałego ziemiaństwa (rodzina matki utraciła majątek w ramach represji po powstaniu styczniowym), i właśnie z tej sfery wynieśli też domowe tradycje.

W grudniu 1939 roku do poznańskiego domu państwa Błażejowskich weszli niemieccy żołnierze. A jego mieszkańcy – wysiedlani poza nowe granice Rzeszy – znaleźli się – tuż przed Bożym Narodzeniem – zimą srogą i mroźną, jak tylko być może polska zima zła, okupacyjna – w bydlęcym wagonie, w drodze do Generalnej Guberni. Potem była nędza i poniewierka wygnania – to wtedy mała Helenka nabawi się gościa, który sprowadzi na nią z czasem chorobę serca – Częstochowa, wieś Harta i Przedmieście Dynowskie na Rzeszowszczyźnie, a pod koniec wojny Czernichów pod Krakowem...

Helena Raszka nigdy nie pisała prozy. Pewnie dlatego w jej twórczości nie ma opisów tej życiowej traumy, jaką było dla niej – wychuchanego dziecka, jedynaczki – wygnanie z domu, wędrówka po domach cudzych, głód, zimno. Te historie – realistyczne, ale i urosłe do wymiaru symbolu – pojawiają się jedynie w osobistych wspomnieniach (przekazywanych znajomym, do których miała zaufanie, a spisanych właściwie dopiero przez Andrzeja Sulikowskiego). Chociaż i w wierszach. Nielicznych, lecz mających – chyba tylko w tym wypadku, bo poezja Raszki jest refleksyjna, wpisana w słowa, a jej obrazy mają zwykle wymiar metafory – charakter poetyckiego reportażu, pełnego zgoła filmowych szczegółów. Wiersze te dotyczą jednak wyłącznie przeżyć z pierwszego etapu wygnania. Z początku exodusu. Z drogi samej.

I pojawiają się późno. W jedenastym tomie „Głosy w przestrzeni” (2011). Owszem, pisane były – jak informuje podtytuł – pomiędzy rokiem 1990 a 2006 – ale fakt zostaje faktem. Kluczowy dla tej poetyckiej pamięci wiersz „Ewakuacja 1939 – świt”, powstał w lutym 1998, podobnie jak inny, tego tematu dotyczący – „Kuropatwa”, dedykowany *pamięci nieznanego mężczyzny z pociągu ewakuacyjnego*. Pisała je więc poetka zbliżająca się do siedemdziesiątki.

A przecież obrazy, które przywołuje pamięcią, mają intensywność połyskliwych, wczoraj zrobionych fotografii. W „Ewakuacji” to obraz ucieczki w pole – ucieczki z pociągu ostrzelanego przez niemiecki myśliwiec. Realne pole staje się żywym ciałem.

*Nadjeżdża pług bólu
i przeorywuje
moje nieuleczalnie ludzkie ciało.
Leżę w bruździe
dziesięć kroków od cienia wagonu
dwadzieścia kroków przed schronem kartofliska,
wcisnięta w ranną rosę wrzeźniowego dnia.*

A pilot – doskonale świadom celu – strzela do kryjącego się dziecka:

*w nagie
nieosłonięte błękitem aksamitnej sukienki
dziewięcioletnie życie.*

W „Kuropatwie” życie wystawione na śmierć – też jednak uniknie śmierci. Choć tym razem jest to życie kuropatwy właśnie, którą ludzie – dokładnie jeden z nich, mężczyzna z dubeltówką – chcą upolować, by nasycić *głód pociągów ewakuacyjnych*. Dziewczynka pamięta:

*Tatusiu – wołam –
nie pozwól mu!
Jeśli ta kuropatwa ocaleje,
my przeżyjemy wojnę.*

Ojciec i mężczyzna z dubeltówką darowali życie kuropatwie. A więc może i sobie?

W pamięci Heleny Raszki – pamięci obudzonej poetycko sześćdziesiąt lat po wydarzeniach, ku którym się zwróciła – jest poruszające echo dziecięcego (nie dziecinnego!) humanizmu. Ale ta czysta pamięć – już poza wierszami (nielicznymi skądinąd) – naznaczona jest bólem obsesyjnym, nie waham się rzec – wrogiem.

Teraz ja pamiętam: ostatnie spotkania z panią Heleną przy różnych okazjach literackich, bo bywała (dopóki mogła) częstym gościem na wieczorach i promocjach, to była – jakże często – okazja również dla niej. By podzielić się tamtymi opowieściami o Niemcach, którzy nie tylko przyszli podpalić dom, w którym mieszkała, Polskę, ale i zburzyć jej dom własny – rodzinny – na zawsze. Pamiętam gorzko, przykro porozumiewawcze spojrzenia jej słuchaczy. Że znowu. Że tak. Z takim gniewem bezlitosnym, raną nieukojoną.

I to jeszcze – zanotowane przez Andrzeja Sulikowskiego – ta pretensja, że za utracony dom *nie dostaliśmy* (jej rodzice i ona) *ani feniga z tak zwanych reparacji*, i to także, że nigdy nie pojechała do Niemiec. Chciała na Zachód, lecz

pojawiła się psychologiczna bariera – nie potrafiłabym przekroczyć granicy. Niech nawet nazywają się federalnymi i demokratycznymi po zburzeniu muru berlińskiego... Nie bałam się komunizmu NRD-owskiego, lecz brzmienia tego strasznego, brutalnego, szczekającego języka Herrenvolku.

W innym fragmencie książki nazwanego wprost *szwargotem*.

Helena Raszka do Niemiec więc nie jeździła. Nie wracała też jednak do swojego kraju lat dziecinnych. Jej tęsknota za tamtym życiem – tamtym domem – naznaczona była krzywdą i strachem, poczuciem poniżenia i braku zadośćuczynienia. Nie miała zresztą dokąd wracać. Nie dlatego, że meble wywieziono do Niemiec, a książki – zapewne – spalono. Dlatego że ten dom był przede wszystkim w niej – i rozsypał się w brzdach pola, ostrzelanego przez samolot Luftwaffe. Nie musiała natomiast ocalać utraconego krajobrazu. Ocaliła siebie. W której tłukło się serce kuropatwy.

*

Za życia Katarzyny Suchodolskiej o jej życiu – przedszczecińskim – wiadomo było niewiele. Pewnie więcej wiedzieli o nim jej najbliżsi przyjaciele – pisarze: wilnianin z pochodzenia, poeta Józef Bursewicz, i urodzony koło Kowla Żyd, poeta – tworzący w jidysz – Eliaasz Rajzman, któremu przez całe jego życie (nie tylko literackie) pomagała. W jej haśle osobowym z „Leksykonu Pisarzy Zachodniopomorskich” tylko parę słów – dosłownie – o Suchodolskiej przedwojennej i wojennej (że matura w Łucku, i że uczyła tam – po wejściu Rosjan – w polskiej szkole). Wiadomo było tyle, że jest ze wschodu. Na polskie losy kresowe – w tamtych latach, nie tylko na tzw. Ziemiach Odzyskanych (*na tych Ziemiach, które Zachodnie* – pisze z przekąsem w jednym z opowiadań) – patrzono wtedy z rezerwą. I mówiono o nich mało. Czasem nic.

A tu jeszcze, jak się okazało – już dużo później – ten „polski los” Katarzyny Suchodolskiej taki trochę jakby nie polski (zwłaszcza w oczach dzisiejszych „prawdziwych patriotów”). Dopiero po śmierci pisarki jej mąż Antoni Suchodolski przekazał do Książnicy Pomorskiej papiery po niej – literackie rękopisy i dokumenty. A z nich wyłoniła się historia pogmatwana i – mimo dokumentów czy też paradoksalnie z ich przyczyny – pełna pytań bez odpowiedzi.

Obywatelstwo: polskie. Ale narodowość: rosyjska. Czy tylko ze względu na ojca, który był nauczycielem – nazywał się Michał (Michail) Draszpul – i zmarł, gdy Katia miała trzy latka? Matka – również nauczycielka – zapisywana była przecież w dokumentach według rosyjskiej formuły jako Olga Antonowa Dolińska. A w Muzeum Literackim Książnicy Pomorskiej jest także – datowane na 9 kwietnia 1945 roku – potwierdzenie ważności dowodu osobistego Katarzyny Suchodolskiej na nazwisko Draszpul Jekatierina.

Do tego data urodzenia. Rok zawsze ten sam: 1920. Ale Suchodolska podawała (po wojnie), że było to 24 grudnia. Czyli w Wigilię. A według dokumentów wcześniejszych – dokładnie: „świadczenia moralności” wystawionego przez starostę dla Kuratorium Szkolnego w Równem – Katia urodziła się 29 lipca. Smaczku tajemnicy (aromatu dymu) dodaje sprawie duplikat metryki chrztu (prawosławnego) z roku 1938, w którym datę tegoż chrztu, jak i urodzenia, wypalono. A nad miejscem, gdzie widniała, wpisano ołówkiem: 24 XII.

Kaprys pisarki, która chciała, żeby okoliczności narodzin były romantyczne (jak u wieszczki Adama)? Jakoś to do Katii nie pasuje. Ale może właśnie to my – po latach – obcy, nieznajomi – dopasowujemy ją do naszych wyobrażeń o niej? Zbyt prostych jak na to życie, w którym były zatrudnienia nauczycielskie (fach po rodzicach, a i specjalizacja – czyli nauka rosyjskiego

i literatury rosyjskiej, ukraińskiej – też?), ale również inne (praca kancelistki w skupie zboża czy kierowniczką mleczarni). Na dodatek (ubytek) pierwszy mąż – Jan Rozbicki (nauczyciel, a jakże) zginął, walcząc w szeregach radzieckiej partyzantki.

Tematy na dużą prozę? Ale nie wtedy. Dla niej chyba w ogóle. Nie sprawdzała się w panoramie. Wołała detal. Odsłaniany ostrożnie. Wołała życie cudze – jeśli to już miało być życie, a nie refleksje na poły liryczne czy symboliczne obrazy – niż grzebanie piórem we własnym. Choć próbowała powieści. W rękopisach pozostały dwie. Druga ważniejsza, rozgrzebana. Tytuł: „Moribundi”. Konający? Czy tylko śmiertelnicy? Powieść jest gorzką – ale i cierpką – relacją lwowskich przesiedleńców z ich drogi na zachód, niemieckie kresy. Ziemia też cudza. Ziemia niczyja. Obce. Choć dla niektórych obce bardziej.

Bogdan Twardochleb cytuje w swoim szkicu fragment powieściowego rękopisu; dialog, który narrator – przesiedleńca – podsłuchuje na pierwszej stacji za przedwojenną polską granicą (Zbąszynek, niem.: Neu Brentscheu):

– Co to za pociąg? – pyta jeden. – Gudłaje?

– Nie. Hołota zza Bugu – odpowiada drugi.

Z kolei w opowiadaniu „Na starych śmieciach” *obwisłomordy urzędas* rozpoczyna *jedno z zebranych przesiedleńców* słowami: *Towarzysze i towarzyszy, obywatele i obywatelki, i wy, ludzie zza Bugu.*

Czy przed taką stygmatyzacją uciekała Suchodolska w milczenie na temat swojego dawnego życia? Nie. Ona zresztą nie uciekała. Ona oddzielała. Nie prawdę od życia. I nie życie od życia. Ale ważne od nieważnego.

Ważne – z daleka – z końca świata po końcu świata – było zaś dla niej to, co w niej zostało z niej samej. Zachwyt nad światem. Nad jego pięknem. Najpiękniej się przejawiającym w Naturze. I zaduma nad Człowiekiem. Im bardziej małym, tym bardziej od wielkiej litery. Bohaterowie jej opowiadań – zwłaszcza ci z najwyższej ocenianego przez krytykę zbioru „Spotkanie w Wolkenbergu” (1966) – są szarzy, zwyczajni, na pozór pospolici. Jak „Człowiek imieniem Jan” (taki tytuł nosi jedno z nich): *ani bardzo młody, ani ładny. Nie był także specjalnie uzdolniony, ale też nie matołkowaty.* Ale sens swojego życia odnajdują w poszukiwaniu samych siebie – swojego domu, swoich korzeni, swojej ziemi. Zwłaszcza wtedy, jeśli to wszystko utracili. Ich siłą – ich triumfem – gorzkim, czasem na ich miarę, a dla postronnych tylko pozornym – jest to, że szukają wytrwale. I znajdują. Po swojemu.

Choć czasem jedynie trwają przy tym, że nawet jeżeli utracili, to nie do końca: *człowiek imieniem Jan był głęboko przekonany, że co najmniej dwie trzecie spotkanych ludzi doskonale zna tę kropkę na mapie* [którą oznaczano, w siódmym załomie Prypeci, małą miejscowość, skąd pochodził – przyp. ADL], *odwiedziło ją, lub słyszało o niej.*

Ale było tak tylko, dopóki jechał pociągiem repatriacyjnym. Na nowym miejscu już nie. Może na szczęście. Bo kiedy pojawia się tam „swojak”, ból utraty staje się tak nieznośny, że Jan wszczynają pijacką awanturę i trafia do więzienia. Gdzie *będzie siedział po wieki wieków. Amen*. Suchodolska pokrywa gorzyc ironią, ale pociechy nie szuka w skrzywieniu ust, lecz w zgodzie na zastane. Trudnej zgodzie na niełatwe.

Jak bezimienny bohater tytułowego opowiadania zbioru „Spotkanie w Wolkenbergu”, podążający śladami swojej kobiety – wojennej miłości – poznanej na przymusowych robotach w Niemczech. Przyjeżdża wreszcie do miasteczka, gdzie ma się z nią spotkać, i kieruje się wskazówkami listu, który napisała doń koleżanka jego Hanny. Ale słowa kończące opowiadanie: *Ot, i jesteście razem, Hanno* – wypowiada do szarego, polnego kamienia. Pod którym spoczywa jego miłość. Można się tylko domyślać – i dobrze się tego domyślać – że zostanie w tym brzydkim, obcym, ale teraz już własnym miasteczku.

Albo jak Łuń, bohater opowiadania „Szelineiaki”. Sensus swojego nowego życia na cudzym nie odnajduje w podobieństwie miejsc i krajobrazu czy znajomych klimatach. Miasteczko, w którym wysiadł, wydało mu się *wstrętne* (podobnie jak *odpychający i nieprzyjazny* wydał się – bohaterowi innego opowiadania – poniemiecki dom, w którym miał zamieszkać). Do pozostania skłoniła go konieczność zmagania się z tym samym życiem co kiedyś. Symbolem tej znoej tożsamości – realnym i dokuczliwym – są żuki szelineiaki, które niszczyły drzewa w jego Kipiniszkach, i niszczą je tak samo tutaj, nad Odrą, w niemieckim lesie polskiej ziemi lubuskiej.

*

Dla Heleny Raszki przyroda była bardzo ważna. Od dzieciństwa (wyprawy z ojcem na ryby). Wędrówki po górach, przez lasy, brzegiem morza – były jej prywatnym żywiołem, lekcją prawdziwego, głębokiego oddechu. Również metaforycznie. Wiersze Raszki to nieustanna – przez całe życie twórcze – apoteoza Natury. Piękna i witalności, za którymi przecież – co właściwie naturalne – kryje się kres. Już w debiutanckim tomiku „Okruchy bursztynu” zachwyca się – widzianą z okna mieszkania na Pogodnie – kwitnącą, a właściwie przekwitłą wiśnią: *biała uroda [...] odfrunęła z wiatrem, lecz śni się po nocach / pachnący, lekki obłok*.

Przynosząc myśl, że:

*może to będzie wiosną
i nade mną
w górze – rozkołysze się wiśnia
biały, wonny obłok.*

Tak, to stało się wiosną. Pięćdziesiąt siedem lat później. W maju. A że wiśnie są kwietniowe, również te w przydomowych ogródkach Pogodna, więc przekwitły właśnie wtedy.

Tak, las – przyroda – zieleń – to był nie tylko żywioł, ale i dom Heleny Raszki. Wspomnienie prywatne. Kiedy w roku 1994 wydałem tomik (no, nie tom) „Atlas ptaków polskich” – pani

Helena mówiła o nim zaskakująco serdecznie; z tych życzliwych emocji przebijała jednak wyraźnie jedna, najważniejsza: w tytułowym wierszu mojej książki znalazła własne widzenie i przeżywanie Natury. Przeżywanie rodzinne. Bo tamten wiersz poświęciłem swojemu synowi. Ślady tego osobistego, ale też, by tak rzec duchowego zadobowienia w Naturze znaleźć można w poezji Raszki na każdym kroku. W swoim ostatnim tomiku zatytułowanym – trochę nomen omen – „Głosy w przestrzeni” – odnosi się do tego, rozpoczynając przekornie:

*To dobrze,
że żyję w tym mieście
– tu pauza na oddech –
szczelnie obwarowanym lasami,
rzeką otwartą na morze,
morzem na oceany.*

(„To Bóg”)

Trudno jednak nie odnieść wrażenia, że owo poetyckie zamieszkanie w zieleni – w przestrzeni – jest raczej twórczym gestem niż rzeczywistym powrotem do źródeł domu. Trop biegnie zresztą wyraźnie:

*Na tej polanie złotej,
w szczerym światłocieniu
sosnokołów
szumiących kołysankami
zbieram słońce na domowe ognisko.*

Tak, zbierała chrust. Paliła nim w piecu. Ale dalej już dosłownie:

*Głębokie moje korzenie
przez polską krew i mowę.*

I dalej, aż nadto deklaratywnie:

*Szczeropolska,
głęboko zakorzeniona
owocuję słowami.*
(„Moje korzenie”)

Artystyczny patos tych wyznań współbrzmi zresztą z panteistycznym spojrzeniem na Naturę. Bo choć w wierszach Raszki nie brak zielonego szczegółu – imion drzew i zwierząt, roślin i ptaków – w istocie o coś innego chodzi. Chodzi, oddycha, żyje.

*Gdy zieleni jest moja,
gdy idę przez znajomy las
z chłopcem.
On niesie wędkę,
nasza będzie ryba
na srebrny błysk łowiona.
Co mi tam jutro,
dzisiaj oddycham.*

(„Żyję”)

Ba, nie tylko co mi tam jutro. Co mi tam dziś. Bo w tym samym wierszu – wcześniej – kpi przecież:

*Gracze
z nędną garścią politycznych sztonów,
cóż wy możecie?*

Tak, wtedy (rok 1987) niewiele już mogli. Więc las nie musiał być już dla Poetki ucieczką. Schronieniem. Mógł być lasem. Ale właśnie wtedy okazało się, że to schronienie pozorne. A ucieczka jest biegiem w miejscu.

*Biegnę przez las,
który nie jest lasem
tylko wspomnieniem po zabitym świecie.*

(wiersz „O matko moja” napisany w 2000 roku
opublikowany w ostatnim tomiku)

*

Dla Katarzyny Suchodolskiej przyroda nie była tym wszystkim. Była Tym. Czego nie dawało jej miasto. W miniaturze „Moribundi” (tak miała się nazywać również nieukończona powieść) jego pejzaż jest przygnębiający: *Długa, kręta ulica. Wąskie, ostrodache domy po bokach. Daleko na przedzie ponura wieża gotyckiego kościoła.* A w tej scenerii, którą idzie człowiek (oczy ma znieruchomiałe, wyblakłe), taki dialog.

Głos: – Gdzie byłeś, człowieku? – Człowiek: – Zdaje się, co byłem na wojnie. – Głos: – Gdzie idziesz, człowieku? – Człowiek: – Wracam do domu. – Głos: – Od wojny minęło więcej niż dziesięć lat! – Człowiek: – Wracam do domu. – Głos: – Przecież mieszkasz w domu, który mijasz. – Człowiek: – Wracam do domu.

To przyroda była tym, za czym tęskniła i co odzyskiwała – w niej właśnie. Nie w tej zielonej, bo zielonej, ale konkretnej. Jej poleskim Horyniem stała się pomorska Drawa, a Drawskie

Pojezierze, zalesione bogato, przywracało jej krajobrazy Kostopola i Korostu. Aż po złudzenie, od którego bije serce; złudzenie świadome siebie, lecz wcale przez to nie słabsze. Bohater opowiadania „Die Heimkehr” (uwaga: po niemiecku to tyle co „repatriant”, a tekst jest ukrytą w zamiatwanej fabule – ukrytą, bo niepolityczną – historią podobieństwa losów niemieckiego Wołyniaka i jego krajana, polskiego Żyda) wyznaje:

Widziałem wszystko, a jednak teraz mi się wydaje, że to nieprawda, że wojny wcale nie było, że woda w Horyniu jest jeszcze ciągle złota i on sam płynie tutaj, zupełnie blisko... I ten piaszczysty dukt, który widzę przez okno, to jest po prostu trakt prowadzący do Równego, gdzieś w pobliżu Kostopola czy Wielkich Stydyń.

Temu złudzeniu Suchodolska jest wierna do końca. W swoich wędrówkach leśnych, nadbrzeżnych, w których szukała sobie siebie, swojego miejsca, już bez „swojaków”, bez ludzi w ogóle. Jedynie z bliskim u boku, tylko takie „my” może się wpisać w powrót. Miniatura z „Cichych traw”, bez tytułu:

Tak, to jest chyba to miejsce: żółte wydmy, szara trawa, chore sosenki [...] Od czasu do czasu będzie nadlatywał wiatr, będą szumiały suche łodygi i będziemy mieli pewność, że nie spotkamy nikogo i że właśnie tak jest dobrze.

Że właśnie tak jest dobrze – odnajdywać w szukaniu, pamiętać w pamiętaniu, przywracać życie życiu, przestrzeń przestrzeni, rośliny roślinom – potwierdza też jakby swoim ostatnim (tak się złożyło) wyborem literackim. Kiedy w roku 1986 ukazuje się „Echo nad bindugą” (binduga to zakole rzeki, miejsce, gdzie składowe drewno i zbija z niego tratwy przed spływem; pisarka z upodobaniem korzysta z bogactwa polszczyzny, zwłaszcza tej kresowej, zapomnianej najbardziej) – książeczka bez wyraźnego adresata, z ilustracjami w bladej, brzydkiej sepii, ale już na pewno nie dla dzieci czy młodzieży przeznaczona – wśród nowych tekstów umieszcza Suchodolska dziewięć spośród swoich dawniejszych „Jedenastu bajek o kwiatkach”.

Można w tym, oczywiście, dostrzec wyłącznie edytorską, literacką wygodę („Echo...” jest niewielkie, a bez tekstów przypomnianych byłoby jeszcze mniejsze), ale warto zauważyć coś istotniejszego. Wyraźną potrzebę przywrócenia tych starszych opowieści – adresowanych kiedyś (formalnie) do dzieci – czytelnikowi nowemu, dojrzałemu. A i przypisania ich sobie. Tak trwale, jak jest to w słowie możliwe. W słowie ostatnim?

Ostatnim tekstem „Echa...” – gawędą, przypowieścią – jest „Dąb”. Dąb to dąb, wiadomo. Trwanie właśnie. Moc. Zakorzenie silne, rozgałęzienie potężne. W tej opowieści ożeniony zostaje jednak z olchą. Na szczęście. Ale i westchnienie (z uśmiechem) też, bo *powiadają ludzie: złoty chłopak słomianą dziewczynę do ślubu prowadzi. No i z tego:*

bieda z nędzą w tobołku, czysty smutek... Ale jakoś z tym żyli – krótko, prawda, że krótko, bo i jakież tam wiek, olchy-zdychoty? – i kłócili się, i godzili się, i dzieci narodzili tyle, że zazieleniła się ziemia, zaszumiła lasami, zakwitła kaliną-czeremchą...

Katarzyna Suchodolska żyła lat 68. Łaska długiego życia nie była jej dana, a że odeszła w czasie, gdy wszystko było ważniejsze niż literatura i pisarze, nie było okazji, by poruszyła pamięć współczesnych, choćby tylko swoją repatriancką przeszłością. Internetowa Encyklopedia Pomorza Zachodniego w punkcie Nagrody i odznaczenia odnotowuje więc jedynie: *1975 – wpis do Księgi Zasłużonych dla Miasta Szczecina*. A czy istnieje Księga Zasłużonych dla Miasta Kostopol? Nie wiem. Pewnie tak. Dziś to Kostopil na Ukrainie. Brzmi podobnie. Ale nie sądzę, by jego współcześni mieszkańcy wiedzieli, kim była Katarzyna Suchodolska. Ja wiem za to, że w herbie Kostopola z czasów Rzeczypospolitej znajdował się dąb, ścięty – lecz owocujący żołądziami.

Katia.

Pani Helena.

Księgi wyjścia. Tomiki powrotu.

Artur Daniel Liskowacki | kwiecień 2016

P O E Z J A

Anna Matysiak
Katarzyna Kokot-Góra
Ewelina Zdancewicz-
-Pękala
Urszula Kosińska

Anna MATYSIAK

Trzy wiersze o kominach

1.

Tata mówi – jako dzieci
lubiliśmy burzyć mury
po wojnie dużo było
samotnych ścian
cegły nie chciały już być razem
tylko kominy
trzymały się korzeniami
piekła
wyciągając w górę szyje
ale
niebo odpłynęło

2.

ściany przestały oddzielać
wnętrze od zewnątrz
spokój od burzy
wkladało się proch między cegły
żeby zetrzeć ten ślad entropii
tę osobliwość
ślad po bogu
znak niestworzenia
przeszkodę dla wiatru
tylko komin nad szklarnią

nie chciał odejść
uparcie wierzył że łączy
trzy światy

3.

wystarczyło być delikatnym
i wiedzieć gdzie dotknąć pocisku
by sięgnąć
po twardy rdzeń
potrzebowaliśmy bowiem
prochu
mocy
wybuchu
by rozbroić
skamieniałą wojnę

* * *

Mówiłam „nie”,
w małej wiosce na końcu
na początku świata wcale
nie było wojny i nie ma
potrzeby krzyczeć do mnie „ty szwabie ty
hitlerowcu”.

Była kuchnia i były
boże narodzenia,
a ja byłam Ania i
moja córka jest Ania.

Kiedy się urodziła,
babcia Lisa powiedziała
„O! tego samego dnia
co nasz führer”.

Do pełna

Nie wiem dlaczego
umarł Gienek Pikula ale od początku
było z nim coś nie tak ostre rysy
wychudzona sylwetka
potem był dzieciak Lutki
przygniotła go belka spadająca z przyczepy
na rękę miałam wróbla
kotka skoczyła jak cień i odgryzła
mu głowę
stary Dawidczyk położył się na lodzie
i podał rękę Jankowi Tukajle ten
żyje do dziś
udało mi się nie przejechać
pijanego Mieński tata w ostatniej chwili
przejął kierownicę
w ucieczce nad Zalew Wiślany umarł pradiadek
bo skończyły się leki
gdybym
poszła znowu może bym
znalazła grób mówi babcia
było widać jak
MS Gustloff z daleka
kłaniał się różowemu słońcu
do pełna

Anna Matysiak

Katarzyna KOKOT-GÓRA

Prababcia

Prababcia Wala była chłopką
Służącą na dworze zamożnych mieszczan.

Babcia Maria służyła mężowi
I rozkapryśzonej rodzinie.

Mama Małgosia była służącą
Efemerycznych idei.

We mnie żywe trzy pokolenia
Ścierają się służalczość i służba.

Jestem służebnicą.

116

My

Czarnoskóry chrześcijanin z napisem Jerusalem
Na czapce z daszkiem, stoi w zatłoczonej kolejce.
Czy otulała go szmaragdowa toń na plaży Hof Hakarmel w Haifie?
Czy pił sok ze świeżo wyciskanych granatów w starożytnej Akce?

Czy stąpał po smaganej historii i trzęsieniami ziemi Cezarei?
 Czy płakał w cieniu szeptów drzew oliwnych w Jerozolimie?
 Czy drżał w teatrze Batsheva oglądając ciała tancerzy
 Zanurzone w smole koszmarów z dzieciństwa?
 Czy jego nozdrza upajały się zapachem płatków róż
 Na górze Karmel i w posiadłości Bahji?
 Czy stał w żeńskiej części Ściany Płaczu
 Ofiarowując bahaicką modlitwę?
 Czy pragnął zrekonstruować przeszłość w twierdzy Zelotów?
 Czy oblewał go majestat Gór Judzkich i życiodajność Morza Martwego?
 Czy próbował zrozumieć anatomię strachu zastygłą w ceglach Muru?
 Pewnie nie.

I mimo że łączy nas pył,
 To pył Terra Sancta.

6.02.2016 (na lotnisku w Tel Awiwie)

Dorothy Baker

To już trzecie podejście kiedy
 Próbuję napisać coś o Tobie.
 10 stycznia się zbliża a ja
 Nie potrafię oddać Ci hołdu.
 Nie brakuje mi słów inspiracji
 Wydarzeń czy anegdot lecz
 Odwagi by nie przyćmić mymi
 Szmacianymi słowami diademu
 Na koronie Twojej wewnętrznej istoty.
 Niewidoczna cieniutka
 Tkanina rozwinęła się
 W lśniąca, aksamitno-satynową suknię
 Podszytą pracowitością czystością i pewnością.

Do białego rana obszywałaś jej kształt
 Złotą nicią Świętych Pism, metafizycznych
 Refleksji i zmysłowych narracji.

Nosiłaś ją godnie z majestatem i odwagą
Język mowa oddech postawa i wzrok
Były zaledwie ozdobą jej boskiego kroju.

Jej pełen zachwyty i zapachu zapach
Unosi się na kontynentach ludzkości.

Jej pełen dramaturgii i poezji ruch
Do dziś roztacza Jego miłosny czar.

Już wiem czego rąbka uchwycę się w styczniowy poranek

„Śpiewajcie Bogu... wychwalajcie [Go] ze zrozumieniem!”¹

Thoiry, Francja, 3.01.2017

Martha Root

Rycz jak lew
Obudź uśpione owce
Na pastwisku zgnuśnialego świata
Tchnij penetrujące świeżością słowa
Poruszone powiewami zwiastującymi Nowy Dzień.

Na obczyźnie uwielbiana
Na ucztach i bankietach przyjmowana
U siebie od heretyków wyzywana.

Wyjmij swój grzebień erudycji i opieki
Przeczysz rozwichrzone włosy
Podstarzałych umysłów.

Duchowy słowik gotowy do drogi
Skrzydła rozpostarte
Nuty melodii starannie ułożone
Śpiew rozbrzmiewa.

¹ King James Bible, Psalm 47:6-7 [tłumaczenie własne].

Zmęczona i niestudzona dynamika
Wątpliwości i nieugiętej wiary
Taktu i bezpośredniości
Powagi i sympatycznego humoru
Wypełniały Twoje bagaże.

Żółta febra i egzotyczne widoki
Rewolucji i ewolucji
Ulice Recife były ciemne i puste
Lecz Twe serce lśniące i otwarte.

„Niech nikt nie nazywa siebie kapitanem,
Dopóki nie stanie przed armią wroga,
Ani bahaitą dopóki niepoddany zostanie próbom”.

Marto Luizo Root
Zapisałś testament
Na siwych włosach starego Indusa
W kroplach amazońskiego deszczu
Płatkach śniegu w surowych Andach
Europejskich i kairskich wagonach trzeciej klasy
Na jesiennych liściach w Polsce i
Kwiatach jabłoni w Japonii
W starożytnej magii Chin i
Promieniach słońca w Afryce
W strugach łez, które upadały
Na świętą ziemię w Szirazie
I w bukacie białych lilii, które podarowałaś
Królowej Marii w Bukareszcie.

Nauczałaś Wiary jakbyś ofiarowała prezent królowi.

Thoiry, 2016/2017

Keith Ransom Kheller

Bądź szczęśliwa.

Wymaluj usta erudycją wepnij spinkę elokwencji

Nie zapomnij jedwabnego szala ciepłości i łagodności

I nie duś dramatyzmu wobec Boga jak i ludzi.

Bądź szczęśliwa.

Transportuj klejnoty szczęścia w Twych spójnych przemówieniach

Ładuj skrzynie szczęścia kilogramami oddania i determinacji

Zapisuj księgi szczęścia piórem Jego Przymierza

Zalóż szaty szczęścia i okryj nimi niespokojną ludzkość

Skomponuj bukiet szczęścia i roztaczaj jego zapachy pośród ludów.

Niebiańska rzeka i niebiański księżyc prowadzą Cię w stronę słońca

Przecież to i tak zaledwie krótki moment pomiędzy wiecznościami –

Pokazały palce Buddy

Bądź szczęśliwa, bądź szczęśliwa.

„A kiedy dotrzesz do Persji, przekaż proszę moją miłość

Każdemu bahaicie pośród tej ziemi, mężczyznom jak i kobietom.

A kiedy dotrzesz do świętego miasta Teheranu,

Wejdź w moim imieniu i nauczaj w moim imieniu”².

Thoiry, 22-25.11.2016

Katarzyna Kokot-Góra

Ewelina ZDANCEWICZ-PĘKALA

*

zebrałam już na twój temat informacje.
wiem, dlaczego nie dojadasz i że nie słuchasz Elvisa
za to Sinatra wchodzi ci całkiem dobrze
nie wierzysz w Boga,
ale co niedziela wystajesz pod kościołem
żeby posłuchać patriotycznej pieśni.
to podobno cię uspokaja
wiem, że kłamiesz, bo w twojej szafie widziałam pięści
przemilczę to dyplomatycznie, żebyś nie poczuł się skrępowany
podczas naszej rozmowy będziemy dla siebie mili
jakby wszystko kurwa było w porządku:
nie będzie
wiem, że nie będziemy też przyjaciółmi
bo tacy jak ty nie zadają się z takimi jak tamci
a ja nawet nie zaliczam się do żadnej z tych drugich
dzisiaj więc dyplomatycznie życzę ci sukcesu
niech odniesie go chociaż jedna osoba z tej konserwacji.

Schizoidalna

w przełyku mam ognisko,
które drapie mnie zamiast słów.
symptomy wskazują na schizoidalną.
jeszcze się tym zajmę,
ale najpierw wyjdę zza rogu, w którym ukryłeś swoje oczy.
powącham powietrze, w którym zostawiłeś zapach swojego potu
potem wcisnę palce w powieki
aż samoakceptację wyrzycam wszystkimi porami skóry.
przypomnę sobie, że mam ciało
to, które noszę, nigdy nie było piękne
przy tobie awansowało na posłankę
umarłam więc najgorszą niepamięcią
jaką można zadać kobiecości
jednak objawy wskazały na wypalenie
mój psychiatra mówi,
żeby trzymać się tej wersji

Warkocz

nie miała już sił podnosić wyżej ręki
białe włosy rozsypały się jej na karku i wciąż była
piękna
z warkoczem zaciśniętym
w dłoniach
i łzami zaciśniętymi na policzkach
potem z każdym dniem przerzedzały jej się powody
do istnienia
i więcej było objawów jej obecności niż jej samej
warkocz schowała w szafce leki

obok, niepotrzebne
przepisane
pieniądze w intencji
teraz już tylko ja trzymam ją w garści
ale tego już nie przeplotę

Ewelina Zdancewicz-Pękala

Ewelina Zdancewicz-Pękala, z wykształcenia i pasji dziennikarka, olsztyńska poetka oraz animatorka kultury; wygrywała liczne konkursy poetyckie.

Urszula KOSIŃSKA

Okno życia

kiedy musisz stłuc
szybę w oknie rodzinnego domu
żeby dostać się do ojca leżącego na podłodze
ta szyba tłucze się gdzieś
w jakimś twoim środku
jakby między śledzioną a płucami
kiedy nie ma kluczy
to trzeba tłuc
nie jesteś już małą dziewczynką
więc nie dostaniesz w skórę
za tę psotę
skoro miałś przyjechać z cukierkami
a musisz z pogotowiem
wydawało ci się że gdybyś była
swoim ojcem
byłoby to wystarczającym powodem
do niepopijania relanium martini

kiedy go zabierali
to z lewej stopy
spadł mu kłapek w kratkę
i został na podwórku
taki psikus

razem a jednak osobno

coraz częściej
miejsc poranionych
okaleczonych domów
pełnych dotyków
kroków uśpionych
tak realnych
jak pewność własnej ręki
po amputacji
coraz trudniej
znaleźć stoły
z towarzystwem w komplecie
nagle znika
czyjeś nakrycie
światło twarzy
zaciągnięte gęstym cieniem
i chwieją się proporcje obrazu
oczy uciekają w okno
na chmurę fioletową
rozczesaną wiatrem
prawie niewidzialną
byle ominąć
puste krzesło

taka sama wolność

przechodzę na światłach
uśpiona z otwartymi oczyma

wystukuję radośnie
jedno słowo
ono mieści się w moim życiu
jak robak w jabłku
żyje bezbronny
jak te krzepkie drzewa
co nie mogą chodzić jak ludzie
ani rodzić owoców
które im się marzą

nigdy nie jest tak dobra
jak w gazetowych reklamach
pragnęłam zawsze więcej
niż pragnęłam
doskonałym spełnieniem
pożądania jest właśnie
ona
nie poświęciłam jej nigdy niczego
ani przez chwilę

jesteś czymś więcej niż szeregiem
dni w swoim długim trwaniu
czymś więcej niż niewiarygodną
sumą pokoleń
czymś więcej niż przestronną ziemią

wiełość

razem ze mną śpią rozmaite ciała
jest ciało które pokazuję lekarzowi
i to które przechowuję w lustrze
czy pamiętasz ciało które obejmowałeś
nie jestem wierna tamtej nagości
została w łóżku gdy ja z niego wyszłam
inne ciała je wyrzeźbiły
wzięły nad nią górę
dzisiaj umyłam ciało
rozpostarłam
jak białe prześcieradło

jakaś kobieta chodzi za drzwiami
jestem także nią

Urszula Kosińska

Urszula Kosińska, członkini Towarzystwa Kultury Teatralnej w Olsztynie, pasjonuje się teatrem, filmem i literaturą, pisze wiersze i publikuje w prasie regionalnej.

L I T W A P O E Z J A

Liūnė Sutema
Nijolė Miliauskaitė
Agnė Žagrakalytė
Jurgita Jasponytė
Ieva Gudmonaitė

Liünè SUTEMA

Czary-mary

nikt mnie nie uczył,
nie przekazał daru –
wydarłam tajemnicę z garści,
odginając jeden po drugim
stygnące palce...
Świta Niedziela Palmowa,
dziecioty kują w klon,
coraz głośniej, gwałtowniej –
Nie rusz,
nie zabieraj ziół, węży i jaszczurek,
pozwól mi się wyręczyć...

Święconą wodą polałam pustą dłoń,
niech wstanie słońce,
niech wszędzie róża,
niech stępi się księżyc –
A ujrzałam siebie:
dwugębna, jednooka,
jak w pękniętym lustrze...
Przeszłam wtajemniczenie.

Czary-mary –
W słońcu suszą się
ziola na sen, na zadrę w sercu,
ziola na obrócenie w wilka –
ziola na wyjaśnienie mdłego wzroku,
ziola na zemdlenie jasnego wzroku,
ziola, ziola...
i jaszczurki –
okropność,
kurczy się w skwarze ich chropowata skóra...
przyrosną parchy –
odpadną parchy –
W szklanych słojach wiją się węże...
gdy je uwolnię – stracę siebie,
gdy będę więzić –
sama się uduszę...

Czary-mary –
co innego mam robić w niedzielę,
gdy zajdzie słońce,
gdy szernieje róża,
gdy księżyc werźnie się w rękę,
a rana się nie zabliźnia?

Kain

Rosłem w twoim cieniu, niepozorny,
jak nędzny krzak i mrok
gęstniał, a tobie wciąż było mało
słońca, i wtedy
ja także zacząłem go pragnąć,
Abłu, to ty mnie skusiłeś.

Dziś ciebie strzegą i prowadzą matki,
w pieśniach sióstr jesteś tylko ty,
to do ciebie podobni chcą być
młodszy bracia.

W twoim świetle jestem napiętnowany,
omijany jak trujący bluszcz, samotność
coraz większa, a tobie dalej mało
miłości od wszystkich, ja tak bardzo jej
pragnę, choćby odrobinę, tak bardzo...
Ablu, czemu mnie kusisz.

Pod koniec marca wycinaliśmy wierzby

Grzmiał głucho głos siekier
jak odległy grom,
lecał wióry,
krzycząc powrotne gęsi.
Wczesną wiosną wycinaliśmy wierzby
nabiegłe zielenią,
bo ręce były puste
i zaciskały się w pięść.

W ostatni piątek marca
wycinaliśmy wierzby,
wściekła piła rozszarpała pień
zadawała śmiertelne rany,
żółte giętkie witki
spadały z błyskiem
z niebieskoszarych chmur,
i gasły,
i milkły powrotne gęsi
nurkując w spienionej wodzie.

Wycieliśmy wierzby,
siedzimy na mokrych pniach.
Jaka ponura cisza.
Co teraz posadzimy?
Nic nie posadzimy,
pisklaki przyhołubimy...

Słońce przepaliło chmurę
i spada na wierzby.
Rzuca się nam w objęcia.

Siedzimy zgrzani na mokrych pniach
i pijemy, pijemy –
chłodny, świeży smak
ma herbata z mięty.

Zabawy o zmierzchu

Sypiemy sobie piasek w oczy,
na wydmach – garbate szkielety sosen
i trawa sucha, ostra
jak ości,
wiatr by zawył
i się udławił.
Sypiemy, sypiemy, sypiemy
i zasypiamy,
trąc oczy.

A Piaskun siedzi i nas śledzi,
i bada, jak opada piach
we wklęsłym szkle.
Zapomnieliśmy,
że piaskowego zegara już nie ma.

Co tu było za morze?
Skaczemy
po warstwach spękanej soli
jak wiosną po lodzie.
Przyjęto nas gościnnie –
solą,
jak nowożeńców,
tylko chleba brak.
Zróbmy babki z piasku!
Wody brak.
Co tu było za morze?

Sypimy sobie w oczy piach,
a sosny coraz gęstsze, coraz większe.
Sypimy sobie w oczy piach,
żdźbła trawy coraz giętsze, coraz miększe.

Sypimy, sypimy piach,
jakie czerwone niebo!
Będzie wiało,
mrużymy czerwone od tarcia oczy.

A Piaskun się uśmiecha
i śledzi ciebie i mnie
i nuci:
...z piachu w piach...
i powoli w dłoniach zamyka nas
we wklęsłym szkłe.

Liūnė Sutema

Z języka litewskiego tłumaczyła Małgorzata Gierałtowska

Liūnė Sutema, (właśc. Zinaida Nagytė-Katiliškienė; ur. 5 lipca 1927 roku w Możejkach, zm. 17 stycznia 2013 w Lemont, w stanie Illinois) – litewska poetka emigracyjna, laureatka Narodowej Nagrody Kultury i Sztuki za zbiór „Niechaj będzie” (2006). Studiowała historię sztuki, pedagogikę, germanistykę i filozofię na Uniwersytecie Leopolda Franciszka w Innsbrucku oraz Uniwersytecie Alberta Ludwika we Fryburgu Bryzgowijskim. W 1949 roku wraz z przyszłym mężem Mariusem Katiliškisem (prozaikiem litewskim) wyjechała do USA, gdzie osiedliła się na stałe. Wydała 9 tomów poezji („Niech będzie jak w bajce”, 1955; „Nic już nie jest obce”, 1962; „Kraj bezimienny”, 1966; „Czas głodu”, 1972; „Wendeta”, 1981; „Zbiór poezji”, 1992; „Graffiti”, 1993; „Niechaj będzie”, 2006; „Wróciłam”, 2009). Prezentowane wiersze pochodzą ze zbiorów „Czas głodu” (uhonorowanego Nagrodą im. Vincasa Krėvėgo) i „Nic już nie jest obce”.

Nijolė MILIAUSKAITĖ

* * *

niby nic
nie słyszysz, tak cię pochłania
życie twoich lalek, prawdziwy
spektakl

albo zaczytana w bajkach

rzeczywiście
nic nie słyszysz

ale słowa, pojedyncze słowa
może ich nawet nie znasz, nie rozumiesz

słowa jak cięcia bata

strzępy rozmów, zmieniona
intonacja, nieco podniesiony głos
łza
otarta ukradkiem
ciężkie jak ołów opadają
na dno pamięci

nie rozumiesz, co to, nie możesz zapytać

to musi być trujące
ten mętny osad w czystej wodzie

niby wszystko zapomniałaś
ale nie! to zabija
powoli
jak nieznana, nieuleczalna choroba

* * *

już z daleka ich widać
jak czekają (zwykle omijam ich łukiem,
duszę się, mdli mnie), wreszcie
otwierają się drzwi, słysząc
krzyki, biadolenia, ja też
tutaj stoję

nie, nie czekam na Godota, wcale
nie czekam na Godota, ani na nikogo innego, nie
nie czekam na Godota, są mi tylko potrzebne
dwie sportowe koszulki,
żebym miała cię w co ubrać
jak przyjdą upały
daj mi, panie
kupić
dwie bawełniane koszulki!

te stare grube baby
wypinają brzuch jak tarcze, w ścisku
prą do przodu, uderza
w nozdrza obcy pot, tylko się trzymaj
żeby cię nie wypchnęły, co za
łowczy szal, co za radość, co za

głód życia (za dekoltem
chusteczka, w niej parę
groszy, a ja
tylko po te dwie koszulki!)

nie, ja nie czekam na Godota, nie czekam
na lato (robi mi się słabo, wrzaski, kłótnie, łokcie
piski, przekleństw)
a tu pełźnie
wije się z sykiem
wydłuża ogromna żmija, pluje
jadem, nie mogę oderwać wzroku
od jej głowy

został
tylko rozmiar 58! ogłasza
ktoś na schodach, podobny do anioła
ze złotą trąbą

– trzeba
wziąć orzech, podzielić
na cztery równe części i powoli
rozgryzać na
miazgę, gdy usta
wypełni smak orzecha,
przełknąć

ale ja wcale nie jestem pewna, czy mam prawo
żyć: zbyt słaby
mam głos, zbyt słabe
mięśnie, zbyt drobne
kości
nie śmiałabym ani prosić
ani wymagać
nawet jeśli byś przyszedł

czy to, czego pragnę, to naprawdę
zbyt wiele: zwyczajne
normalne życie

tacy jak ty
tacy jak ja
czują poniżenie
i lęk

Nijolė Miliauskaitė
Z języka litewskiego tłumaczyła Joanna Tabor

Nijolė Miliauskaitė, (1950–2002) – jedna z najważniejszych poetek współczesnej literatury litewskiej, laureatka prestiżowej nagrody narodowej (2000, Nacionalinė premija), pierwsza kobieta wyróżniona Nagrodą Jačwingów (1999, Jotvingių premija). Debiutowała w 1985 roku tomikiem „Uršulės S. portretas” [Portret Urszuli S.]. Jej drugi zbiór, „Uždraustas įeiti kambarys” (1995, [Pokój, do którego nie wolno wchodzić]) wygrał plebiscyt „Książka roku” organizowany przez Związek Pisarzy Litwy. Za wydany w 1999 roku zbiór „Sielos labirintas” [Labirynt duszy] Miliauskaitė dostała wspomnianą nagrodę narodową. W 2015 roku ukazał się tom zatytułowany „Širdies labirintas” [Labirynt serca], zawierający utwory zebrane poetki.

Agnė ŽAGRAKALYTĖ

* * *

za dużo tu fonemów.
szczątki run, słowa,
trapezy mrożonego dorsza,
oszlroniony filet
w zamrażarce supersupersupermarketu

niech ktoś kupi tę rybę
wyjmie ją, zbitą w bryłę,
igloo, przyniesie do ciepła, do domu, jak mówicie
by odtajałe fonemy zyskały więcej miejsca
by ich dźwięk brzmiał tak samo
jak wasza szeroka mowa.

przyniesie ją do ciepła, tam, gdzie mieszkacie,
do bloku, gdzie wszystkie narody żyją zgodnie jak bracia
gdzie wysyłane przez was statki zawijają
skąd jutro złote i nieprzerwane, z jutra,
gdzie ciepło z waszych lodówek nożyczkami z freonu
przetnie niebo, i ciepło przez dziurę
przemieni w wodę cały pięćdziesięcioma słowami
nazywany śnieg, i zaleje wodą
wyschnięte usta naszych dzieci,
i uciszy.

i uciszy dzwonki psiego zaprzęgu
i nadpływająca fala połknie nieśmiały dzwon kremla
i wyłączy wibrujące dzwonki komórek
przyciśniętych do uszu nowojorczyków
przerwie połączenie.

przerwie połączenie, serca wszystkich dzwonów świata
będą leżeć jak skostniałe języki
więc kupujcie szybciej tę rybę
i wynoście się, nic nie zmieniajcie.
po rybę tu przyszlście, mówicie –
za dużo fonemów, mówicie.
mówicie.

DJ Prozerpina

bez znaków przestankowych,
bez przestawiania znaków
radośnie wyszczerzone
klekoczą klawiszami laptopy,
aż strzelą korki nocy
i zgaśnie światło księżyca.

czy wzywać speców od losu,
czy nacieszyć się
szponiastym światłem dnia
żarzącym się w bransoletce Prozerpiny,
czy patrzeć w milczeniu,
jak porusza się niczym kot,
jakby bawiąc się, przeciąga łapą,
coraz mocniej drapiąc nasze twarze.
sypie nam w oczy piaskiem światła dziennego
Prozerpina, skrzydłami wielkiej ćmy
wachlująca kolumny głośników.

muzyka cichnie, słysząc tylko jak
tłuką się niczym ćmy nieustraszone serca.
ciężki oddech i huk niknącej fali dźwięków,
już słysząc, jak skamle pod ziemią
trzygłowy yorkshire tej damy.

kolumny ciszy podtrzymują nasz tańczący świat.
pod deszczem kodów kreskowych, pod stopami
którymi aż przebieramy z chęci życia
podziemne garaże ciszy,
ciągnie
jesienną wilgocią, pod skrzydłami Prozerpiny
gwałtownie blaknie miasto.

ziarenka światła lecą z jej ust,
słodkokwaśne jak ziarna granatu.

skrzydlata uzdrowicielka,
kobieta o tysiącu twarzy
sieje śnieg wielokropków

Prozerpina przy konsoli DJ-a
rozdziela i w różne strony
lekko popycha
nasze dwie łódki
kiedy tylko zdążyły się zetknąć.

Mówię o przystojnym mężczyźnie, pięknym jak młody bóg, choć niemłodym:

świeci matowym światłem jak młody bóg,
ostry i suchy jak wiatr,
ośniewa oczy bóg maków
i skleja powieki nucąc do snu

srogie marcowe czoło
znaczą bruzdami zimne rzeki

ciemnoniebieskie żyły przecinają
skronie, lepkie jak wiatr w maju.
zmarszczki zachwytu i zmarszczki troski
krzyżują się, czerwcowy wiatr dmucha
w rozgrzaną klatkę czoła.

siatka zmarszczek rozpada się,
mój ukochany to przecież antyk,
jego srebrzyste brwi są delikatne,
ale ich trawa jest szorstka jak szron,
piękny jest łuk jego ust,
lecz zbyt duży zadają ból
wypuszczane z nich czasem strzały.

starzeje się szybko – wszystko się wydłuża, osuwa,
nawet twarz,
nos staje się dłuższy, ale za to serce głębsze,
kruszy się gwałtownie i rozpada obraz młodego boga –
zamiast niego zostaje kozioł z fujarką,
podskakujący pijany satyr,
ryczący z miłości Pan,
którego nie boi się tylko przemieniona na powrót
w roślinę, w kołyszącą się trawę panna –
połyskliwa wąskobiodra fletnia,
prymitywna ciepła piszczałka,
czy jednorazowa gwizdawka z trzciny,
wycięta po burzy.

Agnė Žagrakalytė

Z języka litewskiego tłumaczyła Joanna Tabor

Agnė Žagrakalytė, (1979) – litewska poetka i prozaiczka, jedna z najbardziej wyrazistych autorek swojego pokolenia. Jej pierwszy zbiór „Išteku” (2003, [Wychodzę za mąż]) został nagrodzony podczas festiwalu „Poetinis Druskininkų ruduo” (Druskiennicka Jesień Poetycka) jako najlepszy debiut poetycki. Jednak twórczość Žagrakalytė zauważono już wcześniej: w 1996 roku autorka została wyróżniona nagrodą im. Liūnė Sutemy, jej wiersze ukazały się też w wydany w 2002 roku anglojęzycznym zbiorze „Six young Lithuanian poets”. Drugi autorski zbiór poetki „Visa tiesa apie Alisą Meler” (2008, [Cała prawda o Alicji Meler]) doczekał się uznania zarówno wśród czytelników, jak i krytyków. Obecnie Agnė Žagrakalytė pisze głównie prozę – w 2013 roku ukazała się jej powieść „Eigulio duktė: byla F 117” [Córka leśnika: sprawa F 117], a rok później „Klara”.

Jurgita JASPONYTĖ

Sorok Tatary

wkamieniała stepowa trawa
w pamięć ich kroków
i stopy
mają nawykłe do strzemion
z dziada pradziada –

tutaj czterdziestu
synów Omeldesza
czterdzieści par
wojowniczych stóp
dawno temu
zostawiło ślady –
od wielkiego wybuchu
rytuał pierwszego zasiewu
nieba

w ziemi
powtarza
wiosna

drzewa
jesienią sięją wojowników
przypominają tych
co przed laty

w jednym miesiącu tego samego roku
zostali poczęci z nasienia jednego ojca
i zrodzeni z czterdziestu kobiet

tutaj
w wileńskim kraju
trwają step i czas pieśni

podmiejski autobus
przecina je
rozrywa cienką
pajęczynę świata
stoimy
zdezorientowani
między meczetem i
poradzieckim sklepem
chyba
nigdy nie było
czasu pieśni

wtedy ulicę przebiega
czarnobrewa dziewczynka
z warkoczem
i łączy światy

TRYPTYK

I Modlitwa myśliwego

G. Ž.

Kiedy myśliwy się modli
żaden szept, żaden dźwięk
nigdy
nie wsiąka w ziemię daremnie

kiedy myśliwy się modli
słuch zwierzęcia pęka
kiedy myśliwy się modli
jego dziecko
wypasa nad rzeką
chmarę
drewnianych jelonków
łowca od kilku dni nie wraca
matka
nie wyrusza jego śladem
spokojna
ubrana w ochronne futro
przegryza
żyłę zwierzęcia
rodzi się
pulsująca jedność
wokół
wszędzie

nikt nie umiera
zmienia się jedynie forma życia

łowca kończy modlitwę.

Wilno, 2 września 2011 roku

II **Wężowa matka**

144

Jestem matką
szyję lalkę
sama ceruję swoje rany
naciągam cięciwę
i strzała
wbija się głębiej

moja igła
 przeszywa kamień, pamięć, myśl –
 płynie strużka krwi
 małanki¹ latają
 po ogrodzie
 ktoś go starannie zaplanował
 wyszył na nim
 wielki wóz
 kosiarzy i grabiarki
 czerwony ścieg ucieka
 przez skórę
 gdybym go złapała
 pewnie byłby nagi

czuję
 jak mi w płucach szumi
 skłębiona mgła lasu

na powrót przepłynę jezioro Święte ja
 węzowa matka.

Jeziorosy, 1 września 2013 roku

III Lisica

Nie wiem
 czy jestem twoją lisicą
 nie wiem
 kto uwolnił żywioł
 jestem tylko barwą ziemi
 wyraźnieję wraz z jesienią

wszystko było wieki temu
 wieki możesz nie dostrzegać
 pustki

.....
 1 Małanka (lit. małanka) – w niektórych gwarach określenie na błyskawicę bez grzmotu.

nie poczuć nie możesz
lecą liście i otwiera się wszystko

jaki pełny czas
i jaki potężny żywioł
już wiem, że jestem twoją lisicą
a polowanie
to bitwa
w której możesz na mnie liczyć.

Wilno, wiosna – 28 września 2013 roku

Jurgita Jasponytė
Z języka litewskiego tłumaczyła Paulina Ciucka

Jurgita Jasponytė, (1981) – w 2005 roku ukończyła lituanistykę na Wileńskim Uniwersytecie Pedagogicznym. Pracuje w bibliotece. Mieszka w Wilnie. Zbiór poetycki „Šaltupė” przyniósł poetce Nagrodę im. Zigmasa Gaidamavičiausa-Gelė za najlepszy debiut roku (2015).

IEVA GUDMONAITĖ

*Wszystek tłuszcz cielca ofiarowanego za grzech zdejmie z niego, to znaczy tłuszcz
pokrywający wnętrze i wszystek tłuszcz, który jest przy wnętrznościach, obie
nerki wraz z tłuszczem, który jest na nich i który jest na połędwicach, a otrzewną
na wątrobie zdejmie wraz z nerkami*

Księga Kapłańska 4, 8-9

grzeszyć lubiłam bardziej w myślach.
pieczołowicie planowałam swoje grzechy,
zaszczepiałam je w swoim pokoju –
przezroczyste, nierzeczywiste,
miedziany pyłek grzechu osiadał na stołach
(przedmioty w moim pokoju stawały się coraz czerwieńsze),
a ja nic nie robiłam,
tylko spokojnie marnowałam czas
(byłam bardziej marnotrawna niż wcześniej),
słowo coraz rzadziej stawało się ciałem, przeciwnie,
ciało co i raz rozsypywało się w słowa,
ale splamić ziemi,
zgrzeszyć, nie dawałam rady –
wszystko zaraz zmywał jesienny deszcz,
zaś grzechy wcielone
Bóg odpuszczał w niedzielę.
było mi coraz trudniej unieść lekkość –
myśli ciążyły, a możliwość grzechu
niczym puch z dmuchawca
unosila się wśród przedmiotów oblepionych miedzią.

życie płynęło monotonnie –
zmieniały się tylko nazwy miesięcy.
później próbowałam grzeszyć pisząc,
byłam złą poetką, zapisywałam tylko to, czego nie ma,
bo na mojej planecie nie istniało nic, czego byłam szafarką,
wiatr wiał jednocześnie z czterech stron
(i domek z kart się nie rozpadał,
choć powinien, po to go stawiałam),
łagodna bryza kartkowała stronicę katechizmu,
suma plusów pod Dziesięcioma Przykazaniami wciąż malała,
w końcu zostały tylko minusy. *znów nie zgrzeszyłam* –
szepnęłam księdzu w konfesjonale na ucho, on
nie chciał mi dać rozgrzeszenia
za to, czego nie uwzględniono w wykazie –
że codziennie rano piłam herbatę, chodziłam na spacer,
sprzątałam mieszkanie.

wyszłam boleśnie rozczarowana
w rozedrganą od światła jesień,
przede mną rozpościerał się ocean czasu –
na wszystko, czego nie ma i nie będzie.

za to, czego nie zrobiłam, nie mogłam pokutować.

wtedy zabiłam.

* * *

domek dla ptaków był budowany
wtedy, co i nasz dom.
są w nim szafy, stoły,
płatki śniegu powycinane z tapet
i atrapa rozgwieżdżonego nieba na suficie.

przycupnęły w jasności klonowego liścia
i czekają, aż przeminie
pora odlotu,
aż umilknie południowy zew –

tak przez pół października.
potem i u nas jakoś mniej strasznie.
biel, tylko cienie spadających liści
naruszają porządek – – –

– – – tym razem nie wrócimy,
bo nigdzie nie wyruszyliśmy.

inaczej niż ptaki, które nie doświadczyły jesieni.

* * *

przyszliśmy do twojego domu,
zjedliśmy twój chleb,
wypiliśmy twoje wino

w tym samym czasie, kiedy ty
demolowałeś targ,
rozpędzałeś roztrajkotane przekupki.

my w żaden sposób
nie mogliśmy przestać trajkotać jak przekupki,
trajkotaliśmy i o tym,
jak jedliśmy twój chleb
i piliśmy twoje wino.

próbowaliśmy
opisać jego smak,
a on stawał się coraz intensywniejszy.

Ieva Gudmonaitė
Z języka litewskiego tłumaczyła Paulina Ciucka



L I T W A P R O Z A

Danutė Kalinauskaitė
Undinė Radzevičiūtė
Vanda Juknaitė
Giedra Radvilavičiūtė

Do domu

DANUTĖ KALINAUSKAITĖ

ur. 1959 – jedna z najbardziej interesujących współczesnych litewskich pisarek. Debiutowała w 1987 roku zbiorem opowiadań „Išėjusi šviesa” [Wszelkie światło], jednak dopiero jej druga książka „Niekada nežinau” (2008, [Nigdy nie wiadomo]), zbiór krótkich form prozatorskich oscylujących pomiędzy nowelą a esejem, wydana 21 lat od debiutu, przyniosła jej prawdziwą popularność i uznanie krytyków. Zbiór zwyciężył w organizowanym przez Instytut Literatury Litewskiej i Folkloru prestiżowym rankingu na najlepszą książkę 2008 roku, otrzymał też wiele innych wyróżnień, w tym nagrodę Związku Pisarzy Litwy. W 2015 roku pojawiła się kolejna książka autorki – „Skersvėjų namai” [Dom przeciągów], przyjęta przez czytelników i krytyków równie entuzjastycznie jak poprzednia.

Telefon od ojca odebrała podczas delegacji w Polsce – okazało się, że mamę tydzień temu musieli nagle operować. Dopiero trzy dni później udało jej się dotrzeć do Wilna i jeszcze tego samego ranka wsiadła w pociąg do domu.

Na wysokim reanimacyjnym łóżku leżała jakby nie mama. Córka ledwo ją poznała – półnaga, z trupio rozchylonymi ustami. Pielęgniarka opowiadała, że odepiała z bólu, z zatrutym przez infekcję mózgiem, na sali operacyjnej prosiła, żeby zdjąć ubłocone buty, wypędzić muchy i dym spod sufitu, robiła koło siebie miejsce dla ojca. Teraz, po operacji, leży jak po chrzcie w krótkiej niczym niemowlęcy kaftanik szpitalnej koszuli do pasa, z ogolonym wżgórkiem łonowym i owiniętymi żółtawym bandażem łydkami. Tylko że już drugi tydzień nie wraca do siebie, chociaż lekarze „zrobili, co mogli”.

151

Jakie są prognozy? W takich przypadkach nie ma żadnych – młody, szpakowaty chirurg w spodniach z wypchanymi kolanami, który operował matkę, nie przyjął stu dolarów („A co, rozbiła pani bank?”). W stanie wegetacji, niczym warzywo, człowiek może przeżyć kilka czy nawet kilkanaście lat, potem na nowo musi się uczyć chodzić, mówić. Może też się

wcale nie obudzić. Wtedy serce, płuca i cała reszta funkcjonują, ale kora mózgowa obumiera. A ona ma bardzo słabe serce. Nie wiadomo, ile ten motorek jeszcze pociągnie...

Pochylona nad wydłużonym nosem matki stara się złapać choćby najlżejszy oddech, ale bez rezultatu. Musi się przełamać, żeby zetrzeć z czoła krople potu, zimnego jak woda z podziemi. Żyłasta piąstka i przypominający kartofel kciuk, w który dziabnęła się dawno temu siekierą, należą jeszcze do domu, wszystko inne, podobnie jak trudna do rozpoznania twarz – już do szpitala.

Nagle za szklaną przegrodą rozlega się charczenie, jakby na podłogę w szachownicę ktoś wyrzucał z siebie wewnętrzności. Za chwilę przeszklonym korytarzem biegną pielęgniarki i lekarz, za plecami zachrypnięty głos dyżurnego chirurga, ten sam, który słyszała dzisiaj rano przez telefon, szorstko prosi ją, żeby opuściła salę. Wychodząc cicho, w porwanych foliowych torebkach na zimowych butach, słyszy jeszcze odgłosy szarpaniny, komendy lekarza. To tak, zakasując rękawy, ze szponów śmierci wyrывa się życie – przelatuje jej przez otumanioną głowę. I tylko jej mamie jest wszystko jedno.

Do domu rodziców pod miastem, gdzie ojciec był teraz sam, dociera wczesnym popołudniem. Za zasnutym mgłą lasem zostały zasypany brudnego śniegu na chodnikach i szpital na górze wyglądający jak fabryka. Staje przy furtce. Dom z rozsypującym się kominem i budyłami malw pod ścianą w szarofioletowej zaspie. Przysypane śniegiem drewniane schodki prowadzą do ogródka pod szkieletem szklarni. Sterczące tyczki do pomidorów, poczerniała w śniegu główka kapusty. Na sznurku między pigwami – pranie mamy, skostniałe od mrozu. Trudno tak iść do domu, gdy pokryte śniegiem grządki wyglądają jak cmentarz. Pograżonemu w letargu podwórku jej powrót głośno i radośnie oznajmia Tuzik, który wypada z budy jak pocisk. Stary dureń – co on czuje? – skomli, z radości wyłazi ze skóry, tarza się jak opętany na żółtym od moczu śniegu.

Zaalarmowany hałasem ojciec wychodzi się przywitać. Tak jak myślała – zarośnięty, w opadających, chyba mokrych spodniach, przez ten tydzień zaczął się bać wszystkiego, a najbardziej siebie. W milczeniu stykają się parujące usta.

Nagle w zaśniewanym lesie Linksmė – jodły z daleka wyglądają jak krzyże – ciszę przecina ostry krzyk gąsiorka. Wzdryga się. Tak właśnie to sobie wyobrażała: śnieg, lód, rozrzedzone powietrze, prawie bez tlenu, ściągające pory skóry. Pod ścianą komórki wymiotuje kotka, pewnie coś zeżarła.

152

Przyjechała pomóc ojcu przetrwać – moce lekarzy, profesora, nawet całego konsylium już się wyczerpały i teraz wszystko w rękach Boga. *Nic nie możemy zrobić, ale musimy trzymać się razem* – chce powiedzieć ojcu, ale ten już człapie do kuchni. Przykłęka na jedno kolano pośród sterty szczap, świecąc usmoloną piętą w chmurze żółtawego dymu, próbuje rozpalic w piecu. Że niby nic mu od niej nie potrzeba.

No cóż. Gdy staruszkowie gubią zęby bez żadnej konkretnej przyczyny i nie trzymają już moczu, trzeba się uzbroić w cierpliwość. Rzuca na stół reklamówkę z pomarańczami i kiwi i krokiem gościa idzie przez korytarzyk. Dużym palcem popycha drzwi do pokoju. Najważ-

niejsze to nie zapalać światła, żeby nie zatrzeszczała zawilgotniała pomroka i z kątów nie zaczęły wylazić rozmaite fantomy.

W półmroku mającą przedmioty – życie po życiu... Stary singer ojca, emeryt, przykryty pasiastą poszewką. Córka wciska mocniej igłę w poduszczyk – klute przez lata serce z wiśniowego aksamitu. Niepościelone łóżko ojca pachnie starym dymem i „maścią tygrysią” na stawy. Na parapecie kokony ogórków nasiennych – drętwieje, gdy palce zanurzają się w kozuch pleśni. Wszędzie słychać odgłos rozkładu, jakby cienkie szczecinki skrobały w ciemności schowków i zakamarków.

W co zamienia się życie staruszków, gdy wszystkie ważniejsze prace zostały już zrobione, a dzieci wyjechały z domu? W karteczki na półkach: „Ubrania Antanasa”, „Moja bielizna”; w spodki z lekarstwami podpisane „Rano”, „W południe”, „Na wieczór”. Swetry, skarpetki, dokumenty, listy – wszystko popakowane w zwitki i węzélki, żeby łatwiej się było zorientować, gdzie co jest, bo codzienność to coraz bardziej zawiły labirynt, nierzadko bez wyjścia. Bez światelka na końcu. Życie zatoczyło tu koło i tak jak pięćdziesiąt lat temu, kiedy tu przyjechali, znów wróciło do tobołków. Tylko wtedy był w nich początek, a teraz – koniec.

Wtedy, zaraz po wojnie, kraciaste tłumoki na przedmieścia Kowna ze wsi na Suwalszczyźnie dotarli dwoma zisami. W jednym była kupiona od Amerykanów koza (cztery litry na dzień), w drugim – łaciaty prosiak, całą drogę wijący się ojcu między kolanami. Jeszcze jednego prosiaka przyniósł w worku po kartoflach kuzyn mamy, który wyskoczył z awaryjnie zatrzymanego pociągu towarowego. Z tanio kupionych, bo kradzionych, desek na początku postawili „komórkę” podzieloną na dwa pomieszczenia. Za tapetę w kuchni służyły gazety – „Prawda” i „Przegląd Rolniczy”, za klej – kłajster z mąki ziemniaczanej, w którym momentalnie zagnieździły się całe kolonie jakiegoś czarnego robactwa. Pierwsza klientela to mężczyźna o przezroczystych płatkach uszu i nozdrzach, chcący uszyć garnitur na swój własny pogrzeb. Bez kieszeni (*Na co mi w grobie kieszenie, a tym bardziej – wieszak?*). Na ścianach „komórki” wisały wycięte z szarego papieru wykroje spodni z napisami „Przód”, „Tył” i skomplikowane „mechanizmy” szytych palt... Może taka była wtedy moda, a może człowiek w tamtych czasach wart był tyle co aluminiowa łyżeczka, więc ojciec nigdy nie żałował waty na ramiona i pierś – do krawca przychodził zwykły szary człowiek, a wychodził, chciał czy nie chciał, prawdziwy tuz... Ojciec szył też wojskowe kurtki i płaszcze w szwalni pana Finkasevičiusa. Z drugiej pensji kupił „żywiciela” – manekina z płóciennym torsem, który stał potem w sieni za kublami.

No i oczywiście zaczęły się pielgrzymki inspektorów podatkowych. Najpierw zwiedzał się jeden, potem drugi, jeszcze cwańszy. Przed Poliakiem ojciec, „złodziej mienia państwowego”, chował się w szafie między sukienkami mamy, bo nocą prowadził bezprawną prywatną działalność – „obszywał sąsiadów”. Jak nie zdążył wleźć do szafy, sadzał tego Poliaka pod fikusem i poił śliwownicą, *żeby się droga nie kurzyła*. A był jeszcze Bobkis z komitetu wykonawczego w ślad za donosem o nielegalnej budowie. „Specjalny śledczy” z Kibartów. Ojciec w jednym pomieszczeniu w siedzibie bezpieki, mama – w drugim, pytania te same: *Dlaczego wyjechaliście ze wsi? Gdzie był bunkier?* I to podchwytliwe: *My wiemy, że oni ostatnio do was nie*

zachodzili, ale może bywali wcześniej? Przed zamknięciem drzwi dawali papiery do podpisania. Mama – jak zawsze przezorna – sprawdzała, czy pod spodem nie ma drugiej, pustej kartki. Zawodowiec umarłby ze śmiechu.

Donosy do tych wszystkich instancji pisała „swoja krew” – kuzyn ojca, który trochę wcześniej się tu osiedlił, tuż za miedzą. Po kryjomu przerzucał nam przez ogrodzenie szkła i psie bobki. Mamę, „ten bandycki pomiot”, rzucił kiedyś w plecy kamieniem. Braciom, którzy jeszcze wtedy byli dziećmi, powykrzywiały się kręgosłupy, bo cegły na budowę domu musieli nosić z ulicy – kuzyn nie pozwolił wjechać z nimi na podwórze. Itd., itp. Ale dzieciakom często zostają w pamięci nie dramatyczne momenty ciężkich czasów, lecz rozmaite drobiazgi... Ojciec obszywający nogawkę pod krzakiem jaśminu, z przyklejonym do dolnej wargi kawałkiem nitki (w całym ogrodzie poroszewane były igły – po latach obcy ludzie, którzy się tu osiedlą, wciąż będą je odkopywać jak pordzewiałe naboje z czasów wojny). Albo: cieniuisienkie pończochy ze szwem, pozwijane w kłębki w pudełku po butach; formowane palcami nad czołem matki (i ojca) fale, zgodnie z ówczesną modą; zapach szafy z sukienkami. Śliski, jakby mokry angielski jedwab przysłał z Kanady wujek Aloyzas, brat mamy, który w czasie wojny uciekł na Zachód (umarł późnym wieczorem w metrze w Toronto na atak serca, pochowano go obok dwunastoletniego wnuka). Sukienki były przesiąknięte zapachem wody toaletowej „Konwalia” z granatowej butelki z gumową pompką, kremem „Liubimyj” i kadzidłem.

Aloyzas już dawno nie żyje, a jedwab maminych sukienek zastąpił perkal i ciepła flanela. Zawinięty w gazetę i spięty spinaczami do bielizny pakunek z kozakami.

Inne zapachy w szafie.

W co zamienia się życie starsuszków, gdy dzieci już dawno wyjechały z domu? W kłębki gryzącej wełny na skarpety, w kawałek kanapki przykryty talerzykiem, w nocnik z obłupaną emalią pod łóżkiem. W coraz prostsze rzeczy. Jednak one tylko z zewnątrz są proste, a od środka... Te zwitki i węzłki trzeba sprawdzać w dzień i w nocy, zwłaszcza w nocy, kiedy musi się koniecznie sprawdzić, czy w foliowym woreczku wciąż jest koperta, a w tej kopercie kolejna – z legitymacją emeryta i zaświadczeniem o zesłaniu. A dwieście funtów przysłanych przez syna z Anglii, chowanych raz pod dywanem, a raz w łubiance z cebulą? A akt własności trzech hektarów ziemi – czy dalej leży pod Chrystusem Frasobliwym, kilogramowym klockiem drewna; to wszystko niepraktyczne prezenty od najstarszego syna pisarza. I jeszcze te zakurzone pudła na szafie i za barkiem, których zawartość (nierozpakowany chiński termos, szpulki nici, kawałki wiskozy na zasłony itp.), gromadzona była przez lata i trochę już zapomniana, bo ciągle jeszcze nie na teraz, zawsze na później. Na lepsze czasy. Tylko że one zwykle nigdy nie nadchodzą – „tu i teraz” pożera to, co masz najlepszego.

Tak, życie zatoczyło tu koło. Może dlatego za każdym razem, gdy przyjeżdżasz, coraz więcej tu fetyszy: przyozdobiona złotą folią Najświętsza Panienka i Ukrzyżowany wstawiony w kulkę z pogniecionej gazety w słoiku po majonezie, wytarte od dotykania „Widzenia Vicki Ivan-kovič”. Bo pomocy można się spodziewać już tylko „bezpośredniej”, nie od ludzi. Ludziom nie można ufać. Oszwabia cię w biały dzień. Sąsiedzi pokradli pokrywki od aluminiowych garnków, nowe grabie... A własne dzieci...

Wrażliwy, blady wyrostek z drgającym jabłkiem Adama i głosem Arnasa Rosenasa, kochający przyrodę, robiący zielniki i obrączkujący ptaki, który w ostatniej klasie tak przejmująco grał poetę Juliusa Janonisa, a potem dał się poznać jako utalentowany literat, jest teraz w drugim stadium „histerii alkoholowej”, z całkowicie „zrujnowaną psychiką”. Chroniczne drżenie rąk... Kiedy wąsata lekarka z centrum psychoneurologii, która w swojej karierze naoglądała się już rozmaitych typów – schopenhauerów i brajanów adamsów – każe mu wyciągnąć ręce i po-trzymać przez chwilę, nie zawsze jest w stanie to zrobić, więc zostawiają go jeszcze na tydzień. W domu, by odkupić winy winnego bez winy, rąbie drewno i nosi węgiel – za wikt i opierunek robi za parobka u starych rodziców, bo już trzeci rok nie ma ani pracy, ani domu. Wieczorami wzdłuż rzeki – z prądem i pod prąd – próbuje wychodzić niepokój. Potem przez jakieś dwa miesiące jest cisza... Ale jak któregoś dnia zaczyna sprawdzać, która klamka najmocniej się trzyma, znowu go wywożą. Męża alkoholika wyrzekła się żona, nastoletnia pasierbica już od dawna wbijała jej do głowy: *Ratując go, robimy mu niedźwiedzią przysługę, bo taki już jego los. Pomyśl zresztą – na co nam taki nieudacznik, na dodatek z cukrzycą. Przecież i tak mu w końcu kiedyś utną nogę.* Jego niegdyś pełne wielkich planów życie mieściło się teraz w sportowej torbie Reebok. *Gdy przeżyjesz siebie do dna, rzeczy ci trzeba coraz mniej.* Wszystkie, które są mu jeszcze potrzebne, znajdują się w tym pokoju. Akordeon weltmeister, parę książek. Żadnej beletrystyki (wymyślonych historii nie czyta, chyba żeby tchnęły autentyzmem, ale takich już teraz nikt nie pisze), tylko „Ptaki litewskich lasów”, „Owady”, „Ispaniskij risunek ot El Greko do Goi”, „Galeria Drezdeńska”. Przy „Dniu” i „Świętej nocy” Correggia, z cudem światła w ciemności stajenki – zakładki. Tylko że to też z wcześniej.

Na półce – latarka bez środka i druga, jeszcze mniejsza, w kształcie cygara, mieszcząca się w dłoni. Lornetka Olympus. Zawsze lubił takie rzeczy – dobry sprzęt optyczny. Gniazdo z jajkami sójki, które przywiózł kiedyś z działki, kiedy jeszcze ją miał. Jajka są puste, wzbijają się w powietrze od kaszlnięcia. W foliowej torebce pomiędzy orzechami laskowymi ze wzgórza Linksmé i kamykami ze skansenu w Karklê – clonazepam i nitrazepam. Insulina... Ubrania, skarpetki, bielizna, poprzecierane od męskiego tarmoszenia w prawie pustej misce, też już zatoczyły koło i wróciły do tobołków rodziców – teraz mama je pierze i ceruje...

...Średni brat, biznesmen, przewędrował kiedyś z grupą studentów cały Altaj (siostra była jeszcze wtedy małą dziewczynką), wrócił brawurowo z workiem orzechów cedrowych na plecach i w sombrero z poprzipinanymi znaczkami ze wszystkich zakątków Związku Radzieckiego. Brat został inżynierem racjonalizatorem, opracował wynalazek, dostał dyplom. Jednak w pierwszych latach niepodległości, kiedy wykształcone głowy przestały być potrzebne, stracił pracę. Bystry, ale mało obrotny, wziął się za drobny handel, który wtedy gorąco wspierała każda nowa władza – najpierw brojlerami, które wyzdychały, potem *niedrogim sprzętem AGD z drugiej ręki*, wreszcie skórami, których nakisił cały kontener – i przez nieostrożność przepadł gdzieś w Rosji, w Kraju Permskim. Nikt dokładnie nie wie gdzie. Ironia losu: głowa nie od parady w zamian za futrzane czapki, które, jak się okazały, nawet nie były jego. Zostało tylko sombrero, długi i ołtarzyk na komodzie z gipsową Maryjką i świeczką. I cowieczorna „Najświętsza Rana Ramienia Pana Jezusa” (*Byłem kluty cierniami i wrywano mi włosy z brody*

23 razy, otrzymałem 20 ran w głowę, ukłuć cierniami było 110... Kropli krwi, jakie straciłem, było 28 430). Płaszcz gipsowej Maryi był już od tych rytuałów okopcony, prawie czarny. Wszystko po to, żeby jego kości spoczywały w pokoju, żeby ich wygłodniałe psy nie rozwlekały po polach Rosji (mama). A może on jeszcze żyje i mieszka z jakąś czarnulką (ojciec)? Oboje wiedzą, że to absurd. Gdyby ich dziecko jeszcze żyło, dawno by już wróciło, wspierać rodziców na starość.

...Za to najmłodszy, taki wypierdek, przyszedł na ten świat ni siaki, ni owaki, z sinymi paznokciami, wydawało się, że nic dobrego z niego nie będzie – ten nie przepadł. Kiedy starsi bracia pytali go (oczywiście nie bez ironii i sarkazmu, bo im samym brakowało potrzebnego w tych czasach tupetu i śmiałości), co ty – bez języków, bez szkoły – będziesz robił na Zachodzie, odcinał im się: *Będę w Anglii tresował sokoły i sprzedawał arabskim szejkom, a na Litwę, do tej dziury, w życiu nie wrócę*. I nie wrócił. Już cztery lata go nie ma. Miał rację – szkoły nie były mu potrzebne. Wyjechał za pożyczone pieniądze, żywił się suchym chlebem i suszonymi śliwkami, palił znalezione przy wejściu do metra niedopałki, znał tylko dziesięć najpotrzebniejszych angielskich słów: „nosić”, „przesuwać”, „pchać”, „zamiatać” itp., składał funt do funta, ale teraz ma za to kilka kont w banku. Pracuje jako stolarz i ma pod sobą *dwunastu lejberów – żółtków, Hindusów i Czarnych z Ghany*. Po angielsku zasuwa swobodnie. Listy do domu śle krótkie i rzadko, bo to takie *zawracanie głowy*, nie dla niego, zresztą nie ma kiedy. Za to zdjęcia robione „mydelniczką” przesyła na kilogramy: szklany Deutsche Bank, który *sam stawiał*, rezydencja królowej Wiktorii od strony wzgórza Greenwich, gdzie zaczyna się czas planety, transwestyta z brązowymi piersiami, mały Murzynek ssący kciuk w wózku w sklepie Safe-way itp. On w kombinezonie budowlańca, z identyfikatorem na piersi siedzący pośród setki komputerów z nogami założonymi na stół obstawiony „najnowszą technologią”. Poza wyluzowanego chłopaka: oto trzymam swoje brudne „lejberskie” buciory tam, gdzie wygarniturowani maklerzy będą poluzowywać krawaty i pocić się z powodu milionów... Gdy siostra zadzwoniła do Londynu, żeby poinformować go o chorobie matki, przyznał, że będzie miał problem. Jeszcze gdyby nie żyła, to tak (*Londyn to w końcu nie Balwierzyski*), a tu w sumie – tylko śpiączka... Ale dopytał, w którym szpitalu mama leży, obiecał się dowiadywać i jeśli będzie trzeba, przysłać pieniądze czy leki.

Córka wyjmując telefon spod waciaka ojca, na wypadek gdyby dzwonili ze szpitala albo Londyn by się interesował.

Opiera czoło o szybę. Ta drży, gdy w pobliżu przejeżdża pociąg. Za omszałym murowanym ogrodzeniem ogród kuzyna ojca zamienia się po trochu w malinowy chruśniak. Kuzyn zmarł dziesięć lat temu – zakrzep z nogi dotarł prosto do serca. Mama się wahała: iść na pogrzeb swojego odwiecznego wroga czy nie iść. Zawstydzona przez dzieci jednak poszła. I nie żałowała. Dom wdowa, piąta żona, tanio sprzedawała rodzinie z Pren, która jak mszyce, od małego do starego, anektuje wszystko, co w okolicy ktoś odłoży nie na miejsce – kawałek starej armatury czy suszące się na słońcu aluminiowe pokrywki na garnki. Nie pogardzi nawet „wafłową” ścierką ze sznurka na pranie. Ale zza tej strony ogrodzenia, zwłaszcza teraz, nie bardzo jest co wynosić. Na plastikowych żebrach wieloryba smętnie powiewają strzępy folii.

W śniegu brązowi się sterta zgniłych jabłek – danina ojca dla kosów. One tu robią, co im się żywnie podoba, niczego się nie boją. Niedługo będą siadać staruszkom na głowach. Jak gdyby nigdy nic, wprowadziła się też kuna, widać poczuła powiew wolności. Staje na dwóch łapkach i patrzy na ciebie, dziwiła się przez telefon mama, w szmatach na poddaszu zostawia zmarznięte „groszki” odchodów. I tak tu po trochu wszystko jest – kończy się, wraca do siebie, do początku początków. Nie, nie do tego z tobołków, do dużo wcześniejszego, mitycznego, w omszałej sepii (tak jak stare zdjęcia). Gdzie tylko mróz, lód, ogień, popiół – podstawowe elementy...

Nagle, niczym spod ziemi, rozlega się krzyk ojca!

Córka obejmując go za ramiona i wyprowadza przez chmurę wojennego dymu, ledwo żywego, na podwórko... Nos ma osmalony. Skapitulował. Pokonał go mróz i zatłaczany piecyk.

– Oddychaj głęboko, tato – jego gorąca głowa trzęsie się w jej dłoniach. – Zostaliśmy we dwoje, teraz musimy trzymać się razem.

Całkiem się posypał – przelatuje jej przez myśl. – *I przednich zębów już nie ma... Prawdziwy dziad... No nic, póki gangrena jeszcze wszystkiego nie opanowała, trzeba wziąć sprawy w swoje ręce...*

Musi jeszcze tylko znaleźć „jobtwojuczek” mamy – futrzany serdak z królików, ciepłą spodnicę, ciemnozieloną wełnianą chustkę.

Bez problemu udaje jej się rozpalić w piecyku. Obchodzi wszystkie kąty. Najważniejsze, żeby nie bawić się w żadne mistyfikacje. Robić tylko to, co trzeba – wyszorować zapyziałe garnki, namoczyć spodnie ojca, natrzeć mu rżące piersi wietnamską maścią „z gwiazdką”, aż mu od środka, jak mówi, zacznie hulać zimny wicher. Obkleić taśmą stare radio VEF 202 – rozwalające się okno na świat – przywrócić znowu święte pół godziny z wypadkami drogowymi i kroniką kryminalną. To będzie ich „trzymać się razem”. Co innego im pozostaje?

Niczym gość zagląda do rozpadającej się szklarni: poszarpana pazurami kota folia przepuszcza śnieg, na bokach łąty z płacht kartonu z kosmicznie odległymi dla tej rzeczywistości napisami: „Pompadour. Węgierskoje szampanskoje” i „Conchita. Tropical citrus from Caribbean”. W składziku, gdzie kiedyś trzymali prosiaka, stoi dziurawa balia i żeliwny sagan bez ucha. „Garażyk”, szopa, przechylony wychodek, ścieżki usiane sypiącymi się spod dachu winogronami – „znajdami Iwanauskasa”.

Nie, nie zapomniała jeszcze kodów tego światka, chociaż już z niego wyrosła. Jak przed zmrokiem trzeba się tu spieszyć, pobrzękując wiadrami (ileż jest tego obrządku pod miastem – parę kur, kot i pies, za to ile zamieszania). Z kubłem parowanych ziemniaków i kaszy perłowej, pochylona, z daszkiem chustki nad czołem, w obłoku pary sama jakaś mityczna, przeźiera się przez ciemność podwórza do piwnicy, gdzie w kopcu na kartofle – wpadłbyś na to? – na zimę ulokowano kury. Ale kiedy przekracza próg i próbuje namacać kontakt (pamięta jeszcze, gdzie go szukać?), wszystkie kody znikają. Coś chwyta ją od tyłu za włosy, wypycha w zatęchły mrok i trzyma, aż serce spada jej do żołądka i strach zaczyna skręcać wewnętrzności. Wypadając na zewnątrz, zdąża jeszcze przyciąć sobie drzwiami palce...

Ziąb, mróz, noc hartuje szkło, i nikt tu nie zamierza się nad tobą litować.

Na zachodzie nad nasypem kolejowym majaczy zastygła purpura, topole z czarnymi kulami wronich gniazd – ten obraz wywoływał w niej kiedyś ból tęsknoty jak igły wbijane pod paznokcie. Za wszelką cenę się stąd wyrwać. A teraz – wrócić. Ale już się nie da, bo ty – to już inna ty. W ogóle wszystko jest inne. I ten dobrze znany ból w czaszce, kiedy wiesz, że nigdy nie zniknął z pola celownika (nikt nie znika), a kula, lecąca przez lata, już dawno cię dogoniła. Skalp zdjęty?

Nie czujesz palców w kaloszach i twarzy pod daszkiem chustki – taki ziąb. Chociaż to przecież nie ziąb. To sen, wtórna rzeczywistość, z której nie masz siły się wyrwać, bo brak ci i woli, i mocy (i chęci). To jak lekki paraliż, kiedy kochasz, cierpisz, nienawidzisz, bo się boisz wszystkimi wciągniętymi głęboko do środka końcówkami nerwów, to znaczy gdy przez lata całe nie żyjesz. Jesteś, ale cię nie ma. Jak to jest?

Gdybym specjalnie przytknęła rękę (albo język) do kawałka żelaza, tak by przymarzła i trzeba by było ją oderwać, może bym się obudziła?

Ale palce odmraża sobie nie ona, tylko ojciec. I nawet nie czuje, bo szykuje się na noc: trzeba wyścielić Tuzikowi budę starymi spodniami od dressu (żeby nie ogłupiał z zimna) i wlać do miski „zalewajki”, pokłatać kłódką na drzwiach komórki, osłoniętą kawałkiem papy, przynieść chrustu na rozpałkę, chyłkiem rozpiąć rozporek i na wszelki wypadek wysikać się w szklarni do wiadra z trocinami, gdzie mama wiosną wysiewa ogórki. Wszystko trzeba robić tak jak zawsze.

Pewnie wyglądaliby jak dwa patyczki – jeden wyżej, drugi niżej – za ogrodzeniem z siatki, jeśli patrzeć na nich z pociągu dalekobieżnego, który przelatuje nasypem, naostrzonymi nożami kół tnąc mrok otchłani. Pociąg się oddala, zostawiając ich na podwórzu pod fioletowym niebem – jak w rozgrzebanym gnieździe kawki. I nagle katapultowana z tej wtórnej rzeczywistości przez nie wiadomo jaką siłę zaczyna czuć zapach mrozu, jego prawdziwy zapach. Prawdziwe zapachy wszystkiego – śniegu, rdzy, trocin, rozcieranego w drewnianym moździerzu pieprzu, liści laurowych, wanilii, gałki muszkatołowej... Wbiłaby teraz zęby w zimne jabłko spod kołdry w szopie, gdzie w powietrzu wisi aż gęsty zapach pleśniejących piór i kitu pszczelego, a przez okienko wielkości pięści nawiewa syckiego śniegu. Jak ten zboczeniec o twarzy ostrej jak brzytwa z opowiadania Bitė Vilimaitė, wkładający do ust guzik od palta chłopczyka, którego pragnął, wgryzłaby się w plaster wosku, zlizala z umięszonego betonu wyciekłe z plastra soki. *Chcę do domu...*

158

Wygląda na to, że już się obrobili. Razem z kłębami ziąbu ojciec wpuszcza jeszcze do sieni kota i zamyka drzwi na dwa wielkie haczyki – na górze i na dole. Strzelby do obrony nie mają. Za to gumowa pałka z ołowianym końcem od odzyskania przez Litwę niepodległości na stałe zagościła w kącie wiatrolapu. Tak, dobrze się zabarykadowali przed mrozem i bandytami.

A tu, w środku – przed sobą?

Ojciec, milczący i skonsternowany, siedzi na swoim stałym miejscu pod sznurkiem z ręcznikami. Beret, tę biskupią mitrę codzienności, którą zdejmuje tylko do spania, teraz z szacunkiem położył na kolanie. Póki było zimno, wszystkie przedmioty w opustoszałym domu

wydawały się odległe jak w nieogrzewanym kościele. Teraz znów są blisko, bo słychać przytłumione pohukiwania piecyka i trzaska ciepło, rozlewając się po całej kuchni, wnikać w powietrze jak w chłodną wełnę. W kącie, w beczulce, przyciśnięta kamieniem swojsko poprykuje kapusta. Obok kręci się córka i już nie czuje się samotny. Tylko to palenie w piersiach: wpędzony przez mróz suchy ogień rozprzestrzenia się coraz bardziej, liże włoski pęcherzyków płucnych, dosięga gałązek oskrzeli, aż zaczyna cię dusić. Oskrzela, mówi zafrasowana córka. Ale to nie oskrzela, obrusza się, bo sam lepiej wie, co mu tam w piersiach tak trzeszczy. To śmierć chodzi w tę i z powrotem. I czeka. Nie spieszy się. Wprowadziła się i teraz wszystko robią razem. Razem odgarniają śnieg, razem sikają w szklarni na trociny, razem idą spać. Przed świtem przysuwa się tak blisko, przyjaźnie wystawiając wąsiki, że musi wstać, zrobić w ciemności trzy wymachy rękami i cztery głębokie wdechy i wydechy przez nos. Wtedy ona – choć niechętnie – trochę się odsuwa.

Jest prawie pewien: jeśli ją, jego staruszkę, śmierć zabierze, to na pewno nie ze szpitala, tylko z domu (wszystkich zabiera z domu, chociaż umiera się przeważnie w szpitalu), gdzie przez ten tydzień, jak jej nie było, zdążyła stać się solą, wodą, każdym domowym sprzętem. Naparstkiem.

Lekarze mówią: szanse są niewielkie, trzeba czekać. Więc czeka. Tylko co skłoniłoby ją, błakającą się pomiędzy „tu” i „tam”, do powrotu. Kiedy patrzysz z tak daleka i z tak wysoka, jak ona pewnie teraz patrzy, wiele rzeczy wygląda inaczej... Dzieci rozjechały się po świecie. Jedne żyją, inne nie. On sam jest już starym dziadem z głową zajęętą przez parkinsona. Z sercem rozdętym jak u cielaka – ten mięsień też już odmawia posłuszeństwa. Z bolącymi jądrami – prostata. I jeszcze to dzwonienie w lewym uchu... Jak tak podzielił się na części – aż dziw bierze, że całość w ogóle jeszcze ciągnie. Nowe zęby – rekompensatę za kopanie okopów dla Niemców –zymane w słoiku schowanym pod belkami, znalazł i przez gardło przepuścił najstarszy syn. Przepił, podobnie jak pałto zaginionego brata. Łachmyciarz.

I mimo to, w tej ciężkiej godzinie, ojcu najbardziej brakuje właśnie synów. Córki, tej lisiczki, która chciałaby go czytać jak otwartą książkę, unika. Poza tym córka, kiedy potrzeba, zawsze jest pod ręką, nieważne jak daleko by była. A synowie... Najstarszy Kazys, dzwoniąc ze szpitala – znasz już to jak „Ojciec nasz” – najpierw poprosiłby nie o chleb, tylko o papierosy, takie najtańsze, bez filtra, bo papierosy to teraz jego chleb. A potem: zlitujcie się, zabierzcie mnie stąd. Tu leżą sami zaściankli popaprańcy pozbierani z rowów i krzaków, degeneraci... Ja jestem z innej bajki, jestem człowiekiem o delikatnych nerwach. Takim jak ja łamią tutaj kręgosłupy... Ale do domu – w tej kwestii ojciec jest twardy – zabiorą go, dopiero jak będzie zdrowy. A w zjadającego bez szemrania pełną miskę szpitalnej paćki i grzecznie stojącego przy wózku z kubłami z zupą i makaronem po dokładkę Jasia Fasolę syn zmienia się opornie. Wciąż zaciskając pięści i zgrzytając zębami, stale gotowy jest do bójki, chociaż i tak wszyscy się tu od niego trzymają z daleka. Albo na odwrót, jak to mówi, całkiem „odłącza się od sieci” – obraca na palcu metalowe karbowane kółko i ani z psychiatrami, ani z młodą lekarką opiekującą się jego salą nie chce rozmawiać (*Za żadne skarby nie zejdzie do siebie z wyżyn swojej próżności* – ordynatorka oddziału psychoz alkoholowych). Na noc chowa to kółko pod poduszką albo zaciska w dłoniach między kolanami – zabiłby za nie.

Ale gdy po zakończonej kuracji ojciec i matka przyjeżdżają po niego, czeka na nich przy drzwiach – *nie stanowi już zagrożenia ani dla siebie, ani dla otoczenia*, uśmiechnięty od ucha do ucha, zaokrąglony. Inny człowiek! Według relacji pielęgniarki już od samego rana pakował do reklamówki kapcie, dres, szczoteczkę do zębów (ostrych przedmiotów tam mieć nie wolno). Zachowane papierosy, towar na wagę złota, oddaje tym biedakom – „szpitalnej scenografii”. Bo on sam trafił tu przez straszną pomyłkę. Jego diagnoza jest zupełnie inna – wyjątkowa. I tylko on sam jest w stanie ją postawić. Obcałowując matce knykcie, zachrypniętym głosem (już nie mógłby grać Janonisa) przyrzeka, że już nigdy nie podniesie na nią ręki. Ani na nią, ani na siebie. Jak będzie trzeba, to się zaszyje. Ale na pewno nie będzie trzeba, bo od teraz kontroluje sytuację...

Do następnego razu. Troki od kaleson, mimoza bez charakteru – pobłażliwie, z czułością myśli ojciec – *ale to on ma najlepsze serce.*

Najlepszą głowę, matematyczny umysł, miał za to średni syn – Povilas. Jednak pewnego dnia nie wrócił. Na policji pomogli im tyle, że kazali się nie dziwić: dużo ludzi teraz wychodzi z domu i nie wraca – takie czasy. Wróżka spod Wilna, do której dwa tygodnie czekali w kolejce, za paczkę kawy „Jacobs” radziła sprawdzić, czy w którymś zagłówek nie ma wszystego czerwonego sznureczka. Znalezionej przez znajomych jasnowidz przez kilka minut siedział z zamkniętymi oczami i na kartce z zeszytu zapisał, że widzi ich syna w „pozycji wertykalnej”. Policja z milicją wymieniły się jeszcze kilkoma notatkami, ale nic z tego nie wynikło. Sprawę zamknięto. Najbliżej swojego dziecka była matka, której dwa razy się przyśnił, jak leży nagi pod białym prześcieradłem i słomianymi ustami szepcze: *Zimno mi...* Jednak we śnie często nie zdążył złapać za koniec nitki, dopytać co i jak. Przed zniknięciem syna i jemu się śniło, że robi placki z krowiego łajna. Gdyby wtedy wiedział...

Mówią, że czas niepodległości, tak jak wojna i okupacja, zebrał i wciąż zbiera swoje żniwo. Najstarszy, średni... Ale został im jeszcze trzeci... Ten na pewno powinien zadzwonić, bo on jeden nie przepadł. Na początku robił we Włoszech – przy pizzy, potem w Anglii – na budowach. Jak tylko tam dotarł, pisał, że rodzice zaraz będą w Londynie jeść smażony bekon z fasolką i oglądać pałac Buckingham przez okno piętrowego autobusu. Teraz już dawno nie pisze. Za to przez telefon za każdym razem mówi, że nie da nam zginać na tej złodziejskiej Litwie. Dwa razy przysłał 200 funtów. Ojcu na święta kraciaste kapcie z *teddy bears*, matce – szkocki pled. Z Rzymu przysłał różaniec moczony w olejku różanym i poświęcony w Bazylice Świętego Piotra. Matka prosiła, żeby tym różańcem opleść jej ręce w trumnie.

Tak, na tym dziecku będą polegać. Tylko jedna rzecz ich niepokoi... Przypadkowo przez kogoś dowiedzieli się, że ich syn w Londynie nie jest Sauliusem Milušauskasem, tylko obywatelem Białorusi Mirosławem Pieczulem. Ten Pieczul – cierpliwie przez telefon tłumaczył syn rodzicom mieszkającym na zadupiu wśród łopianów – to prawo do życia i pracy w Wielkiej Brytanii jako uciekinier przed reżimem. Plus darmowe mieszkanie. Anglicy szanują wszystkich wysiedlonych: Cyganów, Albańczyków, uchodźców z Kosowa. Sauliusa Milušauskasa raz-dwa by deportowali. Więc dla świętego spokoju Saulius z paszportem siedzi zaszyty pod podszewką kurtki,

a Mirosław Pieczul legalnie sobie mieszka, pracuje, wsuwa angielski bekon z fasolką i ma wszystko gdzieś. Tamtejszy rosyjski Żyd za 100 funtów doradza, jak tych Anglików, zresztą biurokratów jakich mało, nabijać w butelkę, kiedy mówić im prawdę, a kiedy kręcić, jak będzie ustalana jego tożsamość – i tak do procesu, a potem można złożyć apelację. Słowem, jak się utrzymać w skórze tego Białorusina jak najdłużej. *Wycisnę z tego kraju, co się tylko da, i jeszcze wam w miarę możliwości pomogę, tylko nie desperujcie* – pisał syn. Ale pisać do siebie kategorycznie zabronił. Bo list z adresem zwrotnym to już dowód obciążający. Lepiej dzwonić. Wtedy jednak, zastanawia się powolny z natury ojciec, wszystkie nowinki musisz wystrzelać dziecku jak z karabinu: kto się urodził, kto umarł, kto się z kim rozwiódł, kto kogo zadzgał. *Ty tylko mów* – za każdym razem zachęca syn – *ja nagrywam, potem sobie wszystko w spokoju odsłucham*. Ale ojciec wolałby wieczorem po pracy usiąść w pokoju, palcem u nogi nacisnąć włącznik lampy, wyciągnąć pudełko po bombonierce, w którym trzymali koperty, i nie spiesząc się, z przekrzywioną głową naskrobać to i owo. Najświeższe wiadomości. Na przykład, że Perliubas ma w gardle robala, a wąsy już mu sięgają aż do żołądka. Że na Litwie teraz rozmaite typy łązą od domu do domu, proszą o jałmużnę, a pod wyżebranym chlebem siekiery w torbach noszą itp., itd. Na koniec: *U nas już jesień, zostaliśmy sami jak te dwa pułstelniki, tylko z Tuzikiem*, na kopercie koniecznie napisałby adres zwrotny: Milušauskas Antanas, ul. Sąnašų 2. Bo list bez adresu zwrotnego – jakby był znikąd.

Więc tacy są jego synowie, myśli zafrasowany. Podobni do mnie. A córka? Odwraca się w jej stronę – jak kamienna statua – całym ciałem. Córeczka mamusi... Zawsze się zmagowały i obie mydliły mu oczy na wszystkie możliwe sposoby, żeby się tylko nigdzie nie wtrącał. I co osiągnęła? Dwa rozwody, o których, podobnie jak o ślubach, dowiedzieli się już po fakcie. Rude włosy jak u lisicy. Co ja tak naprawdę o tobie wiem, córeczko?

Córka zsuwa na kark chustkę – jest ani młoda, ani stara. Bez wieku. Niewyraźna jakaś – Agata Christie w porwanych na pigwie rajstopach. Oblizuje przytrzaśnięty palec z półksiężycem krwi zakrzepłej wokół paznokcia. Co mogłoby tatę pocieszyć, myśli, uśmiechając się do siebie, że jednak jego smagnięcia witką po gołych nogach nie były po nic: *Ja cię oduczę tego cackania!* Stary żeliwny gar bez ucha prześwietlił ją w ciemności komórki niczym rentgen. Na tym negatywie, tato, widać wszystko – i jaśniejsze plamy, i zaciemnienia: człowiek się cieszył, zachłystywał wolnością i dusił od niej. Pluł krwią. Żył. Widać jednak daleko od tych torów nie udało mi się odbiec. Co prawda, były też jakieś sukcesy. Tylko nosa do szczęścia jej brakło. Kobiecego instynktu, jak to mówią. Za to miała w życiu *idée fixe* – tworzyć i za wszelką cenę być sobą. Z tego powodu nie wybierała przyjaciół. Kpiła z kariery. Prowokowała los, polowała na doznania, przelotne znajomości i stosunki... Żeby wykupić sobie wolność, absolutną niezależność od okoliczności, włóczyła się po Europie, z polecenia jednego Polaka, Patryka, szorowała kłozety w południowym Londynie, wybierała włosy łonowe z wanien i łóżek w hotelu u Hindusa Kutapena, aż na zmywaku w „Royal Hotel” ugotowała sobie ręce. Jednak nic sobie nie wykupiła, a idea – zniknęła... No tak, spotkała kogoś, potem kogoś innego, jak się potem okazało – nie tych. Dziękowała losowi, że ją uchronił i z żadnym z nich

nie miała dziecka. Ale że tak projektując przyszłość i nie rozmieniając się na drobne dla rzeczy niewartych jej poświęcenia, rozminęła się z własnym życiem, zrozumiała za późno. Będąc zawsze sobą, najczęściej zostajesz z niczym...

– Tato, trzeba nastawić wodę na herbatę, przynieść z góry słoninę...

Na górze mroźne powietrze miesza się z parnymi wspomnieniami lata, którymi przesiąknięte są zjedzone przez mole kożuchy i brody kopru wiszące nad głową. Córka przysiadła na belce waty szklanej. Czuje przyjemny ból w czerwonych aż po łokcie od mrozu i zimnej wody rękach. Dotyka językiem szczypiącej skóry. Ale to przecież nie skóra, tylko szorstka faktura domu, za którą tak tęskniła.

Chcę do domu.

Jesteś jak jaszczurka zjadająca własny ogon, myśli sobie, zalewając herbatę. Herbata, którą kiedyś przywiozłaś, tutaj nie pachnie już skórką pomarańczową, bergamotką i trawą cytrynową, tylko okruciami z szuflady, kłębkami sznurka, kawałkiem oblebionej woskiem świeczki. Ten zapach, obmywający podniebienie i wąskimi gorącymi stróżkami ulatniający się przed nozdrza, ma ciemny kolor krwi żyłnej. Jesteś w domu. I mimo to usiąść dziś z ojcem przy stole tylko we dwoje będzie ciężko. Jakbyś uczestniczył w konfrontacji i czekał, aż zostaniesz wskazany jako przestępca, ale jakie przestępstwo popełniłeś – nie wiadomo. Co prawda na pytania ojca nigdy nie miała właściwych odpowiedzi, bo żyła nie tak, jak trzeba – zapalała się jak zapalka, trzaskała drzwiami i wyjeżdżała. Darli koty, kłócili się o pusty worek (mama)...

Ale teraz, gdy prawie wszystko zostało postawione na jedną kartę, cena jest zbyt wysoka – każde słowo może pojawić się w złym momencie, w złym kontekście. Może zabić. Więc lepiej po prostu jeść. W milczeniu nabierać nożem masło i rozsmarowywać na kromce bułki. Rozłupać szczyrykiem kość i wysysać szpik. Wytrzeć skórką talerz do czysta. A jeśli już rozmawiać, to o krowie Micków, którą wściekły lis ugryzł w wymię, o tchórze, co odgryzł głowę Pstrokatę, o młodym synu Anglinisa, któremu wątroba wysiadła od picia. I to, co zawsze się sprawdza – o pieprzonej władzy, która robi wszystko, żeby zwykłemu człowiekowi było coraz gorzej. Byle się nachapać, banda oszukańców, „pedyrastów”! Głowa ojca z odstającą kępką siwych włosów zaczyna się trząść, wzrok spod zmarszczonych brwi błądzi po stole, aż zatrzymuje się na koziku – szczepił nim grusze, zaszczepił nawet jabłka koksy, nożyk jest tak uniwersalny i niezawodny (niemiecka robota!), że nadawałby się i do czego innego – ręka, kurna jego raz, by mu nie zadrżała.

Nagle na palcach ojca pojawiają się dziwne pęcherze – rosną w oczach. Wciąż jeszcze rozdrażniony ojciec macha ręką: *e tam*. Ale widzi, że córka, która w końcu widziała to i owo, wstała zdecydowanie i nie zamierza mu odpuścić, więc chcąc nie chcąc, wyciąga do niej dłoń naprapiane plamami jak przepiórcze jajka... Igiełki – powstrzymywane przez staruszkę łzy (żeby tylko się nie wydać!) – kłują w koniec zaczerwienionego nosa. Kiedy córka z pochyloną głową bandażuje mu ręce, on nijak nie może się nadziwić, że te jej lisio rude włosy przy samej skórze są już prawie siwe. Czekaj, czekaj, to ile ona ma lat, jak tak dobrze policzyć? Jakies trzydzieści cztery? Czy może nawet trzydzieści siedem. Czerdzieści dwa?! Ale ten czas szybko leci...

Pociągając nosem, że niby przyznaje się do winy (Gdzie mu przepadło te jej pięć lat? I że niby jego całe życie też już diabli wzięli?), patrzy w bok na węglarkę z popiołem, potem nie wytrzymuje i dwoma zabandażowanymi bałwankami pokazuje: może po kieliszeczku? Na uspokojenie nerwów i żeby żołądek przestał ścisnąć. Niestety, „kieliszeczki” są w tym domu zabronione, podobnie jak woda po goleniu i spirytus mrówczany, nawet propolis na wrzody – tylko na sucho. Ale przecież nikt jeszcze nie zabronił „dropów”!

„Dropy” to czysta magia. Fizyka i metafizyka. „Dropami” nazywano u nich po wojnie ciekły eter, stosowany do znieczulania, szmuglowało się go w płaskich buteleczkach z obwodu kałiningradzkiego i stosowało po kilka kropel na cukier zamiast alkoholu. Jeśli kropla niechcący spadła na podłogę, zaraz dopadał do niej kot i wylizywał białą plamę, a jeśli ktoś zaryzykował wypić cały kieliszek i potem zapalić papierosa – autentycznie zionął ogniem. Woda już wtedy nie mogła pomóc – *żeby zgasić taki pożar, chłopcy sikały jeden drugiemu do gardła* (babcia). Eter, podobnie jak nafta, zniknął, a rola „dropów” przypadła zwykłej mięcie i walerianie. Ale cud pozostał – lek na skręt kiszek, na mączniaka ogórków, na rozmaite straszne baby pochylające się nad łóżkiem, gdy śpisz, na ubranego w czarny garnitur faceta z czerwonymi żrenicami chodzącego po korytarzu w tę i z powrotem i mamroczącego: *Moje będzie na wierzchu...* Na wariata z Wilna (wczoraj widziano go już w Kownie). Na nienarodzone wnuki. Na nieszczęścia. Na za dużo szczęścia. Ojciec jak stary mag pod kuchennym kłosem czaruje nad zakruszonym stołem – odmierza „dropy” swojemu dziecku. Oboje wiedzą, że to łapówka dla strachu, pomieszanego z zawsze głęboko skrywaną miłością, żeby tylko nie pokazać jej za dużo, bo od nadmiaru dobroci dzieci się psują. Wiedział, że przyjdzie taki czas, kiedy zostanie sam – kiedyś każdy zostanie sam – ale nie wyobrażał sobie, że ta pustka, bezgłośna, bez ciężaru, z taką siłą będzie mu ścisnąć bębenki i miażdżyć kości. Córka podchodzi z tyłu i obejmuje ojca, zaskoczona, że pod tą roboczą kapotą zostało go tyle co nic...

...Może kiedyś, podczas podróży z jednego skrętu spirali na drugi, z jednego stanu w drugi, pośród szumu ognistego wiatru i porażającego białego światła, którego moc kruszy skały, wśród niewielu rzeczy zabranych „tam” znajdzie się też zapach „dropów” z małej mrówczej rudej plamki... I jeszcze przymarznięta skorupka od jajka w śniegu. Rachityczna miotła obwiązana aluminiowym drutem, nadająca się już tylko do otrzepywania śniegu z butów. Kuleczki rtęci pod warstewką lodu – źródło niezamarzające nawet w największy ziąb. Kwiat dyni jak pletwa kaczątka. Kawałek plastra z naskrobanym ołówkiem napisem: „Czarna porzeczka. 1989”. Krzywe słupki z wynikami tysiąca na marginesie starej gazety pod inicjałami A., P., S. (z P. już pewnie nawet kości nie zostały, S. nie żyje od dwóch lat, życie A. jeszcze wisi na włosku, ale nie wiadomo jak długo). Drobiazgi. I nic z „książek życia” z zawłościami fabuły i „pomysłami dekady”. Nic ze „stania na gzymsie” mocnych wrażeń i wielkich cierpień. Nic z tego, co wydawało się takie ważne.

Kiedy ojciec już prawie nie protestuje, żeby umyć mu nogi (wiadomo, zbędny luksus), ktoś puka do drzwi. Nie za głośno, tak że może im się tylko wydawało. Sąsiad? Złodziej? Ojciec jeszcze nie wie, że ten ktoś, na kogo nawet Tuzik nie zaszczekał, to jego los, a los, jak wiadomo, nie korzysta z dzwonka, tylko puka...

Stary zerka z daleka, żeby nie dostać czymś w głowę, przez zaciągniętą mrozem szybę: trzeba spytać Tuzika, dziada jednego, kto mu jeść daje i komu powinien nogi lizać. Kogo tam niesie po nocy?

Bezgłowa postać po drugiej stronie szyby odzywa się głosem najmłodszego syna...

...Obściskiwac się w ciemnej sieni między kubłami jest trochę ciasno. I ich mały z aurą mrozu, jeszcze nie całkiem rzeczywisty, już stoi przed nimi w przedpokoju z załawionymi od wiatru oczami. Wyższy niż przed wyjazdem. Z wyrazistszymi rysami kogoś, kto nabył doświadczenia. Z ułamanym przednim zębem.

Anglik, mówi przejęty ojciec. No prawdziwy Anglik.

On sam przez ten czas, kiedy syna nie było, zdążył się skurczyć. Chciałby powiedzieć coś ważnego swojemu dziecku, które pojawiło się tu tak niespodzianie, bo popatrz tylko, już mu nogi próbują myć, może jeszcze wyszczać się samemu nie dadzą, do jasnej anielki?! – posyła córce surowe spojrzenie. Ale już zaraz parkinson ściąka mu krtań i ojciec, rozebrany do bielizny, szurając posiniałymi nogami, głucho załka.

Jednak Sauliusa hipnotyzuje co innego – kot na obszytym frędzlami baldachimie na zdjęciu nad kalendarzem, wsadzony tam „dla dekoracji”. Tak go zostawił, jak wyjeżdżał, i zastał, jak wrócił. Nie do wiary.

Znaczy się – jest w domu.

Zrzucił puchową kurtkę – skafander kosmonauty, ale nie zdjął pancernych butów, w których obszedł wszystkie ruiny, fortecy i zamki Szkocji, i chudy jak nieboskie stworzenie usiadł z szeroko rozstawionymi nogami. Wyglądał jakby rzeczywiście zlądował z kosmosu w ten świat wzorzystych narzut, dzierganych serwetek i zastawionych pelargoniami parapetów. Stół w „salonie” już nakryty, chociaż jest tam zimno i przesiąknięty wilgocią półmrok strzela zielonymi iskrami. Ojciec sam nosi kiszone ogórki i w jego wysuszonych łydkach znów pojawiają się twarde piłeczki mięśni...

Ale Saulius tylko by się napił. Schlałby się tak, jak im się nawet nie śniło. Bo przyjechał nie z kosmosu i nie z Londynu, tylko z Wiliampola... Już od wczoraj jest na Litwie... Ale straszyć ich swoją *love story* jest jeszcze trochę za wcześnie...

...*Once upon a time* (dawno dawno temu) w Londynie na piwnej imprezie poznał Verutė. Vera była z Kowna. Przyszła, gdy on już szykował się do wyjścia i zgięty w pałąk pocił się, próbując wcisnąć nogi w nowe buty. Eleganckie pantofle angielskiego gentelmana, z najlepszej skóry, ciemnobrązowe, zrobiły mu świństwo i nagle przestały pasować na rozluźnione po piwie stopy. Gospodarze, młodzi, mili Polacy, mieszkający w tej suterenie jak na dworcu i śpiący na piętrowych łóżkach, nie mieli łyżki do butów, więc zaproponowali mu swoje adidasy, żeby mógł wrócić do domu. I nagle pojawiła się ona, z uśmiechem przyniosła z kuchni... łyżkę do zupy i problem się rozwiązał. To dzięki tej łyżce się poznali. Pierwsze wrażenie było piorunujące. Jakieś takie kosmate. Gdy zobaczył przyciśniętą siateczką rajstop włoski na jej niegolonych łydkach, od razu zrozumiał, że to nie jakaś Barbie, tylko prawdziwa kobieta. Poza tym miała przerwę między jedynekami, a takie przerwy zawsze oznaczały dla niego namiętność, powodzenie i pieniądze. Właśnie takiej kobiety potrzebował. I nie pomylił się: szesnaście

lat od niego starsza Verutė była prawdziwym wulkanem energii, dawała radę pracować w trzech miejscach i nigdy nie być zmęczona. Hindus, właściciel hotelu na Gloster Street, nie chciał jej nawet puścić z pracy, a piłkarz Patrick Vieira, pomocnik z Arsenalu, któremu spona w pokoiku pod schodami prasowała setki koszul (i nie była zmęczona), dawał w prezencie biżuterię. A na Boże Narodzenie – kapelusz z makami, bo w Anglii kobieta bez kapelusza jest jak bez głowy. Zwykle przy okazjach, zwłaszcza uroczystych, nikt Very nie rozpieszczał. Na Litwie miała dwóch synów i bardzo porywczego męża o gruzińskiej urodzie i takim też temperamentem (z językiem czarnych włosów na plecach), na szczęście – byłego, który bił ją „z odpoczynkami”, a po rozwodzie złośliwie nie płacił alimentów i jeszcze groził, że ją pošle do piachu. Ale dzieci z jakiegoś powodu go kochały. Żeby przeciągnąć dzieci na stronę Verutė, Saulius przez dwa lata wysyłał z Londynu pieniądze na buty w rozmiarach 42 i 47 dla jej synów Darka i Julka, na wieżę, na rozkręcenie biznesu jej brata – inwestował w ich wspólną, jego i Very, przyszłość już tu, na Litwie. Verutė, która zadziwiała go swoją zaradnością, też uwijała się jak pszczołka. Do wynajmowanego przez nich pokoiku w suterenie wracała z nożkami całymi oblepionymi miodem (wokół talii – hotelowe ręczniki, prześcieradła, w specjalnie wszytych wewnętrznych kieszonkach – dżem i masło ze śniadania, rodzyнки, płyny do czyszczenia lustek i mebli, słowem wszystko, co Hindus miał najlepszego). Aż kiedyś nie wróciła. Złapali ją ochroniarze, gdy ze szkoły gastronomicznej, w której pracowała na zmywaku, próbowała w majtkach i staniku z fiszbinami wynieść srebrne łyżeczki. Nikt by jej nigdy nie złapał – Verutė prowadził przez życie psi węch i szósty zmysł – ale podkablowała ją koleżanka z pracy, Polka, która też wynosiła, co się dało, ale następnego ranka wyjeżdżała do domu, do Krakowa, więc tego dnia, ma się rozumieć, już nie pracowała. Urzędnik Służby Imigracyjnej zawiózł Verutė na lotnisko w roboczych ciuchach, jak przestępczynię, po drodze wstąpili tylko do domu po jej paszport. W tym czasie Mirosław Pieczul pracował na szesnastym piętrze banku i żaden szósty zmysł nie poinformował go o nieszczęściu. O zdarzeniu, że łzami w oczach, opowiedziała mu wieczorem inna Polka, sąsiadka tej, która doniosła, najlepsza przyjaciółka... Od tego momentu londyńskie ulice straciły kolory, a w stawach królewskich parków wyzdychały kaczkę. Gdy siedział na ławce na Soho Square, gdzie przychodzili z Verutė, zdejmowali buty, jedli marsy i snickersy i patrzyli, jak Anglicy, zupełnie nie licząc minut, rozmawiają przez telefony komórkowe, nagle poczuł się ograbiony. W biały dzień. Ograbiła go ze złudzeń świadomość, że wszystkich pieniędzy i tak nie zarobi, a zresztą te prawdziwe chodzą innymi, niedostępnymi mu kanałami. A po drugie – stracił Verę, a razem z nią wiarę – wszystko, z czym tu przyjechał.

Miesiąc później, nie mogąc znieść braku wiadomości (Verutė nie odpowiadała ani na telefony, ani na listy), kupił bilet na autobus na Litwę. Przespał całą zachodnią Europę i obudził się dopiero w Polsce, w poczekalni dworca w Warszawie, jak go otoczyło, zagrodziwszy wejścia, pięciu uzbrojonych Rusków – cywilów o gębach wojskowych. Nieliczni pasażerowie – mężczyzna, kobieta i staruszka – którzy też byli w hali, wykręcając szyję, wyglądali przez okna. Rzucił się do wyjścia, ale tam czekało na niego jeszcze czterech. I tu to go już obczyścili na cacy. Niedobitki z armii radzieckiej, kiedy sprawiedliwości historycznej stało się zadość, nie wróciły do ojczyzny i szajkami rezydowały na dworcach, bazarach i w kasynach. Podczas

gdy najstarszy, najpewniej praporszczyk, kopał go w kolana (*Nie diorgajsia, zdies' nami wsio kontrolirujetsia*), pozostali trzej przetrząsali walizki. Prezenty i ubrania ich nie interesowały, zależało im tylko na ostatnich dwóch tysiącach funtów, które mu zostały. Trzymali się za to „kodeksu honorowego” – zostawili litewską stówę, angielskie drobne i trzy butelki „Black Jacka” – *na otarcie łez*. Tak, zachowali się bardzo humanitarnie, a jeślibyś, nie daj Bóg, tego nie docenił i wpadł na pomysł pójścia na policję czy do konsulatu... Zaciukali by cię w najbliższej bramie. Przestrzelili rękę. Odbili wątrobę. Bo oni razem z policją kontrolują przepływ pasażerów i zbierają – „obowiązkową opłatę”... Gdy już został sam z wybebeszonymi walizkami, to chociaż w Anglii widział różne rzeczy, jednak zwymiotował za kontenerem na śmieci i postanowił najpierw jechać nie do domu, tylko do Verutė. Ona, tak jak on, przeszła przez to samo – kromka chleba i trzy śliwki dziennie. Haracze. Cała reszta.

Znalazł ją całkiem łatwo. Tylko że nie w murowanym domu z przeszkloną werandą i holenderskimi drzewkami w ceramicznych donicach, tylko w jakimś „pekinie” z przeraźliwie skrzypiącymi schodami. Wiele rzeczy tam było inaczej, niż mu opowiadała... Po pierwsze Verutė nie miała własnego domu. (O tym, że za jego pieniądze na nazwisko brata już sobie upatrzyła mieszkanie w nowej dzielnicy, dowie się później). Mieszkała u matki. Ta, w zawiązanej na głowie kwiciastej cygańskiej chustce z prawdziwego jedwabiu i w złotych kolczykach-serduszkach w wyciągniętych płatkach uszu, uspokajała sukę ze szczeniakami na rozłożonym starym palcie. Okopcony sufit, wieża zawalona szmatami, butelka francuskiego koniaku „Otard” w kształcie kropli i futro rzucone na rozgrzebane łóżko zamiast narzuty – wszystko tu mówiło, że pieniędzy w tym domu nikt nie chowa do worka z kaszą i nie konserwuje z zakręcanych słoików – one przez jedne drzwi po prostu wpadają, przez drugie jeszcze szybciej wypadają. Nagle zza pieca wyleciała rubinowo-szmaragdowa papuga Roma i zakrzyzczała mu w twarz: *Durrrreń...* Ale najbardziej zaszokowali go synowie Verutė. Niebieskokie wyrostki z kolczykami w uszach ze zdjęć – kochał ich prawie jak własne dzieci – okazały się przyszłymi recydywistami: nawkładali petard i wysadzili piec niewidomej staruszce, włamywali się do cudzych samochodów, okradali domki działkowe... Nieodrodni synowie swojego ojca, który, jak się okazało, siedział w więzieniu i przegrał tam w karty mały palec, ale wciąż był głową rodziny i wszystkimi zarządzał...

Wyrołowany, nie odzyskawszy pieniędzy infiltrowanych w życie Verutė, po szarpaninie z jej braćmi, których miała czterech, a nie jednego, jak wcześniej mówiła, brnął na stację przez chrzęszczący śnieg. Guziki w koszuli „Marks & Spencer” zwisały powyrywane „z bebechami”. W uszach wciąż dzwięczały mu słowa Verutė, zmienionej nie do poznania (teraz miała włosy w kolorze oberżyny i wyglądała na dużo starszą, tak że pasowałaby bardziej na jego matkę): co było na emigracji, to było tam, a tutaj, to co innego. Ona teraz czeka na swojego starego. Chociaż bez palca. Co tam, starczy mu tych palców, byle czego innego nie przegrał. Tylko przerwa między zębami wyglądała jak wcześniej...

Szedł, dopóki miał siłę. Potem jechał. Potem znowu szedł. W głowie skomlał mu zbity psiak. Gdy się ściemniło, przysiadł na ławce w starym parku obok przysypanych śniegiem mogił nieznanym żołnierzom. Naliczył szesnaście płyt. Pod siedemnastą wyobraził sobie siebie.

Nad głową przez nagie gałęzie drzew obsiane czarnymi kulami wronich gniazd prześwitywało purpurowe niebo. I nagle poczuł ukłucie ostrej jak igła ojca tęsknoty za domem. To przecież niedaleko, za koszarami, przy torach, prawie go czuje... Jednak nie taki miał tam wrócić... Ze wszystkiego, czym kiedyś chciał zaimponować po powrocie, została tylko garstka wspomnień, puste konta bankowe i ułamany w irlandzkim barze przedni ząb. Ale iść gdzie indziej – nie było gdzie.

Po drodze zajrzał jeszcze do mamy do szpitala. Leżała za szklaną przegrodą, jedno oko miała na wpół otwarte. Proteza, żeby się nią nie udławiła, leżała na chusteczce obok Matki Boskiej Ostrobramskiej wielkości znaczka pocztowego. Chciał dotknąć zaciśniętej w piąstkę ręki mamy, takiej swojskiej, ale wzdrygnął się, gdy zobaczył własną rękę pokrytą skrzepami krwi, i zaraz ją cofnął...

A teraz chciał tylko położyć się gdzieś w kącie, narzucić jakąś kozią skórę, zwinąć się w kłębek jak embrión i zacisnąć oczy tak mocno, aż zaczną boleć. Wypchnąć siebie przez te oczy, tak żeby jutro mógł zacząć wszystko od nowa. Albo skończyć... Ale ojciec, jakby wciąż naiwnie się czegoś spodziewał – na litość boską, czego?! – w kółko chodził za nim. Siostra – za ojcem. Kot – jak domowy znak zapytania – za siostrą. Czego oni wszyscy od niego chcą? Pocieszenia? Pieniędzy?

Saulius odwraca się, rzuca im przekleństwo w zdziwione twarze i ni z tego, ni z owego zanurza głowę w wiadrze z lodowatą wodą, aż wilczy kiel dzwoni o krawędź. Ten amulet – wilczy kiel – dostał od Australijczyka lana w zamian za breloczek z bursztynowym drewniakiem. Trzyma głowę pod wodą, aż rozdymają mu się płuca. Trzymałby tak, aż pękłyby jak bomba wodorowa, a ich kawałeczki rozbryzgałyby się po ścianach. Ale może jednak jeszcze za wcześnie się uśmiercać? A ich straszyc?

I siedzą teraz w rozgrzanym, olejowym świetle pokoju przy stole z butelką whiskey, której odebrali mu tamci Ruscy, i Saulius dolewa jej, nie żałując, wszystkim do kubków z herbatą. Jak ma mokre włosy, widać, że szczęka, wyostrożona przez głód i walkę o byt, jest jakby za duża do takiej małej głowy. Właśnie jednym haustem wypił buteleczkę „dropów”, która zaplątała mu się pod ręką. Za słabe to, ale znieczulić się nie udaje mu się także „Black Jackiem”... Żeby uspokoić rozdrażnienie, natrętne jak ból zęba, zaczyna wyciągać prezenty. Dla ojca i mamy (*Dlaczego położyliście ją do najbardziej zapyziałego szpitala z odklejającym się gumolitem?*) po swetrze ze szkockiej wełny. Dla siostry – kubek z mapą Kyle of Lochalsh i szkatułkę „na brylanty” z cukierkową dziewczynką w opadających harmonijkami podkolanówkach na wieczku. Jest też prezent dla starszego brata – kamizelka z prawdziwej wełny z aplikacją w futrzane baranki. Niczym ze studni bez dna wyciąga jakieś kable, śrubki i włączniki – to wszystko z Deutsche Bank, który *sam stawiał*...

Opowiadać? Hm... W końcu wydycha to ciężkie, przez cztery lata ścisane w płucach nielegalne powietrze. Opowiadać, oczywiście, może długo... O skarbach z Egiptu, Iranu, Chin i Tanzanii w Muzeum Brytyjskim. O precudnych parkach z kaczkami i fontannami. O królewskich pszczelarzach, ogrodnikach, łaźniach, którzy zarabiają prawie tyle co ministrowie. O pomniku upamiętniającym męża królowej Wiktorii księcia Alberta – wyobraźcie sobie skur-

czony Albert siedzi pod złotą iglicą wartą dziewięć milionów funtów. Ale z jakiegoś powodu opowiada o obsypanej łupieżem czapce takiego jednego Polaka, Józefa. W tej czarnej czapce narciarskiej całą zimę Józef, u którego Saulius mieszkał, od samego rana lekko podcięty, chodził po swoim obskurnym, nieogrzewanym domu, pełnym lokatorów z Polski i Litwy. Wszystkim im z ust buchała para. Rankami lokatorzy wypełzali z najbardziej nieprawdopodobnych zakamarków – strychów i schowków – i z zachowaniem pełnej konspiracji, pojedynczo, żeby nie wzbudzać podejrzeń wśród sąsiadów, wychodzili do pracy. W tej czapce Józef też sypiał, obejmując panią Terezę – posiniały od alkoholu neuron. Nie z miłości, tylko żeby – grzejąc się tak wzajemnie, już pięćdziesiąt lat uwięzieni w „międzyświecie”, między Polską a Anglią – zaoszczędzić parę funtów: on na polską wódkę, ona – na amerykańskiego bourbona.

Opowiada o Elzytę, bufetowej z Szańców, otwierającej na oścież szafę, jak tylko przychodził do niej ktoś z dorabiających się w Londynie Litwinów: 32 pary butów, 17 żakietów, 19 torebek. Źródłem tych torebek jest prawdziwy, choć niezbyt typowy Anglik, sobowtór aktora Leonowa, z miękkim biszkopikiem zamiast serca. Mieszkają oboje w domu pod lasem. Wyobraźcie sobie, jedynym zmartwieniem angielskiego emeryta są wiewiórki, obgryzające mu nad ranem pączki róż. Więc on najzwyczajniej w świecie strzela do nich z broni myśliwskiej, a Elzytę zakopuje je potem za ogrodzeniem... Zanim zacznie opowiadać o Verutę, musi się napić i odetchnąć. Bo to nie żadne podśmiejuchki. To fatum...

– Nie fatum, tylko złodzieje – od „Black Jacka” siwa głowa ojca zaczyna opadać. – Ta twoja łachudra Verutę i jej złodziejski pomiot...

Ach ten ojciec, tak niewiele mu trzeba! Saulius puściłby mimo uszu i tę łachudrę, i wszystko inne, ale zaczyna mu drętwieć tył głowy – bardziej niż alkohol działa tu siła zwrotna zmęczenia: poluzowuje więzadła nóg i rąk, odłącza stawy, zaraz wypełni fosgenem mózg, aż przepalą się bezpieczniki. Tak, Saulius jest tak zmęczony, tak skonany, że nie byłby w stanie nawet wytłumaczyć ojcu, że w Anglii kradną wszyscy, którzy pojechali tam do pracy. I on „kradł”. Ale to przecież nie jest prawdziwa kradzież. Jego sumienie jest czyste. Bo ten kraj wszystkiego ma za dużo, sam nadmiar i zbytek. Na Litwie nikt sobie nawet nie wyobraża, jakie dobre rzeczy Anglicy potrafią wyrzucić. Pluszowe kanapy, najlepsze komputery, kuchenki mikrofalowe po prostu walają się po ulicach... Ale przecież wie, dokąd wrócił – na prowincję, do domu z kokonami ogórków nasiennych na parapetach, z unoszącym się zapachem wędzonej słoniny. Tu znowu stajesz się nikim, jak gdybyś nigdy nie wyjeżdżał. Tu z jakiegoś powodu ugina ci się kręgosłup, miękną kości. A takiego „domowego” bez trudu pokonywały go rozmaite typy z Poniewieża i Kowna, Anglicy i nawet Hindusi brali go za Rosjanina i poniżali, a Żyd adwokat dziobał go w czaszkę garbatym nosem – sprytnie wyciągając stowę za stową. Tak, on tam cierpiał za nich wszystkich, kiedy oni tu sobie w spokoju kisili ogóreczki...

Nagle Saulius wydaje z siebie głuchy ryk – bezpieczniki przepaliły się dokumentnie – kopie stół, który napatoczył mu się po drodze, i w tych swoich pancernych buciorach przemierza zbyt małe już dla niego pokoiki. Pod podeszwami pęka warstewka lodu.

Wszystko zaczyna go tu drażnić. I ten zapach wędzonej słoniny, przypominający przenieszoną onucę, i wyblakłe, bure kolory. I wszyscy są tu winni, że tak się dał przerobić. Ojciec

nawijał bez sensu (*nie kradnij* itd.), ale nie nauczył go najważniejszego: bić się o swoje do upadłego i na odległość wyczuwać oszustwo. Jego bracia nigdy nie traktowali go poważnie, bo nie skończył szkoły, drwili z niego (ktoś nas wszystkich nie traktuje poważnie i wcześniej czy później zacznie drwić...). Najstarszy, pisarz, przez jakiś czas interesował się nim jako *tabula rasa*, ciągał po bagnach i urwiskach, ale na darmo: Sauliusa nie pociągały ani natura (wawrzynki i tym podobne), ani książki, ani Tarkowski. Wreszcie brat machnął ręką na nie swoje geny, ale podcięty, już sam tracąc orientację, czasem go pytał: *Czy ty, pustaku, naprawdę nie masz żadnych wyższych aspiracji? Celu? Idei?*

Jednak Saulius nie jest już *tabula rasa* – życie go zahartowało – a teraz stoi właśnie przed tym, co zostało z aspiracji jego brata. Ściska leżące w gnieździe pergaminowe jajeczko sójki, palce zapadają się w miniaturową, wyżłobioną przez lata pustkę i na chwilę jakaś jego nie-zahartowana część zastyga ni to ze strachu, ni to z litości. Ale Saulius już niczego się nie boi, a na litość już się nigdy więcej nie da nabrać. Jak komornik sądowy wyceni teraz majątek brata... Cokolwiek warta jest tylko lornetka Olympus, o przyzwoitym powiększeniu, z Niemiec. Wszystko inne to, sorry – *niedrogi sprzęt z drugiej ręki*. Obdrapany weltmeister, na którym brat grał, z wystającym jabłkiem Adama i drżącym – jak u każdego wrażliwego alkoholika – głosem, telewizor za wersalką, który został mu po rozwodzie, latarka bez środka i druga – w kształcie cygara – mieszcząca się w dłoni. Jakieś książki, które nie dodały mu rozumu... Saulius przerzuca bieliznę popakowaną w reklamówki – gdzieś tam powinien być zawinięty w ścierkę „waflową” rewolwer kaliber 9, którym brat się tak szczylił i którym doprowadzał do hysterii żonę i pasierbicę. Teraz w jego pojedynku z samym sobą uczestniczą już sekundanci ze szpitala... Jednak Saulius składać broni nie zamierza. Zidentyfikował już ich – jego i brata – wspólnego wroga. To czas, który tutaj płynie tak wolno, za wolno, i wpędza w schizofrenię, bo tkwi w nim wczepiona bliska i daleka przeszłość, hordy krewnych na zdjęciach ślubnych i pogrzebowych, kości zaginionego brata. Chrystus ukrzyżowany w słoiku po majonezie, ojciec i matka, której nie można opuścić w godzinie śmierci... Gęsty i bagnisty, pełen powinności i zależności, ciągnie go do tyłu, a Saulius chciałby do przodu. Chciałby żyć czasem, którym żyje świat, wolnym od czegokolwiek, cynicznym i pozbawionym sentymentów, który nie rozczula się nad tymi, co nie mogą znaleźć sobie miejsca, i nie oczekuje, że za krzywdy po tej stronie spotka cię nagroda po tamtej – wszystko do ostatniego okruszka bierze dzisiaj. Czas, który nie ma czasu.

Zdaje się, że czas zaczyna właśnie zabawę w kotka i myszkę. Saulius nagle odwraca się do ojca:

– A jak wy tu sobie życie? Nie boicie się? Teraz polują na samotnych staruszków...

W Anglii gazety pisały: na litewskiej prowincji grasują rozmaici – *criminals, murderers...*

Czy się nie boją?! Jezu, ojciec, który cały wieczór chyba instynktownie czekał na to pytanie, biegiem rusza do sieni po odpowiedź – gumową pałkę z ołowianą końcówką. A te dwa wielkie haczyki? A młotek pod łóżkiem. Jeszcze potrafiłby bandycie rozwalić czaszkę. Z przejęcia zaczyna go zatykać, trudno mu mówić. Ale uśmiech Sauliusa w półmroku przedśionka jest lekki jak jajko sójki. Ścina z nóg. Bo uśmiecha się nie jego dziecko, tylko ten Białorusin. Jak to się stało – ojcu prawie zapiera dech – cztery lata temu żegnali Sauliusa Milušauskasa, a wrócił Mirosław Pieczul...

Trzeba teraz poważnie wyjaśnić dzieciom, kto się będzie opiekował matką, bo od tego, zdaje się, dużo będzie zależeć. On sam... On, ojciec, będzie się nią opiekował. Mogą się o to nie martwić. Jeśli trzeba będzie czekać i pięć lat, aż powstanie z żywych zmarłych – będzie czekał. Na nowo nauczy ją chodzić i mówić, będzie karmił łyżeczką. Może nawet uda im się pokuszyć po chleb i gazetę na drugą stronę ulicy. A jeśli będzie gnić za życia, to też nie tragedia: będzie ją mył, przewracał. Zmieniał pieluchy...

...Mówi się, że przed dużym nieszczęściem zawsze przychodzą małe – jak przypieczona skórka od chleba odskakuje skóra przytkniętej do piekarnika ręki, kaleczysz się w palec. Ojcu nagle ni z tego, ni z owego wypada szkło z okularów. I gdy na dworze Tuzik przewraca miskę i zaczyna wyć, ojciec moczy się na środku pokoju...

I tak czasem człowiek w jeden wieczór przeżywa cały pozostawiony mu czas. Siwieje. Zużywa do końca serce. Wtedy niepotrzebna jest już diagnoza: kardiomiopatia, przerost prostaty i nietrzymanie moczu, jaskra, przepuchlina, demencja. I tak wszystko jest jasne: żeby pozostać – nie ma żadnej okoliczności łagodzącej. Ojciec zostaje przebrany w suche spodnie i posadzony w pokoju. Siedzi zawstydzony, ściskając trzęsące się kolana, z rozchylonymi ustami i rozbieranym wzrokiem. Na górze na poddaszu, jak co wieczór, swoje harce zaczyna kuna, ale ojciec już nie żartuje, że to *jego kołnierz* tam biega. Z trudem przełyka ślinę.

Wygląda na to, że tak właśnie – całkiem zwyczajnie – zbliża się godzina, która i tak by nadeszła... Saulius bierze siostrę za łokieć i wyprowadza do drugiego pokoju. W ciemności, stojąc naprzeciwko siebie, są sobie bardziej obcy niż kiedykolwiek wcześniej. Najbardziej niezawodne przestępcze umowy zawiera się właśnie tak – w półmroku, potajemnie, nienawidząc się nawzajem.

– To co robimy? – pyta brat.

– A co, twoim zdaniem, powinniśmy robić?

– To, co robią wszyscy, jak przychodzi czas... Nie czujesz? – jego oddech przypiera ją do ściany. – Jego już czuć trupem. Zaraz nie będzie sobie przypominał, kim jest i kim my dla niego jesteśmy. Musimy się nim zająć. Sprawić mu przynajmniej jakieś porządne ubranie. Białą koszulę i czarny garnitur...

– Z kieszeniami i wieszakiem czy bez? – siostra palnęłaby go w ciemności w ten mały czarny łeb.

Ale nie palnie...

Zapłakana – z bezsilności – przynosi koc i przykrywa ojcu plecy. Wypłucze jeszcze jego spodnie i umyje mu nogi. Więcej, niestety, nie może mu obiecać... Saulius wkłada szkło do okularów i uspokajająco klepie ojca po ręce – trzęsącej się, nakrapianej jak przepiórcze jajko; ojciec może się nie martwić; jego dzieci nie są potworami – nie dadzą mu zginąć. Cierpliwie uczy go, jak jeść kiwi. łyżeczką. Od teraz będzie jadł nie tylko kiwi, ale i karambole, persymony, kumkwaty. Rambutany... Jednak ojciec, z kraciastym kocem na plecach i kiwi w ręcę, wygląda już całkiem jak niespełna rozumu.

Bo są teraz na szczycie Narayamy. Dotarli tu szybko i bez trudu. Czas stoi w miejscu, wirują nieważkie płatki śniegu. Przerzedzone powietrze, prawie pozbawione tlenu, ściąga pory, ale oddycha się zaskakująco lekko. Ciężko było tylko tam, gdzie minął już przeznaczony ci czas,

a twojego haustu powietrza koniecznie potrzeba komuś innemu. Zresztą, gdy zbliża się koniec, powietrza trzeba coraz mniej, a niedługo wcale nie będzie potrzeba – gdy sam będziesz ze śniegiem opadać na głowy swoich dzieci, na poznaczone twoimi własnymi śladami ścieżki. Póki krew w mózgu nie wykonała jeszcze całej czarnej roboty, nie odebrała mu rąk, nóg, pamięci – odbierze przed świtem – próbuje sobie przypomnieć, czego nie zdążył zrobić. Przed operacją nie obronił swojej staruszki, gdy przy nim pielęgniarka dała jej klapsa w posiniąte pośladki za to, że w nocy podarła pieluchę na małe kawałeczki. Wtedy nie odważył się nawet zwrócić pielęgniarkę uwagi, a teraz rzuciłby się jak pies obronny, ale jest za późno. Wszystko trzeba robić o czasie. Widzi jeszcze swojego ojca na zdjęciu w kolorze zrudziałego mchu: jest młody, pcha rower. Rower ma lampę, na kierownicy wisi przerzucona marynarka. Nie wie jeszcze, że tą wyżłobioną kołami wiejską drogą jedzie po raz ostatni – trzy miesiące później jako „sympatyzującego z komunistami liberała” zastrzelą go Niemcy. Wcześniej, tłukąc go kolbami, każą mu wymierzyć głębokość i wykopać sobie grób. Siwy, bezzębny syn, gdyby mógł cofnąć czas, poradziłby teraz ojcu: dziecko, jak cię proszą do gminy, to nie idź tam, tylko uciekaj w krzaki i do lasu. Ale ten popełnił już wszystkie przeznaczone mu błędy i teraz, pośród szumu ognistego wiatru i porażającego białego światła, które kruszy skały, krąży po swojej spirali, i teraz żadna pomoc z zewnątrz nie jest mu już potrzebna. A zresztą jego syn sam już jest staruszką – czy jemu uda się umrzeć tak, jak chciał? Gdy nikt nie będzie widział. Twarzą do ściany... Nie, jego staruszka nie ma już po co wracać, nic już tu nie zastanie. Kruki zaraz wydziobią mu mózg...

Nagle w szpitalu staruszka otwiera oczy. To jeszcze nie do końca ona. Język jest jeszcze jakby za duży, nie mieści się w ustach, a w piersi sterta kamieni. W ciemności dotyka swoich włosów, są całe mokre od potu, nie przypominają wilgotnych pakuł, jakich się spodziewała. Znaczą się, była daleko – długo błędziła. Żeby wrócić. Chociaż tam, gdzie była, nie strzelało jej w kręgosłupie, a wymęczone przez chorobę kości wypełnił spokój. Zresztą tam, w tym świetle, które nie ma początku ani końca, niepotrzebne są kości ani kręgosłup. Ani płuca. Ani gardło. I nie ma grafików z rozpiską:

*wtorek – naszykować pojemnik na mleko,
środa – „Fosamax”,
czwartek – na przeczyszczenie,
piątek – coś na nerwy,
codziennie wieczorem o osiemnastej „Cardace” (od serca)
przed snem pół tabletki od depresji,
sobota – wolne.*

171

Tam wszystkie dni są wolne. I nie ma depresji. A tu w ciemności, wpijając się w bandaż, krzepnie krew – ale hałas... Jednak największy hałas robi jej serce. Staruszka aż jest na nie zła – że jeszcze jej nie słucha, jeszcze do niej nie należy, już spieszy przez mrok, potykając się, spóźnione – do domu...

Danutė Kalinauskaitė

Z języka litewskiego tłumaczyła Joanna Tabor

Przewrócić piramidę

UNDINĖ RADZEVIČIŪTĖ

ur. 1967, ukończyła historię, teorię i krytykę sztuki w Akademii Sztuk Pięknych w Wilnie. Przez dziesięć lat pracowała w międzynarodowych agencjach reklamowych. Jest członkinią Związku Pisarzy Litwy. Jej utwory były tłumaczone na języki: angielski, estoński, włoski i rosyjski. Wszystkie jej powieści („Strekaza” 2003, „Frankburgas” 2010, „Žuvys ir drakonai” [Ryby i smoki] 2013, „180” 2015 oraz krótkie historie „Baden Baden no nebus” [Baden Baden nie będzie] znalazły się na liście dwunastu najbardziej twórczych książek roku, a za powieść „Ryby i smoki” w 2015 roku otrzymała Nagrodę Unii Europejskiej. Niniejsze opowiadanie „Apvertsi piramidę” [Przewrócić piramidę] pochodzi ze zbioru „Troleibuso istorijos: geriausių šiuolaikinių apsakymų rinktinė” [Historie z troleibusu: zbiór najlepszych współczesnych opowiadań], Vilnius: Kitos knygos, 2014.

Turniej trwał trzy tygodnie.

Gdy było ośmiu zawodników, grali do pięciu wygranych. Gdy pozostało czterech zawodników – do siedmiu, a gdy pozostało dwóch – zwycięzcą miał być ogłoszony ten, który jako pierwszy wygra dziewięć razy.

Jeszcze zanim było ośmiu graczy, widzowie turnieju zauważyli nieznaną twarz.

Miał około dwudziestu lat i jego górne zęby wyglądały, jakby były o jeden centymetr przesunięte w prawo. Po raz pierwszy widzowie zwrócili uwagę na te zęby, gdy uśmiechnął się po wygranej z Liu-Lee. Przed spotkaniem z Ming-Yangiem wszyscy już znali jego imię, a gdy po dziesiątej rundzie pokonał Ming-Yanga, wszyscy już zdążyli w nim się zakochać.

Kochali go, nie wiadomo za co.

Lee-Zi nie był piękny: średniego wzrostu, nieco ciemniejszy od większości uczestników turnieju, zawsze ze swoim przekrzywionym uśmiechem.

Gdy mówił, używał zaledwie od trzech do pięciu słów. Odpowiadając na pytania.

W finale czekał na niego Kong-Wang.

Nikt nie lubił spotkań z Kong-Wangiem.

Stary mistrz grał, jakby przysypiał, podczas gry bardzo

głośno sapał: wyglądało to, jakby cierpiał na ciężką chorobę płuc.

Głęboko oddychając, ciągle się drapał.

We wszystkie siedem części.

Drapał się, jadł orzechy i pluł.

To były nie wszystkie rodzaje broni Wanga.

Prócz tego, że sapał, drapał się, jadł i pluł, jeszcze roztaczał zapach. Nie można powiedzieć, że był to śmierdzący odór. Lecz przyjemny był zaledwie przez kilka sekund.

Zapach Wanga był dziwną kompozycją lakieru i przypraw, wdychanie tego przez siedem godzin turnieju było nie do zniesienia.

Stary mistrz wiedział, co robi.

Spotkał się więc z Lee-Zi, przedtem nigdy nie przegrał walki.

Lee-Zi przegrał po raz pierwszy.

Zadowolony Wang jadł orzeszki i drapał wszystkie siedem części.

Gdy Zi przegrał drugą rundę, Wang poprosił o orzeszki.

Gdy Zi przegrał trzecią rundę, Wang zaczął nucić piosenki i nikt nie mógł go powstrzymać.

Gdy Zi przegrał czwartą rundę, Wang zaczął mówić wierszem i sypać mądrością przodków.

Gdy Zi przegrał piątą rundę, Wang poprosił o orzeszki.

Szóstą rundę wygrał Zi i Wang poprosił o orzeszki.

Siódmą rundę wygrał Zi i Wang poprosił o przerwę.

Po przerwie Zi wygrał siedem razy z rzędu. Wang siedem z rzędu przegrał.

Widzowie gadali, że zaszkodziły mu spleśniałe orzeszki.

Potem Zi wygrał jeszcze sześć turniejów z rzędu i ani razu nie wykorzystał żadnych nieprawdopodobnych cudów.

W tym świecie zwyczajem było rozpoczynać grę sumiennie, a kończyć jakimś potajemnym podstępem.

Nie o wszystkich zwycięzcach krążą legendy.

O Zi krążyły.

Ludzie gadali, że w wieku siedmiu lat Zi ograł trzech przyjaciół ojca. Potem przez kolejnych piętnaście lat ćwiczył po osiem godzin dziennie z najlepszymi zawodnikami prowincji. Aby legenda wyglądała na prawdziwą, brakowało tylko faktu, że znaleziono go w płynącym rzeką koszu, a obok niego leżała plansza do gry.

Gdy Zi stał się legendą, wszystkie dzieci z przekrzywionymi zębami zaczęło uważać za utalentowane i przynoszące szczęście. Nieważne, w którą stronę zęby były wykrzywione, nieważne, górne czy dolne. Kobiety mające takie dzieci bardzo ich pilnowały.

Żeby nikt ich nie porwał.

W tym czasie, gdy kobiety pilnowały swoich dzieci z wykrzywionymi zębami, Zi wygrał trzy światowe turnieje.

Założył własną szkołę gry, a jego imieniem nawet nazwano dwie wioski.

Potem wygrał następne trzy mistrzostwa świata, a jego imieniem nazwano nieduże miasteczko.

W swojej szkole wielki Zi po prostu stał się nauczycielem.

Jak każdy nauczyciel nie uniknął błędów: miał swoich ulubionych uczniów.

Zi miał dwóch ulubionych uczniów, chociaż starał się im tego nie okazywać. Wiedział, że prawdziwy nauczyciel powinien pozostać nieprzenikniony.

Pierwszy jego uczeń – Teo-Li – potrafił bardzo szybko zmienić pozycję przeciwnika, drugi – Wu-Li – w decydującym momencie znajdował najlepszy wariant, aczkolwiek jego melancholijny sposób gry często drażnił nauczyciela.

Powoli ulubieńcy Zi na krajowych turniejach zaczęli rywalizować o drugie i trzecie miejsce.

Po pięciu latach sytuacja się nie zmieniła, dlatego inni gracze w kraju całkowicie stracili chęć do gry.

W stolicy nawet zamknięto kilka szkół gry.

Zi, Teo-Li i Wu-Li zaczęli organizować turnieje wyłącznie między sobą.

Gdy Zi szykował się do światowego turnieju, Teo-Li i Wu-Li mu pomagali.

Pewnego razu rozeszła się wieść, że w sąsiednim kraju, z którym w owym czasie konflikty dyplomatyczne wyjątkowo się zaostrzyły, jest młody mistrz Yama Mukesha, który w światowym turnieju mógłby pokonać Zi bez konieczności rozgrywania jedenastu partii.

Te pogłoski mogły być prawdziwe.

Legenda głosiła, że Zi we własnej osobie wyruszył w drogę, aby zobaczyć, jak gra Yama Mukesha. W przebraniu służącego roznosił napoje i orzeszki podczas spotkania Yamy Mukeshy z leciwym mistrzem z sąsiedniego kraju.

Nikt nie rozpoznał Zi tylko dlatego, że ten ani razu się nie uśmiechnął.

Yama Mukesha wygrał dziewięć partii z dziesięciu.

Przeciwnik Yamy Mukeshy nie należał do słabych. Rok temu Zi niemalże z nim zremisował, i tylko przypadek pozwolił mu zachować tytuł mistrza.

Zi rozpoczął przygotowania do nowych mistrzostw świata.

Yama Mukesha wyglądał na bardzo młodego, więc Zi nie mógł sobie nawet wyobrazić, że się go boi. Treningi z Teo-Li i Wu-Li niewiele dawały, nawet wtedy, gdy odwiedzili go ludzie z pałacu i oznajmili, że to zwycięstwo ma wagę państwową.

Może nawet jest najważniejsze.

Zbliżał się turniej, a Zi włączył się po mieście, obserwując, jak ludzie wynoszą na świeże powietrze swoje ptaszki w klatkach. On również chciałby mieć ptaki, ale zawsze miał w głowie, że ptaki będą mu przeszkadzać w grze.

O kobietach myślał tak samo.

Gdyby nie pewne dziwne zdarzenie, żywa legenda polegałaby jeszcze tamtej jesieni. Pewnego wieczoru potrafiła go riksza, gdy wałęsał się po mieście. Turniej trzeba było przesunąć o pół roku. Cały miesiąc Zi przeleżał sam w domu. Gdy po trzydziestu dniach spotkał się z Teo-Li i Wu-Li, był w pełni przygotowany. Teo-Li i Wu-Li zrozumieli: Zi wrócił.

Młody cudowny Yama Mukesha na swojej ziemi miał spotkać się ze starym mistrzem. Chociaż Zi miał dopiero czterdzieści pięć lat. Po raz pierwszy w chlubnej historii Zi widzowie podzielili się i kibicowali nie tylko jemu. Świat podzielił się na tych, co chcieli uchronić legendę, i tych, co chcieli przewrócić piramidę. Ci, co chcieli przewrócić piramidę, wyglądali na bardziej aktywnych. O tym, jak bardzo tego pragną, wykrzykiwali nawet na ulicach. Yamę Mukeshę bardzo interesowały kobiety, tylko one o tym nie krzyczały na ulicach. One przysyłały Yamie Mukeshy drogie prezenty. Takie chodziły pogłoski. Turniej miał odbyć się w pałacu Jaipur i trwać dopóty, dopóki jeden z nich – Yama Mukesha lub Zi – nie wygra pięciu partii.

Każda partia miała być rozegrana w osobnych salach. Pierwsza – w Sali Kości Słoniowej, druga – w Nefrytovej, trzecia – w Turkusowej, czwarta – w Koralewej, piąta – w Agatowej, szósta – w Sali Tygrysięgo Oka, siódma – w Sali Sokolego Oka, ósma – w Srebrnej, dziewiąta – w Złotej. W pałacu było jeszcze siedem sal (pałac ten nie należał do największych, aczkolwiek gospodarz uchodził za jednego z najbogatszych ludzi w kraju, i miał pozwolenie na przeprowadzanie walk słoni z tygrysami). Mistrzowi, który wybudował Jaipur, już za życia było wymurowane mauzoleum: zleceniodawcy cudów pozwalali wykonawcom cudów stworzyć tylko jedno lub dwa.

Jeszcze zanim rozpoczął się turniej, uczynny sługa pałacowy pokazał Zi sale. Zi lubił pomieszczenia z wysokimi sufitami, ale jeszcze nie wiedział, czy lubił grać w skarbcach. Gdy Yama Mukesha wszedł do Sali Kości Słoniowej, Zi zrozumiał te kobiety. Od niepamiętnych czasów ludzie z kraju Zi dziedziczyli wiedzę, że mieszkańcy innych krajów to potwory i monstra. Patrząc na Yamę Mukeshę, Zi zwątpił w całą swoją wiedzę. Yama Mukesha uklonił się.

Sala Kości Słoniowej bardzo pasowała do poranku. Zi bardziej lubił wieczór. W Sali Kości Słoniowej wygrał Yama Mukesha. Przed południem przenieśli się do Sali Nefrytovej. Jej ściany dawały ochłodę. Zi zobaczył stojącą tam chińską figurkę Buddy i poczuł, że zwycięży.

Wygrał z trudem.

Piękno Yamy Mukeshy rozpraszało uwagę.

Po obiedzie – Zi zjadł tylko trochę owoców – i po przerwie herbacianej przenieśli się do Sali Turkusowej.

Sala Turkusowa bardziej nadaje się na wieczór, pomyślał Zi.

W dzień kolor turkusowy go rozpraszał.

Również oczy Yamy Mukeshy.

Podczas budowy tej sali budowniczowie prawdopodobnie dodali do zaprawy piżma. Unoszący się od upału słodkawy zapach przyćmiewał umysł.

Wieczorem przenieśli się do Sali Koralowej i wydawało się, że czerwony zmrok dobrze Zi służył.

Cienie od blasku świec padały na oczy Yamy Mukeshy.

Po wieczornej herbacie przenieśli się do Sali Agatowej i Zi zwyciężył szybko, jak nigdy dotąd.

Pierwszy dzień zakończył się wynikiem 2:3 dla Zi.

Wieczorem razem z Teo Li i Wu-Li przypomniał swoje błędy.

Wieczorem, pijąc czarną *Keemun*, Zi zrozumiał, że Yama Mukesha gra tak samo jak on: tak samo ryzykuje, tak samo poddaje się intuicji, tak samo oblicza.

Nawet błędy Yamy Mukeshy wydawały się takie same.

Można powiedzieć, że Zi grał sam ze sobą i jego tymczasowa przewaga była czystym przypadkiem. Myślenie o przypadkowości spędzało sen z powiek Zi, jednak postanowił nie zażywać ziółek nasennych.

Ranek był trudny: Zi przegrał zarówno w Sali Tygrysięgo, jak i Sokolego Oka.

Yama Mukesha już cztery razy z rzędu wygrywał z Zi.

Jeszcze jedna wygrana Yamy Mukeshy mogła odebrać Zi tytuł mistrza.

Po obiedzie do Zi podeszli mili ludzie z pałacu i przypomnieli mu jeszcze raz, jakiego wyniku gry oczekują.

Po obiedzie ogłoszono przerwę, i Zi położył się w odosobnionej sali, aby ponownie pomyśleć o sensie gry, lecz przyszedł Wu-Li, przyniósł *Keemun* i zapytał, czy nie potrzebuje jeszcze czegoś.

Nie, odpowiedział Zi.

Wu melancholijnie wyszedł, lecz przyniesiona przez niego herbata pozostała.

Leżąc na poduszeczkach koloru curry i kasztanu, Zi rozmyślał. Jakby to nie on grał, tylko obserwował grę: jeśli Yama Mukesha gra tak samo jak Zi, to Zi powinien zmienić strategię, nie grając jak Zi... Gdyby Zi grał... tak powoli i melancholijnie jak Wu! To by zaskoczyło, ba, nawet rozdrażniło Yamę Mukeshę.

To by zdenerwowało Yamę Mukeshę! – pomyślał Zi.

Gdy Zi pokonał Yamę Mukeshę w Srebrnej Sali i ze Srebrnej przenieśli się do Złotej, Zi poczuł, że zwycięży.

Po wszystkim ludzie długo jeszcze rozmawiali o melancholijnym finale Zi.
Ludzie z pałacu byli bardzo zadowoleni.
Po turnieju Zi więcej czasu zaczął poświęcać Wu.
Teo próbował przywrócić miłość Zi, lecz Zi interesował się tylko Wu.
Pewnego razu w obecności obu uczniów powiedział:
– Wu, ty będziesz nowym zwycięzcą.
Historia pokazuje, że te słowa stały się prorocze. Gdy zostały wypowiedziane, zachwiała się piramida.
Po tym zdarzeniu Teo nie pojawiał się przez siedem dni.
Zi tego nie zauważył. Jego uwaga była zwrócona wyłącznie na Wu.
U większości graczy starość przychodzi niespodziewanie, nie są na to przygotowani.
Dla wszystkich w różnym czasie.
U jednych – tuż przed czterdziestką, u drugich – grubo po sześćdziesiątce.
Zi po raz pierwszy został zwycięzcą w wieku dwudziestu lat i z każdym zwycięstwem czuł, że ma coraz mniej sił, aby je powtórzyć.
Po turnieju z Yamą Mukeshą miał wrażenie, że wygrał wszystko, co było do wygrania.
Lecz gra się jeszcze nie skończyła.
Rok później Yama Mukesha poprosił o rewanż.
Zi odmówił i zaproponował mu spotkanie z Wu. Yama Mukesha obraził się i odmówił.
Rok później Wu wywołał Yamę Mukeshę na pojedynek i wygrał z wynikiem 5:4.
Teraz również w kraju Zi było więcej ludzi pragnących przewrócić piramidę. To tylko potwierdziło zasadę, że od publiczności próżno oczekiwać miłości wiecznej.
W stolicy coraz częściej się mówiło o tym, że należy zorganizować turniej między Zi i Wu.
Żeby to był pojedynek wieku.
Zi się ociągał. Wu zgodził się od razu.
Zi przygotowywał się do turnieju, spacerując po mieście i obserwując ptaki w klatkach wystawione na świeże powietrze. Ptaki wrzeszczały, okazując niezadowolenie i brak zaufania.
W jego oczach kończyła się wiosna, lato i zima.
Minął rok, turniej odbył się.
Po ciężkiej, melancholijnie zawilej walce, która wymęczyła wszystkich widzów, zwyciężył Wu.
Wszyscy doznali rozczarowania. Nawet ci, którzy pragnęli przewrócić piramidę.
Publiczność docenia tylko piękne zwycięstwa, nawet jeśli czasem nie są całkiem zasłużone.
Rok później Zi zapragnął przywrócić swoje dobre imię, wywołał Wu na pojedynek, lecz Wu odmówił.
Odmówił również dwa lata później.
Zi na zawsze pożegnał się z grą i wyjechał z miasta, chociaż nie skończył jeszcze pięćdziesiątki.
Wu nigdy potem nie wygrał żadnego większego turnieju. Należał do tych graczy, którzy nie potrafią grać bez nauczyciela.
Po jakimś czasie jego zwycięstwo wyblakło i Wu zapisał się w pamięci jako człowiek, który obalił legendę.
Pięć lat później na turnieju w kraju Yamy Mukeshy zwycięzcą został Teo-Li.

Wszyscy, którzy widzieli to spotkanie, mówili, że grał równie dobrze jak legendarny Lee-Zi w swoim najlepszym okresie.

Jednakże gra się nie skończyła.

I nigdy nie będzie ostatecznego zwycięstwa i absolutnego zwycięzcy.

Undinė Radzevičiūtė

Z języka litewskiego tłumaczyła Alina Kuzborska

VANDA JUKNAITĖ

ur. 1949, pisarka, eseistka, dramatopisarka; debiutowała w 1983 roku; za powieść „Šermenys” (1990, 2000, 2001) otrzymała prestiżowe nagrody literackie, a w 2008 roku litewską nagrodę państwową za całokształt twórczości.

Drzewa pragnień muszą mieć korzenie

Za dużo przeżyć, by je przełożyć na trzeźwe, jednoznaczne słowa. Chcę przekazać tylko kilka emocji, które uwięzły w krtani i wyciskają z oczu łzy. Po ich niezrozumiałej obfitości w nieodpowiednim miejscu i nieodpowiedniej chwili poznaję, że to łzy miłości. I to ją – niepojętą i upragnioną – otrzymaliśmy w darze wraz z życiem.

Dwudziestego czwartego kwietnia o drugiej w nocy zostawiłam syna w klinice Uniwersytetu Kolońskiego. Zaskoczyła nas ogromna oranżeria wewnątrz szpitala. Już następnego dnia Gytis dostał leki, niektóre były potrzebne do przeprowadzenia badań. Jeden, pachnący ananasami, który nie smakował Gytisowi, wypiałam, bo myślałam, że to sok. Profesor spojrzał na nos syna z siedmioma ogniskami zakażenia i machnął ręką – *das machen wir wagen* (czekaj) – ale to choro-ba autoimmunologiczna. Po Czarnobylu w Niem-czech też mamy takie przypadki i nie wiemy, co z nimi zrobić. Taka była wstępna, ponura diagnoza.

W Klinice Hematologii i Onkologii Uniwersytetu Kolońskiego zobaczyliśmy ogolone dzieci z Rosji, Mo-skwy, Zaporozża. W naszej sali umierała ośmioletnia

Nadia. W tym czystym, obcym kraju naszą jedyną znajomą była śmierć, wierna towarzysza człowieka. Dla niej i dla nas nie miały znaczenia lady uginające się pod ciężarem produktów, automatyczne drzwi, ruchome schody i światło, które zapalało się samo, kiedy człowiek wychodził na korytarz. W obliczu śmierci były dla nas niewartymi uwagi zabawkami.

W piątek wieczorem dowiedziałam się, że na weekend muszę zabrać syna do domu. Nie miałam dokąd.

– Jedna noc w szpitalu kosztuje od 400 do 500 marek. Ma pani tyle? – zapytała lekarka i rozmowa się zakończyła.

Regina, u której mieszkalam, powitała nas z nieodmiennie miłym uśmiechem. Ale przecież jest tylko jedno łóżko, powiedziała. Gospodarze uśmiechali się, wytrzeszczając oczy ze zdziwienia. Możemy przenocować w jednym łóżku, odpowiedziałam i już tego samego wieczora połowa ich znajomych wiedziała, że jesteśmy ludźmi, dla których spanie we wspólnym łóżku nie jest żadnym problemem. Na początku mówiłam po niemiecku z dużą trudnością, rozumiałam, niestety, niemal wszystko. Tamtego wieczora zaproponowałam swoim gospodarzom, że wymyję okna. Wypucowałam do połysku, byli zadowoleni z wykonanej pracy, lecz to tylko pogorszyło sytuację. Byłam teraz kobietą, która myje okna i chodzi w jednym swetrze – sami codziennie zakładali inne ubranie. Przez cały czas byli jednak wobec nas bardzo uprzejmi i serdeczni. Tylko córki, które przychodziły w niedziele, patrzyły na nas bez profesjonalnej uprzejmości, jak na parę płażów. Zapytałam, dlaczego nas przyjęli. Chcemy pojechać do Wilna ze szkolną wycieczką – odpowiedzieli. Ale dlaczego ze szkołą? Tak jest taniej. Moi gospodarze mieszkali w apartamentowcu z klimatyzacją i basenem. Co wieczór chodzili do restauracji. Pierwszego dnia zaprosili nas na kolację, myślałam, że do domu przyjaciół. Okazało się, że do greckiej restauracji – urządzonej jak dom. Niemcy lubią greckie, włoskie i chińskie restauracje, niemieckie są kilka razy droższe. Restauracja należała do dwóch greckich rodzin. Salę przez cały dzień obsługiwała Maria. Krzątała się z uśmiechem przy śniadaniach, obiadach i kolacjach. Mężczyźni przychodzili po pracy i siadali do instrumentów. Przyjaciół restauratorów, Grek, próbował chodzić między ustawionymi w rzędki butelkami. Szesnastoletnia córka Marii objęła wpół dwie koleżanki, a Maria, wracając z tacą, zrzuciła sandały tuż przy naszym stoliku i dołączyła do dziewcząt. Przed oczyma śmigały mi małe stopy w czarnych rajstopach tańczące sirtaki. Wtedy zobaczyłam, jak ze szczytu osuwa się, powalając drzewa, wielka, górską kolejka Greka Zorby i zaczęłam lkać. Pani Renata objęła mnie i wyraźnie poruszona powiedziała z uczuciem – lzy wzbogacają życie. Tak oto siedzieliśmy z Gytisem – bogacze cali we łzach – ja w pożyczonym swetrze, on w pożyczonych spodniach, samotni wobec tego, co nas czeka, wobec nieznanego, wobec całego świata.

Kiedy wychodziliśmy z restauracji, dogoniła nas Maria. Vando, nie pożegnałaś się. Przepraszam, powiedziałam, ujęłam jej rękę. Jesteś cudowną kobietą. Drgnęła zaskoczona, ucałowała mnie, pogłaskała Gytisa po głowie – zdrowiej szybko. Po kilku dniach przekazała do domu gospodarzy trzy reklamówki z prezentami – kurtka, dżinsy, trzy koszule, kamizelka dla Gytisa, torba

pełna motków wełny i duża butelka greckiego wina z Attyki, które przechowywane jest w specjalnych, wielkich amforach – od razu pomyślałam, że to prezent dla „Šiaurės Atėnai”¹. Los nigdy nie jest tak ślepy, jak się nam wydaje.

W poniedziałek w szpitalu umierała Nadia. Leżała z zamkniętymi oczyma. Kiedy rozmawiałam z jej matką, otwierała oczy i przerywała nam:

– Nie ari! Nie ari! Mama, nu czewo ty takaja bestalkowaja (Ciszej! Ciszej! Mamo, dlaczego tyle gadasz).

Tatiana płakała, cicho skomląc, bojąc się pokazać dziecku łzy. *Ludzie są tu inni – lamentowała. Chłopcykowi z naszej sali lekarz powiedział wszystko – jest tylko taka mała szansa i pokazał palcami centymetrowy odcinek. I mojemu dziecku to samo, ale ona nie rozumie języka. Beczę, nie mogę się powstrzymać, podeszła Niemka i spokojnie pyta, może mogę ci jakoś pomóc. Mnie chce pomagać, kiedy jej dziecko też nie zdrowieje. Czy oni wierzą w Boga, czy co, nie mogę zrozumieć, jak można zwać na dziecko taki ciężar.*

To prawda, tam, w tamtym świecie, każdy sam musi nieść ciężar swojego życia, nieważne, ile ma lat. Zrzucanie swoich problemów na innych jest rażące, nie do pomyślenia, niemożliwe i pod tym względem ludzie na Zachodzie są bardziej ludzcy. W tamtym świecie Nadia nie śmiałaby powiedzieć do matki – ciszej, dlaczego tyle gadasz, nawet wtedy, kiedy matka nie potrafi zasłonić sobą przerażającej prawdy.

Ojczyznę przypominały nam chore ptaki. Były tuż obok nas, na szpitalnym dziedzińcu. Siedziały skulone, z opuchniętym podgardlem, i chrapliwie oddychały. Nawet w Leverkusen, w prawdziwym królestwie ptaków, jeden siedział na równiutko skoszonym trawniku i rzeźił, chowając pod skrzydełkiem niezwykle piękną czerwoną główkę. W Leverkusen znów zobaczyłam drzewa z kolorowymi wstążkami na gałęziach. Po raz pierwszy widziałam takie drzewa rok wcześniej na Kaukazie, niedaleko Tbilisi, gdzie Gytis był leczony w centrum sepsy. Tam ludzie nazywali je drzewami pragnień. Tu, w zadbanym miasteczku Leverkusen, młode brzozy upstrzone kolorowymi wstążkami chłopcy stawiali w nocy na podwórzu ukochanej lub pod jej drzwiami. Wieszali też na drzwiach wianki z kwiatów. Wianki były przepiękne, lecz brzożki przypominały mi drzewa rosnące na Kaukazie i były dla mnie ściętymi drzewami pragnień.

Do Leverkusen zabrał nas Willis, Niemiec z Litwy, urodzony w Wisztyńcu. Matka Willisa, po powrocie męża z Syberii, wyjechała z dwójką dzieci do Niemiec. Dwoje dzieci zostawiła na wisztynieckim cmentarzu. Kiedy pokazałam mu gazetę „Kruvinasis sekmdienis”², do której jeszcze nikt nie zaglądał – oglądaliśmy w telewizji bezpośrednią transmisję – w oczach Willisa zobaczyłam łzy i w jednej chwili nasze ciężkie, ubogie życie znów było życiem. Nie śmieciem pętającym się pod nogami ludzi, którym niczego nie brakuje.

1 „Šiaurės Atėnai” [Ateny Północy], litewski tygodnik kulturalny.

2 „Kruvinasis sekmdienis” [Krwawa niedziela] – wydanie specjalne poświęcone wypadkom 13 stycznia 1991 roku.

Tylko raz czuliśmy się z Gytisem zupełnie swobodnie – pewnej niedzieli byliśmy sami w miejskim muzeum sztuki. Zwiedzających było niewielu i spoglądali na nas ze zdziwieniem, ale bez pogardy. Największe wrażenie zrobiło na mnie dawne malarstwo. Było kilka obrazów Cranacha, jeden Dürer, duża kolekcja ołtarzy zbiorowych wykonanych przez malarzy różnych szkół. Patrzyliśmy na pocerniałe, sine z bólu twarze męczenników. Gytis wszystkich rozpoznawał. Opowiadał mi pełne zawiłości historie biblijne, a ja w swym stroskanym sercu rozważałam dziwną hojność losu, który obdarowuje, zabierając.

Po wizerunkach świętych galeria sztuki współczesnej, stworzona przez przedsiębiorczego kolekcjonera, wydawała się dziecięcym wyglupem: jestem człowiekiem, jestem dzieckiem, które się bawi pędzelm i farbami, mogę robić, co mi się podoba, mam prawo. Intrygujące wydały mi się rzeźby Segala, było kilka prac Chagalla, Picassa, Dalego.

Potem Will zawiózł nas do XII-wiecznej katedry w Altenbergu. Zналиśmy już wyniki najważniejszych badań. Nieskończenie zadziwiły samego profesora. Machał długimi rękami, nie wierząc własnym oczom – tylko się jeszcze nie cieszymy, jeszcze się nie cieszymy, o nic nie pytajcie. Zaraz zrobimy wszystkie badania jeszcze raz i jeśli wyniki się powtórzą, wystarczą lekarstwa. Organizm sam wszystko zrobi. Nie od razu, lecz zrobi. W ascetycznej, gotyckiej świątyni, stojącej samotnie pośród zielonych pól, zostałam poruszona do głębi, podobnie jak siedem lat wcześniej w klasztorze św. Nino w Signaghi. Wielkie wrażenie zrobiły na mnie otaczające ołtarz główny witraże z trawami i kwiatami oraz rzeźby przy wejściu do katedry: święty o niedociosanej, prymitywnej postaci z przerzuconym przez plecy zielonym płaszczem i biskup z wyciągniętą na dłoni księgą, wpatrujący się ze smutkiem w oczy każdego przybysza. A potem...

Dziś trudno mi powiedzieć, czy zobaczyłam to, co chciałam zobaczyć, czy może nadszedł czas, bym to zobaczyła. Z twarzy Chrystusa w ascetycznych szarych rzeźbach drogi krzyżowej biło współczucie i litość dla ludzi, którzy mu pomagali. Dla Szymona z Cyreny, który niósł Jego krzyż, i dla Weroniki, która otarła chustą Jego twarz. Nie śniłam, w pociągłej, ostrej twarzy Chrystusa nie było wdzięczności ani błogosławieństwa, jedynie przejmujące współczucie dla człowieka, który wyciąga rękę, by pomóc, który słyszy i widzi cierpienie drugiego. I miłość. Zrobiło mi się słabo. Musiałam spędzić w łóżku pozostałą część dnia.

Po powrocie powiedziałam Reginie, stuprocentowej Niemce, która urodziła się i wychowała w Kolonii, że człowiek nie wie o sobie niczego więcej niż tysiąc lat temu.

Pomyślała chwilę:

– Być może. Lecz nie, Vando, nie masz racji. Dziś wiemy trochę lepiej, jak funkcjonuje serce, wątroba, płuca, cały organizm, nie można tak powiedzieć.

Przed wyjazdem z Niemiec poszliśmy pożegnać las Leverkusen, który pomógł nam przetrwać najtrudniejsze chwile. Gytis pływał w rzece i garściami wpychał do buzi szczawik zajęczy, jakby głodował, jakby nie jadł codziennie bananów, kiwi, pomarańczy, ananasów. Padał kapuśniaczek. Las był pusty – ostoja dla ptaków i naszych skołatanych serc – szemrały młode, zielone liście. I wtedy Gytis zapytał:

– Mamo, dlaczego tak strasznie chcemy już wracać do domu, przecież tam jest bieda, można powiedzieć, wojna, więc dlaczego?

Kiedy przemoczeni wróciliśmy do domu, okazało się, że znów popełniliśmy nietakt. Przyjechał do nas brat Willa – Alfred i czekał już dość długo. Alfred bezbłędnie mówił po litewsku z charakterystycznym suwalskim „y”. Jego twarz była zimna:

– W taką brzydką pogodę.

– To tylko kapuśniaczek – uśmiechnęłam się.

– Jest też zimno.

– Zimno, ale nazwa Litwy... – wtrącił się Gytis – pochodzi od rzeczki Lietava, lieti, czyli padać...

– Tak często u was pada?

– Nieczęsto, lecz nazwa pochodzi od deszczu, nic na to nie poradzimy.

Za każdym razem, kiedy próbowałam dowiedzieć się od Alfreda, co jest ważne dla ludzi w kapitalizmie, powtarzał, jest nam tu bardzo dobrze, wszystko mamy, jesteśmy bardzo szczęśliwi, jemy, co chcemy, nic więcej nam nie potrzeba – to samo mówili inni. Za oknem szumiał deszcz, z zimna błyszczą nam oczy:

– Jesteśmy dzikusami. A dzikus najlepiej czuje się w lesie.

I pan Alfred umilkł. Przestał powtarzać, że dobrze im się żyje. W następną niedzielę zabrał Gytisa na festyn. Kiedy się żegnaliśmy, długo patrzył mi w oczy i ścisnął moją dłoń. Dwie bardzo przyzwoite i bardzo zadbane panie przyglądały nam się z zaciekawieniem. Na dnie jego oczu zobaczyłam straszny żal i tęsknotę, i niewymownie się ucieszyłam, że jednak one tam są. Spotkaliśmy jednak jednego dzikusa, byłego mieszkańca Kupiszek, poczułam siódmym zmysłem, że to człowiek o skomplikowanej biografii. Przechodził przez ulicę, nie zwracając uwagi na światła, w samochodzie nie używał pasów. *Zawsze mam przy sobie 40 marek na mandat, ale nie będę się przypinał.* Miał być moim tłumaczem w ostatnich dniach pobytu, ale nie potrzebowałam już tłumacza. Zaciągnął nas do swojego samochodu, kupił olbrzymi kosz owoców na drogę, potem porwał do parku, w którym żyły na swobodzie sarny, pawie, kozy i dziki. Na miejscu było mnóstwo ludzi, którzy je karmili. Gytis rzucił się do zabawy, gonił kozy, chwycił, głaskał i przytulał.

– Nie głaszcz ich – powstrzymał go nasz nowy znajomy. Te zwierzęta wiedzą, że człowiek daje im jeść. Nic więcej. Nie znają miłości. Nie są oswojone. To dzikie zwierzęta. Boże ty mój i wszyscy święci! – wykrzyknął głosem innego mieszkańca Kupiszek.

– Nie wybiera się pan na Litwę?

Zadałam złe pytanie. Mężczyzna odwrócił się i szybko, ukrywając łzy, wyrecytował z upartą dzikością:

*Tylko zerwę, gdy wrócę do domu,
Kistkę wdzięcznych jagód jarzębiny,
Zamiast czapki ją włożę na głowę
I odejdę, gdzie oczy poniosq³.*

.....
3 Przekład dosłowny, oryginał rymowany.

Dla wysoko rozwiniętej cywilizacji byliśmy dzikusami. Gytis, ja i nawet Will. I bardzo dobrze, że jeszcze nimi jesteśmy. To nasza szansa, żeby dobrze zacząć.

Na razie jednak wszystko wydawało się snem. Rzeczywistość była daleko. Jednorazowe motylki do pobierania krwi, jednorazowe strzykawki, jednorazowe rękawiczki – nie tak jak u nas, te same dla wszystkich pacjentów. Przed czym ochronią? Pod koniec maja znalazłam wśród swoich rzeczy gazetę „Vakarinės naujienos”⁴, którą w ostatniej chwili, już na lotnisku mąż dorzucił do mojego bagażu. Na jednej ze stron opublikowano zdjęcie śpiewających pod wieżą telewizyjną manifestantów. W tym samym czasie na stronie niemieckiego czasopisma mignął mi Landsbergis o zapadniętych oczodołach i posiwiałej brodzie. Boże, jakże się różniły te zmęczone, oddalone o setki kilometrów twarze od tutejszych masek, uprzejmych i wymuskanych. Były to twarze tych, o których Baltrusaitis powiedział, że noszą krzyż tajemniczego cierpienia wypalony na piersi.

Dwa razy widziałam w niemieckiej telewizji kanclerza Helmuta Kohla obrzucanego pomidorami i jajkami. Kohl, wyższy i potężniejszy od swoich ochroniarzy, rwał się do bójki, ciągnąc za sobą mężczyzn z obstawy, którzy trzymali go za poły marynarki. Tydzień później jedna z wyższych uczelni uhonorowała kanclerza tytułem doctora honoris causa – tak z bliska wyglądała demokracja.

Zaskoczyła mnie i przygnębiła depresyjna aura Niemiec Wschodnich z zapuszczonym, berlińskim dworcem kolejowym i robotnikami w brudnych kombinezonach. Jakby wolność dano im niepotrzebnie. I patrząc na czyste, starannie obsiane i doglądane z troską pola w Polsce, współczułam Niemcom. Mamy szczęście. Będziemy powoli poznawać wartość każdej rzeczy. Nie tylko wolności i chleba. Może niedługo dowiemy się, jaką wartość ma praca.

Leczenie Gytisa na prośbę XVI LO w Wilnie zorganizowali społecznicy jednej ze szkół w Kolonii. Bez ich pomocy kosztowne leczenie za granicą pozostałoby utopią. W XVI LO pracują trzy moje były studentki. To, co dałam im jako nauczyciel akademicki, jest ziarnkiem maku wobec tego, co one zrobiły dla mnie.

Kiedy nadszedł czas rozstania z Willem, Gytis zalał się łzami, mimo że był tylko małym chłopcem, a Will siwiejącym, starszym panem. Drugą dobę jechaliśmy przez Europę na wschód. Nie wiem, dlaczego przypominało mi się wtedy ostatnie proroctwo o końcu świata, o tym, że gdy na spalonej ziemi po długiej wędrówce człowiek spotka wreszcie drugiego człowieka, to rzucają się sobie w ramiona i będą płakać ze szczęścia. Człowiek, największy z cudów, jako jedyny przetrwa zagładę. Z bólem pomyślałam, że może niepostrzeżenie przekroczyliśmy już Rubikon przeznaczenia, cicho wkroczyliśmy w czas przyszły. Przypomnijmy sobie Bałtycki łańcuch i 13 Stycznia.

Szanujmy się i kochajmy, odwróćmy się od swoich słabości, a wszystko będzie dobrze – spójrzcie na moje uratowane dzięki Wam dziecko.

.....
4, „Vakarinės naujienos” [Wiadomości Wieczorne] – gazeta wieczorna wydawana po litewsku i rosyjsku w latach 1958-1999.

Kwiatek i wiatr

Nieposłuszne słowo. Nie chce wyrazić światła, natchnienia. Chwila odpoczynku i choroba znowu trzyma nas w swoich szponach. Jest bożonarodzeniowy wieczór i myślę o ludziach, którzy są zdrowi, którzy otrzymali w prezencie życie. Mogą oddychać, słyszą, widzą, czują... A przecież otrzymali te dary tylko na chwilę, na bardzo krótko.

W ubiegłą niedzielę, o pierwszej po południu zmarł trzyletni Laurynas ze wsi Alesnykia pod Jewiami. Trzy tygodnie wcześniej zadzwoniła do mnie z ogłoszenia w „Galvé”⁵ jego matka, oferując pieniądze za pomoc w zdobyciu leków. Jeszcze tego samego wieczora wiedziałam, że leki ma ośrodek charytatywny oraz Instytut Onkologii, wystarczy przedstawić receptę. Zamiast recepty lekarz napisał na zwykłej kartce czerwonym długopisem adresy trzech zagranicznych szpitali i nazwiska trzech profesorów, proponując kobiecie ze wsi, żeby do nich dotarła i tam kupiła lekarstwa. Razem pobiegłyśmy do dyrektora. Dziecko przyjęto na oddział. Następnego dnia wypisano je jednak jako nieuleczalnie chore. Wtedy my do ministerstwa. I znów z maluchem na ręku do szpitala... Kiedy byliśmy już niemal wszędzie, doganiają nas na korytarzu – po co te skargi, donosy. W końcu wyjaśniają: dziecko umiera.

Dokładnie to samo przechodziłam kilka razy z synem, znam te wszystkie dróżki na pamięć. Wiedziałam, jak będzie wyglądać twarz Stasé, kiedy zniesie dziecko po schodach – będzie spokojna i jasna jak u nieboszczyka. Kiedy człowiek poznaje prawdę, nawet najgorszą, kiedy traci ostatnią nadzieję, czuje ulgę.

Opublikować imię i nazwisko tego lekarza? Po co? Jeszcze jeden pokazowy proces demoralizujący społeczeństwo bardziej niż sam fakt wszechobecnej niesprawiedliwości. Tacy i podobni lekarze stanowią większość. Nie ma lekarza, który by wyjaśnił, jak pielęgnować chorego: w domu da tabletki. Ale jakie tabletki i w jaki sposób ma je dać, kiedy dziecko wszystko wymiotuje? Po trzech dniach chłopcu spuchły nogi, tak zgaś, wczepiony w matczyną rękę, powtarzając: *Razem z tobą, mamusiu, razem z tobą...*

Tak. Oto nasza inteligencja, ludzie z tytułami naukowymi. Kwiat narodu. Już słyszę głosy pełne satysfakcji: i proszę, jaka wspaniała jest ta niepodległa Litwa. Problem nie pojawił się dzisiaj. Nowa epoka niczego jeszcze nie stworzyła. Obnaża tylko to, co zastała. Taki jest nasz posag, otchłań, na której krawędzi stoimy.

Dziesięć lat temu w pierwszym wileńskim domu dziecka widziałam wstrząsający obrazek, który w tych dniach ożył w mojej pamięci i cały czas stoi mi przed oczami. Do domu dziecka przywieziono chłopca, którego matka przez niemal cztery lata przywiązywała do pieńka do rąbania drewna. Dziecko chodziło tylko na czworaka i chleptało wodę z miski jak pies. Widziałam, jak uczono je chodzić. Dwie wychowawczynie podtrzymywały chłopca pod pachy, a on potykał się i wysuwał im z rąk, kładł na ziemi z miną skrzywdzonego zwierzęcia. Nie nauczył się chodzić. Było za późno.

.....
5 Jedna z regionalnych gazet.

Myślałam o naszym społeczeństwie, o jego kondycji, która jest właśnie taka albo bardzo podobna, o naszym okaleczonym sposobie myślenia. Jeżeli chcemy wrócić do świata, musimy zrozumieć jego język. Z Niemiec przywiozłam dwie sentencje. Jedną spisałam z kolorowej kartki wiszącej na ścianie w pokoju lekarzy. Przypominam, że było to w klinice uniwersyteckiej. *Z teorią mamy do czynienia wtedy, kiedy wszystko wiadomo, ale nic nie działa. Z praktyką mamy do czynienia wtedy, kiedy wszystko działa, ale nikt nie wie dlaczego. W naszej pracy teoria łączy się z praktyką: nic nie działa i nikt nie wie dlaczego.* Słowa te, po naszym wszytkowiedzącym świecie, zrobiły na mnie piorunujące wrażenie. Drugą myśl przepisałam z muru berlińskiego. *We wszystkich krajach na świecie mali ludzie, robiąc małe rzeczy, powoli zmieniają oblicze świata.* Tak, tak, chcemy być alfą i omegą, nie miewamy wątpliwości, zwłaszcza co do swoich racji. Jest nam źle bez wpatrzonych w nas kontynuatorów, ciągle nie możemy uwierzyć, że uschłe drzewa wypuszczają nowe pędy z korzenia, a nie z pnia.

Zastanawiałam się, co nowego przyniósł nam miniony czas. Poza wolnością, niezrozumiałą wolnością – wielu z nas nie podejrzewało, że wolność jest próbą – pojawiła się jeszcze świętość własności prywatnej. Na ludziach, którzy wychowali się w internatach, którzy swoje najpiękniejsze lata przemieszkali w akademikach i hotelach robotniczych, idea własności prywatnej nie robiła większego wrażenia niż widok człowieka, który ze łzami w oczach całuje własne kalosze. W ubiegłym roku tego świętego prawa broniono w Kuwejcie najlepszą bronią świata. U nas z gołymi rękami, nieuzbrojeni ludzie stanęli przeciw „armii wyzwoliciele” na zimnej, wydeptanej przez tłum błotnistej grudzie wileńskich wzgórz. Na niej poślizgnęła się Loreta⁶. Gdyby bardziej zamarzło, może by dziś żyła. Pozostaje to, czego nie można zanegować przeemocą ani żadną bronią świata: święte, najświętsze jest ludzkie życie. Żyjmy zgodnie ze swoimi postanowieniami. Nie szukajmy sprawiedliwości w Sejmie, w Moskwie, Bonn czy Waszyngtonie. Nie szukajmy sumienia poza sobą. Kiedy człowiek szuka sumienia w sobie, to zaczyna rozumieć, czym ono jest.

Całą tę niespokojną, beśniewną jesień myślałam o tym, ile człowiek może w sobie ocalić. Brnąć przez błoto i krew. Myślałam o wierszu Henrikasa Radauskasa „Kwiatek i wiatr”. Wiersz datowany jest na lata 1942-1947. Magiczne liczby. Wojna, odwrót wojsk niemieckich, szturm na Berlin. Z Berlina nie zdążyli się wycofać – na ulicach gnijące trupy, ale nikomu nie trzeba przypominać tych historii, wszyscy znamy je na pamięć. Myślę o tym, czego człowiek nie pozwala zniszczyć w sobie nawet totalitarnemu uciskowi. Między wspomnieniami Dalii Grinkevičiūtė⁷ i wierszem Henrikasa Radauskasa mieści się wszystko, co stanowi o wartości wielkiej i silnej kultury. Nie musimy mieć kompleksów. Naprawdę jesteśmy wolni. I to upojne poczucie wolności pozwala mi oznajmić: oto moja ostanía wypowiedź tego typu. Chcę zamknąć okna i drzwi. Muszę spłacić dług, choć zdaję sobie sprawę, że twórczość nie zależy od chęci, nawet najgorętszych. A teraz przeczytajcie państwo sami.

6 Loreta Asanavičiūtė (1967-1991) – jedna z ofiar interwencji Armii Radzieckiej 13 stycznia 1991 r. pod wieżą telewizyjną w Wilnie, zmiażdżona gąsienicami czołgu.

7 Dalia Grinkevičiūtė (1927-1987) – litewska lekarka, pisarka. Napisała wspomnienia o życiu zesłańców na kole podbiegu nowym.

*Kwiatek powiedział do wiatru, że zakwitnie z rana,
A wiatr się przesłyszał, że powiedział zaraz.
Powtórzył to bratu, a ten innemu bratu,
Młodszemu, weselszemu, głupiemu i płochemu.*

*I ten przyprowadził chmurę. I zaczął strząsać deszcz.
I rozdmuchał piec słońca, żeby świeciło goręcej,
Wszystko we wsi wywrócił, szalał bez umiaru,
Dobijał się, pytając, jaki będzie mieć kolor.*

*I postanowił nie czekać dobry kwiatek do rana.
Rozchylił zieloną chustę wilgotnego pąka.
Zakwitł kwiatek na białło i kołysał go wiatr
Wykrzykując: „Jest biały, biały, biały!”⁸*

Klatka

Teraz nasze życie wygląda tak. Co noc pod naszym oknem zatrzymuje się taksówka. Samochód zabiera albo przywozi prostytutki, które mieszkają w naszej klatce. Czasami odprowadzają je klienci, piją w klatce szampana, tłuką butelki, klócą się. Kilka razy w ciągu nocy dziewczyny wyprowadzają psa, brązowego doga w czarne pręgi, chudego jak więzień obozu koncentracyjnego.

– Linda! Linda! Linda! Linda! – donośne wołanie po raz kolejny budzi mnie ze snu. Odpowiada mu dog głuchym HAU.

– HAU! HAU! – Dog stoi za drzwiami, kiedy nieproszeni goście pukają do drzwi, chroboczą monetami, cicho proszą, przez tekturowe drzwi wejściowe słychać ich pociąganie nosem, błagania i ciche przekleństwa.

– Linda! Linda! Linda! Linda! Linda!

W końcu zamiast HAU odpowiada dziecinny głosik:

– Nie pojedę, nie chcę! Boję się. Boję.

– Pojedziesz! Pojedziesz, ja ci to mówię. Linda! Linda! Linda! Linda! Czego się boisz?

No czego? To zwykły fiut!

Mówią po rosyjsku i terminologia jest inna. Słowo, którego użyłam, jest w kulturalnym obiegu. Tyle się o nim mówi, Nekrošius poświęcił mu cały spektakl.

– Linda! Linda! Linda! Linda!

– Wychodzę na balkon. Jest czwarta w nocy...

W dzień wracam ze sklepu. Znowu wyprowadzają doga na spacer. Stoi pomiędzy dwiema dziewczynami. Jedna trzyma zdjętą smycz. Nie wiem, dlaczego patrzymy sobie w oczy. Nagle pies rusza i idzie prosto na mnie. Czarnymi, pustymi ślepiami przygląda mi się z bliska, potem wsuwa nos do torby z zakupami.

⁸ Przekład dosłowny, oryginał rymowany.

- Niech się pani nie boi, nie gryzie. – Mówi jedna z dziewczyn.
- Nie boję się. Ale chciałabym zachować to, co kupiłam w sklepie.

Wtedy jedna zabiera psa.

- Linda!

Nigdy wcześniej nie widziałam obcego psa, który by się tak dziwnie zachowywał. Dlaczego obcego? Myśliwski pies na pewno zna mój zapach. Nasze drzwi dzieli pięć kroków. Często wychodzi na balkon.

– Nie chcę! Boję się! – Krzyczy w nocy dziecinny głosik, a ja nic nie robię, jakbym była burdelmamą. Spoconą, wypatroszoną z uczuć burdelmamą.

Wezmę prysznic. Nie pomaga.

Zabiję tego psa.

Zadzwonię na policję.

- Linda! Linda! Linda! Linda!

Może do spółdzielni? Urzędnik patrzy na mnie szklanymi oczami. Może być i tak, że firma należy do niego. Że o wszystkim wie. Jak inaczej te dziewczyny mogłyby się tu utrzymać wbrew obowiązującemu prawu.

To nie ma sensu.

- Nie chcę! Nie chcę! Boję się!
- To zwykły fiut!

Wtedy znajduję tę kartkę. W kwietniu przepisałam ją sobie z gazetki ściennej w szkole specjalnej na ulicy Jaroševičiusa. Wcześniej szkoła była kolonią karną. Teraz mieszkają w niej bezdomne dziewczyny z przestępstwami, prostytutką i narkotykami w życiorysie – z tym wszystkim, co spotyka bezsilnego człowieka, pozbawionego opieki i swoich praw.

Przebiegam oczami po kartce. Szukam tego, czego najbardziej potrzebuję.

Mam prawo kierować się własnymi wartościami i pragnieniami.

Mam prawo nie czuć się odpowiedzialny za postępowanie, zachowanie, uczucia i problemy innych ludzi.

Mam prawo nie kontaktować się z ludźmi, którzy sprawiają, że czuję się poniżona.

Mam prawo do szacunku dla moich pragnień i potrzeb.

A potem czytam wszystko po kolei.

W życiu mogę robić wiele rzeczy, nie tylko troszczyć się o utrzymanie.

Mam prawo czuć się wartościowym człowiekiem i szanować siebie, nawet kiedy inni źle mnie traktują.

Mam prawo samodzielnie podejmować decyzje.

Mam prawo wybrać, co w życiu jest dla mnie najważniejsze.

Mam prawo do szacunku dla moich pragnień i potrzeb.

Mam prawo mylić się i popełniać błędy.

Mam prawo oczekiwać od ludzi uczciwości.

Mam prawo do wszystkich swoich uczuć.

Mam prawo do złości na bliskie osoby.

Mam prawo być sobą, wyjątkową istotą, i nie czuć, że nie jestem wystarczająco dobrym człowiekiem.

Mam prawo do niepokoju, mam prawo powiedzieć, że się boję.

Mam prawo do zmiany swoich poglądów.

Mam prawo do prywatnej przestrzeni i dysponowania swoim czasem.

Mam prawo się zmieniać i rozwijać.

Nie muszę się uśmiechać, kiedy chce mi się płakać.

Mam prawo do przyjaźni. Mam prawo czuć się wśród ludzi bezpiecznie.

Mam prawo żyć w środowisku, które mnie nie rani.

Mogę być zdrowsza niż otaczający mnie ludzie.

Mam prawo troszczyć się o siebie bez względu na okoliczności.

Mam prawo ufać ludziom, którzy zdobyli moje zaufanie.

Mam prawo bezwarunkowo kochać i być kochaną.

Mam prawo do siebie i do innych.

Dziś w nocy jest cicho. Przez całą noc. Nie. Jednak znowu:

– Linda! Linda! Linda! Linda!

Vanda Juknaitė

Z języka litewskiego tłumaczyła Zuzanna Mrozikowa

Mowa pożegnalna

GIEDRA RADVILAVIČIŪTĖ

ur. 1960 r. w Poniewieżu – pisarka i eseistka. W 2002 roku wraz z innymi litewskimi autorami wydała zbiór esejów „Siuzetą siūlau nušauti” [Fabulę proponuję wystrzelić w kosmos], a w 2004 autorski zbiór „Suplanuotos akimirkos” [Zaplanowane chwile]. Prezentowany esej „Mowa pożegnalna” pochodzi z wydanej w 2010 roku książki „Šiānakt aš miegosiu pries sienos” [Dzisiaj śpię od ściany], za którą w 2012 autorka otrzymała Europejską Nagrodę Literacką.

Zacznę od informacji przeznaczonej w zasadzie dla wszystkich: proszę na dwadzieścia minut wyłączyć telefony. Konsolacja odbędzie się w kebabiarni „Interpol” na starówce, ewentualni cudzoziemcy trafią po zapachu.

Drodzy... Przy tej pracowitej dla wszystkich sobocie moglibyśmy, naturalnie, odprowadzić zmarłą do nieznanego nam świata w sposób zwyczajowo przyjęty, to jest kilkoma dobrze znanymi epitafijnymi frazami, które nie naruszają norm tego smutnego gatunku i nie uchybiają utrwalonej u nas tradycji. Sprowokowalibyśmy mniej komentarzy i plotek, gdybyśmy powiedzieli na przykład: długo pozostanie żywa w sercach tych, którzy ją znali, lub: odtąd będziemy się jednoczyć w cichym smutku wspomnień, albo: niechaj jej ziemia lekka będzie... Czy coś w tym rodzaju. Jednakże mnie, nawiasem mówiąc, tak samo jak ją, zawsze irytowały klisze i „prawdziwe” prawdy. A już ta, że o zmarłych albo dobrze, albo wcale – dosłownie doprowadzała do szewskiej pasji. Czuję się w obowiązku wspominać swoją najlepszą przyjaciółkę mniej więcej taką, jaka była naprawdę. Dlaczego? Otóż dlatego, że spośród wszystkich tu obecnych, a może w ogóle ze wszystkich w naszym kraju, to ja znałam ją najlepiej. Zarówno fakty z jej życia (po-

grzebane na zawsze w małym miasteczku), jak i plany, których nigdy nie zrealizowała. Mimo iż ja jestem wybitnie nieśmiała, a ona była wręcz zadziorna, wszelako coś nas łączyło. Niektórzy nawet mylili nasze twarze, gusty i opinie, być może przez to, że publicznie, głównie na spotkaniach autorskich podczas targów książki lub na imprezach organizowanych przez wydawnictwa, występowałyśmy razem. Niewątpliwie starzała się, tyła, siwiała i popadała w smutek znacznie szybciej niż ja. Pewnego razu powiedziała, że to nie lata ją postarzają, lecz spostrzeżenia. Owszem, infantylni optymiści o żywym temperamencie najdłużej zachowują swój urok i powab, też to zauważyłam. Ilekroć zgubiła kolczyki, nigdy nie kupowała w zamian nowych, podczas gdy ja w takiej sytuacji już na drugi dzień fundowałam sobie jeszcze droższe, przeważnie Swarovskiego. Kiedy wysuwała pomadkę ze sztyftu i widziała, że został jej tylko skrawek, była smutna, bo szminka się kończy. Dla mnie taki skrawek był oznaką początku. Zdecydowanie częściej ode mnie myślała o śmierci. O mowach pożegnalnych również. Ja do dziś zachowałam młodzieńczą formę... i figurę. Ona już pięć lat temu wstawiła sobie górną protezę, ja dopiero w tym roku. Ostatniego mężczyznę też miała dawno temu (mam na myśli kontakty erotyczne), tymczasem mój przyjaciel jest nawet teraz ze mną, by towarzyszyć mi w dzisiejszym pożegnaniu... Dziękuję, Arturas.

Jak już wspomniałam, obu nam nie podobało się to, że w ostatnim słowie, zupełnie jak w kampanii wyborczej, ludzie nagle stają się zacni, piękni (szczególnie na powiększanych w pośpiechu zdjęciach dla zakładu pogrzebowego), gościnni, można by rzec, bez skazy, żadni łajdacy czy pijacy, a jeśli, powiedzmy, zanadto pili, to mieli do tego święte prawo. Na przykład święte prawo literata. Przed rokiem na cmentarzu w pewnym małym miasteczku, stojąc nad otwartym grobem i słuchając pożegnalnej mowy, przestraszyłam się nie na żarty, że *wiecznie młody, 84-letni, energiczny, pracowity i nieustannie podejmujący nowe twórcze wyzwania* dawny nauczyciel z miejscowej podstawówki właśnie został przez nas pogrzebany żywcem. Być może powiedzenie *pozostaje żywy w naszych sercach* w jakimś upiornym sensie odnosi się właśnie do tej sytuacji? Może tym eufemizmem świadomie maskujemy czyn, do którego popełnienia nie upoważnia nas żadne orzeczenie lekarskie? Jestem przekonana, że przez ten przekłętą masowy pośpiech niektórych ludzi naprawdę zakopujemy w ziemi bez głębszego zastanowienia. Przeważnie staruszków, którzy ucinają sobie poobiednią drzemkę, zdawałoby się, celowo po kąpieli, uczesani i z gazetą w rękę jak niegdyś z książeczką do nabożeństwa. Pamiętacie?... To chyba Cwietajewa prosiła, żeby podczas jej pogrzebu nikt się nie spieszył. Żeby parokrotnie przyłożyć jej lusterko do ust i upewnić się, iż jego srebrna powłoka nie zaciągnęła się mgłą nieuchwytnego dla oczu życia. A znowu Gogol obrócił się w trumnie. Zaraz, czy to Gogola sprawdzali, a Marina się obróciła? Teraz już nie pamiętam. Wszyscy oni jednakowi.

Nasza nieboszczka, o ile rzeczywiście umarła – pozwólcie, że jako jej najbliższa przyjaciółka dalej będę myśleć, iż zaginęła bez wieści – nie była ani energiczna, ani ładna, ani dobra, ani specjalnie pracowita. W dodatku piła ze szczerym entuzjazmem. Codziennie. Najgorzej, że nie mając do tego świętego prawa. Tylko nie pytajcie mnie dlaczego. Patrzę wam teraz w oczy

i widzę, że niejeden z przyjemnością wysłuchałby odpowiedzi na to skądinąd dość proste pytanie. Gdyby ona sama tu teraz była, odpowiedziałaby wam, jak wszyscy pijący, otwartym wyznaniem Jerzego Pilcha: *Piję, bo mam słaby charakter. Piję, bo coś mi się przestawiło w głowie. Piję, bo jestem zbyt spokojny i chcę się ożywić. Piję, bo jestem nerwowy i chcę ukoić nerwy. Piję, bo jestem smutny i chcę rozweselić duszę. Piję, kiedy jestem szczęśliwie zakochany. Piję, bo daremnie szukam miłości. Piję, bo jestem zbyt normalny i potrzebuję odrobiny szaleństwa.* Rzeczywiście, w ostatnich tygodniach żłopała już tylko wodę z basenu i herbatę z pokrzywy. Tę ostatnią litrami. Jej cioteczny brat cybernetyk poradził, by naparem z tego podłego, acz bogatego w witaminy, zioła oczyścić sobie stawy. Diuretyki... Chryste Panie, po co? Pracę miała wybitnie umysłową. Nie uprawiała żadnego sportu. Poruszała się jak kaczką. Na rowerze jeździła jak Molloy... Tylko do matki i od matki. Owszem, czasem, kiedy siedziała przy komputerze, sztywniały jej stawy. Córka wtedy przez pół godziny siłą je rozprostowywała, zanim matka odważyła się wreszcie wstać. Ten sam brat mniej więcej co dwa miesiące przychodził do niej w żałobnym garniturze, by połączyć „mózg” w jej komputerze z modemem. Garnitur wkładał dlatego, że za każdym razem planował wyprawić komputerowi pogrzeb. Zawsze jednak zjawiał się subtelny i ciepły. Łagodny charakter był u niego cechą genetyczną, odziedziczył go po majowym wietrze, gdyż właśnie w maju się urodził. Dziwne, że go dzisiaj z nami nie ma. Przed wyjściem na pulpicie monitora zostawiał zdjęcie z gąszczem pokrzyw gdzieś w Kolonii Wileńskiej, a w myślach nieboszczki – tęsknotę za zdrowym rozsądkiem. Pałac papierosa w kuchni, prosił, by zaparzyła mu herbaty z pokrzywy, aż pewnego razu po siedmiu godzinach zmagania z konającym sprzętem, być może już trochę podirytowany, powiedział, że moja przyjaciółka ma taki stosunek do techniki, jaki żona Goethego miała do kultury duchowej: *Towarzyszyło jej szczere przecucie, iż sztuka posiada wielkie znaczenie dla ludzkości.*

Prawdopodobnie właśnie wskutek picia herbaty z pokrzywy przyjaciółka przestała zdążać do toalety. Ta fizjologiczna ułomność również nas łączyła. Nie miłość, lecz ułomność najsilniej zbliża ludzi. Pewna znajoma opowiedziała mi kiedyś historię o tym, jak uświadomiła sobie, że naprawdę kocha swego męża. Otóż wracała wtedy ze szpitala po ciężkiej operacji i razem z podtrzymującą ją pod rękę sąsiadką wspinała się schodami na drugie piętro domu opatulona w zimowe palto – bo zabrali ją w styczniu, a wypuścili w lutym, więc straciła orientację w czasie i przestrzeni. Na pierwszym piętrze poczuła mdłości. Oparła się o ścianę, instynktownie zasłoniła usta rękawem i wtedy zobaczyła, że jej mąż składa w garść swoje wielkie, umazane szpachlówką dłonie robole i podstawia jej pod usta na wypadek, gdyby jednak zaczęła na schodach wymiotować... Ja w zeszłym roku na moście Żyrmuńskim też nie zdążyłam do toalety. Wiecie, co zrobiłam? Weszłam do kawiarni przy kościele św. Piotra i św. Pawła i w toalecie zmoczyłam wodą całe dzinsy, żeby były jednolicie granatowe, bo potem musiałam jeszcze wstąpić do ministerstwa kultury. Szczęście, że padał deszcz.

Rzeczywiście, pasowałyśmy do siebie jak dwie cząstki pękniętego ziarenka kawy. Dlatego to mnie, a nie komuś innemu, przyjaciółka powierzyła spalenie 25 listów napisanych niegdyś do niej przez męża oraz 17 jej własnych adresowanych do różnych mężczyzn. *Do ziemi proch,*

do nieba dym¹. Oczywiście nie zniszczyłam ich, uznałam, że zarówno jedno, jak i drugie warto opublikować, w końcu największą popularnością cieszą się obecnie utwory z pogranicza faktu i fikcji. Zdecydowałam tak również dlatego, że małżonek przyjaciółki, który cierpliwie i długo ją znosił, stał się osobą sławną. Za znamienny należy uznać fakt, iż 17 pozostałych mężczyzn, którzy nigdy nie otrzymali swych listów, spotkał los niegodny szerszej uwagi. Trochę się jednak nimi zainteresowałam. Większość to rówieśnicy nieboszczki, toksyczni liderzy, którzy po czterdziestce osiągnęli *prostatus quo* i ożenili się z kobietami młodszymi od siebie o kilkanaście, a nawet dwadzieścia lat. Moja przyjaciółka reagowała na to zjawisko z życzliwością, jako że każdy rodzaj adopcji przyjmowała z radością. Znamiennym wydarzeniem w jej życiu był także rozwód. Z ojcem dziecka nie pasowali (a zarazem pasowali) do siebie jak gorzyc przebudzenia i spokój czuwania. Jak rtęć i termometr. Jak wiersz wolny i tetrastych (jak fikcja i fakt).

Choć urodziłyśmy się w tym samym miasteczku, to poznałyśmy się i zbliżyły do siebie dopiero na uniwersytecie, na piątym roku studiów. Lata studenckie mogłabym porównać do upojnego rejsu statkiem wycieczkowym, mało kto wyszedł z niego żywy. Podczas pierwszych lat w Wilnie, zwłaszcza nocą, myśl zalewały mi obrazy i wydarzenia z rodzinnego miasta. Pękające wzdłużnie drewniane poręcze na klatkach schodowych w pierwszych czteropiętrowych blokach, zapach słodu przenikający sitowie nad rzeką, wysyp zielonych gąsienic. Tamtego odrażającego pamiętnego lata zwisały ze schodów i balkonów, pełzały po chodnikach, po ławkach, po framugach, po grzbietach książek i wiły się na perskich dywanach z georginii jak odaliska Dominique'a Ingres. Pamiętam kożę samotnie wypasającą się na łące – z daleka przypominała kamień. W ciągu pięciu lat łąka została całkowicie zabudowana jednakowymi blokami. Zamieszkali w nich jednakowo ubrani ludzie, którzy w swoich jednakowych mieszkaniach za jednakowymi drzwiami z yale'owskim zamkiem jedli jednakowe potrawy. Rana na ramieniu po szczepionce przeciwko gruźlicy zmieniała się w niepokojącą plamę koloru zachodu słońca, ale płuca były zdrowe. Teatr, na którego przedstawienia nie można było dostać biletów. Moja przyjaciółka uwielbiała cytować pewne zdanie za despotycznym, acz uprzejmym, reżyserem, który tam pracował: największym bogactwem jest to, czego nie można utracić. Przed oczami wyrastały mi posągi stojące w nowo wybudowanym banku w centrum miasta. Tytani podtrzymywali owalne sklepienie nad salą z okienkami kasowymi, by nie runęło na solennie przeliczane w dole ruble, za które Rosjanie wysyłali rakiety w kosmos. Kosmos wydawał mi się wówczas podobny do szklanej kopuły banku. Bieżnia na szkolnym boisku... Była tak błyszcząca, jak gdyby utwardzona została nie bituminem, lecz młodzieńczym potem wyciśniętym podczas biegu na 100 metrów w dziewięć sekund. Jedno zdarzenie... Cicha, nierzucająca się w oczy kobieta, pracownica cukrowni, podczas przerwy obiadowej rodzi w toalecie dziecko i wrzuca je do sedesu. Nie pamiętam, czy sąd wsadził ją za to do więzienia, czy sama uwięziła się w obłądzie, ale jeszcze przez kilka kolejnych tygodni, ilekroć weszłam do toalety, uważnie wpatrywałam się w otwór muszli, myśląc sobie, że płynący rurami kanalizacyjnymi oślizgły noworodek może niczym kijanka dotrzeć wszędzie, także do

.....
1 Fragment wiersza *Ir meilė duonoj* [Miłością w chlebie] Justinasa Marcinkevičiaus.

naszego domu. Na naszym podwórku mieszkała pewna stara kobieta ubrana zawsze na czarno. Stawiała pod swoimi drzwiami spodek z mlekiem dla bezdomnych kotów, chociaż wszyscy wiedzieliśmy, że kiedy kładzie się spać, opiera nogę o pręgowaną narzutkę uszytą z kocich futerek. Wyobrażaliśmy sobie, że oprawia te kociaki w łazience, tak jak normalni ludzie jesienią oprawiają przyniesione z lasu grzyby. W ciemne wieczory, takie gdy listopad niepostrzeżenie przechodzi w grudzień, a liście zmieniają się w grudy, śmigaliśmy na sankach tuż obok tej czarnej staruchy, szturchaliśmy ją w plecy i umierając ze strachu, krzyczeliśmy: *kotożerca, kotożerca*, a ona nawet się nie odwracała. Półślepa, z zatopionymi w pustce białymi jak mleko oczami, brnęła po puszystym śniegu jak po futrze z krótkiego włosia. Kiedy wam teraz o tym mówię, ogarniają mnie wyrzuty sumienia. A co jeśli ta narzutka przy jej łóżku była tylko niepotwierdzoną przez nikogo legendą? A sama staruszka ignorowaną przez sąsiadów nieszczęśliwą samotną kobietą, której rodzice i wszyscy bliscy pomarli, powiedzmy, na Syberii? Taka Weronika (z tym imieniem wiąże się wiele tragicznych historii miłosnych, tyleż w literaturze, co w prawdziwym życiu), porzucona przez ukochanego, skoczyła z dachu dwupiętrowego domu, przetrąciła sobie kręgosłup i połamała nogi. Później wyszła za innego, urodziła mu identycznych jak dwie krople wody bliźniaków, podobnych do byłego kochanka, mimo że od rozstania z nim minęło siedem lat. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że relacje z mężczyznami, z którymi organicznie (czy raczej klinicznie) zbiegamy się i duszą, i ciałem, mogą się układać wyłącznie na dwa sposoby. Otóż albo jest to dzika lub konsumowana na umór, mrocząca umysł, lecz krótkotrwała miłość, będąca uzależnieniem w istocie swej bliskim nienawiści, albo długodystansowe pogrążanie się w słodkich jak syrop projekcjach na temat tej drugiej osoby, które na koniec okazują się urojeniem.

...Nasze miejscowe kino, te filmy – „Złoto MacKenny”, „Fantomas”, „Stara panna”. Tamte czasy wydają się tak odległe jak nieśmiałość bohaterki granej przez Annie Girardot. Każdego ranka na kamienistej plaży dziewczyna przebierała się w kostium kąpielowy zasłonięta specjalną długą spódnicą, którą wciągała sobie pod szyję. Kiedy dziennikarz spytał aktorkę, jak wyobraża sobie nieszczęście, Annie odpowiedziała: *Jako młodą piękną dziewczynę w czarnej sukience, płaczącą w słoneczny dzień na ławce w parku*. Zastanawiam się teraz, jak moja przyjaciółka wyobrażała sobie szczęście. Już jej o to nie pytam... Ale z pewnością odpowiadałaby jakoś zwyczajnie: *To opisywanie historii z twojego życia i z życia innych ludzi. Pływanie w jeziorze do czasu, aż zacznie się skuwać lodem. Słuchanie szkolnych opowieści córki: „Kto dziś nie może ćwiczyć na wuefie, medytuje – prostujemy ręce i chwytamy się za nogi”*. Obserwowanie jak kot wypina tyłek, kiedy się rano przeciąga. Niektórzy uważali, że jej przywiązanie do tego domowego zwierzęcia w ostatnich latach stało się wręcz śmieszne, są tacy, którzy twierdzą, iż były to pierwsze symptomy choroby umysłowej. Po pierwsze ten kot nie był zwierzęciem domowym, tylko stworzeniem cieplarnianym: zielone agrestowe oczy, ogon podkulony jak u psa, sierść elektryzująca się podczas burzy tak bardzo, że aż szły z niej iskry. Pewnego razu w kawiarni przyjaciółka zachnęła się na siedzącą przy sąsiednim stoliku kobietę, która na widok tej istoty w torbie spytała: *Przepraszam, to jest piesek, czy kotek?* Urażona przyjaciółka odpowiedziała pytaniem: *Przepraszam, a pani jest mężczyzną czy kobietą?*

Nawiasem mówiąc i mnie nazywanie jej kota zwierzakiem przychodzi z pewnym trudem. Regularnie odwiedzał z nią grób jej matki (uważałam to zresztą za absurdalne, przecież on nie znał zmarłej). Wspólnie też robili zakupy w lumpeksach. Wczepiał się pazurami w jakąś zasłoną lub cieplejszą dziecięcą kołderkę, a ona natychmiast mu ją kupowała. Bezbłędnie wybierał na targu najświeższe mięso mielone. Przyjaciółka uważała, że wcale nie odszedł do wyjątkowo dziś rozwiązłych podwórkowych kotek, tylko zniknął w lustrze, jak Alicja.

To lustro przyjaciółka przywiozła z rodzinnej miejscowości, zabrała je ze sprzedanego później domu swojej zmarłej matki i chciała powiesić w łazience, w jedynym pomieszczeniu, w którym człowiek mógł się przejrzeć w całości. Pamiętam, jak lustro stało na podłodze w kuchni oparte o ścianę, odbijała się w nim moja sylwetka bez głowy. Przyjaciółka twierdziła, że widzi w lustrze historię, inaczej mówiąc – przeszłość (w całości). Czas przeszły mieścił się w tej płaszczyźnie tak jak ciężkie okręty, które więźniowie robią z zapalek, mieszczą się w wąskiej butelce, choć z pozoru wydaje się to niemożliwe. Bywały takie momenty podczas zmierzchu lub tuż przed świtem, kiedy z lustra znikало odbicie przedpokoju z porozrzuconymi butami, torbą na ziemniaki, na wpół otwartą łazienką oraz masą kurtek i płaszczy na wieszaku, a pojawiał się obraz wykrojony z pamięci. To także był korytarz, tyle że istniejący w innym mieście, piętnaście, dwadzieścia czy nawet trzydzieści lat temu. W dawnym mieszkaniu lustro wisiało naprzeciwko drzwi wejściowych, pochłaniając na zawsze sylwetki rozmaitych osób, które wówczas zjawiały się w tamtym domu, a dziś w kuchni przyjaciółki. Najczęściej pojawiała się jej matka – wchodziła przez drzwi w lustrze raz młoda, potargana, bezwstydnie liżąc kupione na ulicy lody śmietankowe, a raz we flanelowym szlafroku i już o kulach. Bodaj przed miesiącem poczułam w tamtej kuchni dziwny zapach terpentyny i olejku eukaliptusowego. Przyjaciółka twierdziła, że tak pachniała maść na ból stawów, której używała jej matka. W lustrze pojawiali także inni członkowie tej rodziny. Wuj stawiał sobie taboret i na zardzewiałej tarce ścierał nad balią szare mydło do prania pieluch swojej nowo narodzonej córeczki, grał na saksofonie albo przy specjalnym stolicku rozgrywał partię szachów, niekiedy ze łzami w oczach dając sobie samemu mata. Jakkolwiek przegrana partia nie oznaczała dla wuja finału jego doczesności, zaraz jednak wszystkim przypominał, iż po śmierci pragnie być skremowany. *Tylko nie wsypujcie prochów do urny. Nie znoszę opakowań. Wsypcie mnie do papierowej torby, nadmuchajcie ją i strzelcie z niej w niedzielę na rynku, tak jak dzieciaki strzelają z nadmuchanych torebek.* W lustrze pojawiała się także dwuletnia córka przyjaciółki. Bosa dziewczynka uśmiechała się do kuchennych mebli i podchodziła tak blisko lustra, iż miało się wrażenie, że za moment przejdzie na tę stronę. Zawsze jednak, gdy dotarła do szklanej granicy, która nawet dla wyobraźni (o ile ta jest zdrowa) pozostaje nieprzekraczalna, zaczynała dłużyć w nosie, po czym rozmyślała swoje gluty na lustrze. Przyjaciółka rugała ją wtedy z kuchni i czyściła ścierką taflę od swojej strony. Z kolei babka skręcała i przewijała włóczkę – z dwóch nici powstawał jeden gruby motek. Nawijała nić na zgniecione w kulkę listy zmarłego męża adresowane do innej kobiety. Pojawiała się również sąsiadka, która przed laty miała duży podwójny ogródek działkowy. Przynosiła marchew, ziemniaki, kapustę, buraki i koper. Zaczęłam wątpić w poczytalność przyjaciółki, gdy ta postanowiła brać te warzywa

(rzekomo z lustra). Po wykładzinie w jej kuchni bez przerwy walały się gałązki natki, listki mięty, żdźbła kopru i kawałki włóczki, przypuszczam, że przyklejone do butów przyjaciółka przynosiła je z hali targowej. Ta sąsiadka miała retrievera. Zabierała go ze sobą na działkę. Pies raczej nie gryzł, za to szczekał na rowerzystów, na rozwiewane przez wiatr gazety i na szpaki, które dziobały dojrzałe owoce wiśni. Niektóre rasy dużych psów są strachliwe i całkiem niegroźne. Gdy pewnego dnia retriever zjawił się w lustrze, kot przyjaciółki rzucił się na niego, przekraczając umowną granicę zdrowej wyobraźni. Lustro rozpadło się na pięć kawałków i te powoli niczym w stanie nieważkości rozplynęły się w różne strony i opadły lekko na podłogę, tworząc w zaciągniętej półmrokiem kuchni maleńkie oczka wodne, w których odbijało się metaliczne „śledziane” niebo (tak, śledziane, od słowa „śledź”, i to jest cytat).

Przyjaciółka wyznała mi, że po tym zdarzeniu znacząco pogorszyła się jej pamięć. Nie musiała nic mówić, sama to zauważyłam. Ona, która dawniej potrafiła bezbłędnie wymienić wszystkich zasłużonych dla swego kraju islamskich terrorystów, teraz regularnie myliła nawet rodzime nazwiska. Raz na przykład powiedziała, że ministerstwo oświaty wreszcie wybrało właściwego doradcę, ponieważ Alfonsas Nyka-Viliūnas² to świetny znawca międzywojennej i powojennej literatury litewskiej. Podczas panelu poświęconego współczesnej recepcji literackiej, na który została zaproszona przez uniwersytet, zarzuciła studentkom, iż jak na nasze czasy „Złota MacKenny” są one mentalnie zmurszałe, nie cierpią postmodernizmu i nie wykazują najmniejszej gotowości do dialogu. Te zaś były zdziwione, kiedy przyjaciółka usiłowała im przedstawić uwspółcześniającą i, na ile to możliwe w warunkach godzinnego spotkania akademickiego, szczegółową interpretację „Synowej” Žemaitė. Spytała je: *Jaki sens, waszym zdaniem, mają ostatnie słowa tytułowej bohaterki: wy-bacz-cie? Z całą pewnością jest to ostatni gest uniżenia gnębionej przez patriarchat niewolnicy, która nie potrafiła dostosować się do życia w ciemnogrodzie. Katrė prawdopodobnie nosiła pod sercem dziecko starego Vingisa i zamiast z dumą przyjąć ten nieważne z czyich trzewi pochodzący dar, kuli się jak pies i żałośnie przeprosza męża i starą Vingienė. W ostatnim miesiącu życia przyjaciółka przeżywała skrajne rozczarowanie literaturą. Nucąc balladę: „Jestem samotny, tak diabelnie samotny...”, twierdziła, że tylko jeden XX-wieczny rosyjski pisarz (nawiasem mówiąc nieco snobistyczny), o którym teraz mało kto pamięta, posiadał świetne wyczucie słowa i rozwiązywał genialne zagadki lingwistyczne: *Co w marszałku robi szal? Albo co igra w epigrafie? Jak tyran zmienia się w narty, skąd las w lasce i co wiąże tę laskę ze skalą?*³. Celowo oddalał się od typowej narracji powieściowej, bawiąc się z nią w wyrafinowaną ciuciubabkę, czym niesłuchanie irytował to grono czytelników, które fabułę pojmuje jako ciąg intrygujących zdarzeń.*

2 Kombinacja powstała z połączenia nazwisk poety Alfonsasa Nyki-Niliūnasa oraz literaturoznawcy Giedriusa Viliūnasa, który w latach 2002-2007 był doradcą ministra oświaty i nauki Republiki Litewskiej, a później także dyrektorem Departamentu Polityki Naukowej w MOiN RL (2009-2010).

3 V. Nabokov, *Rozpacz*, przeł. z ang. i pośl. opatrzył L. Engelking, Warszawa: Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA, 2014, s. 57.

Kiedy – nieistotne teraz jak – zniknął kot przyjaciółki, zaczęłam się obawiać, że bachory z jej podwórka (pozbawione codziennej przyjemności głaskania wystającego z torby kosmatego łba z dziwnie oklapniętymi uszami) zechcą zrobić jej jakieś świństwo. Na przykład wybiją piłką i tak już pękniętą szybę w oknie, którą ona w nocy zaklei od zewnątrz starym numerem „Lie-tuvos rytas”, albo podrzucą na wycieraczkę psią kupę w siatce po czeburekach. W zimie będą śmigać z górki na sankach tuż obok niej. W stronę Ostrej Bramy... Będą szturchać ją w plecy i krzyżeć: *kotožerca, kotožerca*. Co wtedy zrobi? Z zimnym spojrzeniem wbitym w żelazne tory będzie brnąć po puszystym śniegu jak po futrze z krótkiego włosia... Najbardziej przykre jest to, że zniknięcie zwierzaka w znacznym stopniu przyczyniło się do tego, iż nie ukończyła swojej drugiej książki oraz eseju. Nie zamierzam twierdzić, że nieustannie podejmowała nowe twórcze wyzwania, pragnę tylko zwrócić uwagę, iż każdy człowiek, który odchodzi, pozostawia za sobą jakieś niedokończone sprawy. Czasem są to rzeczy wielkie, czasem codzienne, a czasem krępujące. Na przykład sześćdziesięcioletni mąż koleżanki z pracy mojej matki zmarł w łóżku z kochanką, a ściślej mówiąc – na kochance. Młoda dziewczyna tak się przestraszyła, że nim wezwała karetkę, obróciła przyjaciela na plecy, ubrała go w garnitur, a nawet, co już było zupełnie bez sensu, założyła mu pantofle. Mało tego, najwyraźniej w trosce o to, by sytuacja wyglądała na zupełnie naturalną, wetknęła denatowi książkę w rękę. Opowieść o tym tragicznym skądinąd zdarzeniu być może nie rozeszłaby się po mieście w tak błyskawicznym tempie, gdyby nie tytuł rzeczony książki. Było to bowiem niezwykle popularne w owym czasie „Pożegnanie z bronią” Hemingwaya.

A ten nieukończony esej przyjaciółki miał nosić tytuł „Ostatni raz”. Wiesz, mówiła, na temat mitycznego pierwszego razu powstały całe stopy książek. Same zresztą mogłyśmy z pamięci cytować czytana w młodości McCullough: *Nachylona muskała ustami siniak, sunąc dłońmi po jego torsie z umyślną zmysłowością, która go oszołomiła. Zafascynowany i przerażony, chcąc się za wszelką cenę uwolnić, odsunął jej głowę od siebie, ale skończyło się na tym, że trzymał ją znów w ramionach i czuł, jak jego wola słabnie w węzowym uścisku. Zapomniał o bólu, o Kościele, o Bogu*⁴. Tymczasem „ostatni raz”, powiedzmy sobie szczerze, jest wciąż przez literaturę nie-słusznie lekceważony. A przecież są tysiące kobiet, które go przeżyły i przeanalizowały na chłodno, bez emocji z..., dajmy na to, trzyletniego dystansu. Ja ci zaraz powiem – rzuciła – czym różni się ostatni raz od pierwszego. Otóż ostatni jest unikatowy, literalnie niepowtarzalny. Pierwszy na pewno powtórzysz, chyba że w finale aktu umrzesz, tak jak w tym głośnym przypadku z naszego miasteczka. Ostatni natomiast możesz najwyżej odtworzyć w pamięci, w snach lub w esejach, wszystko to jest w gruncie rzeczy to samo – zjawiska wtórne nieposiadające struktury, jakby powiedziała nasza krytyk literatury współczesnej Jüratė Sprindytė-Baranova. Wiem, że przyjaciółka pisała swoje eseje, w sposób ryzykowny opierając się na własnych (niekiedy także moich) doświadczeniach. Ostatnim jej doświadczeniem był niejaki Vitka. Malarz pokojowy, a nie, jak podaje jeden z tekstów, człowiek, który wykupił część wspólnego korytarza w jej kamienicy. Lubiła mężczyzn samokrytycznych, silnych, a zarazem

4 C. McCullough, *Ptaki ciernistych krzewów*, z ang. przeł. M. Grabowska, I. Zych, Warszawa: Świat Książki, 2015, s. 258.

chorobliwie wrażliwych, seksownych, lecz nieśmiałych, takich, co upaprani cementem jedzą łyżką konserwy rybne z Dalekiego Wschodu i lubią sobie zakłąć szpetnie. Vitka był tak samokrytyczny, że ścianę dzielącą rzeczony korytarz dotąd skrobał i docierał, aż zrobiła się o połowę cieńsza. *Na mur beton jutro skończę* – zapewnił przyjaciółkę, odsunawszy się dwa metry od ściany, by ocenić efekt swojej pracy. Ale nie skończył jeszcze przez dwa tygodnie. Podczas zbliżenia w tym zimnym „wychudłym” korytarzu, słysząc przeciągłe miauczenie zadowolonego kota, czuli, jak nieplanowany pocałunek zmienia się w tężejące spoivo.

Nieukończona pozostała także druga książka przyjaciółki: „Uderzające piękno śmierci”. To miał być album z najwyższej jakości kolorowymi zdjęciami oraz skromną ilością białego tekstu na czarnym tle, prezentujący kolekcję strojów trumiennych z serii *prêt-à-porter*. Zaprojektowane na tę ostatnią podróż ubrania z założenia przeznaczone były dla wszystkich potencjalnych zainteresowanych, ale sama książka wyłącznie dla odbiorcy ekskluzywnego, przewidywana cena za egzemplarz miała bowiem wynosić 150 litów. Inaczej nie zwróciłyby się koszty zdjęć oraz honorariów dla modeli i modelek. Widziałam kilka już obrobionych zdjęć. Modele leżeli w trumnach ubrani w stworzone specjalnie na tę okazję garnitury. Biznesmen samobójca. Motokrosowiec, który zginął tragicznie. Statystyczny emigrant zmarły śmiercią naturalną w Irlandii. Polityk. Zwykły człowiek, pszczelarz. Po prostu piękna kobieta. Bezdomny. Poeta. Kwaciarka. Dziecko. Każdemu poświęcona była jedna strona z krótkim opisem pod zdjęciem. Rozkładówki okupowali wyłącznie Nowi Litwini oraz przedstawiciele mniejszości seksualnych. *Śmierć musi być sprawą publiczną – twierdziła przyjaciółka – tak jak seks, dziewictwo, wdęcia oraz gwarantujące wysoką jakość życia podpaski. Nie darmo zdjęcia z pogrzebów lądują na pierwszych stronach najpoczytniejszych dzienników. Widziałam w telewizji wstrząsający reportaż, podczas którego w jednej z wiejskich chałup dotkniętych pożarem operator filmuje zwęglone zwłoki niemowlaka. Ludzie spragnieni są obrazów śmierci i scen funeralnych. Przeglądając je sobie, zajadają ser i popijają piwo. Dzieciaki zaczynają szaleć i bawią się w strzelanki. Nie chciałabym swoją naiwną twórczością pozostawać w tyle, zrobić się żałośnie anachroniczna. Dlaczego na urodziny, śluby, rozwody, a nawet wyjścia do teatru stroimy się, nie oszczędzając pieniędzy na wytworne dodatki, a do trumny idziemy w kaloszach i rozłożęcej się na plecach sukience, notabene, koniecznie w takim kolorze, którego za życia nigdy byśmy nie włożyły, choćby nas łamali kołem?* Pamiętam z tego albumu przygotowaną już do druku fotografię zmarłej prostytutki. Modelka leżała w białej trumnie, obsypana różowymi piórami, w ażurowych pończochach i samym gorsecie. Krawędzie wieka od trumny były gustownie przyozdobione falbankami, wykonanymi taką samą koronką jak pończochy nieboszczki. Głowa modelki spoczywała na pluszowym pudlu. Idealne nogi i piersi przysłaniało kilka niedbale rozrzuconych numerów „Stylu”. W ręku kobieta trzymała różowy... telefon. Wierzę, że książka zyskałaby rozgłos, i wierzę, że ta być może mało dotąd popularna idea, jeśli nie teraz, to w najbliższych latach, zostanie przez kogoś twórczo wykorzystana. Kiry nie płoną.

A teraz, moi drodzy, możecie już włączyć telefony. Zbliżam się do końca i na tym etapie nikt nie jest w stanie mnie zatrzymać. Spieszę się tak jak wszyscy. Widzę, że kilka kobiet krzyżuje

nogi w obawie, iż, jak ja, nie zdążą tam, dokąd zdążyć powinny. Poza tym chcę sobie dzisiaj kupić grejfruta i wino. Gdyby ktoś miał ochotę poznać odpowiedź na pytanie, dlaczego piję, odpowiadałabym za Pilchem: piję, bo mam słaby charakter. Piję, bo coś mi się przestawiło w głowie. Piję, bo jestem zbyt spokojna i chcę się ożywić. Piję, bo jestem nerwowa i chcę ukoić nerwy. Piję, bo jestem smutna i chcę rozweselić duszę. Na koniec w imię własnej uczciwości oraz po to, byście i wy znanadto się nie smucili, muszę wam zdradzić, co było inspiracją dla mojej przemowy. Otóż było to pytanie jednej z wielu drogich mi osób, jakimi jesteście dla mnie także wy, a w szczególności ci z was, którzy znaleźli się tutaj przypadkiem. Brzmiało ono następująco: *Dlaczego już nic nie piszesz?* Odpowiedziałam bardzo prosto: *Dlatego, że umarła we mnie, choć wygodniej byłoby zapewne powiedzieć – zaginęła bez wieści, narratorka.*

Mimo iż ja jestem wybitnie nieśmiała, a ona była wręcz zadziorna, wszelako coś nas łączyło. Niektórzy nawet mylili nasze twarze, gusty i opinie, być może przez to, że publicznie, głównie na spotkaniach autorskich podczas targów książki lub na imprezach organizowanych przez wydawnictwa, występowałyśmy razem, a ściślej mówiąc, zlewałyśmy się w jedno. Naprawdę urodziłyśmy się w tym samym mieście. Tego samego dnia, o tej samej godzinie, w tę samą stronę. Ale zbliżyłyśmy się do siebie dopiero na uniwersytecie, kiedyśmy się poznały na piątym roku studiów. Albowiem właśnie wtedy zaczęłam pisać. Do tamtego momentu, o ile jeszcze dobrze pamiętam, patrzyłam przez okno na małą kozę na łące, która z daleka przypominała kamień.

...Łąka na skraju miasta w ciągu kilku lat została całkowicie zabudowana jednakowymi blokami. Wprowadzili się do nich jednakowo ubrani ludzie, którzy w swoich jednakowo urządzonych mieszkaniach, za jednakowymi drzwiami z yale'owskim zamkiem, jedli jednakowe potrawy. Kto by przypuszczał, że w pewien słoneczny czerwcowy poranek taka sama jak wszyscy Weronika (z tym imieniem wiąże się wiele tragicznych historii miłosnych, tyleż w literaturze, co w prawdziwym życiu), porzucona przez ukochanego, odważy się skoczyć z dachu dwupiętrowego domu? Skoczy i będzie spadać w mojej pamięci, trzymając po pachy nie kule inwalidzkie, lecz dwóch małych chłopców – swoich synów bliźniaków, jak dwie krople wody podobnych do jej dawnego kochanka, mimo iż od rozstania z nim minęło już 35 lat... Czarna kobieta, której wszyscy krewni zmarli z głodu na Syberii, leży na cmentarzu za miastem. Natknęłam się na jej zaniedbany grób, kiedy późną jesienią uczestniczyłam w pogrzebie byłego nauczyciela z podstawówki. Listopad zmienił się wtedy w grudzień, a liście przeszły w grudy. Płatki astrów spiętych kwadratem czarnej ziemi były brązowe, a obtłuczona krawędź nędznego pomnika, który ufundował nieznany dobroczyńca, przypominała wygięty koci grzbiet. Stojący w niechlubnej części dla samobójców pomnik niemal opierał się o cmentarny płot, zbudowany z muskułów przydrożnych kamieni spojonych żyłami cementu... Pracownica cukrowni, co wrzuciła swe dziecko do sedesu, odsiedziała w więzieniu siedem lat. Nigdy nie wyszła za mąż. Przeprowadziła się do Wilna. Grejfruty i inne owoce, nie wiedzieć czemu, zawsze kupuję właśnie u niej, w sklepiku, który nazywa się „Marlen”. Jest mi zupełnie nie po drodze do domu, bo znajduje się przy dawnym szpitalu kolejowym. Niewiele

zmieniona przez te lata kobieta na początku zimy nosi zielone puchate mitenki, żeby móc swobodnie poruszać gołymi palcami. Przyglądam się, gdy odrobinę nerwowo, ale zawsze uprzejmie, waży dla mnie ciężkie złociste owoce, a potem wkłada grejpfruty do rozłożonej foliowej siatki z taką ostrożnością, jak gdyby to były kruche główki noworodków.

Czasami mam dość przerabiania ludzkich losów. Relacje z tekstem przypominają relacje z ukochanym mężczyzną, z którym organicznie (czy raczej klinicznie) zbiegamy się i ciałem, i duszą. Wmyślając się w zdania, spójniki i słowa, wikłasz się w dziką, konsumowaną na umór, ślepą, lecz krótkotrwałą miłość, będącą uzależnieniem w istocie swej bliskim nienawiści. Następnie oddalasz się od tekstu i pogrążasz w słodkich jak syrop projekcjach na jego temat, które w końcu okazują się urojeniem. Ostatnio zajmuję się czymś innym, czymś iście zagadkowym. Tak jak pewien nieco snobistyczny rosyjski pisarz, o którym mało kto dziś pamięta, rozwiązuję kalambury. On celowo odbiegał od typowej narracji, bawiąc się z nią w wyrafinowaną ciuciubabkę, czym irytował twardogłowych czytelników, którzy fabułę pojmują wyłącznie jako ciąg zdarzeń. Wyobrażam go sobie, że siedzi rozparty w rozklekotanym fotelu, ubrany w jedwabny szlafrok i szlafmycę z siatki na motyle, a w porcelanowych zębach, które zrobił sobie, gdy mieszkał w Stanach, trzyma nieskończone jak czas cygaro.

Stojąc w ogonku na pocztce lub w sklepie, jadąc trolejbusem, pijąc herbatę z pokrzywy, rozcierńczoną białym winem, patrząc nocą w ciemność i głaszcząc swego kota, bez przerwy spekuluję, głowie się i dumam, co wiąże estońską koronę i moją żyjącą w czasach Smetony babkę Onę? (Skręcała nici z dwóch motków i przewijała włóczkę na zgniecione w kulkę listy swego zmarłego męża, adresowane do innej kobiety). Skąd kawa w kawałku i gram w epigramie? Co robi cep w koncepcie, a co tyka w antykadencji? Jak brudas zmienia się w absurd i co łączy łaskę ze skałą? Dlaczego kryształ Swarovskiego wydają mi się kradzione? I wreszcie najważniejsze, co za bęcwał, a przede wszystkim na jakiej podstawie, ośmielił się nazwać penis Wackiem?

Giedra Radvilavičiūtė

Z języka litewskiego tłumaczyła Małgorzata Gierałtowska

Ł O T W A P O E Z J A

Austra Skujiņa

Austra SKUJINA

Tygrysy w cyrku

Plakat na płocie.
Ludzie przeciskają się,
jak na targu,
dziwne –
w cyrkowej klatce
siedzą tygrysy
za kratami
a nie w dżungli.
Człowiek śmieje się,
zadowolony
mruży oczy:
– O,
wy też! –
Tak, wy też
w więzieniu...
W ślepiach tli się jeszcze
otchłań i zapach
dżungli,
ból,
rozgoryczenie
nienawiść –
nienawiść do ludzkiej rasy
rzucona w kraty

pada jak oszczep.
Jednak
kraty są mocne,
nie zniszczy ich
nawet najsilniejszy ból...
Ech, sama dobrze wiem,
jak mocne
można wznieść więzienie
na szarej i wilgotnej ziemi
dla wszystkich tych,
którzy nie chcą
tańczyć na cyrkowej arenie.

Człowiek śmieje się
i mruży oczy:
– Wy też!

Madonna bulwarów

Na skrzyżowaniu bulwarów
auta i tramwaje pędzą przez rozświetloną noc
szybko jak życie –
tam ją widziałam:
krucha i delikatna
madonna Rafaela
smukłe ręce, oczy
smutne i jasne
wiecznie uśmiechnięte
karminowe usta.

Mijają ją w hałaśliwym tłumie,
dziwaczne pachnące ptaki
damy,
panowie we frakach,
i włóczędzy w łachmanach.

Bulwarem,
w elektrycznym świetle,
życie pędzi jak auto Chylera
ku dalekiej stacji końcowej.

Pod przyszyżonymi lipami,
z karminowym uśmiechem bogini na ustach
smuci się zwykła ludzka tęsknota –
potrącana na ulicach
madonna.

Kwiaty w rękę

Jeśli kwiat, który ci wręczam,
to miłość,
nie przyjmuj go:
zapach dojdzie do serca –
i koniec.

Jeśli kwiat, który ci wręczam,
to marzenie,
wyrzuć na ziemię!
Marzenie w mózg
głęboko wnika.

Biały wesoły promyk
za zakopconą szybą –
żółty kwiat.
Rozejrzyj się
staruszka ziemia
taka ładna.

Na moście

Na moście między brzegami
ktoś patrzy: w falach toną gwiazdy.
Unosi go zaraz tęknota,
do czasów za ileś stuleci,
gdy w nowych miastach i wieżach,
życie płynie wesoło i prosto,
bez krwawej żądzы sławy,
bez śmierci – rano we mgle.

Serce, giętka i drżąca osika,
rwie się do słońca południa
choć korzeń głęboko w ziemi
nasiąka trzeźwiącym bólem...
Na moście między brzegami
ktoś widzi, jak statek marzeń
wpływa do portu i zwiја żagle.
Kapitan
kręci głową i mruczy:
– Nawet w afrykańskiej dżungli
słonie padają od kul,
brązowe wody Gangesu
kryją mór pod kwiatami lotosu,
nie ma kraju,
którego nie zabiłby głód. –

Na moście między brzegami
czyjeś serce rwie się jak ptak
do czasów za ileś stuleci.
Przechodnie
wytykają palcami
– dureń!

Ostatnia piosenka

Cały mój majątek
to stary płaszcz
i wesoła piosenka.
Biorę wszystko,
co uda mi się zdobyć w szybkim rytmie dnia,
i cieszę się,
jak pięknie świeci słońce
nad ostrą krawędzią dachu,
pod którym serca ludzi
płoną jak
czerwone okna wieczorami...

Nie mam złota.
Może dlatego,
że w kieszeni płaszcza
dziura...
Sława?
Bez smokingu trudno osiąść sławę...
Najbardziej uprzejma i miła jest poezja,
nie dba o mój lichy styl
i nierówne wersy,
które wiozą dni jak skrzypiące koła dorożki
w stronę wieczoru.

Wiem –
zaraz skończy się żart, który przyjęło się nazywać życiem,
i postawię kropkę w ostatniej piosence,
piosence o tym, jak ładna była ziemia,
jak piękna wiosna na polach
i jak ciepło grzał ogień zimą
na rogach ulic, po których ślizgali się
uliczni chłopcy,
dziewczyny z umalowanymi ustami
i ja.

Ostatnia piosenka –
na początku jest to, czego nigdy nie mówiły usta,
a oczy rzadko kiedy,
co wie tylko stary płaszcz,
moja bieda
i złość:
nie będzie zawsze tak, jak było!

Austra Skujiņa

Z języka łotewskiego tłumaczyła Agnieszka Smarzewska

Austra Skujiņa, (1909-1932) – poetka łotewska. Urodziła się 10 lutego na terenie dzisiejszej gminy Sējas na Łotwie, w rodzinie leśniczego. Wkrótce przenosi się z rodziną do Rygi i tam uczęszcza do szkoły średniej. Po śmierci ojca decyduje się na szkołę wieczorową, za dnia pracuje w biurze ogłoszeń. Wiąże się ze środowiskiem socjaldemokratycznym oraz z kręgiem artystów i literatów słynnych awangardowych grup Zaļā Vārņa i Trauksme. Pozostaje jednak indywidualistką. Zaczyna studia przyrodnicze i matematyczne na Uniwersytecie Łotwy, jednocześnie zaczyna pracę jako maszynistka w ministerstwie rolnictwa. Z powodu trudności materialnych musi przerwać studia, ale nie porzuca literatury. Publikuje pojedyncze utwory w prasie. Przygotowuje się do wydania pierwszego tomiku. Krótko przed jego wydaniem w 1932 roku, poetka, prawdopodobnie z powodów osobistych i depresji, ginie śmiercią samobójczą w falach Dźwiny. Wspominana jako inteligentna, o naukowym, przenikliwym umyśle, ironiczna i niezwykle wrażliwa. W jej twórczości można odnaleźć inspiracje futuryzmem, fascynację ówczesnymi prądami socjalistycznymi oraz modną pod koniec lat 20. egzotyką – twórczością japońską, chińską i perską. Jej poezja silnie inspirowała łotewskich muzyków, m.in. Raimonda Paula, który skomponował cykl piosenek ze słowami poetki.

DEBATA

Leszek Żyliński
Stanisław Gut

Zapiski z czasów zmiany

LESZEK ŻYLIŃSKI

prof. dr hab., pracownik Katedry Filologii Germańskiej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu; ostatnio wydał: „Europa w niemieckiej myśli XIX-XXI wieku [Europa im Denken der Deutschen vom 19. bis zum 21. Jahrhundert] (Toruń 2012), „Od Prus do Europy. Szkice o tożsamości narodowej Niemców” [Von Preussen nach Europa. Essays über nationale Identität der Deutschen] (Toruń 2014), „Dwadzieścia lat Nagrody Miast Partnerskich Torunia i Getynogi im. Samuela Bogumiła Lindego 1996-2015” (red. nauk., Toruń 2016).

Myślę, że forma fragmentu ma bardzo doniosłą funkcję – wskazuje na luki, przestrzenie i ciszę pomiędzy zjawiskami. Z drugiej strony można by rzec, że jest dekadencja w dosłownym – nie moralnym – sensie, to znaczy że jest stylem końca pewnej epoki. Mam tu na myśli koniec cywilizacji, tradycji myśli albo wrażliwości. Użycie fragmentu wskazuje, że twórca bardzo wiele wie, wiele doświadczył. Jest to zarazem forma dekadencja, ponieważ odwołuje się do mnóstwa zjawisk, dzięki czemu pozwala czynić aluzje i komentować różne rzeczy bez konieczności wyjaśniania każdej z nich.

(Susan Sontag „Myśl to forma odczuwania”)

*

Uwaga – uznanie – pamięć. Tak jawi mi się triada najbardziej pożądanых dóbr przez współczesnego człowieka, a już z pewnością przez intelektualistę. Za młodu chcemy być podziwiani, zdobywać miłość, bogactwa, sławę czy władzę. Z czasem te etapy zostawiamy za sobą albo, mając na przykład władzę i pieniądze, dostrzegamy jednak związane z nimi ograniczenia oraz ich nietrwałość. Dobra materialne, gdy już są, powszednieją. Sława czy władza są trudne do utrzymania, mogą też pewnie męczyć.

Jeśli człowiek nie zatraci się po drodze, odkrywa wartość prawdziwych relacji z drugim człowiekiem. To w wymiarze osobistym. Jeśli natomiast chce się zdobyć trochę transcendencji, trochę autentycznego zainteresowania i uznania, wolnego od koniunktury i zdania pochlebców, trzeba wyjść ponad tamte pierwsze dobra. Nie jest to łatwe w czasie, w którym premiovana jest głównie atrakcyjność i medialność, gdy myśl łatwo ginie w akceleratorze postprawdy. Niezbędny do tego jest pewien poziom refleksji i autorefleksji. Bowiem to uwaga i uznanie innych dają dopiero poczucie spełnienia. Gdy dochodzą do naszej świadomości, dają to większą satysfakcję, niż zdobyte formalne wpływy, władza albo popularność, które z natury rzeczy są tymczasowe. W rzadkich wypadkach pozostaje nawet pamięć kolejnych pokoleń.

*

W świetnie napisanej pracy „Cywilizacja. Zachód i reszta świata” (Kraków 2013) Niall Ferguson opisuje, na czym polega fenomen wielkości cywilizacji zachodniej, która od około 1500 roku do początku XXI stulecia panowała nad naszym globem. Zachód odróżnia od Reszty sześć *instytucji i związanych z nimi idei i zachowań*: rywalizacja, nauka, prawo własności (i praworządność), postęp medycyny, konsumpcja i etyka pracy. Ta przewaga staje się coraz mniejsza, a wiele wskazuje na to, że być może już należy o niej mówić w czasie przeszłym. Choć z wywodu autora wynika, że co prawda przewaga Zachodu zanika, a Reszta (dziś szczególnie Chiny) ekspanduje, to jednak czyni to w znacznej części dzięki częściowemu przyjęciu tychże właśnie, zachodnich zasad i idei. W pracy historyka pozytywnym zaskoczeniem dla filologa jest konkluzja, w której żywotność cywilizacyjną autor opiera na wielkości literatury. Cytat:

Zasadnicze pytanie brzmi: czy jesteśmy wciąż zdolni widzieć wyższość tego pakietu [zachodnich wartości]? Tym, co urealnia cywilizację w oczach jej mieszkańców, są nie tylko wspaniałe budowle w jej centrum i sprawnie funkcjonujące instytucje, które tam się znajdują. Jądrzem cywilizacji są teksty, o których uczy się w szkole, przyswajane przez uczniów i wspominane w czasach udręki. Cywilizacja Chin została kiedyś zbudowana na naukach Konfucjusza. Cywilizacja islamu – kultu posłuszeństwa – nadal opiera się na Koranie. Które teksty są podstawowe dla cywilizacji Zachodu? Czy te, które mogą umocnić naszą wiarę w niemal nieskończoną moc wolnej jednostki?

Ferguson podaje przykłady z wielkiej literatury angielskiej. Taką listę można powiększyć i wzbogacić.

*

Niewiele jest w poromantycznej literaturze polskiej utworów, które zawarta w nich substancja duchowa i intelektualna przybliży do poziomu światowego. Romantyczni wieszczowie mogli jeszcze wadzić się z Bogiem, poszukiwać celu dziejów, choć na końcu najczęściej grzęźli w polskości. Polskości, która dla ich następców najczęściej była już tylko partykularną wartością etyczną, powinnością podcinającą skrzydła jednostce i jej opowieści, która mogłaby stać się formalnie i treściowo ciekawa i ważna dla świata.

Brakujący wiek XIX, wiek mieszczaństwa i przyspieszonego rozwoju cywilizacyjnego ukradziony przez rozbiory, musimy nadrobić importem. Nie mamy porównywalnych polskich odpowiedników Balzaka i Dickensa, Flauberta, Turgieniewa czy Ibsena, gdyż niedane nam było samym budować podwalin gospodarki kapitalistycznej, uprzemysławiać kraj, budować administrację i uniwersytety, wchodzić w realizm, oparty na finansach i odpowiedzialności obywatelskiej. W ciągu dziesięciu lat (1849-1859) umierają wielcy polskiej kultury (Słowacki, Chopin, Mickiewicz, Krasiński), z dala od kraju, który karleje, potęgując jedynie swą mizerną funkcję granicznych prowincji trzech ościennych mocarstw. Chwalimy się jedynie tym, że stąd pochodzili Joseph Conrad i Maria Skłodowska, podróżnicy-zdobycy, wędrujący od Australii po Amerykę Południową czy późniejsi twórcy potęgi Hollywood i państwa Izrael. Druga połowa XIX wieku to czas trwania, a nie czas tworzenia, czas chowu wsobnego, załężnionej ochrony substancji, narażonej na atrofie lub zanik szczególnie po tragedii powstania styczniowego, kiedy – jak pisze Jerzy Jedlicki – *przerwana została międzypokoleniowa ciągłość myśli polskiej* („Błędne koło”, tom 2 „Dziejów inteligencji polskiej”). To wówczas skończył się prymat szlachty, zabrakło mieszczaństwa, a słabiutka inteligencja szukała co najwyżej dróg przeżycia. Ominęło nas uczestnictwo w rozwoju nauki i techniki, to poza ziemiami polskimi rosły metropolie, instytucje, prądy i ruchy oddziałujące na całą Europę. Musiało dorosnąć całe nowe pokolenie nieskażone poczuciem klęski, aby mogło zainteresować się tym, co dzieje się na zewnątrz.

Pierwsze znaki uczestnictwa w nowoczesności pojawiły się na progu XX wieku. Ta nowoczesność jest importowana, ale zostaje aktywnie włączona w życie Polaków. Z jednej strony jest to sztuka Młodej Polski, ściśle związana z europejską secesją i różnymi „izmami”, przemebłowującymi dotychczasowe rozumienie artysty i sztuki, z drugiej rewolucja 1905-1907 roku, która – jak pisze Magdalena Micińska, *była pierwszym tak dobitnym przejawem nowoczesności na ziemiach polskich* („Inteligencja na rozdrożach”, tom 3 „Dziejów inteligencji polskiej”). Nowe idee promieniają z dzieła Stanisława Brzozowskiego z jego „filozofią czynu” i „filozofią pracy”. Literatura oraz nowa myśl polityczna otwierają ludzi w Polsce na współczesność, co w konsekwencji z czasem uczyni ich zdolnymi do stania się podmiotem na swojej ziemi.

Słowacki i Mickiewicz wadzili się jeszcze z Bogiem. Celem był człowiek czynu, stanowiący sam o sobie i zdolny odzyskać niepodległość utraconej ojczyzny. Bez boskiej pomocy uzyskać się tego najwyraźniej nie dawało. Tak w konsekwencji narodził się mesjanizm, przekuwający faktyczną słabość w ezoteryczną apologię narodowego bytu. Dla porównania Goethe, tworzący nieco wcześniej w rozsypanych na dziesiątki państewek Niemczech, w „Fauście” (część I, rok 1808) jest już pisarzem nowoczesnym, zwróconym ku sobie, ku podmiotowi jako bytowi samistnemu wobec innych ludzi czy fantasmagorii. Pracy do poznania i do pełni życia Faust nie waha się wobec zachęty Mefista świętokradczo wyrzec:

*Niech sobie będą sztuczki, cuda,
Byleby to nie była nuda!*

Takimi słowami kwituje swój wielki monolog w scenie „Pracownia”, w którym w przekonującej dialektyce i skończonej formie przechodzi od *słowa* (które było na początku) poprzez *sens*, *moc* do *czynu*. Nowoczesny człowiek nie jest poddany biblijnemu Słowu, on je interpretuje, otwierając sobie możliwość działania. Możliwość i zdolność do czynu powołuje do życia pełnego, wolnego człowieka, który jak Faust rzuca Duchowi: *Jam jest, jam Faust, jam równy tobie, maro!*

W polskiej literaturze długo nie pojawia się postawa równie podmiotowa. Taka suwerenna jednostka jest uniwersalna swym antropologicznym habitusem, a nie zdeterminowana przypisaniem narodowym. Tak naprawdę dopiero Miłosz przetwarza w „Traktacie moralnym” takie uniwersalne doświadczenie, pytając w kontekście zagłady, *czy coś ocalić może ziemię?* Co charakterystyczne, w poemacie Miłosza znajdziemy również swoiste cztery kroki, cztery kluczowe pojęcia, którymi obrazuje kondycję człowieka połowy XX wieku. Nie jest możliwa już dynamiczna dialektyka Goethego. Jej wewnętrzny optymizm załamuje horror totalitaryzmów XX stulecia, bo na końcu drogi, którą podąża Miłosz: *styl – metoda – wiara* stoi *zgon*.

*Epoka nasza, czyli zgon,
Ogromna Die Likwidation.*

Stąd niemożliwy jest optymizm, nie ma nawet śladu nadziei. Wszystko, na co stać człowieka po doświadczeniu Auschwitz i gułagu, to przyglupia wesołość grabarza, który *grzebie systemy, wiary, szkoły. Styl, metoda i wiara* nie stanowią zresztą rozwinięcia dróg z jednego źródła, jak wyprowadzone od Słowa etapy przejścia Fausta z *vita contemplativa* do *vita activa*; one wręcz stoją w metodologicznym klinczu świadomości ocalonego, ale jednak zagubionego świadka dramatu. Koniec „Traktatu moralnego” jest więc konsekwentnym rezultatem przemyslenia historii własnej epoki:

*Na dziś nie daję ci nadziei,
Nie czekaj darmo treuga Dei,
Bo z życia, które tobie dano,
Magiczną nie uciekniesz bramą.
Idźmy w pokój, ludzie prości.
Przed nami jest*

– Jądro ciemności.

Polemizowanie z większością przedstawicieli nauk ścisłych oraz urzędnikami od nauki w kwestii oceny jakości badań jest dosyć bezpłodne. Chyba wszystkie argumenty zostały już przedstawione i najsensowniej będzie po prostu rozróżniać nauki (*science*) od humanistyki (*humanities*), przyjmując jednocześnie, że potrzeba istnienia obydwu jest bezsporna, natomiast ocenianie powinno i może być odmienne. Przecież finansowanie już od dawna jest odmienne; trudno nawet porównywać nakłady na badania i studia medyczne, techniczne czy przyrod-

nicze z wydatkami na humanistykę. Humanistyce warto by za to stworzyć przestrzeń niespiesznej wolności, aby w pogoni za grantami nie zatraciła swej jakości. I pozwolić humanistom samodzielnie oceniać jakość refleksji, przystając jednocześnie na sensowną redukcję istniejącego potencjału, bowiem nie ma potrzeby i środków, aby kształcić połowę populacji rocznika na jakichś tanich i byle jakich kierunkach i w szkołach tego i owego.

Jednym z elementów oceny humanistyki musi być natomiast wkład uczonych w rozwój danej kultury narodowej. Profesorowie Leszek Kołakowski czy Jan Błoński nie zdobywali żadnych punktów (i nie cierpieli na „Hirscha”), ale oprócz poważnych rozpraw pisali ważne eseje, polemiki czy recenzje, które pozwalały nam lepiej rozumieć samych siebie. Ich potencjalni następcy wniosą również o wiele więcej do naszego życia intelektualnego, gdy pozostawią po sobie ważne monografie (napisane po polsku), kompendia oraz eseje lub wspomnienia, niż gdy opublikują w języku konferencyjnym artykuł w jakimś nawet wysoko punktowanym i najczęściej słabo czytany czasopiśmie naukowym. Można oczywiście robić i jedno, i drugie, jeśli wystarczy czasu, umiejętności i inwencji. Tyle że to są trochę jakby dwie odmienne konkurencje. Humanistyka żyje soczystymi monografiami i wymianą myśli, która odbywa się w języku danej kultury. Tutaj kontekst kulturowy stanowi niezbywalny element przekazu, język nie jest jedynie wymiennym medium, ale również integralnym nośnikiem treści wraz z zabarwieniem stylistycznym i możliwym bogactwem form leksykalnych, frazeologicznych, gramatycznych, co samo w sobie wzbogaca polszczyznę.

Najbardziej zagrożone scjentyistyczną „punktozą” są książki gatunkowego pogranicza. Myślę o dziełach takich jak na przykład „Kłopot z istnieniem” Henryka Elzenberga, „Życie na niby” Kazimierza Wyki, „Spotkania z Miłoszem” Andrzeja Walickiego czy „Uśmiech Demokryta” Ryszarda Przybylskiego. Mają one charakter wspomnieniowy, eseistyczny, czasem wręcz aforystyczny, jak w przypadku Elzenberga. I są wybitnymi świadectwami intelektualnego mierzenia się z podstawowymi problemami kondycji człowieka i Polaka w XX wieku. Ważniejszymi niż setki przyczynków wzbogacających stan badań filozoficznych czy literaturoznawczych, jakie opublikowano w tamtych latach, a których dziś w większości się nie czyta. Oczywiście, przywołani pisarze są uczonymi z niekwestionowanym dorobkiem, którego jednak najbardziej żywą częścią są często właśnie teksty tego typu. Dla świadomego odbiorcy polskiej kultury, który nie jest profesjonalnym filozofem, być może najważniejszymi lekturami przywołanych już luminarzy naszej humanistyki są ich „małe” dzieła, takie właśnie jak „Mini wykłady o maxi sprawach” Kołakowskiego czy „Kłopot z istnieniem” Elzenberga. Miejmy nadzieję, że oportunistyczna pokusa zdobywania punktów dla siebie czy kierowanej przez nich jednostki naukowej nie pozbawi prawdziwych humanistów potrzeby pisania dla czytelników.

*

Od wielu już lat poziom uniwersytetu obniżył się do wymagań coraz liczniejszej młodzieży, oczekującej od studiów korzyści doraźnych, przede wszystkim dyplomów. Można by pomyśleć, że zdanie to napisał autor jednego z licznych współczesnych artykułów, bolejąco nad

upadkiem etosu kształcenia uniwersyteckiego. Ale zdanie to pochodzi z opublikowanego w 1950 roku „Eseju dla Kasandry” Jerzego Stempowskiego i relacjonuje historię odmowy przyjęcia katedry na Uniwersytecie Warszawskim przez Szymona Askenazego w roku... 1931. Bowiem – jak informuje pisarz w kolejnym zdaniu – *Audytorium, jakie Askenazy posiadał niegdyś we Lwowie, nie było już ani w Polsce, ani gdzie indziej*. Zaiste, gdyby rzeczywiście w tak szalonym tempie spadał poziom kształcenia na uniwersytetach, to dziś ludzkość miałaby kłopoty z naukowym wyjaśnianiem świata, a jutro musiałaby na nowo wynajdywać koło. Co nie zmienia faktu, że samo w sobie pierwsze zdanie całkiem trafnie opisuje dzisiejszą naszą rzeczywistość.

*

Co się dzieje z Niemcami? W dzisiejszym świecie, po Brexicie i wyborze Trumpa w USA, pozostają oazą przewidywalności i trwania demokratycznych wartości. Ale od miesięcy dochodzą niepokojące informacje, i to w dziedzinach, które dotychczas uchodziły za niemiecką specjalność. Solidność banków, jakość samochodów, nawet niemiecką piłkę nożną pogrążają kolejne afery. Skandale i idąca za nimi utrata reputacji kładą się cieniem na wybornym dotychczas *image* współczesnych Niemców.

Deutsche Bank uczestniczył we wszystkich chyba nielegalnych zмовach i malwersacjach ostatnich lat. Manipulowanie osławionymi derywatami rozbuchało bilanse i zrujnowało kondycję zdrowego niegdyś domu bankowego. W czarnym scenariuszu zagrożony miałby być nawet stan finansów republiki. Pojawiły się również podejrzenia uczestnictwa w praniu brudnych pieniędzy nieprzejrzystych firm rosyjskich. Odnowa, jaka teraz dokonuje się na szczelbu decyzyjnym, może być niewystarczającym posunięciem, jeśli nie będzie temu towarzyszyć potrząśnięcie całym globalnym sektorem bankowym. Trudno bowiem działać w miarę uczciwie wśród konkurentów, którzy mogą być w miarę nieuczciwi i nadal maksymalizować zyski w wątpliwy lub wręcz kryminalny sposób.

Niepokojący jest także głębszy wymiar drugiej sprawy. Skandal z montowaniem fałszującego oprogramowania zaniżającego prawdziwą szkodliwość silników Diesla w autach koncernu Volkswagena tylko pozornie zostanie zakończony wypłatą odszkodowań, ugodami i wyrokami sądów. Dzisiaj koncernowi grożą miliardowe kary i koszty wymiany odpowiedniego oprogramowania w milionach samochodów. Ale koszt wizerunkowy i erozja marki, dotychczas symbolu solidności inżynierów niemieckich, postępują. Dziś już wiemy, że nie oni jedyni manipulowali danymi dla zwiększenia sprzedaży. Kto wiedział o sprawie i na jakim szczelbu akceptował cały proceder? W jakim świetle stawia to niemiecką wrażliwość na sprawy ochrony środowiska i – wydawałoby się – tak rozsądną i dalekowzroczną politykę ekologiczną niemieckich elit gospodarczych? Czy szkody wizerunkowe obciążają tylko żądných zysku i bonusów szefów koncernów samochodowych?

Wreszcie kolejna „bomba” z jesieni 2015 roku o tym, jakoby Niemcy (konkretnie ich narodowy związek piłki nożnej) mieli poprzez łapówkę załatwić sobie organizację turnieju finałowego

w piłce nożnej w 2006 roku. Wówczas przeżyli prawdziwe święto, swój „sen nocy letniej”, pokazali światu sympatyczną twarz Niemiec. Zjednoczeni już w jednym państwie przeżywali radość ze wspólnego świętowania z resztą świata na tle wielkich piłkarskich emocji. Teraz okazuje się, że gdzieś na progu tego święta stała korupcja, co z drugiej strony – biorąc pod uwagę praktyki FIFA – tak bardzo znów nie dziwi. Pewnie najlepiej byłoby, gdyby Niemcy przełknęli wstyd, transparentnie wyjaśnili proceder korupcyjny we współczesnym sporcie, dzięki czemu podobne praktyki stałyby się choć trochę trudniejsze.

Ale z tego wszystkiego rodzą się pytania podstawowe: jeśli nawet największy i najsilniejszy postępują w sposób niegodny czterokrotnego mistrza świata, to jak naprawdę zwalczyć korupcję; jeśli największy koncern motoryzacyjny globu oszukuje państwo, klientów i prawo oraz drwi z ekologii, to jak skutecznie wyegzekwować przepisy proekologiczne (o etycznym biznesie nie wspominając) nawet w bardzo na to czulej Republice Federalnej; jeśli malwersacje są na porządku dziennym w potężnym Deutsche Banku, to jak przywrócić etykę do bankowości? Można się pocieszać, że te karygodne postęпки zostały ujawnione, procesy naprawcze jakoś wdrożone. Czy to wystarczy, pokaże przyszłość.

Ten katalog zdziwień nie powinien jednak przesłonić faktu, że na tle populistycznego rozczerwiania porządku politycznego na świecie w Republice Federalnej bardzo sprawnie działa pluralistyczna, liberalna przestrzeń polityczna. Niemiecki system polityczny ma silnie wbudowane elementy zabezpieczeń. Jest to konsekwencja zrozumienia, czym nawet w dojrzałym społeczeństwie staje się szaleństwo totalitarne, jakim były dwunastoletnie rządy nazistów. Do oczywistego trójpodziału władzy (przy czym w praktyce niemieckiej ostatnich dziesięcioleci prymat prawa i pozycja Trybunału Konstytucyjnego są bezdyskusyjne), dochodzi zbalansowanie roli rządu federalnego silną pozycją krajów związkowych, brak ogólnonarodowych referendum oraz ponadpartyjność mediów. Warto również zauważyć tonującą działalność Kościołów z silnym współuczestnictwem laikatu. Ich głos dużo mocniej współbrzmi z wartościami chrześcijańskimi, niż to obserwujemy w Polsce. Na to wreszcie nakłada się ugruntowana kultura polityczna, która marginalizuje skrajności i akceptuje pewne tabu w działalności politycznej. Tym podstawowym, bardzo pozytywnie oddziałującym na całe życie społeczne jest wykluczenie wszelkich przejawów przemocy z przestrzeni publicznej.

*

W ostatnich latach świat podlega tak daleko idącym przemianom, że warto nawet utrwalić pewne fenomeny, które – kiedyś oczywiste – dziś nie istnieją albo zyskały nową ocenę. Odpowiednio, pewne dzisiejsze oczywistości wydałyby się naszym przodkom jeszcze kilkadziesiąt lat temu zupełnie nierealne. Nie chodzi przy tym o przyspieszenie technologiczne ostatnich dziesięcioleci, które w oczywisty sposób (Internet, mobilna telefonia, plastikowe płatności, itp.) zmieniły nasze życie. Chodzi raczej o sprawy trwalsze i od dłuższego czasu zakorzenione w przestrzeni publicznej.

Cóż na przykład jeszcze przed kilkunastu laty powiedzieliby Europejczycy na ujemne stopy procentowe, jakie od około 2015 roku stosują banki świata zachodniego. Zamiast inkasowanych odsetek przychodzi płacić za deponowanie własnych pieniędzy bankowi? Przecież to absurd w świetle doświadczeń ludzi wcześniejszych stuleci. W ten sposób zjawisko rentierstwa odejść powinno do lamusa. Ale jeszcze więcej: wszelka wyuczona przez pokolenia zapobiegliwość związana z zapewnieniem sobie środków do życia na starość postawiona została pod znakiem zapytania. Przeciętnych pracowników i podatników nie stać przecież na inwestowanie w dzieła sztuki czy nieruchomości, czym taką niedogodność zrekompensują sobie miliony. W kontekście niekorzystnych zmian demograficznych i poważnych obaw o przyszłość zachodnich emerytur potęgujemy zamieszanie.

Albo powszechnie dziś obowiązujący zakaz palenia tytoniu. Postrzegamy go jako wielką, widoczną zmianę, oglądając na przykład filmy czy zdjęcia jeszcze z lat 70. i 80. ubiegłego wieku. Palili najwięksi, Churchill ze swym cygarem stał się ikoną czasu, ale zdjęcie uśmiechniętego gwiazdora z papierosem w ustach albo aktorki trzymającej w dłoni papierosa działały niemal jak znaki erotyczne. Wówczas palono wszędzie: na ekranie, w samolotach i pociągach, na ulicy i w salach wykładowych.

Ale w tych salach wykładowych – to kolejna zmiana – siadywał niewielki procent danego rocznika. Przed 1989 rokiem w Polsce maturę uzyskiwało kilkanaście procent młodych z rocznika, a dzisiaj na różnego typu studiach uczy się ponad połowa populacji kolejnych roczników dwudziestolatków. Studiują, ale jak pokazują badania, przestali czytać. W XX wieku w Europie zlikwidowano analfabetyzm i w ślad za tym upowszechniło się czytelnictwo książek. Dzisiaj, w XXI wieku, przy braku analfabetyzmu książek czytamy coraz mniej, stało się to ponownie zajęciem elitarnym. Ale dzisiejszy czytelnik z reguły nie pali już tytoniu – i przynajmniej to jest dobra zmiana.

*

Wielkim problemem tego świata jest, że głupcy i fanatycy są tak pewni swych racji, a ludzie mądrzy – pełni wątpliwości. (Bertrand Russell).

*

Wiek XX doświadczył Polaków ponad miarę. Również niezwykajnie często, bo aż dwukrotnie kraj odzyskiwał niepodległość i niezależność. Lista wybitnych twórców i polityków, którzy Polskę w XX wieku kształtowali, nie wyczerpała się wraz z odejściem gigantów ducha pokroju Gombrowicza, Miłosza, Wyszyńskiego, Giedroycia, Turowicza czy Gieysztor, dzięki którym myślenie o państwie, nauka i sztuka zostały ocalone i przeniesione przez powojenne dziesięciolecie bytowania w PRL. Z podziwem odnotować trzeba, jak owocnie zapisała się w dziejach generacja urodzonych tuż po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku. Wśród tych, którzy długoletnią aktywnością odcisnęli swoje piętno na europejskiej kulturze i polskim życiu publicznym, do pokolenia urodzonych tylko w pierwszym dziesięcioleciu, należeli przecież

Barbara Skarga (1919-2009), Jan Strzelecki (1919-1988), Gustaw Herling-Grudziński (1919-2000), Karol Wojtyła (1920-2005), Stanisław Lem (1921-2006), Tadeusz Różewicz (1921-2014), Władysław Bartoszewski (1922-2015), Wisława Szymborska (1923-2013), Zbigniew Herbert (1924-1998), Kazimierz Dejmek (1924-2002), Bronisław Baczko (1924-2016), Zygmunt Bauman (1925-2017), Andrzej Wajda (1926-2016), Leszek Kołakowski (1927-2009) czy Tadeusz Mazowiecki (1927-2013). Spełnione życia. Nieliczni działają nadal, nieliczni pozostają autorytetami, do których można się jeszcze odwołać.

*

Czas jest dobrem, którego posiadanie lub zarządzanie stawia w pozycji dominującej. Brak czy głód czasu (*time poverty*) stał się coraz powszechniejszą przypadłością współczesnych ludzi. Jak dowodzą najnowsze badania, nie jest to wcale zbieżne ze stopniem rozwoju czy zamożności społeczeństw. Ale zarządzanie czasem widoczne jest także w wielkiej międzynarodowej polityce. Kiedy na międzynarodowej konferencji w Waszyngtonie w 1884 roku wprowadzano czas światowy, podzielono glob na 24 strefy czasowe, które miały pomóc zsynchronizować posługiwanie się zegarami na świecie. Trzeba było wybrać jakąś skalę, według której można by zacząć liczyć. To wówczas przyjęto południk zero, przebiegający przez obserwatorium w Greenwich pod Londynem, choć istniały też konkurencyjne lokalizacje ze stosowanym wcześniej południkiem paryskim. Francuzi zresztą przez wiele lat wzbraniali się uznać ten brytyjski prymat. Także dzisiaj ustalanie czasu jest przejawem władzy. Gdy putinowska Rosja dokonała aneksji Krymu, to z miejsca nadszedł nakaz przesunięcia wskazówek zegara o dwie godziny i wprowadzono na tym obszarze czas moskiewski. Takie zabawy czasem zdają się być domeną dyktatorów. Niesławny prezydent Wenezueli nakazał cofnąć wskazówki o pół godziny, aby jego kraj nie miał nawet kawałka wspólnej strefy czasowej ze znenawidzonym imperium USA. Podobnie panujący obecnie w Korei Północnej reżim kolejnego Kima nakazał w 2015 roku przesunięcie zegara o pół godziny. Podanym powodem ustanowienia „czasu Pjongjang” była chęć symbolicznego odcięcia się od Korei Południowej i Japonii oraz wyparcie tej pozostałości z czasów japońskiej okupacji kolonialnej.

*

W dyskusjach o przyszłości Unii Europejskiej pozycje kontrahentów poznać będzie można po tym, czy mówiąc o Unii, mówić będą o „nich”, czy o „nas”.

*

Duch czasu pozwala na kpiny z uniwersalizmu, humanizmu, praw człowieka, nowoczesności. To wszystko w imię przewyższenia dość jednostronnie diagnozowanych deficytów, tzw. poprawności politycznej, obyczajowej rozwiązłości i neoliberalizmu elit. Suwerenna, homogeniczna wspólnota wydaje się w wielu miejscach świata zdobywać przewagę nad społeczeństwem opartym na filozofii konstytucyjnego kontraktu, opartego na wartościach politycznych. Naród przed człowieczeństwem, czy to w Ameryce Trumpa, czy pod rządami naszych apologetów czystej suwerenności. „Zdrowy”, bo ludowy, egoizm przed naiwnością wykorzystanych

kosmopolitów i postępowców. Takie nastawienie cofa nas w społecznym rozwoju i sprawia, że poddajemy się dyktaturze strachu i jego ideologom. Zamiera otwarcie na różnorodność i współpracę, nasila się natomiast dążenie do tożsamościowej homogenizacji i rywalizacji nacjonalizmów. Rozlewająca się fala narracji katastroficznych i teorii spiskowych, ekskluzji społecznej wywołanej propagandą strachu, odrzucenia myślenia w kategorii dobra wspólnego na rzecz zwykłych kłamstw (podawanych jako fakty alternatywne), polaryzuje i dość powszechnie przepoławia społeczeństwa. Z polskiej przestrzeni publicznej ulatują takie fenomeny jak tolerancja i solidarność. Tolerancja sama w sobie jest zresztą dość bezsilnym stanem; należałoby raczej domagać się otwartości i uznania dla uniwersalizmu. Taka postawa stwarzałaby dopiero możliwość pełnoprawnego i udanego życia w zmieniającym się świecie oraz uczenia się od innych. Tolerancja dla różnorodności powinna być jedynie wstępem do budowania wspólnotowości integrującej. Jest to nieustające zadanie dla całej Europy, bowiem zatrzymanie się na poziomie multi-kulti skutkuje obecnie na zachodzie Europy odrzucaniem obcych kulturowo mniejszości, o ile nie stały się współgospodarzami w krajach osiedlenia. Uwiad solidarności w polskim społeczeństwie (patrz: stosunek do uchodźców, których u nas zresztą nie ma), mówi sam za siebie. Kiedyś tym słowem i czynem Polacy zaskarbili sobie podziw Europy, teraz w 2016 roku – roku miłosierdzia, jakie proklamował wpływowy tutaj podobno Kościół katolicki – udowadniają swój prowincjonalizm i ksenofobię.

Jak to zmienić? W planie politycznym niezbyt skutecznie debatują o tym media, a całkowity brak pomysłów (poza restrykcjami) pokazują politycy. W planie głębszym jest to kwestia zmiany mentalnej: przejście od postawy zamkniętej i obronnej do otwartej i ufnej, odejście od wychowania w duchu konkurencji i wykluczania na rzecz współpracy, uniwersalizm zamiast „naszości”. W długim okresie zmianę taką może przynieść jedynie odpowiednie wychowanie i kształcenie oparte na wartościach liberalnych i republikańskich. Nie da się tego osiągnąć samymi ustawami, poprawą bezpieczeństwa czy programami społecznymi. Potrzebny jest silny impuls poprzez kulturę rozumianą jako trwała sieć powiązań, etycznych norm i symboli. Polski niedokończony projekt modernizacji, w jaki z entuzjazmem weszliśmy w latach 1990. XX wieku, zatrzymał się na poziomie infrastruktury i konsumpcji, trzeba by jednak sprawić, aby nowoczesne stało się również myślenie i nastawienie naszych rodaków. Nadal nic nie zastąpi rozum z jego zdolnością do krytycyzmu i potrzebą szukania wolności.

Kilka własnych słów o wielokulturalizmie

STANISŁAW GUT

uczeń gimnazjum w Olsztynie, kocha podróże i poznawanie nowych osób. Pasjonuje się muzyką, jest członkiem redakcji dwumiesięcznika „Filozofuj!”, w którym zajmuje się organizowaniem dyskusji.

Tematyka przyjęcia uchodźców do Europy nie schodzi z pierwszych stron gazet od dwóch lat. Wciąż stawia się jedno pytanie – jak rozwiązać problem? Zaś odpowiedzi jest nieskończenie wiele. Każdy wydaje się być ekspertem od spraw międzynarodowych, dyplomacji, polityki. Każdy jest przekonany, że wie najlepiej. Ludzie najczęściej czerpią informację z migawek w telewizji, nagłówków gazet, komentarzy na portalach społecznościowych. Posługują się więc wiedzą z drugiej ręki. Nie mieli nigdy okazji przebywać w społeczeństwie wielokulturowym czy też rozmawiać z imigrantem. Wiadomości, które do nich docierają, mają charakter negatywny, opowiadają o tym, co brzydkie i pozbawione nadziei. Zamiast ludzi pracujących na rzecz państwa widzą bezrobotnych „pasożytów” utrzymywanych na koszt podatnika. Zamiast wzajemnego dzielenia się własną kulturą widzą zamachy terrorystyczne na tle religijnym lub rasowym. Niestety, ale z tych pesymistycznych informacji ludzie wysnuwają pesymistyczne i bardzo jednoznaczne wnioski.

Kiedy przyjaciele pytają mnie, co myślę o uchodźcach, muszę zazwyczaj pomyśleć kilka dobrych sekund. Najlepiej byłoby chyba odpowiedzieć coś mądrego, coś intelektualnie dopracowanego, podpartego wie-

loma statystykami, opiniami znawców. Czyż nie? Robię jednak inaczej. Nie chcę sięgać do informacji z drugiej ręki. Wolę sięgnąć do mojej własnej perspektywy i mojego własnego doświadczenia. Do tego, co przeżyłem i widziałem na własne oczy. Jednym z częstszych argumentów osób opowiadających się przeciwko przyjmowaniu uchodźców jest problem asymilacji. Podaje się przykłady tzw. gett, dzielnic, które są oddzielone całkowicie od reszty miasta i są zamieszkałe wyłącznie przez imigrantów (najczęściej z północnej Afryki). W tych ogromnych osiedlach miast (na przykład Paryża oraz Brukseli) toczy się kompletnie inne życie, panuje inna kultura, zarobki są znacznie niższe. Czy takie przykłady świadczą o tym, że integracja oraz asymilacja pomiędzy ludźmi różnych narodowości oraz kultur jest niemożliwa?

Odpowiadając na to pytanie, chciałbym przytoczyć swoją historię związaną ze wspólnotą międzynarodową małego kościoła katolickiego znajdującego się na północy Chin, której byłem członkiem przez trzy lata.

Nasza katedra znajdowała się w centrum jednego z największych miast przemysłowych w Chinach, Shenyang. Została założona na początku XX wieku przez francuskich misjonarzy i do dziś imponuje swoimi rozmiarami oraz rozmachem architektonicznym. Większość Chińczyków przechodzących obok kościoła nie zdaje sobie jednak sprawy, czym on jest i jakie ma znaczenie. Najczęściej uznają go za budowlę o znaczeniu czysto estetycznym. Codziennie widać młode pary, które robią sobie sesje fotograficzne na tle kościoła. Zazwyczaj nie mają żadnego związku z wiarą w Boga.

Msze wspólnoty międzynarodowej odbywają się w małej kaplicy tuż przy katedrze. Panuje tam niezwykła i niewyobrażalna różnorodność. Za oprawę muzyczną odpowiadają Filipińczycy oraz Meksykanie. W skład chóru wchodzi cztery studentki, na gitarach oraz pianinie grają trzej młodzi muzycy, którzy zarabiają na życie, bawiąc gości w restauracjach.

Przy ołtarzu znajdują się trzej księża: Amerykanin, Włoch oraz Chińczyk. Podczas mszy pomagają im ministranci z Polski, Kamerunu, Ghany, Nigerii, Kenii i Chin. Pomimo barier językowych wszystkim udaje się współpracować. Na msze przychodzą również ludzie różnych narodowości z całego świata: głównie z Afryki oraz Azji. Kościół regularnie odwiedzają również... niewierzący Chińczycy. Przychodzą z czystej ciekawości oraz chęci poznawania nowej kultury. Angażują się w organizację festynów i akcji charytatywnych. Najczęściej nie mają żadnej wiedzy teologicznej, co czasem powoduje nietypowe sytuacje. W czasie rozdawania komunii naśladują wierzących i też proszą o Ciało Boże. Stąd zawsze podczas rozdawania komunii ksiądz prosi o to, by jeden z ministrantów mówiących po chińsku stał przy nim i pytał każdego Chińczyka, czy jest chociaż ochrzczony. Może to wydawać się bardzo nietypowe, ale miejsce znajdują tutaj również ludzie innego wyznania, na przykład Hindusi. Nie biorą oni oczywiście udziału w rytuałach religijnych, ale włączają się w życie społeczności, angażując się w jej przedsięwzięcia oraz pomagając jej.

Cała wspólnota włącza się też w różnego typu akcje. W czasie Wielkiego Postu kupowane są wielkie ilości tradycyjnej chińskiej zupy *zhōu*, która następnie zostaje rozdawana przez wolontariuszy z kościoła biednym, najczęściej bezdomnym ludziom, którzy nie mogą się nadziwić, że ktoś jest w stanie im sprezentować jedzenie za darmo.

Z okazji świąt Bożego Narodzenia, jak i Wielkanocy organizowane są festyny, na których każdy kraj ma za zadanie zaprezentować jakąś piosenkę lub taniec ze swojego kraju. Wszyscy przynoszą również swoje tradycyjne dania, które kładą na wspólny stół. Dzięki temu każdy może posmakować jedzenia z drugiej strony kuli ziemskiej. Festyny są piękną okazją podzielenia się czymś ze swojego kraju oraz spróbowania czegoś nieznanego i egzotycznego.

Takie jest moje, przedstawione jedynie w skrócie, osobiste doświadczenie multikulturalizmu. Przez trzy lata współtworzyłem wspólnotę, w której znalazło się miejsce dla każdej z kultur, każdej z ras, każdego koloru skóry, każdego języka, a nawet odmiennej religii czy wyznania. Przez ten czas doświadczyłem prawdziwego budowania mostów pomiędzy różnorodnymi ludźmi. Nie było pomiędzy nami murów, lecz przyjaźń i wspólne cele. Nie widzieliśmy w sobie wrogów lub rywali, ale przyjaciół, z którymi się współpracuje. Każdy z nas coś na tym zyskał. Osobiście uważam, że warto być otwartym oraz że multikulturalizm nie jest przeszkodą ani barierą, ale szansą na rozwinięcie skrzydeł.

Stanisław Gut

P O E Z J A

Alx z Poewiki

ALX Z POEWIKI

Chwila: chybotliwa

(nad: 54° 15' 51,1" N, 21° 02' 13,8" E)

*W Niderlandach mówią: żaden oracz ani rybak nie przerywa
pracy z powodu śmierci człowieka.*

Ewa Solska, „Wraca, co przychodzi bez reszty
(szkłem na wodzie malowane)”

Latem dali do sklepu na naszym osiedlu
saletrę w małych paczkach – dwieście, trzysta gramów.
Był to rok, jak pamiętam,
osiemdziesiąty piąty, poprzedniego wieku.

Byliśmy wtedy mali – kumple z podstawówki;
kupiliśmy dwa worki za gotówki garstkę
z kasy na „Świat Młodych” i kieszonkowego.
Zmieszałyśmy ją z cukrem cichcem podebrany
z kredensu w kuchni – nikt nie zauważył
braku tych kilku garści.

Powstałym proszkiem nabiliśmy zręcznie,
nie roniąc nawet grudki, puszkę zużytego
dezodorantu,
wcześniej w niej uczyniwszy dziurkę starym gwoździem.

Za wyrzutnię robiła puszka po sardynkach –
całkiem rdzą obsypana.
W niej właśnie w środku gwoździem wykłuliśmy
osiem czy dziewięć dziurek, żeby oznaczały
miejsce startu rakiety.
Stare, zużyte chyba, czarne okulary
nałożyliśmy – żeby chronić oczy
przed ewentualnymi iskrami czy ogniem
buchającym z wnętrza gwiazdnego korabia.
Kosmodrom nasz mieliśmy w ruinie, pośród pastwisk:
Na środku dwa pustaki reprezentatywnie
stały. Na nich wyrzutnię swą postaviliśmy.

Czułem się wtedy jak młody pilot Pirx
albo jakiś Gagarin. Odpalał kolega.
Zapałka trzask o draskę, patyczek do dziury
i już paliwo w ogniu. Ja – statek na puszkę
i pędem w krzaki, co za murkiem rosły.
Rakieta metr się wzniosła, potem wykręciła
kilka zakrętów i trach pękła.
Jak petarda.
Po tej wielkiej przygodzie zostało wspomnienie.

Kilka miesięcy później, na początku roku
dwudziestego szóstego stycznia się to stało.
Inny wybuch nastąpił. Też rakieta spadła.
Challenger pękł przy starcie i ludzie spłonęli.

Wtedy nie skojarzyłem tej pary wydarzeń.
Dzisiaj, w ten letni dzień: czytam wiadomości,
że na Ziemię powrócił z ostatniej wyprawy
ostatni prom kosmiczny – o nazwie Atlantis –
czym po 30 latach, 135
misjach kosmicznych, w tym dwóch katastrofach
NASA zamknęła program wahadłowców.
Po tej wielkiej przygodzie zostało wspomnienie:

Statek kosmiczny – to chyba na wyrost.
Sam nie był przecież w stanie osiąść, gdzie miał wolę.

Był to raczej żaglowiec: niesiony powietrzem
 lądował jak szybowiec spuszczone z orbity,
 choć, gdy sądzić po skrzydłach, to powierzchnie marne
 nie usprawiedliwiają takiej dumnej nazwy.
 Bardziej pasuje tutaj inne określenie:
 ot, kosmiczna żagłówka, a w niej mały człowiek.

Inspiracja: „Gazeta Wyborcza”, internetowe wydanie 21.07.2011

Chwila: krucha

(nad: 54° 00' 29,8" N, 21° 28' 34,6" E)

*Złamać kark czy złamać słowo, to i tak jakaś śmierć,
 jakiś grób, ten sam ból.*

Mirka Szychowiak, „Tak czy inaczej”

„Którą drogą dziś wracasz?” – zapytałam mamy.
 Tylko sześć lat na karku, a już trudne pytanie...
 „Najkrótszą drogą, synku” – to wtedy usłyszałem.
 Chociaż miałem sześć lat, to wiedziałem,
 że mama nie będzie wracała
 po geodezyjnej
 ani też że nie będzie pędziła z prędkością światła.
 Przy czym nie wiedziałem wtedy, co oznacza
 słowo „geodezyjna”.
 Wiedziałem za to, co znaczy słowo „tęsknota”
 (po całym dniu czekania na mamę).
 „Wydziemy na drogę i będziemy cię wypatrywać”.
 „Czekajcie na mnie w domu, nie musicie wychodzić” – dopowiedziała.
 „Ale, mamo, my ciebie tak lubimy, że wydziemy”.
 „Dobrze” – rzuciła w biegu, spiesząc się do pracy.

Chociaż miałem sześć lat, to wiedziałem, że
 mama nie będzie wracała z prędkością światła.
 Już umiałem obliczyć, ile trwa praca, a potem
 zakupy i droga powrotna. Wyszedłem z młodszym

bratem na ścieżkę, która najkrótszą
drogą prowadziła do domu.
Najkrótsza ścieżka nie była najpopularniejsza,
bo było na niej dużo błota.

Ale była najkrótsza.
Czekaliśmy,
czekaliśmy na mamę,
czekaliśmy na mamę, wypatrując w oddali...
czekaliśmy na mamę, wypatrując w oddali jej sylwetki,
czekaliśmy na mamę, wypatrując, hen, w oddali jej małej sylwetki.
Czekaliśmy.
Aż nagle cała czerwona z gniewu
dopadła nas od tyłu.
„Gdzieżecie byli, bachory, szukałam was wszędzie!”

Trochę czułem potrzebę wyjaśnienia,
że czekaliśmy,
ale pulsujące przez skórę ślady
po różgach były głośniejsze od myśli.

Raz, kiedyś, moje myśli
zaplątane w cienie tego wspomnienia
ześlizgnęły się, chyba niepotrzebnie,
na ten moment lektury.
Jest rok 1941. Łubianka. Więzienie NKWD.
Pulsujące przez myśli ślady
przypominają Aleksandrowi Watowi wysiłek propagowania
idei w kraju, gdzie
ta została zabroniona.
„Gdzieżeś był, nacjonalistyczna gadzino?” –
rozlega się w każdej fali bolesnego impulsu elektrycznego,
biegnącego przez synapsy,
i to zanikające coraz bardziej
czekanie.
Czekanie na ruch,
czekanie na ruch, wypatrując...
czekanie na ruch, wypatrując oddali,
czekanie na ruch, wypatrując oddali w drzwiach,
czekanie na ruch, wypatrując śladu oddali w drzwiach,

czekanie
i ruch otwieranego rygla
i wypędzanie do następnego pokoju,
następnej klatki, następnej klitki,

następnej otwartej przestrzeni,
stepu,
gdzie z prędkością
światła dopada człowieka
bezsilność,
gdzie z całych sił chce się osiągnąć prędkość
ucieczki, a człowiek
rozrywany sprzecznymi siłami
robi się wąski jak liść wierzyby.

I jeszcze ten fotel w Antony.
Ból chodzi tam i nazad,
a ja nie chodzę, tylko leżę
w fotelu:
czekam,
czekam na ból,
czekam na ból, wypatrując w oddali...
czekam na ból, wypatrując w oddali jego sylwetki,
czekam na ból, wypatrując w oddali jego drobnej sylwetki,
czekam.
Dłoń już pusta,
tabletki fruwają w przestrzeni –
może kiedyś pomkną po geodezyjnej
z prędkością światła –
a tymczasem
rozlega się cichutkie pęknięcie
nigdy niewypowiedzianego
słowa.

Chwila: polska

(nad 54° 00' 28,6" N, 21° 28' 40,1" E)

*A jednak instynkt językowy podpowiada:
jeśli coś leży na terytorium Polski, to jest polskie.
Tak jak polskie są rzeki i góry.
Marcin Orliński „Oburzeni”*

A gdy się poszło spod domu
drogą kawałek w kierunku cywilizacji,
to zaraz za zakrętem było tak:
mroczny gaik otoczył ktoś
stalową siatką
spiętą nieopodal pod dębem bramą,
rozrdzewioną miriadą kruchych strzępków, że
niemal giąć się dała jak papier.

Chropawe druty siatki
zrudziałe niemal na nitki
dawały się miętolić nawet moimi dziecięcymi
rękami – ale nigdy się ich nie miętoliło, prawda?

Raz tylko z chłopakami żeśmy przez rozdarcie w siatce
przekradli się na drugą stronę.
Tam, słońce
przejasnymi płachtami rzuconymi
na misterne kobierce utkane ze świerkowych igieł
wyznaczało mroczną głębię w cieniu.

228

Gdzieniegdzie wystawały kamienne
słupki w kształcie krzyży.
Chociaż wtedy już umiałem czytać, nie rozumiałem,
co znaczy napis: „Hier ruht in Gott”,
zapisany literami o dziwnych kształtach, ostrych
jak noże, które rodzice trzymali ode mnie z daleka
w kredensie. Mrok
był tam tak gęsty, śliski, półpłynny.
Uciekliśmy.

Potem z mamą szedłem nieopodal.
 Przystanęłem przy rozkopanej obok dzikiej piaskarni.
 Różowopomarańczowy piasek szeleścił w oczach, osypując
 się z pionowych ścian wykopaliska.
 Stałem, chciałem
 zapytać, język,
 mój polski język stanął mi w gardle
 i jakby gardłem ruszył w głąb
 gdzieś w brzuch, w nogi i dalej w głębę:
 pod runo, pod próchnicę,
 między kryształki piasku,
 a tam skamieniałe belemnity
 jak naboje karabinu, zimne,
 łaskotały, jakże mnie łaskotały
 w język, w ślinianki, we wszystko.
 – No, chodź już, nie stój tak – powiedziała mama. – Chodź, –
 więc poszedłem.

Chwila: niepewna

(nad 54° 00' 38.3" N 21° 28' 40,1"E)

*...odkąd muzyka to historia
 tworzona przez niemieckiego dj miksuje obozy
 z polskimi oborami z prędkością scootera
 Rafał Różewicz, „Zima z radiem”*

A gdy ruszyć piaszczystą drożyną nie w zwykłym kierunku, ale
 ku splątanym przestrzeniom przyrody, co człowiek dogląda z rzadka,
 u stóp pobliskiego pagórka można znaleźć miejsce,
 gdzie cherlawa jarzębina strzeże wejścia na wąziutką ścieżkę.
 Tam w świetle miliona spłachetków utkanych ze słońca i cienia
 wydłużone i wąskie listki tworzą ażurową kopułę
 przed wejściem, a kiście kuleczek jarzą się wrażliwą czerwienią.

Dziecięcymi swoimi nogami raz wbiegłem w to miejsce dysząc
 (bo tak chciała beztroska zabawa) i stanąłem jednak spięty

tajemnicą, co jakoś tam była – istniała, dzieliła życie
na to, co przed i co potem; kazała wciągnąć oddech
głęboko, po pięty, jak wówczas, gdy potem raz dziewczyna
zechciała poczuć dotyk moich ust na swoich,
a ja z wolna zbliżałem wargi do jej warg rozchylonych, spierzchniętych.

Płatanina liści na krzewach – po lewej i prawej stronie
ścieżki zmieniała wszystko. Świat, który był
w głębi, zapraszał, witał – wszedłem w niego cicho.
Stromym ściegiem ścieżki podążyłem, aż ta stała się
już bardzo zarośnięta, niejasna. Tam bawiąc się łanem paproci,
w pewnym momencie dotknąłem twardej, szorstkiej sztaby:
jej lęk zmroził mnie do kośćca, bo co to, no co to tam było?
Udeptałem pierzaste paprocie – chciałem przecież widzieć
ten przedmiot straszliwy, stary, po części czarny i rudy.
Pochylony w zgięciu przede mną odkrywał kanciaste litery,
a ja, rozciekawiony przedszkolak odczytałem je z ogromnym trudem:
Gott mit uns.

Ten słup zdziwienia
w oczach i mrok miejsca
ciężką sprężyną
wypchnęły mnie w dół
ścieżką tam gdzie stok
kończył się jarzębiną,
a podwórko swój brzeg
wpasowywało we wzrok
z dziwną miną. Ruszyłem –
rączy bieg wprowadził
mnie na nowo w obieg
spraw i zabawy, co szalowo
się zapowiadała: właśnie
brat wykrył pod szopą
nieco bezładny psikus
rzeczywistości, co w rytm
płył pilśniowych układała
się w rzadki szyk auta
marki mikrus. Dosiedliśmy
we dwóch tej gratki,

co nagle stała się statkiem
 oderwanym od brzegu świata,
 kosmicznym prawie.
 Niczym w kapsule na orbicie
 manipulowaliśmy tym i owym:
 kierownicą, lusterkiem, drążkiem
 biegów tak czule, lecz
 tekturę nie sposób oszukać
 z każdym ruchem udawało
 nam się, zgrzyt, coraz więcej,
 zgrzyt, odłupać, oderwać, popsuć.
 W końcu, otwierając drzwi,
 urwaliśmy je.

Bieg, ależ potem był bieg.
 W końcu czekał nas dom, przed
 telewizorem biegł czas
 bezpiecznie: noc, ranek,
 cały dzień przedszkole,
 a po powrocie przywitał
 nas oto porządek
 przed szopą. Ojciec, au, nie,
 nie dał rady odbudować łazika –
 pogoda wiosenna, niebieska –
 sprzedał auto.
 Za uzyskany majątek
 kupił motor marki WSK.
 Ten nie działał i też
 bez ruchu stał, tygodniami
 się psuł ustawiony przodem do pagórka,
 gdzie cherlawa jarzębina strzegła wejścia na wąziutką ścieżkę,
 tam gdzie odczytałem z trudem: Gott mit uns.

Alx z Poewiki

Alx z Poewiki, (1973 Reszel) – poeta i mieszkaniec wioski o nazwie Poewiki. Od czasu do czasu gości w różnych internetowych forach literackich. Jest zafascynowany językiem – jego melodią, rytmem, logiką. Utwory napisane przez niego – jeśli się dobrze poszuka – znajdzie się w „Przekładańcu”, „Interze”, „Pocztówkach Literackich” miesięcznika „Odra”, „Helikopterze”, „2miesięczniku” oraz „Ricie Baum”. Debiutował książką poetycką „Kto?” (Fundacja Duży Format, 2014), zawierającą zagadki na temat 21 światowej sławy polskich uczonych.

RECENZJE

Jerzy Lengauer
Hubert Orłowski
Winfried Lipscher
Bernadetta Darska
Ewa Czerwiakowska
Kazimierz Brakoniecki
Paweł Jaskulski
Anna Maziuk
Magdalena Kardach
Leszek Szaruga
Elżbieta Traba
Marta Wiśniewska

Jerzy LENGAUER

Syn mazurskiej leśniczówki

Ernst Wiechert, *Moje życie, moje czasy*,

tłum. Krzysztof Gębura, Olsztyn: Borussia, 2016

Do roku 2017 Wiechert i jego twórczość pomieszkiwali w moich myślach dwojako. Trudno powiedzieć, żeby owo zakwaterowanie było wspólne, wymieszanе, jednoczesne. Raczej gdy pojawiało się jedno, znikало drugie. Kiedy wspominałem dzieciństwo i wczesne nastoletnie lata z segmentem „stylowskim”, przeróżne „biblioteczki” o wiśniowej politurze, z których wypadały co jakiś czas szyby, żeby w końcu zdenerwować ojca lub matkę i zostać wyjęte na zawsze, Wiechert był jednym z napisów na grzbietach stojących tamże książek. Próbuję sobie przypomnieć inne nazwiska. Pojawia się jedynie Wiech ze swoim „Śmiech śmiechem” i „Cafe »Pod Minogą«”. Gdy przeczytałem wszystkie młodzieżowe książki i wyczerpałem możliwości biblioteczne w czasach PRL-u, z ciekawości sięgnąłem, nie wiadomo dlaczego, po Wiecha, a nie Wiecherta. Warszawiak wygrał z pisarzem urodzonym o jakieś czterdzieści kilka kilometrów od XIX-wiecznego Rastenburga, pełnego Niemców, Mazurów, Żydów i potem... masonów.

233

Autochton to *rdzenny mieszkaniec danego obszaru, tubylec*. Tyle na ten temat podaje pewnenowski

„Wielki słownik wyrazów obcych” pod redakcją Mirosława Bańki¹. Jeśli rzecz w rdzeniu, to oczywiście nie mam się co porównywać do tubylczości Wiecherta, bo moi rodzice, nie wspominając o dziadkach, nie urodzili się na tych terenach. W autobiografii pisarza „Moje życie, moje czasy” przeczytamy o związkach Wiecherta z Prusami Wschodnimi, które pojawiły się jeszcze przed jego urodzeniem. Zwracam tu uwagę na relacje autora z jego ojcem, zasiadziałym w leśniczówce, potem na wsi, wśród łąk i pól, nad brzegami jezior, zapewne także w sunących po taflach słodkowodnych zbiorników łodziach.

Z tej łączącej Wiecherta seniora i juniora linii genetycznej, wychowawczej, z podglądania, podpatrywania, brania przykładu, zapewne i dziecięcych prób upodobniania się do ojca, wyrasta swoisty leśny sowizdrzał, rozumiany jako włóczęga, włóczykij, co podpowiadają wszak słowniki synonimów. Włóczęga, który nad czerpanie fizycznych, materialnych, ekonomicznych, gospodarczych, finansowych korzyści z otoczenia przedkłada jakieś uniesienie, pomieszenie panteizmu i humanizmu, poezję, spokój. Mnóstwo w autobiografii fragmentów, które na to wskazują, podkreślają uczucia, jakimi młody Wiechert darzy lasy gdzieś pomiędzy Mrągowem (niemieckie Sensburg) a Rucianem-Nidą (przed II wojną światową Rucdaczany). Chociażby pisze tak:

...towarzyszyło mi jednak trochę uczucia uniesienia i ekstazy, kiedy wracałem do bliskiego mi otoczenia [...]. O ile miłszy dla ucha stawał się szum wierzchołków drzew w porównaniu z wszelką muzyką słyszaną w mieście. Długo też mogłem leżeć we mchu, przytulając twarz do ciepłych, drobnych roślin².

Jego powroty po pobieraniu nauk w gimnazjum, po studiach, po pierwszych dorosłych obowiązkach zarabiania poza rodzinnym domem – w Królewcu i nad Zatoką Kurońską – zawsze kończyły się wyrażaniem w taki właśnie sposób emocji. Bardzo poetyckiego, czasami aż tak bardzo przeraźliwie przesiąkniętego tęsknotą i melancholią, że przywodzącego na myśl zdeperowaną afektywność powrotu nie na łono natury, lecz do łona matki: ciepłego, cichego, bezpiecznego, odgradzającego wrażliwego człowieka od niebezpieczeństw świata zewnętrznego. Faktycznie w mazurskich, pruskich lasach, tuż na skraju Puszczy Piskiej wielokrotnie dochodzi do połączenia Wiechertowskiego wnętrza i zewnątrz. Prawdopodobnie w jakiś dziwny, niepojęty współczesnemu człowiekowi sposób rodzi się humanizm Ernsta Wiecherta, który ulepia go jako wrażliwego poetę i literata, tudzież niezwykle tolerancyjnego i wyjątkowo rozumiejącego uczniów i studentów nauczyciela i akademika. Gdy pisarz nieco epatuje czytelnika mnóstwem nazw roślin i ptaków (ogromne wrażenie wywołują co rusz wplecione literackie opowieści, gdzie niczym Reymont w „Chłopach”, Mysłowski w „trylogii wiejskiej” albo Thoreau w „Waldenie” maluje na niebie, łąkach, drzewach, morzu, jeziorach mowy, żurawie, czaple, jerzyki gdzieś w oddali, lecące, znikające za horyzontem, lub ich głos, wyznaczający porę dnia, porę roku – cykl życia człowieka poza obrębem murów i zgiełku ulic

¹ Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN, 2011.

² E. Wiechert, *Moje życie, moje czasy*, tłum. K. Gębura, Olsztyn: Borussia, 2016, s. 39.

miast), to znajdujemy w tym odpowiedź na jego pytania o wybór drogi życiowej, studenckiej, akademickiej, zawodowej w końcu. Być może w tym właśnie czasie rodzi się ledwo dostrzegalny konflikt Ernsta Wiecherta z ojcem, jakaś drobna szara chmurka nad miłością matczyną:

Kiedy wróciłem już do domu, nie miałem zupełnie czystego sumienia wobec ludzi z mojego leśnego środowiska. Raczej to ukrywałem za zasłoną niejednej niewinnej, długiej przemowy. Wiedzieli chyba, że pierwszy dzień pracy niekoniecznie przynosi od razu złoty medal. Nie pytali także zbyt wiele. Ojciec chciał chyba tylko skromnie dowiedzieć się o nazwy kilku roślin³.

Otóż właśnie, Wiechert filolog czy leśnik, może botanik? Nie zamyka się ani w drewnianej chacie na polanie, której dach pokryty jest darnią, ani, przynajmniej na początku, w książkach. Gdy zatrząskują się za nim od środka uniwersyteckie bramy, szuka, przyznaje się, że błądzi, nabiera doświadczenia. Czytelnik tych królewieckich fragmentów autobiografii jest świadkiem drugiego już, po panteistyczno-przyrodniczych wyrażeniach uczuć, mistrzowskiego pióra Wiecherta, eleganckiego, interesującego, wcale nienudzkiego, bez swady, lecz delikatnie dociekliwego i obnażającego opisywany obiekt dzięki wrodzonemu zmysłowi obserwacji, który w połączeniu ze znakomitą interpretacją wyglądu zewnętrznego, zachowań i plotek, tudzież pogłosek zanurza czytelnika w świat nie tylko akademicki (wykładowcy, studenci), ale i mieszczański (stancje, na których student Ernst Wiechert pomieszkiwał). Nie ukrywam, choć to w jakimś sensie stawia mnie w dość niezręcznej sytuacji dość infantylnego czytelnika – że opisy postaci są dla mnie w autobiografii Wiecherta deserem, cygarem, kawą podaną w filiżance Rosenthal o kolorze *écru*. I nie tyle w pruskim Królewcu, weimarskim Berlinie, lecz kosmopolitycznym Wiedniu czasów austro-węgierskich. Owe przyjemności pisarz będzie serwował z wdziękiem nienagannego pod względem kultury, manier, języka i stroju kelnera podającego na srebrnej tacce także poranny dziennik. Zastanawiam się, czy użyć słowa „osobliwości”? Nie, jednak nie zamierzam. Postaci, o których Wiechert wspomina, to ludzie, z którymi się spotyka na swojej drodze, studenta, nauczyciela, pisarza, podróżnika. Zawsze odnośmy wrażenie, że jego ocena, której prawie nigdy nie unika, jest sprawiedliwa. Nie w tym jednak rzecz. Czy to czasy, czy umiejętność pisarska, czy wrażliwość literacka, bądź cokolwiek innego, ale za każdym razem Wiechert opowiada nam o ludziach od Królewca, przez wschodni region nadbałtycki, Berlin, Francję, Szwajcarię aż po Bawarię. Jeżeli poetyka opisów przyrody, bądź raczej ekspresji uczuć autora związanych z mazurską i nadbałtycką naturą, daje obraz świata zastygłego w spokoju, boskim humanizmem, zaś odgłosy istnienia są anielskimi chórami, kierującego człowieka na ścieżki tylko wyższych uczuć, to za pomocą portretów ludzkich pisarz przedstawia czytelnikowi swoistą galerię Europy Środkowo-Wschodniej z muzeum pierwszej połowy XX wieku. Przy każdym obrazie znajduje się notatka sporządzona przez Wiecherta. Wskazuje na pochodzenie postaci (geograficzne, klasowe) i, co wydaje się najważniejsze dla tak wnikliwego obserwatora i klasyfikatora (jakież to podobieństwo do pracy przyrodnika!),

.....
3 Tamże, s. 38.

wartość człowieczą osobnika. Nie wątpię, że autor przeprowadza owo dokooptowanie do odpowiednich zbiorów przez pryzmat swojej postawy intelektualnej i moralnej, wzorowanej nie tyle na Odrodzeniu i antyku, ale mazurskim panteizmie. Godne podziwu jest, że pisarz w ciemnych latach 30. nie przekreśla osób zafascynowanych nazizmem. Dostrzega w nich strony jasne, wydobywa na wierzch, traktuje ze zrozumieniem. Podobnie jest w stosunku do komunistów.

Waltera Husemanna odwiedziłem dwa lub trzy razy w Berlinie. Do niewielu ludzi czułem taką sympatię jak do niego. Był przekonany komunistą, wierzył w swoje dogmaty, podobnie jak każdy człowiek żyjący wiarą⁴.

Jeszcze zanim zostałem aresztowany, moje książki przyczyniły się do zawarcia przyjaźni z ówczesnym nadleśniczym krajowym Badenii Wilhelmem Hugiem. Jeśli chodzi o jego przekonania, był niewzruszonym narodowym socjalistą, kawalerem złotej odznaki partyjnej, starym „wiarusem”, ale mimo to „przyzwoitym człowiekiem”, jak zanotowałem w dziennikach⁵.

Wielokrotnie przy ważnych dla Wiecherta ludziach pojawia się słowo: „miłość”. Częstotliwość i – ze współczesnego punktu widzenia – nieadekwatność jego użycia wzbudza zniecierpliwienie, nawet zażenowanie. Wydaje się, że mazurski poeta szafuje emocją, ponad miarę nią obdarza. Mamy wrażenie, że powinna być zarezerwowana jedynie dla rodziców, żony, dzieci, kochanki. Cóż, jakże bardzo jesteśmy w XXI wieku, zaś Wiechert w XIX. O jednym z najbliższych dla siebie mężczyzn pisze tak:

Gdybym nie wytrwał, nie zasłużyłbym na ponowne spojrzenie jego oczu. Nie mogę wyrazić tego inaczej niż w słowach: „Pozostałem w jego miłości, podobnie jak w Miłości Boga”⁶.

Ileż w tym krótkim, prawie erotycznym, zdaniu wyraża się powieściowa poetyka siostr Brontë albo Wilkiego Collinsa. Równoważenie miłości boskiej i ludzkiej, którą Wiechert kiedy indziej mógł odkryć, jak nie wtedy, gdy przytulał twarz do wilgotnego mchu i słuchał świergotu jerzyków?

Jak hojnie używa – bo wcale przecież nią nie obdarza – miłości, tak również zdecydowanie gani. A czasy ku temu szczególnie sprzyjają. Strofowanie jest przepełnione smutkiem, po wielokroć rezygnacją, oczywiście tęsknotą i ucieczkami do lasu, za granicę. Z głupotą, chamstwem, pozerstwem, hipokryzją, obłudą, pogardą w stosunku do ludzi, nienawiścią do otoczenia, butą spotyka się – rzecz jasna – już w środowisku akademickim. Cóż, i miłość, i humanizm, i wszelkie zło mieszają się w pruskim kotle. W początkowych rozdziałach Wiechert ów kalejdoskop moralności traktuje jako zwykłą różnorodność, być może spotkanie sielskiej mazurskiej

4 Tamże, s. 289.

5 Tamże, s. 286-287.

6 Tamże, s. 279.

wsi i wielkomięjskości, tudzież snobizmu magnaterii pruskiej. Następnie opisuje w ten sposób schyłek Republiki Weimarskiej i narodziny Trzeciej Rzeszy. Szczególne znaczenie ma tu udział pisarza w I wojnie światowej i prześladowania w trakcie II, poprzedzone uwięzieniem w obozie koncentracyjnym. W „Moje życie, moje czasy” poświęca tym okresom najwięcej stron. Wydaje się to zrozumiałe. Tak ogromny przewrót w traktowaniu ludzkiego istnienia (niewymagający tutaj przecież żadnego komentarza; odsyłam choćby do Primo Leviego, Hannah Arendt, Giorgio Agambena, Güntera Grassa) wywiera straszliwy wpływ na wrażliwym literacie i prowokuje do intelektualnych, moralnych, etycznych i religijnych rozważań podszytych zagubieniem, niemożnością tworzenia lub jego wzmożeniem. W tym czasie pisarz ucieka za granicę, podróżuje, próbuje się konfrontować z nową rzeczywistością, podobnie jak było po jego udziale w I wojnie światowej.

Tak czy inaczej nigdy na długo nie przerywa pracy pisarskiej. Z niesmakiem wspomina działalność literacką w czasach nazizmu. Przerazająco, jak opowieści z okopów roku 1918, o strachu przed aresztowaniem w latach 30., czy o lęku o życie w obozie koncentracyjnym, brzmią opisy spotkań autorskich, którym przyglądają się ludzie z czerwono-białymi opaskami na ramię z szydzącą czernią swastyką. Ta dramatyczna twoga, tragiczna obezładniająca bojaźń spowodowała, że pisarz zakopywał swoje relacje z tego okresu w przydomowym ogrodzie. Tematem autobiografii *jest własne życie autora, jego koleje losów i czyny, zdarzenia, których był świadkiem, doświadczenia, których nabywał, ewolucja zapatrywań i postawy wobec świata* („Słownik terminów literackich” pod redakcją Janusza Sławińskiego⁷). Własne życie... Dopiero w jakiś czas po zakończeniu lektury skonstatowałem, jak mało w „Moje życie, moje czasy” jest Wiecherta dziecka. Być może na blisko czterystu stronach wspomnień znajduje się parę fraz dotyczących kilku- bądź kilkunastoletniego Ernsta. A to przy ojcu leśniku, a to jakieś słowa matki. Czy to wynik chłodnych relacji z rodzicami? Wszakże sporo o nich w książce pisze. Szczególnie dużo miejsca poświęca ojcu. Dramatycznie opisuje śmierć matki, o przypadkowym ocaleniu w czasie I wojny tak pisze: *Wydawało mi się, że uratowało mnie przed śmiercią poczucie obowiązku albo ocalił mnie duch mojej matki*⁸. Z kolei bardzo zdawkowo traktuje starszego brata, młodszego, zmarłego w 1895 roku, nie wspominając. Może to kwestia dość szybkiego opuszczenia domu rodzinnego i wadzenia się z sobą samym szukającym miejsca do pracy i tworzenia literatury w świecie albo mazurskich lasach?

Dziwne, powikłane i czymś zmącone są u Wiecherta bliskości z rodziną. W jakimś stopniu zakrywają ponurą mgłą jego pierwsze małżeństwo:

*Trudno mi mówić na ten temat, jednak nasze światy – mój i żony – nie dopasowały się do siebie tak, jak sądziłem, co byłoby potrzebne, aby zrodziła się podstawa ogromnego spokoju*⁹.

Ów spokój zapewniła sobie Meta Wiechert, trując się po stracie dziecka. Jej grób znajduje się na Mazurach. Nie było ani ciszy, równowagi, pogody, ani zatem miłości. My, ludzie wychowani

⁷ Wrocław: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 2008.

⁸ E. Wiechert, dz. cyt., s. 132.

⁹ Tamże, s. 110.

w czasach względnego spokoju, bezwzględnego braku wojny, pozbawieni straszliwych rozstań i nieszczęsnych wyborów, jak możemy zrozumieć oficera, ba! wybaczyć i nie pomyśleć o Wiechercie jako samolubnym, egotycznym, egocentrycznym, wielokrotnie zadowolonym z siebie bohaterze ojczyzny odznaczonym Żelaznym Krzyżem, nauczycielu i literacie szukającym tylko i wyłącznie spokoju, gdy:

W listopadzie urodził mi się syn, ale umarł, zanim go zobaczyłem. W moim domu nie rozumiano, że nie wziąłem wtedy urlopu. Ja z kolei nie rozumiałem, jak można myśleć w taki sposób, szczególnie kiedy umiera bardzo wielu synów i państwo nie ma czasu udzielić urlopu z powodu śmierci¹⁰.

Ta postawa nie jest naganna, nieetyczna, amoralna. Ona w jakiś sposób dowodzi braku miłości u Ernsta i Mety. Dopełnia wizerunek pisarza szukającego czegoś innego niż rodzina, dzieci. Przeraża zaś porównanie fragmentów, gdy Wiechert z czułością pisze o swoich przyjaciółach, ludziach bliskich spoza rodziny, poznanych na studiach, w wojsku, do tego nawet nie chłodu uczuciowego, ale jakiejś suchej okrutnie relacji, owiniętej w nieomylną własnych poczynań, które idą w parze z nadrzędnością... otóż właśnie, czego?

Ernst Wiechert nie pisze z dokładnością chronologiczną. Daty pojawiają się mniej więcej od lat 30. Często wraca wspomnieniami do tych samych zdarzeń. Nazwy geograficzne też nie pojawiają się zbyt często. Nie ułatwia czytelnikowi odnalezienia ważnych dla pisarza miejsc, ponieważ pomija szczegółowość. Dokładny z kolei jest w historii własnej twórczości. I to gratka dla czytelników zainteresowanych nie tylko samą treścią utworów, ale historią ich powstania, ówczesną sytuacją polityczno-społeczną kraju i emocjonalną Wiecherta, uczuciami autora związanymi z tworzeniem i wydawaniem książek. Niezwykle ważne wydaje się wymienianie imion i nazwisk współczesnych Wiechertowi pisarzy i poetów. Jego adwersarzy i braci po piórze. To kolejna gratka dla zainteresowanych niemiecką literaturą.

Książka wydawać się może nierówna. Wrażenia, uczucia, afekty, podniety przekreślają czasami całe strony, jakby autor się złościł, smucił, popadał w niezrównowagę albo mistyczne uniesienia. Czasami dostrzec można podobieństwo do twórczości Hessego, z którym Wiechert spotkał się co najmniej raz. Bliższa jest takim fragmentom autobiografii „Podróż na Wschód” niż „Wilk stepowy”. Aczkolwiek wskazuje to na pewien kierunek dyskusowanych poglądów, który zapewne opanowywał spotkania niemieckich twórców literatury i poezji. Z kolei powojenna beznadzieja, szaleństwo straszliwych przeżyć, lęk przed przyszłością zdaje się przywoływać Imre Kertésza, porównywalnego oczywiście nie pod względem doświadczonej przezeń dramatów, ale człowieczej i literackiej wrażliwości.

Przyznaję, że prawdopodobnie nigdy bym nie sięgnął po Wiecherta, gdyby nie seria przypadkowych zdarzeń, i nie wiem, czy będę miał okazję poznać jego kolejne utwory. Poniekąd zrozumiałe jest, że w ważnych szkołach województwa warmińsko-mazurskiego, niegdyś olsztyńskiego, trzydzieści lat temu o Wiechercie się nie wspominało. Rozglądając się po miej-

10 Tamże, s. 145.

scowym kulturalnym otoczeniu, widzę, rzecz jasna, Kętrzyńskiego, Holza, Nowowiejskiego. Ani słowa jednak od lat o Wiechercie. Dwadzieścia kilka kilometrów od Mrągowa, niecałe dziewięćdziesiąt od Olsztyna, około stu od Królewca. W miejscu dumnym choćby z pracy Zofii Licharewej, prawie równolatki Wiecherta, i wydanych niedawno wspomnień autochtonów.

Jerzy Lengauer

Hubert ORŁOWSKI

Spojrzenie na Prusy z sarmatyzmem w tle

Dariusz Łukasiewicz,
Sarmatyzm i Prusy na przełomie XVIII i XIX wieku,
Warszawa: Instytut Historii PAN, 2015

Nieledwie równolegle ukazały się na naszym rynku księgarskim dwa opracowania poświęcone dziejom Prus, w tym również – choć nie w szczególności – miejscu Prus w dziejach Polski. Mowa o zbiorowej monografii „Prusy – mity i rzeczywistości”, wydanej jako 41. tom serii wydawniczej Poznańska Biblioteka Niemiecka w opracowaniu Hansa-Jürgena Bömelburga i Andreasa Lawaty’ego, oraz o wyżej wymienionej monografii „Sarmatyzm i Prusy na przełomie XVII i XIX wieku” Dariusza Łukasiewicza. Status poznawczo-genologiczny obu tomów jest oczywiście różny; w pierwszym przypadku mamy do czynienia z dokumentacją zaistnienia Prus oraz fenomenu „pruskości” w grupowej świadomości niemieckiej, w drugim natomiast z opowieścią o zderzeniu, o klinczu tożsamości Rzeczypospolitej „sarmackiej” z habitusem „pruskości”, o mentalnych relacjach Rzeczypospolitej oraz XIX-wiecznego pruskiego zaboru z ideologią państwa pruskiego. Twórcy tomu „Prusy” wyznają szczerze we „Wprowadzeniu”, iż to nie relacje polsko-„pruskie” stanowią nurt wiodący przedłożonego konceptu, jeno sama szczególność państwowości (oraz „men-

talności”) pruskiej, a także *iz na historyczne Prusy składa się wiele rzeczywistości, mimo zadawanego sobie przez nie trudu, by oddziaływać zasadniczo, surowo i potężnie, a więc jednoznacznie*.

Czas wreszcie, aby spojrzeć na monografię poznańskiego badacza, znawcy materii pruskiej, co dokumentują zarówno jego liczne prace monograficzne, jak i mnogość prac mniejszych. Zamieszczenie niechby kilku uwag o tej pracy na łamach „Borussii” uzasadnione jest z pewnością przeszłością, przeszłością „Atlantydy Północy”.

Na ponadpięćsetstronicowy tom spojrzeć można na kilka sposobów, w tym również poprzez pytanie o nowe ustalenia w oparciu o nowe źródła. W tym przypadku poprzestanę na zasygnalizowaniu mocnego wejścia Łukasiewicza do polskich debat **dyskursem modernizacji (pruskiej)**, dla naszych uszu jakże zgrzytliwie brzmiącym. Na pierwszy rzut oka, gdy spojrzeć na spis rzeczy, czyli zatytułowania ośmiu rozdziałów, monografia wydaje się nieledwie „brockhausenem” pozytywistycznie poskładanej wiedzy na temat kondycji społeczno-gospodarczo-cywilizacyjnej „ziem pruskich”. Mowa jest bowiem o „wsi i włościanach”, o „miastach i ich reformie”, o „zdrowiu, higienie i brudzie”, „edukacji” oraz „systemie fiskalnym, o kredytach, ubezpieczeniach i emeryturach” oraz „życiu codziennym pod zaborem pruskim” i na koniec o „służbie domowej”.

Tak należałoby ocenić tom, gdyby nie rozdział pierwszy, strategicznie zatytułowany „**Sarmatyzm, Prusy i nowoczesność**”. Tytuł ten stanowi swoiste dopowiedzenie tytułu tomu, z tym że w tytule rozdziału do czytelnika mruga porozumiewawczo narracyjnie strategiczne pojęcie nowoczesności (modernizacji)! Sam rozdział zajmuje blisko jedną czwartą całości! Nie będzie zatem interpretacyjnym nadużyciem stwierdzenie, iż inności tej monografii o Prusach dopatrywać się przede wszystkim należy w modernizacyjnym **sformatowaniu „pruskiej drogi odrębnej”**. (Może sformułowanie to jest i nieco na wyrost, ale w tak ascetycznie skrótowym tekście niedane mi jest rozpisywać się z rozmachem epickim).

Mało tego. Poznański historyk odważył się zrekonstruować, wydobyć oraz **korzystnie zweryfikować modernizacyjne miejsce Prus** na mapie nie tylko niemieckich (czy niemieckojęzycznych) krain, oraz podzielił się refleksją nad **konsekwencjami** tych procesów dla rozwoju Niemiec. Takie spojrzenie samo w sobie może spotkać się nie tyle z niezrozumieniem polskich badaczy w zakresie historii, co z ich gwałtownym sprzeciwem, zwłaszcza że i sarmatyzmu autor nie darzy sympatią. Dowodzą tego nie tylko *expressis verbis* sformułowane osądy, ale przede wszystkim sam tok prowadzenia narracji.

241

Wagę monografii Dariusza Łukasiewicza dostrzegam nie tylko w jej dydaktycznym przetrząsaniu zastałych osądów Prus oraz w wątpieniu w ustalenia (wydawałoby się) apriorycznie niewzruszalne, ale również w **mnogości materiałowo-dyskursywnych pomniejszych narracji** w siedmiu kolejnych rozdziałach.

W potężnym tomie poznańskiego historyka warto się rozczytywać, **zezując** przy tym na (nieobecne?, przemilczane?, niezaistniałe?) zjawiska modernizacyjne Atlantydy Północy. Zaiste, kwestia to zastanawiająca: Ani w narracji Dariusza Łukasiewicza, ani w pozbieranych w gorączkowym pośpiechu borussiańskich miejscach pamięci nie znalazło się miejsce dla jakichkolwiek partykuł procesów modernizacyjnych. Nawet kolej i jej niepodważalna rola cywilizacyjna w tej (nawet) *przez Boga przespanej/prześnionej krainie* (Kirst) natknęła się na niezbyt łaskawe spojrzenie prawodawców od miejsc pamięci.

Hubert Orłowski

Winfried LIPSCHER

Siostry katarzynki Refleksja osobista

Relinda Meiwes,
***Klosterleben in bewegten Zeiten. Geschichte
der ermländischen Katharinenschwestern
(1914-1962)***, Paderborn: Ferdinand Schöningh, 2016

Na wstępie od razu powiem: książka jest fantastyczna i kompleksowo oddaje życie kongregacji sióstr katarzynek na Warmii. Jest książką naukową, opierającą się na obszernym materiale źródłowym, ale jest też pozycją bardzo ciekawą do czytania.

Ja natomiast w tym kontekście pozwalam sobie pochylić kilka uwag osobistych, bowiem pochodzę z Warmii i takiej katarzynce właściwie zawdzięczam moje życie.

Siostry katarzynki były nierozdzielną częścią składową Warmii, a to zarówno za czasów niemieckich, jak i polskich. Już jako dziecko, mając kilka lat, moja mama chodziła ze mną do siostry Sylwany (Kretschmann) w miejskim szpitalu św. Antoniego w Wartenburgu (obecnym Barczewie), gdzie mieszkaliśmy. U siostry Sylwany otrzymywałem naświetlania, tzw. Höhen-sonne, co miało przyczynić się do poprawy mojego zdrowia, bo byłem dzieckiem wątłym i słabym. Jeszcze dzisiaj mam „w nosie” zapach tych lamp w kolorze

zielonym i to, że musiałem zakładać ciemne okulary. Siostra Sylwana robiła wszystko, by mi było dobrze.

W styczniu roku 1945 nastąpiła ucieczka naszej rodziny przed nadchodzącą Armią Czerwoną, a następnie powrót w listopadzie tego samego roku do zupełnie innego świata. Rosjanie akurat byli w trakcie przekazywania władzy Polakom, no i rozpoczęło się życie zupełnie od nowa, bez naszego mieszkania, bez pracy mojego ojca, no i zupełnie w skrajnie innym środowisku. Szczegóły tamtych lat są raczej powszechnie znane.

Ale ostały się u nas trzy siostry katarzynki, szczególnie moja ukochana siostra Sylwana. W mieście nie było infrastruktury, nie było przede wszystkim lekarza. A siostra Sylwana, która już za czasów niemieckich usługiwała na sali operacyjnej, starała się opiekować chorymi. Była lekarzem, pielęgniarką i opiekunką w jednej osobie. Nie wiem, skąd zdobyła zastrzyki glukozy, ale przychodziła do nas do domu i aplikowała mi takie zastrzyki. A to wyglądało tak: siostra posiadała jedną igłę, wygotowywała ją na małym palniku z denaturatem. Mojej mamie kazała trzymać kawał czerwonego wężyka zakręconego wokół mojego ramienia, by wyszła żyła, no i w ten sposób dawała mi zastrzyk. Następnie wygotowywała igłę i było po wszystkim. Może miała jeszcze jedną zapasową. Nie wiem, ale nikt niczym się nie zaraził, wszyscy przeżyli. Takimi zastrzykami i wieloma innymi medycznymi zabiegami siostra Sylwana pomagała ludziom, a ja jestem przekonany, że zawdzięczam jej życie.

Miejscowy barczewski kronikarz Wojciech Zendrowski w 35. rocznicę śmierci siostry Sylwany (zmarła w Lidzbarku Warmińskim 1 lipca 1976 roku) pisze o niej tak:

Pomimo zbliżającego się wschodniego frontu, z narażeniem życia, czując potrzebę służenia innym, pozostała w Barczewie... Siostra Sylawna była nie tylko człowiekiem głębokiej wiary oraz radosnego i pogodnego usposobienia, ale znano również jej wrażliwość na ludzkie cierpienie. Była blisko ludzi i na każde ich zawołanie. Niosła dobre słowo oraz nadzieję, szczególnie w pierwszych latach powojennych, kiedy wiele osób zawdzięczało jej życie.

(„Gazeta Samorządowa”, 8 (2016), wrzesień 2011)

244

Innym razem – ale to dla dodania kolorytu – powiem, że podczas wędkowania nad rzeką wbił mi się haczyk w palec lewej ręki. Mój ojciec uciął z wędki haczyk na żyłce, a ja polecałem do siostry Sylwany, która skalpelem wycięła haczyk bez znieczulenia i zabezpieczyła plastrzem. Bliznę na palcu mam do dzisiaj. Jest pamiątką po siostrze Sylwanie.

Siostry katarzynki – Sylwana, Justyna i Floryna – były ostoją naszego życia, tym bardziej że były to Niemki, bo moi rodzice przecież nie znali języka polskiego.

Sylwana nawet po nocach odwiedzała chorych, czasami konających. Kiedy latem, przy dobrej pogodzie, siedzieliśmy na ławeczce przed domem, słyszało się zgrzyt zardzewiałej furtki cmentarnej – a mieszkaliśmy blisko cmentarza – mówiliśmy, że duchy chodzą, ale tym duchem była siostra Sylwana wracająca od chorego, szła przez cmentarz, bo było jej bliżej do domu. Ona zmarłych się nie bała.

Siostry katarzyńki przynależały na Warmii do każdej parafii, jak proboszcz. Nie miały określonych lub wydzielonych godzin pracy, nie otrzymywały pensji. Były po prostu obecne zupełnie bezinteresownie z pobudek religijno-etycznych. W domach prywatnych dawało się im trochę pieniędzy albo jedzenia. Moja mama częstowała siostrę ciastem, którego nie jadła przy nas, tylko zabierała do domu. Siostry zakonne nie jadły u ludzi, to było u sióstr nieprzyjęte, obowiązywał rygor neutralności, by się taka siostra nie poczuła u konkretnej rodziny za dobrze i nie zaczynała się bratać z taką rodziną.

Czy takie zachowanie było uzasadnione, nie wiem, ale nikt nie narzekał, tym bardziej siostry. One zawsze były na posterunku z powołania. Rano zjawiały się o godzinie 7 na mszy świętej w kościele, a wieczorem jeszcze odwiedzały chorych aż do późnej nocy. Często pełniły nocne czuwanie u umierających.

Sprawą zupełnie wyjątkową jest fakt – a powyżej wspomniana książka o tym mówi – że po wojnie kongregacja sióstr katarzynek pozostała w Braniewie na Warmii i tam tak samo jak przed wojną znajdowała się ich centrala. Do sióstr Warmiaczek – Niemek – dołączyły Polki. Narodowość była drugorzędna. I tak jest do dzisiaj. To wspinały przykład pojednania polsko-niemieckiego.

Ja będąc w latach 1971-2003 niemieckim dyplomatą w Warszawie, utrzymywałem kontakt z „moją” siostrą Sylwaną, póki żyła. Mam nawet jej zdjęcie przed Domem Starców w Barczewie, dokąd siostry mogły powrócić i tam usługiwać chorym.

Jestem dumny, że jako niemiecki dyplomata pochodzący z Warmii byłem obecny w Warszawie 13 czerwca 1999 roku, kiedy to polski papież Jan Paweł II ogłosił Reginę Protmann – założycielkę kongregacji św. Katarzyny – błogosławioną.

Szczęśliwym przypadkiem losu jest fakt, że ukazała się książka Relindy Meiwes na temat historii kongregacji św. Katarzyny. Nie pretendując do tego celu, książka stała się jednak przyczynkiem do pojednania polsko-niemieckiego. Polecam tę książkę, która aktualnie egzystuje niestety tylko w języku niemieckim.

A ja jestem wdzięczny, że tymi skromnymi refleksjami mogę oddać hołd katarzyńkom – w osobie siostry Sylwany z Wartenburga/Barczewa.

Język(i) i siła przetrwania

Joanna Wańkowska-Sobiesiak, *Buty Agaty / Agathes Schuhe*, tłum. na jęz. niemiecki Andrè Schmeier, tłum. na jęz. polski: Renata Barczewska, Olsztyn: wyd. na zlecenie Olsztyńskiego Towarzystwa Mniejszości Niemieckiej, 2008

Joanna Wańkowska-Sobiesiak nie ukrywa, że tereny dawnych Prus Wschodnich i losy mieszkających tutaj ludzi współcześnie rzadko stają się tematem reporterskich książek. Trudno się z tą tezą nie zgodzić. Brakuje publikacji, które pokazywałyby doświadczenia osób, które przeżyły wojnę i niełatwe czasy tuż po jej zakończeniu. Dzisiaj ludzie ci powoli odchodzą, a nie przekazawszy świadectw swoich losów innym, poddają się ostateczności przemijania. Wprowadzenie ich narracji do dyskursu głównonurtowego pozostaje zadaniem, które ciągle nie zostało wykonane. Dramat polsko-niemieckiego uwikłania na Śląsku oraz na Pomorzu ma swoich kronikarzy. Region Warmii i Mazur nie doczekał się zainteresowania współczesnych reporterów. Postulat włączenia tych świadectw w tzw. dyskurs dominujący nie jest przypadkowy. Dla zwiększenia świadomości dotyczącej tego, jak skomplikowane były biografie ludzi żyjących w Prusach Wschodnich, nie wystarczą publikacje wydawnictw regionalnych. Funkcjonowanie rynku

książki opiera się na promocji i obecności w mediach wysokonakładowych. Nawet bardzo wartościowe pozycje pozbawione tego typu recepcji skazane są jedynie na środowiskowy odbiór. Wejście z opowieścią o Warmiakach i Mazurach do głównego nurtu skutkowałoby nie tylko zwiększonym zainteresowaniem, ale i odkryciem historycznego i kulturowego bogactwa tych ziem. Wyartykułowany w tym miejscu postulat potrzeby zwrócenia uwagi na dawne Prusy Wschodnie dotyczy zarówno konieczności przyjrzenia się ludziom zwykłym, ale i przedstawicielom arystokracji mającym kiedyś w tym regionie swoje posiadłości. Warto byłoby więc wznowić i „Buty Agaty” w większym wydawnictwie, i na przykład autobiograficzne publikacje Marion Gräfin Dönhoff. Że jest w tych historiach wielki potencjał literacki, ale i że mają ogromne znaczenie dla pokazania bogactwa ludzkich losów, cierpienia i pogodzenia się z przeszłością oraz wiary w to, że można mimo wszystko żyć dalej, widać chociażby na przykładzie życiorysów bohaterek książki Joanny Wańkowskiej-Sobiesiak.

Dziennikarka w odautorskim wstępie próbuje pokazać typowość, ale i indywidualność swoich rozmówczyń. Nie ukrywa, że losy opisywanych kobiet są podobne. Jednocześnie sugeruje, że doświadczenia z młodości na tyle mocno je ukształtowały, że wyróżniają się spośród tych, które nie przeżyły tego samego, co one:

Są podobne. Schludne, wręcz pedantyczne. Różnią się od większości starszych kobiet. Zwłaszcza tym dziwnym akcentem. Twardym, jak ich życie. Od razu wiadomo: tutejsze. Akcent twardy jak ta ziemia o ostrych zimach i deszczowych, chłodnych latach. Przepastnych lasach i mrocznych jeziorach. Wszystkie – z wyjątkiem jednej – kaleczą język polski i rozmijają się z polską gramatyką. (s. 6)

Cechą definiującą bohaterki jest ich język. Kwestia ta powraca właściwie w każdym z biograficznych portretów. Na niedociągnięcia, błędy kładzie nacisk reporterka, ale i opowiadające o sobie kobiety nie mają złudzeń. Akcentują swoje zagubienie w języku. Nie do końca są w stanie określić, co je konstytuuje i który język tak naprawdę do nich należy. Nie przeczą, że na poziomie komunikacji niejednokrotnie doświadczyły przemocy. Są również świadome tego, że dzięki językowi opowiadają się po stronie pamięci lub zapomnienia. Wańkowska-Sobiesiak rozmawia z czternastoma bohaterkami. Trzy kobiety odmówiły:

Szkoda. Byłoby ich siedemnaście. Siedemnaście życiorysów kobiet, którym nie sprzyjało szczęście. Luca Lengowska, Bronisława Zarzycka i Jadwiga Wilengowska nie chciały mówić. Nie mogły. Bo wspomnienia były tak okrutne, że nie chciały ich przywoływać. Jeszcze się z tym nie uporały. Jeszcze nie teraz. Może później. A może nigdy... (s. 6)

Odmowa w tym przypadku znaczy równie dużo jak słowa. Milczenie ma swoją siłę ciężkości. Niewypowiedziane daje pewność traumy, cierpienia, zniszczenia, jakie dokonało się na psychice ofiar. To, czego nie da się zapomnieć, nie zawsze jest wypowiedane, równie często bywa tłumione, a gest dystansu w stosunku do aktu dawania świadectwa wybrzmiewa niczym krzyk. Wańkowska-Sobiesiak rozumie obie reakcje kobiet – docenia fakt, że chcą z nią rozma-

wiać, ale i z empatią reaguje na nieprzepracowanie przeszłości przez te, które odmawiają spotkania. Zdaje sobie sprawę, że kwestia pogodzenia się z minionym jest czymś umownym. Bohaterki książki, które opowiadają o swoich przeżyciach, mocno akcentują fakt odzywania się dawnych traum w teraźniejszości. Dawanie świadectwa zawsze więc jest dużym wyzwaniem – cierpienie i samotność powracają, a fakt, że od tamtych wydarzeń minęło kilkadziesiąt lat, nie ma większego znaczenia. Reporterka wydobywa ów paradoks w swoich portretach. Jej bohaterki pozostają kobietami, które nie odwróciły się od życia i postanowiły przetrwać mimo wszystko. Jednocześnie są ciągle tymi dziewczynami, które skazano na zesłanie, zmuszono do pracy ponad siły, skazano na codzienne towarzyszenie przemocy, głodowi i śmierci. To zainfekowanie doświadczoną namacalnie ostatecznością jest dostrzegalne w ich wspomnieniach, rezonuje, powraca. Staje się głosem wybrzmiewającym w umyśle, kiedy przychodzą nieproszone wspomnienia, ale i bólem ciała, zniszczonego i schorowanego po uwięzieniu w łagrze.

Punktem zwrotnym dla życiorysów bohaterek książki jest wkroczenie Armii Czerwonej i zesłanie do Związku Radzieckiego. Kobiety nie ukrywają, że zostały brutalnie wyrwane ze swojego świata. W relacjach powtarza się wyznanie o tym, że nie było czasu na przygotowanie się do wyjazdu, a młode dziewczyny brano na zesłanie właściwie z miejsca. Nagłość związana z doświadczoną traumą okazuje się stygmatem kształtującym całe życie bohaterek. Niebezpieczeństwo, do którego nie można było się przygotować, niszczy kobiety od środka. Zesłanie to nie tylko wspomnienie cierpienia, zimna, głodu i przemocy, ale również poczucie straconej bezpowrotnie młodości. Część bohaterek nie ma żadnego zdjęcia z przeszłości, nie przetrwały też dokumenty potwierdzające pobyt w łagrze. To, co najważniejsze, pozornie nie pozostawiło po sobie śladu. Później, bo wspomnienia tych niełatwych czasów odzywają się często w najmniej spodziewanych momentach, a całe życie wydaje się podporządkowane temu, aby poradzić sobie z niełatwą próbą sił między pamięcią a zapomnieniem. Rozpamiętywać znaczy w tym przypadku nie móc normalnie żyć, pamiętać to próbować mierzyć się z teraźniejszością i kształtować ją na własnych zasadach, zapomnieć to wyrzec się własnego życia i własnej przeszłości, wymazać z pamięci to z kolei próbować odciąć się od tych wydarzeń, które nie pozwalają wierzyć w człowieka i funkcjonować w świecie, w którym nie ma wojny.

Przeszłość portretowanych kobiet, zwłaszcza ów wspomniany moment zwrotny, czyli zesłanie do łagru, definiowana jest często dzięki rzeczom. To one przywołują obrazy, konkretne sceny, zachowania ludzi, także tych współtowarzyszy niedoli, których wielu nie przetrwało. Nie bez powodu więc i tytuł książki skoncentrowany jest na rzeczach. Buty powracają we wspomnieniach bohaterek jako coś niezwykle ważnego w kontekście przetrwania panujących tam warunków. Agata Zacheja wspomina swoją podróż na zesłanie. Pamięta buty, które wzięła ze sobą i które odebrała jej jedna z kobiet. Co ciekawe, kobieta nie oskarża agresorki. Po latach próbuje zrozumieć jej czyn, choć nie trzeba nikomu wyjaśniać, że strata butów mogła dla bohaterki skończyć się śmiercią. Oddajmy głos bohaterce reportażu:

– Nie dali nam żadnych zimowych ubrań. A tu mróz ze czterdzieści stopni. W czym chodziłam? Boso. Na skarpetach. Jak musiałyśmy wyjść z baraku, bo nas codziennie liczyli,

ile umarło, na skarpetach chodziłam. A jak innym razem chciałam wyjść, to pożyczalam buty od mojej kuzynki. [...] Aż później, krótko przed wyjazdem zmarła jedna kobieta w naszym baraku. To ja mówię: – Wiecie co, wszystko wszystkim, ale ja bym te jej buciki chciała! Bo ja cały ciąg nie mam butów. To wszystkie kobiety powiedziały: no to bierz. I w nich przyjechałam. (s. 26)

Anna Rudzińska wspomina wojskowe buty, w których ją zabrali, oraz fakt, iż obuwanie zostało jej odebrane. Do dzisiaj czuje tamto oburzenie: – *Potem zrobili przegląd obuwia i zabrali mi moje. Dobre wojskowe buty! A dali szmaciaki – do dziś to wspomnienie ją rozżala. (s. 80)*

Wańkowska-Sobiesiak dodaje: *Pokrywa się ono ze wspomnieniami innych moich rozmówczyr. Im też zabrano buty. Buty były w cenie (s. 80).*

Bohaterki okazują się kobietami nadzwyczaj silnymi – chcą żyć dalej, są zdeterminowane, by przetrwać, wracają tam, skąd zostały wyrwane z korzeniami tak nagle i bez uzasadnienia. Czasami powrót jest marzeniem, innym razem koniecznością, zdarza się, że rodzina nie rozpoznaje wracającej, tak bardzo zmienił ją czas przebywania w łagrze. Punktem odniesienia staje się dom. Dom jako budynek, ale i dom jako przestrzeń, która kształtowała wspomnienia, w której się dorastało, którą dziedziczyło się po kolejnych pokoleniach. Bohaterki bardzo mocno akcentują, że są u siebie. Tutaj się urodziły, tutaj dorastały, tutaj się starzeją. Nie odczuwają niechęci do ludzi – ani do tych, którzy współcześnie widzą w nich obce, ani do tych, którzy po wojnie zakazywali mówienia po niemiecku, ani do Rosjan, tych zwykłych, którzy często na zesłaniu okazywali się dobrymi ludźmi. To zresztą stwierdzenie, które powraca w kolejnych opowieściach – zapewnianie, że to, co miało miejsce na Warmii, a co działo się na terenie Związku Radzieckiego, to dwie różne sprawy. Bohaterki zapewniają, że wbrew tutejszym doświadczeniom kobiet na zesłaniu nie dochodziło do gwałtów, a Rosjanie, jeśli mogli, często starali się okazywać pomoc. Tę lojalność i uczciwość należy mocno zaakcentować. Bohaterki nie oskarżają, jeśli nie mają ku temu podstaw. Pilnują, aby świadczyć prawdę. Kłamstwo, taką tezę można postawić, wydaje się gestem tożsamym z wyparciem się samej siebie. Czytelnik nie znajdzie tutaj kategoriycznych ocen. Kobiety są świadome tego, że zwykli ludzie, oraz polityka, która niszczy często ich życie, to dwie różne sprawy. Czuwają nad tym, by oceniać ludzi według ich czynów, a nie według narodowości czy przynależności partyjnej. To dlatego nie dziwią ich pomagający w Związku Radzieckim zwykli Rosjanie, nie dziwią ich Polacy, którzy przybywszy na te ziemie, bardzo często poślubiają Warmiaczki i Niemki, nie dziwią ich też ludzie, którzy umieją dostrzec człowieka w drugim człowieku. Znaczące w tym kontekście okazują się słowa Agaty Zachei, jednej z rozmówczyr Wańkowskiej-Sobiesiak:

– Ludzie stąd to każdy inny: jeden Polak, inny Niemiec, inny Warmiak. Ja też nie mówię, że ja Polka. Nie mogę tak mówić. Ja mam pochodzenie niemieckie, byłam urodzona i mieszkalam tu za Niemca i myślę, że jestem Niemką. I mój mąż tak samo. A że my tu zostaliśmy, bo zostali. To Polska tu przyszła, a my nie chcieli przechodzić stąd tam i z powrotem. Dosyć w wojnę żeśmy się nachodzili, wcięż nas przeprowadzali. (s. 32)

Jesteśmy stąd – taka deklaracja powtarza się w wypowiedziach bohaterek reportażu. To bardzo ważne samookreślenie, znoszące granice i podziały, pokazujące otwarcie się na wspólnotę miejsc, zdarzeń i ludzi, nie zaś na polityczne różnice, rozdzielające tych, którzy mogliby być razem lub obok siebie. Kobiety rozumieją, że Wielka Historia nie przejmuje się zwykłym człowiekiem. Chętnie wystawia go na różnego rodzaju próby, swój plan dotyczący konkretnych osób ustala, tworząc sojusze z przypadkiem i chaosem. A jednak, zdają się sugerować bohaterki książki, jeśli udało się przetrwać i jeśli starczyło siły, by przeżyć, trzeba funkcjonować w zgodzie. Polak, Niemiec, Warmiak, Rosjanin – dla wszystkich starczy miejsca, z wszystkimi można się porozumieć. Język jest zresztą często obiektem niezdrowego zainteresowania polityków i urzędników. Bohaterki reportażu odsłaniają paradoks takiego działania oraz absurdy wynikające z założenia, iż mówienie danym językiem zmienia i kształtuje człowieka. Maria Popławska opowiada, że najlepiej pamięta piosenki i słowa używane w młodości:

Nie lubię kłamać. Ja jestem narodowości niemieckiej. Uczylałam się w szkole niemieckiej. Pierwsze dwadzieścia lat przeżyłam w Niemczech. Jak leżę i staram się przypomnieć sobie jakieś piosenki, to okazuje się, że najlepiej pamiętam te niemieckie, z młodości. Mąż natomiast czuł się Polakiem. Zawsze. A ja tyle lat przeżyłam w Polsce, ale dobrze pamiętam tylko tamte dwadzieścia lat. I nazwiska ludzi, i niemieckie nazwy wiosek. (s. 46)

Z kolei o Annie Rudzińskiej przeczytamy:

Anna sama się dziwi, że jej lepiej mówić po niemiecku niż po warmińsku. Bo przecież i jej rodzice, i dziadkowie ze strony mamy oraz ojca mówili tylko po warmińsku. – To byli Warmiacy, z dziada pradziada – wyjaśnia. Rodzice potem mówili po warmińsku i po niemiecku. A ona już tylko po niemiecku. (s. 70)

Gertruda Wołkiewicz akcentuje, że starość wiąże się z zapominaniem – nie tylko ludzi, miejsc i zdarzeń, ale i języków: – *Zapominam powoli wszystko. I języka rosyjskiego już nie pamiętam (s. 94).* Elżbieta Lobert deklaruje:

– Ani Niemka, ani Polka! Tu się liczy regionalizm. Ja czuję się Warmiaczką. Nigdzie mi nie jest tak dobrze, jak tu. Tu jest moja ojczyzna. Kocham ten region. Po wszystkich wsiach jeździłam na rowerze. Znam je jak własną kieszeń. (s. 158)

Powyższe próby samookreślenia bohaterek reportażu to znakomity dowód na to, jak sztuczne bywają przyporządkowania polityczne i administracyjne. To od człowieka zależy, ile da z siebie miejscu i ludziom, którzy stanowią część jego życia.

„Buty Agaty” Joanny Wańkowskiej-Sobiesiak przez wydawcę określane są jako zbiór wywiadów. Taka informacja znajduje się na czwartej stronie okładki. Bardziej zasadne byłoby jednak mówienie o zbiorze reportażu, zwłaszcza że dziennikarka proponuje czytelnikom reportaż biograficzny, które choć skoncentrowane na losach jednostek, układają się w opowieść

o całym pokoleniu. To ważne świadectwo losu tych, którzy doświadczyli wojen i zmian politycznych uderzających bezpośrednio w ich istnienie. To jednocześnie ważna odsłona historii kobiet – doznanej traumy i świadectwa przetrwania. Można by również potraktować tę książkę jako opowieść o walce toczonej na poziomie języka, walce, w której przegrywa polityka, a wygrywa człowiek. To od niego bowiem zależy, co z językiem uczyni – czy będzie stał po stronie dobra, czy zdecyduje się kultywować mowę nienawiści. Ów kluczowy wybór pozostaje aktualny i dzisiaj. Losy bohaterki reportażu mogą więc w tym kontekście posłużyć za ostrzeżenie. Mogą również nieść dużo bardziej optymistyczne przesłanie, a mianowicie wiarę w to, że człowiek jest w stanie ocalić człowieczeństwo – mimo wszystko i wbrew wszystkiemu.

Bernadetta Darska

Bliska obcość środkowoeuropejskiej topografii, czyli w poszukiwaniu zdefraudowanej pamięci

**Lothar Quinkenstein, *Erinnerung an Klara Blum. Essays und Kritiken aus der Mitte Europas*,
St. Ingbert: Röhrig Universitätsverlag, 2015**

Zacząć trzeba od dekonstrukcji pewnego stereotypu. Obcość. Cóż znaczy być obcym? W powszechnym mniemaniu stan ten wiąże się z poczuciem izolacji, a więc dyskomfortem psychicznym czy wręcz cierpieniem. Towarzyszy mu tęsknota za przynależnością, roztopieniem się w dobrze znanym świecie, za poczuciem bezpieczeństwa. Tymczasem obcość ma dualistyczny charakter, może więc znaczyć o wiele więcej i nieść z sobą nieprzewidywany potencjał poznawczy. Choć jest przeciwieństwem zdomowienia (a może właśnie dlatego?), otwiera pewien szczególny rodzaj wolności percepcji otaczającego świata, zakłada bowiem pozostawanie na zewnątrz, zachowanie dystansu. Pozwala widzieć rzeczy niewidoczne ze środka swojskości. Codzienne oczywistości tracą wymiar banału i odsłaniają nieoczekiwane perspektywy. Rzeczywistość objawia się jako kompleksowa mozaika znaczeń, które tworzą nowe, nasycone wartościami struktury. Rewiduje się w ten sposób cały obraz świata.

Tego rodzaju obcości – paradoksalnie – zaznał Lothar Quinkenstein. Paradoksalnie, gdyż pisząc o doświadczeniach innych (niedobrowolnie) wykorzenionych, empatycznie pojmując ową tęsknotę za *oswojonym światem, gdzie wszystkie marzenia, sny i uczucia, każde szczęście i każde nieszczęście może się umiejscowić w dobrze znanym języku*. Tymczasem dla niego samego właśnie obcość stała się źródłem fundamentalnego doświadczenia. Absolwent germanistyki z niemieckiej prowincji udał się do prowincjonalnego Mielca, został nauczycielem języka i w epoce postkomunizmu wdał się w przygodę z Europą Środkowo-Wschodnią. Potem zaś to, co mogło pozostać nieco egzotycznym doświadczeniem, powoli zaważowało życiem i zaowocowało pisaniem. Zaczęła powstawać wielka opowieść – tylko po części dotąd opublikowana. Ukazało się kilka tomików poezji Lothara Quinkensteina, jego powieść „Tellurium” (iście Joyce’owska odyseja po ulicach Poznania), sporo tłumaczeń na niemiecki i tom esejów „Erinnerung an Klara Blum” [Wspomnienie o Klarze Blum]. W tym ostatnim opowieść nabiera najwyraźniejszych konturów. Ale po kolei.

Na początku mógłby być cytat z nieopublikowanej dotąd powieści „Herzgeräusch” [Szmeryserca], to znaczy powtórka z jednosylabowców: *dzień, noc, czas, świat, dom, deszcz, wiatr*. Gdy usłyszeć brzmienie tych słów – zatopionych tu w językowym żywiole niemieczyny – nagle objawi się ich nieoczekiwana, uderzająca liryka. Ale początkiem opowieści może być też widok z okna mieleckiej kuchni: pola, niebo, daleka smużka lasu na horyzoncie (to z tomu esejów). Lub dźwięczne nazwy: Drohobycz, Sambor, Brody, Galicja. Można pospołu z autorem i niejako *ex post* odkrywać jeszcze inne początki, widoczne dopiero w spojrzeniu wstecz, objawiające się być może jako znaki losu, które latami czekały na swoje odczytanie. Jest ich wiele – rozproszone w ułamkach przeszłości, nieoczekiwane i w nagłym zachwycie wydobywane z pamięci, jak choćby Place Stanislas, czyli plac Stanisława (Leszczyńskiego) w Nancy czy tkwiąca w pamięci dzieciństwa melodia z telewizyjnego serialu, której historia urasta do fascynującego odkrycia – skomponowana została na amerykańskiej powojennej obczyźnie przez tak dobrze znanego w przedwojennej Polsce Henryka Warsa.

W opowieści tej nie ma przypadków, choć to, co się wydarza, zdaje się nie mieścić w zwykłym przebiegu czasowym i rozwija – jak u Schulza (któremu autor poświęca jeden z esejów) – „w czasie dwutorowym”: rozpoznawanie nowej codzienności, zmagania z materią języka, próby mentalnego usytuowania własnych zdziwień i ciekawości, odniesienia do własnej, chwilowo – lub na zawsze – utraconej sfery swojskości, którą język niemiecki opisuje jednym nabrzmiałym znaczeniem słowem *Heimat*. Oto rozwija się przed nami narracja o zdobywaniu nowej świadomości, niemal swego rodzaju *Entwicklungsroman*. Decydujące impulsy płyną z brzmienia lirycznych jednozgłoskowców, widoku z okna, a może fascynacji prozą Schulza.

Język jest tu niesłychanie ważny, poczynawszy od mozolnego przedzierania się przez gęstą mgłę semantyki poprzez pokonywanie oporu własnego aparatu artykulacyjnego, który potyka się o wymowę tajemniczych szyboletów, aż po walkę ze skomplikowanymi regułami gramatyki liczebników, zawiłościami czasowników dokonanych i niedokonanych, przedrostków,

przypadków. Przypomina to trochę chodzenie po omacku po grząskim gruncie. Powoli, powoli pojawia się fascynacja brzmieniem i melodyką, szczególnym kształtem słów – tak jakby każde z nich z osobna stawało się materialnym obiektem, który można oglądać z kilku stron jednocześnie, zachwycać się jego formą i blaskiem. Takie momenty językowej euforii zna pewnie każdy, kto punkt ciężkości swego życia przeniósł na tereny obcej lingwistyki. I odnajdzie w tej opowieści odbicie swych własnych przeżyć:

Aż wreszcie z szarady liter wykluwają się słowa, aż wreszcie słowa zaczyna wypełniać brzmienie i sens. Każdy przyswojony napis nad wejściem do sklepu urasta do rangi wydarzenia, a rozlegające się dookoła zdania, dopiero co jeszcze tylko czysta melodia, rodzą moment szczęśliwości po dokonany rozpoznaniu – które „u siebie” niewarte byłoby uwagi – że ludzie rozmawiają o swoich sprawach. [...] Codziennosc miasteczka odkrywała się słowo po słowie, stąd tkwiąca w niej obfitość wrażeń, a ponieważ wszędzie można było dojść pieszo, owe eksploracje obcego języka zapadały w pamięć dosłownie krok za krokiem, prowadząc od obrazu do kolejnego słowa, od słowa do kolejnego obrazu.

Kiedy już przełamany zostaje zasadniczy opór języka i otwierają się nowe możliwości poznawcze, Lothar Quinkenstein poświęca się czytaniu czy raczej odczytywaniu. Tu potrzebne jest osadzenie w szczególnym statusie bliskiej obcości. Bliskiej – bo opartej na zdobywanym z trudem i „krok za krokiem” zadowoleniu w nowej rzeczywistości, co jednak nie znosi zasadniczego dystansu, poczucia własnej inności, pozycji przybysza, dla którego nic nie jest oczywiste. To obcość rodzi ciekawość i dociekliwość, a nie swojej swojskości przydaje wymiaru tajemnicy. Właśnie dzięki temu Lothar Quinkenstein widzi więcej niż ci, którzy są „u siebie”. Ich zanurzenie w historii i codzienności wyraża się w całkowicie naturalnym poczuciu „my”, zaś nieprzynależność do owego „my” pozwala na świeżość spojrzenia, które spod grubej warstwy oczywistości wydobywa fascynujące detale.

Język zanurzony jest, rzecz jasna, w żywiole otaczającego go świata zjawisk – rzeczy, natury, ludzi. I Lothar Quinkenstein odsłania czytelnikowi kolejne etapy swego coraz bliższego obcowania z tym żywiołem. Są to spotkania i rozmowy, spojrzenia na architekturę czy układ ulic miasteczka, obserwacje krajobrazu – nie tak przecież zasadniczo innego od zachodnich prowincji Niemiec, a jednak. Rozległość przestrzeni, dotykalność nieba (*krajobraz ten składa się głównie z nieba*), rozedrganie powietrza – wszystko to łączy się z melodią nie do końca rozumianego języka i życzliwością ludzi, tworząc jedną wielką całość.

Szosa i horyzont, niebo i skrawek lasu, pociągnięty cienkim pędzelkiem na tle nieskończoności. [...] Zobaczyć ten krajobraz przyszło bez wysiłku. Na jego rozszyfrowanie trzeba było lat.

W krajobrazie pod bezkresnym niebem, w:

wieczornej ciszy uliczek wokół rynku, w liściach lip, które już głoszą zapowiedź nadchodzącej jesieni, w stukocie kopyt koni ciągnących po bruku furę z drewnem, wóz z ziemniakami

przybysz z Zachodu łatwo daje się zwieść nostalgicznej liryce i zaczyna wsłuchiwać w dalekie echo literackich przekazów o habsburskich czasach, czyta Rotha lub jak mantrę powtarza wersy Trakla, *jakby w tym, co zobaczone i tym, co przeczytane objawiały się obie strony tej samej rzeczywistości*. Ale już same nazwy cichych uliczek (Mickiewicza, Kościuszki, Jędrusiów) wciągają go mimowolnie w polską – narodową w swym zamyśle – historię. Tu zresztą miejsce na konfrontację z kolektywną pamięcią i poczuciem odrębności miejscowych ludzi, która wyraża się w owym powracającym narracyjnie „my”, dobitnie akcentowanym podczas rozmów na imieninowym przyjęciu, w sklepie, w szkolnej bibliotece. Poniekąd mimochodem autor odkrywa konstytutywne elementy polskiej pamięci historycznej, które dla człowieka o zachodniej socjalizacji pozostają po części niezrozumiałe, po części niedostępne. Dlatego też w „esejach ze środka Europy” niemiecki czytelnik odnajdzie niezły zarys ważnych wątków polskich dziejów. I nie jest to narracja pogłębiająca obcość, odrębność, nieprzynależność, wręcz odwrotnie – poznawanie owej historii staje się narzędziem korygującym obraz świata, poszerza horyzonty, pozwala zbliżyć się do nieznanego obszaru. Może uda się z niego wywieść również własną tożsamość?

Osnową narracji jest konstatacja inności. Niejako naturalnie nasuwają się porównania własnych przeżyć, doświadczeń, świadomości kulturowej i sfery mitów z żywą codziennością i całą sferą pamięci odczytywanej z opowieści ludzi, krajobrazu, książek. Oczywista staje się tutaj zasadnicza nierównoległość i nieprzewidywalna odmienność. Wyłaniają się zatem nowe perspektywy uruchamiające proces poznawczy: możliwość rewidowania i pogłębiania dawnych lektur (Roth, Celan, Freytag, Heine, niemieccy romantycy) bądź konfrontowanie dzieciństwa na sennej niemieckiej prowincji, gdzie *dziadkowie majstrowali przy kłatkach na króliki, wiązali fasolę na tyczkach i włączali warkoczące wiertarki z mieleckim zapachem bzu, gastronomiczną gościnnością i widokiem biało-czerwonych flag na ulicach*. Mit matki-Polki doznaje nieoczekiwanego dowartościowania w zderzeniu z określającym rolę kobiety niemieckim modelem potrójnego „k” (*Kinder, Küche, Kirche*). Przedmiotem porównań stają się też bunty młodości – co ciekawe, formułowane w innym kolektywnym „my” i zestawiane z poznawaniem dopiero porządkiem sensów i wartości, z zakorzenioną w codzienności i praktykowaną tradycją polskiej (również ludyczno-katolickiej) tożsamości. Przynależy do tego zderzenie podręcznikowej wiedzy zdobywanej na lekcjach w zachodnioniemieckiej szkole i – zrozumiałej skądinąd – niechęci do dziejów własnego kraju (Niemiec) z tak charakterystycznym w Polsce przełożeniem wielkiej historii na historię rodzinną. Autor konstatuje z nieskrywanym podziwem pozorną powszechność szczególnego rodzaju dziejowej wiedzy (bo niemal wszyscy znają parę dat i faktów, bo rodzinne opowieści są zanurzone w historii, bo każdy ma coś do powiedzenia o „Weselu” Wyspiańskiego). Oczywiście, z polskiej krytycznej perspektywy obserwacja taka wywołać może opory, powątpiewanie czy nawet zarzut bezprzedmiotowej idealizacji. Jednak z tej samej polskiej perspektywy nie sposób nie dostrzec, że bliska obcość

tego spojrzenia umożliwia odkrycie innych aspektów tych samych zjawisk. Swojska i znana aż do znużenia sfera mentalna czy duchowa, rytualny porządek obcowania z rzeczywistością, obyczajowe wzory zachowań – wszystko to zobaczone dociekliwym i wrażliwym okiem obcego przybysza odsłania swe przysłonięte, bo oczywiste, i nie zawsze jednoznacznie negatywne strony. Nie mówiąc już o odkrywaniu przez to obce spojrzenie spraw zapomnianych czy wręcz nieznananych, o odsłanianiu przysypanych tropów przeszłości i ich linii przedłużających się w teraźniejszość.

Nieodłącznym elementem wędrówek Lothara Quinkensteina jest tropienie własnej – a więc przynależnej zachodniemu światu – niewiedzy i ignorancji, a także zdeterminowanego poczuciem kulturowej (a może cywilizacyjnej) wyższości zamknięcia na wszystko, co przez niemal pół wieku kryło się za żelazną kurtyną, wcześniej zaś przesłaniały struktury trwałych – nierzadko czysto niemieckich – stereotypów i uprzedzeń. Dochodzi do tego dotkliwa świadomość niemieckiej przeszłości. Z tej perspektywy symptomy napotykaney w Polsce konkurencji ofiar czy nawet przejawy polskiego antysemityzmu muszą tracić na ostrości, zwłaszcza jeśli skonfrontowane zostaną z mnogością inicjatyw, które stawiają sobie za cel przywracanie pamięci i burzą romantyczny paradygmat mesjanizmu. Sam autor wielokrotnie odżegnuje się od osadzonego w niemieckiej kulturze, również romantycznego w swej istocie „eskapizmu estetycznego”, który nieuchronnie prowadzi do „niemieckiego lasu”, sentymentalizmu, potem zaś do ideologii. Dokonuje tej krytyki z pasją i niesłychanym rozmachem, zaczynając od wczesnych romantyków poprzez prekursorów religii natury z początku XX wieku, a kończąc na ideologicznej pogardzie dla cywilizacji i powrocie do prawa silniejszego. Nieprzypadkowo cytuje list żołnierza Wehrmachtu do domu: *Nigdy nam nie dość brutalności, jeśli chcemy zachować te wszystkie subtelne i piękne strony naszego życia.*

Bezłitosna rozprawa ze stanem zachodniej (niemieckiej) świadomości zbiorowej, łączącej się z brakiem refleksji i empatii, każe przywołać jej spektakularne symptomy: ktoś zapytany o związki polskości z żydowskością jest w stanie stwierdzić tylko tyle, że Auschwitz był w Polsce; powszechnie znana jest liczba sześciu milionów zamordowanych, ale dla wielu nie kryje się za nią ani jedno nazwisko; nikt nie dostrzega symbolicznego znaczenia nieodosobnionego przypadku młodej kobiety z Polski, która na niemieckiej prowincji opiekuje się starym i chorym człowiekiem – ten zaś dawno temu był w Warszawie jako żołnierz Wehrmachtu. Wspominając akcję „paczek do Polski” z początku lat 80., autor konstatuje: *...niecałkiem byliśmy świadomi, że ów stan wojenny dawał się wywieść wprost z wojny prowadzonej przez naszych dziadków.* W tym kulturowo-pamięciowym obrachunku nie brakuje też buntu pokolenia '68 z tak charakterystycznym syndromem antyamerykańskości i zapatrzenia na komunistyczne wzory Wschodu. I chociaż *niemieckie dzieci nigdy nie bawiły się w partyzantów*, to przecież w wieku dojrzałym kreowały swych walecznych idoli. Dlaczego Che Guevara, a nie Aba Kowner? – pyta retorycznie Lothar Quinkenstein.

Odkrywanie obszarów polskiej historii z perspektywy mieleckiej prowincji oznacza zarazem wkroczenie na zapomniane ziemie Galicji i Lodomerii, legendarny obszar wielokulturowości, naznaczony do dzisiaj zbrodnią i końcem tamtego świata. (Tytułowa Klara Blum, po wielokroć zapoznana żydowska poetka, pochodziła z wielojęzycznych Czerniowiec). Galicyjski mit osadził się tymczasem w polskiej świadomości, zaś utracona historia zaznacza swą obecność w polskim *hic et nunc*, ujawniając – zwłaszcza po roku 1989 – coraz więcej przysypanych śladów. Tak więc równolegle do śledzenia zakrętów w dziejach Rzeczypospolitej przybyszowi odsłania się historia polskich Żydów, a wraz z nią cała ogromna, zamordowana kultura wschodnioeuropejskiego żydostwa. I właściwie tu tkwi zasadniczy sens wędrówek po śladach wielkiego dziedzictwa, przy czym nierzadko są to nikłe materialne rudymenty bądź ich wyobrażenia, ślady po śladach – jak odcisk po zerwanej mezuzie na framudze drzwi „pożydowskiego” domu. Bogactwo spuścizny zachowało się w piśmie, w literaturze, w książkach i księgach, w listach i relacjach. Tędy podążają tropy Lothara Quinkensteina. Im głębiej zanurza się w nieistniejącym już świecie, tym wyraźniej dostrzega jego wielką i zapoznaną (albo i wręcz nierozpoznaną) wartość dla współczesności. Wszystko oczywiście na polskim gruncie – gdyż właśnie ta *terra incognita* nosi w sobie rozległą archeologię przeszłości. Nieprzypadkowo rozmowa na temat „Wesela” prowadzi do postaci Racheli, a stąd już niedaleko do zdewastowanego kirkutu w Mielcu i wspomnień ocalałej kobiety, której genealogia wywodzi się z tego galicyjskiego (niegdyś) miasteczka. Historia zaginionego żydowskiego świata jest głęboko wpisana w żywioł polskości, lecz mało kto – nawet w samej Polsce – postrzega to tak wyraźnie jak Lothar Quinkenstein, cytując Słonimskiego: *Nie ma już tych miasteczek, gdzie szewc był poetą, zegarmistrz filozofem...* Nieopłakana utrata i pustka to tylko symptomy wszechogarniającej (bynajmniej nie tylko polskiej i nie tylko niemieckiej) niepamięci, której wymiary eseje te dotkliwie uświadamiają.

Ale niedostrzeganie pustki to tylko jeden aspekt zdefraudowanej pamięci. Pustka – po czym? – zdaje się pytać autor. I odpowiada:

Judaizm postrzega się w szczególny sposób jako coś per se archaicznego. A przecież właśnie ta religia w egzemplaryczny sposób przyczyniała się do alfabetyzacji, pielęgnowała w warunkach galutu, czyli diaspory, demokratyczną otwartość nauk wiary [...]. Nie było tu papieża, który by stanowił o prawdach ostatecznych i niewygodne pisma skazywał na indeks – zamiast tego bogactwo komentarzy (zapisanych w Talmudzie), zaś ich wartość zasadza się w dialogowości.

257

I dalej:

Gdzie miałyby leżeć źródła krytycznego dialogu z tekstami, jeśli nie tu – w niezmordowanych eksplikacjach Pisma [...]? A skąd miałyby się wywodzić – o czym też często się zapomina – korzenie demokratycznego myślenia, jeśli nie z tej religii, która niczego nie ceni wyżej od odpowiedzialności pojedynczego człowieka? Hagada na święto Paschy,

to wspaniałe dzieło literackie, zawierające liturgię sederowego wieczoru, obraca się wokół jednej zasadniczej myśli: Pamiętaj, że wolność nie jest czymś oczywistym!

Pomijanie czy wręcz skazanie na nieistnienie żydowskich aspektów europejskiej kultury ma zaiste inne źródła i inne, wielowiekowe zaniedbania, niechęć, wrogość. Paradoksalnie – nie zmienia tego w żadnym stopniu celebrowana pamięć o Holokauście, pamięć o mordowaniu.

Jeszcze inne, zgoła odmienne pole umysłowych wędrówek, obrachunków i odkrywania pamięci otwierają wiersze Lothara Quinkensteina, liryczne i dyskursywne zarazem, pełne odwołań i odniesień, toposów i mitów, choć przecież bardzo osadzone w świecie i zaiste dalekie od estetycznego eskapizmu. Obecne są tu krajobraz i realia, przyroda i lektury. Zapisane w zaskakujących metaforach i ukrytych wątkach liryczne „ja” może odczytać podwójną symbolikę czarnego bzu (określanego po niemiecku dźwięcznym słowem *Holunder*), ironicznie rymować wyliczankę elementów kultury masowej niemieckiego Zachodu, gdzie indziej zaś spotkać się ze szmuglerem „z łaski Franciszka Józefa”, który z plecaka wydobywa tajemnicze pismo. I czytelnik tych wierszy odnosi wrażenie, jakby z owego plecaka wysypywały się ojsjes, żydowskie litery, otwierając bezkresną czasoprzestrzeń, pełną znaków i szyfrów. Tylko poezja może sformułować i udźwignąć wielkie oskarżenie, gdzie biblijnemu *Bereszit bara Elohim et haszemaim wet harec* [Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię] przeciwstawione zostanie lapidarne zdanie z raportu Stroppa *Es gibt keinen jüdischen Wohnbezirk in Warschau mehr* [Nie ma już żydowskiej dzielnicy w Warszawie].

Nie będzie nadużyciem stwierdzenie, iż całe pisarstwo Lothara Quinkensteina jest niekończącym się procesem odczytywania wielości warstw środkowoeuropejskiego palimpsestu, którego początki usytuowane są wprawdzie w konkretnej topografii, który jednak w wymiarze duchowym rozpościera się w niewidoczny sposób nad całą europejską kulturą. Autor pisze:

Określone miejsca sugerowały określone lektury, zaś lektury odnajdowały konkretne podłoże na Wschodzie”. I dalej: Topografia i tekst często stają się jednością, nakładają się na siebie i wzajemnie przenikają. A topografia oznacza przede wszystkim historię.

Wittlin i Schulz, Ficowski i Ślucki, Hłasko i Strykowski, Miłosz i Debora Vogel, ale jeszcze Jiří Langer, Gershom Scholem, Claudio Magris, Martin Pollack, Henryk Grynberg, Maria Janion, Władysław Panas... Lista zdaje się nie kończyć. Niezwykła zaiste erudycja wpisuje się w naturalny sposób w tę narrację o bliskiej obcości, prowadzi tok myśli wzdłuż nowo odkrywanych powiązań, komplementarnych zjawisk, nieoczekiwanych koincydencji. Te zresztą sięgają w sferę kultury popularnej i pozwalają dostrzec nasycone znaczeniami konteksty, jak choćby w songu Cohena „Who by Fire”, w którym rozbrzmiewa Unetane Tokef, żydowska modlitwa na Jom Kippur, czy też w hitowej piosence „Rivers of Babylon”, opartej na psalmie 137.

Mogłoby się zdawać, że tu opuszczamy już środkowoeuropejską topografię, lecz tak naprawdę czerpiemy stale z jej niewyschniętych źródeł. Lothar Quinkenstein zabiera nas w wielką intelektualną podróż – prowadzi ona przez rozległy krajobraz, przez nieznane lub zapomniane rewiry szczególnej formacji duchowej, którą Claudio Magris nazwał *środkowoeuropejskim humanizmem*.

Ewa Czerwiakowska

Jerzy LENGAUER

Fabuły, hagiografie, aretalogie, poezje

Kazimierz Brakoniecki,
Zakład biograficzny Olsztyn, Olsztyn: Borussia,
2016

Gwoli formalności: dwa rozdziały ujęte w spisie treści „Zakładu biograficznego Olsztyn” ukazały się kilkanaście i kilka lat wcześniej w „Światowaniu” (zbiorze prozy i poezji wydany w 1999 roku przez wydawnictwo Nowy Świat) oraz w „Historiach bliskoznacznych” (niejednorodnym, heterogenicznym, iście kalejdoskopowym zestawie historii, wymyślonej epistolografii i biografii, dramatu, tego samego wydawnictwa z 2008 roku). Wzmiankowane „Historie” ukazują się w tej edycji w wersji jednak znacznie zmienionej (poszerzonej o dodatkowe wiersze i małą prozę).

Tak jak przed siedemnastu i ośmiu laty w pozostałych w spisie treści dziewięciu współczesnych sylwach Kazimierz Brakoniecki nie ma najmniejszego zamiaru trzymać się ram jakiegokolwiek gatunku. Niewątpliwie wzbudza to u czytelnika naturalne zniecierpliwienie, czasami wprost niechęć do tekstu, choć z drugiej strony wzbudza zaciekawienie zarówno „Zakładem biograficznym”, jak i osobą autora. To banał i frazeologia przypominać, że my, czytelnicy,

chętniej przyjmujemy to, co nie wykracza poza obrzeża danego gatunku lub konwencji czy to prozy, czy to poezji. Mamy ulubione formy literackie, podobnie jak autorów opowiadań, powieści i wierszy. Lubimy wiedzieć, co nas czeka. W prozie zaskakiwać ma nas akcja, konstrukcja postaci, miejsca wydarzeń, w poezji zaś temat przemyśleń, obiekt podporządkowany duchowi artysty, ponieważ zazwyczaj jesteśmy już przygotowani na odczytywanie jego wrażliwości, wiru emocji. Z Kazimierzem Brakonieckim tylko pod jednym względem jest podobnie, a i to podlegać może krytycznym rozmyśleniom. Mianowicie rzecz w obiekcie, przedmiocie. Bez względu na to, czy jest traktowany poetycko, czy prozatorsko. Czy fikcyjnie, czy jak najbardziej realnie. Czy za pisarzem stoją jego własne doświadczenia, czy opowiada historie usłyszane, przetrawione własnym, wciąż niespokojnym sześćdziesięcioczeroletnim duchem. To oczywiście Olsztyn, Allenstein. Najpierw wprowadzie Brakoniecki pisze: *Miasto zupełnie mnie nie interesowało*¹, ale dalej mamy erupcję środków literackich na temat Olsztyna, która przyprowadzi o zawrót głowy nie tylko czytelnika, ale leksykologa, kulturoznawcę językowego i krytyka poetyckiego. Ów wybuch to nie hymn pochwalny na temat miasta czy pochylanie się nad jego nieszczęśliwymi dziejami, od pruskiego miasta przemysłowego bez krztyny ośrodków kulturalnych, przez faszystowsko-komunistyczne władztwo i najazdy, tęsknotę za tramwajami i żmudną szarość peerelowskiego miasta wojewódzkiego aż po nowy budynek Filharmonii Warmińsko-Mazurskiej, znakomity Teatr Jaracza i cicho sunące ulicami nowoczesne tramwaje. To jakiś mistyczny związek, który zaczyna się na niespokojnych podwórkach Zatorza i Podgrodzia (ulica Jagiellończyka), nastoletnich wyprawach na podmiejskie łąki i brzegi jezior, a kumuluje w lirycznych rozmowach z bogami, Jezusem, duchami Mazurów, Warmiaków, Żydów, Ukraińców, tych, którzy wyjechali do Niemieckiej Republiki Federalnej na fali przypomnienia sobie o własnej narodowości.

Miasto zupełnie go nie interesowało, chociaż przecież po przeprowadzce z małego Barczewa, gdzie się urodził w grudniu 1952 roku i spędził zaledwie rok, prawie zaraz poszedł, z siostrą Barbarą i bratem Andrzejem, do olsztyńskiego przedszkola przy ulicy Niepodległości, w którym pracowała ich matka Zuzanna. Być może już wtedy powstawać zaczęły podświadomie historie rodzinne i wydobyte na wierzch dorosłe traumy. Z tego zrodziły się późniejsze pisarskie wyznania, co jakiś czas niezwykle dramatycznie rozpoczynające kolejne podrozdziały:

*Niekiedy chciałbyś o ojczyźnie zapomnieć, ale nie możesz zapomnieć matki i ojca, więc musisz o niej pamiętać tak, abyś o nich nie zapomniał*².

*Chciałbyś opowiedzieć o wielkiej historii, ale kiedy przymykasz oczy, widzisz rude włoski na wielkiej dłoni twojego dziadka, który pod koniec życia jeszcze trzyma silnie siekiere*³.

1 K. Brakoniecki, *Zakład biograficzny Olsztyn*, Olsztyn: Borussia, 2016, s. 69.

2 Tamże, s. 21.

3 Tamże, s. 23.

Nie może więc czy jednak opowiada o wielkiej historii? Banalnie rzecz ujmując, wielka historia zamyka się w dość mało znaczącym pruskim mieście, które leży gdzieś pomiędzy Pomorzem a Inflantami, między Gdańskiem a Królewcem. Mieście, które na kartach „Zakładu biograficznego” nazywa się nie tylko Allensteinem i Olsztynem, ale Atlantydą Północy. A to już znamionuje wielkość. Dla młodego Kazimierza Brakonieckiego czy też tego, który po studiach na Uniwersytecie Warszawskim wraca do domu i nazywa ów dom takim właśnie toponimem, górnolotnym, szlachebnym, powiązanym mitycznie i przez to prawie antycznie, znamionującym wartość kulturalną, estetyczną, zapomnianą, ale dającą nadzieję na wyniesienie z fal nieco uspokojonych mórz, mgieł i mroków „średniowiecznego” socjalizmu:

Postępek ten jednak pozwolił mi na wymyślenie i zrealizowanie we współpracy z poważnymi muzeami kilku wspaniałych wystaw sztuki XX stulecia (sztuka żydowska w Polsce międzywojennej, sztuka polskiego Wilna 1918-1945, „Atlantida Północy. Dawne Prusy Wschodnie w fotografii”)⁴.

Wcześniej pisze tak:

*Olsztyn był małym i prostym miastem⁵.
Ówczesny Olsztyn zamykał się dla mnie wyniosłym ratuszem przy placu Wolności, kinami „Odrodzenie” i „Polonia”, katedrą św. Jakuba, biblioteką na starówce, kinem „Awangarda”...⁶*

Zaś:

po powrocie do Olsztyna pod koniec lat 70. XX stulecia zaintrygowały mnie świadomie, intelektualnie, emocjonalnie, wręcz historiozoficznie ślady dziedzictwa, które ujawniły się na Warmii i Mazurach...⁷

Owszem, Brakonieckiego zainteresowały. Stąd niewątpliwie praca, rodzina, działalność kulturalna i w końcu „Borussia”. Co tam jednak zainteresowanie... Gdyby autorem był pisarz o mniejszej wrażliwości czy raczej węższej wyobraźni, „Zakład biograficzny Olsztyn” zamiast tego tytułu obnosiłby się na okładce literacką historią, mitologicznym truizmem, kalką eposu, epopei, nawiązując do Gilgamesza, Bhagawadgity, Homera, Starego i Nowego Testamentu. Pisarska mądrość i doświadczenie wyznaczyły granice na Atlantydzie Północy. Żadnych wszakże barier i szlabanów nie uznawał Brakoniecki na około czterystu stronach tekstu książki wymykającej się kanonom. Książki, o której właściwie można mówić tylko jako o zbiorze.

4 Tamże, s. 105.

5 Tamże, s. 79.

6 Tamże, s. 74.

7 Tamże, s. 92.

Potem powinna zaś rozgorzeć dyskusja o formach pisarskich, dalekich perspektywach, sięganiu za widnokręgi.

Olsztyn tutaj oczywiście nie jest fikcyjny. Realizm kamienic, podwórek, ulic, placów, krajobrazów podmiejskich, bibliotek, szkół, świątyń. Wierność historii przedwojennej i powojennej, zachodzące zmiany (*Na początku lat 60. z naszej ulicy zniknął uliczny szlifierz noży, nożyczek...*⁸), poczynając od pamięci pisarza, przez zanotowane bez wątpienia wspomnienia innych, czerpaną wiedzę, pobrane nauki, aż do teraźniejszości miasta wojewódzkiego, swoją administracją obejmującego fragmenty Warmii i Mazur, zagarniającego płaty Pomorza i Suwalszczyznę i sięgającego aż pod Mazowsze.

Przymiotnik „biograficzny” w tytule poprawiałem wielokrotnie, ponieważ i w myślach, i w tekście bezwiednie, podświadomie wychodził mi „autobiograficzny”. Prawdopodobnie skupiałem większość uwagi z lektury na wątkach z życia Kazimierza Brakonieckiego. Sugestywnych, obszernych, niezwykle malowniczych, jeśli można przyjąć, że ówczesny Olsztyn mógł być kolorowy w oczach dziecka i nastolatka. Próbuję zrozumieć, dlaczego ta sugestia jest taka nieodparta, ostra. To chyba płynność opowieści. Tak, pisarz przechodzi niezwykle delikatnie, potoczysie, fluktuacyjnie, nawet eterycznie z własnej autobiografii do szkiców (wspomnień, przeżyć, wrażeń, wyrażania uczuć) o osobach najbliższych, najważniejszych; dobrych, złych, tragicznych, dramatycznych. Naznaczonych traumą czasów i oddających tę traumę dzieciom, żonie, przyjaciółom, sąsiadom, bezwzględnością wyborów, pauperyzacją moralną i społeczną, plebejskością, upadkiem:

Dużo naszych ojców upijało się w latach 50. i 60., ale byli i tacy, co całkowicie uzależnili się od alkoholu. Ojciec Zdziśka należał do tych bardziej niebezpiecznych. Byli i tacy, co rzadziej pili, ale w stanie upojenia groźni i agresywni stawali się dla rodziny, takim był mój ojciec⁹.

I właśnie przy olsztyńskich personach zaczyna czytelnik mieć wątpliwości. Ten niesamowity rozdział zatytułowany „Historie bliskoznacze” aż skrzy się od postaci, które mogą być i prawdziwe, i dalekie od prawdziwości. Wizja zatem? Wizja wspomnień czy wizja życia, poczynają realnych osób w realnych czasach? A może fikcyjnych osób w zapamiętanych realiach? W książce „Historie” umiejscowione są po rodzinnych wizjach, ocalonych z niepamięci genealogiach, opowieściach o rodzinnym domu, koledze z podstawówki – Zdziśku Sadliku (tudzież całej plejadzie innych kolegów), rozdziałowi poświęconemu w całości babci Tosi, podrozdział dotyczącym Wacława Sokólskiego i poniekąd podsumowującym tę część książki „Światowaniu”, wierszu czteroczęściowym, z których każda część składa się z siedmiu strof. Pierwsze trzy części to świat Brakonieckiego, pisany najpierw toponimami miejscowości warmińskich i mazurskich, ozdobionych miejscami kultu (Gietrzwałd) i cerkwiami (Asuny), potem an-

8 Tamże, s. 47.

9 Tamże, s. 25-26.

troponimami (brak imion stwarza obraz wyrzucania przez poetę z siebie nazw z szybkością oddającą złość, ten pierwszy, najgorszy smutek, rozpacz, jakieś zachłystywanie się płaczem, ogromny żal połączony z nagłą tęsknotą dziecka), na koniec fitonimami. „Poniekąd”, ponieważ następny kilkustronicowy rozdział poświęcony został matce. Narratorem pierwszoosobowym nie jest tutaj Brakoniecki:

Żebyś widział ją teraz w kąpieli. Dałbyś jej sześćdziesiąt kilka lat. Skóra jędrna i różowa. Sama wychodzi z wanny. A ja już tak łatwo nie mogę. A mam zaledwie 64 lata, a ona całe 90¹⁰.

Kolejny wizyjny, prawie metafizyczny literacki zabieg. Pisarzowi zdarza się pisać także w drugiej osobie i wcale nie jest to korespondencja. Przyjmując, że „Zuzia” jest pożegnaniem z matką, to na stronie 149 autor żegna się z olsztyńską ulicą Jagiellończyka, gdzie: *mieliśmy jako jedni z pierwszych: telewizor, telefon, centralne ogrzewanie*¹¹.

„Historie bliskoznaczne” naszpikowane są, tak jak poprzednie rozdziały, postaciami. Czytamy z zainteresowaniem, przyglądając się im, podobnie jak tym z rodzinnych opowieści, zastanawiając jednocześnie, gdzie Brakoniecki wspomni, czy to krewni Tosi, Zuzi, może ojca. Dramat hospitalizacyjny, teatralna sztuka, ten nieznośny, burzliwy dialog „Miserere mei” z drobnymi didaskaliami przypomina miejscami – szczególnie gdy przechodzi w dłuższy monolog – „Obłąd” Krzysztonia, zmarłego śmiercią samobójczą w 1982 roku. A czyż wymuszenie współpracy z bezpieką nie może doprowadzić do desperackiego czynu kogoś, kto uciekał przed wojskiem, reżimem? Na przykład Andrzeja, który *trochę pisze. Kiedyś wiersze, teraz opowiadania*. Czy da się wrócić na własną prośbę do szpitala, gdy:

*No a teraz drobna formalność. Proszę podpisać ten papierek, że nie powie pan nikomu o naszym spotkanku i o naszej rozmowie. Proszę tylko o podpis na dole i nic więcej. Tak więc gdyby co, to wie pan co i jak...*¹²

Owszem, dopuszczam myśl, że ten dramat może być cierpkim wyznaniem, wybuchem rozżalenia, obarczeniem winą tamten świat przez samego pisarza. Ale, jak w całych „Historiach bliskoznacznych”, przeplata się przecież synonimiczność. Krewni, przyjaciele, sąsiedzi, znajomi, koledzy przybierają inne imiona, wymieniają płci, wykonywanymi zawodami, fakty z ich życia zmieniają się. Czy tworzy się w ten sposób na wpół wymyślona hagiografia olsztyńskich świętych i przeklętych? Swoista biblia miejsca, zaczynająca się stworzeniem tamtejszego świata przez ówczesnego boga (i cara): *Pierdolony Stalin żył jeszcze na Kremlu i trząsł całym światem...*¹³ A ja głupi, tę nie-fantastykę i nie-realizm potraktowałem poważnie, jako dalszy ciąg „Autobiografii” i „Genealogii”, bo jakże to z „Historiami” pokrewne sobie literatury! Wstyd,

10 Tamże, s. 143.

11 Tamże, s. 146.

12 Tamże, s. 189.

13 Tamże, s. 9.

ale się przyznam. Kilka nazwisk wpisałem do wyszukiwarki internetowej. Wynik oczywisty. Absolutna pewność przysłała na 259 stronie w tym zdaniu:

*Iwona Bowszyc, urodzona w 1980 roku w Morągu, po studiach na olsztyńskim uniwersytecie zatrudniona w urzędzie wojewódzkim, do partii **Demokracy dla Przyszłości** wstąpiła w wieku 28 lat, wyszła za mąż za komendanta miejskiej policji w Olsztynie, matka dwóch córek, w 2020 roku mianowana wojewodą Warmii i Mazur z ramienia koalicji **Dobrobyt i Praworządność...**¹⁴*

Konsternacja – nie, ale skrępowanie, zakłopotanie, zmieszanie bez wątpienia. Że dałem się oszukać, że nie zrozumiałem intencji autora, że brak mi znajomości literatury. Że Brakoniecki w swojej pisarskiej metafizyce przerasta kanony. Tworzy zaś nie tylko własny model i zasady, ale wyjątkowe literackie prawo, ba! świętość. To światowanie i nieprzeczytaną przeze mnie „Światologię”, choć teraz to już nie wiem, które z tych wyrażen ująć w cudzysłów. Z jednej strony mamy utwór poetycki (zbiór wierszy?) i dziennik podróży ujęte metafizycznie, a może lepiej napisać: pozbawione ram realizmu? Z drugiej zaś oglądanie świata, jego badanie, bycie w nim i jednocześnie poza nim. Jakby być jego częścią, ale także spoglądać nań przez teleskop bądź mikroskop. Nasz pisarz zamienia się w naukowego filozofa ateistę, który spędza dzień w laboratoryjnym kitlu, by po przeprowadzonych obserwacjach, przy pomocy nauk pomocniczych – antropologii kulturowej, religioznawstwa, kulturoznawstwa, filozofii religii – dokonywać w głębokim fotelu mistycznych przewartościowań i świata, i siebie, przechodząc delikatnie od ateizmu do mistycyzmu. Który obraz bliższy prawdy? Próżno szukać odpowiedzi w „Zakładzie biograficznym Olsztyn”, w na pozór wyjaśniającym drogę filozoficzno-poetycką Brakonieckiego (*Błądząc, szukam, pragnę. Zamiast wierzyć w Boga katolików, protestantów, muzułmanów, hindusów, buddystów muszę wpierw zmierzyć się z własną psychiką, która sprawia mi największy kłopot*¹⁵. *Piszę wiersze, bo nienawidzę, bo nie chcę nienawidzić, bo cierpię, bo boję się śmierci, bo kocham, bo jestem*¹⁶) ostatnim rozdziale „Ateista mistyczny”. Ostatnie około pięćdziesięciu stron wcale nie jest manifestem pisarza. Rzecz jasna jest to popis erudycji, stylowy wykład, od Platona do Simone Weil, Romano Guardiniego i Ciorana. Ta teoretyka i duchowe wyznania (*Ateiście mistycznemu nie potrzeba ani Boga osobowego, ani w ogóle religii objawionej, ani tym bardziej instytucji kościelnej, żadnego Boga teistycznego, aby zgodnie z własnym sumieniem oraz własną pozytywną wolnością posługiwać się rozumem krytycznym, twórczym, niezależną i humanitarną etyką oraz potrzebą sprawiedliwości społecznej i indywidualnej*¹⁷) przerywane są objawieniami rzeczywistości i spowiedziami, które niechybnie stanowią wynik głębokich przemyśleń, przebudzeń. A może jedynie wynurzeniami to udręczonego, to wybawionego i uspokojonego satori humanisty?

14 Podkreślenie JL.

15 Tamże, s. 374.

16 Tamże, s. 386.

17 Tamże, s. 398.

Czyli teoria i przykłady... Sam naprzeciw światu. Badacz i mistyk. Od swobodnych, podwórko-wo-szkolnych opowieści przypominających czasami (gdy zapomni się o powojennych dramatach) niektóre gorzkie książki Niziurskiego, przez równie bolesne i szare quasi-hrabalowskie olsztyńskie pejzaże, przez krytykę, wręcz wzburzenie na podobieństwo Thomasa Bernharda, przez próby zrozumienia wydarzeń historycznych i politycznych, aż po wzniosły ateizm mistyczny na końcu.

Jerzy Lengauer

Bernadetta DARSKA

(Nie)pamięć ma w sobie coś z kobiety

Alicja Bykowska-Salczyńska, *Cno*,

Olsztyn: Wyd. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich
Oddział Olsztyn, 2016

Podróż, powrót i dziedziczenie to doświadczenia stanowiące punkt wyjścia dla opowieści zaproponowanej przez Alicję Bykowską-Salczyńską w tomie poetyckim „Cno”. Autorka decyduje się na zderzenie współczesności z historią, miejsc i ludzi zapamiętanych z miejscami i ludźmi zapomnianymi, szansę na przekazanie własnych doświadczeń innym z niemożnością opowiedzenia tego, co nam się przydarzyło. Minione towarzyszy tutaj teraźniejszości w nieco nostalgicznym, mrocznym, pełnym odniesień do ostateczności sposobie obrazowania świata, którego już nie ma, a który pozostał we wspomnieniach i zobowiązaniach związanych z koniecznością pamiętania tego, co przydarzyło się ludziom, którzy żyli wcześniej. „Cno” to poetycka opowieść, w której natknemy się na niezwykle interesujące połączenie gatunków. Autorka zdaje się sugerować czytelnikom, że niewyobrażalne zło, jakie jeden człowiek jest w stanie zafundować drugiemu człowiekowi, domaga się poszerzenia formy i poszukiwania nowych sposobów wyrazu. Dla tragedii, które uwiecznia Bykowska-Salczyńska, nie wystarcza słów, nie wystarcza

myśli, nie wystarcza intelektualnych odniesień. Najbardziej uzasadnioną reakcją jest milczenie. Tyle że brak słów to jednocześnie wymazanie historii, która się wydarzyła. Oddanie pola zapomnieniu byłoby w tym wypadku niewybaczalnym grzechem w stosunku do przodków. Nie bez powodu używam w tym miejscu określenia „grzech”. W trakcie lektury tomu „Cno” trudno oprzeć się wrażeniu, że mamy do czynienia z poezją bardzo bliską teologicznym rozważań. Myliłby się ten, kto szukałby u Bykowskiej-Salczyńskiej łatwego usprawiedliwiania zła niezrozumiałą dla człowieka wolą Boga. Jej opowieść sytuuje się raczej blisko pytania o sens religijnych odniesień wtedy, gdy koszmar zła przerasta ludzkie zrozumienie. Można by więc powiedzieć, że w tle obecne jest delikatnie zasugerowane za sprawą beznadziejności losów tych, których przywołuje poetka, pytanie o istnienie Boga po Wołyniu. Poetka nie pozostawia miejsca na naiwną nadzieję. Sugeruje wprost, że ci, którzy stają po stronie śmierci, będą zawsze, tak samo jak ci, którzy opowiedzą się po stronie życia. Walka między nimi pozostanie nierówną próbą sił, bo nawet jeśli zło w którymś momencie się wyciszy, koszmar zabijania nie pozwoli na beztronski triumf dobra.

Tom poetycki „Cno” ma w sobie elementy eseju podróżniczego i nostalgicznego – chodzi przecież o powrót do miejsc, które niegdyś mogły być bliskie. Widać w nim również elementy poetyckiej impresji o charakterze filozoficznym oraz głęboko przemyślanego manifestu etycznego. Fundamenty myśli generowanej w kolejnych tekstach Bykowskiej-Salczyńskiej budowane są dzięki powtarzanemu przekonaniu, że jesteśmy winni pamięć tym, którzy przeminęli, że najważniejsze historie dotyczą nie narodów, ale jednostek, że ślady życia i śmierci nie mogą być zapomniane, nawet jeśli wszystko sprzysięga się przeciwko temu, by pamiętać. Istotny jest szczegół, wydaje się sugerować poetka. To dzięki niemu pozostaje COŚ. To dzięki niemu wygrać możemy potyczkę z nieuchronnością zapomnienia i przemijania. „Cno” zamienia się również w rodzaj epitafium odczytywanego na grobach osób, którym odebrano prawo do wspomnienia i celebrowania pamięci. Fakt, iż znaczna część wierszy pomieszczonych w tomie okazuje się poetyckimi miniaturami biograficznymi, nie jest bez znaczenia. Dla Bykowskiej-Salczyńskiej liczy się ocalenie związane ze słowem. Opowiedzenie czyjegoś losu nawet wówczas, gdy ma charakter fragmentaryczny, okazuje się gestem kluczowym dla cudzego i własnego przetrwania.

Poetka, co bardzo ważne, wcale nie sugeruje, że dziedziczenie pamięci odbywa się w łatwy i bezproblemowy sposób. Kluczowy dla tej kwestii jest wiersz zamykający tom, a mianowicie „Nieciembaciumiabaci”. Trzy pokolenia kobiet, choć przekazują sobie część własnych historii, ostatecznie zmierzyć się muszą z niemożnością porozumienia. Ograniczenia ciała i umysłu związane z wiekiem w którymś momencie każą im zderzyć się z faktem, wobec którego są bezradne. Oto żadne słowa nie będą skuteczne, nie dojdzie do skomunikowania się, pragnienie przekazania czegoś drugiej osobie nie będzie spełnione. To, co być może najważniejsze, nie zostanie opowiedziane. Bezsilność nie wymaże bliskości, zrodzi się jednak smutek będący skutkiem braku związanego z niemożnością zbudowania sojuszu opartego na woli dziedziczenia. Ów ostatni wiersz stanowi symboliczne dopełnienie tego, co zasygnalizowano w tekście otwierającym tom i zaczynającym się od słów:

*Ich nie zapytał nikt
o miłość śmierć i wstyd*

a kończącym się znaczącą frazą:

*Nienawiść do nienawiści?
Nie
Niemiłość do niemiłości
Tak*

Poetka doskonale wie, że ci, których w ich życiu zawiodło wszystko, nie potrzebują pocieszenia, bo niewiele z niego wynika. Krokiem naprzód może być natomiast subtelnie dokonana zmiana znaczeń. W tym geście zawiera się załączek nadziei, której trudno się wyrzec, ale i której trudno ufać. O tym niełatwym zaufaniu w marzenia o lepszym jutrze wspomina poetka w wierszu „Sen o Warmii”. Idealna kraina, w której przeszłość godzi się z teraźniejszością, ludzie są dla siebie przyjaciółmi, szanują ślady dawnego świata w najbliższym otoczeniu, nie niszczą, ale budują, okazuje się zaledwie, a może aż, *najpiękniejszym z warmińskich snów*. To marzenie o raju na ziemi koresponduje z podróżą na Wołyń, która z kolei pozbawia jakichkolwiek złudzeń. Każe przypomnieć sobie o zbrodni, zmusza do wejrzenia w losy tych, których brutalnie odarto z jakichkolwiek złudzeń, symbolicznie pozbawia wiary w to, co dobre, przytłaczając siłą zła, które kiedyś tu zatriumfowało.

Utwory zamieszczone w tomie „Cno” często bogate są w bardzo sensualne opisy tego, co żyje, choć pozornie ma w sobie coś statycznego. Przykładem takiego sposobu obrazowania może być aloes opisany w „Aloesach babci Gیزی”, który jako roślina wykorzystywana przez kobietę do celów leczniczych kojarzyła się z czymś przyjemnym i bliskim. W momencie gdy zostaje przetworzony w mechaniczny sposób i staje się częścią kosmetyków, traci – tak można to ująć – swoją moc. Moc, która, jak przeczytamy w wierszu, sprowadzała się do łączenia w sobie tego, co żywe i co umarłe. Ten sojusz dwóch pozornie nieprzystających, a jednak skazanych na siebie światów odezwie się w omawianym zbiorze jeszcze nieraz. Szczególnie mocno i z całą siatką niewypowiedzianych do końca sensów wybrzmiewa owa wspólnota życia i śmierci w wierszu „Pomidorki”. Czerwień i życiodajność warzyw hodowanych w piwnicy, oferująca namiastkę lata nawet zimą, towarzyszy nieokreślonej, mrocznej tajemnicy kobiet, które reagowały wielkim strachem na konieczność zejścia na dół. Co się tam wydarzyło?, co je spotkało?, dlaczego pamięć nie dawała im spokoju i nie pozwalała na cieszenie się optymistyczną czerwiecią hodowanych pomidorków? – możemy się tylko domyślać. Bykowska-Salczyńska wielokrotnie decyduje się na tego typu niedopowiedzenie. Nie chce, by wszystko było jasne. Podejrzenie, przypuszczenie, zastanowienie się nad czymś losem bywają często dużo bardziej dramatyczne od jednoznaczności, dającej odpowiedź i niepozostawiającej miejsca na wątpliwości. Wykorzystywanie przyrody jako sojusznika opowiadanych historii odbywa się zazwyczaj na zasadzie opozycji. Mamy więc wspomnianą powyżej smakowitość czerwonych pomidorków i mroczny

sekret, który odbiera kobietom umiejętność opanowania lęku. W wierszu „Uroczysko BRAK” pojawia się z kolei ból będący pewnego rodzaju genotypem całego otoczenia. Poetka pisze:

*Tam nawet trawy bolą
Nie chciałabym w nich rodzić
ani rodzić się, ani się umierać.*

Przyroda okazuje się więc wrogiem, kimś, kto wszedł w sojusz ze zbrodniarzami, nasiąknął krwią ofiar, za dużo widział, by ocalić niewinność. To w niej zapisana jest pamięć minionego. Równie dramatyczna pod względem emocjonalnym relacja z przyrodą rozgrywa się w utworze „Barszcz kaukaski”. Bykowska-Salczyńska z precyzją operuje słowami symbolami. Kiedy przywołuje konieczność zabierania ze sobą maczety, kiedy jedzie się na Wołyń, doskonale wie, jakie słowo to niesie skojarzenia i jakie narzędzie zbrodni królowało podczas ludobójstwa w Rwandzie. Nie nazywając więc zbrodni, poetka piętnuje ją i na nią wskazuje. Maczeta jest potrzebna do walki z przyrodą. Nie ma jednak wątpliwości, że dla wielu jest również bardzo przydatna w potyczkach z człowiekiem. Grób zostaje pochłonięty przez przyrodę. Nie jest to działanie niewinne, opiekunem i strażnikiem miejsca spoczynku jest groźny dla ludzi barszcz kaukaski. Roślina, która zabija, zarasta grób tej, która odeszła w świecie, w którym kilka lat po jej śmierci miało królować zabijanie. Nie wiadomo do końca, czym sojusznikiem jest trująca roślina. Odmawiając dostępu żywym, chroni zmarłą; zagrażając żywym, odseparowuje zmarłą od pamięci. Dziwny związek z przyrodą powraca w wierszu „Przy szosie na Lityń”. W tym przypadku zdziwienie budzi cisza i milczenie świata, który zwykle jest pełen dźwięków. Gdzieś w tle pojawia się od razu wątpliwość co do intencji zawieszenia wszelkich dźwięków przez otoczenie. Czy to ostrzeżenie, czy przypomnienie, czy zasygnalizowanie, że i tutaj w sielankowym pozornie krajobrazie mogłoby się wydarzyć wszystko. Są też i inne tajemnice – jak na przykład tytułowa „Jabłonka”. Drzewo, które jako jedyne ocalało i na miejscu śmierci, na pogorzelsku, rodziło życie. Kolejny paradoks przyrody, która nie wyjaśnia tego, co czyni, a jeśli budzi zdziwienie, to zmusza tym człowieka do zastanowienia się, czym przyjacielem lub wrogiem może się stać.

Poetycka opowieść Alicji Bykowskiej-Salczyńskiej to pokłon oddany kobietom – cichym bohaterkom codzienności, ofiarom zła, dawczyniom życia. To ich historie spisuje poetka. Nie ma wątpliwości, że portretując losy kobiet, odmawia udziału w skazywaniu swoich bohaterek na milczenie. Słowo staje się nośnikiem pamięci, trwałości, przetrwania. Poetka, co ważne i warte odnotowania, nie gloryfikuje pamiętania jako takiego. Pokazuje zniuansowany obraz różnego rodzaju uwikłań wynikających z niemożności wyrwania się z siatek pamięci. Zobowiązanie w stosunku do samego siebie – pamiętanie i świadczenie – bywa ciężarem, z którym niekiedy trudno sobie poradzić. Zwłaszcza wtedy, gdy dochodzi do konieczności mierzenia się z traumą trudną do wyobrażenia i pojęcia. Pamięć Wołynia bywa więc dużym wyzwaniem, pamięć wojny budzi wiele demonów, świadomość tego, że człowiek umie w wyjątkowo perfidny sposób niszczyć drugiego człowieka, boli i wpływa na codzienność. Zainfekowanie świadomością

śmierci zamienia życie w stan pośredni między istnieniem a odchodzeniem. Pewnych rzeczy się nie zapomina. W „Chlebie z ziarnami czarnuszki” kobieta nie potrafi zjeść pieczywa przygotowywanego ekologicznie. Tytułowe ziarna czarnuszki kojarzą się jej z pluskwami. Poetka doskonale odtwarza niezrozumienie i jednocześnie empatię wpisaną w ów gest odmowy:

*Miałam dużo szczęścia: nie wiem
jaki jest zapach pluskiew ani jak wygląda
żywa pluskwa, także dzięki niej
dla mnie to tylko słowa i obrazy.*

Cudze wspomnienie zostaje jednak zaanektowane przez tę, która nie może pamiętać. Świadek drugiej kobiety przywołuje obrazy, które niespodziewanie stają się wspólne. Dzięki słowom, bo to one dokonały zjednoczenia. W utworze „Opice” kobieta nie potrafi pogodzić się z tym, co kiedyś usłyszała. Ponieważ rozczarowanie wiąże się z językiem czeskim, bohaterka niechętnie podchodzi do tego języka. Powracają niełatwe wspomnienia, żal do rówieśniczek, poczucie zdrady. Język staje się wspomnieniem żalu sprzed lat, próbą obrony jest więc wyparcie się przeszłości poprzez odmowę styczności z czeskością.

Szczególnie ważnym wierszem w tomie jest utwór zatytułowany „Czarne perły”. To upomnienie się o przemilczane biografie kobiet i jednocześnie zaznaczenie ich wagi. Poetka skupia się na doświadczeniu, które nie miało szansy być ujawnione. To, co publiczne, wyparło to, co prywatne. Pamięć ciał kobiet, pamięć ich uczuć, pamięć chorób i pamięć traum – każde z przeżyć wymaga opowiedzenia, jest cenne, wzmacnia siłę będącą w kontrze do zapomnienia. Nie bez powodu poetka buduje ciąg myślowy między perłą, ziarnem a makiem. Nieopowiedziane ma w sobie potencjał oferujący przetrwanie. Widać to w wierszu „Cały ten majątek”. Bykowska-Salczyńska rozpoczyna opowieść słowami:

*To czego nie powiedzieli mi
moi najbliżsi obcy
i to co jednak powiedzieli.*

Wyliczenie, które następuje po tym fragmencie, to wzruszające świadectwo tego, jak niewiele zostaje po człowieku. Bliscy nie zawsze chcą dzielić się swoimi przeżyciami, czasami w swojej próbie ochrony innych przed własnym cierpieniem wolą włożyć maskę obcości. Obrazy, oderwane od całości fragmenty, rzeczy, względność przeznaczenia przedmiotów zamieniają się we wszystko i nic jednocześnie. Chęć zapamiętania części swojego życia sąsiaduje z próbami zapomnienia tych momentów, których istnienia nie chce się celebrować:

*Jedynie co tu na Warmię z Wołynia przywieźli
Jedno jajko, jeden opatrunek, jedną tabletkę, miszkę kaszy
smak soku z brzozy, jedno w strachu wyszeptane ostrzeżenie*

*jedno ozdrowiałe dziecko, gwizd pociągu, jeden nóż
Pamięć i Niepamięć, cały ten majątek
Mój spadek, piękny i straszny skarb.*

Zapamiętane sytuuje się więc głównie w tym, co niematerialne. Smak, zapach, dźwięk, barwa – to one są budulcem przetrwania. Potwierdzeniem są również te sceny, które definiują życiorysy opowiedziane w kolejnych poetyckich biografiach kobiet. W „Sasankach Zuzanny” śmierć i życie mają swój kolor. Po stronie końca jest czerni, po stronie początku i trwania czerwieni. Jedno z drugim jest nierozłączne. Życiu towarzyszy umieranie. Dramatyczna historia grzechu, który mężczyzna nie umie sam sobie wybaczyć, również usytuowana zostaje w cieniu barw. Wiersz, o którym mowa, to „Bejła”. W tym wypadku kolorem, który stwarza i niszczy, jest żółty. Brzoskwińowa cera, ukrywane praktyki kosmetyczne – nacieranie twarzy moczem, wreszcie podanie dziewczynie kremu z mleczu, niszczącego skórę i wzrok. Bezmyślność wynikająca z zazdrości i niedostępności pięknej dziewczyny skutkuje istnieniem poczucia winy przez całe życie. „Kuzynka Apolonia” to kolejny utwór, w którym ważną rolę odgrywa barwa. Sugestywny obraz kobiety uderzonej przez piorun i poczerńiałej dłoni dziecka towarzyszącego matce – zmysł wzroku i w tym przypadku jest kluczowy dla opowiadanej historii. Rumieniąca się „Leonie – piwonie” (tytuł wiersza) zostaje z kolei zderzona z porażającym obrazem białej odciętej głowy. Czerwień życia znajduje się obok błości związanej z umieraniem.

Alicja Bykowska-Salczyńska z powagą traktuje swojego czytelnika. Unika podawania odpowiedzi, woli pozostawić odbiorcę w stanie zmuszającym go do osobistego przeżywania przywoływanych obrazów i scen. Kwestie mówienia wprost, oskarżania, odpowiadania za winy przodków wiążą się z decyzjami podejmowanymi wspólnie. Widać to chociażby w wierszu „Malinka”. Poetka nie ukrywa, że obciążanie jednostki wiedzą o winach narodu wiąże się nie tylko z oczyszczeniem, ale i z próbą oskarżenia. To ostatnie natomiast ma związek i z ostrzeżeniem. Ciężar przeszłości wikła ludzi w pamięć i zapomnienie. Każdy musi dokonać wyboru dotyczącego zajmowanego miejsca w tym uwikłaniu. Wyzwaniem jest nie tylko problem trudów związanych z pamiętaniem i ostatecznych konsekwencji zapomnienia, ale również konieczność pogodzenia się z tym, że nie zawsze dziedzictwo przodków może być nam przekazane. I właśnie z tym poezja Bykowskiej-Salczyńskiej znakomicie sobie radzi.

Widnoksiąg

Zbigniew Kadłubek, *Bezbronne myśli.*

Eseje i inne pisma o Górnym Śląsku,

Katowice: Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego,
2016, Bibliotheca Alia Universa, tom XVIII

Skończyłem właśnie czytać poruszające wyznanie wiary śląskiego pisarza przyjaciela naszej realnej i wymyślanej Borussii, która jest przyjacielem realnego i kreowanego w imię prawdy historycznej i otwartej przyszłości Górnego Śląska (w ogóle całego Śląska). My Borussowie, Borussianie tworzymy (a raczej tak nam się wydawało do niedawna jeszcze) nasz region w imię lepszej przyszłości obywatelskiej, nie niosąc (prawdę powiedziawszy) na sobie żadnego generacyjnego ciężaru odpowiedzialności za małą i wielką (coraz bardziej odległą w czasie) Historię (co nie znaczy, że jej nie dziedziczymy oraz że nie próbujemy przekształcać świadomie), gdyż jesteśmy przedstawicielami „nowych autochtonów” (mieszkańców raczej) mazursko-warmińskich (!), poczętych z powojennych osadników i uchodźców polskich. Urodziliśmy się na Warmii i Mazurach po II wojnie światowej jako pierwsze polskie pokolenie na dawnych Prusach Wschodnich, na bałtyckiej ziemi pruskiej, która jako *Terra nullius* – Ziemie Odzyskane, jako wykreowana propagandowo Macierz (*Byliśmy, jesteśmy, będziemy*)

dopiero po 1989 roku w warunkach demokracji stała się naszą (i w mocnym sensie wspólną z dawnymi społecznościami) pełną, świadomie wybraną ojczyzną człowieka. Co prawda grozi nam powrót do zamkniętej granicami realnymi i mentalnymi monokulturowej, monopolistycznej, monoreligijnej krainy polityczno-wyznaniowej, ale przecież nie przepały się jeszcze sumieniem nasze dzieje i ojczyzny...

Borussia – czyli nowatorskie społecznie i kulturowo Warmia i Mazury – stała się na ponad 25 lat innowacyjnym drogowskazem tworzenia otwartego regionalizmu na fundamentach mitologizowanej Atlantydy Północy oraz, w co nadal wierzę, inspirującą swym otwarciem na świat i człowieka światologią, czyli kulturowym doświadczeniem egzystencjalnym, którego ideą jest przekraczanie oryginalnym myśleniem (etycznym i estetycznym), skutecznym dziełem humanistycznym i polityczno-kulturowym czynem autorytarnych i monokulturowych ideologii czy reżymów politycznych, a to wszystko dzięki polifonicznej i krytycznej lekturze miejsca/świata.

Górny Śląsk Zbigniewa Kałużka, Kazimierza Kutza, Henryka Wańka, Szczepana Twardocha, aby poprzestać przy tych rozpoznawalnych nazwiskach, nie jest ziemią wymaginowaną, krainą tworzoną niejako na nowo, *terra nullius* zapełnianą mitotwórstwem indywidualnym i wspólnotowym w imię ratowania najlepszych cech idealizowanego wielokulturowego dziedzictwa, lecz tragiczną i zdradzaną śląską Krainą Nod, którą znamy z mazurskiej wersji nieodżałowanego Erwina Kruka. Na Śląsku odpowiednikiem borussian byłiby (albo i są) świadomi swojej „wykreowanej” tożsamości regionalnej potomkowie ludności napływowej, czyli w rozumieniu „górnosląskiej poprawności politycznej” element sztuczny, obcy, nieśląski. Na szczęście takich podziałów (i niechęci do „napływowych”) u Kałużka nie ma, nie występują w głębszym rozumieniu istoty śląskości, swojskości, tożsamości regionalnej. I taki otwarty, demokratyczny, wręcz ludowy projekt „republiki mieszańców” nam borussianom najbardziej odpowiada.

Borusiański *homo viator* nie ma nic wspólnego z *homo novus*, a tym bardziej z *homo nullius* i dlatego pozostawiam na boku ten – chyba całkowicie sztuczny w oczach najmłodszych pokoleń – problem identyfikacyjny, ponieważ każdy ma prawo do (nieagresywnej) interpretacji rzeczywistości zewnętrznej i wewnętrznej, tożsamości kulturowej, obyczajowej, etnicznej, oraz do komentowania i tworzenia swojego miejsca lub bez-miejsca na ziemi bez względu na „zasługi gleby, krwi i rodziny”. Tak mi się przynajmniej zdawało do niedawna, ale bieżąca rzeczywistość polityczna w naszym kraju temu złudzeniu zadaje codziennie kłam. W moich borussiańskich oczach dramat Górnego Śląska (wymierzalnej i wymiernej krainy historycznej, politycznej, cywilizacyjnej, geograficznej) jedynie w pewnym i to niedużym stopniu przypomina dramat Mazur i Mazurów (wykorzenienie, wydziedziczenie, uwikłanie w wielką historię, zapóźnienie cywilizacyjne), a na pewno nic nie ma wspólnego ze zmitologizowaną propagandą ze strony niemieckiej i polskiej arkadyjską krainą peryferii mazurskich. Plebejskich Mazurów historycznych nie ma ze znanych ogólnie powodów historycznych oraz... cywilizacyjnych. Górnosłązacy są i to, że są, i to, że próbują odtworzyć (stworzyć) własną podmiotowość

etniczną i kulturową, wzbudza mój podziw i szacunek. To nie są „pogardzani” plebejusze, rolnicy, górnicy, klasy niższe i przez wielu srogo wykorzystywane, lecz współczesna szeroko rozumiana klasa średnia, a w tym inteligencja uniwersytecka, samorządowa, urzędnicza, pracownicza rozpoznająca wartość miejsca i uczestnictwa obywatelskiego. Tego typu jakościowa zmiana nigdy się nie dokonała (bo nie mogła, to fakt) w skali socjologicznej i kulturowej na plebejskich i pozbawionych inteligencji Mazurach za czasów prusko-niemieckich oraz niestety i polskich.

Jednak nie będę omawiać autentycznego dramatu historycznego, społecznego i politycznego współczesnych i historycznych Górnoszlązaków, bo i tak jest on wpisany we wszystkie wywody autora i skrócić go można jedną słuszną opinią, którą często powtarza reżyser Kazimierz Kutz: Ślązacy (Górnoszlązacy) byli i są ludźmi drugiej kategorii. I tak niedawno komisje sejmowe odrzuciły skromny i odpowiedzialny projekt ustanowienia etnicznej mniejszości śląskiej oraz języka śląskiego jako języka regionalnego. Profesor i pisarz, komparatysta i poliglota, erudyta i regionalista Zbigniew Kadłubek 9 października 2014 roku w tej sprawie wygłosił mądrą mowę za przyjęciem projektu, która nie została niestety wysłuchana przez posłów. Chcę tu mocno podkreślić, że państwo, które nie potrafi odpowiedzialnie docenić mądrych potrzeb swojej całej społeczności, w tym mniejszości narodowych, etnicznych, kulturowych, regionalnych, nie zasługuje na miano państwa demokratycznego. To nie jest państwo społeczno-obywatelskie, ale autorytarne z elementami demokracji (jak na przykład sterowane wybory powszechne)... Istotne jest przypomnienie, że poprzedni rząd i sejm wcale nie były lepsze w tej materii. I tak tylko język kaszubski dysponuje „cechą” języka regionalnego w Polsce.

Tak więc polecam tę wzruszającą i dobrze udokumentowaną książkę wszystkim zainteresowanym bogatą i trudną tematyką śląską, a sam przechodzę do istoty mojej analizy, której rdzeniem jest to, co mnie silnie łączy ze śląskim naukowcem i pisarzem, a mianowicie geopoetyka, nowy regionalizm, światowanie i światologia. Zbigniew Kadłubek w innej książce, w antologii tekstów zatytułowanej „Przestrzeń, literatura, doświadczenie. Z inspiracji geopoetyki” (Katowice 2016), świetnie pogłębia pojęcie geopoetyki wymyślane i zastosowane przez szkockiego poetę i myśliciela Kennetha White’a (którego od lat tłumaczę i obserwuję jego wpływ na polskie literaturoznawstwo regionalne, antropologiczne, geo- i ekokrytyczne). Jak wiadomo, geopoetyka jest twórczym stosunkiem do konkretnej i zarazem uniwersalnej ziemi/terytorium, miejsca, geografii, który nie poprzestaje na zwykłej rejestracji tego „przyziemnego” doświadczenia. Jest filozoficzno-literacką kreacją, w której człowiek jako podmiot staje się jednym z elementów większego horyzontu poznawczego, uczestniczącego, wspólnotowego. Jej celem jest wyjście poza historię i liryczne wyznania (w tych sprawach akurat sam nie jestem ortodokszą, przyznaję). Kadłubek odzyskuje (pogłębia oryginalnie) sens geopoetyki, nie zapominając o śląskiej (regionalnej) specyfice. Celnie zauważa:

Jeśli geopoetyka już miałaby mieć coś wspólnego z historią, to właśnie wypełniałaby wobec historii funkcję terapeutyczną. Nie rozłączającą, lecz leczącą. Geopoetyka byłaby takim

sposobem wejrzenia w to, co przeszłe, w którym przeszłe doczekałoby się odkupienia, a nie jakiegoś uzasadnienia czy nawet rozumienia. Taki proces, proces geopoetycki, dokonywałby zmian kulturowych, raz na zawsze odcinając się od jakiegokolwiek rewanzu i roszczeń związanych z tym, co było. Nawet wówczas, gdy boleść utraty miejsca byłaby kolosalna.

I tutaj widzę powody wielkiego zaangażowania Zbigniewa Kadłubka w reinwentaryzację cech śląskiej krainy oraz w budowanie pomostów pomiędzy Niemcami, Czechami, Polakami a Ślązakami. To nic innego jak projekt nie tyle łatwej i biernej tolerancji, ile radykalnej odnowy życia wewnętrznego w nadziei na opanowanie żywiołów rozpętanej historii (patrz tragedia 1945 roku) w celu wyprowadzenia moralnej lekcji lepszego życia razem w płynnej rzeczywistości ponowoczesnej (a nie prowincjonalno-tradycjonalistycznej), która jednakże nie rozpusza kosmopolitycznie „miejsc na ziemi”.

Przez lata ludzi trapiło odczucie „odczarowywania” świata, obecnie mamy odwrót od globalizacji i powrót do „zaczarowywania swojego świata” ponownie, a więc wraca kult ojczyzn, państw narodowych, plemiennych krain. Centrum staje się nie szeroki i nieobjęty (choć nieprzewidywalny) świat, lecz własny naród symbolizowany własnym państwem narodowym. Czy o to chodzi Zbigniewowi Kadłubkowi? O rewindykację utraconych „elementarnych żywiołów”? Na pewno nie albo nie tylko o to. Pograniczna kraina, jaką stanowił przez stulecia jasno określony granicami i rozwojem cywilizacyjnym Śląsk, ma po prostu pełnić funkcję ozdrowieńczą dla mieszkańców nie jako twierdza zamkniętej swojskości, lecz jako szanowany i otwarty region w większej całości moralno-cywilizacyjno-państwowej, która rządzi się demokratycznie i obywatelsko. I dlatego ten projekt śląski jest wołaniem o ideę Polski jako „lepszego matki”, a nie gorszej „macochy”.

Przenikliwy i wrażliwy autor „Fado. Piosenki o duszy” (Katowice 2015) nie tylko świetnie literacko posługuje się piórem, ale też trafnie nazywa różnorodne trudne terminy, rozpoznając miejsca na mapie serca i umysłu. Bo nie są to mądrkowania profesora, ale eseje i teksty wyjęte z trzewi doświadczenia konkretnego człowieka bolejącego nad konkretnie umiejscowionymi problemami. To śmiała i chyba wręcz desperacka próba dantejskiego przejścia przez piekło historii danego miejsca Polski i Europy Środkowej na mapie do postulowanego i obiecanego raju duchowego. Takie stanowisko, w którym postawa geopoetycka przenosi dole i niedole miejsca z dojmującej i doraźnej historii w doświadczenie moralne (a więc i duchowe) na wyższy poziom człowieczeństwa, to ideowy projekt egzystencjalny, a jednocześnie żarliwe konstruowanie otwartego regionu za pomocą otwartych zmysłów i umysłów. To szkicowanie gościnności wolnego ducha miejsca i mieszkańca. To nie jest ograniczające pole widzenia pisanie z oklepanego poznawczo wygnania i rozpamiętywanie inwentarskie krzywd, lecz kulturowe rozpoznawanie horyzontu nowej tożsamości braterstwa z „autochtonami i przybyszami”. I o to samo chodzi olsztyńskiej „Borussii”. O braterstwo, o praworządność, o demokrację obywatelską i praktyczny szacunek.

Dlatego Kadłubek powiada, że Górny Śląsk to nie zbiorowisko przysłowiowych cnót typu pobożność, pracowitość, podległość, bo są to cechy postkolonialnego podporządkowania, ale egzystencjalny projekt przyszłościowy, w którym więź z domem, miejscem, przestrzenią, człowiekiem rozpisana zostanie na projekt spełnionego człowieczeństwa:

Region, najbliższy kraj i krajobraz, dla wielu ludzi oznacza Sens Życia, a może jeszcze bardziej WIELKI ŚWIAT SENSU, który się zagubił [...]. Tożsamość regionalna wydaje się dobrą terapią i regeneracją duchowości dzisiejszych Europejczyków. Daje szansę, by żyć tutaj i tutaj spełnić swe człowieczeństwo [...], by powiedzieć „tak” temu światu, który zastajemy.

Utopia? Europa regionów? Mrzonka? Ale przecież autorowi tych słów nie chodzi o pretensjonalną i bezmyślną miłość do rodzinnych stron, do małej ojczyzny, a tym bardziej nie chodzi o resentymentalny egoizm i nacjonalizm „naszej krwi i ziemi”, ale o coś więcej lub o coś innego poprzez podstawowy kierunek „poetyckiego zamieszkiwania na ziemi/Ziemi”: o świadome opraktykowanie prawdy życia i o samo wolne życie w prawdzie, pięknie i szacunku, które się uzyskuje (szkoda że nie na zawsze!) dzięki odwadze myśli i serca. Częściej na papierze niż w rzeczywistości.

Szczepan Twardoch, *Drach*, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 2014

Cóż, nie znam innych, generalnie bardzo pozytywnie przyjętych, powieści Szczepana Twardocha poza minieposem górnośląskim „Drach” i chciałbym od razu autorowi wyrazić swoje szczere uznanie. Cenny jest dla mnie rozmach epicki i poznawczy, jaki znajduję w tej śląskiej powieści, z której wysnuć można niezły serial telewizyjny. Coś z gatunku braci Coenów i ostatniego filmu Agnieszki Holland. Dawno nie czytałem tak interesującego pod względem prezentacji historiozoficznej utworu prozatorskiego o proveniencji „regionalnej” i stylu „ekspresjonistycznym”. Pomyślałem, że oto utwór godny górnośląskiego Faulknera, dla którego świat przedstawiony za pomocą polskiej wersji językowej funkcjonuje logicznie z gadką „wasser-polską” oraz językiem niemieckim na równych prawach, tworząc lustro jednego (zaraz obiektywnego i subiektywnego) języka symbolicznego tej specyficznej krainy.

W powieści mamy wątek sensacyjny, miłosny, rozrachunkowy, batalistyczny (doskonale napisane sceny wojenne), społeczno-obyczajowy i w dodatku szeroką panoramę narracyjną, która jest skupiona w litanijnie powracających obrazach-przypomnieniach-rozważaniach natury „filozoficznej”, które programowo interpretują rzeczywistość w kategoriach biologiczno-naturalistycznych. Dużo się dzieje w warstwie naracyjnej powieści, ale zarazem jakby nic nowego się nie wydarzało, gdyż: *to nie ma znaczenia, jak wszystko*. To zrównanie wszystkich istnień pod względem naturalistycznym eliminuje poczucie tragizmu życia (człowieka), wpisując jego kondycje w szerszy i irracjonalny „plan kosmiczny”. Taki rodzaj naturalizmu nazywam dla siebie naturalizmem egzystencjalnym.

Wszystko to, co jest epicko i zarazem skrótowo przedstawione i co jest powtarzalne, sprawnie funkcjonuje dzięki koncepcji narratora, którym nie jest ani pojedynczy podmiot, ani umowny i obiektywny narrator trzecioosobowy, lecz postać mityczna, kosmiczna, nazywana Drachem, która jest (tutejszym) smokiem, ziemią (ziemią górnośląską), zasadą kosmiczną, a wreszcie symboliczno-naturalistyczną Kopalnią, w której ludzie i zwierzęta, godziny i zdarzenia rodzą i umierają. To taki wielki proces biologiczny, który sięga wnętrzości ziemi (kopalnia) i Ziemi jako jedności wszystkiego (jedności w rozpadzie i metamorfozie). To jest ten ekspresjonistyczny plan metafizyczny ściśle związany z biologicznym widzeniem świata. I świetnie się sprawdza. Wybór takiego narratora to najważniejszy chyba strzał w dziesiątkę Stefana Twardocha: spowodował przesunięcie ciężaru powieści z warstwy anegdotycznej (mniej lub bardziej w szerokim tego słowa rozumieniu sensacyjnej i rozrachunkowej) na bardziej przekrojową i metafizyczną.

Zdarzenia relacjonowane są symultaneistycznie. To taka ekspresjonistyczna metoda z początku XX wieku (Romains, a u nas na przykład przedwojenny Kudliński) symultaneistyczno-unanimistyczna: wspólnota ludzka to laboratorium, różne wydarzenia powtarzają się oraz dzieją w tym samym czasie, chociaż... Za tyle i tyle lat. To łączenie podobieństw nie jest przypadkowe, skoro dowodzi zdeterminowania losów ludzi i w ogóle wszystkich przejawów życia. Poza tym uznaję „Dracha” Twardocha za kolejne (i udane) wcielenie powieści pisanych po I wojnie światowej przez takie znakomitości, jak Dos Passos, Faulkner czy Céline. Czy są to za dalekie porównania, za wysokie dla śląsko-polskiego autora? Nie aż tak bardzo, chociaż można te wszystkie chwyt „metafizyczno-narracyjne” pomniejszyć określeniem, że są tylko świadomie wybranymi chwytami stylistycznymi (i to jakoś spłaszczonymi w wersji współczesnej). Zostawiam tę ocenę bardziej uczonym czytelnikom, na mnie te splątane i łączące się górnośląskie wątki i motywy, tak a nie inaczej przedstawione, zrobiły autentyczne wrażenie.

Widzenie syntetyczne miejsca, epoki, losów ludzkich wspomagane zostało umiłowaniem szczegółów, a osobliwie marek samochodów, wojennej broni, co się przełożyło na wiwisekcję somatyczną, na przykład szczegółowego rozkładu ciał. Naturalizm ten nie odstaje od głównej wizji emanującej z powieści, skoro życie ludzkie nie różni się od życia innych stworzeń i jest obojętnym przejawem kosmicznego prawa. To taki pędzący *élan vital*, symbolizowany Drachem, czyli pogańskim bóstwem Ziemi, które jest najważniejszym motorem i zarazem świadkiem (światowidzem) miotania się bezbronnych i okrutnych wobec siebie i świata (na przykład przyrody) istnieć. Kopalnia jako czarna dziura materii na Śląsku, na Ziemi, w Kosmosie.

Dostrzegam w tym wszystkim literacki popis socjobiologii zastosowany do dziejów zbiorowych i indywidualnych Górnego Śląska, aby osiągnąć starogreckie uwolnienie, czyli katharsis. W każdym razie ja takiego oczyszczenia moralnego doznałem. Mocna rzecz!

Paweł JASKULSKI

Komiksowa adaptacja „Nędzoli”

Zbigniew Masternak, *Nędzole*,

Radom: Kameleon, 2016

Na polskim rynku wydawniczym ukazuje się kilkaset komiksów rocznie, przy czym w dobie pojęć rozmytych nie do końca wiadomo, co właściwie kryje się za fasadą tego gatunku. W XXI wieku bezpieczniej nie definiować zjawisk kulturowych, ale lepiej po prostu je opisywać. W przypadku komiksu jedno jest pewne: my, konsumenci sztuki masowej, jesteśmy świadkami jego awansu w hierarchicznych strukturach kultury. Czy poza tą konstatacją istnieje jeszcze coś pewnego?

Owszem. Z gąszczu – walających się w pokojach zarówno gimbazy, jak i ludzi dorosłych – chmurek, dymków, kadrów warto wydobyć te, które zostaną dłużej. Pewny jest również fakt, że jedno z głównych kryteriów realnej partycypacji w literaturze najnowszej stanowi „odpowiedni moment” publikacji danego utworu. Wydanie w 2015 roku przez Michela Houellebecqa powieści „Uległość” można porównać do trafienia lotką w dziesiątkę¹. Jeżeli chodzi o sprawność w prog-

279

.....
¹ Nie czas to i miejsce na przypominanie fabuły; może poza tym, że ma charakter antyutopii, jako że we Francji A.D. 2022 prezydentem zostaje muzułmanin Mohammed Ben Abbas.

nozowaniu przyszłości na poziomie literackim, Zbigniew Masternak powieścią „Nędzole” (I wyd. styczeń 2014; czwarta część cyklu „Księstwo”) wyprzedził francuskiego pisarza o wiele lat, gdyż opisuje wydarzenia dziejące się w połowie poprzedniej dekady. Co więcej, „Nędzole” w żadnym razie nie aspirują do miana antyutopii. Dokumentują bowiem niewygodne prawdy w łotrzykowskiej formie. Teraz ukazują się jako komiks – oczywiście wybitnie niepoprawny politycznie, *chapeau bas* – co zwiększa szanse twórczości Masternaka na dotarcie do nowej grupy czytelników.

Zestawienie z „Uległością” jest nobliwe, ale przede wszystkim wyznacza pewne standardy, na których powinna opierać się recepcja „Nędzoli”. Nadszedł dobry moment na rozbudowanie ciasnego salonu (saloniku?) literatury przez rodzimą krytykę. Choć Masternak jest obecny w przestrzeni publicznej, jego pisarstwo wciąż czeka na otwarte starcie z najlepszymi oraz z „najlepszymi”. Dokonania prozatorskie udowodniły, że autor „Jezusa na prezydenta” płynnie porusza się w rozmaitych konwencjach opowiadania. Posiadł też rzadką wśród literatów umiejętność nasycenia żywiołu autobiograficznego uniwersalnym przekazem. Po wielokroć diaryistyczne formy wypełnia – na dobrą sprawę niewiele wnosząca – wirtuozeria językowa oraz nośne tytuły w stylu: „Kiszone ogórki, zeschłe mandarynki i pomadka do ust ukryta w kufrze”. „Nędzole” oferują panoramiczny opis współczesnej emigracji zarobkowej Polaków i nie tylko w tym sensie odświeżają przyzwyczajenia czytelnicze.

„Nędzole” były idealnym wyborem na komiksową adaptację. Epizodyczna konstrukcja powieści narzucała ją sama przez się. Dzięki temu podporządkowanie struktury powieściowej poetyce komiksu nie sprawiło twórcom dodatkowych trudności. W efekcie nowa wersja „Nędzoli” przywołuje na myśl poetykę serialu; a to przecież obecnie na tym polu produkcji filmowej arcydzieła zdarzają się częściej niż w kinie fabularnym. Byłoby wskazane, żeby twórczością Masternaka zainteresował się – równie bezkompromisowy co litera „Nędzoli” – reżyser w stylu Wojciecha Smarzowskiego.

Podział narracji na swego rodzaju odcinki, rzecz jasna, nie jest niczym nowym, lecz wyrasta z bogatej tradycji komiksu sięgającej przełomu XIX i XX wieku, czyli utworów Richarda F. Outcaulta („The Yellow Kid”), a także Winsora McCaya („Little Sammy Sneeze”). Stąd wzięły się też standardowe środki wyrazu „Nędzoli”, na przykład zburzenie czwartej ściany. Fani komiksu w samych rysunkach doszukają się zapewne inspiracji z amerykańskich komiksów o superbohaterach. Z kolei przed zwolennikami klasycznej prozy otwiera się możliwość intertekstualnej uczty: „Tajemnice Paryża” Eugeniusza Sue, a nawet mały ukłon w stronę „Ulissesa” Jamesa Joyce’a to tylko jej przedsmak. Zatem, z jednej strony autorzy rysunków (a było ich jedenastu; praca zespołowa, w której kolejne etapy tworzenia realizowane są przez różne osoby także wywodzi się z dawnych dziejów komiksu) pozostali wierni tradycji, z drugiej scenarzysta Robert Zaręba zachował zakorzenionego we współczesnej Europie ducha pierwowzoru.

Chciałoby się, żeby demaskatorska treść „Nędzoli” zdezaktualizowała się w ciągu kilku najbliższych lat. Wówczas utwór Masternaka stanowiłby wartość dokumentalną, a przede wszystkim samoistną, to znaczy mógłby jak awangarda wyznaczać przyszłe kulturowe ścieżki; stałby się instrukcją obsługi do pisania nowej historii literatury z poszanowaniem starej. Zwróćmy uwagę, że do nowoczesnego świata „Nędzoli” wprowadzają nas w paratekście złoWIESZCZE słowa Adama Mickiewicza z „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego”:

Pamiętajcie, że jesteście wśród cudzoziemców, jako trzoda wśród wilków i jako obóz w kraju nieprzyjacielskim. [...] Jesteście między cudzoziemcami jako rozbitkowie, na brzegu cudzym.

„Nędzole” kłaniają się przed tymi słowami i przytaczają im. Istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że – przynajmniej póki co – stęchły klimat świata i polskiej literatury utrzyma się. Akt terrorestyczny staje się naturalną potrzebą części ludzkości na wzór picia i jedzenia (nie tylko kebabów). Terrorysta ma więc szansę na trafienie do słownika synonimów pod hasłem ‘uchodźca’, a Polak nie wydobędzie się jeszcze z więzadeł emigracji.

Jednak dopóki piłka w grze... Grzegorz Rosiński, autor serii „Thorgal”, powiada, że:

kraje, gdzie forma komiksu jest najbardziej rozwinięta, poziom czytelnictwa jest najwyższy. Komiks wprowadza w świat literatury, uczy obcowania z książką jako taką.

I tak oto mamy na koniec optymistyczny akcent. „Nędzole” dowiodły, że polski komiks może rozwijać się w kierunku realistycznym, co dobrze komponuje się – bo konfrontacyjnie – z jego zdecydowanie bardziej oswojoną odsłoną w wersji fantasy.

Paweł Jaskulski

Anna MAZIUK

Cztery spojrzenia

Magdalena Szozda, *Wpływ jeziora błękitnego*,

Warszawa: CONVIVO, 2015

Ewelina Krupska, *Mapa zalesienia*,

Warszawa: CONVIVO, 2016

Bogna Gniazdowska, *Mój wybór*,

Warszawa: CONVIVO, 2016

Lucyna Brzozowska, *Jestem niewinna*,

Warszawa: CONVIVO, 2016

Niedawno w ręce wpadły mi cztery tomiki poezji: „Mapa zalesienia” Eweliny Krupskiej, „Wpływ jeziora błękitnego” Magdaleny Szozdy, „Mój wybór” Bogny Gniazdowskiej i „Jestem niewinna” Lucyny Brzozowskiej, wszystkie ukazały się nakładem istniejącego od kilku lat wydawnictwa CONVIVO. Tytuł serii nawiązuje do łacińskiego przekładu Ewangelii św. Jana, „tangere” to bezokolicznik od „tango” oznaczający „dotykać” i jak tłumaczy założycielka wydawnictwa Anna Matysiak, o to właśnie, by dotknąć i zatrzymać czytelnika, chodzi. Wydawczyni sama jest poetką. W 2015 roku nakładem krakowskiego wydawnictwa Miniatuura ukazał się jej tomik „Czułość liter”. Wydawca twórczość innych zaczęła z miłości do poezji oraz żeby zaoferować ludziom to, co jej się podoba. Nic więc dziwnego, że omawiane zbiory są do siebie trochę podobne. Zasadą, którą przyjęła, jest to, iż wszyst-

kie tomiki są ilustrowane – fotografiami albo zdjęciami obrazów najczęściej autorstwa samych poetek. Prosta szata graficzna sprawia, że zbędne szczegóły nie męczą oka, nie odwracają uwagi od tego, co w tych książkach najważniejsze – od słowa.

„Wpływ jeziora błękitnego” Magdaleny Szozdy przypomina zbiór opowiadań, to dłuższe formy liryczne pisane pozbawioną interpunkcji prozą, przeplatane nielicznymi wierszami. To opowieści o miłości do miejsca i o otaczającym świecie. Trochę obserwacji smutnych i trafnych do bólu jak w „Tajemniczym ogrodzie”, poetyckim miniopowiadanku, które kończy się tak: *Bawimy się pod krzakiem bzu w rodzinę. On wie jak. Trzeba pić wodę ze szklanek, klócić się i wrzeszczeć na nieistniejące dzieci.* To mapa po miejscach i emocjach, które zmieniają się pod wpływem różnych przeżyć, wyznaczanych kierunkami świata. Zachód na przykład to zniszczenie starego, zmiana krajobrazu. U Szozdy najbardziej drażnią zbyt często wplatane w liryki konkretne imiona bliskich autorki, jej córek, męża. Odbiera im to uniwersalność, wybija z rytmu. Bo kim jest Marta, kim Weronika? Jeszcze gorzej wychodzi, kiedy poetka przedstawia je w wierszach.

„Mapa zalesienia” młodej, dwudziestoośmioletniej Eweliny Krupskiej jest zaś mentalną podróżą do przeszłości, dziecięcych wspomnień o smaku gumy Orbit albo lukrecji. Podróż nie jest więc daleka, ale ciekawa, bo autorka pomimo młodego wieku sprawnie buduje sugestywne i mocne obrazy.

Ciekawie swoje wiersze komponuje Lucyna Brzozowska w „Jestem niewinna”. Lepi na pierwszy rzut oka niepasujące do siebie frazy, niepowiązane sensem słowa. „Właściwego” początku wersu szukać trzeba zazwyczaj w ostatnich słowach tego, który go poprzedza. Pomimo że wiersze są raczej krótkie, nie polecam czytania tej poezji hurtem. Istnieje wówczas ryzyko przesycenia. Szczególnie że autorka na różne sposoby próbuje wyrazić to samo: tęsknotę, próby uporania się z przemijaniem, także przemijaniem miłości, i lękem, że znów się będzie cierpiało.

Najlepiej wypada tomik „Mój wybór” pięćdziesięcioletniej Bogny Gniazdowskiej. To też najobszerniejsza z czterech omawianych pozycji. Język, jakiego używa Gniazdowska, od razu zdradza jej fascynację dawnymi zapiskami i pamiętnikami. Takie pomieszanie potocznego z niedzisiejszym. Sama autorka mówi o swoich wierszach, że *choć mają nienowoczesną formę, są terazniejsze*. To jednocześnie prawda i nieprawda, bo to też opowieści o przeszłości, o czasach wczesnego dzieciństwa, kiedy poetka jako cztero-, pięciolatka doznawała pierwszych zranień. Szczególnie mocne są wiersze poświęcone jej relacji z matką. Pełno w nich smutku małego dziecka, któremu zabrakło tego, co najważniejsze. Dobrze obrazuje to wiersz „Wspomnienie”:

...Mama oznajmia,
że już mnie nie kocha.

Jestem za mała i nie rozumiem,
dlaczego umarłam, a żyję.

Z tego, co poetka pisze w pierwszej części „Egostystem”, wзира ogromna samotność małej, nieporadnej jeszcze istoty. Poczucie bycia nie taką, nie dość – również w późniejszym życiu. Jest tu mowa o miłości nie do otrzymania, takiej, która już nie zostanie dana. Nawet przygarbięty kot poetki nie pokochał. Ale i o miłości niespełnionej, do mężczyzny. Także o odchodzeniu i starzeniu się (na przykład w „Antycypacji własnej starości”) Gniazdowska pisze wprost, bez zbędnych ozdobników. Weselej, momentami wręcz dowcipnie robi się w ostatniej, trzeciej części tomiku, zatytułowanej „Podwórko”. Środkowa część „Bestiarium uczuć” poświęcona jest w dużej mierze ukochanym zwierzętom – kotom, psom i pewnemu jeleniowi, który umknął przed kulami.

Gniazdowską czyta się swojsko, to, co pisze, jest znajome, dużo tu odniesień do codzienności. Ale czy poetka rzeczywiście dokonała tytułowego wyboru? W doborze wierszy zamieszczonych w tomiku trochę go zabrakło. Momentami można odnieść wrażenie, że na jak najmniejszej liczbie stron trochę na siłę upchnęła jak najwięcej materiału. Szkoda, ale mimo to jest tu na tyle dużo dobrych wierszy, że tomik broni się jako całość.

W ten sam sposób bronią się wszystkie wymienione zbiory. Nie jest to poezja szczególnie nowatorska, trochę też zbyt wygodnie się ją czyta. Ale jak na początki wydawnicze jest niezłe. Zastanawiam się tylko, czy za czas jakiś, podobnie jak bohaterowie „Drogi” Cormaca McCarthy’ego, będziemy się dziwić, po co komukolwiek kiedyś były takie przedmioty jak książki, szczególnie te zapisane poezją? Póki co wydawanie jej, nawet na tak małą skalę, jak robi to CONVIVO, nie jest pozbawione sensu choćby z tego powodu, że znajdują się tacy, którzy ów sens widzą. A to niewątpliwie idea wzniosła i warta propagowania. Kibicuję więc CONVIVO i kolejnym autorkom, które zostaną przez nie wydane. Ja z przyjemnością sięgnę po następne tomiki. Liczę, że będą dojrzewać razem z wydawnictwem.

Anna Maziuk

Wznowienie potrzebnej monografii o kulturze niemieckiej

**Czesław Karolak, Wojciech Kunicki,
Hubert Orłowski, *Dzieje kultury niemieckiej*,**
wydanie II rozszerzone, Warszawa: Wydawnictwo
Naukowe PWN, 2015

Z końcem 2015 roku ukazało się drugie, rozszerzone w stosunku do pierwszego, z 2006 roku, wydanie „Dziejów kultury niemieckiej”, które można zaliczyć do tak zwanych dzieł standardowych (kanonicznych), mających wpływ na budowanie *opinio communis* w obszarze dotyczącym współczesnego postrzegania i rozumienia kultury niemieckiej.

Autorzy, wybitni polscy germaniści, Czesław Karolak, Wojciech Kunicki oraz Hubert Orłowski podjęli się zadania niezmiernie trudnego – odniesienia się do dziejów kultury niemieckiej jako całości, a nie do kultur poszczególnych epok, jak było to praktykowane w dotychczasowych publikacjach z tego zakresu. Jest to pierwsza publikacja na polskim rynku wydawniczym, która mierzy się z tym trudnym wyzwaniem. Na ponad 600 stronach (uzupełnionych o wyczerpującą bibliografię, indeks nazwisk oraz mapy) przedstawiona została panorama historii kultury niemieckiej od narodzin świata germańskiego do dzisiaj. Obejmuje ona wszystkie dziedziny aktywności ludzkiej w obszarze kultury: literaturę, filozofię, teatr, muzykę, sztuki plastyczne, architekturę, kulturę materialną, technikę oraz życie naukowe.

We Wstępie autorzy wyjaśniają źródła trudności związane z kompozycją takiego tomu:

Publikacje ostatnich dziesięcioleci to najwyżej monografie odnoszące się do kultury poszczególnych epok, nigdy natomiast do całości. [...] Taki stan nie jest przypadkowy. Wynika on zarówno z rozpiętości i różnorodności obiektów, definiowanych jako zachowania i działania oraz wytwory kulturowe, jak i z kłopotów warsztatowo-metodycznych.

Próbując sprostać temu trudnemu wyzwaniu, autorzy tomu przyjęli spójną i pojemną definicję referencyjną dla rozumienia kultury, a jednocześnie przydatną do „opowiadania” dziejów kultury niemieckiej. Wybór padł na definicję kultury Maxa Webera, który postrzega ją jako *skończony wycinek bezsensownej nieskończoności wydarzeń świata, któremu nadajemy sens i znaczenie*. Jednak decyzja o wyborze tej definicji przez autorów tomu nie oznacza chęci zamykania się w analizach, a następnie wynikach, które preferowałyby tylko jedną kulturę dominującą. Wręcz przeciwnie: autorzy optują za perspektywizmem, a opisując kulturę niemiecką, nie traktują jej jako homogenicznej, lecz analizują różne warstwy tak zwanych obcych kultur, trwających w jej obrębie. Konsekwentnie zwracają uwagę czytelnika na zróżnicowanie kulturowe i odmienny rozwój kulturowy w poszczególnych regionach Niemiec, co jest wynikiem różnych doświadczeń historycznych.

Na „Dzieje kultury niemieckiej” składa się czternaście rozdziałów („Średniowiecze”, „Humanizm”, „Reformacja”, „Barok”, „Oświecenie”, „Okres »Burzy i Naporu«”, „Czas siodła”, „Romantyzm”, „Biedermeier”, „Wiek nacjonalizmu i rozwoju cywilizacyjnego”, „Wiek ideologii i społeczeństwa masowego”, „Po powstaniu dwu państw niemieckich”, „Ikony zjednoczenia”, „Pejzaż kulturowy zjednoczonych Niemiec”), których narracja jest w miarę ciągła i widać starania autorów o konsekwencję w omawianiu poszczególnych zjawisk i splotów kulturowych w ramach trwania poszczególnych epok. Zróżnicowania wynikają z dynamiki przebiegu procesów kulturowych oraz z dominacji różnych zjawisk/wydarzeń, gatunków czy dziedzin kultury w przestrzeni konkretnych epok.

Wielką zaletą omawianego tomu jest ciągłość w „opowiadaniu” dziejów kultury niemieckiej przy przechodzeniu pomiędzy kolejnymi epokami. Autorzy nie ograniczają się do suchego przekazywania faktów, lecz analizują opisywane zjawiska, a w kolejnych rozdziałach sygnalizują odniesienia i konstelacje kulturowe wynikające z powiązania z wcześniej omawianymi wydarzeniami czy faktami, których konsekwencją są konkretne kolejne etapy w historii kultury niemieckiej. W tym kontekście można prześledzić m.in. rozwój i wpływ myśli niemieckiego Oświecenia na kolejne epoki czy genezę ideologii faszystowskiej, która swoją materializację znalazła w narodowym socjalizmie oraz ustroju państwowym III Rzeszy.

Drugie wydanie „Dziejów kultury niemieckiej” zostało uzupełnione o dodatkowy (XIV) rozdział, zatytułowany: „Pejzaż kulturowy zjednoczonych Niemiec”, traktujący m.in. architekturę jako „barometr” przemian społecznych składających się na wszystko to, co „nowe” w obliczu kultu-

rowym Niemiec po zjednoczeniu. Wyeksponowany został w tym rozdziale problematyczny aspekt wielu, budzących kontrowersje, przedsięwzięć budowlanych i rekonstrukcyjnych, w szczególności dotyczących planów urbanistycznych realizowanych w Berlinie.

Ważną zmianą w stosunku do pierwszego wydania jest przetłumaczenie wszystkich wówczas cytowanych w oryginale (w języku niemieckim) fragmentów tekstów na język polski. Jest to z pewnością ważne udogodnienie dla polskiego czytelnika. „Dzieje kultury niemieckiej” to narracja zwrócona nie tylko „do wewnątrz” niemieckich „okoliczności”. Niezmiernie cenne jest wyjście „na zewnątrz”, czyli ukazanie przez autorów tomu wpływów kultury niemieckiej w Europie i na świecie na przestrzeni wieków oraz uświadomienie niezmiernie bogatego uczestnictwa kultury niemieckiej w kulturze europejskiej i światowej XX wieku. „Dzieje kultury niemieckiej” są jedynym na polskim rynku wydawniczym tak obszernym i wnikliwym kompendium wiedzy na temat historii i kultury Niemiec.

Transparentność kompozycji oraz jasny, daleki od naukowej hermetyczności język tej publikacji czyni ją niezbędnym przewodnikiem po wiedzy na temat historii i kultury Niemiec nie tylko dla osób profesjonalnie zajmujących się kulturą niemiecką, ale również dla szerokich grup czytelników poszukujących na przykład odpowiedzi na pytanie o antagonizmy i punkty przenikania się kultury niemieckiej z polską.

Magdalena Kardach

Stan rzeczy

Bronisław Wildstein, *Dom wybranych*,

Poznań: Zysk i S-ka, 2016

„Dom wybranych” Bronisława Wildsteina – laureata Nagrody Kościelskich odznaczonego przez prezydenta Andrzeja Dudę Orderem Orła Białego, twórcy słynnej „Listy Wildsteina” stanowiącej podstawę działań lustracyjnych, wreszcie uhonorowanego złotą odznaką Gloria Artis przyznaną przez wicepremiera i szefa Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, swego czasu świetnego redaktora emigracyjnego miesięcznika „Kontakt” – to powieść, ku której lekturze skłoniła mnie nota autorstwa profesora Włodzimierza Boleckiego powiadamiająca na skrzydełku dzieła, że *od czasów Witkacego żaden polski pisarz nie konstruował [...] dyskursu w powieści z podstawowych zagadnień filozofii XX wieku*. Czy trzeba bardziej przekonującej zachęty, by począć trawić czas na zgłębianiu tak wysoko mierzącego utworu? Cóż – retoryczne to pytanie. Zacząłem zatem rzecz zgłębiać w poszukiwaniu owych filozoficznych treści. I znalazłem na stronie 93 w dialogu bohatera Arskiego z jego mentorem Brakiem:

– *Ty też jesteś wyznawcą fenomenologii i zgorszyła cię moja wypowiedź – bardziej stwierdził, niż spytał.*

– Nie, nie mogę powiedzieć, że zgorzzyła, ale redukcja ejdetyczna... A zresztą słowo *znawca* nie pasuje tutaj... – zaczął się plątać Arski, nie wiedząc, co powiedzieć. Brak uśmiechnął się, jakby chciał mu pomóc.

– Szukasz *absolutu poznawczego*. To rozumiałe. Wszyscy go, zwłaszcza w pewnym wieku, ścigamy. Ale to nie powód, aby popadać w łatwiznę i bronić młodzieńczych złudzeń, które bywają złudzeniami ludzkości.

I jeśli chodzi o filozofię, to właściwie wszystko. Nie znaczy to jednak, że nie warto książki przeczytać. W trakcie lektury w sposób nieunikniony podążać będziemy za obserwacjami i sądami wszechwiedzącego narratora – to on ocenia i modeluje występujące w powieści postaci, ich sposób myślenia o sobie i świecie. On, a nie bohaterowie, waży racje i argumenty, rozstawia scenografię, dba o didaskalia. To on urządzi telewizyjny *reality show*, w którym doskonale dobrani uczestnicy poddawani są próbie prawdy, zaś organizatorzy z góry wiedzą, że mają na nich przygotowane haki, które mają ich obnażyć i skompromitować: właśnie ta kompromitacja jest główną atrakcją programu. Wielka metafora każe się odczytać następująco: nikt nie jest tym, za kogo się podaje, każdego można przeczołgać, zwłaszcza wówczas, gdy się zdecyduje wystąpić publicznie: wygrzebać mu jakieś grzeszki z głębokiej przeszłości, o których nieszczęśnik, wypierając je i maskując, najzwyczajniej w świecie zapomniał lub dla jakichś powodów ukrył. Wywlekając je na światło dzienne, a właściwie światło telewizyjnych reflektorów, można mu rzucić w twarz: *Wymyśliłeś siebie! Nieustraszonego wojownika! Śmiechu warte.*

Ale przecież nie o tych bohaterów tu chodzi, lecz o tych, którzy całe to przedstawienie fabrykują. Wildstein wie, o czym pisze: w końcu przez czas jakiś był szefem publicznej telewizji, poznał mechanizmy, układy, drogi karier pracujących tu dziennikarzy. Zna strukturę układu, który wszak, możemy wnioskować, taki sam jest w mediach, jak w życiu, szczególnie w tych jego sferach, które mają wymiar publiczny. Bo, można tak wnioskować, owo życie publiczne to *reality show*, jak to się mawia, „na full”: czy będą to media, czyli „czwarta władza”, czy polityka. Ta opowieść to swoiste purgatorium dowodzące, że wszyscy uczestnicy życia publicznego w Polsce są w jakiś sposób zbrukani – bądź wplątani w niejasną przeszłość, która wciąż na nich oddziałuje, bądź uczestniczą w układzie:

Nowego porządku nie było jednak. Ewry awansował szybko w istniejącym systemie, a obrazoburcze marzenia stawały się igraszką wyobraźni, zabiegiem, który pomagał psychicznie dostosowywać się do istniejących reguł. [...] Niedawno szef Instytutu Wolności zaprosił go na spotkanie z Lackim [...]. Wspólnie przygotowywali wielką kampanię przeciw przemocy wobec kobiet i odsłaniali jej kulturowe korzenie. Przedsięwzięcie miało uniemożliwić wycofanie się Polski z konwencji Rady Europy, która jako źródło owej przemocy wskazywała tradycyjną rodzinę.

I już w tym fragmencie widać światopoglądowe tło utworu: nakaz oporu wobec wszelkich modernizujących – szczególnie w sferze obyczajowej, ale przecież i wszelkich innych – Polskę

inicjatyw: w tym wypadku wobec konwencji o przeciwdziałaniu przemocy. Nic nie jest powiedziane wprost, ale w istocie narrator – przypomnijmy: on tu osądza – snuje swą opowieść w konwencji na skróś konserwatywnej, staje się wyrazicielem tego, co można określić jako system wartości chroniących narodową tożsamość przed wpływami zewnętrznymi: wszelkim postmodernizmem i genderom narzucanym przez sprytnych manipulatorów – będących tajnymi funkcjonariuszami „istniejącego systemu” posługujących się „istniejącymi regułami” – i zmierzającym do zniszczenia „tradycyjnej rodziny”. I system, i reguły należałoby zatem – staram się rzecz dopowiedzieć bez owijania w bawełnę – zasadniczo zmienić, gdyż inaczej Polacy utracą swą podmiotowość, rozmyją się w bliżej nieokreślonej europejskości. Narratorowi, oczywiście to nie grozi – jest odporny i potrafi zdemaskować zagrożenia. Rzecz w tym, że ani ów „istniejący system”, ani „istniejące reguły” nie zostały w powieści rzetelnie opisane, a tym samym i światopogląd narratora nie jawi się inaczej niż jedynie jako zlepek konserwatywnych stereotypów funkcjonujących w oderwaniu od realiów egzystencji. I gdy kończyłem lekturę, miałem nieodparte wrażenie, że dla niezrozumiałych dla mnie przyczyn autor oferował mi utwór, w którym obietnica „prawdziwego” ładu zawieszona jest w życiowej próżni, zaś zagrożony „porządek”, którego obrońcą zdaje się narrator opowieści, nie zostaje przedstawiony.

Marek Ławrynowicz, *Mundur*, Poznań: Zysk i S-ka, 2016

„Mundur” Marka Ławrynowicza czyta się znakomicie, choć lektura nieodparcie przywołuje wcześniej czytane opowieści z wojskowego życia – przede wszystkim „Przygody dobrego wojaka Szwejka” Jaroslava Haška, „08/15” Hellmuta Kirsta, „Paragraf 22” Josepha Hellera, ale też „Książeczkę wojskową” Antoniego Pawlaka. Opis wojskowego życia o tyle jest poręczny, że pozwala na rekonstrukcję zamkniętego układu społecznego z wielością funkcjonujących w nich relacji, wdzięczny zaś dlatego, że nieodmiennie wskazując na absurdy tego życia, musi wywoływać efekt komiczny. Czy też tragikomiczny, jak w „Piosence o Jacku Staszeliś” Jana Krzysztofa Kelusa:

*Gdy do wojska szedł Jacek Staszeliś
Tak po prostu na rok, nie na front,
Nikt nie płakał, nikt się nie weselił,
Ani ty, ani on...*

Tym razem mamy do czynienia, jak u Pawlaka, z wojskiem peerelowskim, w którego objęcia trafia nieumiejący się obronić przed poborem pierwszoosobowy narrator powieści. Początkowo podejmuje on heroiczne próby uniknięcia poboru, w końcu jednak nieunikniona dziejowa konieczność wciska go w kamasze. Wszystko to w narracji niepozbawionej humoru – Ławrynowicz już wcześniej potrafił się wykazać umiejętnością takiej właśnie sztuki opowieści. Akcja przy tym toczy się wartko, wypełniona zaś została absurdami czasu i instytucji, które dokładnie się z sobą rymowały, jak ten choćby:

Trzeciak nadal łąził i mierzył, a nasz batalion szukał w koszarach dwudziestu kilogramów trotylu wraz z zapalnikami, siedmiu kałasznikowów i tysiąca sztuk amunicji. Jak łatwo się domyślić, im bardziej żeśmy szukali, tym bardziej wyżej wymienionego uzbrojenia w koszarach nie było. Major był pewien, że Trzeciak ukrył trotyl i kałasze poza koszarami, ale choć Opole to nie jest jakieś bardzo duże miasto, przeszukanie go dom po domu nie było raczej możliwe.

Jak wiadomo, przed absurdem wojskowej rzeczywistości skutecznie chronić może postawa błażeńska, robienie z siebie kompanijnego głupka lub niedorajdy. I w takie właśnie role wciela się skutecznie bohater Ławrynowicza. Co zresztą interesujące, autor nie pierwszy raz opisuje ów świat – tak było bowiem również w powieści „Kapitan Car” wydanej przed dwudziestu laty. W „Mundurze”, co wyraziście widać w zestawieniu z tamtą książką, mamy do czynienia z pisarzem o wiele bardziej wyrafinowanym. I jeśli doszukiwać się tu jakichś niedostatków, to będą one wspólne całej wymienionej wyżej konstelacji utworów: brak racji „drugiej strony”. Oczywiście, świat wojskowy widziany oczyma prostych żołnierzy, szczególnie tych, którzy w armii znaleźli się nie za sprawą wyboru, lecz poboru, musi się zasadniczo różnić od tego, jaki kreują ludzie zajmujący się wojskiem profesjonalnie i z wyboru i przyznam, że z chęcią bym taką właśnie opowieść poznał. Zbójckim prawem pisarza jest wszakże kształtowanie rzeczywistości z punktu widzenia, który sam uważa za właściwy, w szczególności wówczas, gdy w powieści odwołuje się do własnych przeżyć.

Jednocześnie lektura powieści Ławrynowicza uświadamia, że w istocie to całe wojsko peerełowskie funkcjonowało na tych samych zasadach co armie zawsze i wszędzie – różnice ustrojowe mają tu znaczenie drugorzędne, choć zapewne w poszczególnych przypadkach ważne. Jednak mechanizmy tu uruchamiane, cały proces formacyjny, raz skuteczny, innym razem zawodny, działają w ten sam sposób. Doświadczenie, jakie się z tego epizodu w życiu wynosi, bywa różne – w „Mundurze” akurat wojsko jest dla większości bohaterów przede wszystkim szkołą przetrwania. Ale też tytułowy mundur odsyła do głębszego namysłu, jak bowiem powiada jeden z bohaterów:

Człowiek rodzi się w jakiejś rodzinie, zaczynają go uczyć w jakimś języku... [...] To już jest mundur. Nie rozumiesz? Wychowuje się w jakimś kraju, który każą mu kochać, w jakiejś kulturze, którą uważa za swoją, rodzice prowadzą go do swojego kościoła, gdzie uczyć go, w co ma wierzyć...

No właśnie.

Może więc warto polecić „Mundur” jako lekturę szkolną?

Jacek Bocheński, *Blog*, Warszawa: Wyd. Agora, 2016

„Blog” jest swego rodzaju wyzwaniem, ale też i całkiem uroczą – co nie znaczy, że pozbawioną powagi – zabawą. I może od razu na początku: czy zdanie: „Czytam blog Jacka Bocheńskiego” jest równoważne zdaniu: „Czytam »Blog« Jacka Bocheńskiego”? Cóż – każdy przytomny zauważy, że nie są to zdania równoważne. Po zauważeniu tej nierównoważności sprytny teoretyk literatury łakomie się na ten problem rzuci i z pewnością rozwinie go w jakąś mniej lub bardziej skomplikowaną rozprawkę o wzajemnych współzależnościach oraz odrębnościach narracji literackich oraz internetowych. I niech właśnie tak czyni, bo taka jest przecież jego powinność. Bez wątplenia też niektórzy powiążą blog z gatunkowym określeniem sylwa i zaczną rozważać, czy ta właśnie sylwa o tytule „Blog” jest raczej opowieścią czy też kolekcją różnych notatek, zapisków i anegdot. (Swoją drogą można by się zawziąć i sprawdzić, jak się ma „Blog” do rzeczywistego bloga prowadzonego przez autora).

Optuję za opowieścią, więcej – za reportażem: to w końcu w twórczości tego pisarza żadna nowina. W czasach dalece przedinternetowych takie reportaże, oczywiście, musiały mieć nieco inny status niż na przykład „Podróż i szczypta filozofii” (1956), tom będący relacją z peregrynacji po Związku Sowieckim, wart dziś przeczytania nie tyle dla wartości „ideowych” (w istocie dość śladowo obecnych), ile przede wszystkim dla poczynionych w nim obserwacji czy „Pożegnanie z panną Syngilu”, książką będącą tyleż powieścią, co reportażem właśnie – ta opowieść jest zresztą w „Blogu” przez autora przywoływana w związku z dziejącymi się aktualnie w Afryce wydarzeniami. Nie jest to jedyne odwołanie do własnej twórczości – przypomina Bocheński także „Krwawe specjały włoskie”, które po latach okazały się znów aktualne i chodzą o ich wznowienie:

zawiodłem, oczywiście, na całej linii, gdyż zgodnie ze swoją naturą nie zrobiłem w tej sprawie nic. O wydawanie własnych książek nigdy nie umiałem zabiegać, wpraszać się z nimi, przekonywać, zachwalać, reklamować, promować, nie umiałem w ogóle robić wokół nich niezbędnego szumu, dziś dopiero, o czym świadczy choćby pisany tu Blog, zaczynam się trochę uczyć.

Onymi czasy nie brakowało przecież koleżanek i kolegów, którzy autopromocję opanowali do perfekcji, lecz nie było to zjawisko tak powszechne jak dziś. Więcej: było to zjawisko raczej rzadkie, przyglądano się takim osobnikom z pewnym niedowierzaniem, zaś ich postępowanie dla co wrażliwszych było czymś, co ich samych napawało wstydem, uważano albowiem, że to książka ma promować autora, a nie autor książkę – dziś jest trochę inaczej: może lepiej? Nie będę tu tego wartościował, zaś kwestię podnoszę nie sam z siebie, lecz za autorem „Boskiego Juliusza” po to, by wskazać na jeden z ważnych rysów osobowości bohatera „Bloga”: skromność i niechęć do wyłazenia na czoło pochodu (raczej zresztą też w pochodach niechętnie uczestniczącego). Ale też chciałbym zwrócić uwagę na jeden z tropów, jaki się w książce pojawia: przekonanie o coraz mniejszej roli literatury, jej coraz bardziej

niszowej egzystencji (te 20 tysięcy nakładu, dawniej!). Być może jest w tym sporo racji, ale chciałoby się do blogu dopisać komentarz:

Jacku, może jednak nie aż tak fatalnie – wszak są w naszym kapitalistycznym, konsumenckim świecie takie zjawiska, jak czytelnicy, w niektórych krajach nawet czytający politycy – pisze właśnie o tym na fejsie Magda Parys, której książki tu już omawiałem i choć zwraca uwagę na to, że nie chodzi bynajmniej o polityków polskich, to jednak jakąś nadzieję budzi. Może i u nas niebawem to się pojawi – taka moda na czytanie. Choć, między nami mówiąc, wątpię.

Wróćmy jednak do „Bloga”. O czym to jest? Blog, jak to bywa niekiedy, jest o wszystkim. Bocheński podkreśla: *Ja staram się dzielić uwagę między osiedle i glob ziemski*. Przy tym nie od rzeczy będzie dopowiedzenie, że kawałek owego globu w blogu uwagę szczególną skupia: Polska właśnie. Komentarze dotyczące osiedla i globu trwają w „Blogu” od 17 marca 2009 do 23 września 2014, zatem pięć lat z okładem, ale z dziurą pośrodku: od grudnia 2009 do końca stycznia 2010 zapisów brak (może są w blogu, ale teraz nie sprawdzę: dość, że nie ma tu reakcji na wydarzenia z tego czasu, co może i lepiej). W strumyku czasu dzieją się różności – od błahych epizodów, po bardziej skomplikowane narracje: los kwiatków na balkonie, spotkania z sąsiadami, ale i refleksje literackie, wreszcie nieco ważnych retrospekcji – ot, blog.

Ale czy tylko blog? Skoro to książka? Cóż – sygnalizuję jedynie ten problem, zwracam uwagę na swobodny, choć zróżnicowany zależnie od okoliczności język narracji, wreszcie (jednak) zamysł kompozycyjny, którego efektem stało się wycięcie tego akurat odcinka, zakończenie (czy rzeczywiste) tego nurtu opowieści. Każdy, kto zaglądał do zapisów zatytułowanych w internecie „Blog II”, wie, że jest się nad czym zastanawiać. I wreszcie: jak się ma „Blog” do pozostałych utworów Bocheńskiego i czy potrafi skierować uwagę czytelnika ku takim książkom jak „Boski Juliusz”, „Nazo poeta”, „Tyberiusz Cezar” i nie na końcu „Tabu”? Polecam.

Leszek Szaruga

Obywatele widma

**Łukasz Krzyżanowski, *Dom, którego nie było. Powroty ocalałych do powojennego miasta*,
Wołowiec: Czarne, 2016**

Pusty plac po rozebranej po wojnie synagodze i postawiony w jej miejscu pomnik upamiętniający zamordowanych Żydów – obywateli Radomia wrósł w krajobraz świata dzieciństwa Łukasza Krzyżanowskiego. Potem przyszły inne inspiracje, porządkowanie materiałów po profesorze UJ Andrzeju Paluchu i odnalezione tam wstrząsające historie losów ocalałych z Zagłady. Film Jana Jakuba Kolskiego „Pogrzeb kartofla” dodał ostatni impuls do zajęcia się tematem powrotu, obcości, wykluczenia żydowskich mieszkańców powracających po zakończeniu II wojny światowej. Ten właśnie mikroświat żydowskiej społeczności na przykładzie powojennego Radomia stał się tematem książki „Dom, którego nie było”.

Radom zyskał swojego narratora, który podjął się na podstawie uratowanego archiwum Okręgowego Komitetu Żydowskiego z lat 1945-1950, wywiadów oraz innych źródeł archiwalnych, opowiedzieć nie tylko o tym, co działo się z żydowskimi obywatelami miasta, lecz również o nieżydowskiej społeczności i jej władzach. W radomskim studium przypadku Krzyżanowski opisał zjawiska, jakie rozgrywały się na powojennej polskiej prowincji.

Książka napisana żywym językiem, uzupełniona o narracje wizualne i autorskie komentarze podzielona została na cztery części: „Miasto”, „Przemoc”, „Społeczność”, „Mienie”. Każda część rozpoczyna się archiwalnymi zdjęciami uzupełnionymi komentarzami, które proponują migawkowe wniknięcie w tamten świat. Zdjęcia pochodzą z archiwum i od osób prywatnych. Siedem zdjęć poprzedzających ostatni rozdział o przywłaszczeniu mienia żydowskiego jest ważnym świadectwem tego, co stało się po wywiezieniu mieszkańców radomskiego getta do Treblinki. Jedno z nich pozwala nam przenieść się do 1942 roku i przez półotwarte okno spojrzeć na podwórze otoczone opuszczonymi mieszkaniami z pootwieranymi oknami i drzwiami. Wszędzie stoją porozrzucane meble, sprzęty. Pośrodku widzimy przechodzące osoby, które rozglądają się i szukają czegoś wartościowego dla siebie. Przed chwilą rozegrała się tu tragedia. Nie powstrzymało to przed plądrowaniem, bezkarnym rabunkiem. Te garnki, sukienki, meble, załadowane wozy sprzętami z żydowskich mieszkań pokazują, co pozostało po radomskich Żydach, jak szybko ślady po 1/3 mieszkańców Radomia zniknęły. Stawały się mieniem pożytkowym. Nikt już nie myślał o tych, których pomordowano. Ci, którzy jeszcze przed chwilą tu mieszkali, mieli już nigdzie nie wrócić.

Autor dla zrozumienia zupełnie nowej sytuacji, w jakiej znaleźli się powracający Żydzi po II wojnie światowej, sięga najpierw do okresu międzywojennego, a potem do czasów okupacji w Radomiu. Mimo iż przez cały okres międzywojenny w radzie miejskiej Radomia dominująca pozycja należała do socjalistów, a organizacje żydowskie miały swoich przedstawicieli, nie miało to prostego przełożenia na harmonijne współżycie między Żydami i Polakami. Napięcia na tle narodowościowym przybierały różne formy, od bójek po mecze po „incydent”, który przeszedł do historii jako pogrom radomski z maja 1931 roku. Zamknięcie i samowystarczalność żydowskich wspólnot w połączeniu z działaniami antyżydowskimi w życiu publicznym prowadziły do izolacji dwóch światów. Zakładano organizacje, stowarzyszenia, z których wykluczano niechrześcijan, bojkotowano żydowskie sklepy. Wykluczenia Żydów z publicznego życia pogłębiały dystans między obiema grupami.

Wojna nastawienie antagonistyczne tylko zwielokrotniła. W kwietniu 1941 roku w Radomiu utworzono dwa getta – małe i duże. Zamknięto w nich nie tylko radomian, lecz także Żydów z okolicznych miejscowości i z ziem wcielonych do Rzeszy. Getto nie było odgródzone od reszty miasta, a mimo to Żydzi nie przekraczali granic dzielnicy zamkniętej. Denuncjacje nie dawały szans, by żydowski mieszkaniowiec Radomia przeżył na aryjskich papierach wśród Polaków. Tragedia nastąpiła w sierpniu 1942 roku, gdy około 33 tys. Żydów zamkniętych w dwóch gettach w ramach „Operacji Reinhard” wysłanych zostało do obozów zagłady. Ludność żydowska Radomia przestała istnieć.

Po wojnie cudem uratowani Żydzi wracali do swoich miast, nieliczne były też powroty radomskich Żydów. Łukasz Krzyżanowski opierając się na relacjach świadków i dokumentach po 1945 roku, szuka wyjaśnienia przyczyn terroru, przemocy, które dotyczyły żydowskich obywateli. Zadaje proste pytania: Dlaczego morderstwa na żydowskich współobywatelach nie były

przedmiotem dochodzeń ze strony sił porządkowych? Dlaczego brak jest jakichkolwiek zapisów zgłoszenia morderstw? Milczenie jest wymowne! Po ponad 70 latach dokonuje analizy dostępnych faktów i stawia jasny kierunek poszukiwania winnych zabójstw, napadów. W tej analizie nie feruje szybkich wyroków, ale wskazuje okoliczności ich dokonania, odczytuje motywy. Zapewne tych, którzy tego dokonali, nie ma już wśród żywych. Czy w pamięci mieszkańców Radomia ten zapis zbrodni uruchomi mechanizm sprawiedliwości? Może pojawią się jakieś informacje rozjaśniające te wydarzenia?

Zabójstwa zostały dokonane latem 1945 roku na ocalałych żydowskich mieszkańcach Radomia: Ludwiku Gutsztacie, Aronie Hendlu, Bolesławie Gaucie, czterech osobach w Spółdzielni „Praca”, a wśród nich świeżo poślubionych małżonków Beli Apel, lat 19, i Józefie Gutmanie, lat 20. Nie została wymierzona sprawiedliwość. Nie ustalono sprawców. Krzyżanowski chce tamte wydarzenia ponownie przeanalizować, opisać, osądzić. Radom to też jego miasto.

Zabójstwa na powracających do Radomia żydowskich mieszkańcach to tylko wierzchołek góry lodowej. Szykany, upokorzenia, szantaże, wymuszenia, pobicia, napady. Wiele z nich miało na celu zastraszenie ocalałych, by opuścili miasto. Postawa nieżydowskich współobywateli i władz miejskich czyniła te działania bardzo skutecznymi. Późnym latem 1945 roku wielu żydowskich radomian opuściło miasto. Nie dość, że nie mogli wrócić do swoich domów, to jeszcze powtórnie poczuli swoje osamotnienie, wykluczenie, brak poczucia bezpieczeństwa. Strach ponownie wyznaczał kierunek ich działań. Były nim ucieczka, pozostawienie mienia, miasta, domu. Tym domem nie było też odradzające się państwo polskie.

Bardzo ważną częścią książki jest ostatni rozdział poświęcony mieniu. Autor pokazuje, w jaki sposób chrześcijańscy mieszkańcy Radomia weszli w czasie okupacji w posiadanie majątku żydowskiego. Zagospodarowanie mienia po żydowskich obywatelach odpowiadało porządkowi politycznemu, który obowiązywał. Najpierw najcenniejsze przedmioty trafiały w ręce Niemców – władzy okupacyjnej, tych, którzy dokonali mordów na Żydach, potem do rabunku dopuszczani byli inni – Polacy z miasta i okolicznych wsi. Mienie żydowskie przechodziło na własność państwa niemieckiego, a administrowali nim powiernicy – Niemcy i Polacy.

Po wojnie Żydzi występowali do sądów o przywrócenie majątków. Autor przytacza fakty, cytuje akty prawne i analizuje ich działanie. Zwraca uwagę na pojęcia, nazwy pojawiające się zarówno w pismach urzędowych, jak również w języku publicznym, odnoszące się do własności obywateli polskich narodowości żydowskiej. Kategorie takie jak „mienie opuszczone”, „porzucone”, „mienie pożydowskie”, „dziedziczenie” poddaje analizie. Odczytuje w ich używaniu realizowaną przez państwo, władze polityczne centralne i lokalne, wreszcie społeczeństwo politykę wobec ocalałych. Po Zagładzie stosunek do żydowskich obywateli polskich i ich mienia nie był tylko pochodną i prostą obroną stanu posiadania. Świeżo nabyte drogą wymuszonych transakcji bądź zajętych przez zasiedzenie majątków przez polskich właścicieli tworzyły nowy porządek ekonomiczno-prawny. W ten sposób grupa Polaków nabywała bądź powiększała

swoją własność. Nie pochylano się nad Żydami, którzy również byli obywatelami polskimi. Jedna z socjolożek wprowadziła pojęcie 'obywatele widma', czyli ci, którzy fizycznie istnieli, ale społecznie nie funkcjonowali w odbudowującym się po wojnie społeczeństwie polskim. Jak wytłumaczyć dekret z 8 marca 1946 roku? Dekret, w którym państwo polskie weszło w posiadanie mienia zrabowanego Żydom przez Niemców i oświadczało, że *ma prawo żądać spłaty nakładów poniesionych przez okupacyjne władze niemieckie w związku z przeprowadzonymi przez nie inwestycjami*. To wielokrotnie uniemożliwiało odzyskanie swojej własności przez żydowskich obywateli polskich, gdyż nie dysponowali takimi środkami. Krzyżanowski odpowiada:

Państwo polskie nie tylko w pewien sposób legitymizowało zarząd okupacyjny nad nieruchomościami, ale też stawiało siebie w pozycji spadkobiercy lub kontynuatora administracji niemieckiej.

Transfer mienia żydowskiego w ręce prywatne lub przekształcany we własność państwową rozpoczął się w latach okupacji i trwał nadal po zakończeniu II wojny światowej. Uwłaszczenie mienia swoich żydowskich obywateli opisane zostało na przykładzie Radomia. I do dzisiaj tzw. przeniesienie własności jest chyba najtrudniejszą do usunięcia spuścizną totalitarnych reżimów na terenie Polski.

Tematyka relacji polsko-żydowskich jest obecna w życiu publicznym, literaturze, w badaniach naukowych, w publicystyce, w polityce. Nie zniknęła, wraca jak bumerang, a przełomowym momentem było wydanie w 2000 roku książki Jana Tomasza Grosa. Nie musimy cofać się do lat 40. i 50., bo potykamy się o tę problematykę dzisiaj. Uporządkowanie spraw własnościowych w Warszawie, Krakowie i wielu innych miastach w Polsce dotyka bezpośrednio tamtych wydarzeń. Łukasz Krzyżanowski opowiada o radomskiej przeszłości z potrzeby swojego w nim zakorzenienia, a jednocześnie młodego badacza, Europejczyka. Czy to, co działo się po wojnie z żydowskimi obywatelami tego miasta, było wyjątkowe? Czy można zrozumieć i znaleźć wytłumaczenie wydarzeń z lat 1945-1950? W 2017 roku Andrzej Nowak-Arczewski opublikował książkę „Zmiłuj się nad nami”. To słowa modlitwy, które stały się mottem tekstów opisujących stosunki polsko-żydowskie w innej miejscowości na prowincji – w Klimontowie.

Częstokroć przeszłości nie da się naprawić. Przeszłość jednak musi być poznana i opisana. Monika Sznajderman w swojej książce „Fałszerze pieprzu” zadaje pytanie: czy późne urodzenie czyni nas niewinnymi? Czy ta wiedza o nas samych jest nam jako społeczeństwu potrzebna?

Po Kresach z Anną Strońską Przypomnienie po latach

**Anna Strońska, *Podróż na Kresy*,
Olsztyn; Białystok: Pojezierze, 1979**

Ten, kto dostąpił nieszczęścia egzystencji w latach II wojny światowej, a należała do tego grona także Anna Strońska urodzona w 1931 roku, z pewnością miał nadzieję, że – powtarzając za Zofią Nałkowską – ludzie ludziom już więcej nie zgotują tego losu. Dziś, gdy od wybuchu najtragiczniejszego konfliktu w dziejach ludzkości minęło niemal osiem dekad, wiemy na pewno, że *homo homini lupus est*.

Mimo dotykającego każdej dziedziny życia postępu oraz posiadania niezwykle przytłaczającego bagażu historii walka człowieka z człowiekiem nieustannie zapełnia książkowe stronice. I nie dotyczy to tylko coraz to nowych interpretacji dziejów XX wieku, ale także – niestety – czasów współczesnych, tu i teraz.

Wydaje się, że jednym z najbardziej nadających się do utrwalania doświadczeń wojennych gatunkiem literackim jest reportaż, którego autor korzysta z przywileju bycia świadkiem lub uczestnikiem przedstawianych wydarzeń, dzięki czemu opisuje poznaną empirycznie rzeczywistość, czyniąc swoją opowieść wiarygodną w oczach tego, kto nie był i nie widział

na własne oczy. W obliczu wojen, powstań, konfliktów forma ta jest tą, z którą powinien mieć do czynienia każdy, kto nie tylko nie doświadczył, ale także pragnie dowiedzieć się, zrozumieć i wyciągnąć wnioski.

Współcześnie nie brakuje konfliktów – wystarczy wspomnieć wojnę domową w Syrii, która za sprawą swojego okrucieństwa i czasu trwania dłuższego niż wspomniana II wojna światowa, swobodnie może rozpocząć i zakończyć wyliczanie przykładów. Mnożące się reportaże z miejsc współczesnych konfliktów powstają w tym samym celu, co i powstawały te traktujące o czasach XX wieku i wstecz – a więc przede wszystkim ku przestrodze. Nie sposób zanegować sensu powstawania tego typu utworów literackich, ale jednocześnie warto mieć świadomość istnienia innych dzieł, które mimo iż nie są nasycone krwią, śmiercią i smutkiem, również stanowią świadectwo tak zwanej Wielkiej Historii, która oddziaływała na losy zarówno tych, którzy bezpośrednio, jak i pośrednio mieli z nią do czynienia.

Mieszkaniec Warmii i Mazur, którego interesuje historia regionu, Polski, a także świata, powinien bez wątplenia sięgnąć po zbiór reportaży „Podróż na Kresy” Anny Strońskiej, znanej i nagradzanej reportażystki i publicystki „Gazety Krakowskiej” oraz „Polityki”. Książka ta wydana w 1979 roku przez nieistniejące od lat olsztyńskie wydawnictwo „Pojezierze” jest pokłosiem podróży autorki po Warmii i Mazurach, Podlasiu i Mazowszu. Strońska po prostu była ze swoimi bohaterami, towarzysząc im w zdrowiu, w chorobie, w trakcie zakupów i codziennych prac. Napisała „Sennik galicyjski” o ważnym dla niej Przemyśle, ale nie pominęła także terenów jej osobiście obcych, będących konglomeratem rodowodów, języków, obyczajów oraz – a może przede wszystkim – osobistych historii, tak różnych i jednocześnie tak podobnych.

Moja wspomnieniowa recenzja powstawała wówczas, gdy czas pokonał Erwina Kruka (1941-2017), mazurskiego poetę i pisarza, któremu omawiana autorka poświęciła ostatni rozdział „Podróży na Kresy”. Scharakteryzowała go jako obolałego od historii najnowszej, a także pochłoniętego opowiadaniem o plemieniu, które szło ku śmierci. Jeśli losy Mazurów skupiają w sobie wszystkie cechy charakterystyczne Kresów, to rozważania o podróży tam właśnie nie mogą obyć się bez wspomnienia reportażu zatytułowanego „Mazur Erwin”, nie tylko z powodu jego niedawnej śmierci. Annie Strońskiej dane było w towarzystwie Erwina Kruka zwiedzać Muzeum Mazurskie w Szczytnie, a więc poznać go osobiście, a co za tym idzie, móc porozmawiać z nim o jego twórczości, która nie była jej obca, o czym świadczą chociażby cytowane przez nią wiersze poety – przywoływane zawsze w odpowiednim miejscu, tak by tworzyły sensowne połączenie jej osobistych dywagacji wzbogaconych o jego poezję tam, gdzie ona sama nie miała już nic do powiedzenia. Mimo dostatecznej, wydawałoby się, znajomości tematu Strońska wciąż nie była w stanie określić, czy znajduje się na Warmii, czy na Mazurach, ale jednocześnie nie można jej odmówić chęci lepszego zrozumienia, dlaczego Erwin Kruk nie mienił się ani Polakiem, ani Niemcem, tylko po prostu Mazurem. Mając wiedzę o olsztyńskim środowisku pisarskim, które według niej do odsłonięcia dla literatury ziemi z mazurską tragicznej potrzebowało Erwina Kruka, za konieczne uznała poznanie tego,

którego w wieku czterech lat dopadła wojenna historia. Z Erwinem Krukiem rozmawia tak samo jak w innym reportażu z kobietą trudniącą się malowaniem jeleni znajdujących się na okładce książki. Relacja ta osadzona jest oczywiście w realiach lat 70., a więc w czasach, w których Polska de facto znajdowała się pod rządami tych, którzy jako obcy przyszli i zamieszkali w domu rodzinnym Kruka, przynosząc ten rodzaj wyzwolenia, które zapoczątkowało dramat Mazurów. Strońska w ten sposób wyróżnia niejako Erwina Kruka, pozwalając zamknąć mu opowieść o tych, których pozbawiono ojczyzn.

Anna Strońska jest w „Podróży na Kresach” narratorką, ale nie nachalną – taką, która pozwala wypowiadać się swoim bohaterom. Być może oni nawet dominują ją w narracji, ale mimo to ona sama z tej narracji nie znika. Umiejętnie usuwa się na dalszy plan, nie schodząc ze sceny, a prowadząc czytelnika przez meandry ludzkich losów.

Gdyby czytać reportaże składające się na zbiór „Podróż na Kresy” osobno, w czasowych odstępach, z pewnością trudniej byłoby zauważyć ich różnorodność, która nie świadczy o niczym innym jak o szeroko otwartych oczach reporterki Anny Strońskiej. Dostrzegły one bowiem nie tylko matkę trzykrotnie obiegającą dom z brzozową różgą, by zasnęło jej dziecko (w rozdziale „Kogo nosi księżyc”), ale także zajmujący nas oraz literaturę problem migracji (w rozdziale „Pogranicze”). Nadal aktualna wydaje się konstatacja autorki o tym, że przyjezdni budzili, budzą i będą budzić niepokój w krainie/kraju, do którego przyjeżdżają. Strońska podkreśliła również ogromną tradycję emigracji zarobkowej Polaków. Kresy w jej rozumieniu i narracji stały się dla mnie, młodej i nowej czytelniczki, niejako metaforą dzisiejszego świata, a ich znajomość receptą na zrozumienie albo chociaż zaakceptowanie otaczającej nas rzeczywistości XXI wieku, która wydaje się tylko rozwinięciem tego, co w poprzednim stuleciu ona sama już zauważyła, a więc komercjalizację społeczeństw, zanik proporcji między rzeczą a wartością, i wreszcie jakość życia sprowadzoną do pieniężnych satysfakcji. Skoro wówczas pogranicze było czymś tak trudnym do pojęcia i wymagało objaśniania, to jakie jest ono dziś, gdy pozbawieni ojczyzn muszą dzielić swoje Kresy z Innym/Obcym?

Marta Wiśniewska

ARCHIWUM LITERACKIE

Pieśni ludowe
Warmii i Mazur

PIEŚNI LUDOWE WARMII I MAZUR

Wydają mnie za rybaka

Wydają mnie za rybaka,
ja za niego nie pójdę,
a bo rybak ryby łapie,
jeszcze weźmie mnie utopi,
nie chcę, nie pójdę!

Wydają mnie za stolarza,
ja za niego nie pójdę,
a bo stolarz robi trumny,
ja jeszcze od tego umrę,
nie chcę, nie pójdę!

Chcą mnie wydać za rolnika,
ja za niego nie pójdę,
on od rana w roli depce,
potem w nocy kochać nie chce,
nie chcę, nie pójdę!

Wydają mnie za krawca,
ja za niego nie pójdę,
a bo krawiec, co uszyje,
to do karczmy i przepije,
nie chcę, nie pójdę!

Wydają mnie za młynarza,
a ja zechcę i pójdę,
bo młynarka w łóżku leży,
na nią mąka z młyna bieży,
ja chcę i pójdę!

Oj, bieda nam, Prusaczeńkom

Oj, bieda nam, Prusaczeńkom, kiedy wojna nastaje,
musim wtedy maszerować, a kochanie zostaje.

A ja młody, młodziesieńki, w osiemnastym roczku,
przypieli mi szabeleczkę do lewego boczku.

Zagnali-ć nas, Prusaczeńków, za te Czarne Morze
i już żaden z żołnierzyków powrócić nie może.

Zagnali nas, Prusaczeńków, na zachód słońeczka.
Czy już nigdy nie zobaczymy jakiego ptaszeczka?

I ujrzelim, zobaczylim, siwą przepióreczkę,
ona leci, ona niesie z Polski nowineczkę.

„Pytam-że cię, przepióreczko, cóżeś tam słyszała”.
„Oj, niejedna matuleczka syna upłakała!”

„Pokłoń się jej, przepióreczko, niech ona nie płacze,
jak w zad będziem maszerować, to się z nią zobaczę.

Dziękuję ci, miła matko, coś mnie wychowała,
ale za to nie dziękuję, coś do wojska dała.

Sprzedaj wołu, sprzedaj krowę i konia bronnego,
a mnie wykup, a mnie wyrwij, z wojska okrutnego”.

Oj, śpiewałbym, śpiewał

Oj, śpiewałbym, śpiewał,
ale nie ma nuty,
wziął ją pies na ogon
i zaniósł do budy.

Pójdź do mnie piesku,
dam kielbasy, chleba,
oddaj za to nutę,
bo mi śpiewać trzeba.

Kalina, kalina,
pod kaliną grzybki,
jakże cię mam kochać,
kiedy jesteś brzydki.

Chociaż jestem brzydki,
mam urodę pańską,
a ty, moja droga,
duszę masz pogańską.

Wczoraj w karczmie przy buteli

Wczoraj w karczmie przy buteli
przyszła śmierć do mnie w bieli.

Byś ty znała wina smak,
nie straszylabyś mnie tak.

A za Dąbrównem na polu

A za Dąbrównem na polu
wywijał Jasiek na koniu.

Wójtówna za nim chodziła,
małe dziecko nosiła.

I tak go długo nosiła,
aż go w jezioro rzuciła.

Rybacy ryby chwyтали,
małe dzieciątko złapali.

Cóż to dzieciątko zrobiło,
że nam tu wodę zmąciło?

Matula mnie tu wrzuciła,
sama za pannę chodziła.

Wszystkie panienki we wiankach,
tylko Wójtówka w kajdankach.

Wszystkie panienki w ogrodzie,
tylko wójtowa w powrozie.

Jak się cesarz zestarzał

Jak się cesarz zestarzał,
siadł za stołem i płakał:
Kogo na wojnę dam,
kiedy syna nie mam?

Tylko córki mam trzy,
te się boją wojny,
te wojować nie pójdą,
bić się przecież nie umią.
Ale wołał pierwszą,
którą miał za najlepszą:
Pójdź, córulu, pójdź do mnie,
wędruj za mnie na wojnę.

Jestem serca miękkiego,
nie zwojuję niczego.
Ja, tatulu, nie pójdę,
bo wojować nie umiem.
Tam ze strachu umrę.
Nie! Wojować nie pójdę!

I zawołał tę drugą,
którą miał za podlejszą:
Pójdź, córulu, pójdź do mnie,
wędruj za mnie na wojnę.

Jestem serca miękkiego,
nie zwojuję niczego.
Ja, tatulu, nie pójdę,
bo wojować nie umiem.
Tam ze strachu umrę.
Nie! Wojować nie pójdę!

Więc zawołał tę trzecią,
którą miał za najlichszą:
Pójdź, córulu, pójdź do mnie,
pójdiesz za mnie na wojnę.

Dobrze, tato! Ja pójdę.
Takie rzeczy to lubię.
Jestem serca twardego
i dam radę każdemu.

Gdy do wojska przybyła,
trzysta chłopów zabiła,
drugie trzysta związała.
Radę dobrze im dała.

Gdy do ojca wracała,
pieśni o niej śpiewali.
Gdy do ojca wróciła,
gwiazdy dla niej świeciły.



Beata Samojłowicz (1975-2017)

WSPOMNIENIE

Bo do życia potrzeba empatii...

Kiedy Beata pojawiła się w „Borussii”, trafiła w moment najbardziej oczekiwany. Od 2002 roku już trwale włączyła się w działalność, najpierw poprzez własne projekty związane z obwodem kaliningradzkim, potem coraz intensywniej, przejmując kolejne pola aktywności kulturalnej. Od 2006 roku stała się filarem zarówno stowarzyszenia, jak i fundacji. O ile „Borussia” ma swoje miejsce w kulturze Warmii i Mazur, to z pewnością w latach 2006-2013 osiągała tę pozycję w dużej mierze również dzięki Beacie Samojłowicz.

W ponadczwiesięcioletniej historii „Borussii”, oprócz inicjacyjnego okresu 1990-1995, lata 2006-2010 były chyba najtrudniejsze dla zachowania spójności organizacyjno-programowej. Razem z Iwoną Liżewską postanowiliśmy przekazać kierowanie stowarzyszeniem i nowo powstałą fundacją drugiej generacji borussian. Takie przełomy zawsze wywołują nieoczekiwane, trudne skutki uboczne. W tym momencie rola Beaty była nie do przecenienia. Po krótkim wahaniu uruchomiła całą swoją energię w budowanie nowej formuły „Borussii”, łącząc własne pomysły z kilkunastoletnią, wypracowaną przez poprzedników tradycją. Sztandarowym projektem stały się prace konserwatorskie i uruchomienie Domu Mendelsohna – dziś jednego z ważniejszych obiektów zabytkowych Olsztyna. By miejsce mogło jednak żyć, trzeba było wymyślać kreatywne, nowatorskie programy. Szybko powstał projekt „Żywego archiwum pamięci”, rozmachu nabrał kierowany przez nią program międzynarodowego wolontariatu dla ratowania dziedzictwa kulturowego Warmii i Mazur. W jego ramach młodzi ludzie z Polski i kilku krajów europejskich uczyli się nowoczesnego podejścia do dziedzictwa kulturowego, wnosząc jednocześnie swój zapał w pracę kilkunastu placówek kultury na terenie całego województwa. Krótco później współkierowała prowadzonym przez mazurską „Sadybę” trzyletnim projektem „Zagubione wioski Puszczy Piskiej”.

Ze stadium wahania w 2006 roku przeszła w czas euforii dla pracy w „Borussii”. Nie było działań, w których nie zaznaczyłaby swojej aktywności. Kontynuowała już istniejący program Fundacji Wolności „Study Tours to Poland”. Współkierowała największym międzynarodowym programem dotyczącym obwodu kaliningradzkiego. Pozyskiwała nowych współpracowników, docierała do środowisk, w których dotychczas „Borussia” była nieobecna. Bardzo mocno zaangażowała się w ratowanie olsztyńskiego kina „Awangarda”. Z tego czasu zachowała się intensywna korespondencja:

Drogi Robercie, znowu strasznie dużo się dzieje. Dziś Regionalne Targi Książki. W przygotowaniu zeszyt kaliningradzki „Borussii”. Dni Kultury Żydowskiej wypadły nam w tym roku naprawdę rewelacyjnie – tygodniowy cykl imprez w całym Olsztynie. Miasto chce w przyszłym roku wpisać to do kalendarza imprez miejskich. Myślę, że musimy powoli kompletować merytoryczny zespół do pracy w Domu Mendelsohna. Taki zespół, który sam będzie współtworzył to miejsce od początku... (19.09.2008)

I jeszcze e-mail z 2010 roku:

Przepraszam za długie milczenie, ale trochę spraw mi się nagromadziło. Urwanie głowy, personalne konflikty, ale dla mnie „Borussia” jest ponad tym wszystkim, bo wierzę w to, co robimy – stąd nie mam rozterek. Poza tym zawsze miałam wrażenie, że mimo oddalenia jesteś z nami (Kazik nas wspiera na miejscu) i dajesz poczucie, że jesteśmy ważne. To bardzo pomaga. Mało kto potrafi jak Ty zmotywować i nadawać rzeczom sens.

To nie były tylko czcze słowa. Zdawała sobie sprawę, jak ważna jest kontynuacja w takim często społecznym działaniu. Jej energia nadawała przez wiele lat rytm życia organizacyjnego środowisku „Borussii”. Obaj mamy żywo w pamięci, jak znakomicie przygotowała 20-lecie Stowarzyszenia w 2011 roku.

Ten rok był też początkiem tragedii. W listopadzie lekarze zdiagnozowali u Beaty jeden z najzłośliwszych nowotworów – mięsaka. Nie poddawała się, ale powoli zaczęła się wycofywać ze swojej aktywności. W 2013 roku odeszła z „Borussii”. Próbowала jednak, po krótkiej przerwie, nadal być aktywna, zakładając własną instytucję edukacyjną Global Education. W radiowej rozmowie z Alicją Kulik, 2 marca 2013 roku, mówiła o swoich doświadczeniach w walce z chorobą (<https://ro.com.pl/otworowej/0135345>). Mówiła o poczuciu wykluczenia ludzi chorych, o nieumiejętności rozmawiania i... o potrzebie empatii. Z dzisiejszej perspektywy ten fragment stał się Jej przesłaniem dla nas. W świecie tak zatowizowanym empatia staje się najcenniejszym i coraz bardziej poszukiwanym lekarstwem. Teraz, gdy Beata tak przedwcześnie zmarła, potrzeba też dobrej pamięci. Jej dorobku nie można zapomnieć. Częstka myśli i działań kulturalnych Beaty Samojłowicz pozostaną trwałym śladem nie tylko w „Borussii”, ale również w Olsztynie i regionie.

Robert Traba
Kazimierz Brakoniecki

fot. Janusz Pilecki



Erwin Kruk (1941-2017)

Zbigniew Chojnowski

POWRÓT Z WYGNANIA

Pamięci Erwina Kruka (1941-2017)

– Jak dobrze, synku,
Wreszcie wróciłeś do domu.
Wyrośłeś pod moją
Nieobecność.
Czarny kruk
Wyrósł na białego kruka,
Bielutkiego gołąbka.
Po Wernerze przyszedłeś.
Ledwo cię odchowalam,
Urodził się Rysiek.
Tak ze mnie wyszłście,
Jakbym się spieszyła.
Zacisnęła się na nas

Pętla wojny
I już nie miłość,
Lecz gęstszy od śmierci strach
Przeszył rodzinę.
Poraziła bezradność
Gorsza od tyfusu.
Nie pomogłam
Własnym dzieciom.
Skamieniałam.
Żyłś dłużej
Niż my z ojcem razem.
Jemu zamarzły łzy,
Choć rozkwitał kwiecień.
Zbliżały się Twoje
Czwarte urodziny.
Chcę sobie przypomnieć,
Dlaczego zostałeś Erwinem.
Może dlatego, żebyś
Był bardziej ptasi,
Bardziej wtulony w gniazdo.
Kruczy kędzior na główce
To za mało.
Rysowałam w marzeniach
Głoski Twojego imienia
I nazwiska –
Rozlegały się jak kruki
Nad pięknym krajobrazu,
Które odmienia się
Przez pory roku.

– Mamo, mówisz, a milczysz
Jak ja, gdy czekałam
Na Ciebie pod kadykiem.
Rozumiem, co do mnie mówisz,
Ale nie wiem, w jakim języku.
Czy po polsku?
Cy naso gadko?
Czy to Muttersprache?
Czy słowa Prusów?

– Mowa stała się przezroczysta,
Całkiem jak powietrze
Nad wczesnie zazielenionym
Dobrym polem,
Nad którym uparcie i samotnie
Leci kruk.

3 kwietnia 2017

Zbigniew Chojnowski

POEZJA i PROZA autorów litewskich

Liūnė Suteika
Nijolė Miliauskaitė
Agnė Žagrakalytė
Jurgita Jasponytė
Ieva Gudmonaitė
Danutė Kalinauskaitė
Udinė Radzevičiūtė
Vanda Juknaitė
Giedra Radvilavičiūtė

BORUSSIA
WSPÓLNOTA KULTUROWA

Adres do korespondencji:

Dom Mendelsohna
ul. Zyndrama z Maszkowic 2 | 10-133 Olsztyn
tel./fax 89 534 00 26
www.borussia.pl



Cena 15,00 zł